



Maciej Koziński
Próba sił

Okładka, strona tytułowa, skład i redakcja
Maciej Koziński

Korekta
Maciej Koziński, Jacek Piszczek

© Copyright by Maciej Koziński, Toruń, 2008

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Publiczne rozpowszechnianie utworu w jakikolwiek sposób (elektroniczny, drukiem) i na wszelkich polach eksploatacji bez pisemnej zgody autora jest zabronione. Naruszenie tego zakazu jest równoznaczne z naruszeniem praw autorskich i może być ścigane prawnie.

Na mocy art. 23 ustawy o prawie autorskim, z rozpowszechnionego utworu można korzystać w zakresie dozwolonego użytku własnego - np. udostępniając go (nieodpłatnie) krewnym i znajomym. Autor zachęca Czytelników do rozpowszechniania powieści w ten sposób.

Powieść dostępna jest bezpłatnie. Autor oddaje ją Czytelnikom bez opłat i bez uzyskiwania z tytułu jej publikowania jakichkolwiek przychodów.

Maciej Koziński

Próba sił

<http://proba-sil.c0.pl/>

Przedmowa

Historia uwielbia jednak płać najdziwniejsze figle. W 1917 roku garstka komunistów pod wodzą Lenina opanowała Rosję, mimo nikłego poparcia społecznego, wewnętrznej opozycji i zewnętrznej interwencji, a potem narzuciła znacznej części świata najbardziej zbrodniczy z ustrojów. W 1933 roku do władzy w Niemczech doszedł Adolf Hitler – w wyniku zwycięstwa w wolnych wyborach. W 1973 roku upokorzeni Amerykanie pozostawili na pastwę komunistów Wietnam Południowy, jednak zaledwie kilka lat wcześniej armia południowowietnamska bliska była całkowitego rozbicia komunistycznej partyzantki – Vietcongu.

Czy ktokolwiek spodziewał się, że trzymający żelazną ręką pół Europy ustrój sowiecki wywróci się w 1989 roku w Polsce, a potem w całym wschodnim bloku? Czy Europa nie przecierała ze zdumienia oczu, widząc ludobójstwo na Bałkanach w latach dziewięćdziesiątych i powtarzając niczym mantrę: „Ludobójstwo pod koniec XX wieku? To niemożliwe”. W polityce nie ma rzeczy niemożliwych. Są tylko mało prawdopodobne. A te od czasu do czasu się zdarzają.

Przebieg wydarzeń opisany w niniejszej powieści może wydać się Czytelnikowi nieprawdopodobny. A jednak – po wydarzeniach w Gruzji – należy uznać, że prognozowany przez niektórych po raz kolejny koniec historii nie nastąpił. Historia ma się świetnie i nadal płata psie figle naiwnym.

Dogmat o nieomyślności Zachodu i „jedynie słusznej” europejskiej drodze Polski całkowicie zdominował polskie media, polską debatę publiczną i środowisko „europejskich” snobów. O tym, w jakim kierunku (poza jedynie słusznym, wytyczanym przez Brukselę i kilka największych państw kontynentalnych) ma przebiegać integracja europejska, w ogóle się nie dyskutuje. Tymczasem integracja, oprócz korzyści, niesie także problemy i zagrożenia, które w nieoczekiwanych okolicznościach mogą się ujawnić z pełną mocą.

„Próba sił” to scenariusz takiego właśnie zagrożenia. Jak bardzo realny? To pozostawiam ocenie Czytelnika. Oprócz podkreślenia pewnych elementów polityki europejskiej i polskiej starałem się – na tyle, jak dalece to możliwe – na-

szkicować pewne elementy współczesnej Polski: polityczny klimat, wszechwładzę mediów, pokutujące w społeczeństwie stereotypy oraz inne społeczne i mentalne zjawiska, czyniące opisany scenariusz bardziej prawdopodobnym. Przynajmniej kilka zjawisk przerysowałem, czyniąc tak trochę z wrodzonej przekory i wbrew temu, co na co dzień próbują wmówić mi (i innym Czytelnikom) media i politycy. Równowaga musi być :-)

Zapewne dla wielu Czytelników obraz nakreślony w powieści będzie sprzeczny z ich odczuciami, poglądami i przekonaniami. To już ich problem. Zderzenie z przeciwnymi poglądami bywa podobne do zimnego prysznica. Zapewne wielu zdziwi, a niewielu przekona, że na co dzień spotykam osoby podzielające obawy i poglądy wyrażone w „Próbie sił”. Mam jednak nadzieję, że powieść skłoni Czytelnika do pewnej refleksji.

Niezależnie od poglądów życzę Czytelnikom przyjemnej lektury. „Próba sił” to przede wszystkim współczesna powieść przygodowo-sensacyjna, osadzona w polskich realiach, mająca dostarczać rozrywki. Mam nadzieję, że to pierwszoplanowe zadanie wypełni.

Faktyczne są cytaty polityków europejskich rozpoczynające powieść. Prawdziwe są cytaty z Traktatu Ustanawiającego Konstytucję dla Europy, którego treść, wg brytyjskich ekspertów, w ponad 90 procentach została przeniesiona do traktatu lizbońskiego. Okręty wojenne opisane w powieści istnieją naprawdę – wraz z całym uzbrojeniem i wyposażeniem, przedstawionym według najlepszej wiedzy dostępnej Autorowi. Również sprzęt lotniczy został pokazany na podstawie rzetelnych, ogólnie dostępnych informacji. Wyjątkiem jest całkowicie fikcyjny program „Kwazar”. Nazwy zachodnich jednostek lotniczych zostały zachowane, nazwy polskich jednostek zostały zmienione. Argumenty za wyborem samolotu *F-16* zostały sformułowane na podstawie faktycznych danych i historycznych doświadczeń. Przemyślenia autora w tym zakresie pokrywają się z opiniami fachowców. Wszystkie postacie są fikcyjne, a zbieżność nazwisk czy podobieństwo do żyjących osób jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe.

Kilka lat temu takie pomysły, jak europejska konstytucja, wspólna polityka w sprawie uchodźców czy europejski oskarżyciel publiczny, były tabu. Dziś są przyjmowane bez zastrzeżeń. Oznacza to, że Unia się rozwija.

Guy Verhofstadt, premier Belgii od 1999r., CNN, 8 lipca 2001

Zwyczajowo mówi się, że to niewyobrażalne, aby Wielka Brytania wystąpiła z Unii Europejskiej. Ale unikanie tego typu rozważań to nędzna namiastka własnych sądów.

Margaret Thatcher

Trzeba przyjąć za regułę, że w szybko pędzącym świecie nie możemy czekać na najwolniejszego członka Unii.

Guy Verhofstadt, Polityka, 28 kwietnia 2007

Nacjoniści, szowiniści i reprezentanci skrajnego katolicyzmu podsycają w Polsce wrogość do Unii Europejskiej.

Gunther Verheugen, komisarz Unii Europejskiej, Reuter, 31 marca 2004

Polska, której przywódcy otwarcie popierają karę śmierci, powinna być izolowana w UE za wystąpienie przeciwko podstawowym europejskim wartościom

Martin Schulz, szef europejskich socjalistów, SPD, 25.09.2007

UE jest skazana na niepowodzenie, gdyż jest czymś szalonym, utopijnym projektem, pomnikiem pychy lewicowych intelektualistów.

Margaret Thatcher, premier Wielkiej Brytanii w latach 1979–1990

Za Niceę nie warto umierać, nie warto za nic umierać.

Javier Solana, Rzeczpospolita, 7 października 2003

Prolog

Unia jeszcze bardziej zjednoczona The Guardian, 14 kwietnia 2008r.

To data historyczna dla zjednoczonej Europy. Po udanej prezydencji portugalskiej przywódcy państw Unii Europejskiej na szczycie w Brukseli przyjęli 13 kwietnia poprawiony tekst traktatu europejskiego. Traktat, nadający Unii osobowość prawną oraz ustanawiający wspólną politykę zagraniczną i obronną, wzmocni mechanizmy decyzyjne Unii i da jej możliwość skutecznej realizacji polityki w zakresie praw człowieka.

Traktat dzieli, zamiast łączyć Frankfurter Allgemeine Zeitung, 14 kwietnia 2008r.

Traktat ustanawiający Unię Europejską, zamiast ją wzmocnić, może poważnie osłabić więzy europejskie. By faktycznie ustanowić Unię w proponowanym kształcie, musi go ratyfikować 13 państw. Tymczasem Brytyjczycy domagają się referendum, a we Francji i Holandii wciąż pamiętane jest dobrze przegrane przez euroentuzjastów referendum nad eurokonstytucją.

W łonie przyszłej wspólnoty istnieją też silne podziały co do zakresu kompetencji Unii. Wielka Brytania zastrzegła sobie wyższość ustawodawstwa krajowego nad Kartą Praw Podstawowych. Szwecja i Austria nie zgadzają się na tworzenie europejskich sił zbrojnych. Przyspieszenie przyjęcia eurotraktatu z pewnością wątpliwości tych nie rozwieje.

Przedwczesna radość z eurotraktatu Le Figaro, 14 kwietnia 2008r.

Co przesądniejsi obserwatorzy wydarzeń podkreślają, że 13 państw musi jeszcze ratyfikować traktat przyjęty 13 kwietnia. Przewodniczący Komisji Europejskiej, socjalista Marc Vandenoot, jest jednak optymistą: – Jestem przekonany, że Traktat zostanie ratyfikowany przez pozostałe państwa w ciągu najbliższego roku i w 2010 obudzimy się w nowej, silnie zjednoczonej Unii Europejskiej.

Optymizmu Vandenoorta nie podzielają jednak eksperci. Zdaniem profesora Jacquesa Brossarda z Uniwersytetu w Orleanie, możliwy jest scenariusz, w którym część państw o niepewnym wyniku głosowania czekać będzie na pierwszą ratyfikacyjną wpadkę któregoś z sąsiadów, naciskając jednocześnie zakulisowo na Brukselę. Głosowania o niepewnym wyniku odbyłyby się tuż przed wejściem traktatu w życie. Możliwe, że jedno lub więcej zostałoby przebrane. Sparaliżowałoby to wejście w życie eurotraktatu i być może doprowadziło do powstania „Europy dwóch prędkości”, czym od dawna straszą brukselscy eurokraci.

Zdaniem Brossarda, bardziej niebezpieczny jest scenariusz, kiedy któreś z państw odrzuci ratyfikację dużo wcześniej. Dałoby to czas euroentuzjastom na wywieranie potężnego nacisku na rząd owej czarnej owcy, a jednocześnie podsyciłoby nastroje eurosceptyczne. Tworzy to pole ostrego konfliktu, którego skutki dla Unii są dziś trudne do przewidzenia.

Droga lokalna między Serockiem a Zegrzem, 25 kwietnia 2008r., godz. 9:25

Granatowy Volkswagen Multivan pędził opustoszałą, boczną, asfaltową drogą. Nawierzchnia była mokra po nocnych opadach, a silny boczny wiatr hulał nad szosą, susząc nieosłonięte drzewami fragmenty i popychając z rzadka przejeżdżające samochody. Ostre słońce przebijało między chmurami, świecąc w oczy kierowcy vana, mimo iż ten opuścił osłonę.

Koncentrację na jeździe utrudniało kierowcy jeszcze co najmniej kilka okoliczności. Jedną z nich był fakt, że van był mocno wypełniony. Jechało nim dziewięć osób. Drugą zaś, że choć alkomat wykazałby trzeźwość kierowcy, był on potwornie skacowany. Po trzecie – towarzystwo, po krótkiej, przedwyjazdowej mobilizacji, ponownie było rozbawione. W obieg poszła nawet butelka. Siedzący za kółkiem człowiek nie znał jej zawartości – z trudem wymigał się od wiania w siebie jej treści. Co prawda, w razie policyjnej kontroli, jako poseł

mógł uniknąć badania alkomatem, ale miałyby to fatalne skutki dla niego, jego kolegów, partii, i arcyważnego głosowania, na które właśnie spieszyli.

Sześciu mężczyzn – pasażerów vana – było posłami rządzącej Partii Konserwatywno–Liberalnej. Próżno było jednak doszukiwać się ich na szczytach władzy. Dla wszystkich była to pierwsza kadencja. Wybrani z dalszych miejsc list, nie byli żadnymi „lokomotywami”, jak nazywano polityków wciągających innych kandydatów do parlamentu, wskutek meandrów ordynacji proporcjonalnej. Pasażerów vana raczej należałoby nazwać wagonami, które wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności zatrzymały się na stacji Wiejska. Żaden z nich nie był zausznikiem prezesa partii. Byli raczej zbieraniną lokalnych działaczy, posłusznymi maszynkami do głosowania, zabierającymi głos z mównicy kilka razy w ciągu kadencji, niekiedy dla zachowania pozorów zajmującymi ławy sejmowe w czasie najbardziej nudnych debat.

Wszyscy mieli świadomość, że w Rzeczpospolitej sprawowanie władzy zużywa, i że może to być ich pierwsza i ostatnia kadencja. Dlatego starali się godnie sprawować urząd posła i reprezentować interesy Najjaśniejszej. W ich przypadku oznaczało to, że podczas ich pobytu w Warszawie na posiedzeniu parlamentu żadna butelka w zasięgu ręki nie mogła pozostać pełna, a każda kobieta w zasięgu wzroku stanowiła przedmiot pożądania, jeśli tylko była odrobinę bardziej atrakcyjna od pozostawionej w domu połowicy. Teraz było nie inaczej: butelka już krążyła w samochodzie. Pozostałą trójkę pasażerów stanowiły kobiety w wieku od podejrzenie młodego do ocierającego się o balzakowski. Nie trzeba było zbyt wprawnego oka, by zauważyć, że obyczaje tych dam nie należą bynajmniej do zbyt poważnych i ciężkich. Od ich koleżanek po fachu, zwanych eufemistycznie „leśnymi przydrożnymi ssakami”, odróżniało je niewiele – trochę lepsze ciuchy i fryzura, po której widać było, że przed szaloną nocą była może zadbana.

Jeden z pasażerów oddał butelkę pozostałym, pociągnawszy przedtem łyk z gwinta. Nachylił się ku kierowcy.

– Zdążymy, Edziu? – zapytał.

– Zdążymy, czemu mamy nie zdążyć?! – burknął tamten. – Przymknijcie się trochę! Łeb mi pęka!

Wywołał efekt odwrotny od zamierzonego. Żaden to zmyślny dowcip, ale pasażerowie vana zaśmiewali się do upadłego. Kierowca skrzywił się, gdy śmiech wałnął go w obolały łeb niczym młot, i zmrugał oczy, bo słońce, odbite od dachu szklarni, oślepiło go niespodziewanie.

Nie zobaczył nastolatka, który z nienacka wypadł z leśnej drogi na szosę. Dzieciak jechał prawidłowo i odpowiednio wcześniej wyjechał przed vanem, zachowując niezbędną na szosie ostrożność. Percepcja kierowcy była jednak

ograniczona, uwaga rozproszona, a kiedy oślepiło go szklarniowe słońce, droga była jeszcze pusta. Gdy jego wzrok padł znowu na drogę, nastoletni rowerzysta był o może dwadzieścia metrów przed Volkswagenem. Rozpędzony van jechał blisko prawej krawędzi jezdni.

Kierowca szarpnął kierownicą w lewo, odrobinę zbyt gwałtownie. Van skręcił ostro, przechylił się w prawo, koła zapiszczały. Minał nastolatka, lecz na moment stracił przyczepność na mokrej nawierzchni. Kierowcy wydawało się, że pojazd leci ku lewej krawędzi jezdni i odbił ostro w prawo, tym razem rzeczywiście wpadając w poślizg.

Kilkanaście metrów dalej linia drzew osłaniająca drogę od słońca i wiatru kończyła się gwałtownie. Postawiony bokiem van ślizgał się bokiem i zjeżdżał ku prawemu poboczu, gdy mokra nawierzchnia niespodziewanie przeszła w suchą. Samochód momentalnie przewrócił się na lewy bok i na oczach przestraszonego nastolatka, z hukiem i, sypiąc snopami iskier z trącej o asfalt karoserii, stoczył się do rowu.

Pasażerowie nie ucierpieli poważnie, gdyż upadek nie był gwałtowny. Jeden z mężczyzn dostał w głowę butelką, która wypadła z rąk uczestnikom autobiesiadny w momencie upadku wozu. Poza tym skończyło się na dwóch zwiecznięciach, licznych potłuczeniach i otarciach. Początkowo przestraszony nastolatek szybko się otrząsnął. Niczym wzorowy obywatel zatrzymał się, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił po pogotowie.

Dwadzieścia pięć minut później pogotowie i policja były już na miejscu. Policjanci nie mogli zatrzymać posłów bez powodu. Nie mogli też ich puścić bez wylegitymowania i spisania protokołu, gdyż dwie osoby odniosły obrażenia, których skutki trwały dłużej niż siedem dni. Potem policyjna furgonetka, zwana pieszczołliwie *suką*, odwiozła sześciu niefortunnych posłów na Wiejską. Innym razem ich przyjazd takim środkiem lokomocji wzbudziłby pewnie entuzjazm i stał się powodem do anegdot. W tym wypadku ich spóźnienie miało niezwykle poważne skutki dla Polski. Dużo poważniejsze, niż sam wypadek.

Warszawa, budynek Sejmu RP przy Wiejskiej godz. 10:30

Premier Dariusz Targalski torował sobie drogę sejmowymi korytarzami przy wydatnym wsparciu oficerów Biura Ochrony Rządu, zwanych popularnie „borowikami”. Wsparcie roślących „borowików” było niezbędne, bowiem premiera otaczał szczelny szpaler dziennikarzy. Ich emocje budziło głosowanie nad raty-

fikacją kolejnego traktatu reformującego Unię Europejską – zwanego skrótowo *eurotraktatem*.

Tak szybkie głosowanie nad ratyfikacją eurotraktatu wymusiła szczątkowa grupa lewicowych posłów. Popierała je też partia premiera, posiłkując się wynikami sondaży opinii publicznej. Niestety, silna i mocno skonfliktowana z premierem i PKL-em opozycyjna Partia Chrześcijańsko-Ludowa, z zasady głosowała przeciw. Ponieważ nie wiadomo było, jak zachowa się część posłów koalicyjnego Stronnictwa Chłopskiego, wynik głosowania był mocno niepewny.

Lewicy i skreślającemu coraz bardziej w lewo PKL-owi przyświecał jasny cel: ratyfikować eurotraktat, nim któreś z pozostałych państw go odrzuci. Nawet jeśli taka czarna owca znalazłaby się poza federacyjną Unią, to Polska już by w niej była. W przypadku wcześniejszej porażki traktatu w innym państwie szanse na jego ratyfikowanie w Polsce zdecydowanie malały. A to nie byłoby w smak lewicowym i PKL-owym euroentuzjastom.

Przed budynkiem Sejmu grupa euroentuzjastów – głównie partyjnych młodzieżówek – wymachując unijnymi flagami, przygotowywała się już do odgrywania *Ody do radości*. Po drugiej stronie eurosceptycy wymachiwali flagami białoczerwonymi i śpiewali *Mazurek Dąbrowskiego*. Jedna z tych grup jeszcze tego przedpołudnia miała otrzymać powody do szalonej radości, druga – odejść z kwitkiem, odgrażając się, że to jeszcze nie koniec. Pięć lat wcześniej, podczas referendum o wstąpieniu do Unii Europejskiej cieszyli się euroentuzjasci. Powtórka nie była wcale pewna.

- Przepraszam państwa! Zwołamy konferencję prasową zaraz po posiedzeniu Sejmu! – Targalski, zazwyczaj uprzejmy wobec przedstawicieli mediów, tym razem był mocno zdenerwowany. „Borowikom” udało się wywalczyć w końcu przejście do jednego z pokoi sejmowych i zatrzasnąć dziennikarzom drzwi przed nosem.

Pechem premiera i koalicji rządzącej było to, że obrady prowadził wicemarszałek z opozycji. Obecna przerwa miała być ostatnia. A czas uciekał.

- Gdzie się podziewają ci durnie? – zapytał Targalski, gdy pewien był już, że nikt z mediów go nie usłyszy. – Powinni tu być co najmniej pół godziny temu. „Karbowy” klubu parlamentarnego PKL zakończył właśnie rozmowę przez komórkę.
- Mieli wypadek na wysokości Jadwisina – powiedział. – Zatrzymała ich policja. Wiozą ich teraz tu *suką* na sygnale.
- Daleko są?
- Na obrzeżach miasta.

- Przy tych korkach na pewno nie zdążą! – wyrwało się Targalskiemu. Z trudem stłumił przekleństwo pod adresem prezydenta miasta, który zafundował stolicy paraliż komunikacyjny.
- Rzeczywiście. Zabrzmiał dzwonek wzywający posłów na salę plenarną.

Bruksela, biura Komisji Europejskiej godz. 10:45

Niecałe 1200 kilometrów od Warszawy, w biurowcu Komisji Europejskiej, przewodniczący komisji, Marc Vandenoot, obserwował wydarzenia w Polsce w gronie najbliższych współpracowników. Sprawiał wrażenie eleganckiego, statecznego mężczyzny, typowego brukselskiego polityka. W wieku 55 lat pozostał szczupły, mimo wysokiego wzrostu nie garbił się. Przenikliwe, niebieskie oczy dominowały nad pociągłą twarzą. Inteligencję i doświadczenie podkreślały szpakowate włosy, przeredzone lekką łysiną czołową. Swoje stanowisko sprawował od niedawna. Stanowił nadzieję tych wszystkich polityków europejskich, którzy liczyli na korzyści dzięki przyspieszonej integracji i przenoszeniu większej puli kompetencji do Brukseli.

Vandenoot – z pochodzenia Holender, z przekonania kosmopolita i socjalista – objął urząd w następstwie afery korupcyjnej związanej ze sprzedażą europejskiej broni do Chin. Miłująca pokój i prawa człowieka Unia Europejska w zasadzie nie widziała nic złego w kontaktach z Chinami, a embargo nałożone na Państwo Środka tylko przeszkadzało w rozwijaniu obu stronom wzajemnych, korzystnych relacji. Niektórzy próbowali to obchodzić, kiedy jednak wyszło na jaw, że poprzedni skład Komisji Europejskiej wiedział o nie do końca legalnych transakcjach zachodnioeuropejskich koncernów zbrojeniowych z Chińczykami, opinia publiczna wymusiła jej ustąpienie. Cóż, obywatele zjednoczonej Europy nie zawsze wiedzieli, co jest dla nich naprawdę dobre i nierzadko doceniali wysiłki polityków.

Vandenoot – socjalista od zawsze, później z konieczności socjaldemokrata – miał za sobą zadymiarские epizody z lat młodości, podobnie jak były niemiecki minister, Joschka Fischer. Zawsze uważał, że Europa, ze swoją tradycją od antycznej, poprzez Oświecenie i Rewolucję Francuską, jest w stanie zbudować ustrój bez kapitalistycznego wyzysku, religijnych przesądów, narodowych granic, przesadnej, chrześcijańskiej moralności i wpływów zza oceanu, za to z wolnością, równością, braterstwem i tolerancją. Silna integracja – zwłaszcza w dziedzinie polityki zagranicznej i obronnej – z pewnością osłabiłaby wpływy USA w Europie i zmniejszyła niezależność poszczególnych państw członkow-

skich, zostawiając więcej władzy luminarzom w Brukseli. Jednoczenie Europy było dla niego kolejnym etapem tego przedsięwzięcia. Ratyfikacja eurotraktatu w Polsce stanowiła niezwykle trudny element całej tej układanki. Rzeczpospolita – bastion katolickiego klerikalizmu i ciemnogrodu, „osiół trojański” Ameryki – była wyzwaniem. Jednak gdyby ratyfikowała eurotraktat wraz z przyległościami, problemem zostaliby tylko Anglicy. O ile przeforsowaliby referendum, na co się nie zanosilo.

Premier Targalski stanowił nadzieję Vandenoorta. Był zdeklarowanym euroentuzjastą, zwolennikiem zbliżenia z Berlinem, Paryżem i Brukselą, za to sceptyczny wobec Waszyngtonu. Położenie, potencjał intelektualny i gospodarczy Polski były łakomym kąskiem dla Unii, choć samym Polakom łatwo było wmówić, że jest inaczej, że to oni są ciężarem dla Unii. Silna integracja Polski w strukturach europejskich z pewnością osłabiłaby jej więzi z Ameryką i NATO. Może udałoby się namówić Polaków na zakup europejskiego uzbrojenia zamiast brania amerykańskich nadwyżek? Może nawet udałoby się załatwić wystawienie polskiego kontyngentu do europejskich sił zbrojnych, jakie Vandenoort miał zamiar utworzyć niebawem, jeszcze za swojej kadencji?

Przewodniczący otrząsnął się z rozmyślań, gdy *BBC News* doniosło o kolejnym odłożeniu głosowania nad ratyfikacją eurotraktatu w Polsce. Zaraz też zadzwonił telefon. Odebrał go jeden z asystentów Vandenoorta, Jean Acostelle. Sam komisarz nie chciał rozmawiać z Polakami, by nie zorientowali się, jak ważne jest dla niego głosowanie.

– Tak... rozumiem... przekażę panu przewodniczącemu, gdy tylko zakończy spotkanie – Acostelle przerwał połączenie. Zwrócił się do Vandenoorta: – Nie dotarło sześciu posłów partii premiera. Wynik głosowania wciąż jest niepewny.

Podobno jadą do parlamentu, ale mogą nie zdążyć. Zaraz głosowanie.

Informacja poważnie zaniepokoiła Vandenoorta. Gdyby teraz w jednym z krajów eurotraktat przepadł, nastąpiłby efekt domina. Już nikt nie liczyłby się z etykietami z Brukseli o byciu „czarną owcą”, niedookreślonymi groźbami o „poważnych następstwach”. Taka groźba mogła zastraszyć tylko wtedy, dopóki nikt się nie wychylił. Tylko najbardziej zdeterminowani podjęliby ratyfikację traktatu, ale pozostali nawet nie spróbowaliby. Odrzucenie traktatu w jednym z państw byłoby wygodną wymówką dla pozostałych, by nic nie robić.

Przewodniczący zastanawiał się oczywiście nad taką możliwością, ale do tej pory wydawała się ona czysto teoretyczna. Dopóki los ratyfikacji traktatu spoczywał w rękach polityków, pozostawał niezagrożony. Klasie politycznej traktat przynosił niewątpliwe zyski. Mało kogo obchodziły drobiazgowy regulacje

Brukseli, z drugiej strony pieniądze brukselskie nie były kontrolowane przez parlament, dlatego można je było kierować zgodnie z intencjami biurokratycznego superpaństwa i w jego – oraz jego lokalnych popleczników – interesie. Unijne pieniądze skutecznie zneutralizowały eurosceptycznych polskich rolników, mimo że dopłaty, jakie początkowo otrzymywali, były znacznie niższe od tego, co otrzymywali ich koledzy w państwach „starej” Unii. Lokalnym politykom łatwiej też przychodziło uzasadnianie niepopularnych decyzji, takich jak podwyżki podatków. Tłumaczyli to wymogami Unii. Rzadko komu starczało kompetencji i możliwości, by faktycznie sprawdzić, czy Unia wymaga, na przykład, podniesienia stawki VAT-u. Jeszcze rzadziej starczało odwagi, by publicznie sprzeciwić się potężnemu lobby prounijnemu. Dlatego o głosowanie w parlamentach Vandenoort się nie obawiał. Groźne byłoby dopiero referendum.

Teraz jednak, gdy w Polsce ratyfikacja wisiała na włosku, Vandenoort pierwszy raz zastanowił się nad planem awaryjnym. Doszedł do wniosku, że Unii nie stać na kolejną, dwu- lub trzyletnią fazę negocjacji, w trakcie której wypłynęłoby do opinii publicznej więcej informacji o zawartości traktatu, a zwolennicy referendum dostaliby więcej czasu, by wywierać presję na władze krajowe. Gdyby traktat padł, Komisja Europejska musiałaby pokazać, że pogrożki pod adresem niezdyscyplinowanych nie były na wyrost. Należałoby wywrzeć presję na niepokorny rząd i społeczeństwo, by innym odechciało się podobnych wyskoków.

Komisarz miał jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Traktat przypieczeruje jedność europejską i ugruntuje władzę Brukseli. Nawet jeśli jakaś nacja dojdzie po pewnym czasie do wniosku, że przyjęcie traktatu było błędem, odwrotu nie będzie. Nikt nie zrobi kroku wstecz przed upływem kilku, a może kilkunastu lat. Potem zmiany, jakie dotkną Europę i uzależnienie poszczególnych państw od wspólnych mechanizmów będzie tak wielkie, że wycofać się nie będzie można. Rubel za wejście, dwa za wyjście, jak mawiają Rosjanie.

Jeden z doradców Vandenoorta oderwał się na moment od słuchawki.

– Zaczynają głosowanie! – zawołał.

Gabinet komisarza ogarnęła cisza. Napięcie rosło. Minęło może ze dwadzieścia sekund.

– Skończyli? – warknął Vandenoort.

– Jeszcze nie – odparł tamten. – Chwileczkę... ale wrzawa – dodał po chwili. – Nie słyszę Kowalczuka.

– Wynik, niech powie do cholery, jaki jest wynik!

– Za moment i tak poda to telewizja – zauważyła jedna z kobiet.

- Gównu mnie obchodzi telewizja! – huknął zirytowany Vandenoort – Chcę wiadomości z pierwszej ręki!

Na moment w biurze zapadła cisza. Doradca słuchał, jak ktoś po drugiej stronie linii telefonicznej tokuje. Gdy tamten umilkł, człowiek ze słuchawką w rękę był błądy.

- Panie komisarzu – wydukał w końcu. – Mam złe wieści. Głosowanie przegrane.

Vandenoort osłupiał. Jego czarny scenariusz właśnie nabrał realnych kształtów.

Machnął niecierpliwie ręką do swoich ludzi na znak, że mogą wracać do własnych zajęć. Kiedy wyszli, przez zaciśnięte zęby wydukał tylko:

- Cholerna Polska! Cholerni Polacy!

Warszawa, budynek Sejmu RP przy Wiejskiej godz. 10:55

Targalski z niedowierzaniem wpatrywał się w twarz profesora Stefańskiego, byłego sędziego Trybunału Konstytucyjnego, znanego obrońcy praw człowieka. Niewysoki, szpakowaty prawnik, okularnik z kozią bródką, był zarazem adwokatem i znanym obrońcą praw człowieka.

- Jak to „niemożliwe”? – spytał w końcu premier tak, jakby słowa profesora do niego nie dotarły. – Nie możemy ogłosić referendum?
- Nie możemy – odrzekł profesor, na którego stoicki spokój ani trochę nie wpłynęły wypadki tego dnia. – Ustawa o umowach międzynarodowych mówi wyraźnie, że parlament wyraża zgodę na ratyfikację umowy w przypadku, gdy referendum było nieważne. Ustawa nie pozwala na odwrotną kolejność. Nawet jeśli zmienimy ustawę, nie będzie ona działać wstecz.

Targalski zaklął cicho. Do ratyfikowania eurotraktatu zabrakło trzech głosów. Unijni eurokraci zachęcali poszczególne stolice, by traktat został zatwierdzony przez parlamenty, pomijając głos obywateli. Wyglądało na to, że pójście za ich głosem zapędziło go w pułapkę.

W rozgrywce o eurotraktat Targalski został z Czarnym Piotrusiem w rękę.

Rozdział I

Artykuł 2: Wartości Unii

Unia jest zbudowana na wartościach poszanowania ludzkiej godności, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego i poszanowania praw człowieka. Wartości te są wspólne Państwom Członkowskim w społeczeństwie opartym na pluralizmie, tolerancji, sprawiedliwości, solidarności i niedyskryminacji

(Projekt Traktatu ustanawiającego Unię Europejską autorstwa Konwentu Europejskiego pod przewodnictwem Valery'ego Giscard d'Estaing)

**Polska blokuje integrację
La Repubblica, 28 kwietnia 2008r.**

Niegroźny wypadek drogowy pod Warszawą zablokował dalszą integrację Unii Europejskiej. Wskutek przegranego przez koalicję rządzącą w Polsce parlamentarnego głosowania nad ratyfikacją eurotraktatu, kolejne państwa zastanawiają się nad sensem jego przyjmowania. Wielka Brytania już zapowiedziała, że wstrzyma się z ratyfikacją do czasu przyjęcia go przez inne państwa. Pod naciskiem eurosceptyków również Czechy zawiesiły proces ratyfikacyjny. W całej Unii Europejskiej widać mobilizację eurosceptyków, którym ten niespodziewany sukces dodał skrzydeł do domagania się referendum.

*W razie nieprzyjęcia eurotraktatu Unii grozić będzie paraliż decyzyjny i za-
blokowanie postępu w integracji na długie lata. Komisja Europejska już we-
zwwała Polskę do ponownego głosowania parlamentarnego.*

Polska mówi „nie” eurotraktatowi Die Welt, 28 kwietnia 2008r.

*Polski parlament suwerennie zdecydował o nieratyfikowaniu eurotraktatu.
Brukselscy biurokraci powinni zastanowić się, czy projekt traktatu nie sięga
zbyt daleko w ograniczaniu praw poszczególnych państw członkowskich.
Polacy mają prawo mieć wątpliwości, czy traktat jest dla nich korzystny.
Mają też prawo go nie przyjąć. Nie wszyscy brukselscy luminarze szanują
demokratyczny werdykt, wzywając Polski parlament do powtórnego gło-
sowania.*

Przedwczesna decyzja Rzeczpospolita, 28 kwietnia 2008r.

*Wymuszone przez lewicowych posłów przyspieszone głosowanie nad eu-
rotraktatem, federacyjnej Europy, zakończyło się porażką. Pech spowodo-
wał, iż zamiast rządowego sukcesu w postaci ratyfikowania traktatu w
pierwszym szeregu, znaleźliśmy się w impasie. Niespodziewany sukces już
ucieszył eurosceptyków, którzy planują serię protestów przeciw eurotrakta-
towi.*

*Powtórne głosowanie w Polsce, do którego wzywa Komisja Europejska,
jest mało prawdopodobne. W takiej sytuacji opozycja zaskarżyłaby ustawę
ratyfikacyjną do Trybunału Konstytucyjnego. Premier ma ponadto poważny
problem, co zrobić z niezdiscyplinowanymi posłami, których po wypadku
drogowym sfilmowała ekipa niemieckiej telewizji ZDF. Uzasadnianie po-
wtórnego głosowania nieobecnością posłów wracających z orgii z prosty-
tutkami byłoby wyjątkowo niefortunne.*

Zachodni Bałtyk, 40 km na północ od Kołobrzegu 1 maja 2008r. godz. 12:00

Granatowe niebo schylało się ku lądowi, morzu i chmurom, by stopić się z
nimi jasnym błękitem. Osłepiające słońce było z granatowego zenitu. W dole

powierzchnia morza – zielonkawa, porażająca oczy odbitym blaskiem słonecznym, wydawała się pilotom patrolu bojowego myśliwców *MiG-29* nieruchoma. Porucznik Michał Marciniak, pierwszy raz prowadzący parę *MiGów* na ćwiczeniach, skłął w myślach warunki pogodowe, które być może zachwycą turystów, ale jemu utrudniały tylko zadanie.

Marciniak, obdarzony przez kolegów przydomkiem „Gizmo”, oraz jego boczny, porucznik Marek „Olcha” Olszewski, stanowili sekcję uderzeniową osłony ćwiczebnego desantu morskiego. Kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od nich krążyła odwodowa para *MiGów-29*. Dowódca eskadry Marciniak, podpułkownik Głowacki, wyznaczył młodych pilotów do pierwszego ataku na przeciwnika. On, wraz z kapitanem Boguszem, skanowali przestrzeń powietrzną impulsami radarów pokładowych. Przeciwnikiem w tym ćwiczeniu miały być niemal ćwierć wiekowe, uderzeniowe, nieposiadające własnego radaru *Su-22*, zwane pieszczotliwie „sukami”. Zadaniem *Suk* było przedrzeć się do okrętów – podstępem czy siłą. Ponieważ miało być ich więcej niż myśliwców patrolu – sześć do ośmiu sztuk – Głowacki postanowił zaatakować z zaskoczenia przynajmniej jedno zgrupowanie parą uderzeniową z dala od osłanianych jednostek nawodnych. Radary patrolującej wysoko pary odwodowej wykryją nadlatujące na małej wysokości bombowce znacznie wcześniej niż radary okrętów. Marciniak i Olszewski wyłączyli pokładowe stacje radiolokacyjne swoich *MiGów*, by przeciwnik nie wykrył ich emisji. Piloci nieposiadających radaru *Su-22* mogli ich wykryć co najwyżej własnym wzrokiem.

Obaj piloci mrużyli oczy, usiłując wypatrzeć cokolwiek przez rozpościerającą się przed nimi jasność. Przecinające tu i ówdzie niebo stratocumulusy w oddali optycznie tworzyły szczelną powłokę, uniemożliwiając dostrzeżenie czegokolwiek poniżej, zarówno dla pilotów, jak i pasywnych detektorów podczerwieni *MiGów*, notorycznie ulegających awariom. Mimo to powinni łatwo wygrać walkę. Korzystając ze wskazań kolegów, teoretycznie mieli przewagę informacyjną nad pilotami *Suk*. Ponadto piloci *Su-22* wykryją radary pary odwodowej, co powinno odwrócić ich uwagę od obserwacji wzrokowej. W przeciwieństwie do nazywanego przez pilotów *Bolidem MiGa-29*, *Su-22* nadawał się do walki powietrznej mniej więcej tak, jak słoń do Wielkiej Pardubickiej. Marciniak wiedział o tym doskonale, ponieważ, mimo dość krótkiego stażu, pilotował oba typy maszyn.

Handicapem dla *Suk* były warunki starcia – miało to być starcie manewrowe, bliskiej odległości, potocznie zwane *dogfightem*, obie strony dysponowały zaś wyłącznie ćwiczebnymi imitatorami krótkiego zasięgu pocisków powietrze–powietrze *UZR-60*¹. Żadnych cudów w stylu strzelania z daleka spoza widoczności wzrokowej czy wskazywania celu celownikiem nahałmowym – o nie! Stara dobra walka

1 *UZR-60* imituje pracę pocisku p–p *R-60* (oznaczenie NATO: *AA-8 Aphid*).

manewrowa na bliski dystans, z raketami o wąskim polu „widzenia” głowicy samonaprowadzającej i niewielkim zasięgu, gdzie trzeba przeciwnikowi wleźć na ogon.

Mimo to porucznik miał ochotę wyzalić się swojemu bocznemu przez radio, że warunki są kompletnie do dupy, ale ćwiczenia obserwowały Bardzo Ważne Osoby. VIP-ami byli zazwyczaj politycy z pierwszych stron gazet, na stanowisku ministra w rządzie lub Kancelarii Prezydenta. Wszystko musiało więc grać i buczeć, a na żarty i odzywki, zwykle nieodzwonne w takich sytuacjach zwyczajnie nie było miejsca. Na poczucie humoru polityków i towarzyszących im wyższych szarż trudno było liczyć.

Powodów rozgoryczenia Marciniaka znalazłoby się więcej. Też wymyślili termin na te manewry – w długi, majowy weekend, tak jakby w kalendarzu nie było innych dni. Został pilotem wojskowym, by latać, ale teraz najchętniej spędziłby cztery długie dni ze swoją dziewczyną, Agnieszką. Widywał ją wystarczająco rzadko z racji swojej służby i jej pracy, by wciąż jeszcze wściekać się na myśl, że wraz ze spędzonym na ćwiczeniach długim weekendem ucieka mu rzadka okazja, by dłużej pobyli razem...

Lepiej byłoby zejść niżej w poszukiwaniu celów, miał jednak świadomość, że na mniejszej wysokości zużyłby szybciej paliwo i zmniejszył w ten sposób czas patrolowania i skrócił zapas na walkę manewrową. *MiG-29* nigdy nie był przeznaczony do długotrwałych patroli. Musieli wisieć nad tymi cholernymi chmurami i czekać...

- Głuszec, tu Ogar jeden, dwaj bandyci od południa, nisko – odezwał się na częstotliwości eskadry Głowacki. – Wejdz na kurs dwa siedem zero.
- Zrozumiałem, Ogar, dwa siedem zero, dwa kontakty. Wykonuję – odpowiedział Marciniak. – Uwaga, Dwójka, zwrot w prawo... już.

Położył *MiGa* w głęboki zakręt. Lecący dwieście metrów za nim Olszewski trzymał się jak cień. Wyrównał, gdy dziób samolotu wskazał zachód i zaczął lustrować wzrokiem przestrzeń z lewej, u dołu. Zaczął manewrować przepustnicą, na przemian na niewielki zakres dopalania i ciąg minimalny. Leciąło się trudniej, ale silniki *MiGa* nie wydzielały wtedy potwornych ilości dymu, ułatwiających wzrokowe wykrycie. Nie na darmo „29” znane były też jako *Zadymiacze*.

Głowacki nie miał możliwości precyzyjnego naprowadzenia go na cel. Był w końcu w kabinie jednomiejscowego myśliwca, a nie *AWACS-a*. Dlatego musieli z Olchą polegać głównie na własnych oczach. Gdyby nie te cholerne chmury i odbłask od morza...

- Głuszec dwa, chodzimy poniżej chmur. Uważaj na lewo przód! – polecił przez radio Marciniak. Pochylił *MiGa* w łagodnym nurkowaniu. – Ogar, co z kontaktami?
- Głuszec, oba idą szybko stałym kursem... – Głowacki przerwał na moment. – Idzicie dobrze, przejdą wam przed nosem. Cholera, zakłócają. Tracimy kontakt.

Poniżej chmur widzieli więcej, lecz nadal blask morza utrudniał obserwację. Chmury rzucały jednak trochę cienia i w jednej z takich szarych enklaw zauważył dwie przemykające tuż nad wodą sylwetki.

- Dwójka, dwóch bandytów na jedenastej, idą kosą na północ! – rzucił w radio.
- Jedyńka, widzę – potwierdził Olszewski.

Dwie charakterystyczne sylwetki jednosilnikowych, wąskoskrzydłych, z charakterystycznym garbem za kabiną pilota *Su-22* przesuwały się szybko w prawo. Szły w ciasnym szyku, boczny nieco z tyłu z prawej za prowadzącym, z końcówkami skrzydeł ustawionymi na pośredni skos². Na tle morza, w szarym cieniu cumulusa, ich ciemnozielony kamuflaż wydawał się ciemnoszary. Szybko przecięły kurs *MiG-ów* i zaczęły się oddalać w prawo, przesuając się pozornie pod skrzydło. To był dobry moment na atak – myśliwce znalazły się w ich martwym polu obserwacji...

- Ok, Głuszec dwa, jedziemy na nich, każdy swego... już! – zdecydował Marciniak.
- Jedyńka, zrozumiałem, wykonuję!

Olszewski odbił w prawo i zanurkował w stronę *Suchojów*, biorąc na cel boczny. Marciniak odczekał sekundę, po czym sam wykonał identyczny manewr. Maszyna przewaliła się przez skrzydło i zatoczyła łuk ku ziemi w agresywnym manewrze. Przeciężenie wcisnęło pilota w fotel, a za końcówkami skrzydeł pojawiły się białe smugi kondensacyjne wywołane różnicą ciśnień pod i nad skrzydłem. Jego celem był dowódca pary. Oznaczało to, że on atakuje prowadzącego, Olszewski zaś skrzydłowego. Maszyna dowódcy bombowców rosła we wskaźniku przeziernym na przedniej szybie, a głowica ćwiczebna pocisku szkolnego *UZR-60* szukała celu.

Do tego momentu wszystko szło gładko. Zaledwie jednak głowica ćwiczebna uchwyciła cel, prowadzący *Su-22* odbił w prawo w górę, przecinając tor lotu boczny, ten zaś wykonał lustrzany manewr, przelatując niemal przez strugę spalin dowódcy, wprawiając w konfuzję głowice samonaprowadzającą *UZR-*

2 *Su-22* posiada skrzydła o zmiennym skosie, jednak ruchoma część jest proporcjonalnie znacznie krótsza niż w analogicznych konstrukcjach.

60. Wystrzelone z *Suk* flary magnezowe kompletnie uniemożliwiły ćwiczebny celny strzał. Jakimś cudem piloci *Su-22* dostrzegli atakujące *MiGi* i wykonali unik w ostatniej chwili, uniemożliwiając celny strzał i „nożycami”³ utrudniając pościg.

Marciniak zaklął pod nosem. Powtórzył manewr *Suki* z niewielkim opóźnieniem, by nie zderzyć się z Olszewskim. Szybkość i kąt nurkowania sprawiły, że oba *MiGi* „przestrzeliły” początek manewru *Su* i znalazły się na zewnątrz zakrętu. O dobrym strzale z tej pozycji nie było mowy.

Marciniak wycisnął z *MiGa* co się dało bez utraty prędkości. *Suka* uciekła mu za obramowanie kabiny i wyskoczyła gdzieś nad owiewką. Potężne przeciążenie wprasowało go w fotel, a ubiór przeciwp przeciążeniowy wypełnił się powietrzem, by zahamować odpływ krwi z górnych partii ciała. Pilot włączył się w tę walkę, napinając wszystkie mięśnie. Z głową opartą na zagłówku fotela wyrzucanego, usiłował nie stracić z oczu umykającego przeciwnika. Miał co najmniej 7 g.

– Dwójka, jak ci idzie?! – rzucił w radio zduszonym przez przeciążenie głosem.

– Trzymam się go. Ale zmiata!

Nos *MiGa* zaczął powoli doganiać sylwetkę bombowca, gdy ten leżał w głębokim, wznoszącym skośnym zakręcie na tle cumulusa. Zdradzieckie słońce oślepiło na moment Marciniaka. Bał się, że *Su* ucieknie w słońce, ale ten kontynuował zakręt aż do 270 stopni. Zrobił trzy ćwiartki koła, wyszedł na górkę i zaczynał zniżanie. Zbliżył się Marciniakowi do celownika...

– Głuszec, uważaj, jest ich trzech! – ostrzegł Głowacki.

– Gdzie jest trzeci?! – krzyknął Marciniak.

– Gizmo, uważaj, za tobą!!! – usłyszał okrzyk Olchy.

Szybko wyrzła z za zagłówka w lewo i w prawo i nie zobaczył nic. Rzut oka w lusterko na obramowaniu kabiny wyjaśnił wszystko: pysek *Su-22* z żółtymi trójkątami ostrzegawczymi przy wlocie powietrza uśmiechał się do niego szyderczo, idealnie zza ogona. Gdyby toczyli prawdziwą walkę, byłby już na tamtym świecie.

Marciniak z trudem powstrzymał się od przekleństwa. Zgodnie z ustalonymi regułami ćwiczeń w tak ewidentnym przypadku przegranej powinien się wycofać. Pomachał zwycięskiemu pilotowi *Suki* skrzydłami i odbił w stronę wybrzeża, zmniejszając ciąg.

3 „Nożyce” (ang. *scissors*) – manewr obronny pary samolotów polegający na jednoczesnym skręceniu do środka szyku i skrzyżowaniu torów lotu.

Dwa *Su* skierowały się przeciw Olszewskiemu, który trzymał się ogona trzeciego. Zdołał wejść za ogon przeciwnika i Marciniak usłyszał jego meldunek o uchwyceniu przeciwnika przez głowicę *UZR-60*. Jednak dwa pozostałe *Su* atakowały go energicznie i za chwilę jeden z nich znalazł się w sześćdziesięciostopniowym stożku za ogonem *MiGa*. Zaliczył ćwiczebne trafienie.

Walka była skończona. Marciniak poczekał, aż Olcha dołączy do niego. Leciwnie zbliżali się do niezbyt już odległego brzegu. Zalecenia dowódcy Sił Powietrznych były jasne: Siły Powietrzne miały prezentować się cywilom przy każdej nadarzającej się okazji. Zgodnie z nimi Michał poprosił kontrolera z Ośrodka Dowodzenia i Naprowadzania o możliwość powrotu „kosiakiem” wzdłuż plaży do lotniska Marynarki Wojennej Gdynia–Babie Doły, gdzie przebazowali na czas ćwiczeń z Mińska Mazowieckiego.

– Głuszec jeden, masz wolną przestrzeń aż do bazy. Możesz pokazać, co potrafisz! – rzucił kontroler, gdy schodzili zakrętem nad plażą.

Osiemdziesiąt pięć kilometrów na północny wschód od Michała, toczył swoją własną ćwiczebną wojnę jego starszy brat. Kapitan marynarz Kazimierz Marciniak, zastępca dowódcy ORP *Orzeł*, okrętu podwodnego radzieckiej jeszcze budowy, projektu *877E*, określanego w NATO jako *Kilo*, znajdował się na głębokości trzydziestu metrów pod powierzchnią morza. Zadaniem *Orla* było rozpoznanie podejścia do poligonu Wicko Morskie, położonego niedaleko Ustki. Niestety, zanosilo się na to, że ćwiczenie nie skończy się dla *Orla* sukcesem. Od pewnego czasu jednostkę tropiły zawzięcie dwa śmigłowce do zwalczania okrętów podwodnych, bazujące w Darłowie *Mi-14PL*.

Okręt szedł cicho na silnikach elektrycznych, usiłując ominąć boje hydroakustyczne zrzucone przez śmigłowce. Dowódca, komandor podporucznik Teodor Kuczwański, zwany przez załogę Kowbojem lub Teosiem, zarządził ciszę na okręcie. Mimo wszystko „Lis” – bo tak z kolei Marciniaka nazywała załoga z racji jego fizjonomii – miał wrażenie, że śmigłowce coraz bardziej ich osaczają.

Bałtyk jest co prawda morzem niewdzięcznym dla hydroakustyków – warstwy wody o zmiennym zasoleniu czynią rozchodzenie dźwięku nieprzewidywalnym, hałas powodowany przez płycizny i nieodległe dno tworzy tło dźwiękowe, z którego trudno cokolwiek wyizolować. *Orzeł* był jednak na tyle płytko zanurzony, iż groziło mu, iż zostanie dostrzeżony gołym okiem jako ciemny cień na tle dna. Do tego Kuczwański i Marciniak byli przekonani, że tropi ich załoga Napierały.

Załoga *Mi-14PŁ* komandora podporucznika Dariusza Napierała była postrachem flotyli okrętów podwodnych. Napierała sam był znakomitym taktikiem, do tego miał na pokładzie jednego z najlepszych nawigatorów i operatorów systemu uzbrojenia – porucznika Rafała Bryłowskiego. Ich skuteczność była naprawdę imponująca i Kuczwański wraz z zastępcą przegrali już niejedną zakładkę o wynik ćwiczeń z *Mi-14PŁ*. Kuczwański twierdził wręcz – a nie był skory do pochwał – że gdyby Napierała dał lepszą awionikę – zwłaszcza sonar pasywny – to żaden okręt podwodny na Bałtyku nie byłby bezpieczny.

Teraz jednak to właśnie oni, nie kto inny, byli zagrożeni wykryciem. Sonarzysta meldował co chwilę o nowych bojach hydroakustycznych zrzuconych przez śmigłowce. Kuczwański i Marciniak zastanawiali się, czy nie lepiej zawrócić w stronę otwartego morza i nie zostawić tu lotników pilnujących linii dozoru. Pozwoliłoby to może oderwać się od nich, ale kosztowałoby też sporo energii z akumulatorów. Zmuszeni byłiby pójść na głębokości peryskopowej, wystawiwszy chrapy, by doładować dieslami baterie dla kolejnego podejścia do brzegu – a czas mieli ograniczony. Wtedy jednak śmigłowce mogłyby wykryć chrapy radarami pokładowymi i cała impreza skończyłaby się jeszcze gorzej.

Ciężki śmigłowiec–amfibia ZOP⁴, *Mi-14PŁ*, wisiał dziesięć metrów nad wodą. Basowy ryk potężnych, turbowalowych silników mieszał się z łopotem wielkiego, pięciopłatowego wirnika nośnego, dając w efekcie odgłos wydawany niczym przez gigantyczny traktor. Podmuch powietrza spod wirnika tłumił fale bezpośrednio pod maszyną i wznosił tumany wodnego pyłu, kotłujące się wokół śmigłowca i spychane przez wiatr. Zaledwie osiemset metrów na zachód od niego drugi *Mi-14PŁ* trzymał się w zawisie. Oba śmigłowce opuściły zanurzone sonary i poszukiwały odgłosów emitowanych przez okręt podwodny.

Komandor podporucznik Dariusz Napierała uśmiechał się spod gustownie przystrzyżonych ciemnych wąsów, z których był słynny w eskadrze, podobnie jak z niewyparzonego języka. Byli już blisko. Naprawdę blisko celu.

- Silny kontakt, namiar zero sześć zero, przemieszcza się na południe – zameldował obsługujący sonar w tylnej kabinie Bryłowski.
- Daleko? – spytał Napierała.
Bryłowski szybko policzył w myślach.
- Sto, może sto dwadzieścia metrów – odpowiedział.

4 ZOP – Zwalczanie Okrętów Podwodnych; ang. odpowiednik ASW – *Anti Submarine Warfare*

Napierała wydał przez radio polecenie drugiemu ze śmigłowców. Ten podleciał we wskazane przez Brylowskiego miejsce i zrzucił pławę dymna.

- W porządku. Podnieś sonar – rozkazał Napierała.
- Wykonuję.

Napierała wyłączył automat utrzymujący *Mi-14* w zawisie i zwiększył obroty. Skierował maszynę na wschód, w kierunku domniemanej pozycji okrętu podwodnego. Przeleciał może 150 metrów, by znowu zatrzymać maszynę w niskim zawisie, po nawietrznej stronie pławy dymnej.

- Dobra, Brylu, opuść sonar i walnij ich aktywnym – rozkazał porucznikowi.
- Robi się – odpowiedział tamten z zadowoleniem w głosie.

Obsługa centrali drgnęła na nieprzyjemny „ping”, gdy impuls sonaru aktywnego uderzył w *Orla*. Dźwięk był tak głośny, że Kuczwański zaczął obawiać się o wrażliwy słuch sonarzystów. Na szczęście sonary zanurzeniowe śmigłowców nie miały takiej mocy jak okrętowe sonary aktywne.

- Sonar, meldujcie! – zażądał Kuczwański.

Głos sonarzysty zdradzał nieprzyjemne przeżycie.

- Centrala, mamy zanurzony sonar na bakburcie i pławę hydroakustyczną na trawersie sterburty. Niemal na pewno nas wykryli.

Zapadła cisza. Przerwał ją kolejny meldunek z hydro.

- Centrala tu sonar. Kolejna pława hydroakustyczna, tym razem nad nami.
- No to kicha – oznajmił Kuczwański. Chwilę ważył decyzję, ale nie było wyjścia. To tak, jakby śmigłowiec zrzucił im bomby głębinowe prosto na łeb. – Niech to szlag – powiedział i uśmiechnął się do obsady centrali. – Wynurzenie. Szasować balasty.

Napierała Patrzył z lewego fotela pierwszego pilota *Mi-14* na wynurzającego się obok *Orla*.

- Dobra robota, panowie – skwitował efekt ćwiczenia.
- Jak zwykle! – odezwał się Brylowski.
- Założyłeś się znowu z Kuczwańskim? – drugi pilot, porucznik Tomasz Adamowicz pamiętał jeszcze poprzedni zakład, kiedy to cała załoga śmigłowca wygrała po butelce irlandzkiej whisky.
- Nie tym razem – odrzekł Napierała – To, że dajemy im raz po raz w tyłek, nie oznacza, że Kuczwański jest pierwszym lepszym frajerem. Wie-

dział, jak niewdzięczne ma zadanie. I tak by przegrał, więc zakładu by nie przyjął.

- Szkoda – wtrącił Brylowski. – Dobrze jest napić się na czyjś koszt.
- Dość tej paplaniny – rzekł Napierała – Komu w drogę temu widły w tyłek. Zasalujemy pokonanym i zmiatamy.

Na kiosku *Orla* pojawiła się obsada. Pomachali załodze śmigłowca przyjaźnie, tylko jedna z postaci uniosła do góry zaciśniętą pięść z wyprostowanym palcem środkowym. Napierała w odpowiedzi podniósł dłoń do hełmu, salutując, ale nadał pozdrowieniu kpiarski wygląd, przykładając kciuk do nosa.

Mi-14PŁ pochylił się do przodu i zaczął nabierać prędkości.

Osiemdziesiąt, a może sto metrów nad plażą, dwa *MiGi-29* pędziły w stronę bazy. Olszewski trzymał się 200–300 metrów za Marciniakiem. Starali się „jechać” jak najdokładniej po linii brzegowej i nie zmieniać wysokości. Na ciągu bojowym *MiGi* kopciły niemiłosiernie, więc już z daleka weekendowi plażowicze odwracali głowy. Marciniak zdał sobie sprawę, że ludzie machają do nich rękami, ale przy prędkości ponad 700 kilometrów na godzinę widział tylko niektóre postacie, zanim zniknęły pod kadłubem *MiGa*. Raz czy dwa pomachał skrzydłami jakiejś większej grupie.

Mieli polecieć wzdłuż wybrzeża na tej wysokości do Ustki, potem skrócić nad ląd nad Babie Doły. Przyjemności lotu nie mąciły niskie, porwane i rozciągnięte stratocumulusy – czasami maszyny niemal dotykały spodów chmur. Co prawda utrudniały nieco obserwację przestrzeni powietrznej, jednak kontroler dał im wolną rękę na całą trasę wzdłuż wybrzeża zapewniając, że nie ma w ich pobliżu żadnych innych statków powietrznych.

- Znowu to gówno – Napierała nie przebiegał w słowach – na całym wybrzeżu pogoda znośna, tylko nam na podejściu trafiają się chmury. Nie wpuść tej mgły za dużo do środka – rzucił do Brylowskiego, który miał zwyczaj otwierać burtowe drzwi. Sam Napierała wietrzył kabinę w tak ciepły dzień otwartą owiewką po własnej stronie kokpitu.

Mi-14 Napierały podchodził do lądowania w bazie lotniczej Marynarki Wojennej w Darłowie. Ze względu na południowo-zachodni wiatr, podejście wypadło znad Darłówka, nieco znad morza, przecinając plażę. Komandor niechętnie wprowadził maszynę w lepką mgłę. Widać było niewiele, ale chmura nie była duża, najdalej po dwudziestu kilku sekundach wyjdą z niej, a odległości i wysokości wystarczy, by ewentualnie skorygować podejście.

Myśliwce Marciniaka i Olszewskiego nadlatywały nad Darłówko z szybkością powyżej dwunastu kilometrów na minutę. Radar w bazie był nieczynny, a kontroler zbliżania nie otrzymał informacji o przelocie *MiGów*. Załogi śmigłowca i myśliwców, nie widząc się wzajemnie, znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. *MiGi* przecięły z hukiem niebo nad plażą, w bezpośrednim sąsiedztwie bazy. Oficer na wieży potrzebował zaledwie kilku sekund na zorientowanie się w sytuacji, lecz nim dopadł do radia i ostrzegł Napierałę, wydarzenia wymknęły się spod kontroli.

Napierała nie zdążył odebrać ostrzeżenia o nadlatujących *MiGach*. *Mi-14* wypadł z chmury wprost na przelatujące nad plażą myśliwce. Zanim komandor zdążył cokolwiek zrobić, krzyknąć czy ruszyć sterami, czołowy *MiG* wykonał gwałtowny unik i przemknął po lewej stronie. Załogę na moment ogłuszył potworny ryk odrzutowych silników myśliwca, który dołączył do kakofonii dźwięków w *Mi-14*. Podmuch przelatującego myśliwca i uderzenie jego gazów wylotowych targnęło dziesięcotonowym śmigłowcem niczym zabawką. Napierała wrzasnął, gdy gorący strumień gazów wylotowych chlasnął go przez otwartą owiewkę. Na szczęście miał opuszczoną przyłbicę od hełmu, inaczej dostałby strumieniem gazów po oczach. Na szczęście nie stracili panowania nad maszyną, choć odruchowo Napierała dodał gazu. Drugi *MiG* miał więcej czasu i przeszedł w bezpiecznej odległości za *Mi-14*.

- Kurwa mać! – wrzasnął przestraszony Bryłowski.
- Pieprzone *MiGi*! – krzyknął Napierała rozglądając się nerwowo. – Są jeszcze jakieś?
- Jeden ma kłopoty – zameldował Bryłowski, który dopadł otwartej furty burtowej. – Zaraz zaliczy glebę.

Marciniak ujrzał *Mi-14* dokładnie w tej samej chwili, gdy Napierała dostrzegł jego *MiGa*. Śmigłowiec wyskoczył z chmury nieco w lewo od jego kursu, dlatego odruchowo rzucił maszynę w prawy zakręt. Energiczny obrót wokół własnej osi połączony z ostrym zwrotem nie wyszedł mu na dobre. O włos minął *Mi-14*, jednak *MiG-29* wpadł w autorotacyjną beczkę w prawo, stracił prędkość i gwałtownie zadarł nos w stosunku do kierunku ruchu. Marciniak stracił na krótko orientację, skontrował drążkiem i orczykiem, by wyjść z niekontrolowanego manewru. Zabieg przyniósł pożądaný skutek, *MiG* szybko powrócił do prostoliniowego lotu, tyle że ukończył go na plecach, celując nosem w gęste zabudowania części Darłówka zachodniego, niedaleko portu i kościoła.

Marciniak zrobił sterowaną półbeczkę, przywracając maszynę do normalnej pozycji, maszyna traciła jednak gwałtownie wysokość. Po prawej stronie mięła kościelna wieża, a nos celował w wodę między falochronami...

– W górę!!! – krzyknęło radio głosem Olszewskiego.

Porucznik szarpnął drążek sterowy do siebie i pchnął do oporu przepustnicę. MiG zadarł nos, zwiększając kąt natarcia i siłę nośną skrzydeł. Jej połączony kopniak wraz z ciągiem z dopalacza zahamowały opadanie. Myśliwiec wpadł nad basen portowy z porażającym rykiem dopalacza, podnosząc pióropusz pyłu wodnego i płosząc letników z molo. Maszyna przeleciała nad basenem portowym, po czym niespiesznie, jakby leniwie rozpoczęła wznoszenie. Potężne przeciążenie zmusiło pilota do trzymania głowy na zagłówku i ograniczyło pole widzenia.

– Gizmo, odpuść, idziesz w górę! Wyłącz palnik! – krzyknął Olszewski.

Marciniak puścił drążek i ściągnął przepustnicę, wyłączając dopalacz. *MiG* wspinał się pod niewielkim kątem, oddalając od ziemi, o którą niemal się roztrzaskał.

– Skąd, u diabła, się tu wzięli?! – rzucił wreszcie Michał radio. Zerwał maskę z twarzy i oddychał głęboko. Dopiero teraz usławił sobie w pełni, czego właśnie uniknął.

Obejrzał się i zobaczył dwa śmigłowce Marynarki krążące na podejściu do bazy w Darłowie.

– Tamci są cali? – zapytał Olszewskiego, a gdy uzyskał potwierdzenie, zajął się swoimi sprawami.

ODN właśnie odzyskał orientację i zaczął domagać się meldunków o sytuacji. Wymiana zdań między kontrolerami a pilotami przypominała raczej karczemną awanturę i zawierała porą dawkę niezbyt pochlebnych uwag o żeńskich przodkach. Tym, że tej niezbyt parlamentarnej konwersacji słuchali ministrowie i wiceministrowie, a także generalicja, nikt z uczestników się nie przejmował.

Kwadrans później MiG-29 Marciniaka dotknął po raz pierwszy płyty lotniska po niefortunnym locie. Po raz pierwszy, bo lądowanie w Babich Dołach poszło jak po grudzie. Marciniak pozwolił wylądować Olszewskiemu, by trochę uspokoić szalejące nerwy, po czym podszedł do lądowania. Nerwy dały jednak znać o sobie – brak precyzji ruchów spowodował, iż podejście było zbyt długie. Kiedy już przyziemił, wydawało mu się, że ma zbyt mało pasa, by zatrzymać maszynę. Dał pełen gaz i włączył dopalacz, podnosząc *MiGa* do powtórnego podejścia. W konsekwencji zużył tyle paliwa, że po wylądowaniu i

zakolowaniu na płycę postojową pojawiło się ostrzeżenie o wyczerpywaniu się paliwa.

Michał nie zdążył jeszcze wejść na podstawioną przez obsługę drabinę, gdy pod maszyną pojawił się major Krawczyk, zastępca dowódcy eskadry i etatowy poganiacz niewolników.

- Marciniak, co ty wyprawiasz?! – rzucił ostro. – Dzwonili już z dowództwa, że omal nie wpadłeś na śmigłowiec, potem omal nie kupiłeś molo. A teraz jeszcze spieprzyłeś lądowanie! Możesz to wyjaśnić?!

Michał stanął na wprost majora.

- Z chmury wyskoczył na nas śmigłowiec. ODN twierdził, że mamy wolną przestrzeń. Nie ostrzegł nas o śmigłowcach. Musieliśmy zrobić ostry unik, maszyna wymknęła się spod kontroli...

- ODN nie ostrzegął? A radar?! – wszedł mu w słowo major.

Porucznik zorientował się, że wpadł w pułapkę.

- Nie włączyliśmy radarów po walce – odpowiedział.

- To będzie świetnie wyglądać w raporcie! – zauważył Krawczyk. – Zabierajcie się stąd i bierzcie się obaj do pisania. Szczegółowo jak cholera, bo inaczej zrobią z was mielonkę. Poruszycie naszą górę, dowództwo Marynarki, kilku ministrów i Bóg wie kogo jeszcze. Do roboty!

- Tak jest panie majorze.

Zanim Marciniak i Olszewski pozbierali się z płyty, wylądowała para Ogar. Głowacki i Bogusz szybko podkołowali na płycę. Idąc do zabudowań bazy, porucznicy musieli ich minąć.

Pułkownik nie tryskał entuzjazmem, jak miał w zwyczaju, ale nie był też przesadnie zmartwiony. Był niewysokim, szczupłym, ciemnowłosym facetem o dość chłopięcej urodzie. Nie wyglądał na swoje trzydzieści osiem lat. Marciniak był pewien, że ubranego po cywilnemu Głowackiego nikt nie posądziłby o to, że jest jednym z najlepszych pilotów bojowych odrzutowców. I jednym z najlepszych dowódców.

Głowacki zszedł na płycę i zauważył Marciniaka.

- Panowie, co się wydarzyło?! – zapytał bez zbędnych wstępów.

Marciniak zrelacjonował wydarzenia. Sam z siebie powiedział o wyłączonym radarze i skopanym lądowaniu. Pułkownik słuchał w milczeniu. Bogusz i Olszewski dołączyli do nich, ale się nie odzywali.

- Miałeś sporo szczęścia – orzekł. – Gdyby wyszedł z chmury sekundę później, zostałyby po was wielka kula ognia. Marynarze mieli jeszcze więcej szczęścia. Gdybyś zahaczył ich tylko o wirnik, byłoby po nich, a ty nawet byś nie poczuł uderzenia.

- Spieprzyłem sprawę z tym radarem, panie pułkowniku – rzekł Michał.
- ODN spieprzył sprawę. Przecież muszą prowadzić także latawce bez radaru, takie jak *Su-22*. Faktycznie jesteś czysty, ale niepokoi mnie ta widownia, którą miałeś. Po takim incydencie politycy mogą łaknąć krwi.

Marciniak nie skomentował.

- Pisz szczegółowy raport, tak jak zalecił major – powiedział Głowacki. – Spróbujemy cię jakoś wyciągnąć z tej awantury. Szkoda, że walka poszła kiepsko.
- A jak wam poszło? – spytał Marciniak.

Głowacki machnął tylko ręką.

- Spuściliśmy tych dwóch, którzy wam nałomotali, ale reszta podeszła do okrętów, kiedy się z nimi bawiliśmy. Tłukli się tam, nie wiem, z jakim wynikiem, zresztą mniejsza o to. Nic na to nie mogliśmy poradzić. Nie mogliśmy być w dwóch miejscach jednocześnie.
- Zaskoczyli nas jak diabli – powiedział Michał.
- Działaliśmy w warunkach braku informacji – stwierdził Głowacki. – Przeciwnik wykorzystał każdą naszą słabość. Wiedzieli, że radary *Zady-miaczy* słabo rozdzielają bliskie echa w dużej odległości. Puścili parę przodem, a trzeciego ze dwa kilometry z tyłu. Widzieliśmy z Jankiem dwa echa, choć leciały trzy *Suki*. Dalej już wiesz sam. Nie zmienia to faktu, że tym razem daliśmy odwłoka.

Marciniak pokiwał głową.

- Mogliśmy to lepiej rozegrać – rzekł.
- Na twoim miejscu zostawiłbym Marka w tyle u góry, żeby ubezpieczał – orzekł Głowacki. – Sam załatwiłbyś te *Suki* bez problemu. Chciałeś być koleżeński, dać mu też powalczyc, i nie wyszło to na dobre.
- Do tego nasi kochani decydenci zyskali przeświadczenie, że *Su-22* mają wciąż zdolność rażenia silnych zgrupowań morskich, choć tak naprawdę nigdy jej nie miały – wtrącił Bogusz.
- Może za to doszli do wniosku, że trzeba nas doposażyć, bo mamy za słaby sprzęt – dodał Olszewski.
- Chciałbym być takim optymistą jak ty, ale jakoś nie potrafię – rzekł Głowacki. – Prędzej uwierzę, że Fidel Castro został papieżem.

Piloci ruszyli w kierunku zabudowań. Marciniak zamilkł. Nie tylko omal się nie zabił, do tego zawiódł pułkownika i zawalił cały plan taktyczny. Przygnębienie musiało się odbić na jego twarzy, bo pułkownik stwierdził:

- Nie martw się Michał. Nie tacy jak ty wyszli na ludzi – zamilkł na moment, po czym dodał: - Najważniejsze, że wróciłeś cały.

Załoga Napierały musiała zrobić parę okrążeń nad lotniskiem, nim doszli do siebie na tyle, że byli w stanie bezpiecznie wylądować. Im nie groził brak paliwa – *Mi-14* z długotrwałością lotu cztery godziny i bazą pod bokiem nie wywierał takiej presji na załogę jak odrzutowy myśliwiec. Napierała wykorzystał ten czas nie tylko by pozbierać się do kupy, ale i nawtykać kontroli zbliżania za to, że wpuściła *MiGi* do obszaru powietrznego wokół lotniska. Na żądanie Napierały kontrola obszaru potwierdziła, iż nie ma w pobliżu żadnych odrzutowców na małej wysokości. Lotnicy upewnili się, iż w wyniku bliskiego przelotu myśliwca ich śmigłowiec nie odniósł żadnych widocznych uszkodzeń. *Mi-14* wylądował za pierwszym podejściem.

Napierała poczekał, aż załoga opuści kokpit. Dopiero teraz się odprężył. Przeżył kilka trudnych sytuacji, ale ta przerastała wszystko razem wzięte. Skąd wzięły się tu te *MiGi*? Nie miał wątpliwości – ktoś za ten incydent beknie.

Komandor w zamyśleniu wygramolił się z pękatego kadłuba „czternastki”. Twarz jeszcze paliła go po bliskim spotkaniu z gorącym oddechem *MiGa*. Będzie musiał chyba odwiedzić konowala, czego serdecznie nie znośił. Załoga czekała na niego na zewnątrz. Tylko dlaczego u licha uśmiechają się pod nosami? No nie tylko – Bryłowski zaniósł się histerycznym chichotem. Reszcie także zebrało się na chichot.

– Czego rżysz, Brylu? Co z wami?! – zapytał, podejrzewając atak hysterii po groźnym incydencie w powietrzu.

Bryłowskiemu chwilę zabrakło opanowanie śmiechu.

– Ze mną wszystko w porządku – powiedział, nadal dławiąc się wesołością – tylko pan komandor ma dziwne wąsy. Takie... asymetryczne!

Napierała odruchowo podniósł lewą rękę do twarzy... i zamarł! Jediną faktyczną ofiarą zdarzenia padły jego wąsy, które gorący wydech *MiGa-29* przypalił z lewej strony.

Siedziba Komisji Europejskiej, Bruksela, 2 maja 2008 r., godz. 9:40

Vandenoort siedział wściekły po prawie półtoragodzinnej rozmowie telefonicznej z polskim premierem. Musiał korzystać z tłumacza, bo premier mówił wyłącznie po polsku. Już sam ten fakt wkurzył Vandenoorta, który nie mógł w obecności tłumacza posłużyć się dosadniejszymi słowami i powiedzieć, co na-

prawdę myśli o polskim głosowaniu. Wprawdzie tłumaczy obowiązywała tajemnica, jednak media kupiłyby taką sensację za kwotę, która skłaniała do zaryzykowania nie tylko posady, ale i procesu cywilnego i karnego.

Komisarz miał nadzieję, że nakłoni premiera i przewodniczącego największej partii koalicyjnej, do zmiany stanowiska w sprawie eurotraktatu i ponownego głosowania nad jego ratyfikacją. Nic z tego nie wyszło. Targalski powiedział, że powtórne głosowanie byłoby dla niego samobójstwem politycznym:

– Takie głosowania do skutku, aż wygramy, mogą tylko pobudzić eurosceptyków. Już teraz mamy ich pełną mobilizację. Media nagle zaczęły interesować się treścią traktatu, choć przedtem zajmowały się tylko tym, kto i kiedy go ratyfikuje. Konserwatywne skrzydło mojej partii też zaczęło analizować traktat i zastanawiać się, czy bardziej nie opłaca się stanąć okoniem. Kolejne głosowanie możemy przegrać, i to nie przez głupi przypadek.

– Tu chodzi o większą sprawę, o jedność i przyszłość całej Unii – powiedział Targalskiemu. Miał ochotę wyrzucić mu, że sprawa kilku pijanych kretynów nie może blokować unijnej integracji. W porę ugryzł się w język.

– Proszę pomyśleć nie tylko w kategoriach partykularnych interesów. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze opóźnienia. Blokujecie cały proces reformy Unii, także innym państwom członkowskim, którym zależy na integracji bardziej niż Polakom.

Targalski wyczuł tę mało subtelną naganę.

– Zdaję sobie sprawę, że to ważna sprawa – powiedział – jednak muszę kierować się realiami polityki wewnętrznej. Poparcie dla eurotraktatu i integracji gwałtownie słabnie po klęsce. Eurosceptycy szukają dziury w całym. Jeśli będę forsował ratyfikację traktatu, spadnie jeszcze bardziej. Stracimy na tym wszyscy. Proszę zrozumieć, w tej chwili nie ma warunków do ratyfikowania.

– Rozumiem pana obawy i trudności – odrzekł Vandenoort, choć wcale tych obaw nie rozumiał, a już na pewno nie zamierzał uwzględniać. – Jednak muszę pana przestrzec. Państwa członkowskie są już zmęczone waszą nieudolną polityką. Mamy dość waszych ciągłych zatargów z Rosją, wspomniania Niemcom drugiej wojny światowej. Coraz trudniej jest mi bronić was przed próbami wprowadzenia sankcji za notoryczne łamanie praw człowieka i wartości Unii, jakich domagają się niektórzy eurodeputowani. Proszę to przemyśleć.

– Rozumiem to jako groźbę – odrzekł po chwili Targalski. – To nie jest jednak pomoc w rozwiązaniu problemów. Tu przydałoby się jakieś ustę-

stwo, które pomogłoby zgasić naszych eurosceptyków. Groźby tylko rozjuszą naszych obywateli.

- Jeśli pójdę na ustępstwa, otworzy to puszkę Pandory z roszczeniami innych rządów – odpowiedział Vandenoort. - To tak samo zahamuje proces integracji. Niech pan skorzysta z pomocy unijnej, której macie aż nadto. Niech pan przekonuje społeczeństwo i polityków. Integracja jest potrzebna Europie.
- Obawiam się, że żadna kampania informacyjna nie jest w stanie poprawić nastawienia do Unii. Zresztą ono jest dobre, tylko nastawienie do ratyfikacji traktatu się zmieniło. Polacy przyzwyczaili się do unijnej pomocy.
- I dlatego nie będą chcieli tej pomocy stracić – odrzekł Vandenoort. - Niech pan to przemyśli. Możemy wywrzeć na wa nacisk. Wasz rozwój gospodarczy w dużym stopniu zależy od unijnego wsparcia. Łatwo możemy to udowodnić.
- Niczego pan w ten sposób nie zmieni, Vandenoort – powiedział Targalski. – Może co najwyżej to, że podam się do dymisji, a moje miejsce zajmie jakiś eurosceptyk. To pan powinien się nad tym zastanowić.

Vandenoort poczuł, że nic nie wskóra. Nie tędy droga. Kilka minut toczył jeszcze dyskusję z Targalskim, ale bez rezultatu. Sytuacja wymykała się spod kontroli i trzeba było temu zapobiec. Gdy kończył rozmowę, był już przekonany, że wkrótce trzeba będzie podjąć bardziej radykalne kroki.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej godz. 18:10

Grupa komisarzy Komisji Europejskiej i doradców Vandenoorta siedziała w jego gabinecie. Spotkanie miało charakter nieformalny. Przewodniczący zaprosił tylko tych komisarzy, co do których lojalności miał całkowitą pewność.

Vandenoort nie posiadał się ze wściekłości. Stało się to, czego się najbardziej obawiał. Już na wstępie ratyfikacji jedno państwo w głupi sposób zdetonowało minę pod eurotraktatem, umożliwiając innym zignorowanie problemu. Jakby tego było mało, w mediach zaczęła narastać dyskusja o traktacie. Coraz częściej do głosu dopuszczani byli eurosceptycy, głoszący swoje wyrotowe, antyzjednoczeniowe teorie. W dawnych, dobrych czasach było to nie do pomyślenia. Eurosceptycy w ogóle nie byli traktowani przez media poważnie – przynajmniej na kontynencie. Brytyjczyków zawsze traktowano jak dziwaków, a ich wpływ można było zniwelować dzięki animozjom z Francuzami. Tym razem eurosceptyków zmarginalizować się nie dało. Porażka eurotraktatu w Polsce

stanowiła doskonałą, sensacyjną pożywkę dla mediów. Dochodziło wręcz do tego, że publicznie kwestionowano sens dalszej integracji!

Bezmiar wściekłości komisarza był spowodowany także przeniesieniem dyskusji na ulice. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by ludzie tak jawnie, gremialnie i szeroko protestowali przeciw podejmowaniu decyzji za nich i wbrew ich woli. Komisarz nie przejmował się specjalnie manifestacjami, ale dla władz państwowych były one problemem. Vandenoorta nikt nie wybierał w powszechnym głosowaniu, politycy w poszczególnych państwach jednak bali się gniewu elektoratu.

- Panowie – rzekł Vandenoort do zebranych. - Jak wiecie, casus Polski spowodował zablokowanie przyjęcia traktatu w pozostałych państwach Unii. To oznacza opóźnienie wejścia traktatu w życie, jednak to najmniejsze zmartwienie. Ze wszystkich państw Unii dochodzą wieści o mobilizacji eurosceptyków. Na razie pojawiają głównie się w mediach, jednak w Brukseli już wyszli na ulicę. W obliczu klęski traktatu w Polsce rządy popierające eurotraktat mogą mieć problem już nie tylko z jego ratyfikacją, ale i utracić poparcie wyborców na rzecz eurosceptyków. Wiecie, czym grozi taka sytuacja.
- Czy nie można po prostu izolować Polski i kontynuować integracji bez niej? - spytał Schuster, najbliższy zausznika Vandenoorta w Komisji.
- To groźny precedens – rzekł Vandenoort, starannie dobierając słowa. - To woda na młyn eurosceptyków. Cóż więcej trzeba, żeby rozbić jedność Unii, tak pieczołowicie budowaną przez dziesięciolecia? Europa dwóch, trzech a może czterech szybkości? Z jednymi państwami z większą liczbą praw i obowiązków, a innymi odpowiednio mniejszą, według ich uznania? To mi proponujecie?

Vandenoort przejechał wzrokiem po zebranych.

- Tak z pewnością być nie może – kontynuował Holender. - Jeżeli się na to zgodzimy, - wybaczenie mi czarnowidztwo – ktoś pewnego dnia uzna, że skoro jednego państwa nie obowiązuje eurotraktat, to czemu inne nie miałyby się wypisać z Unii? Wiecie doskonale, jak zaraźliwy bywa przykład. Przyjęte raz reguły trzeba konsekwentnie wdrażać.

Przewodniczący Komisji pominął milczeniem przypadek Niemiec i Francji, które po przyjęciu euro jako wspólnej waluty, kilkakrotnie notorycznie przekroczyły wymienioną w porozumieniu górną granicę deficytu budżetowego, wynoszącą trzy procent.

- Co możemy zrobić zamiast izolowania Polski? - spytał Jean Acostelle, młody doradca Vandenoorta, prawnik z uniwersytetu w Lyonie.

Vandenoort zamilkł. Przez chwilę panowała głucha cisza.

- Musimy wywrzeć nacisk na Polaków – powiedział w końcu. - Potężny nacisk. Polityczny, medialny i gospodarczy. Taki, by prezydent i rząd Polski zrozumieli, że nie można lekceważyć zobowiązań europejskich. Jeszcze większy niż na Austrię za czasów kanclerstwa Heidera. Musimy nałożyć sankcje. Bardzo dotkliwe sankcje – podkreślił.

- Nie możemy po prostu nałożyć na Polskę sankcji z powodu nieratyfikowania eurotraktatu – rzekł Acostelle.

- Nie możemy – przyznał Vandenoort. Milczał przez chwilę, dając rozmówcom czas na uświadomienie sobie tego, co za chwilę sam głośno powie. - Będziemy musieli grać ostro – rzekł. - Być może nawet trochę faul, ale w słusznej sprawie.

Rozejrzał się po ludziach. Nikt nic nie powiedział. Kilku jednak nieznacznie kiwało głowami. Dobry znak.

- Jest sto powodów, dla których powinniśmy już dawno coś zrobić z Polską – powiedział Vandenoort. - Więzienia CIA, zakaz parad mniejszości, zakaz aborcji, faworyzowanie Kościoła Katolickiego, sprawa ekologii i Rospudy. To nagminne naruszanie praw człowieka i wartości unijnych.

- Odgrzewanie tego w momencie, gdy naciskamy na ratyfikację eurotraktatu, będzie odebrane wprost jako retorsja za przegrane głosowanie - sprzeciwił się Schuster. - Sami też poniesiemy straty. Jeśli naprawdę nałożymy poważne sankcje, w miejsce naszych firm na ich rynki wejdą firmy z USA. Politycznie wepchniemy ich też w ramiona Amerykanów, którzy na dodatek mogą nałożyć sankcje na nas.

- Ale to nie my przypomnimy o prawach człowieka – rzekł Vandenoort z przebiegłym uśmiechem. - My tylko się o nie upomnimy, na wyraźne żądanie zresztą.

- Czyje? - zapytał Acostelle.

- Dowiedcie się w swoim czasie – uciął Vandenoort.

- Jeszcze jedno – rzekł Schuster. - Jak zamierzasz wyegzekwować te sankcje? Mamy przecież traktat ze Schengen. Mamy wolny przepływ ludzi i towarów. Przecież nie zablokujemy granicy...

- Schengen można zawiesić, i tak też zrobimy. Granicę zablokujemy i uszczelnimy. Żaden towar ani żaden człowiek, bez wyraźnego pozwolenia nie przekroczy granicy z pozostałymi państwami Unii.

- Myślisz, że Polacy to zaakceptują? Że pozostaną bezczynni? - drażył Schuster.

- A co będą mogli zrobić? Zaatakują posterunki graniczne? - obruszył się Vandenoort. - Naraziliby się na jeszcze większe retorsje i zwiększyli poparcie dla sankcji. Tego nie zrobią.
- Jeśli sankcje postawią ich naprawdę pod murem, mogą zareagować nieprzewidywalnie – przestrzegł Acostelle.
- Mamy militarną przewagę. Mamy przewagę w każdej dziedzinie – odrzekł Vandenoort. - Poza tym nie wierzę, by Polacy poparli taką awanturniczą politykę. Sondáže dowodzą, że w większości są euroentuzjastami i popierają integrację.

Acostelle chciał powiedzieć, że sondáže same w sobie niczego nie mogą dowodzić, ale w porę ugryzł się w język. Wiedział, co Vandenoort ma na myśli. Polscy obywatele – i co dziwniejsze – polscy politycy – z naiwną powagą przyjmowali hasła o europejskości, zupełnie nie rozumiejąc, że warstwa propagandowa i prawdziwa gra interesów to dwie różne sprawy. Politycy zachodni chętnie szafowali frazesami o europejskości, jako dobrym materiałem PR, jednak za kulisami toczyła się twarda gra interesów, kierowana względami polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Jednak Polakom wystarczyło wspomnieć, że nie są wystarczająco europejscy, a już miękły im kolana. Acostelle był zdania, że przyczyną jest jakiś kompleks niższości w stosunku do „prawdziwej” Europy.

- No dobrze, ale co z uszczelnieniem pozostałych granic? Rosja, Białoruś, Ukraina nie należą przecież do Unii – zauważył Schuster - I sprawa najważniejsza – granica morska i międzynarodowa przestrzeń powietrzna nad Bałtykiem. To luka, którą mogą obejść ewentualne embargo. Tędy mogą płynąć towary i ludzie spoza Europy – ze Stanów czy Dalekiego Wschodu.

Nadszedł właściwy moment. Vandenoort w kilku zdaniach wyjaśnił założenia swojego pomysłu. Zebrani siedzieli oszołomieni.

- Ty chyba zwariowałeś! - stwierdził Schuster, gdy Vandenoort skończył przedstawiać pomysł.
- Udam, że tego nie słyszałem! - rzekł ostro Holender. - Musi się udać. Tylko realizacja takiego planu skłoni Polaków do ratyfikowania eurotraktatu i odstraszy pozostałych od odwlekania ratyfikacji.
- Trzeba się liczyć z reakcją Stanów Zjednoczonych – wtrącił Acostelle. - Na pewno nie będą siedzieć z założonymi rękami!
- Wtrąca się w zatarg między przyjaciółmi? – sprzeciwił się Vandenoort. - Z jakiego powodu? Sankcji gospodarczych? Wyborcy amerykańscy nie pozwolą prezydentowi na kolejną interwencję zbrojną. Co mogą zrobić? Przebijać się flotą przez Skagerrak i Kattegat? Zbombardują nas? Kogo? Brukselę? Biura Komisji? Bez żartów. Są umoczeni w Iraku i Afganistanie.

Pilnują Iranu. Poza tym jakakolwiek interwencja wojskowa w Europie byłaby dla Stanów gwoździem do politycznej trumny. Utraciliby resztki wiarygodności. Usiłują promować demokrację siłą, a tymczasem atakują zbrojnie kolebkę demokracji? Przy obecnym antyamerykanizmie większości Europejczyków taka postawa Stanów zapewniłaby im utratę wpływów w Europie na dziesięciolecia.

- Z jaką reakcją powinniśmy się liczyć? - drażył Acostelle.
- Z taką, jak zawsze, gdy nie ma się w rękę mocnych kart – odparł Vandenoort – Pohałasują trochę, poburczą, porobią groźne miny. Może nałożą na nas własne sankcje, które wywołają kolejną zimną wojnę transatlantycką. Po cichu zrobią wszystko, żeby usmierzyć konflikt. Za kulisami będą naciskać na ustępstwa, nawet kosztem Polaków. Może choć raz nam pomogą.

Schuster uśmiechnął się szeroko. Vandenoort nieźle to wykombinował. Acostelle uśmiechnął się również, ale jakby z mniejszym przekonaniem. Przewodniczący pomyślał, iż Acostelle zbyt słabo okazuje entuzjazm, ale doszedł do wniosku, że to chwilowa słabość. Jego asystent zawsze stał przy nim murem.

- Jeszcze jedno – odezwał się Schuster. - Zamierzasz bronić praw człowieka w Polsce. Ktoś może jednak ci zarzucić, że twój pomysł trochę te prawa jednak narusza, nieprawdaż?
- Zamierzam wygrać tę sprawę, Ralf – rzekł dobitnie Vandenoort, patrząc w oczy komisarzowi. - Wiesz doskonale, że zwycięzców się nie sędzi. Wygramy, a wtedy sprawa zastosowanych środków nie będzie miała najmniejszego znaczenia.

Rozdział II

Artykuł 5. Stosunki między Unią a Państwami Członkowskimi.

2. Zgodnie z zasadą lojalnej współpracy, Unia i Państwa Członkowskie, przy pełnym wzajemnym poszanowaniu, udzielają sobie wsparcia w wykonywaniu zadań wynikających z Konstytucji.

(Projekt Traktatu ustanawiającego Unię Europejską)

O włos od katastrofy

Gazeta Wyborcza, 5 maja 2008r.

W trakcie ćwiczeń z udziałem Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej doszło do groźnego zdarzenia. Myśliwiec MiG-29 omal nie zderzył się z podchodzącym do lądowania w bazie w Darłowie śmigłowcem Marynarki Wojennej. Pilot odrzutowca wykonał w ostatniej chwili unik, jednak stracił panowanie nad maszyną i zaczął bezwładnie spadać. Tuż nad ziemią pilot odzyskał kontrolę nad samolotem. – Huk był ogłuszający. To było przerażające, myślałam, że samolot uderzy w molo i w ludzi, ale zdołał jakoś przelecieć – powiedziała Gazecie Lidia Kamińska, wczasowiczka z Wrocławia przebywająca wtedy na falochronie.

W wyniku incydentu nikt nie odniósł obrażeń. Jedyne studentka z Łodzi wskoczyła w panice do kanału portowego. Wydobyła ją z wody załoga przepływającego kutra.

Polski kamyk uruchamia lawinę **The Daily Telegraph, 5 maja 2008 r.**

Odrzucenie przez Polskę eurotraktatu spowodowało reakcję, jakiej spodziewali się eksperci. Kolejne państwa rezygnują z ratyfikacji dokumentu, twierdząc oficjalnie, że w obecnej sytuacji jego ratyfikowanie nie ma sensu. Dzieje się tak mimo zachęt ze strony Komisji Europejskiej do ratyfikowania mimo to traktatu przez pozostałe państwa. Decyzja Polski cieszy się najbardziej jawnym poparciem Czech, których prezydent, Vaclav Kolberg, jest znany ze swego eurosceptycyzmu. Nieoficjalnie w kilku europejskich stolicach można usłyszeć, iż dobrze się stało, że ktoś zablokował wejście eurotraktatu. Ciężar gniewu Brukseli spada w tej sytuacji na Polskę, jako na prowodyra zachowań pozostałych państw.

Eurosceptycy szturmują ulice **La Libre Belgique, 5 maja 2008r.**

Mimo zakazu wydanego przez burmistrza Brukseli pod gmachem Komisji europejskiej odbyła się demonstracja przeciw eurotraktatowi. Demonstranci w liczbie około 200 – głównie członkowie partii prawicowych – udzielili poparcia Polsce, która zablokowała przyjęcie eurotraktatu. Policja zatrzymała 154 osoby.

Europejczycy przeciw eurotraktatowi **Washington Times, 5 maja 2008r.**

Francuzi demonstrowali w Paryżu, Lyonie, Marsylii i Bordeaux przeciw decyzji parlamentu, który nie zgodził się na rozpoznanie referendum w sprawie ratyfikacji eurotraktatu. Poprzedni projekt eurokonstytucji przepadł bowiem w referendumach francuskim i holenderskim.

Demonstracje przeszły również w Amsterdamie i Pradze. Holenderscy eurosceptycy również domagali się referendum w sprawie eurotraktatu. Zdaniem ekspertów poprawki w stosunku do odrzuconej w holenderskim referendum eurokonstytucji są kosmetyczne, a 96 procent tekstu eurotraktatu pokrywa się z pierwotną wersją przygotowaną pod kierownictwem Valery'ego Giscard d'Estaing. Pracy demonstranci wyrażali poparcie dla Polski i protestowali przeciw próbom wywierania przez Brukselę nacisku na ratyfikowanie eurotraktatu w pozostałych państwach.

**Serwis światowy BBC,
6 maja 2008r.**

Komisja Europejska zapowiedziała przyspieszenie prac nad wspólną polityką obroną. W ramach programu pilotażowego w najbliższym czasie do istniejących już jednostek europejskich dołączą siły powietrzne i morskie, tworząc łańcuch przyszłych europejskich sił zbrojnych. „W programie wezmą udział państwa „starej” Unii, zdecydowanie popierające zacieśnienie integracji w ramach wspólnoty” – zapowiedział Ralf Schuster, komisarz ds. bezpieczeństwa.

**Warszawa, ul Żwirki i Wigury
8 maja 2008r. godz. 10:30**

Porucznik Michał Marciniak szedł ulicą Żwirki i Wigury do dowództwa Sił Powietrznych. Ściągał spojrzenia przechodniów obu płci. Mężczyznom imponował stalowoszarym mundurem lotniczym, sprężystym krokiem, widoczną pewnością siebie, tak charakterystyczną dla wojskowych pilotów. Nie wyglądał jednak na typowego trepa. Uwagę kobiet, w różnym wieku, tak samo, jak postawa i krok przyciągały spokojne, uważne spojrzenie brązowych oczu, gęste, ciemne włosy, wysokie czoło i śniada cera dwudziestodwuletniego oficera.

Raport Marciniaka o bliskim spotkaniu z *Mi-14PL* trafił w rekordowo krótkim czasie na samą górę, poprzez dowództwo eskadry, brygady i korpusu. Zarówno czas, jak i poziom dowodzenia budziły zdziwienie, a nawet niepokój porucznika. Nie było trupów, nie było wraku, incydent zdarzył się nie z jego winy. Dlaczego sprawa zawędrowała tak wysoko?

Przegrał walkę dowodzoną przez siebie parą myśliwców w fatalny sposób. Kiepski debiut, ale kto się nie przewrócił, ten się nie nauczył chodzić. Leciał z wyłączonym radarem, miał w miarę dobrą widoczność i zapewnienie kontrolera, że przestrzeń powietrzna nad wybrzeżem jest wolna. Miał wszelkie prawo lecieć tam, a że nagle z chmury, niczym diabeł z pudełka, wyskoczył *Mi-14?* Porucznika niepokoił fakt, że w sprawę zaangażował się sam dowódca Sił Powietrznych, generał broni Tadeusz Zdanecki. To właśnie on wezwał Marciniaka w trybie pilnym do Warszawy.

Generał Zdanecki cieszył się estymą wśród lotników. Był młodszy od swoich poprzedników na stanowisku. Szybko awansował – zawsze w młodym do da-

nego stanowiska wieku – dzięki czemu szybko dorobił się ksywki „Dziadek”. Była w tym dawka zawiści, lecz i sporo szacunku, w przeciwieństwie do pochodzącego jeszcze z wojny określenia „dziadek leśny”. Swoją karierę generał zawdzięczał zrównoważonemu talentowi pilota i taktyka, stratega i sztabowca, a nade wszystko – polityka i zarządzającego ludźmi. Szybko odkrył, że doskonale piloci często nie osiągali wysokich stanowisk ze względu na brak umiejętności interpersonalnych niezbędnych poza środowiskiem wojskowym i koncentracji na technice i taktyce, kompletnie zapominając o strategii, a utalentowani sztabowcy często okazywali się nie dość zręcznymi politykami, by utrzymać najwyższe stanowiska. Zdanecki posiadał talent we wszystkich tych obszarach, a, nawet jeśli miał w nich jakieś braki, zręcznie je maskował i szybko uzupełniał. Potrafił pokonać tendencję do rutyny i chodzenia na skróty. Kiedy trzeba, okazywał się konformistą – ale tylko na zewnątrz, bo w środku miał doskonale wykształconą hierarchię celów, które konsekwentnie realizował. Co ważniejsze, kilkakrotnie, w dobitny sposób pokazał, iż jego osobiste cele są tożsame z celami Sił Powietrznych. Teraz, na najwyższym szczeblu dowodzenia doskonale dawał sobie radę, współpracując całkiem swobodnie z oficerami armii lądowej i marynarki. Żył na dobrej, towarzyskiej stopie także z politykami, co dawało nadzieję na realizację przynajmniej niektórych projektów Sił Powietrznych i – być może w przyszłości – lepsze zrozumienie potrzeb lotnictwa wśród tych, którzy decydowali o kierunkach rozwoju armii.

Marciniak wszedł do budynku dowództwa i po dopełnieniu wszystkich formalności, okazaniu przepustki na wszystkich posterunkach, dotarł w końcu do gabinetu generała. Zameldował się adiutantowi dowódcy i jedynej jego przybocznej „sile biurowej”, porucznik Joannie Jabłońskiej. Jabłońska – pierwsza kobieta-pilot bojowy w Siłach Powietrznych – została odsunięta od latania z powodu jakiejś zdrowotnej błahostki wykrytej przez WIML. Zdanecki ściągnął ją na stanowisko swojego adiutanta i – jak donosiła poczta pantoflowa – obiecał, że postara się przywrócić ją do latania.

Mimo, iż Marciniak pojawił się niemal 15 minut przed wyznaczonym czasem, Jabłońska podniosła słuchawkę i zaanonsowała go generałowi. Był to jeden z charakterystycznych elementów pracy w tym gabinecie – generał nigdy nie kazał czekać podwładnym, jeśli rzeczywiście nie miał czegoś pilnego do załatwienia. W trakcie, gdy oczekiwała na odpowiedź zwierzchnika, Marciniak, by zapomnieć o trapiącym go niepokojem, zastanawiał się, czy ta postawna, wysoka, zgrabna i kobieca brunetka sypia ze swoim szefem. Byłoby to nie tylko wysoce niestosowne, ale i ryzykowne, jednak Michał wcale nie dziwiłby się zwierzchnikowi. Jabłońska była bowiem cholernie atrakcyjną, dwudziesto-

siedmioletnią kobietą i samo przydzielenie jej tego stanowiska było już niestosowne i ryzykowne, gdyż budziło domysły, skojarzenia, a niekiedy plotki. Przede wszystkim była sprawnym, uporządkowanym administratorem, nigdy nie gubiła dokumentów, których przygotowania i utrzymywania generał szczerze nienawidził. Zdanecki często korzystał z jej kobiecej empatii i intuicji. Wyczuwała bezbłędnie emocje rozmówców generała, dzięki czemu zyskała wśród wtajemniczonych w sekrety generalskiego gabinetu przydomek General ESM⁵, rozwinięte tu jako Emotion Surveillance Measures, obok lotniczego przydomka JoJo, jakim od inicjałów obdarzono ją jeszcze w Akademii.

– Może pan wejść, poruczniku – powiedziała Jabłońska.

Marciniak zastał generała siedzącego za biurkiem. Średniego wzrostu, mimo 44 lat, Zdanecki nie dorobił korpulentnej sylwetki, jak wielu jego rówieśników. Gęste, czarne, krótko przystryżone włosy nie zdradzały prawdziwego wieku generała, podobnie jak twarz. Nadawały mu one wygląd mężczyzny grubo przed czterdziestką. Uważny obserwator wyłapałby pewnie zmiany wywołane znośzonymi w kabinie odrzutowca przeciążeniami, jak i „kurze łapki” przy oczach, świadczące o skłonności do częstego uśmiechu.

Generał jednak nie miał zanadto powodów do radości. Pokojowy hurraoptymizm lat dziewięćdziesiątych pozostawił wieloletnie zaniedbania w siłach zbrojnych, zwłaszcza w Siłach Powietrznych. Od pierwszych wzmianek o planie zakupu wielozadaniowych myśliwców produkcji zachodniej do przybycia do Krzesin pierwszych *F-16* upłynęło kilkanaście lat. Pensje personelu latającego nie rosły tak szybko, jak pensje i ceny w sektorze rynkowym. Znacznemu ograniczeniu uległy fundusze na loty szkoleniowe. Liczne eskadry zostały rozwiązane albo – w oczekiwaniu na nowy sprzęt – latały na starusieńkich Iskrach.

Efektem tego był spadek siły uderzeniowej i gotowości bojowej poszczególnych jednostek. Najlepiej wyszkoleni piloci, po nabyciu praw emerytalnych, odchodzili „pod kapelusze”, by zająć się nudną, ale znacznie lepiej płatną pracą w liniach lotniczych, które w epoce „otwartego nieba” powstawały jak grzyby po deszczu. W efekcie niektóre z jednostek lotniczych borykały się z katastrofalnym brakiem personelu latającego. By podtrzymać ich gotowość bojową, Zdanecki delegował do nich tymczasowo oficerów, którzy zdążyli zagrześć już spokojne miejsce w jego sztabie oraz innych instytucjach zaplecza. W efekcie sztab świecił pustkami, a pozostali oficerowie ledwie wyrabiali się z ogółem zadań przewidzianych na czas pokoju. Zdanecki wolał nie myśleć, jak wygłą-

5 ESM – Electronic Surveillance Measures – rozpoznanie elektronicznych środków przeciwnika, szczególnie radarów i korespondencji radiowej [przyj. aut.]

dać będzie funkcjonowanie jego sztabu w razie jakiegokolwiek kryzysu, jednak w takim wypadku wolał mieć wakaty w sztabie, niż w jednostkach liniowych.

Marciniak wszedł defiladowym krokiem do gabinetu. Zanim zdążył zaszalutować, generał wskazał ręką krzesło:

- Proszę siadać, poruczniku.

Marciniak usiadł. Generał odłożył papiery, które właśnie trzymał w ręku, wyprostował się na krześle i spojrzał na porucznika.

- Zapoznałem się z wynikami śledztwa w sprawie incydentu nad Darłowem jak również z raportami Olszewskiego i pana. Wspólna komisja Sił Powietrznych i lotnictwa Marynarki Wojennej nie stwierdziła błędów czy uchybień w pracy załóg latających. Wykluczylismy waszą winę. Problem pojawił się w ośrodku naprowadzania i dowodzenia, który koordynował loty podczas ćwiczeń. Nie wiemy, czy był to błąd człowieka, czy błąd oprogramowania. Sprawę prowadzi prokuratura wojskowa i jak zwykle w takich wypadkach jest ona pogmatwana. Pana już jednak nie dotyczy.

Generał przerwał i sięgnął po kawę. Upił łyk. Marciniak czekał, bo przecież to, że jest w tej sprawie czysty, mógł oznajmić mu dowódca eskadry. Generał miał mu coś jeszcze do powiedzenia.

- Niestety, sprawy pokomplikowały się od zupełnie innej strony – podjął Zdanecki. – Incydent miał miejsce nad obszarem gęsto zabudowanym, do tego lotniskiem zapełnionym zamiejscowymi turystami. Wielu z nich widziało go, niektórzy nagrali na wideo pańskie mimowolne ewolucje. O zdarzeniu pisała prasa lokalna i ogólnopolska. Pańskie ewolucje zrobiły prawdziwą furorę w *YouTube*, i to sfilmowane mola, z plaży i z latarni morskiej. Określenia typu „powietrzni piraci” to przyszcz w porównaniu z pytaniem, na co wojsko wydaje pieniądze podatników, jak są szkoleni piloci i dlaczego wojsko organizuje loty nad takimi miejscami jak Darłówko. Pański wy czyn zniweczył – gorzej: obrócił przeciw nam – mój zamiar poprawienia nieco naszego wizerunku, który jest pod ciągłym medialnym ostrzałem.

Generał przerwał ponownie, jakby czekał na pytanie Marciniaka. Żadne pytanie jednak nie padło. Zdanecki kontynuował:

- W zaistniałej sytuacji, dla pańskiego dobra, zmuszony jestem pana przenieść do innej jednostki. Dograłem już wszystko z departamentem kadr. Zostaje pan tymczasowo oddelegowany do 67 Eskadry Lotnictwa Taktycznego w Powidzu. Eskadra ma wakat w personelu latającym, a czynni piloci są jej bardzo potrzebni. Na miejscu dowie się pan, dlaczego. Rozkaz przeniesienia odbierze pan u porucznik Jabłońskiej.

Marciniak osłupiał.

- Panie generale... – zaczął.
- Wiem, poruczniku, to niezupełnie fair. Nie mam innego wyjścia. Przez krótką chwilę Marciniak zastanawiał się, co powiedzieć.
- Panie generale, mogę domagać się powtórzenia śledztwa...
- Niech pan nie będzie głupi, Marciniak! – przerwał mu ostro generał. – Wiem, że to nie pańska wina. Oficjalnego śledztwa w pańskiej sprawie nie będzie, zresztą po co? Jeszcze jakiś dureń czepiłby się tego, że nie nakazał pan włączyć radarów. Media domagają się krwi i ofiar, a pan jest nadzwyczaj wdzięcznym celem, za nimi pójdą na łatwy żer polityczne sępy. Zniszczą pana, nim śledztwo na dobre się rozkręci. To cud, że jeszcze nie znają pańskiego nazwiska. Powinien pan być wdzięczny kolegom i dowódcy eskadry. Wie pan, ile telefonów od pismaków odbiera codziennie po tym wypadku pułkownik Głowacki? Prędzej czy później ktoś się wygada, a wtedy pańska kariera zawisnie na włosku. Poza tym wieszają psy nie tylko na panu, ale na całych Siłach Powietrznych.

Generał przerwał.

- Oddeleguję pana czasowo do Sześćdziesiątej Siódmej, z dala od Warszawy i dziennikarskich hien. Nie wydamy w tej sprawie żadnego komunikatu, poza faktem, że został pan przeniesiony. Któryś z pismaków zapewne zrobi z tego „przeniesienie dyscyplinarne”, pozostali podchwycą to i ochocho powtórzą. Wszyscy będą szczęśliwi, mimo że to niewiele ma wspólnego z prawdą. Po jakimś czasie zapomną o panu, wtedy wróci pan do dawnej roboty.
- A jeżeli jednak sobie przypomną o mnie? – spytał Marciniak.
- Po zakończeniu śledztwa i oficjalnym komunikacie, który pana oczyści? A jeśli nawet, to pokażemy wtedy, że przeniesienie nie było dyscyplinarne. Wszyscy ci, którzy wcześniej krzyczeli o dyscyplinarce, będą siedzieli cicho we własnym interesie, żeby nie wyjść na idiotów i nie stracić wiarygodności. Zresztą niech się pan nie martwi na zapas, do tego czasu znajdą sobie inną ofiarę, u nas czy gdzie indziej.
- Tak jest, panie generale – odpowiedział Marciniak. Z Dziadka był jednak kawał szczwanego lisa. Za jednym zamachem załatwił media, problemy kadrowe i na dodatek spacyfikował młodego oficera.
- No to życzę powodzenia – rzekł generał. – Pański dowódca już został powiadomiony o przeniesieniu. Proszę unikać dyskusji o incydencie z Darłowa. Pańscy koledzy też mają nakaz trzymać dzioby na kłódkę. Aha – dodał, a Marciniak mógłby przysiąc, iż mimo poważnej miny ujrzał u generała cień filuternego uśmiechu – zawiadomiłem pułkownika Nowaczyka, że

pan przyjeżdża. Cieszy się, że pana zobaczy. Do widzenia. Może pan odejść.

Niech to szlag! Marciniak wyszedł z Dowództwa zdruzgotany.

Zsyłka, i to nie za swoje winy! Do tego – bezterminowa. Co on, u diabła, zrobi, jeśli potrwa to z rok albo i dłużej? W jego przypadku mogło to mieć fatalne skutki dla dalszej kariery lotniczej.

Zaraz po Dęblinie został zakwalifikowany jako pilot *Su-22*. Chciał latać na odrzutowcach, ale nie takich, u licha! Jego powołaniem było zostać myśliwcem! W powietrzu są dwa rodzaje obiektów: myśliwce i cele – a on nie miał zamiaru być celem.

W 67. eskadrze odbył całe przeszkolenie na *Su-22M4*. Zdobył uprawnienia do samodzielnych lotów na tym typie i wtedy akurat Zdanecki został szefem Sił Powietrznych. Marciniak składał kolejne raporty o przeszkolenie na *Mi-Gach-29* i któryś z nich w końcu trafił do Zdaneckiego. Po dłuższej rozmowie Marciniakiem, który dopiero co zdobył pierwsze umiejętności taktyczne na *Su-22*, Zdanecki przychylił się do jego prośby i przeniósł go do 12 eskadry, do Mińska Mazowieckiego.

Ta decyzja była dla Zdaneckiego typowa: generał wyznawał zasadę, że ludzie – w miarę możliwości kadrowych i osobistych predyspozycji – powinni robić to, co najbardziej ich pociąga. Decyzja była niełatwa, bo ponowne szkolenie Marciniaka na docelowy typ było kosztowne i musiało potrwać, ale generał zdecydował, że warto. Marciniak miał wobec niego dług wdzięczności, który właśnie przyszło mu spłacać. Co więcej, generał tak to ustawił, iż wyglądało na to, że zaciąga u niego kolejny kredyt. W Powidzu miał się zameldować w poniedziałek.

Marciniak nie miał zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad sytuacją. O 12:30 był umówiony ze swoją dziewczyną, Agnieszką, w Mariottcie. Prawdę mówiąc, wcale nie był z tego powodu szczęśliwy. Zanosilo się bowiem, że znowu się pokłóca.

Hotel Marriott, Warszawa godz. 12:30

Sprzeczka wisiała w powietrzu, odkąd zadzwonił do niej poprzedniego wieczora. Nie widzieli się od dwóch tygodni. Był zaskoczony jej postawą, gdy zaproponował spotkanie.

- Naprawdę koniecznie w godzinach pracy? – zapytała.
- Wolałabyś po południu?
- Nie, mam sporo roboty po godzinach. Wolę w południe. Wiesz, będę musiała urwać się z biura.

Stara śpiewka. Ciężkie wyrzeczenie, by spotkać się z niewidzianym od dawna facetem. Marciniak z trudem stłumił słowa, jakie przychodziły mu na myśl.

- To o 12:30 w Mariottcie na piętrze. Jesteśmy umówieni.
- Ok. Poczekaj, gdybym się trochę spóźniła. Mam tu urwanie głowy.

Do Mariotta wszedł na minutę przed umówioną godziną. Nie miał ochoty zamawiać kolejnych napojów, czekając na nią. Ustaloną tradycją było to, że się spóźniła. Był zaskoczony, gdyż tym razem przyszła niemal punktualnie. Agnieszka Madej była wysoką, długowłosą brunetką o niebieskich oczach, jasnej cerze i proporcjonalnej sylwetce. Niewiele niższa od niego, rok młodsza, w godzinach pracy chodziła ubrana zazwyczaj w swoim biznesowym mundurku, składającym się z białej bluzki, grafitowej spódnicy do kolan i grafitowego zakietu. Tak było i tym razem.

Wstał, objął ją i pocałował w usta. Dopiero wtedy wypowiedzieli do siebie pierwsze słowa.

- Witaj, kociaku – powitał ją.
- Cześć – odpowiedziała – Co się stało? Wiesz, że godziny pracy to nie najlepszy termin na spotkanie.
- A jest jakiś lepszy? Po godzinach ostatnio jakoś nie potrafimy się spiknąć.

Siedli przy stoliku. Kiedy podszedł kelner, złożyli zamówienie – ona cappuccino, on najzwyczajszą, czarną kawę.

- No tak – rzekła. – Twoje wojsko pozbawiło nas długiego weekendu. Nawet nie zadzwoniłeś!
- Byłem cholernie zajęty, a na poligonie morskim nie ma zasięgu komórek – zażartował Michał. Zaraz jednak spoważniał. – I owszem, wojsko dało się nam we znaki w długi weekend. A policzyłaś, ile razy twoja firma pozbawiła nas zwykłego weekendu czy popołudnia?
- Taką mam pracę – skwitowała. – Jak się chce do czegoś dojść, trzeba poświęceń.
- A co ja mam powiedzieć? – zirytował się Marciniak. – Czy ja pracuje jako wolny strzelec? Czy sam wyznaczam sobie zadania? Czy mogę sobie powiedzieć: dziś nie latam, mam w nosie wojsko, obronność i pieniądze podatnika? Ty przynajmniej masz wybór. Mogłabyś tak intensywnie nie pracować. A właściwie, do czego chcesz dojść drogą tych poświęceń?

Agnieszka spojrzała na niego spođe łba.

- Zadajesz dziwne pytania – powiedziała powoli. – Wiesz, że chcę żyć na jakimś poziomie. Porządne mieszkanie, dobry samochód, stanowisko odpowiednie do kwalifikacji, pensja nie od pierwszego do pierwszego, towarzysztwo na poziomie. Uważasz, że to źle?
- Nie uważam – teraz z kolei Marciniak się zastanowił. – Nurtuje mnie tylko, czy wiesz dokładnie, jaki jest ten odpowiedni poziom. Bo jak już osiągniesz jeden, to może okazać się, że to ci nie wystarcza, i dalej trzeba będzie tyrać. W ten sposób można gonić za mamoną całe życie.

Kelner przyniósł kawę. Przerwali na chwilę rozmowę. Po chwili podjęła ją Agnieszka.

- Gonić? Mam świetną pracę. Zarabiam dobre pieniądze. Stać mnie na dobre wakacje za granicą, co roku w innym miejscu. Znasz lepszy sposób na życie?
- Nie twierdę, że znam lepszy, ale twój nie jest jedyny – zaproponował. Słyszał tę śpiewkę nie po raz pierwszy. – Jesteś pewna, że przeżywasz swój czas właściwie.
- To moja praca – wtrąciła. – Za to mi płacą. Z tego żyję. A ty się nie poświęcasz? Ostatnio o mało się nie zabiłeś!
- Wojsko zabiera mi sporo czasu. Latanie to mój żywioł. Muszę być dyspozycyjny, nie sprzeciwiać się rozkazom i do tego poświęcić własne życie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zgadza się. Poświęcam się jak cholera. Mimo to mam od czasu do czasu w tygodniu wieczór, by pójść do kina czy na piwo. Korzystam z każdej wolnej chwili. I chciałbym ten czas spędzać nie tylko ze sobą albo z kolegami z eskadry!
- Chwileczkę! – spojrzała na niego ostro – Chyba nie zażądasz, żebym dla ciebie zmieniła pracę?
- Lepiej, żebym ja zmienił dziewczynę?!
- Nie groź mi! – podniosła głos.
- Nie grożę. – powiedział Michał już spokojniej, uświadamiając sobie, jaką kartę trzyma w rękawie dzięki Zdaneckiemu. – Uświadamiam sobie po raz kolejny, że będzie nam trudno poustawiać to sobie razem. Tym bardziej, że nie mam dobrych wieści.
- Mogą być gorsze? – zapytała niby niefrasobliwie. Marciniak z satysfakcją stwierdził, że tym razem ją poruszył. Sięgnął po kawę. Milcząc, pociągnął potężny jej łyk. Jeszcze wczoraj tęsknił za Agnieszką. Dzisiaj miał ochotę utrzcę trochę jej buńczucznej pewności siebie.

- Dowództwo doszło do wniosku, że lepiej będzie dla eskadry, Sił Powietrznych, Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i oczywiście dla mnie, jeśli polatam sobie jakiś czas z dala od warszawki. Krótko mówiąc, zsyłka na prowincję.

- Blefujesz.

- Wcale nie – Marciniak sięgnął do teczki i wyciągnął rozkaz. – Chcesz potwierdzić autentyczność u samego Wielkiego Szefa?

Agnieszka przyglądała się rozkazowi, który nie miał żadnej klauzuli tajności.

- Tu nie ma żadnego terminu – powiedziała, gdy rzuciła fachowym okiem prawnika na dokument. Michał zauważył, iż zapoznanie się z dokumentem zajęło jej sporo czasu. Nie widać było szoku, ale najwyraźniej go przeżywała.

- I to jest właśnie ten haczyk. Nie wiadomo na jak długo.

Dziewczyna przyglądała mu się podejrzliwie.

- Sam na to wpadłeś? – spytała

- Na co?

- Żeby się przenieść?

- Żartujesz?! Mam wrócić do latania na Sukach z własnej woli? I do tego w eskadrze Nowaczyka? Prędzej wykonałbym atak kamikaze na budę Łysonia niż wrócił tam z własnej woli.

- To czemu cię przenoszą?

- Uznali, że Warszawa źle na mnie działa.

- To chyba raczej ty źle działasz na warszawiaków.

- Większość tutejszych to przyjezdni.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś wyszczekany i nieznośny – stwierdziła w końcu.

- Powiniennem zostać prawnikiem.

- Kto by wtedy bronił polskiego nieba?

- Pacyfiści i hurraoptymiści. Tych mamy w nadmiarze.

- A teraz poważnie: co zamierzasz z tym zrobić?

- A mogę coś zrobić? Rozkaz to rozkaz. Mogę co najwyżej oddać odznakę pilota i zostać sztabowym gryziopiórkem na nudnej posadce, ale kariery już nie zrobię. No i nie po to poszedłem do wojska, żeby siedzieć za biurkiem. Muszę iść tam gdzie każą i kombinować, żeby się stamtąd wywinąć.

- Ile to może potrwać.

- Trzy miesiące? Pół roku? Nie wiem.

Pokręciła głową.

- Nie nadaję się do życia na prowincji – powiedziała. – To nie dla mnie.

- Życie jak życie. W jednym aspekcie łatwiejsze, w innym trudniejsze. Trudniej o pracę, ale masz więcej czasu dla siebie. Rzuć to w diabły i przenieś się ze mną.
- Nie chcę tego.
- Chcesz widywać się co trzeci lub czwarty weekend? To raczej nie jest perspektywiczny układ.
- Pół roku może to przetrzymać...
- To jest zmarnowane pół roku. Mnie za moment stuknie trzydziestka. Nie będę dżentelmenem i przypomnę ci, że tobie za moment też.
- Michał, jeszcze dwa, trzy lata i będziemy urzędzeni...
- Masz pewność, że będziemy? Niech się coś poknoci i pełnej rodziny nici. Nie warto odkładać wszystkiego na potem.
- Chyba nie chcesz mi się oświadczyć? – zapytała z przekąsem.
- W tej sytuacji nie bardzo. Proszę cię tylko, byś nie uciekała do pracy przed tą sytuacją.

Milczeli chwile oboje. Agnieszka podjęła piłkę.

- Co proponujesz? – zapytała.
- Załóż własną firmę. Mobilną, żeby móc w razie czego się przenieść. Możesz pracować dla tych w Warszawie także zdalnie. Podobno brakuje im fachowców?
- Nie dostanę stanowiska kierowniczego, bo będę wędrować za tobą po garnizonach w całej Polsce?
- Może. Czy to wielka cena za bycie razem? Zresztą cały czas w Powidzu nie zostanę.

Agnieszka zamyśliła się.

- Nie potrafię ci teraz odpowiedzieć, co zrobię – rzekła w końcu. – Jestem kompletnie skołowana. Zaskoczyłeś mnie tym przeniesieniem. Powiem ci, gdy się ponownie spotkamy.
- To chyba będzie nieprędko – zauważył Michał.
- Niestety – przytaknęła Agnieszka. – Kolejne dwa weekendy mam już zaplanowane. Wyjazd integracyjny, potem impreza branżowa. Ciebie też mogą nie puścić na weekend.
- Mogą. I jestem przekonany, że to zrobią. Moim dowódcą będzie facet, którego poznałem już jako zastępcę. Nie będę miał łatwego życia.

Agnieszka spojrzała na niego z ukosa.

- Wygląda na to, że trafiłeś w niezłe bagno.
- Nie tylko wygląda. Tak po prostu jest.

Znowu zamilkła. To już stawało się niezręczne.

– Musimy coś z tym zrobić – powiedział w końcu Michał – To jest sytuacja z cyklu wóz albo przewóz.

Agnieszka skinęła głową.

– Daj mi trochę czasu – powiedziała. – Jeśli jest nam z sobą nie po drodze, może rzeczywiście powinniśmy się rozstać?

– Może... – przytaknął z kwaśną miną. Docierało do niego, że wszystko się wali, choć jeszcze nie do końca w to wierzył. Bieg wypadków zawsze mógł ulec zmianie. Teraz jednak na to się nie zanosilo.

Agnieszka wykorzystała jego zawahanie. Spojrzała na zegarek.

– Muszę już iść. Ściga mnie mnóstwo różnych spraw, i tak cud, że zdołałam się urwać – wstała z krzesła, pochyliła się nad Michałem i pocałowała go. Było to jednak bardziej przyjacielskie cmoknięcie niż prawdziwa czułość.

– OK – Michał odzyskał mowę. – Też muszę się zbierać. Jutro wyjeżdżam.

– Trzymaj się i powodzenia w nowym miejscu.

– Dzięki. Dbaj o siebie.

Posłała mu jeszcze uśmiech i ruszyła do wyjścia. Zanim zdążył dopić kawę, już jej nie było.

Michał odniósł nieodparte wrażenie, że i tak już wszystko przemyślała. I miał niemal pewność, jaka była jej decyzja.

Mińsk Mazowiecki, godz. 20:30

Olszewski zapukał do drzwi kwatery Marciniaka akurat wtedy, gdy ten kończył się pakować. Usłyszał gromkie „wejść” i wszedł. Rzucił Marciniakowi „cześć” i bez pytania wziął piwo z lodówki.

– Nie krępuj się, weź sobie piwo. Coś taki nieśmiały?! – spytał Michał, gdy tylko Olcha wkroczył z puszką w rękę. Sam opróżniał już trzecie i pomalutką wpadał w humor. Wciąż jeszcze zbierał rzeczy z mieszkania. Jutro zda klucze, resztą zajmie się kwatermistrz eskadry.

– Wzoruję się na tobie – odparował Olszewski, zobaczywszy spory zapasik browarów. – Jestem abstynentem, odkąd cię poznałem. Twój przykład działa umoralniająco. Już trzeci dzień nie piję. Zamierzasz świętować nowy przydział tą herbatką dla dziewczyn z kółka poetyckiego?

- Miałem nabyć coś mocniejszego, ale wiedziałem, że jedynie ty przyjdiesz na pożegnalną imprezę. Co bym miał z tego, że powąchasz zamkniętą flachę i wpadniesz pod stół?

Olszewski otworzył puszkę i pociągnął solidny łyk bez nalewania do szklanek. Ruszył za Michałem do pokoju.

- Masz pecha, że to się na tobie skupiło – powiedział. – Gdybym to ja wpadł na tę „czternastkę”, nie miałbyś tak przegwizdane.
- Wtedy rozparcelowaliby nas obu, więc nie masz czego żałować. Ja jakoś przeżyję, przynajmniej będę latał. W końcu mam przeszkolenie na *Sukach*. Ty masz tylko na *Zadymiaczu*, więc na pewno zamieniłbyś kokpit na biurko. Choć się skupiło na mnie, to i tak wyjdę z tego obronną ręką.

Marciniak nie był tego taki pewien, ale trzymał fason.

- Pewnie masz rację. Dasz sobie radę. Będziesz latał. Ciekawe. Niektórzy przypuszczają, że w gruncie rzeczy Dziadek próbuje cię ukryć. Podobno jeden z admirałów schował „Formozę” przed jakimiś nawiedzonymi reformatorami. Przedstawił ją w papierach jako zapasową załogę okrętu podwodnego.

Mimo kiepskiego nastroju Marciniak roześmiał się głośno.

- Dobrze – rzekł. Zaraz jednak spowaźniał: – Niech lepiej zatrzymają swoje przypuszczenia dla siebie – przypomniał sobie ostrzeżenie generała. Lepiej, żeby jak najszybciej przestano o całej sprawie gadać.
- Mimo wszystko kiepsko wyszło – podsumował Olszewski.
- Mogliśmy chociaż nie dostać w dupę od *Suk*. Spieprzyłem sprawę. Powiniennem się domyślić, że puścili dwie maszyny blisko siebie, żeby oszukać radary pokładowe. Podeszli pod osłoną zakłóceń, a myśmy nawet się nie połapali, że nie powinni lecieć tak blisko siebie, skoro na radarze były dwa echa. Ten trzeci miał łatwą robotę – kiedy zrobiliśmy te trzy czwarte koła na wznoszeniu, on zrobił tylko dziewięćdziesiąt stopni, i wylazł prosto na pozycję strzelecką.
- I tak przez przeoczenie i głupi błąd przegraliśmy walkę, którą powinniśmy wygrać w cuglach – podsumował Olszewski. – Ale to dobre memento: nawet słabszy przeciwnik może ci spuścić łomot, jeśli go zlekceważysz lub przeoczysz coś istotnego. Nadmiar pewności siebie szkodzi.
- Jasna sprawa. Powiem to na twoim pogrzebie.
- Wyluzuj Gizmo. Ty chyba jesteś naprawdę sfrustrowany. Otworzę ci piwo. Powinieneś się napić, zanim zrobisz sobie krzywdę przy pakowaniu – Olszewski ruszył do kuchni i wrócił z otwartą puszką. – Za twój szybki powrót do grona władców przestworzy – podał Marciniakowi piwo.

- Amen! – powiedział Marciniak. Łyknął większy haust z puszki i poczuł, że Olszewskiemu należą się przeprosiny. – Przesadziłem z tym pogrzebem. Powiem to na twoim ślubie.
- Idź w cholerę! Prędzej sam się ożenisz. Nie jeźdź za często do Poznania, bo ściągniesz Łysoniowi na kark całe tabuny blondynek z wielkimi oczami.

Wizja piersiastych blondynek galopujących po powidzkiej bazie i podkopujących morale i dyscyplinę w eskadrze pułkownika Nowaczyka była tak sugestywna, że Marciniak parsknął śmiechem i piwem.

- Niech cię diabli, Olcha! – rzekł, rozglądając się za jakąś ścierką czy ręcznikiem – Trzeba było tam w powietrzu zaserwować taki tekst przez radio naszym kumplom z *Suk*. Spadliby ze śmiechu do wody, zanim w ogóle byśmy ich zobaczyli.

Linia kolejowa Warszawa-Kutno godz. 9:30

Pociąg pospieszny relacji Lublin-Kutno gnał przez Mazowsze. Nawiew powietrza przez otwarte okno obniżał nieco temperaturę, upalną jak na początek maja, i wrzucał zapachy lasu i krzewów do rozgrzanego wagonu.

Marciniak siedział zamyślony, obserwując przesuwające się pola, lasy, drzewa i zarośla. Od poprzedniego dnia zdołał nieco otrząsnąć się z nieprzyjemnego zaskoczenia, jakie spowodowała decyzja generała Zdaneckiego. Przespawszy nieco problem po dość poważnej dawce piwa, jaką wlał w siebie przy okazji nasiadówki z Olszewskim, usiłował ocenić sytuację na zimno i trzeźwo.

Przeniesienie go z powrotem do jednostki latającej na *Su-22* stanowiło w istocie regres. Trafił do Powidza po Akademii i spędził tam dwa lata szlifując specjalność, której nie chciał. Od wczesnej młodości być pilotem myśliwca – jak Skalski, Urbanowicz, czy Cunningham. Udało mu się przeskoczyć na *Zadymiacze* i dochrapać umiejętności uprawniających do udziału w operacjach taktycznych. Teraz jednak Zdanecki cofnął bezterminowo to, co wcześniej mu podarował.

Marciniak nie wierzył w to, że zsyłka zakończy się szybko. Musiał odświeżyć nawyki do samodzielnych lotów na *Sukach* i przynajmniej jakiś czas odbębnić swoje. Z całą pewnością będzie to czas dłuższy niż podyktowany chęcią ukrycia go przed mediami. I – zapewne – motywowany czymś zupełnie innym. Czas życia tych powodów i pozostawania w Powidzu pozostawał nieznany.

Do tego dowódcą 67 eskadry był pułkownik Nowaczyk, zwany z racji wyglądu Łysoniem. Marciniak nie przepadał za pułkownikiem i vice versa. Ich niechęć datowała się z czasów poprzedniej służby Michała w Powidzu, kiedy to Nowaczyk był zastępcą dowódcy Sześćdziesiątej Siódmej. Ówczesny major dorabiał się swego przydomka, tracąc intensywnie owłosienie i cierpiąc z tego powodu. Wymagający i służbista, przypominał Marciniakowi Szwejkowego generała-majora von Schwarzburga. W nieoczekiwanie mało dyskretnym towarzystwie Marciniak podzielił się tym skojarzeniem, stając się autorem przydomka majora i zarazem najbardziej jego zniechęconym podwładnym. Łysoni potrafił nieźle dokuczyć tym, których nie lubił. Kilku pilotów, którzy albo mu podpadli, albo nie pasowali charakterem, poprosiło o przeniesienie lub poszło na emeryturę. Teraz eskadra miała wakaty, co zdaniem Marciniaka było efektem polityki personalnej Łysonia.

Pal sześć pułkownika – wytrzymał z nim jako zastępcą, to i jakoś zniesie go jako dowódcę, tym bardziej, że tam nie ma kto latać. Pytanie czy rzeczywiście latać, czy tylko siedzieć na dupie w bazie dla wykazania, że eskadra ma pełny etat. Najbardziej w tym wszystkim dokuczliwe było jednak poczucie tymczasowości zsyłki. Ni cholery nie można było nic zaplanować. Kiedy Zdanecki pozwoli mu wrócić? Czy wróci do tej samej jednostki? Nawet składanie wniosku o przeniesienie miało w tej sytuacji niewiele szans na powodzenie. Mógł zostać w 67 eskadrze na *Sukach* lub wrócić do Mińska albo Malborka na *MiGi*. Nawet Zdanecki nie wysłał go na kolejne przeszkolenie na *F-16*. Oznacza to, że prawdopodobnie będzie latał na sprzęcie radzieckiego pochodzenia do końca kariery lotniczej. Pół biedy, jeśli to będą *MiGi*, jeśli zostanie na stałe przy *Sukach*, może doczekać ich końca w służbie, ale już bez następcy. Zostanie wtedy etatowym lotnikiem bez samolotu, z koniecznością kolejnego przeniesienia na drugi koniec Polski, jeśli zwolni się etat na *MiGi* lub doczołgania się do końca kontraktu i pójścia pod kapelusz.

Gdyby nie obecność współpasażerów, porucznik głośno przeklinałby własną głupotę, choć głośne przeklinanie zdarzało mu się bardzo rzadko. Gdyby pozostał w Powidzu, poczekał i wystąpił o przeszkolenie na *F-16*, gdy zaczęły one napływać w 2006 do kraju, byłby teraz w Poznaniu i latał na najnowocześniejszych maszynach w Siłach Powietrznych. Chętnych do latania na *Viperach* było co prawda sporo, ale w końcu spełniał wszystkie warunki i prędzej czy później tam by trafił. Głupi, szczeniacki, niecierpliwy odruch, który ktoś odpowiednio wysoko potraktował poważnie, teraz wychodził mu bokiem.

Jakie miał perspektywy? Stopień kapitana i uposażenie zasadnicze nieco ponad trzy tysiące złotych po piętnastu latach służby? Przejście wtedy na emery-

ture wynoszącą w takim czterdzieści procent uposażenia plus dwa procent za każdy rok latania na naddźwiękowcach? Za służbę w noc, soboty, niedziele i święta? Za gotowość rzucenia wszystkiego, co cenne, rzucenia na szalę własnego życia, lotu tam, gdzie rozkażą? Ryzyko utraty życia było wkalkulowane w ten zawód, w możliwość latania ekstremalnego, przeżycia w kilka minut emocji takich, jakich zwykły nauczyciel czy urzędnik nie doświadczył w ciągu całego życia. Koszt tego był jednak wysoki – nawet jeśli latałeś bezpiecznie, to nie bez skutków ubocznych. Monstrualne, przekraczające nieraz 9 g przeciążenia zostawiały ślad w organizmie, już nie tylko w postaci mikrouszkodzeń kręgosłupa, ale chociażby hemoroidów wywołanych odpływami krwi do dolnych partii ciała. Stale trzeba było dysponować żelazną kondycją i stuprocentowym zdrowiem, by w którymś z ciasniejszych manewrów nie stracić przytomności, nie utracić orientacji i nie walnąć w głęb lub inną maszynę. Do tego wysokie wymagania dotyczące wiedzy z zakresu aerodynamiki, mechaniki lotu, eksploatacji sprzętu, taktyki, procedur, bezpieczeństwa. Jakby tego było mało, niezbędne były odpowiednie predyspozycje psychiczne i cechy osobowości. Przez sito kwalifikacyjne mało kto się przebijał – najwięcej odpadało z powodów zdrowotnych. To był zawód dla prawdziwych twardzieli.

Na to wszystko nakładały się koszty osobiste. Był Nomadą, bez własnego mieszkania, z niewielkimi oszczędnościami odkładanymi kosztem wyrzeczeń. Może kiedyś będzie stać go na jakiś własny kąt, chyba, że się dobrze wżeni, wtedy problem się szybciej rozwiąże. Uśmiechnął się w duchu, gdy skonstatował, że właśnie de facto rozstał się z nieźle zarabiającą kobietą. Wygląda na to, że wszystko się sypie.

Mógł oczywiście zostać pilotem linii lotniczych, które rozwijały się w szalonym tempie. Tyle, czy wiele by to zmieniło? Przy jego gospodarności szybko dorobiłby się mieszkania. Zamieniłby jedną pracę z dala od domu na inną – lepiej płatną, ale nie aż tak interesującą i do tego jeszcze bardziej odpowiedzialną.

Poczucie tymczasowości było dla Marciniaka jeszcze bardziej dokuczliwe, jeśli chodzi o życie osobiste. Agnieszka nie odezwała się od spotkania w Mariotcie i Michał był pewien, że jeśli się odezwie, to jedynie kurtuazyjnie. Trzeba było zacząć wszystko od nowa. Tylko gdzie? Powiedz to dziura. Trzeba będzie robić częste wycieczki do Poznania – tam życie towarzyskie kwitnie. Pytanie – czy jeśli coś się zawiąże, nie będzie właśnie musiał wracać do Mińska?

Na chwilę wrócił myślami do Agniechy – tak nazywał ją w myślach w chwilach złości. Czy dobrze zrobił, stawiając sprawy tak ostro? Chyba tak. Od dawna nie działo się między nimi dobrze. Byli razem od ponad trzech lat. Poznali się na bankiecie organizowanym przy okazji jakiejś konferencji organizowanej przez Ministerstwo Obrony Narodowej. On trafił tam jako reprezentant Sił Powietrznych, ona reprezentowała firmę konsultingową zabiegającą o kontrakty z MON. Po tygodniu znajomości spotykali się regularnie.

Jego zaangażowanie było szczere. Zawodowo robił to, co uwielbiał. Jego życie prywatne wymagało dopełnienia. Miał dość służbowej kwatery i samotnych wieczorów, wypełnianych czasem wyskokami z coraz mniej liczną czeredą pilotów-kawalerów. Nie znosił być gościem w progach pełnych rodzin. Czuł się tam niczym piąte koło u wozu. Spędził niemal rok jako zagoniony podporucznik, zanim udało mu się na dobre zagościć w życiu towarzyskim stolicy. Stwierdził wtedy, że popołudniowo-nocne życie Warszawy i polowanie na znajomości w warszawskich lokalach jakoś go nie kusi. Tamtejsi ludzie stanowili specyficzną społeczność, której całe życie obracało się wokół pracy i klubów. Niektórzy z nich byli wręcz nałogowcami, przesiadywali w klubach całe popołudnia i noce, by wrócić do pracy rano po paru godzinach snu i po dawce „koksu”. Zresztą sama Warszawa niezbyt mu służyła. Potworny pęd do kariery, znacznie większy, niż na prowincji, dawał mu się we znaki. Dla niego kariera, zdobywanie kolejnych stopni i zaliczanie kursów taktycznych były dodatkiem do fascynacji lataniem. Ludzie, z którymi się stykał, porzucili wszystko dla kariery. Styk takich osobowości prowokował do taré i często do nich prowadził.

Po okresie pierwszej fascynacji Agnieszką zaczęło docierać do Michała, że chyba są z innych bajek. Jej znajomi byli typowymi yuppies. Słuchanie o tym, kto i jaki stołek okupuje i jakiego tytułu biznesowego się dorobił, kto i z kim jak duży kontrakt podpisał, nudziło go równie, jak słuchanie o biurowych romansach i kogo przyłapano in flagranti. Po jakimś czasie zorientował się, iż znajomi Agniechy nie traktują go poważnie. Nie był żadną biurową szychą, zarabiał mniej niż oni – a przynajmniej mniej, niż twierdzili, że zarabiają. Wojsko? Dobrze sobie! Po wejściu do Unii niemal nikt ze znajomych Agnieszki nie traktował kariery wojskowej poważnie. Przecież żadnej wojny w Europie nie będzie. Kto dziś robi karierę w niepotrzebnym nikomu wojsku? Szykuje się jakaś wojna? To ostatnie pytanie zazwyczaj powodowało salwę śmiechu. Po jaką cholere oni płacą ciężkie podatki na coś tak bezużytecznego jak wojsko. Nowe *F-16*? Znowu śmiech na sali. Po co nam ten amerykański złom? Tego rodzaju odzywki były powtarzane niczym mantra. Nawet gdy niektórzy z towarzystwa zaczęli brać udział w kursach szybowcowych, rozmowa z nimi na bliskie mu

przecież tematy lotnicze okazywała się męką. Za dużo było w tym lansu, za mało fascynacji lataniem. Do tego życie towarzyskie toczyło się po klubach, w zbyt znacznym, jak na jego potrzeby wymiarze. Być może pracownicy firm potrzebowali tego rodzaju wyżycia się i podniet, ale on po dwóch godzinach ekstremalnego latania potrzebował spokoju i regeneracji sił.

Potem zaczął zauważać, że dla Agi on sam stał się dodatkiem do wizerunku kobiety sukcesu. Pięła się po szczebelkach kariery, zdobywała kolejne certyfikaty, zarabiała nieźle. W odróżnieniu od wielu kolegów z pracy, którzy niczym Nomadzi wędrowali za pracą i gnieździli się po wynajętych mieszkaniach, wybiła się na tyle, by na kredyt kupić kawalerkę na obrzeżach Warszawy. Do tego, by wizerunek sukcesu był pełen, brakowało tylko faceta. Michał był idealny – nie musiała z nim rywalizować na polu zawodowym, zarabiał mniej od niej. Nie mógł przyćmić jej profesjonalnego blasku korporacyjnego prawnika ani zagrozić jej w pracy. Nie siedział każdy weekend, a często i w tygodniu w oparach tytoniowego dymu w którymś z modnych warszawskich lokali. Nikt raczej nie mógł go jej odbić, chyba, że on sam zechciałby związać się z kimś innym.

Czwartkowe spotkanie w Mariottcie uwidocznilo jeszcze raz te rozbieżności. Agnieszka nie widziała życia poza pracą. Nie potrafiła, a może nie chciała szukać nawet kompromisu. Jej wizja była jedyną, jaką akceptowała. „Jeszcze dwa, trzy lata”. W Warszawie mówiła tak większość, po czym z tych trzech lat robiło się siedem lub dziesięć, w których trakcie osiągało się szczyt kariery kosztem innych sfer życia. Co bystrzejsi i lubiący taki tryb życia umieli się ustawić, by tak ciężko nie harować. Mniej czujni nie zauważali pułapki i wypalali się kompletnie, wypadając z gry i ustępując miejsca młodszym.

Ten związek jest skazany na porażkę – do takiego wniosku Marciniak doszedł tuż po spotkaniu z Agnieszką. Nawet jeśli zareagowałyby inaczej, niż przeczuwał. Jeśli nie podejmie decyzji teraz, to potem będzie za późno, a on, zostając z nią, podzieli jej los. Nie ma czego żałować, trzeba rozejrzeć się za jakąś lasią w Poznaniu i okolicy.

W kieszeni Michała zadzwonił telefon. Ucieszył się, widząc na wyświetlaczu identyfikację rozmówcy.

- Cześć Kaziu! – powitał brata. – Przywiało cię z morza?
- Cześć młody! – baryton Kazika zdradzał spokój i pewność siebie. – Tak, stoimy w Gdyni – potwierdził. – Słyszałem, że się przenosisz w rodzinne okolice?
- Na to wygląda. Nie wiem jeszcze na jak długo.

- Smutna sprawa, ale jest w tym wszystkim zabawny moment. Wiesz, nastraszyłeś zdrowo faceta, który dołożył nam na ćwiczeniach.
 - Szkoda, że nie w ćwiczebnej walce.
 - Niekoniecznie. To lepszy numer. Przypaliłeś mu wąsy gazami wylotowymi.
 - Co?! – Marciniak omal się nie zakrztusił. – W jaki sposób?
 - Mieli boczną owiewkę otwartą po stronie dowódcy, kiedy minąłeś się z nimi. Wiara ma ubaw, bo facet jest znany z polowań na podwodniaków i z wąsów właśnie. Wśród podwodniaków jesteś bohaterem, bracie. Przyszygłeś wąsy Napierale!
 - Ech, żeby to miało tylko tę zabawną stronę. Wpadniesz na chwilę do rodziców? – zmienił temat.
 - Postaram się. Zależy, czy nie wyślą nas znowu na morze.
 - Znowu? Myślałem, że po ćwiczeniach będziemy mieli wszyscy trochę spokoju.
 - Dobrze by było. Może się jednak nie udać. Mam tu sporo roboty z doszlifowaniem okrętu. Usuwamy wszystkie usterki i niedoróbki, być może zamiast na morze, trafimy do doku. Czeski film, nikt nic nie wie...
- Ostatnie słowa zastanowiły Michała. *Orzeł* był ostatnio w remoncie. Czyżby aż tak się sypał czy ktoś po prostu miał za dużo kasy?
- Chyba nie wysyłają was na wojnę? – zażartował.
 - Nic mi o tym nie wiadomo. A gdyby nawet było, to i tak bym ci o tym nie powiedział.
 - Akurat!
 - Żartuję. Poradzisz sobie z *Su-22*?
 - Nie było głębszych pytań w zestawie? – zirytował się Michał – Przystań mnie traktować jak dziecko. Latałem na *Sukach* dwa lata. Odświeżę sobie nawyki i wszystko będzie okej. Chcesz się zamartwiać, to pomyśl o mojej karierze. Wolałbym nie utknąć na dobre w Powidzu. Szlag by trafił ten przydział.
 - Nie utkniesz. Jak będzie taki szajs z kadrami, prędzej czy później będą potrzebni piloci do lepszych maszyn. Wyrwiesz się.
 - Mam nadzieję.
 - Ok, muszę kończyć. Przyjadę do staruszków albo zadzwonię Skypem, to sobie dłużej pogadamy.
 - Trzymaj się, Kazik.
 - Trzymaj się młody.

Michał schował telefon. Zwrócił twarz ku rozświetlonemu krajobrazowi za oknem i znowu pogrążył się w kalkulacjach na temat tego, co dalej robić.

Gniezno, dom Aleksandry i Wacława Marciniaków godz. 18:00

Marciniak siedział w fotelu, w pokoju gościnnym w towarzystwie rodziców, w ich domu w Gnieźnie. Siostry nie było, pojechała do Inowrocławia, z wizytą do koleżanki. W późne, piątkowe popołudnie osiedle domków położone z dala od głównych ulic było ciche i senne. Łatwiej było zebrać myśli i zdystansować się od problemów.

- Z tego, co mówisz, wynika, że dostałeś odpryskiem – powiedział ojciec. Wacław Marciniak, średniej postury, szpakowaty mężczyzna pod sześćdziesiątkę, był dla Michała uosobieniem spokoju i mądrości życiowej. Niemal całe życie nauczyciel historii w jednym z gnieźnieńskich liceów, obecnie na emeryturze, żywo interesował się polityką i wojskowością, ale i ludzkimi motywacjami, namiętnościami i słabościami. Niektórzy twierdzili, że za mocno, bo zaraził swoimi pasjami synów. Inni twierdzili, że za słabo, bo nie rozpoznał w porę ich militarnych ciągót. – Wydaje mi się, że właściwie oceniasz sytuację. Powinieneś robić dobrą minę do złej gry i czekać na okazję, żeby się wyrwać.
- To może potrwać długo. Zbyt długo – Michał nie był przekonany. – I bez tego mam w plecy kilka lat. Niektórzy moi rówieśnicy awansowali na kapitanów. Najlepszy ma już niemal w kieszeni awans na majora.
- Trudno. Jakoś to nadgonisz albo odejdziesz do cywila, gdy skończy ci się kontrakt. Martwi mnie co innego. Ta rozróżba z Unią Europejską. Słyszałeś, że pierwsze co zrobią sygnatariusze traktatu, to powołają armię europejską?
- Nie – Michał pomyślał najpierw kilka niezbyt ciepłych słów pod adresem wywiadu wojskowego i obiegu informacji, potem jednak przypomniał sobie, że sam był poza tym obiegiem od kilku dni. – Od kilku dni zajmuje się własnymi sprawami. Co jest grane?
- Niby nic – rzekł Marciniak senior. – Ale czy nie uważasz, że trochę to dziwne, że jeszcze nie wszyscy ratyfikowali ten cholerny traktat, a już Bruksela chce stworzyć euroarmię?
- Istotnie – potwierdził Michał. – Dziwne, że aż tak im się spieszy. Unia Europejska to cholernie dziwna instytucja. Dotuje produkcję rolną, a jedno-

częściej płaci ludziom, żeby powstrzymali się od produkowania. Ekonomia postawiona na głowie, a teraz do tego ta armia...

- Ciekawe, do czego im ona potrzebna? Chyba nie chcą wywołać jakiejś wojny w regionie? – zastanawiał się głośno ojciec.
- Wacek, przestań – wtrąciła się matka. – Masz dwóch synów w wojsku.
- W wojsku, ale jakim?! – zaperzył się Marciniak senior. – Niedoinwestowanym, z sypiącym się sprzętem, w głębokim poważaniu tych, co decydują o pieniądzech. Oczywiście najłatwiej uznać, że armia jest nam niepotrzebna, bo jesteśmy w NATO i Unii. Tyle tylko, że szacunek budzą silni i stanowczy, a napada się słabych i niezdecydowanych.
- Skończ już ten temat! – upierała się matka.
- A co to da, jeśli nie będę mówił? Zmądrzeją od tego i zmieniają plany?
- Chyba nie martwisz się o mnie, tato? – wtrącił Michał, by rozdzielić rodziców. – Nie zanosì się na żaden konflikt zbrojny, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, a mam wiadomości z pierwszej ręki.
- Przed chwilą twierdziłeś, że nic nie wiesz o żadnej euroarmii.
- Racja – zmytygował się Michał. – Ale to chyba jeszcze nie powód do paniki?
- Synu – rzekł ojciec mentorskim tonem. – Samochody robi się po to, żeby jeździć. Samoloty produkuje się, żeby latać. Po co formuje się armię?
- Nie wierzysz, że Europa potrzebuje tej armii, żeby się bronić? – wtrąciła matka.
- A w jaki sposób dywizja oddana do dyspozycji Brukseli ma mnie lepiej bronić od tej samej dywizji dowodzonej w Warszawie? – zapytał Marciniak senior.
- NATO tak samo dowodzone jest z Brukseli... – powiedział Michał.
- NATO nie ma ambicji stać się superpaństwem – odrzekł ojciec. – Rada NATO to przedstawiciele rządów państw członkowskich na szczeblu ambasadora, czasem ministra spraw zagranicznych lub obrony. Traktat Waszyngtoński to czternaście prostych artykułów dedykowanych zobowiązaniom sojuszniczym, a nie trzysta stron bełkotu dotyczącego wszystkich dziedzin życia. A euroarmia ma być podporządkowana Komisji Europejskiej, ciału dyktującemu politykę wewnętrzną i zagraniczną dwudziestu siedmiu państwom. Komisarze unijni nie są przedstawicielami rządów. Parlament europejski ma co prawda uprawnienia kontrolne, a ogólne kierunki wytycza Rada Europejska, ale to Komisja prowadzi bieżącą politykę, nie związaną żadnymi instrukcjami. A propos, co wiesz o działalności swoich europosłów? – zapytał retorycznie.

- Praktycznie nic – stwierdził Michał. – Zapewne masz rację, tato, tyle tylko, że sami chcemy sporo kompetencji oddać.
- Nie my, tylko nasi politycy – rzekł Wacław Marciniak. – To bardzo wygodne przenieść decyzje poza zasięg kontroli wyborców. Ile razy wymogami Unii tłumaczono podwyżkę podatków i wprowadzanie innych bzdurnych przepisów?
- Media wciąż trąbią, jakimi to jesteśmy euroentuzjastami...
- Media, media! – zirytował się Marciniak senior. – Wierzysz we wszystko, co napiszą gazety albo co powie telewizja? Skoro już o entuzjazmie mowa, to jest to entuzjazm nowicjuszy. Wiesz, skąd się bierze?
- Zapewne z braku kontroli na granicach i przyływu unijnych pieniędzy – odpowiedział Michał.
- Masz rację. Tyle tylko, że do układu ze Schengen można przystąpić bez wstępowania do Unii Europejskiej tak jak Norwegia i Islandia, czy niebawem Szwajcaria. Co zaś do pieniędzy... – ojciec odwrócił się na fotelu i sięgnął na regał obok, ściągając niepozorny notatnik i długopis. – Popatrz – podsunął Michałowi czystą kartkę i zaczął wpisywać liczby. – W tym roku dostaniemy z budżetu Unii 11 miliardów euro. Imponująca kwota, prawda? – nie czekając na odpowiedź, wpisał kolejną liczbę: – Ale sami wpłacimy 3 miliardy 222 miliony⁶. Gdy odejmiemy je od tych jedenastu miliardów, nadal zostaje prawie osiem. Wykorzystanie tych pieniędzy w Polsce dzięki skomplikowanym przepisom i procedurom wynosi jakieś 66 procent⁷... – ojciec nadal pisał coś na kartce – Jeśli uwzględnić ten procent, zostaje 3 miliardy 708 milionów. W zeszłym roku nasz produkt krajowy brutto wyniósł około biliona dwustu miliardów złotych⁸. W tym roku wzrośnie o sześć do siedmiu procent. Tak czy inaczej pomoc unijna to około jednego procenta naszego PKB i zaledwie jedna siódma lub jedna ósma wzrostu gospodarczego. Wzrost zawdzięczamy własnej przedsiębiorczości i otwarciu rynków, a nie dopłatom z Brukseli.

Michał siedział w milczeniu i analizował. Liczby nie kłamały.

- Te pieniądze idą jednak w strategiczne dziedziny – rzekł w końcu. – W drogi czy infrastrukturę...
- Znaczna część to dopłaty do rolnictwa, za które płacimy ograniczeniem produkcji w ramach limitów. A to, zgodnie z prawem podaży i popytu, pro-

6 <http://serwisy.gazeta.pl/metroon/1,0,4677380.html>

7 Lidia Joanna Geringer de Oedenberg: *Rola i skuteczność polityki spójności w zmniejszaniu dysproporcji rozwojowych w najbiedniejszych regionach Unii Europejskiej*, http://www.lgeringer.pl/pliki/art_AE.doc.

8 <http://pl.wikipedia.org/wiki/Polska>

wadzi do wzrostu cen żywności. Obrywa przy tym konsument i przemysł przetwórczy. Byliśmy trzecim po Niemczech i Francji producentem cukru w Europie, teraz, dzięki limitom Unii staliśmy się importerem⁹ i zamykamy cukrownie. Więcej skorzystalibyśmy, gdyby zamiast tych bzdurnych dopłat i funduszy była strefa wolnego handlu, przepływu ludzi i kapitału oraz swoboda decydowania o podatkach. A wszystko dlatego, że, zamiast szukać konkretnych projektów i konkretnych korzyści, zgadzamy się oddawać do Brukseli całe połączenie kompetencyjne polityczne i gospodarcze. Co z tego mamy? Poklepywanie po plecach...?

- Nie przesadzaj, tato... – wtrącił Michał.
- Nie przesadzam! – odciął się senior. – Znasz jakieś konkrety na temat zapisaną w eurotraktacie wspólnej polityki obronnej?
- Niespecjalnie...
- Właśnie. Jakie mamy wspólne interesy militarne z Francją, żeby tworzyć połączone siły lądowe? Obronnych żadnych. Co najwyżej Bruksela może używać ich jako sił interwencyjnych. Wspólnym interesem byłaby budowa połączonej obrony przeciwrakietowej, bo to wspólny interes wszystkich państw niezależnie od ich położenia. Jakoś nie słyszałem, żeby to był dla Unii priorytet...
- Przestańcie – wtrąciła Marciniakowa. – Michał zjawia się w domu raz na pół roku, a wy musicie przegadać większość czasu o polityce. W ilu domach toczą się tego rodzaju dyskusje?
- Takie? W zbyt niewielu – stwierdził stanowczo ojciec. – Mało kto się zastanawia nad tym, co dzieje się dookoła i jaki ma to wpływ na rzeczywistość. Mamy potem grupę wierzących w cudowną moc przystąpienia do Unii, a ludziom, którzy chcą dyskutować nie tylko o korzyściach z akcesji, ale też o kosztach i zagrożeniach, od razu przykleja się etykietkę oszołomów...
- To tylko biurokratyczne przepychanki, tato – Michał przerwał tyradę ojca. – Nikt w Europie nie pcha się na wojnę. To za dużo politycznie kosztuje.
- To nie chodzi o koszty, tylko rachunek zysków i strat – odrzekł – rzekł Marciniak senior – A jeśli komuś opłaca się użycie broni, wtedy każdy pretekst jest dobry. Ty i Kaziu jesteście na pierwszej linii, na tych starych gratach. Oby do niczego nie doszło...

9 <http://gospodarka.gazeta.pl/gospodarka/1,33206,5150250.html>

- Możemy zmienić temat? – przerwała mu matka. – Porozmawiajmy o twoich sprawach – zwróciła się do Michała. Dobrze, że skończyło się z tą dziewczyną. To ci tylko wyjdzie na dobre.
- Zapanowała kłopotliwa cisza.
- Sam nie wiem... – zaczął Michał, ale matka nie pozwoliła mu ciągnąć wątpliwości.
 - Ani czasu dla ciebie, ani ślubu, ani dzieci, tylko kariera i pieniądze. Stać cię na kogoś, komu naprawdę będzie zależeć na tobie. I znajdziesz taką kobietę. To tylko kwestia czasu.
 - Z tym czasem to już tracę cierpliwość.
 - Tak już jest w życiu – podsumował ojciec. – Wszystko w swoim czasie.

**Jankowo Dolne k. Gniezna,
17 maja 2008r., godz. 11:30**

Słońce prażyło niemiłosiernie i gdyby nie chłodny wiatr od jeziora i cień lasu, trudno byłoby wytrzymać. W każdym razie powietrze było chłodne i trochę łagodziło słoneczny żar. Od czasu do czasu zawarczał silnik samochodu. Całkiem sporo ludzi, zwłaszcza z Gniezna, przyjechało tu wypocząć.

Michał Marciniak siedział na pomoście, zwrócony twarzą w kierunku jeziora. W tym miejscu niemal nie czuł upału. Miał zamiar spędzić późne popołudnie i wieczór poza Gniezdem. Rodzice zasugerowali, by już przed południem pojechał do swoich ulubionych miejsc, oderwać się od bieżących problemów. Rada była wyśmienita. Powidz i 67. eskadra, Zdanecki i cała reszta wydawali się czymś odległym i nierealnym tu i teraz, w świetle majowego przedpołudnia, w chłodnym wietrze nad wody i w odgłosach miejscowości wypoczynkowej.

Marciniak usłyszał czyjeś kroki. Obejrzał się za siebie. Dwie dość atrakcyjne dziewczyny, na oko nieco po dwadzieścia pięć lat. Szły w stronę końca pomostu, na którego końcu siedział. Krótkowłosa, filigranowa szatynka, ubrana w czarną koszulkę na ramiączkach i beżowe szorty kontrastowała z nieco bardziej kobiecą, długowłosą blondynką o dość wyrazistych rysach, wydatnym nosie, ubraną jedynie w dwuczęściowy, pomarańczowy kostium kąpielowy. Marciniak gotów był się założyć o to, iż blondynka pochodzi z Poznania. I musiał przyznać, że na pierwszy rzut oka jest w jego typie, chociaż absolutnie nie miał nastroju do podrywania.

- Szkoda, że woda jest jeszcze zbyt zimna na kąpiel – odezwała się blondyna. Słyszając zaśpiew w jej mowie, Michał upewnił się w swoim przypuszczeniu.
- Nawet gdyby była ciepła, to i tak nie mogłabyś się kąpać z powodu kwitnienia wody – powiedziała jej towarzyszka. – Powinnaś częściej wyjeżdżać poza miasto. Przy każdej okazji wyłazi z ciebie mieszcuch. Poza wielkomięską dżunglą jesteś bezradna.

Roześmiały się obie.

- Musisz mnie częściej zapraszać, Natalio. Tu chociaż czuję się anonimowo i jest tak spokojnie.

Nim Natalia zdążyła skomentować, w kakofonii dźwięków lotniska wdarł się nagle szybko wzmagający, niski, szum przechodzący w basowy ryk. Marciniak znał ten dźwięk i doskonale wiedział, co to oznacza.

Su-22 wyskoczył znad drzew po wschodniej stronie jeziora. Leciał nisko i szybko na wysokości nie większej niż 50 metrów, ciągnąc za sobą smugę spalin. Maszyna śmignęła nad jeziorem, zagłuszając wszelkie dźwięki potężnym, basowym grzmotem, błyskając słońcem w owiewce kabiny i odcinając się zielenią kamuflażu na tle błękitnego nieba. Sekundę później, nim osłabł huk jego silnika, drugi odrzutowiec poprawił ogłuszający szok po pierwszym, idąc jeszcze niżej. W ciągu niecałych dwóch sekund, w jakich maszyny były widoczne w niewielkiej odległości, Marciniak wyłapał przenoszone na podwieszeniach pierwszego samolotu pociski powietrze-powietrze *R-60* i stację zakłóceń aktywnych *SPS-141* pod drugim. Maszyny odleciały w kierunku północnozachodnim. Oddalały się szybko, pozostawiając za sobą basowy, dudniący grzmot i zauważalną strużkę gorących spalin.

- Chyba o tym spokoju powiedziałam w złą godzinę – odezwała się blondyna, gdy tylko grzmot nieco ucichł. – Często tak latają ci wariaci? – spytała towarzyszki.
- Wariaci to są w psychiatriku, a ci tutaj to zawodowcy – odezwał się Marciniak, którego irytowało nazywanie pilotów wariatami.

Obie kobiety obróciły głowy w jego stronę.

- Czy mi się wydaje, czy nie uważa pan tych niskich przelotów za wariactwo? – zapytała blondynka na poły poważnym, na poły sarkastycznym tonem.
- Wariactwo to jazda sto osiemdziesiąt po mieście, latanie na małej wysokości to element taktyki – odpowiedział Marciniak. – Podczas Pustynnej Burzy jeszcze niższe latanie ocaliło wielu brytyjskich pilotów przed śmier-

cią czy niewolą. Choć Anglicy strasznie narzekają, że RAF straszy bydło na pastwiskach. Podobno od tego oszalały im krowy.

Dziewczyny zachichotały. Blondynka przyglądała mu się uważnie. Oparła ręce na biodrach i wysunęła lewą nogę w jego kierunku, prostując się nieznacznie i eksponując okazały biust. Marciniak poczuł przypływ adrenaliny.

- Pan chyba jest rolnikiem, skoro tak dobrze zna się pan na krowach? – spytała zaczepnie blondyna, uśmiechając się szeroko.
- Rozczaruję panią. Nie znam się na krowach tak dobrze, jak bym chciał – rzekł Michał, starając się mówić od niechcienia. Jestem historykiem – skłamał bez mrugnienia okiem, czując, iż nie powinien wyjawiać swej prawdziwej profesji. – A pani?
- Dziennikarką.
- Pisze pani o życiu gwiazd? – Michał odwzajemnił przytyk, ale dziewczyna puściła go mimo uszu.
- Zajmuję się tematami politycznymi i społecznymi.
- Chyba nie w jednym z tych kolorowych szmatławców? – walnął tym razem z grubej rury.
- Pracuję dla wydania poznańskiego Gazety Codziennej.

Marciniak omal nie gwizdnął. Ledwie powstrzymał się od zrobienia głupiej miny. Gazeta Codzienna była wychodzącym od kilku lat ogólnopolskim dziennikiem o skrzywieniu mocno lewicowo-liberalnym. Po prostu nie mógł lepiej trafić.

- Moja ulubiona.

Jak łączyć to do oporu.

Jego bezczelność osiągnęła zamierzony skutek.

- Darujmy sobie formalizmy – blondyna wyciągnęła rękę – Mam na imię Dagmara.
- Michał – Marciniak był pod wrażeniem jej bezpośredniości. Ucisnął jeszcze dłoń Natalii.
- Naprawdę jesteś historykiem? Masz może coś wspólnego z wojskiem? – zapytała Dagmara, gdy wzajemna prezentacja dobiegła końca.

Marciniak w duchu przyznał, że dziewczyna ma cholerną intuicję.

- Nie. Interesuję się tylko lotnictwem i wojskowością.
- Pracujesz na uczelni?
- W wydawnictwie. Zajmuję się czytaniem i recenzowaniem książek popularnonaukowych – łąkanie szło Michałowi coraz lepiej. Czytywał tego typu literaturę, więc łatwiej...
- Co ostatnio recenzowałeś?

Skubana!

- Tłumaczenie jednej z ksiązek Samuela Eliota Morrisona, historyka marynarki amerykańskiej podczas drugiej wojny światowej. Ta dotyczyła Guadalcanal.

Nie słyszała nigdy o Guadalcanal. To powinno wystarczyć, nawet jeśli sprawdzi w księgarni czy bibliotece. Marciniak nie pamiętał, jakie wydawnictwo wypuściło na polski rynek Guadalcanal Morrisona, ale nie miało to znaczenia, przynajmniej w tej chwili. Podziwiał refleks dziewczyny i odruch sprawdzenia jego prawdomówności. Miał nadzieję, że jego legenda okaże się dobra i wystarczy na ewentualną konwersację, ewentualnie początek dłuższej znajomości.

- Nie wyglądasz na mola książkowego – zauważyła Natalia.
- Bo nie noszę okularów?
- I jesteś zbyt opalony. To dziwne, bo nie ma jeszcze lata – dodała Dagmara.
- Sporo jeżdżę rowerem i szybko się opalam.

Dziewczyny zadowolili taka odpowiedź.

- Mówisz, że znasz się na lotnictwie, i że to niskie latanie to nie popis, tylko zamierzone ćwiczenie – stwierdziła Dagmara. – A wybór *F-16* to nie szaleństwo?

W gruncie rzeczy Marciniak spodziewał się tego pytania. Zadawali mu je wszyscy nowi znajomi, gdy tylko dowiedzieli się, że ma coś wspólnego z lotnictwem. Właściwie to nawet trudno było o jakiś inny wspólny temat.

- Tego nie da się opowiedzieć w dwóch zdaniach – stwierdził. Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Mam trochę przyzwoitych napojów niewyskokowych w samochodzie. Możemy przy nich pogadać o „szesnastkach”.

Ulokowali się w cieniu rozłożystych drzew po wschodniej stronie akwenu, z widokiem na toń wodną i chłodnym, zachodnim wiatrem. Prawdę mówiąc, Michał chętnie napiłby się teraz piwa, ale przyjechał samochodem. Małe jasne nie wchodziło w grę.

- To dobry zakup – stwierdził, gdy w końcu ulokowali się wygodnie. – Narobiono wokół niego dużo czarnego PR i narosło sporo nieporozumień, ale to najlepszy samolot bojowy, na jaki nas obecnie stać. Najlepszy i dostosowany do naszych potrzeb.
- Skoro najlepszy, to dlaczego miał takie kłopoty z przelotem przez Atlantyk? – zapytała Dagmara.

- Próbowalaś przelecieć Atlantyk motolotnią? Albo szybowcem?
 - Nie, ale nie zbudowano ich w tym celu...
 - *F-16* też nie został zbudowany do latania przez Atlantyk – wyjaśnił Marciniak – . Dla niego przelot przez ocean to tak jak dla ciebie wyprawa piesza z Poznania do Gniezna – da się to zrobić, ale trzeba specjalnych przygotowań i odpowiednich warunków. *F-16* to myśliwiec taktyczny. Jego zadaniem nie jest przelatywanie Atlantyku. Ma walczyć na lokalnym teatrze działań, w obrębie jednego-dwóch państw, na terytorium jednego kontynentu. Wiesz od kiedy dwusilnikowe samoloty mogą latać przez Atlantyk?
 - Chyba od wojny?
 - Od 1989 roku, bo wtedy *Boeing 767* jako pierwszy dwusilnikowy linowiec dostał certyfikat amerykańskiego urzędu lotnictwa cywilnego umożliwiający lot w odległości 180 minut od najbliższego lotniska, co było warunkiem dopuszczenia do przelotów transatlantyckich. Zależało to głównie od osiągnięcia odpowiedniej niezawodności silników. *F-16* ma jeden silnik i bez tankowania w locie ma niewystarczający zasięg do przelotu transatlantyckiego.
 - To chyba źle o nim świadczy?
 - Ile znasz myśliwców taktycznych tej klasy, które są w stanie przelecieć z terytorium Stanów na kontynent europejski bez międzylądowania lub tankowania w powietrzu?
 - Chyba każdy?
 - Z Nowego Jorku do Paryża jest ponad 5300 kilometrów. Taki dystans o własnych siłach potrafi pokonać jedynie *F-15*, większy, cięższy i droższy. Potrafił też *F-111*, dopóki nie został wycofany ze służby. Nie mówię oczywiście o przelocie na trasie Nowa Funlandia-Irlandia, bo ta jest krótsza o dwa tysiące kilometrów. Łatwo jest krytykować, bo łatwo jest nic nie wiedzieć.
 - Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Że większość dziennikarzy pisze głupoty bez odniesienia do kontekstu i bardzo istotnych szczegółów. Ciekaw jestem, czy którykolwiek z tak głośno krytykujących nalegałby na kontynuowanie lotu, wiedząc to wszystko, gdyby siedział na tylnym siedzeniu *F-16* podczas tego przelotu i nagle dowiedział się, że z instalacją do tankowania w powietrzu mogą być kłopoty. Chociaż może to tylko zepsuty czujnik?
- Dagmara milczała przez chwilę, potem podjęła bitwę:
- Przyznasz jednak, że te samoloty są awaryjne?

- Każdy nowy sprzęt się psuje, podobnie jak stary. Największą niezawodność osiąga w środku cyklu życia. Myślisz, że czeskie i węgierskie *Gripeny* się nie psują? Słyszałaś, że piloci niemieckich eskadr przezbrajanych *Eurofighter* latali na wycofywanych starych *Phantomach*, bo *Eurofighter* też miały problemy wieku dziecięcego?
- *F-16* to nie są nowe samoloty...
- Nasze są fabrycznie nowe, zarówno płatowce, jak i wyposażenie. Prosto z taśmy. I różnią się zasadniczo wyposażeniem i uzbrojeniem od tych, które wprowadzono do USAF w końcu lat siedemdziesiątych. Tamte miały tylko proste uzbrojenie kierowane powietrze-powietrze i głównie niekierowane powietrze-ziemia. Uzbrojeniem naszych jest broń dalekiego zasięgu w obu zastosowaniach. Nasze *F-16* są najnowocześniejsze spośród używanych przez NATO, nawet przez Amerykanów.
- Skąd o nich tyle wiesz?

Michał roześmiał się.

- Czytam wiarygodne i rzetelne źródła. Rozmawiam z fachowcami. Każdą informację sprawdzam. To chyba elementarz twojego zawodu, nieprawdaż?
- Złośliwiec – rzekła. – Po co nam właściwie te samoloty? Mamy choćby te, które dzisiaj widzieliśmy.
- *Su-22*? Bez żartów! – obruszył się Michał. – Konstrukcja z końca lat sześćdziesiątych, wywodząca się z koncepcji z pięćdziesiątych. U nas latają od połowy lat osiemdziesiątych. Służą wyłącznie do atakowania celów naziemnych, i to w strefie przyfrontowej – tylko takie możliwości mają. Trzeba nim wlecieć w obronę powietrzną przeciwnika, bo właściwie nie posiada uzbrojenia dalekiego zasięgu – Michał nie wspomniał o przeciwradarowym *H-25MP*, bo pocisk ten był właściwie nie do użycia przeciw radarom innym, niż amerykańskich zestawów raketowych *Hawk*. – *F-16* ma broń dalekiego zasięgu, dzięki czemu jest mniej narażony na zniszczenie przez obronę przeciwlotniczą. Nie mówiąc o tym, że jest dużo, dużo zwrotniejszy. W trakcie Pustynnej Burzy *F-16* wymanewrował sześć kolejnych wystrzelonych do niego rakiet.
- To dużo? – spytała Natalia, która nie brała do tej pory w dyskusji.
- Cholernie. Bo każdy taki manewr to utrata energii, która jest niezbędna dla wykonania kolejnego. *F-16* nie tylko odzyskuje energię szybko dzięki potężnemu silnikowi, ale dzięki skrzydłom pasmowym nie traci prędkości w ciasnych skrętach. A skręca dużo ciaśniej niż *Su-22* i dużo szybciej przyspiesza.

- Skrzydła pasmowe? Co to takiego? – spytała Natalia.
- Widziałaś *F-16*? – spytał Marciniak, a gdy dziewczyna skinęła głową, mówił dalej – Przy kadłubie krawędź natarcia – czyli przednia krawędź skrzydła – ma duży skos do tyłu, dalej od kadłuba ma kształt trapezowy, ale o znacznie mniejszym skosie. Przy zwrocie skrzydło musi wytworzyć znacznie większą siłę nośną, by zrównoważyć siłę odśrodkową. Ale i jego opór aerodynamiczny rośnie. Skrzydło pasmowe wytwarza znaczne siły nośne przy proporcjonalnie mniejszym oporze, dzięki czemu samolot nie traci tak nagle prędkości. A prędkość w walce powietrznej oznacza być albo nie być.

Dagmara nie wydawała się przekonana.

- To wszystko piękne. Tylko nadal nie odpowiedziałeś na pytanie, po co nam te samoloty. Jesteśmy w Unii Europejskiej. Jesteśmy w NATO. Kto może nas zaatakować?
- Czy z tego, że wyjdiesz za policjanta lub prokuratora automatycznie wynika, że nikt nie ośmieli spróbować cię napaść i zgwałcić?

Dziewczyny roześmiały się.

- NATO jest silne, bo należą do niego silne militarne państwa. Sojusz polega na tym, że inni bronią nas, ale w razie potrzeby i my bronimy innych. Tymczasem mamy 32 myśliwce i 48 bombowce. To dramatycznie mało jak na państwo tej wielkości, nawet dla własnych potrzeb. A bombowce za parę lat trzeba będzie wycofać, bo będą miały po 30 lat. Trzeba pomyśleć o ich następach.

- Moim zdaniem to całkiem sporo samolotów wojskowych – stwierdziła Natalia.
- Znajdź jakąś skalę porównawczą. Choćby obwód kaliningradzki. Rosjanie mają w tym obwodzie więcej samolotów bojowych niż my. 64 myśliwce i 64 bombowce – nieco nowocześniejsze i silniej uzbrojone niż niecała nasza setka. A pokój nie jest nigdy dany raz na zawsze. Przed pierwszą wojną światową panowało powszechne przekonanie, że wojny należą do przeszłości, bo rozwój przemysłu zapewni wszystkim dobrobyt. Życie paśkudnie rozczarowało naiwnych. Chcesz pokoju, szykuj się do wojny, jak mawiali starożytni.

Dziewczyny milczały chwilę.

- Naprawdę wyobrażasz sobie wojnę w dzisiejszej Europie? – spytała Dagmara.
- W wojnę nikt nie wierzy, dopóki ona nie wybuchnie – rzekł Marciniak, przypomniawszy sobie rozmowę z rodzicami. – Ludzie wolą nie myśleć o najgorszym. Wtedy jest za późno na mobilizację. Konflikt zbrojny wygry-

wa ten, kto lepiej zawnoczu go sobie wyobrazi i lepiej zaplanuje własne wyposażenie i operacje.

- Skończone już o tych zbrojeniach i wojnach – wtrąciła Natalia. – Nie mogę słuchać. Na pewno nic się nie stanie.
- Nie ma sprawy – powiedział Michał. Doszedł do wniosku, że i tak za bardzo je zbombardował informacjami. Miał do siebie pretensje, że rozmowa przybrała taki, a nie inny obrót. Powinien zaczarować te lasie, wziąć od nich numery telefonów i umówić się przy pierwszej okazji. Zamiast tego zmarnował kawałek soboty na robienie PR dla Sił Powietrznych. Nie wiadomo, czy skutecznie. – Za długo gadałem – przyznał się bez bicia. – Opowiedźcie coś o sobie.

Powidz

19 maja 2008r. godz. 7:30

Porucznik Marciniak jechał samochodem w stronę powidzkiej bazy. Był w zdecydowanie lepszym nastroju niż jeszcze w piątek. Miał zameldować się do wódcy eskadry o 8:00. Czasu było pod dostatkiem.

Sobotni dyskurs o lotnictwie udało się szczęśliwie zakończyć. Spędził z obiema dziewczynami jeszcze bitą godzinę, rozmawiając o ich pracy, planach na przyszłość i zainteresowaniach. Dagmara chciała przebić się w zawodzie dziennikarza. Interesował ją reportaż, ciekawostki z życia, obalanie stereotypów. Marciniakowi podobałoby się takie podejście, gdyby nie ideologiczne zacięcie Dagmary w kierunku feminizmu, równouprawnienia czy wszelkiej innej lewicowej maści ideologii, do której słabość wykazała w trakcie rozmowy. Zdaniem Michała za obalanie stereotypów uważała chyba przekabacanie ludzi na jedynie słuszną, lewicową wiarę, w miejsce jednych stereotypów chciała implementować inne, za to, mające zdecydowanie słabsze zakotwiczenie w realiach. Uważała ekologów protestujących przeciw obecności *F-16* w Krzesinach za bardziej wiarygodnych od wojskowych i fachowców – i to nie w sprawach ekologicznych, ale militarnych. Miał wrażenie, że cała jego tyrada na temat lotnictwa zrobiła na niej tylko chwilowe wrażenie, niczym zimny prysznic na osobie ubranej w kombinezon pługonurka. Natalia chyba dała się przekonać, w każdym razie wydała mu się osobą mniej ideologicznie wojującą i bardziej stonowaną. Tak czy inaczej wziął od obu dziewczyn numery telefonów, co jak na jego sobotni nastrój i niezbyt fortunny początek rozmowy było całkiem niezłym wyczynem.

Marciniak zastanawiał się, czego może spodziewać się w bazie w Powidzu. Łyson z pewnością nie powita go kwiatami, jednak jakoś to przeżyje. Gorące, acz jadowite przyjęcie czeka go ze strony starych kumpli. I to pewnie będzie koniec emocji. Czeką go rutyna eskadry, która miała wynieść się z Powidza kilka miesięcy wcześniej, by zrobić miejsce transportowym *Herculesom*, i – być może – kolejne przeniesienie wraz z jednostką.

Dojechał do bramy. Pokazał wartownikowi rozkaz. Po kilku minutach przybył dowódca warty, który był władny wystawić mu tymczasową przepustkę i wpuścić go na teren bazy.

Do ósmej zostały dwadzieścia trzy minuty. Marciniak rozejrzał się po lotnisku. Już na pierwszy rzut oka zauważył dziwny ruch. Sporo maszyn stało na zewnątrz, na stojance. Kręciło się przy nich sporo ludzi, co było zaskakujące o tyle, że eskadry wyposażone w *Su-22* miały kłopot także z personelem technicznym. Porucznik przypomniał sobie, co mówiła Natalia o intensywnych lotach *Suk* w ostatnich tygodniach i zaczął się zastanawiać, co to może oznaczać. Zaraz jednak dał spokój – był przekonany, że pułkownik rzuci nieco światła na tę niespodziewaną aktywność. Po wyłączeniu silnika samochodu do porucznika dotarł wizg pracujących na niskich obrotach silników odrzutowych. Marciniak wysiadł z samochodu. Zaraz potem dwie *Suki* wysunęły się z szeregu maszyn i pokołowały na zachodni, bliższy porucznikowi koniec pasa, ciągnąc za sobą ogon gorącego, rozedrganego powietrza.

Marciniak przyjrzał się *Sukom*. Kiedy w połowie lat osiemdziesiątych wprowadzano je na uzbrojenie, ochrzczono je z rosyjska mianem „supertechniki”. Teraz z tego pojęcia została co najwyżej „technika”, ale nie najwyższych lotów. Bo czego spodziewać się po samolocie, którego koncepcja wywodziła się w prostej linii z pierwszych naddźwiękowców Suchoja z lat pięćdziesiątych? Nawet na Zachodzie to dostrzeżono i najnowocześniejszy z potomków *Su-7* otrzymał identyczną nazwę kodową w NATO – *Fitter*. Wlot powietrza na dziobie rozdzielany stożkiem regulacyjnym, który w „22” był nieruchomy – charakterystyczny dla konstrukcji z tamtego okresu – nie zostawiał miejsca na radar, co najwyżej na prosty podświetlacz laserowy. Wszystkie cele pilot musiał wykrywać wzrokowo.

Obecny stan tych maszyn w niewielkim stopniu odpowiadał zarówno wymogom pola walki, jak i potrzebom Sił Powietrznych. Zaprojektowano je z myślą o wspieraniu nacierających na Zachód wojsk Układu Warszawskiego. Miały razić powierzchniowo gradem bomb i zmasowanym ostrzałem rakietami niekierowanymi pozycje obronne NATO, ewentualnie punktować rakietami naprowadzanymi telewizyjnie lub laserowo czołgi, bunkry, punkty dowodzenia

czy – raketami naprowadzającymi się na emisję radarową – radary kierowania ogniem raketowych zestawów przeciwlotniczych. Niewielki zasięg i brak ciężkich, precyzyjnych, naprowadzanych laserowo bomb praktycznie wykluczało ich użycie do zniszczenia mostu na zapleczu atakującego przeciwnika. *Su-22* nie posiadały żadnego urządzenia pozwalającego wykrywać cele inaczej niż wzrokowo i wskazywać je uzbrojeniu kierowanemu. Przeciętna zwrotność, brak radaru i zredukowane do minimum uzbrojenie powietrze-powietrze radykalnie ograniczały ich użycie w charakterze myśliwców. Jedynymi ich walorami taktycznym była szybkość i zdolność – dzięki skrzydłu o zmiennym skosie końcówek i dużym obciążeniu powierzchni nośnej – do szybkiego lotu koszącego tuż nad ziemią. Nie miały nawet łącza wymiany informacji taktycznej – jakim dysponowały wdrażane właśnie *F-16* – które pozwoliłoby im zwalczać cele wskazywane przez inne samoloty. W latach dziewięćdziesiątych przespano jednak najlepszy moment na ich gruntowną modernizację. Teraz gdy powoli dobiegały już technicznego kresu swojego życia, taka modernizacja nie miała sensu. Ostatnie maszyny miały być wycofane w 2014 roku, ale Marciniak wątpił, czy istotnie posłużą tak długo.

Ciemnozielone, z rzucającym się w oczy charakterystycznym garbem za kabiną pilota i jaskrawożółtymi trójkątami ostrzegawczymi przy wlocie powietrza na dziobie, dwie Suki przeładowały z przeraźliwym wizgiem przed Marciniakiem na koniec pasa startowego. Tam zatrzymały się na chwilę, by uzyskać zgodę na start i sprawdzić po raz ostatni stery. Marciniak widział, jak poruszają się stery kierunku i wysokości. Chwilę potem piszczący, wysoki odgłos silników przeszedł w szum i basowy grzmot. Maszyny ruszyły, za ich dyszami wylotowymi powietrze zakotłowało się i pojawiły jęzory ognia z dopalaczy. *Su-22* rozpędzały się równo na pasie startowym. Po pokonaniu około kilometra i osiągnięciu prędkości ponad 300 kilometrów na godzinę wzbily się w powietrze. Maszyny schowały podwozie tuż po oderwaniu się od ziemi i kontynuowały płaskie wznoszenie jeszcze przez kilkadziesiąt sekund, by ostro odbić w lewo i zniknąć z oczu porucznikowi za zabudowaniami bazy.

Marciniak stanął się w gabinecie dowódcy eskadry siedem minut przed ósmą. Kancelista zaanonsował go pułkownikowi, a ten, bez zbędnych ceregieli wezwał porucznika do gabinetu. Marciniak wszedł, stanął na baczność i zsalutował.

Pułkownik Waldemar Nowaczyk był średniego wzrostu, nieco korpulentnej budowy, mężczyzną. Ciemny blondyn, z pokaźną łysiną czołową, obok przy-

domka Łysoń nazywany był zwyczajnie „Starym”, jak mawiało się zazwyczaj na zwierzchników. Na *Su-22* latał od początku swojej lotniczej kariery. Sześćdziesiątą siódmą dowodził od roku.

Obecność Marciniaka w Sześćdziesiątej Siódmej była problemem także dla Nowaczyka. Nie znosił porucznika, uzasadniając to zarazem – po części zasłużoną – utalentowany lotnik, ale zbyt niezależny i niesubordynowany, by być pilotem wojskowym. Tak naprawdę dla Nowaczyka Marciniak był zbyt niezależnie myślący i nie miał wrodzonego szacunku dla przełożonych. A nigdy nie nabył szacunku dla Łysonia, zwłaszcza po pamiętnym incydencie schwarzburskim. Pułkownik chętnie dokopałby Marciniakowi, jednak wiedział, że aby się wychylić i sobie samemu sprowadzić na głowę kłopoty, trzeba mieć dobre uzasadnienie. By dać mu takowe, Marciniak musiałby coś poważnie przeszkrobać.

Pułkownik przyjął honory i wskazał miejsce.

– Niech pan siada poruczniku – zaczął przemowę Łysoń. – Jako dowódca eskadry pierwszy i ostatni raz tytułuję pana, przynajmniej, dopóki nie przyjdzie nam się rozstać, niezależnie od okoliczności. A te, jak pan wie, niezbyt panu sprzyjają.

Marciniak wyczuł od razu, że nie będzie lekko.

– Prosiłem o doświadczonego lotnika, a przysłali mi pana. Pańskie doświadczenie na *Zadymiaczach* przyda się nam niewiele albo wcale. W dodatku odszedł pan z eskadry na własną prośbę, co oznacza, że nie chce pan latać na *Su-22*. Prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Oczekuję lojalności i dyscypliny, wykonywania rozkazów bez szemrania. W przeciwnym wypadku szybko się pożegnamy, ale nie w tak korzystny dla pana sposób, jak ostatnio.

Porucznik spodziewał się gorącego powitania, jednak ten nadmiar czułości ze strony dowódcy od razu zaczął mu wychodzić bokiem.

– Ma pan nietypowy przebieg kariery, trafia pan też do mojej eskadry w wyniku niezbyt fortunnego dla pana przebiegu wypadków – kontynuował Łysoń – Ma pan uprawnienia do pilotowania *Su-22*. Ze względu na zdarzenia, które zaprowadziły pana aż tutaj, musi pan szczególnie uważać, by nie wdać się w jakąś awanturę, nie doprowadzić do jakiegoś wypadku, nie wejść w konflikt z przełożonymi.

O tak, pomyślał Marciniak. Awantury z przełożonymi to moja specjalność. Czuł, że cały występ pułkownika to jedynie przykrywka do jakiejś rewelacyjnej propozycji. Nie pomyślał się.

– Będzie pan latał, i to całkiem sporo – podjął Łysoń. – To, co pan usłyszy teraz, jest ściśle tajne. W ramach programu „Kwazar” modernizujemy *Su-*

22UM3 do walki radioelektronicznej i przełamania obrony powietrznej. Szczegóły programu są tajne, dlatego zapozna się pan z nimi później. Będzie pan latał z oficerem walki radioelektronicznej.

O w mordę! Takiego nadmiaru szczęścia Marciniak w ogóle się nie spodziewał. Nie dość, że będzie latał najstarszym samolotem taktycznym w Siłach Powietrznych, to na dodatek będzie woźnicą dyliżansu z pasażerem i radiem.

Łysoń jakby czytał w jego myślach.

- Jeżeli myśli pan, że będzie się nudził, zapewniam, że jest pan w błędzie. Jest sporo latania dla tych maszyn, także na poligon, do prób z nową bronią. Czeka pana pracowite lato. Ma pan jakieś pytania?
- Nie, panie pułkowniku.
- Witam w Sześćdziesiątej Siódmej. Wydałem już niezbędne rozkazy. Proszę pobrać w kancelarii dokumenty i wyposażenie z magazynu. Potem może pan się zapoznać z maszyną, odbyć loty kwalifikacyjne i poznać szczegóły Kwazara, gdy tylko będzie pan gotów do samodzielnych lotów. Osobiście sprawdzę pańskie kwalifikacje w powietrzu.

Marciniak wyszedł z gabinetu dowódcy zdruzgotany. Niech to jasna cholera!

Rozdział III

Artykuł 10: Prawo Unii

- 1. Konstytucja i prawo przyjęte przez instytucje Unii w wykonywaniu powierzonych jej kompetencji mają pierwszeństwo przed prawem Państw Członkowskich.**

(projekt Traktatu ustanawiającego Unię Europejską)

Z ostatniej chwili:

Dymisja premiera Targalskiego

Premier Dariusz Targalski podał swój gabinet do dymisji. Bezpośrednią przyczyną była niemożność znalezienia konsensusu w sprawie powtórnego głosowania nad ratyfikacją eurotraktatu. Gabinet Targalskiego będzie pełnił obowiązki do czasu powołania nowego rządu.

Radwański premierem

Rzeczpospolita, 12 maja 2008r.

Jan Radwański, członek konserwatywnego skrzydła rządzącej PKL został wczoraj desygnowany przez prezydenta Chłopickiego na urząd premiera. Poprzedni premier, Dariusz Targalski, ustąpił po nieudanej próbie przeforsowania kolejnego głosowania nad ratyfikacją eurotraktatu. Według nieoficjalnych informacji sprzeciwiła się temu znaczna część klubu parlamentarnego PKL.

Radwański już zapowiedział, iż powtórnego głosowania nad ratyfikacją eurotraktatu nie będzie: „Nie może być tak, że Komisja Europejska mówi polskiemu Sejmowi, jak mają głosować polscy parlamentarzyści. Wynik głosowania trzeba uszanować także wtedy, gdy jest on nie po czyjejs myśli”. Dodał, że Polska

prawdopodobnie ratyfikuje eurotraktat, gdy zostaną złagodzone postanowienia oddające znaczną część kompetencji Brukseli.

Zbrojne ramię Europy El Pais, 12 maja 2008r.

Wczoraj w Brukseli odbyła się oficjalna uroczystość podpisania umowy wojskowej o powołaniu Europejskich Sił Zbrojnych – European Armed Forces – EAF. Porozumienie podpisali ministrowie spraw zagranicznych Niemiec, Francji, Hiszpanii, Włoch, Holandii, Belgii, Danii i Portugalii. Poszczególne państwa oddelegują ze swych sił zbrojnych jednostki lądowe, lotnicze i morskie pod komendę Połączonego Dowództwa Sił Europejskich z siedzibą w Utrechcie. – Jestem szczęśliwy z powodu zawarcia tego porozumienia – powiedział Marc Vandenoot, przewodniczący Komisji Europejskiej. – Dzięki sformowaniu sił zbrojnych podległych bezpośrednio Komisji Europejskiej będziemy mogli szybciej reagować w sytuacjach kryzysów humanitarnych, w razie zagrożenia terrorystycznego czy łamania na wielką skalę praw człowieka.

Unia Europejska – militarny mocarz czy papierowy tygrys? The Jeruzalem Post, 12 maja 2008r.

Wbrew buńczuczным zapowiedziom Marca Vandenoota, przyjęcie eurotraktatu nie wzmacnia Unii Europejskiej. Unia nie stanie się z dnia na dzień potęgą ani polityczną, ani gospodarczą, ani militarną. Politycznej jedności, wbrew zapowiedziom eurokratów, nie ma, swobodę gospodarczą krępuje zbyt wiele przepisów i biurokracji, zaś powołana ostatnio euroarmia wygląda dobrze na papierze. W rzeczywistości siły te nie są w stanie skutecznie zareagować w razie istotnego kryzysu światowego, ze względu nie tyle na militarną słabość Unii, co brak politycznej woli zdecydowanego działania. Samo istnienie tych sił daje Brukseli do ręki nowe możliwości militarnego i politycznego szantażu.

Unia Europejska udziela Polsce ostrzeżenia Le Soir, 12 maja 2008r.

Rada Ministrów Unii Europejskiej na wniosek Komisji Europejskiej przyjęła zalecenia dotyczące respektowania przez Polskę praw człowieka. Polska została skrytykowana za brak współpracy w zakresie wyjaśniania sprawy tajnych więzień CIA oraz brak poszanowania dla mniejszości. Przewodniczący Komisji

Europejskiej, Marc Vandoort ostrzegł rząd w Warszawie przed dalszym naruszaniem praw człowieka. Zapowiedział, iż w razie braku poprawy sytuacji w zakresie praw człowieka w Polsce, Komisja Europejska gotowa jest podjąć zdecydowane kroki z zawieszeniem Polski w prawach członka Unii Europejskiej łącznie.

Powidz, baza lotnicza **12 maja 2008r. godz. 10:20**

Marciniak znalazł się w domku pilota krótko po tym, gdy uporał się z niezbędną papierkową robotą. Miał jeszcze tego dnia polecieć „szparką” – czyli dwumiejscową wersją ze zdwojonymi z Łysoniem na loty kwalifikacyjne, niezbędne, by dopuścić go do samodzielnego pilotowania *Su-22*. Dziwił go trochę pośpiech z przygotowaniem go do latania. Być może Nowaczyk nie miał pilotów dla *Szparek*, a chciał zdążyć z testami programu Kwazar. Nie tłumaczyło to jednak wzmożonego ruchu wokół jednomiejscowych *Su-22M4*. Od jego porannego przyjazdu co najmniej dwie pary poszły w powietrze. Wizg silników towarzyszył mu przez większość przedpołudnia – najwyraźniej były przeglądane i rozgrzewane.

Na 11:30 miał zaplanowany pierwszy z serii lotów. Miał nadzieję znaleźć się w szatni sam, ale srodze się rozczarował. Ruch tu był równie duży, co na płycie lotniska. Gdy tylko wszedł do szatni, rozległy się okrzyki:

- Patrzcie, kto przyjechał!
- Myśliwski syn marnotrawny wrócił do bombowców!
- Jaka jest głębokość kanału portowego w Darłównu?!
- Ile lasek przeleciałeś na plaży?!
- Sporo, ale jeszcze twoją mogę przelecieć! – odkrzyknął Marciniak.
- Nowa taktyka myśliwców – na mrówkolwa! Zagrzebany głęboko w piachu!
- W powietrzu są dwa rodzaje samolotów: bombowce i plażowicze!
- Piloci bombowców tworzą historię, piloci myśliwców polegli na plaży!

Rozległy się śmiechy, gwizdy i brawa. Marciniak ścisnął ręce pilotów 67. ELT. Większość z nich znał z poprzedniego okresu służby w eskadrze, ze szkoły oficerskiej lub z rozmaitych ćwiczeń i kursów taktycznych. Szczególnie serdecznie powitał Adama „Tkacza” Tkaczyka, starego kumpla jeszcze z Dębłina. Tkacz twierdził, że by dostać się do lotnictwa, kazał sobie zoperować zniekształconą przegrodę nosową. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że sfalszował w tym celu zgodę rodziców na zabieg i przekupił lekarza, by ten

nie zadawał zbędnych pytań. Tkacz, potężnej postury blondyn, były wicemistrz Małopolski juniorów w boksie, na ziemi hulaka-weteran i nieodpowiedzialny lekkoduch, gustował w mało wyszukanych rozrywkach i nie przepuszczał żadnej okazji do bijatyki. Był pożądanym materiałem na wszelkich wypadach, w trakcie których dochodziło do bliskich spotkań trzeciego stopnia z agresywnymi przedstawicielami innych rodzajów wojsk, nerwową miejscową młodzieżą czy wszędzie aktywnym lumpenproletariatem. Po jego interwencji przeciwnik zazwyczaj wycofywał się w nieplanowanym pośpiechu na nigdy nieupatrzone pozycje tyłowe – i to zazwyczaj mocno zdekompletowany. Tkacz stanowił kompletne przeciwieństwo wyważonego Marciniaka. W powietrzu był równie groźny jak na ziemi po kilku głębszych, których zresztą nie unikał. Mimo wszelkich wad charakteru Tkacza Marciniak szczerze żałował, że nie trafili razem do myśliwców. Po kilku piwach szczerze twierdził, że byliby parą nie do pokonania. Bardziej przytomni uczestnicy lotniczych dyskusji skłonni byli jednak przypuszczać, że najcięższa walka odbyłaby się między Gizmo i Tkaczem – o przywództwo. Byli stworzeni, by walczyć ramię w ramię i uzupełniać się, ale nigdy jeden pod komendą drugiego. Ich różnice temperamentu stale dawały o sobie znać w sprzeczkach i utarczkach słownych, które nigdy jednak nie doprowadziły do poważniejszego konfliktu.

Marciniak i Tkaczyk nie widzieli się niemal od roku. Dlatego rozmawiali wyjątkowo zgodnie i bez specjalnych docinków.

- Kopecte lat, Tkaczu! Jeszcze cię nie wylali? Mają tu klasztor czy brakuje lokalnych zabijaków?
- Czolem Gizmo. Zastanawiam się czy to ty, czy przebrane białe myszy po ostatnim ochlaju. A może to już nie Gizmo, tylko Bumerang!
Salwa śmiechu gruchnęła w szatnie, choć już mniej imponująca niż przed chwilą. Lotnicy rozchodzili się do swoich zajęć.
- Jak pojedziesz do Australii, z pewnością zarobisz na ksywkę Kangur; powodów sam się domyśl – odciął się Marciniak.
- Sławą na pewno ci nie dorównam. Wieść gminna niesie, że niewiele brakowało, a urządziłbyś nam wspólną stypę z Marynarką i cywilami.
- Zawsze słuchałeś plotek niczym stara baba, w maglu. Gdzie tu się wiesz upraną bieliznę? – Marciniak rozejrzał się teatralnie. – Nasza armia jednak szybko się zmienia. Wczoraj było „przed przeczytaniem spalić”, dziś mówi się o wszystkim, nawet takim papugom jak ty.
- Na długo do nas wróciłeś?

- Cholera wie. Prawdę mówiąc, najwięcej zależy od was. Podobno jesteście tak cieni, że wyjadę dopiero wtedy, gdy czegoś się ode mnie nauczycie.

Kilku pilotów zgodnie wyciągnęło w jego stronę wysunięte środkowe palce.

- Co tu się w ogóle wyprawia? – Marciniak próbował poruszyć poważniejszy temat.
- Nudno jak zwykle. Mała dziura, wielkie lotnisko, kiepskie piwo i kompletny brak dup...
- Pytam poważnie. Ślepy nie jestem, widzę, że podnosicie gotowość bojową. Chyba nie przez Kwazar, bo to dotyczy *Szparek*.
- Kwazar? Już dotarły do ciebie plotki? Mamy gdzieś przeciek?!
- Sam jesteś jeden wielki przeciek. Wszyscy o tym gadają. Mówiłem coś o maglu? A już całkiem serio: Łysoń wspomniał o programie. Tylko nic nie napomknął o szczegółach.
- Ode mnie ich nie poznasz. Są tajne.
- Przestań pieprzyć...
- O przygodach z laskami mogę ci opowiadać, ile wlezie. Tu jednak wchodzi w grę moja wojskowa i lotnicza reputacja.
- Twoja lotnicza reputacja? ! Jest w ogóle coś takiego?? – Marciniak skorzystał z tego, iż szatnia szybko pustoszała. – Przestań zgrywać służbiste i gadaj, o co właściwie biega z tym Kwazarem? Chcą mnie wrzucić w to gówno.

Tkaczyk rozejrzał się wokoło.

- Tylko nikomu ani słowa zanim...
- Wiem, zanim nie dostanę do ręki papierów z adnotacją „przed przeczytaniem spalić”. Mam latać na s. O co tu, do diabła, chodzi?
- Cholera, jakiś ty ciekawski. – Tkaczyk chwycił Michała za rękaw i pociągnął w ustronny zakątek szatni – Nie mogę za dużo gadać – zniżył głos – bo Łysoń za dobrze wie, co dzieje się w eskadrze. Ktoś mu donosi albo papla... w każdym razie wie podejrzenie dużo – zszedł prawie do szeptu. – Kwazar to pomysł Dziadka na reanimację i dozbrojenie naszych Suk. Tylko tyle mogę powiedzieć. A mobilizacja... oficjalnie to ćwiczenia techników rezerwy.
- A nieoficjalnie?
- Chodzą słuchy, że Dziadkowi udało się wyciągnąć dodatkowe pieniądze, kupić trochę części zamiennych z Peru i podnieść gotowość bojową.

- To już wiadomo, czemu Targalski urządzał sobie wycieczki do Peru – skomentował Marciniak. Peru było jednym z ostatnich użytkowników *Su-22*. – Tak sobie wydebił tę kasę?
- Skąd, u licha mam wiedzieć? Podobno wytrzasnęli coś z rezerwy budżetowej.

Marciniakowi średnio spodobał się ten koncept.

- Reanimowanie tych maszyn to tak jak przywracanie do życia Lenina. Im już nic nie pomoże – stwierdził Marciniak, choć z goryczą. Jak każdy lotnik, miał wielki sentyment do pierwszego bojowego odrzutowca, za jakiego sterami zasiadł. Zobaczył krzywą minę Tkacza: – Ze spraw ważnych: nie orientujesz się, z kim będę latał?
- Pewnie z Czerwińskim.
- Nie kojarzę pacjenta.
- Przeszedł z lotnictwa transportowego. Był tam nawigatorem.
- Jest gdzieś tutaj?
- Wziął dzień urlopu, żeby spędzić weekend z żoną. Będzie jutro.
- Wiesz coś więcej o nim?
- Spokojny koleś. Dobry nawigator i operator aparatury zakłócającej. Poznasz go niebawem, to sam zobaczysz – Tkacz najwyraźniej nie miał ochoty objawiać mu dossier potencjalnego załoganta. – A co u ciebie. Nadal jesteś z tą cipcią ze stolicy?
- Powiedzmy, że jestem w separacji.
- Słomiany wdowiec, he? Kiedy wspólne polowanko?
- Sam sobie zapolujesz. Chwilowo nie zamierzam bawić się w zdobywcę stringów.
- Skoczmy kiedyś do Poznania, poznam cię z fantastycznymi laskami.
- Dzięki serdeczne. Plastik to nie jest mój ulubiony materiał.
- Wolisz drewno albo miedziaki? Twój wybór.
- Nic się nie zmieniłeś. Miłośnik sztucznych klejnotów. Tak kochasz plastik, że powinieneś kupić sobie Trabanta.

Tkaczyk zaśmiał się tubalnie.

- Trabanta łatwiej kupić niż Mercedesa. A jeździ się łatwo i przyjemnie. No i pozbyć się nie szkoda..
- Uważaj, żebyś się nie zajeździł. Muszę się zbierać. Łysoń chce, żebym jak najszybciej samodzielnie latał. Wziął się za mnie osobiście.
- Chce dać ci w kość. Nie daj się nabrać na narzekania. To stary lis, zrobi wszystko, żebyś myślał, że jesteś gównem wartym, a jak już będzie miał cię w garści, to wycisnie cię jak kanarka.

- Nie dam się. Możesz być pewien.

Procedury kwalifikacyjne wypełniły Michałowi większość poniedziałku i wtorku. Najpierw przypomniał sobie instrukcje pilotażu *Su-22*. Potem ćwiczył w symulatorze. Poszło mu nieźle, więc obserwujący jego wysiłki major Kwiecień, zastępca dowódcy eskadry, orzekł, że może wykonać loty z instruktorem. Było już późne popołudnie, gdy wyszli z Nowaczykiem na płytę lotniska, w kierunku stojącej tam jednej z dwumiejscowych *Szparek*.

Jakże dobrze było znaleźć się po ponad dwóch tygodniach znów za sterami samolotu, nawet jeśli nie był to *MiG-29*! Wzbijając się po raz pierwszy w powietrze, Marciniak czuł się tak, jakby złapał pierwszy haust powietrza po długim zanurzeniu. Narzekania Łysonia znosił z filozoficznym spokojem, chciał bowiem jak najszybciej latać samodzielnie, znowu poczuć się pełnowartościowym pilotem bojowym. Dwa tygodnie lotniczej abstynencji i stanu zawieszenia zrobiły swoje. Wiedział, że popełnił kilka niewielkich błędów pilotażowych. Łyson wyolbrzymił je, jednak Marciniak znał tę grę i przejrzał ją na wylot. Pułkownik chciał mieć go w garści, by mieć obsadę dla *Szparki*. W przerwach między lotami Marciniak zastanawiał się, co jest przyczyną niechęci pilotów do latania na zmodyfikowanym *Su-22UM3* – czy chodzi o niechęć do drugiego członka załogi w ogóle, czy do konkretnego nawigatora, czy o rodzaj wykonywanych zadań. A może po prostu Łysoniowi było łatwiej wziąć kogoś, kto trafił tu z zewnątrz, włączyć do *Szparki* bez dekompletowania obsady maszyn jednomiejscowych i bez niepotrzebnych niesnasek? Rozkaz to, co prawda, rozkaz, ale lepiej mieć kogoś, kto przyjmie tę fuchę z wdzięcznością. Powożenie samolotem walki radioelektronicznej to nie zajęcie dla nowicjusza, dlatego Łyson nie chciał brać nikogo prosto po przeszkoleniu.

Po dwóch latach na *MiGu-29* wszystkim na początku zdawało się trudne – przestawienie się na inną tablicę przyrządów, inne reakcje samolotu, mniejsze przyspieszenia i zwrotność, większa prędkość minimalna. Zauważył jednak, że szybko przypomniał sobie dawne nawyki i procedury. Wkuł je na nowo przed południem z instrukcji. W praktyce ich przypomnienie okazało się łatwiejsze, niż się spodziewał.

Wieczorem odbył jeszcze lot po zapadnięciu zmroku. Łyson ponarzekał trochę, by na koniec dopuścić go do wykonywania samodzielnych lotów. Zapytał, czy chce sam polecieć jeszcze tego wieczora, jednak po aż czterech krótkich, intensywnych lotach jeden po drugim porucznik miał dosyć. Poprosił o przełożenie pierwszego od dwóch lat samodzielnego lotu na *Su-22* na kolejny dzień, i pojechał do garnizonowej kwatery przydzielonej mu na czas pobytu w Sześć-

dziesiątej Siódmej, by trochę się urządzić i rozlokować najniezbędniejsze manele.

Powidz, baza lotnicza

13 maja 2008r. godz. 8:50

Marciniak siedział w sali odpraw w powidzkiej bazie. Studiował podręcznik procedur pilotażu Su-22, kiedy do sali wszedł niewysoki, drobnej budowy, czarnowłosy porucznik. Od razu skierował się w stronę Marciniaka.

- Przemek Czerwiński – przedstawił się – będę twoim EWO na Szparce.
- EWO? – zdziwił się Marciniak. Anglojęzyczny termin – Electronic Warfare Officer, oficer walki radioelektronicznej – nie doczekał się najwyraźniej polskiego odpowiednika. – Ach jasne!
- Nowaczyk ci nie objaśnił?
- Mówił, że skieruje mnie na *Szparkę*, nie powiedział z kim.
- Czyli oficjalnie nadal nie wiesz?
- Nie.
- W porządku. I tak pewnie polecimy razem dopiero za kilka dni, więc nie ma bólu.
- To pewne, że mamy latać razem?
- Bardzo prawdopodobne. Tylko ja nie mam pilota. Świetnie, że wreszcie będzie z kim polatać.

Ostatnie zdanie zirytowało Marciniaka. Jeśli ten konus z transportowców myśli, że on zamierza tu się zasiedzieć, to srodze się myli.

- Też się cieszę, że nie będę siedział na czterech literach – powiedział z naciskiem, z trudem tłumiąc złość. – Jednak trafiłem tu przez przypadek i nie zamierzam siedzieć ani chwili dłużej niż to potrzebne.

Jego wybuch zaskoczył Czerwińskiego. Dobrze zarysowane brwi porucznika uniosły się na chwilę w wyrazie zdumienia, po czym zaraz opadły. Reszta twarzy nie drgnęła.

- Prawdę mówiąc, mam ten sam zamiar – odpowiedział Czerwiński spokojnie niezmiennym tonem.

Teraz zdziwił się z kolei Marciniak.

- Jak to? – zapytał, nim uświadomił sobie bezsens tego pytania.

Czerwiński wzruszył ramionami.

- Podobnie jak ty nie uważam tego przydziału za bardzo perspektywiczny – nadal zachowywał niewzruszony spokój.

Marciniak zorientował się, że Przemek Czerwiński może okazać się sojusznikiem, jeśli chodzi o wydostanie się z tego bigosu.

- Jak tu się znalazłeś? – zapytał
- Po Akademii trafiłem do eskadry transportowej. I tak dobrze, że nie do pułku VIP-owskiego. Kiedy zaczęli poszukiwać operatorów WSO¹⁰ dla *F-16D*, zgłosiłem się do przeszkolenia, ale się nie załapałem na *Viper*y. Wepchnęli mnie tutaj.
- Przedsiónek piekła, co?
- Eksperyment. Okazało się, że chcą przerobić *Szparki* na maszyny bojowe pełną gębą i potrzebują do tego operatorów uzbrojenia. Kto się nie załapał tam, trafił tutaj lub do Mirosławca lub Świdwina.
- Kicha – rzekł Marciniak. – Ta modyfikacja *Szparki* jest chociaż coś warta?
- Sam zobaczysz, gdy zapoznasz się z materiałami Kwazara. A będzie okazało się przekonanie się naocznie, gdy polecimy na poligon pobawić się nowymi zabawkami. To dopiero będzie jazda.

Marciniak zamyślił się. Testowanie nowych broni? O co u diabła chodzi? Ostre strzelanie? Pamiętał katastrofę *Su-22* na poligonie w Nadarzycach, kiedy zawiódł testowany nowy zapalnik bomby. Eksplozja ładunku w powietrzu w odległości kilkunastu metrów od maszyny zniszczyła *Sukę* i zabiła pilota.

Mógł oczywiście odmówić latania na testy broni. Prawdopodobnie dostałby przydział administracyjny i został uziemiony na dobre. W sytuacji napiętych stosunków z dowódcą eskadry i specjalnego nadzoru samego Dziadka nie byłoby to zbyt roztropny krok. Michał pomyślał, że trzeba będzie jakoś zjeść tę żabę. Należało się stąd wyrwać jak najszybciej. Kłopot w tym, że wyjście było tylko jedno. Naprzód, naprzód i jeszcze raz naprzód.

Musi jak najszybciej zapoznać się z dokumentami Kwazara. Przynajmniej będzie wiedział, czego się spodziewać.

Powidz, baza lotnicza

godz. 14:40

Marciniak przeszedł z kantyny do tajnej kancelarii. Upał dawał mu się nieźle we znaki. Na szczęście zdjął już kombinezon po samodzielnym locie, jaki wy-

¹⁰ *Weapons System Officer* – drugi członek załogi dwumiejscowego samolotu bojowego, zazwyczaj zajmujący się nawigacją i obsługą systemów uzbrojenia.

konał przed południem. Zdołał się też nieco schłodzić w kantine zimną wodą gazowaną. Litrową butelkę takiej wody zabrał też ze sobą. Przewidywał, że do końca tego dnia służyłby nad tajnymi dokumentami programu Kwazar.

Udało mu się sporo załatwić. Poza pierwszym po przerwie samodzielnym lotem na jednomiejscowej *Suce* otrzymał od Nowaczyka oficjalne polecenie stworzenia załogi z Czerwińskim. Zaraz potem poprosił o dostęp do tajnych materiałów programu Kwazar i niezwłocznie otrzymał stosowne uprawnienia.

Porucznik zszedł do tajnej kancelarii, okazał dyżurującemu w niej chorążemu dokumenty. Poprosił o wydanie dokumentów Kwazara. Chorąży dostarczył mu pokazną teczkę pojedynczych dokumentów i broszur. Marciniak siadł w jednym z boksów i pograżył się w lekturze.

Już pierwsze przeglądane strony wprawiły go w zdumienie. Fakt, że w ogóle podjęto się modernizacji *Su-22*, był tak samo zaskakujący, jak to, iż doposażenie i dozbrojenie odbyło się w niewielkim zakresie, przy udziale niewielkich zespołów projektowych oraz w niemal w całkowitej tajemnicy. Cały projekt w części lotniczej podzielony był na cztery podprojekty, z których trzy dotyczyły uzbrojenia i wyposażenia zewnętrznego, a jeden – niewielkiego zmodyfikowania dwumiejscowych *Su-22UM3* – zwanych, jak wszystkie inne dwumiejscowe maszyny, *Szparkami*. Dokumenty związane z naziemnymi środkami walki radioelektronicznej przejrzał pobieżnie, po czym zabrał się za lekturę części lotniczej.

Pierwszy z podprojektów Kwazara nosił kryptonim „Biała Dama”. Dotyczył pozoratora celów lotniczych, przerobionego z pozostałych po *MiGach-21* pocisków powietrze-powietrze *R-3S*. Ta radziecka kopia wczesnej wersji amerykańskiego *Sidewindera* nie mogła liczyć się już w walce powietrznej, a i nosicieli nie było. Zamiast zniszczyć rakiety, poddano je przeróbce: głowicę bojową zastąpiono transponderem sygnałów radarowych, dodano dodatkowe powierzchnie nośne, przerobiono autopilota i zmieniono napęd raketowy.

Transponder sygnałów radiolokacyjnych miał odbierać, wzmacniać i wysyłać sygnały radarów, tak by zamiast echa niewielkiego pocisku widziały one echo dużo większego samolotu uderzeniowego, jakim był *Su-22*. Autopilot miał w pierwszych dwóch sekundach lotu prowadzić pocisk w kierunku, w jakim go wystrzelono, następnie nieznacznie i łagodnie nabrać wysokości, utrzymywać ją do wyczerpania paliwa raketowego, następnie pozwolić mu opaść dość stromym lotem ślizgowym aż do ziemi, gdzie na skutek uderzenia lub eksplozji miniładunków wybuchowych zniszczeniu miała ulec elektronika. Dodatkowe powierzchnie nośne wraz z nowym silnikiem raketowym miały zwiększyć zasięg i czas lotu pocisku oraz zmniejszyć jego prędkość, tak by zachować pozycję

ry ataku *Su-22*. Przy prędkości około 1100-1150 kilometrów na godzinę *Biała Dama* osiągała zasięg około 50 kilometrów. Pozorator mógł być przenoszony w miejsce pocisków powietrze-powietrze *R-60*. Przeróbki dokonywał ten sam zakład, który przerabiał pozostałe po *MiGach-23* pociski *R-23* na rakietowe cele powietrzne. Dodatkowe powierzchnie nośne można było zdemontować – malało wtedy odbicie radiolokacyjne, wzrastała prędkość marszowa i zasięg, a to, wraz ze zmniejszeniem mocy sygnału transpondera dawało na radarze taki efekt, jak nadlatujący pocisk *H-25MP*.

Drugi podprojekt o kryptonimie „Wist” był najbardziej zaawansowanym elementem Kwazara. Polegał na zmodyfikowaniu pocisków przeciwradiolokacyjnych *H-25MP*. *Su-22* mógł być uzbrojony w dwa takie pociski, które wraz z zasobnikiem *Wjuga*¹¹ służyły do zwalczania radarów amerykańskich naziemnych przeciwlotniczych zestawów raketowych *Hawk*. Przezorni Rosjanie zabezpieczyli głowice samonaprowadzające tych rakiet przed pomysłami użytkowników z „bratnich krajów socjalistycznych” zalewając je żywicami epoksydowymi, przez co nie można było przestroić ich do zwalczania innych zestawów raketowych – w tym tych na uzbrojeniu Armii Radzieckiej.

Modyfikacja rakiety polegała na wymianie głowicy samonaprowadzającej na nową, opracowaną przez ambitnych doktorantów WAT i paru cywilnych uczelni technicznych. Rozebrali oni jedną z rakiet i metodami reverse engineeringu stworzyli specyfikację sygnałów sterujących. Po stronie odbioru sygnałów radarowych głowica – na wzór brytyjskiego pocisku *ALARM* składała się z kilku niezależnych odbiorników pracujących w najczęściej używanych przez radary pasmach. Głowica – według dokumentacji – była w stanie zapamiętać i śledzić sygnały radarowe nawet nowoczesnych radarów o losowo zmienianej częstotliwości nadawania. Najciekawsze jednak były tryby użycia pocisku, jakie zapewniało oprogramowanie głowicy.

Pierwszy tryb ataku – bezpośredni – umożliwiał zaprogramowanie pocisku na lot do celu wskazanego przez komputer pokładowy. Odpowiedni komputer posiadał jedynie zmodyfikowany *Su-22UM3*, więc jedynie on mógł używać „Wista” w tym trybie. Komputer pokładowy mógł zaś wskazać radar przeszkujący lub sterowania ogniem wskazany przez aparaturę ostrzegawczą *Szparki* lub zasobnik rozpoznawczy *KKR-1*. Głowica również transmitowała dane do komputera, w razie uszkodzenia pozostałych dwóch źródeł pocisk mógł sam dostarczyć załodze informacji o pracujących radarach. Wystrzelony do celu pocisk zapamiętywał kierunek, z którego pochodziła emisja, mógł też wyliczyć z grubsza odległość na podstawie kolejnych namiarów. Jeśli atakowany radar

11 Pisownia po transkrypcji z rosyjskiego.

przerwał emisję, pocisk i tak zmierzał do celu. Istniała duża szansa, że go porazi i wyeliminuje z walki.

Drugi tryb ataku – pośredni – umożliwiał zaprogramowanie rakiety na atak na kilka typów radarów według priorytetu – od najmniejbezpiecznego, czyli np. powiązane z najbardziej niebezpiecznym zestawem raketowym po radarzy związane z mniej groźnymi wyrzutniami rakiet ziemia-powietrze. Pilot wystrzeliwał pocisk w pobliżu obrony przeciwlotniczej przeciwnika, a ten sam poszukiwał najgroźniejszych zestawów raketowych. Jeżeli ich nie znalazł, szukał kolejnych na liście priorytetów. Jeżeli wykrył kilka z listy – kierował się na zaprogramowany jako najgroźniejszy.

To jeszcze nie koniec niespodzianek. Tryb pośredni miał dwa podtryby – jeden z zapamiętaniem lokalizacji radaru, który zakończył emisję, drugi – z wyborem ponownego celu, jeśli cel z największym priorytetem przestał nadawać. W pierwszy przypadku tak jak w trybie bezpośrednim pocisk zmierzał do wybranego celu – tyle, że selekcji celu dokonywało oprogramowanie głowicy, nie załoga samolotu-nosiciela. W drugim pocisk wybierał kolejny cel, jeśli ten znajdował się w obszarze, do którego pocisk mógł dolecieć. Jeśli pocisk nie mógł zaatakować kolejnego celu, ponieważ nie był w stanie wykonać odpowiedniego manewru – zmierzał do pierwotnie wybranego celu, tak jak w pierwszym podtrybie – tak długo, dopóki nie uderzył lub nie znalazł kolejnego radaru w polu rażenia. Pocisk otrzymał także zapalnik zbliżeniowy, dzięki któremu mógł atakować cele ruchome, takie jak samobieżne działka przeciwlotnicze czy okręty. Nie musiał trafić bezpośrednio – niszczył wtedy anteny radaru falą uderzeniową i odłamkami.

Trzeci projekt dotyczył przeróbki podwieszanego zasobnika walki radioelektronicznej *SPS-141* – nazywanego tu *SPS-141 SC*. Podobnie, jak *H-25MP*, jego pierwotnym przeciwnikiem był zestaw przeciwlotniczy *Hawk*. Zasobnik wysyłał zmodyfikowane sygnały radarowe, wprowadzając radar w błąd co do kierunku i odległości echa. Możliwości *SPS-141* rozszerzono na większość będących w użyciu na europejskim teatrze radarów naziemnych i powietrznych poprzez zainstalowanie nowych nadajników i zmianę centralnego układu sterującego na cyfrowy. Zasobnik mógł pracować w kilku trybach zagłuszania, zorientowanego na dezorientację lub zagłuszanie konkretnego radaru lub na szerokopasmowe „śmiecenie”. W przypadku walki z konkretnym radarem był w stanie oszukać go przesyłając odpowiednio zmodulowane sygnały i powodując powstanie fałszywych ech radarowych. Można było też poprzez komputer zainstalowany na *Szparkach* sprzęgać kilka zasobników, synchronizując ich pracę i potęgując w ten sposób – poprzez zwiększenie mocy lub pokrycie szerszego

pasma – ich możliwości zakłócania. Moc pojedynczego zasobnika zwiększono z 10 do 800 watów w zakresie fali ciągłej i do 200 watów w impulsach, zwiększono też liczbę nadajników z jednego do sześciu. Wymagało to jednak przeróbek instalacji elektrycznej samolotu-nosiciela, dlatego ofensywne zakłócanie mogły prowadzić tylko zmodyfikowane *Szparki*.

Najważniejszą jednak cechą zmodyfikowanego zasobnika była możliwość szybkiego przeprogramowania go w bardzo elastyczny sposób. Programowalna biblioteka zagrożeń gromadziła sygnatyry tych dobrze sklasyfikowanych, jak również pozwalała zbierać i rejestrować nowe źródła emisji elektromagnetycznych. Oprogramowanie pozwalało wykrywać i klasyfikować impulsy pochodzące z nowoczesnych radarów, także tych szybko zmieniających losowo częstotliwości. Było zbudowane modułarnie, co oznaczało, że można łatwo dodawać nowe algorytmy wykrywania i przeciwdziałania.

Modyfikacja *Su-22UM3* opatrzona kryptonimem „Lampart” polegała na zainstalowaniu komputera pokładowego, zdolnego do zbierania i przetwarzania sygnałów radiolokacyjnych z aparatury ostrzegawczej *SPO-15LE*, zmodyfikowanego zasobnika rozpoznawczego *KKR-1* i rakiet przeciwradarowych *H-25MP*, programowania tychże rakiet i zmodyfikowanego zasobnika walki radioelektronicznej *SPS-141 SC*. W tylnej kabine zamontowano panel sterujący *KKR-1*, co w jednomiejscowej *Suce* wymagało wymontowania panelu sterującego stacją laserową do naprowadzania rakiet *H-25L – Klon*. Ponieważ dwumiejscowy *Su-22* nie miał środkowych podskrzydłowych węzłów podwieszonych, na których mocowano pociski powietrze-powietrze *R-60*, do ich przenoszenia przystosowano zewnętrzne punkty podskrzydłowe. *R-60* był przenoszony na specjalnie skonstruowanej belce i mógł być odpalany jedynie z kabiny pilota. Tam też *Szparka* mogła przenosić *Białe Damy*.

Marciniak zamknął skoroszyt z dokumentami z niewymownym zdumieniem. Wciąż nie mógł ochłonać. Zastanawiał się, ile pieniędzy musiały pochłonąć te programy i skąd Siły Powietrzne wzięły fundusze. Najwyraźniej wpływ Zdanneckiego na polityków był znaczny, skoro zdołał sfinansować tak obszerny i tajny program. O tego prace nad wszystkimi modyfikacjami musiały się toczyć jeszcze zanim Zdannecki objął dowództwo Sił Powietrznych. Porucznik był pod wrażeniem: generał musiał mieć ogromny dar przekonywania i niesamowite zdolności organizacyjne.

Z drugiej strony – czemu miał służyć sam program? Pytanie nurtowało porucznika, bo nie widział sensu modernizowania szybko starzejących się maszyn. Taki program miałby sens 10-12 lat wcześniej. Czy rzeczywiście warto było zwiększać zdolności *Su-22* przy jednoczesnym wprowadzaniu na uzbroje-

nie *F-16*? Jednak *F-16* miały osiągnąć pełną gotowość operacyjną do 2012 roku. Gdyby coś się w tym czasie wydarzyło, te skądinąd niezbyt wyrafinowane modyfikacje mogły jednak zwiększyć możliwości przetrwania *Suk* na polu bitwy. Koszt nie był duży – zmodyfikowano tylko kilka *Szparek*, nie dotykając w ogóle maszyn jednomiejscowych.

Od strony taktycznej przynajmniej kilka rzeczy mogło ulec zmianie. Pozoratory *Biała Dama* mogły zająć obronę powietrzną przeciwnika, umożliwiając zniszczenie radarów i wyrzutni rakiet, zanim te zdołałyby wyrządzić szkody atakującym *Sukom*. Pożytek z pocisków *R-60* na Su-22 był co najmniej dyskusyjny – *Suki* nie nadawały się one do manewrowej walki powietrznej z nowoczesnymi myśliwcami, zaś do ataku czołowego głowica samonaprowadzająca pocisku w podczerwieni miała dość słabą czułość, co zmniejszało szanse trafienia. Użyteczność tych pocisków była problematyczna, chyba, że chodziłoby o przechwycenie z tylnej półsfery z bliska słabo manewrującego bombowca czy szturmowca. Dwa pozoratory na każdej maszynie zwiększały szanse *Suk* na przełamanie obrony powietrznej

Dzięki zmodyfikowaniu pocisków *H-25MP Suki* zostały uniezależnione od przenoszenia stacji *Wjuga*. Można było wyposażyc nawet całą eskadrę w pociski przeciwradarowe i pozoratory i przypuścić zdecydowany atak. Tryb z ponownym wyborem celów doskonale się do tego nadawał – jeśli jedna z rakiet zniszczyła któryś z pracujących radarów, pozostałe szukały innych celów. Do kompletu stacja *SPS-141* ogłupiająca posterunki radiolokacyjne. Porucznik wiedział już, dlaczego program utajniono – pozoratory mogły być skutecznie zastosowane tylko w warunkach zaskoczenia przeciwnika faktem ich istnienia i użycia, zanim nauczy się odróżniać je od prawdziwych samolotów. Fakt przełobki rakiet *H-25MP* również nie powinien wyjść na światło dzienne. Co prawda rakiet *H-25MP* nadal nią pozostawała – z głowicą bojową, zwrotnością czy szybkością nie dorównująca amerykańskiemu *HARM*. Mimo to, w ocenie Marciniaka, możliwości tej broni znacznie się zwiększyły. Jednak większość pilotów nie miała praktyki w strzelaniu tymi rakietami. W ostatnich kilkunastu latach strzelania raketowe zdarzały się wyjątkowo rzadko, najczęściej na ćwiczeniach piloci *Suk* zrzucali zwykle, swobodnie spadające bomby lub strzelali rakietami niekierowanymi.

Marciniak musiał przyznać, że to wszystko nie wyglądało najgorzej. Samoloty co prawda były stare i nadal nie wróżył im przedłużonej służby, ale przynajmniej dzięki modyfikacjom w razie starcia mieliby jakieś szanse. Pod warunkiem, że to cholerstwo działa tak jak napisali.

Porucznik wstał zza blatu. Już wkrótce osobiście to sprawdzą.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej

godz. 15:20

Realizacja planów Vandenoorta ruszyła z kopyta, gdy przyszło do uśmiechów i uścisków dłoni przed kamerami. Gdy jednak przyszło do konkretów i użyczenia sił na potrzeby nowo tworzonych sił, szło opornie jak krew z nosa.

Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia, Holandia i Belgia podpisały niemal z marszu, po roboczych uzgodnieniach i niewielkich poprawkach zaproponowane przez przewodniczącego Komisji porozumienie powołujące wspólną armię. Z realizacją tego porozumienia szło już znacznie gorzej. Przewidywało ono, że do istniejącego eurokorpusu lądowego utworzone zostaną siły morskie i powietrzne, zaś sygnatariusze porozumienia wydziela jednostki lotnicze i morskie dla szybkiego stworzenia tych sił. Dla realizacji planu Vandenoorta te właśnie siły miały kluczowe znaczenie. Niezwłocznie rozesłał do sygnatariuszy porozumienia o powołaniu wspólnych sił zbrojnych pisemną prośbę o wydzielenie sił lotniczych i morskich do nowo tworzonych zgrupowań.

Vandenoortowi marzyły się niewielkie, ale silne i nowoczesne siły. Tymczasem rychło okazało się, iż udziałowcy paktu wojskowego wcale nie zamierzają łatwo oddać najlepszych jednostek pod tworzone w pośpiechu w Utrechcie dowództwo EAF, za to chętnie pozbywają się tych starszych i mniej sprawnych. Najpoważniejszym ciosem dla niego okazała się próba pozyskania samolotów wczesnego ostrzegania. 17 maszyn *E-3A* podlegało dowództwu NATO i porozumieniu NAPMO. Ich udostępnienie nie wchodziło w grę. Swoje *E-3F* mieli też do spółki Brytyjczycy i Francuzi. O ile Francuzi byli skłonni je udostępnić, to stanowcze „nie” powiedzieli wyspiarze. Francuska marynarka wojenna posiadała z kolei pokładowe maszyny wczesnego ostrzegania *E-2 Hawkeye*, ale operowały one obecnie w składzie grupy powietrznej lotniskowca *Charles de Gaulle* na Oceanie Indyjskim.

Vandenoort oderwał się od telefonu. Rozmawiał z premierami Belgii i Holandii. Miał łatwe zadanie. Wydobył od nich, na razie ustną, obietnicę skierowania po jednej eskadrze myśliwców *F-16A MLU* do sił EAF. Nieco gorzej poszło z marynarką. Z obu państw udało mu się wydebić zaledwie po jednej fregacie holenderskiej klasy *Karel Doorman*. Holenderski rząd odmówił mu zaawansowanej fregaty przeciwlotniczej klasy *De Zeven Provinciën*. Nieznacznie bardziej hojny okazał się rząd Hiszpanii, który udostępnił fregatę *Canarries*

klasy *Santa Maria* i dwa okręty patrolowe klasy *Descubierta*. Hiszpanie odmówili jednak udostępnienia jakiegokolwiek komponentu lotniczego.

Po minie siedzącego po drugiej stronie obszernego biurka Austriaka Schustera widać było, że z Niemcami nie poszło mu najlepiej.

- Co uzyskałeś? – spytał Vandenoort, gdy obaj przez moment nie rozmawiali przez telefon.
- Niewiele – przyznał Schuster. – Kanclerz Meier obiecała nam co prawda aż trzydzieści myśliwców, ale to stare *Phantomy*. Żadnych *Typhoonów*.
- A co z marynarką?
- Tu już lepiej. Jedna fregata przeciwlotnicza klasy *Sachsen* i jedna do walki nawodnej typu *Bremen*. Do tego okręt podwodny klasy *206* i dwa kutry raketowe klasy *Gepard*.

Vandenoort podsumował siły.

- To wszystko wygląda kiepsko – stwierdził. – Od Francuzów wyciągnąłem dwie fregaty klasy *Floreal* i dwa awiza *D'Estienne d'Orves*. Ale nie dali oczywiście żadnych *Rafale*, tylko *Mirage FI*. Zamiast najnowocześniejszych – największe starocie.
- Z lotnictwem rzeczywiście jest nieszczególnie – przyznał Schuster. – Od Włochów udało się zdobyć tylko eskadrę *Tornado*. Razem mamy sześć eskadr niezbyt nowoczesnych maszyn.
- To powinno wystarczyć – stwierdził Vandenoort. – Nikt tu nie zamierza strzelać. Bardziej niepokoi mnie brak entuzjazmu do współpracy. Podpisali chętnie porozumienia, ale oczywiście, gdy przychodzi do konkretów, wykręcają się jak zwykle.
- Początki są zawsze trudne. Inaczej zaśpiewają, gdy okaże się, że te siły przynoszą wymierne polityczne korzyści – rzekł Schuster. Widział jednak sporo trudności. Mieli do połączenia siły, które wprawdzie stykały się ze sobą w trakcie ćwiczeń NATO, ale wyrosły w zupełnie innych doktrynach militarnych. Do tego zadanie, jakie miały niebawem pełnić, nigdy wcześniej nie było w pełni przećwiczone. Najlepiej przygotowana do niego była marynarka. Z lotnictwem nie było to wcale takie pewne. Schuster doszedł do wniosku, że to, co zebrali, liczebnie nadawało się na demonstrację siły. Z prowadzeniem jakichkolwiek prawdziwych działań bojowych nie poszło by już tak łatwo.
- Bierzmy się do roboty. Musimy jeszcze coś zdobyć. Denters chce morskie samoloty patrolowe i śmigłowce – powiedział Vandenoort.

Ostatecznie tego popołudnia udało im się zdobyć dla sił morskich EAF jeszcze włoską fregatę i dwie korwety. Morskie samoloty patrolowe zobowiązali

się dostarczyć Niemcy. Vandenoort namówił w końcu rząd Holandii na przekazanie siłom EAF fregaty *Tromp* klasy *De Zeven Provinciën*.

Powidz, baza lotnicza

14 maja godz. 11:25

Marciniak i Czerwiński szli poprzez centralną płytę postojową do stojącego na niej *Su-22UM3* o numerze taktycznym 606. Odbyli rano już jeden wspólny lot po trasie według orientacji wzrokowej i przy użyciu środków radiotechnicznych. Sprawdzili też działanie zasobnika *KKR-1* i komputera pokładowego.

Porucznik ze zdziwieniem stwierdził, że ponowna przesiadka na *Su-22* odbyła się szybciej i bardziej bezboleśnie, niż to sobie pierwotnie wyobrażał. Obawiał się, że trudno mu będzie pozbyć się nawyków z *MiGa-29*, że trudniejsza w pilotażu maszyna będzie wymagała więcej wysiłku. Jednak szybko odtworzył dawne nawyki, *gros* czynności wykonywał automatycznie, bez zastanowienia. Czasem zmuszał się wręcz do przemyślenia tego, co należy zrobić, by nie popaść w rutynę. Latanie *Suką*, choć nie umywało się do latania *MiG-iem*, sprawiało mu coraz więcej przyjemności.

Jedną rzeczą, do której nie mógł się przyzwycząić w pierwszym, samodzielnym locie *Szparką* był Czerwiński za plecami. Nie był instruktorem, który korygował błędy. Nie był jego polisą ubezpieczeniową. Jednak w jakiś sposób kontrolował to, co on robił w kokpicie. Marciniak, który do tej pory latał sam, czuł, że ciężko będzie mu się przyzwycząić. Ten lot po trasie – ustalili, że w dwuosobowej załodze to oficer na tylnym siedzeniu będzie prowadził nawigację. Jednak i on cały czas dyskretnie sprawdzał wyliczenia, przyrządy i obserwacje. Robił to z jednej strony z powodu wyrobionych na jednomiejscowych maszynach nawyków, z drugiej czuł jednak, że sprawdza Czerwińskiego. I był prawie pewien, że tamten robi dokładnie to samo. Fakt, że od wielu lat nie było w lotnictwie taktycznym dwumiejscowych samolotów, dawał się teraz we znaki. Nie było tu żadnej metodyki zgrywania załóg – ot, wrzucono ich do jednego kokpitu i kazano razem latać. Czysta improwizacja. Marciniak zastanawiał się, czy dostosowanie się do tej sytuacji sprawia więcej kłopotu jemu, który latał wyłącznie w pojedynkę, czy Czerwińskiemu, który latał w wieloosobowej załodze i miał pewne doświadczenie, jeśli chodzi o zgrywanie załóg.

Zostali rzućeni na głęboką wodę. To miał być ich drugi wspólny lot. Teraz ich *Szparka* została nie tylko wyposażona w zasobnik rozpoznawczy, ale i dwa zmodyfikowane pociski *H-25MP*. Mieli odpalić je do pław-radiolatarni imitujących radary na poligonie w Wicku Morskim. Zadanie teoretycznie nie było

trudne, ale – jak zwykle przy testowaniu nowego uzbrojenia – mogły mieć miejsce różne nieprzewidziane wydarzenia. Pociski przeciwradarowe bywały narowiste. W trakcie Pustynnej Burzy amerykański *HARM* trafił w bombowiec *B-52*, zakłócający własną aparaturą pokładową namierzający go radar. *HARM* pomylił sygnał radaru z fałszywym emitowanym przez *B-52*. W drugiej wojnie w Zatoce ofiarą *HARM-a* padł amerykański zestaw raketowy *Patriot*.

Razem z nimi miała lecieć druga dwuosobowa *Szparka*. Major Zbigniew Kawecki i kapitan Rafał Królak kręcili się przy drugiej maszynie, robiąc przedstartowy obchód. Zadaniem Kaweckiego i Królaka było towarzyszenie w locie Marciniakowi i Czerwińskiemu, obserwowanie i filmowanie próby z raketami. Film miał nie tylko uwiecznić moment prób, ale również – gdyby coś poszło nie tak – pomóc w znalezieniu przyczyny problemu. Wiele rzeczy mogło pójść nie tak – pocisk mógł nie odpalić, mógł zmienić trajektorię zaraz po odpaleniu. Nawet mało prawdopodobna możliwość eksplozji brana była pod uwagę, dlatego druga *Szparka* miała lecieć w bezpiecznej odległości.

Michał obszedł maszynę, sprawdzając powierzchnie sterujące, podwieszenia oraz zamknięcie poszczególnych luków serwisowych. Czerwiński zrobił to samo, choć ten element pracy należał do pilota. Potem podeszli do drabinek przy kokpicie i wspięli się do kabin. Rytuał wsiadania zawsze zapowiadał coś niezwykłego. Dlatego zawsze przed lotem czuł tę ekscytację, gdy wchodził na wysokość ponad dwóch metrów do kabiny, w pełnym rynsztunku, gdy patrzył na płytę lotniska z góry, gdy czuł w upalne dni zapach paliwa lotniczego, smarów, rozgrzanego betonu przetykanego przy porywach wiatru zapachem trawy czy lasu. A potem siedział już w kokpicie, zakładał hełm, zapinał z jednej strony maskę tlenową, a technik z obsługi naziemnej podłączał przewody radio i sprężonego powietrza do ubioru przeciwprzeciążeniowego...

Zanim przystąpił do uruchomienia silnika, musiał przejść długą listę czynności sprawdzających, między innymi wyjściowe położenie wyłączników i przełączników, lampek sygnalizacyjnych, prawidłowości wskazań paliwomierza i działania pomp paliwowych, działania instalacji tlenowej, wszystkich urządzeń radiowych i nawigacyjnych, awaryjnej pompy hydraulicznej. Pytanie wieży o zezwolenie na uruchomienie silnika, zgoda... Dopiero wtedy uruchomił silnik przy pomocy rozpedzanego elektrycznie turbinowego rozrusznika. Potem 50 sekund pracy silnika, włączenie i sprawdzenie prądnic, sprawdzenie ciśnienia w instalacji hydraulicznych, sprawdzenie wychylenia powierzchni sterujących, ustawienie trymerów w pozycji neutralnej, kilkanaście innych czynności... i był gotowy do lotu. Nie musiał rozgrzewać i sprawdzać silnika dłużej, ponieważ *Szparka* odbyła tego dnia już jeden lot.

Zamknęli osłony kabiny, sprawdzili szczelność zamknięcia. Jeszcze tylko zezwolenie na kołowanie z wieży, 73 procent mocy i ruszyli. Ponad kilometr kołowania na początek najdłuższego – 3,5 kilometrowego pasa startowego w Europie Środkowej. Samolot Kaweckiego i Królaka ruszył przed nimi. Po drodze zatrzymali się na ostatnią kontrolę techniczną podwozia i podwieszę.

Ustawili się na wschodnim krańcu pasa, niemal wprost pod lekki, zachodni wiatr, ze słońcem z lewej, lekko z tyłu. Kawecki jako dowódca ugrupowania otrzymał z wieży zezwolenie na start. Ostatnie sprawdzenie powierzchni sterowych, opuszczenie klap do pozycji startowej, przepustnica do oporu sygnalizującego zakres dopalania, moment wyczekania, aż silnik wejdzie na obroty, zwolnienie hamulców. Kawecki ruszył, Marciniak za nim, przesuważąc przepustnicę na zakres dopalacza. *Su* wyraźnie dostał kopa i zaczął przyspieszać po pasie. Z wysokości kokpitu prędkość nie była aż tak odczuwalna, rosła jednak szybko. Przy 100 kilometrach na godzinę przednie koło było zablokowane, a Marciniak sterował już płetwą steru kierunku. Przy 270 kilometrach na godzinę podniósł nieznacznie dziób *Szparki* i poczekał, aż oderwie się od ziemi, co nastąpiło mniej więcej przy prędkości 320 km/h. Poczul oderwanie kół od podłoża. Samolot oddalał się szybko od ziemi. Na kilkunastu metrach Marciniak schował podwozie. Obie maszyny, cały czas w szyku, kontynuowały płaskie wznoszenie, aż do osiągnięcia prędkości 600 km/h. Wówczas Kawecki nakazał zwrot w prawo na północ.

Kontynuowali wznoszenie do siedmiu tysięcy metrów. Przy prędkości około 900 km na godzinę przelot do poligonu zajął im około 20 minut. Nad morze weszli na północny wschód od Darłowa.

- Derwisz dwa, tu Derwisz jeden. Wyjdź na prowadzenie. Odbiór. – Marciniak usłyszał polecenie Kaweckiego.
- Derwisz jeden, zrozumiałem, wykonuję. Bez odbioru. – potwierdził. Przesunął przepustnicę do przodu. Ich *Szparka* wysunęła się przed maszynę Kaweckiego. Ten ostatni odbił nieco w lewo i zwolnił, by rozluźnić szyk.
- Połącz się z dowództwem poligonu – powiedział Marciniak do Czerwińskiego.
- Ok – potwierdził tamten. – Gospoda, tu Derwisz dwa, jak mnie słyszysz? Odbiór.

Marciniak zastanawiał się chwilę, kto wymyśla takie idiotyczne kryptonimy. Wychowali się na wsi, czy co?

- Derwisz dwa, tu Gospoda, słyszę cię głośno i wyraźnie. Podaj swoje położenie. Odbiór.

- Tu Derwisz dwa. Jestem piętnaście kilometrów na południe od punktu rozpoczęcia. Wysokość 70. Proszę o zgodę na przelot w strefie strzelań i zejście na wysokość ćwiczenia. Odbiór.
- Derwisz dwa, tu Gospoda. Masz zgodę na przelot na wysokości 5. Odbiór.
- Gospoda, zrozumiałem. Bez odbioru.

Czerwiński przełączył się na interkom.

- Minuta lotu. Chyba już czas, żebyśmy uzbroili zabawki.
- Ok.
- Zrób zwrot na kurs jeden trzy zero za 40 sekund.

Marciniak odepchnął drążek sterowy i zmniejszył obroty. Mieli zejść na 500 metrów i stamtąd odpalać pociski. Kontynuował zniżanie przez około 40 sekund, po czym pomachał skrzydłami i wszedł w obszerny zakręt. Kawecki podążał za nim jak cień.

Czerwiński znowu włączył radio.

- Gospoda, tu Derwisz dwa. Jestem na kursie bojowym. Proszę o zezwolenie na otwarcie ognia. Odbiór.
- Derwisz dwa, zezwalam, powtarzam, zezwalam na otwarcie ognia. Pierwszy strzał zgodnie z programem, tryb bezpośredni. Odbiór.
- Potwierdzam, Gospoda. Tryb pośredni. Pocisk uzbrojony. Bez odbioru.

Czerwiński manipulował na tablicy przełączników uzbrojenia.

- Strzelam pierwszą z podwieszenia trzy – powiedział. A więc najpierw pocisk spod lewego skrzydła. Marciniak w tej turze był tylko kierowcą, choć mógłby odpalać pocisk. Ale zaprogramować go do ataku na konkretny cel w trybie bezpośrednim mógł tylko operator uzbrojenia.

Na ekranie ostrzegacza radarowego zabłysło ostrzeżenie przed opromienianiem radarowym.

- Mam go – powiedział Czerwiński. Usiłował ustalić przy pomocy zasobnika odległość do celu. Celem był imitujący radar nadajnik radiowy zainstalowany na niewielkiej, zakotwiczonej w pobliżu Wicka tratwie.
- Pocisk zaprogramowany. Uwaga! Teraz!

Błysk, huk i szum odpalanego pocisku zlały się niemal w jedność. Dym przesłonił na moment widzialność po lewej stronie. Zaraz jednak zniknął, gdy zaczął schodzenie do celu.

- Gospoda, tu Derwisz dwa. Pocisk odpalony. Bez odbioru.

Marciniak obserwował lot rakiety, dopóki ta nie zmalala i nie rozplynęła się w przestrzeni. Dym układał się tak, że praktycznie trudno było stwierdzić, że *H-25MP* wciąż leci. Tym bardziej, że strzelali pod słońce.

Tymczasem sygnał radaru zniknął.

- Oho, wyłączyli nadajnik – powiedział Czerwiński w tylnej kabinie. – Ciekawe czy trafi.

Marciniak nie odpowiedział.

- Derwisze, tu Gospoda – odezwał się poligon. – Pocisk w celu. Możecie robić kolejne podejście. Bez odbioru.
- Cholera, nie sądziłem, że trafi – stwierdził Marciniak. Głowica samonaprowadzająca nie budziła jego zaufania, zwłaszcza jeśli chodziło o naprowadzanie po wyłączeniu radaru.
- To jeszcze nic – powiedział Czerwiński. – Ciekawe, jak się zachowa w trybie pośrednim.

Marciniak obejrzał się w stronę Kaweckiego. Ten pokazał mu odchylony kciuk.

- Naszym kolegom też się podoba – oznajmił. Pomachał skrzydłami i położył maszynę w kolejny obszerny krąg.

Trzy minuty później Marciniak rozmawiał ze stanowiskiem dowodzenia na poligonie. Tym razem Czerwiński był pasażerem. Michał musiał sam wybrać podwieszenie, uzbroić raketę. Kawecki z Królakiem przemieścili się na prawą stronę. Rakietą miała być odpalona z prawego wewnętrznego podwieszenia.

- Gospoda, tu Derwisz dwa, pocisk uzbrojony. Odbiór.
- Derwisz dwa, zrozumiałem, możesz strzelać, gdy tylko namierzysz cel. Bez odbioru.

Na ekranie ostrzegawczym rozjaśniły się lampki. Marciniak czekał na sygnał, jaki powinien pojawić się na celowniku, gdy cele znajdą się w zasięgu rakiety. Tym razem to pocisk miał określić odległość.

Na celowniku zamigotał kwadrat wskazujący położenie celu. Chwilę później pojawiły się kolejne.

- Masz wszystkie w zasięgu. Na co czekasz? – spytał Czerwiński.
- Są na granicy zasięgu. Podejdę jeszcze trochę, żeby pocisk miał energię do manewrowania.

Odczekał jeszcze kilka sekund.

- Uwaga! Teraz!

Nacisnął przycisk odpalania z podwieszeń. Błysk, huk, szum i struga dymu przed dziobem.

- Gospoda, tu Derwisz dwa. Pocisk odpalony. Bez odbioru.

Pocisk wyraźnie skręcił w stronę celu, który imitował najgroźniejszy według programu radar. Ten za moment przerwał emisję. Strużka dymu zakręciła.

- Derwisze, tu Gospoda. Pocisk w celu. Powtarzam – pocisk w celu zgodnie z założeniami. Dobra robota. Odbiór.
- Tu Derwisz dwa. Gospoda, dzięki za wiadomość. Lecę na południe i opuszczam obszar strzelań. Odbiór.
- Zrozumiałem, Derwisz dwa. Bez odbioru.

Przelecieli nad Wickiem. Woda była jeszcze wzburzona wybuchem drugiej rakiety. Od miejsca trafienia rozchodziły się koncentrycznie fale, pływało też trochę szczątków. Marciniak zarejestrował to kątem oka. Przekazał prowadzenie Kaweckiemu. Dwadzieścia minut później wylądowali w Powidzu.

Marciniak i Czerwiński spotkali się z Kaweckim i Królakiem na płycie postojowej. Razem ruszyli w stronę budynków i sali odpraw, gdzie mieli przygotować sprawozdanie z testów.

- Nie sądziłem, że to zadziała. Dwa strzały i dwa trafienia. Nieźle, jak na pocisk w fazie testów – powiedział Marciniak.
- Rzeczywiście, to spory sukces. Trzecia seria prób i cztery trafienia na sześć – powiedział Kaweckie. – W marcu spudłowaliśmy dwa razy w pierwszym teście. Głowica samonaprowadzająca poszła do przeróbki. Potem były testy na symulatorze i teraz cztery trafienia. Ale trudno się dziwić. Po raz pierwszy od dawna przy tej robocie projektanci i wykonawcy zechcieli wziąć pod uwagę nasze spostrzeżenia i pomysły, a nie wciskali swoje mądrości. Byli tu niemal na każde zawołanie i ściśle notowali to, co mówiliśmy. My strzelaliśmy w zeszłym tygodniu do działających nadajników, a Przemek z Foksem nas filmowali.
- Filmowanie to jedno, ale to moja pierwsza odpalona rakietka – stwierdził Czerwiński. – Chyba postawię wam kielicha, gdy zakończymy robotę dzisiaj.
- Zostały nam *White Ladies* – powiedział Michał. – Nudy.
- Trzeba przetestować, jak będzie się odpalał ze Szparki, z tych przerobionych pylonów – odpowiedział Kaweckie. – Jeszcze ich nikt nie próbował. Wy będziecie pierwsi.

Powidz, baza lotnicza, godz. 13:50

Marciniak miał właśnie odkładać telefon do szafki w szatni, gdy ten niespodziewanie zadzwonił. „Agnieszka” – mówił wyświetlacz. Michał szybko wyszedł na korytarz. Odebrał połączenie.

- Cześć Aga – powiedział.
 - Witaj – usłyszał.
 - Trafiłaś w kiepski moment. Zaraz lecimy.
 - Zajmę ci tylko chwilę – nie zapytała dokąd leci i z kim. Nic dobrego.
 - Ok – odrzekł. Wyszedł na powietrze.
 - Przemyslałam sprawę i doszłam do wniosku, że nie możemy być razem – powiedziała. – Nie mogę tak żyć. Nie mogę gonić za tobą po całej Polsce.
 - Ganiasz po całej Polsce za pieniądzem. I to jest ok – odrzekł.
 - Chcę do czegoś dojść. Siedzenie w małych garnizonowych dziurach bez pracy to nie jest życie dla mnie.
 - Myślałam, że jesteś na tyle zaradna, że poradzisz sobie bez Warszawy – rzekł z przekąsem. Miał ochotę mocniej jej dociąć, ale pohamował się. – Nie ma sprawy. Nic na siłę. I tak długo to ciągnęliśmy. Chwila milczenia.
 - Cieszę się, że to rozumiesz i że obędzie się bez scen – powiedziała w końcu. W gruncie rzeczy pewnie o to jej chodziło – żeby uniknąć dyskusji.
 - Muszę ułożyć sobie życie z kimś, kto dzieli moją wizję życia...
 - Masz rację – wszedł jej w słowo Michał. – Ja muszę zrobić dokładnie to samo – wyrzekł dobitnie ostatnie słowa, po czym się rozłączył.
- Wracał do szatni przygnębiony. Czuł, że wszystko się sypie. Choć jakaś drobna ulga kryła się za tym, że choć jedna sprawa definitywnie została wyjaśniona.

Nad północno-zachodnią Polską godz. 14:30

Su-22 niósł Marciniaka i Czarneckiego w stronę poligonu Wicko Morskie. Znowu prowadzili Kawecki z Królakiem. Cumulusy przesuwają się wokół nich na błękitnym niebie. Słońce zalewało świat ciepłym blaskiem. Przyjemnie było unosić się w powietrzu, pilnując jedynie, by trzymać miejsce w szyku, napawać się widokiem lasów, pól, jezior i rzek przesuwających się szybko u dołu. To był inny świat – z dala od problemów, intryg, nieporozumień czy układów. Ziemskie problemy zdawały się błahe wobec szybkości i sił działających na samolot i siedzących w nim ludzi. Uczucie panowania w powietrzu nad kilkuset-tonowym, uzbrojonym potworem nie miało sobie równych.

Kiedy zbliżyli się do wybrzeża, Marciniak z Czerwińskim podobnie jak w pierwszym locie, przejęli prowadzenie. Tym razem nie przenosili *KKR-1*, jedy-

nie na środkowych podwieszeniach podskrzydłowych po jednej *Białej Damie*. Znowu ta sama procedura dolotu, zejścia, rozmowy z dowództwem poligonu. Marciniak miał nadzieję, że nudny lot się szybko skończy i za dwie godziny będzie na kwaterze. Czerwiński przez większość lotu był pasażerem – nawigację prowadził Królak, a *Białe Damy* miał odpalać Marciniak. Porucznik zastanawiał się, czemu do tego zadania nie wyznaczono któregoś z *Suk*. Co najmniej jeden człowiek zajęty był niepotrzebnie.

Wyszli w morze na odległość około 40 kilometrów. Tym razem panel zagrożeń z prawej strony tablicy przyrządów świecił wszystkimi światelkami z przedniej półsfery sylwetki samolotu. Co najmniej trzy zestawy raketowe usiłowały namierzyć *Su-22* swoimi radarami kierowania ogniem. Marciniak miał nadzieję, że nikt do niego nie odpali przypadkiem rakiety. Celem doświadczenia było przekonanie się, czy *Biała Dama* potrafi oszukać radary poszukiwawcze i ogniowe poszczególnych zestawów raketowych. Na brzegu stały więc *Newa*, *Kub*, *Krug*, dalekosiężna *Wega* i małokalibrowe, samobieżne szybkostrzelne działko *ZSU-23 Szyłka*. Brakowało polskiego zestawu *Loara*, ale ten był w służbie w pojedynczych sztukach tylko w Polsce, więc testowanie na nim *Białej Damy* nie miało sensu.

Podeszli na rubież odpalenia. Po rutynowej korespondencji i uzyskaniu wszystkich zezwoleń Marciniak wybrał lewe środkowe podwieszenie, uzbroił pocisk i nacisnął spust.

Pocisk z charakterystycznym świstem zszedł z prowadnicy. Odpalenie nie różniło się wiele od strzału rakieta powietrze-powietrze. *Biała Dama* nie przyspieszała ostro, bo, imitując odrzutowiec, lecieć miała z prędkością nie większą niż 1100 kilometrów na godzinę. Niespiesznie oddalała się od *Su-22*. Po 4-5 sekundach pocisk wzniosł się łagodnie, nabrał kilkadziesiąt metrów wysokości, wyrównał i poleciał przed siebie.

- Nic ekscytującego – skwitował próbę Marciniak.
- Mi to mówisz? – spytał Czerwiński. – Siedzę tu jak watek. Nawet nie widzę jak poleciał.
- Robimy drugi nawrót i do domu. Dość już się dzisiaj nalatałem.

Marciniak nawiązał kontakt z ODN-em i dostał zgodę na kolejne podejście. Trzy minuty, przejście Kaweckiego i Królaka na prawą stronę, kolejna rozmowa z Wickiem, światelka na „karuzeli”...

- Uwaga! Teraz!

Marciniak nacisnął spust. Nie zobaczył jednak spodziewanej, znajomej smugi ognia i dymu. Zamiast tego samolotem szarpnęło nagle w lewo. Coś szumiało poza silnikiem.

– Co jest do cholery?! – krzyknął w interkom, korygując orczykiem nagle znoszenie w lewo.

– Rakieta nie zesła! Ma silnik na chodzie!

O w mordę! Pod skrzydłem, niedaleko zbiorników z paliwem mieli odpalona rakietę, która usiłowała zerwać się z uwięzi! Marciniaak szarpnął drążek, usiłując skorygować wybryki samolotu, który nagle stał się narowisty. Nie dość, że ciąg rakiety znosił nos w lewo, to jeszcze na dodatek maszyna lekko zaczęła się przechylać na lewą stronę. Skorygował to drążkiem. Domyślił się, że *Białą Damą* usiłowała zwiększyć wysokość.

– Zrzucić belkę?

– Nie. Może uderzyć w skrzydło.

Z działającym silnikiem poniżej środka parcia, przesuniętego w górę przez belkę zrzucony zestaw mógł zacząć żyć własnym, aerodynamicznym życiem, podskoczyć i uderzyć w skrzydło. W najlepszym wypadku uszkodziłby komorę podwozia, w najgorszym – przy tej prędkości – doprowadził do zniszczenia struktury skrzydła, a może skrzydłowego zbiornika. Przy zetknięciu rozlanego paliwa z płomieniem wylotowym *Białej Damy* niechybnie doprowadziłoby to do eksplozji.

Michał pchnął przepustnicę do oporu, na pełen ciąg bojowy. Miał nadzieję, że zrównoważy w ten sposób znoszenie wywołane przez pocisk, zwiększając opór aerodynamiczny powodowany przez rozszalałą rakietę.

– Zawiadom poligon, że mamy kłopoty. Niech nas nie namierzają. Przelećmy nad nimi.

Pochylił nos i starał się rozpędzić maszynę. Zaraz jednak dał spokój, bo *Biała Dama* chciała koniecznie wyrównać. Lepiej, żeby belka podwieszeń nie była narażona na dodatkowe obciążenia. Pchnął przepustnicę w zakres dopalania. Czerwiński rozmawiał z poligonem.

Mieli problem. Rakieta mogła oderwać się od węzła podwieszenia lub nawet urwać razem z nią, co miałyby niechybnie ten sam efekt, co próba pozbycia się niesfornego uzbrojenia razem z belką. Prędkość pozwalała nie tylko zrównoważyć siłę silnika, ale i odprowadzić gorące gazy wylotowe szalejące pod skrzydłem. Środkowy pylon z wyrzutnią *Białej Damy* usytuowany był przy krawędzi natarcia. Michał nie wiedział, jakie uszkodzenia mogą w tych warunkach poczynić gazy.

– Derwisz dwa, tu jedyńka. Co się dzieje? Co wy wyprawiacie? Dlaczego się nie katapultujecie? – usłyszał w słuchawkach głos zdenerwowanego Kaweckiego.

- Równoważę siły z rakiety. Strzelać się przy tej prędkości? Panuję nad sytuacją – rzucił w radio Marciniak. – Na ile czasu ma paliwo to gówno? – spytał Czerwińskiego przez interkom.
- Około dwóch minut.
- No to mamy dwie minuty rodeo.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło od odpalenia, ale nie więcej niż czterdzieści sekund. A więc ten szajs będzie im bruździł jeszcze dobrze ponad minutę.

- Jak tylko zgaśnie, chcę mieć kurs na zapasowe. Zawiadom je, że mamy sytuację awaryjną – rozkazał Marciniak. W kokpicie był dowódcą załogi. – Jeśli belka się oderwie i trafi w skrzydło, natychmiast skacz bez rozkazu.
- Zrozumiałem.

Czerwiński nie skomentował ostatniego rozkazu. Skakanie przy tej prędkości było ryzykowne. Powietrze opływało *Su-22* z prędkością 1000 kilometrów na godzinę i dla wyrzuconego z samolotu człowieka było twarde jak skała. Gdyby jego pęd zerwał maskę tlenową, mógł zniekształcić twarz, uderzyć ciśnieniem w płuca. Jeśli zniszczeniu uległoby skrzydło, drugie wprawiłoby kadłub w tak szybką rotację wokół osi, że prawdopodobnie nie mieliby nawet szans sięgnąć do dźwigni powodującej wystrzelenie fotela wyrzucanego. Ich życie wisiało na belce – tej samej, na której wisiała *Biała Dama*.

- Kurs do Świdwina od brzegu: dwa dwa zero. Zawiadomię ich.
- Za chwilę. Patrz, co z rakieta.
- Nadal grzeje.
- Byle nie odmaszerowała teraz.

Linia brzegowa zbliżała się w szalonym tempie. Maszyna lekko dygotała od zaburzonego silnikiem rakiety przepływu powietrza pod skrzydłem. Raptem dygotanie ustało.

- Zgasła – zameldował Czerwiński. Marciniak natychmiast zredukował ciąg. Nie wiedział, w jakim stanie jest belka. Jeśli w kiepskim, to teraz prędkość nie była ich sprzymierzeńcem.

Przelecieli dokładnie nad poligonem. Pilot nie miał czasu ani ochoty rozglądać się za stanowiskami zestawów raketowych na ziemi. Naprawdę groźny był jego własny zestaw raketowy zawieszony pod skrzydłem. Zakręcił na podany przez Czerwińskiego kurs.

- Derwisz jeden, tu dwójka. Podejdz i zobacz co z belką i rakieta.

Kawecki potwierdził. Prędkość spadła do około 400 kilometrów na godzinę. Do lotniska było sto. Żeby tylko to cholerstwo wytrzymało te dwadzieścia minut na dolot i lądowanie.

Czerwiński nawiązał kontakt ze Świdwinem i powiadomił o sytuacji awaryjnej. Marciniak ze zdziwieniem usłyszał, jak prosi o przysłanie saperów. Dopiero teraz uświadomił sobie, że *Biała Dama* miała w sobie ładunek samoniszczący. Prawdopodobnie po wygaśnięciu silnika rakiety został on uzbrojony.

- Kurwa jej mać – zaklął głośno.
- Właśnie – potwierdził Czerwiński.

Wprawdzie ładunek w rakiecie był niewielki, jednak nie wiedzieli, jaka właściwie jest jego moc. Jeśli eksploduje przy przyziemieniu, może wpakować odłamki silnika raketowego do zbiornika z paliwem. Wtedy albo szybko wyśiądą, albo cholernie krótko pożyją.

- Derwiz dwa, tu jedynka – odezwał się Kawecki – Nie wygląda to źle. Rakietka jest trochę osmalona, ale belka raczej nienaruszona. Oglądaliśmy pod różnymi kątami. Będziemy wam asystować aż do lądowania i obserwować co się dzieje.
- Dzięki, Derwiz jeden.

Lecieli niewysoko, na pięciuset metrach i dość powoli, w granicach 400 kilometrów na godzinę. Powiadomiona przez Kaweckiego kontrola lotów usunęła im z drogi wszystko, co lata nisko i powoli. Minęli Darłowo, zostawiając je po prawej. Marciniak pomyślał z goryczą, że wszystko, co najgorsze, przytrafia mu się nad środkowym wybrzeżem. Potem ominęli Koszalin i Białogard. Po dwunastu minutach robili podejście do Świdwina od południowego wschodu. Dostali zgodę na lądowanie od razu.

Obaj mieli na sobie maski i opuszczone przyłbice hełmów, na wypadek, gdyby przyszło wysiadać. Jeśli coś miałyby się zdarzyć, lepiej, gdyby zdarzyło się przy dużej prędkości. Mimo fotela wyrzucanego *K-36DM*, który mógł bezpiecznie katapultować pilota z samolotu stojącego nieruchomo na ziemi, strzelać się z *Su-22* można było przy prędkości postępowej co najmniej 75 km/h, bo dopiero ona gwarantowała zrzucenie odrzucanej awaryjnie owiewki z toru lotu fotela z pilotem. Podchodzili ostrożnie do dwu-i półkilometrowego pasa. Marciniak wyrównał nad pasem, wytrzymał, następnie opuścił, najostrożniej jak potrafił, *Szparkę* na beton lotniska.

Nic się nie stało.

Wypuścił spadochron hamujący. Gdy tylko prędkość spadła na tyle, by móc użyć hamulców, zaczął ostrożnie hamować. Normalnie dobieg *Suki* wynosił nieznacznie ponad kilometr. Oni zatrzymali się 300 metrów od końca pasa.

Do maszyny jechali już strażacy. Zalali przewencyjnie *Białą Damę* pianą jeszcze zanim załoga otworzyła osłony kabiny i nim podstawiono drabinki. Marci-

niak i Czerwiński zaczęli czekać na zabezpieczenie foteli przed przypadkowym odpaleniem i wysiedli. Do maszyny podjechała ekipa saperowska.

Su-22 Kaweckiego i Królaka przeleciał w sąsiedztwie pasa. Kaweckie pomachał im skrzydłami.

Obaj piloci odeszli od maszyny. Przyglądali się w milczeniu działaniom ekip awaryjnych.

- Niech to diabli – rzekł w końcu Marciniak. – Chciałem za półtorej godziny być w domu.
- To miał być nudny lot – stwierdził Czerwiński. – Dlaczego nie był nudny do końca?
- Mielśmy kupę szczęścia. Nie mam pojęcia, dlaczego ta cholerna rakieta się zablokowała. Dobrze, że zablokowała się całkowicie i nie odpadła częściowo, bo mogłaby wtedy łopotać przy skrzydle. Przeszlibyśmy szybko do historii.
- Nawet gdybyśmy wyskoczyli – powiedział Czerwiński, a widząc zdumione spojrzenie Marciniaka, dodał: – Bylibyśmy pierwszą załogą zestrzeloną przez niewystrzelony pozorator, do tego własny. Przynajmniej w naszych Siłach Powietrznych.

Mimo przeżytego stresu, a może właśnie dlatego, Marciniak głośno się roześmiał.

- Widzę, że i w tym przypadku dostrzegasz dobre strony – rzekł – Zawsze jesteś takim optymistą? – zapytał.
- Staram się. Pesymizm się nie oplaca – odpowiedział Czerwiński.
- Trzeci wspólny lot. Nie masz mnie dosyć?
- Dowiozłeś nas tutaj. To się liczy.

Marciniak zastanawiał się, co powiedzieć. Dał sobie jednak spokój. Stali w milczeniu dłuższą chwilę, przyglądając się pracy saperów, gdy podjechał do nich *Honkerem* kapral. Zasalutował i zapytał:

- Który z panów to porucznik Marciniak?
- Ja – odpowiedział Michał.
- Telefon do pana. W kontroli lotów.
- Podrzucicie mnie, kapralu?
- Po to tu jestem. Proszę wsiadać.

Marciniak jechał do wieży, zastanawiając się, kto u licha może go tu szukać. Pewnie Łysoń. Zapewne Kaweckie już mu opowiedział wszystko ze szczegółami.

Dojechali do wieży. Kapral podwiózł go pod samo wejście. Marciniak wszedł do środka. Ktoś z obsługi wskazał mu pomieszczenie. Porucznik podniósł słuchawkę.

- Porucznik Marciniak.
- Porucznik Jabłońska, Dowództwo Sił Powietrznych. Będzie z panem rozmawiał generał Zdanecki.

Marciniaka na moment zatkało ze zdumienia. Nim zdążył pomyśleć, o co tu chodzi, w słuchawce zachrobotało i usłyszał:

- Zdanecki.
- Porucznik Marciniak, melduję się...
- Co się tam wydarzyło, poruczniku? – przerwał mu generał.

Przez krótką chwilę Marciniak zastanowił się, jak odpowiedzieć. Nie wiedział, czy linia była bezpieczna, a rozmawiali o tajnym programie.

- Panie generale, rakieta odpaliła, ale nie zeszła z wyrzutni.
- Jak pan zareagował?
- Zwiększyłem prędkość i czekałem, aż wypali się paliwo.

Generał milczał przez chwilę. Zapewne zastanawiał się, co sam by zrobił w takiej sytuacji.

- Żaden z panów nie jest ranny?
- Nie. Wstrząśnięci, ale nie zmieszani. Jak James Bond.
- Pan już się chyba otrząsnął an dobre. To dobrze, ale proszę traktować to zdarzenie poważnie. Mogliście się obaj urządzać sobie pogrzeb na koszt państwa. Dlaczego nie skakaliście?
- Nie mieliśmy takiego odruchu, a potem nie wyglądało to tak groźnie. Postanowiliśmy wytrwać. No i do brzegu było daleko.
- Śmigłowce marynarki wyłowiłyby was w ciągu piętnastu minut. Niepotrzebnie zgrywaliście chojraków. Należało skakać. To stary grat, a wy jesteście młodzi i jeszcze zasłużycie na pochwały. Niepotrzebnie się narażaliście.
- Rozumiem, panie generale.
- Z drugiej strony zrobiliście kawał dobrej roboty. Przywieźliście z powrotem ten trefny pocisk. Będziemy mogli stwierdzić, co zaszło i uniknąć tego typu problemów w przyszłości.
- Tak jest! Dziękuję, panie generale.
- Niech pan nie dziękuje. Ma pan sporo szczęścia w nieszczęściu. Najważniejsze, że obaj z Czerwińskim wyszliście z tego cali i suchą stopą. Proszę napisać szczegółowy raport o przebiegu lotu.
- Tak jest.

- To wszystko. Dziękuję.
- Do widzenia, panie generale.

Zdanecki rozłączył się. Marciniak zastanawiał się, jak szybko i sprawnie działał nieformalny kanał informacyjny generała. Kwadrans od awaryjnego lądowania wiedział o incydencie, znał nazwiska uczestników i wiedział dokąd zadzwonić.

Kapral z *Honkerem* czekał na niego przed wieżą. Pojechali w kierunku stojącej na pasie *Szparki*.

Saperzy demontowali feralny pozorator z wyrzutni. W bezpiecznej odległości, wokół Czerwińskiego, zgromadziła się spora grupa gapiów, z czekającym na uwolnienie *Szparki* od niebezpiecznego ładunku personelem technicznym. Marciniak wyłapał też w grupce kilku pilotów z bazującej w Świdwinie 46 eskadry. Zaraz też uświadomił sobie, że nie uniknie kłopotliwej rozmowy o tym, co się właściwie wydarzyło i co robili z dziwnym typem rakiety nad poligonem w Wicku Morskim.

Czerwiński wziął jednak na siebie pierwszy impet. Z hełmem w rękę tłumaczył coś gapiom. Z dwudziestu metrów Marciniak słyszał, jak peroruje:

- Znowu wymyślili sobie pocisk-cel, jakby mało im było tych przerobionych z *R-23* i naszych *Suk* – po ostatnich słowach wśród słuchaczy rozległ się śmiech, bo w 2003 roku przeciwnicy zestrzelili omyłkowo *Su-22* na poligonie w Wicku Morskim.
- Skoro to latający cel, to dlaczego usuwają go saperzy? – zapytał ktoś przytomnie.

Czerwiński miał niezawodny refleks.

- Bo ma system samozniszczenia, na wypadek, gdyby przeciwnicy spudłowali.

Gruchnął śmiech. Zanim ktoś zdążył zadać kolejne pytanie, Czerwiński ujrzał zbliżającego się Marciniaka.

- Kto dzwonił? – zapytał.
- Żona – wtrącił ktoś z gapiów, nim Marciniak zdążył odpowiedzieć, co wywołało kolejny wybuch śmiechu.

Michał też się uśmiechnął.

- Nie żona, tylko Dziadek – odpowiedział.
- Twój czy nasz? – spytał Przemas.
- Nasz.
- To gorzej niż żona – wtrącił jeszcze raz któryś z gapiów.
- O co pytał? – to był Czerwiński.

– O zadybę nad Wickiem. Chciał wiedzieć, co się wydarzyło i jak zareagowaliśmy. Pytał się, czemu nie skakaliśmy.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Że woda za zimna na kąpiel.

Śmiech wybuchnął na nowo.

– Jak ci generałowie troszczą się o higienę podwładnych – powiedział jeden z miejscowych.

– Coś jeszcze mówił? – spytał jeden z pilotów.

– Pytał, jak się czujesz – zwrócił się do niego Marciniak – i dlaczego nie dbasz o higienę.

Kolejny wybuch wesołości przerwało nadejście oficera saperów.

– Usunęliśmy już pocisk. Możecie przejąć maszynę.

Ludzie rozpięchli się do swoich zadań. Obsługa techniczna podczepiła *Szparkę* do ciężarówki, jeden z techników wsiadł do kokpitu. Odholowali maszynę na płytę postojową. Trzeba było sprawdzić, czy maszyna rzeczywiście nie odniosła uszkodzeń.

– Przemek, kiedy idziemy na flaszkę? – spytał Marciniak. Właściwie nie pił mocniejszych alkoholi, ale chciał pogadać z Czerwińskim poza służbą.

– Po weekendzie. A propos – nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zamienimy się z Kaweckim i Królakiem dyżurem bojowym w ten piątek? Moja żona wyjeżdża i siedziałbym sam w domu przez weekend. Wolę odpajkować dyżur i mieć wolną nockę, kiedy Anita będzie w domu.

Marciniak zastanowił się. Właściwie nie miał nic przeciwko. Nie miał zamiaru jechać do Poznania w ten weekend. Z tego, co wiedział, także jego kumpel Tkacz miał służbę w piątek. Reszta kolegów miała rodziny i spędzała z nimi każdą wolną chwilę. Na samotną włóczęgę po poznańskich lokalach nie miał ochoty.

– W porządku – odpowiedział – Przy okazji – czeka nas latanie na papierkach. Zdanecki chce szczegółowy raport. Piątek będzie dobrym momentem, żeby to doszlifować.

– Dzięki. Podobno pogoda ma się posypać. Chętnie odpocznę od latania – stwierdził Czerwiński. – Trzeba dobrze opisać to, co się stało. Niech usuną problem, zanim ktoś inny będzie musiał użyć *Białej Damy*.

Powidz, baza lotnicza
16 maja 2008r. godz. 19:30

- Tak parszywej pogody już dawno nie widziałem – Czerwiński podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Ściana deszczu zasłaniała olbrzymie powidzkie lotnisko. Jego krańców nie było widać nawet z wieży. Mimo późnego o tej porze roku zmierzchu musieli włączyć oświetlenie pomieszczeń, tak było ciemno za oknami. Od czasu do czasu robiło się jednak jasno, a to za sprawą potężnych wyładowań atmosferycznych. Jeśli dołożyć do tego huraganowy wiatr, to nie była to pogoda wymarzona na majówkę.

Siedzieli w sali odpraw, ubrani w kombinezony lotnicze i ubiory przeciwprzeciążeniowe. Eskadra co kilka dni wystawiała parę dyżurną *Su-22M4* uzbrojoną w pociski powietrze-powietrze *R-60* do ewentualnego przechwycenia celów powietrznych. Do tego odkąd zmodyfikowano *Szparki*, także jedna dwumiejscowa *Su-22UM3* pełniła dyżur jako maszyna walki radioelektronicznej. Nowy system obowiązywał od niedawna, jako pierwszy z efektów pracy nad Kwazarem.

- Pojechałeś po bandzie, chłopie – Marciniak wrócił do poprzedniego tematu rozmowy, gdy Przemek wrócił do biurka. – Włazłeś prosto w testy tego dziwnego programu. Naprawdę liczysz na to, że pomoże ci to w prześiadce na *Vipery*?
- Trzeba próbować. Też w to włazłeś, więc twoje szanse rosną.
- Nie byłbym taki pewien.
- Jak się nie ma możliwych protektorów, to trzeba się jakoś wykazać, prawda?
- Albo powłazić komuś w tyłek.
- Każda metoda jest dobra. Byle skuteczna.
- Dlaczego orbitowanie wokół Kwazara uważasz za skuteczne?
- Bo to ukochane dziecko naszego wodza i Dziadka w jednym.
- Zdaneckiego?
- A kogo by innego?
- Po jaką cholerę on to robi?
- Obiegowa opinia głosi, że marzy mu się silne lotnictwo. Dlatego chce utrzymać osiem eskadr w jako takim stanie technicznym i kadrowym. Pilotom potrzebne jest latanie i perspektywa ciekawej służby. Dlatego pakuje co się da, w lotność *Suk*, zwłaszcza jeśli za chwilę trzeba będzie prężyć mięśnie. Gotowość bojową zyskujemy dzięki kasie z rezerwy budżetowej. Zdanecki wycisnął polityków jak kanarka.

Błysk pioruna prawie ich oślepił. Ogłuszający huk, jaki nastąpił zaraz potem, świadczył, że trafiło bardzo blisko.

- Ale pieprznięło! – stwierdził Czerwiński, odwracając wzrok do okna. – W hangar?

- Chyba nie. Może w któreś z drzew?

- Na ile meteo wycenia podstawę chmur? – spytał Czerwiński.

- Na dwieście metrów – odpowiedział Michał. – Jednak nie dałbym im więcej niż sto. W porywach nawet mniej.

- Współczuję tym wszystkim, którzy dzisiaj muszą latać.

- O co chodzi z tym Kwazarem? – wrócił do tematu Marciniak. – Jaki jest sens dozbrajania *Suk*? Długo i tak już nie pociągną.

- Militarnie ma to niewiele sensu. Co innego, gdy spojrzysz na to z perspektywy zarządzania. To program pilotażowy. Zdanecki zaangażował w to zbrojeniówkę i ekipę młodych gniewnych z uczelni technicznych, którzy projektują sprzęt i oprogramowanie. Chce dać zajęcie eskadrom uzbrojonym w *Su-22* i poeksperymentować z przemysłem. Wiesz dobrze, że nasza zbrojeniówka kiepsko radzi sobie z zarządzaniem projektami. Dlatego Kwazar jest stosunkowo prosty. Usiłują zapanować zarówno nad projektem od strony zarządzania i współpracy z wojskiem, jak i poradzić sobie z technologią. Wszyscy się uczą. Departament uzbrojenia robi próbną specyfikację uzbrojenia dla *Su-22* i wypracowuje do tego procedury według najlepszych praktyk. A przemysł eksperymentuje z programem, który, jeśli się nie powiedzie, to nikt nie będzie nad nim płakać. A jeśli się uda, to doświadczenie będzie bezcenne. Ma być pełen profesjonalizm w zarządzaniu – od określania celów po realizację i sprawozdania.

- I po co to wszystko?

- Docieranie mechanizmów i procedur. Zdanecki chce pokazać – potrafiśmy zrobić coś i nad tym zapanować, nawet za niewielkie pieniądze. Dajcie nam większe pieniądze, będzie lepszy efekt.

- Znając naszych polityków, efekt będzie taki: umiecie coś zrobić za małe pieniądze, zróbcie coś za mniejsze – zaoponował Marciniak.

- Być może. Warto spróbować. Zresztą Zdanecki nie tylko umie czarować, ale i szokować. Pamiętasz zeszłoroczną defiladę z okazji Święta Niepodległości? Zdanecki wyciągnął kupę kasy za nią. Chcieli defilady, to musieli ze dwie eskadry postawić na nogi.

- Ryzykownie pograł. Długo tak nie pociągnie.

- Nieźle się trzyma. Umie pociągnąć za kieszeń polityków. Obojętnie z której opcji, do tego czasem udaje mu się popchnąć jakieś decyzje. Dał tro-

chę zarobić zbrojeniówce, zrobił im apetyt. Związkowcy ze zbrojeniówki odcepili się od polityków, w dodatku liczą, że to Zdanecki zdobędzie im kasę. Politycy, zamiast dotować wprost, dotują pośrednio, poprzez Kwazara. A jest tego trochę, bo zarabia kilka firm radiotechnicznych i jedna zajmująca się wytwarzaniem i przeróbką pocisków raketowych. No i zakłady lotnicze. Krótko mówiąc – wszyscy zadowoleni.

- Ale pakowanie pieniędzy w *Suki*...
- Nie kupiłbyś za to nawet jednego używanego *F-16*. Pensje personelu latającego by nie wzrosły, bo te wyznacza ustawa i kategorie zaszerogowania. Za to politycy się nie wtrącają i ktoś wreszcie pokazał, jak się do tego zabrać – przynajmniej w mikroskali. A my mamy po co latać i czym się bawić.

Marciniak zastanowił się. Heca z Kwazarem mogła mieć jakiś sens. W Polsce wszyscy chcieli robić wielkie projekty, nie mając doświadczenia. Może rzeczywiście tędy droga – od małych projektów przy starzejącym się uzbrojeniu, gdzie niewiele można sknocić?

- Zdanecki nieźle się ustawił. Nie myślałem, że jest tak zręczny.
- Wszyscy myśleli, że będzie brylował wśród polityków i robił karierę. Robi to, ale to tylko dodatek do jego misji budowania silnego lotnictwa. Wszystko temu podporządkowuje.
- Silne lotnictwo? – zdziwił się Marciniak – Zachowując wszelkie proporcje, nasze przedwojenne lotnictwo było silniejsze.
- To nie znaczy, że nie może być silne – odparł Czerwiński. – Zdanecki jest zapatrzony w Dana Tolkowskiego i Ezera Weizmanna. Potęgę można budować stopniowo, potrzebny jest odpowiedni klimat polityczny, poparcie i przekonanie o tym, że można i trzeba. Zdanecki tworzy sobie dwa pierwsze elementy. Ostatniego ma w nadmiarze. Niczego nie robi bez powodu.
- Naprawdę?
- Naprawdę. Weźmy na przykład ciebie. Znalazł pierwszy lepszy pretekst, by cię tu przysłać. Naprawdę musiał kogoś ukarać? Naprawdę musiał usunąć cię z Mińska, z widoku prasy i polityków? Przecież nic takiego się nie stało, poza tym, że jakaś laska wykapała się w basenie portowym i pewien oficer marynarki stracił wąsy. Może bardziej potrzebował kogoś, by latał dla potrzeb Kwazara?
- Fantazjujesz. Mam przerąbane przez tamten incydent.

- Założę się, że nikt poza Zdaneckim i osobami zaangażowanymi w badanie tamtej sprawy nie poznał nawet twojego nazwiska. Zdanecki mógł pokazać politykom i prasie dowolny rozkaz przeniesienia.
- Akurat Dziadek miałby ochotę zaprzętać sobie głowę takimi sprawami.
- A jednak. Po jaką cholere dzwonił do ciebie do Świdwina? Skąd wiedział, kto leciał i że wyniknął problem? On się interesuje ludźmi i umieszczaniem ich we właściwym miejscu o właściwym czasie.
- Masz na wszystko gotową odpowiedź, jakbyś go znał od urodzenia – powiedział Michał. – Może mnie oświecisz, dlaczego miałby otaczać mnie specjalną troską?

Czerwiński uśmiechnął się pobłażliwie.

- Może stałeś się dzieckiem specjalnej troski, odkąd wyjechałeś z tą kawaleryjską prośbą o ponowne przeszkolenie na docelową maszynę? Może za imponowałś Dziadkowi? Tak czy inaczej, jeśli potrzebował kogoś odpowiednio zmotywowanego do udziału w programie, to właśnie go znalazł.
- Nie potrzebuję specjalnej motywacji. Zresztą ile tego Kwazara zostało? Najwyżej kilka strzelań.
- Nie bądź taki pewien. Wszystkie egzemplarze *SPS-141* przeszły przeróbkę. Kończą przeróbkę *H-25MP*. Właściwie zostały tylko testy głowic naprowadzających. *Dama* jest już w trakcie próbnych strzelań. Poprawią tylko to mocowanie, które omal nas nie zabiło, kilka ostrych strzelań i też będzie do użycia.
- Fantazujesz z nudów – skwitował Marciniak. – Odbija wam na tym pustkowiu. Dobrze, że trafił się jakiś gość z zewnątrz, jak ja. To wam dobrze zrobi na nerwy.

Czerwiński zaśmiał się. Marciniak wrócił do rzeczywistości. Albo Czerwiński był bardzo dobrze poinformowany, albo był świetnym obserwatorem i analitykiem. Mógł jeszcze totalnie zmyślać. Jego teoria miała jednak zasadniczą zaletę – jeśli była prawdziwa, to jego pobyt tutaj nie był czasem całkowicie zmarnowanym.

Frankfurt nad Menem, międzynarodowy port lotniczy godz. 20:50

Agnieszka Madej siedziała przy oknie tuż przed skrzydłem z lewej strony LOT-owskiego *Boeinga 737*. Pogoda we Frankfurcie uspokoiła się po burzowym piątku. Deszcz przestał lać, wiatr nieco ucichł, a w chmurach pojawiły się

prześwity. Mimo to samoloty lądowały w tumanach wodnego pyłu wznoszonego przez koła, później zaś przez odwrócony dla wyhamowania ciąg. Kapitan Boeinga już zapowiedział, że start się opóźni, nie uruchomił też silników, choć zgodnie z rozkładem powinni być już w powietrzu.. Choć burzowy front dawno przeszedł nad Frankfurtem, port lotniczy nadal nadrabiał zaległości spowodowane koniecznością przeczekania w powietrzu przez maszyny największej nawałnicy. Burza, gęsty deszcz i silny, południowo-zachodni wiatr praktycznie uniemożliwiły lądowanie samolotom nawet przystosowanym do lądowania w warunkach kiepskiej widoczności. Maszyny, które właśnie lądowały, leciały naprawdę na resztkach paliwa, i to sprowadzenie ich na ziemię było absolutnym priorytetem. Wszystkie pasy startowe były zajęte, kontrolerzy pracowali jak szaleni, a gdyby nie chmury, można byłoby na przedłużeniu pasa zobaczyć kolejkę świecących światłami pozycyjnymi i lądowania samolotów. Lądowania odbywały się w ekspresowym tempie – zaledwie jedna maszyna skołowała z pasa, jego kraniec już przekraczała kolejna. Końca tej operacji nie było widać.

Właściwie podróż powrotna była jedynym ciemniejszym akcentem trzydniowego szkolenia, jakie odbyła w Niemczech wraz z trzema innymi pracownikami firmy. Jeden z nich, Adam Leszczyński, siedział obok niej. Dwójka pozostałych – Marta Kowalska i Tomasz Kaczmarek siedzieli w po prawej stronie, bliżej ogona. W zasadzie spędzili miło i pożytecznie dla firmy i siebie czas, obejrzeni kawałek Europy, tej prawdziwej, nie tej polsko-ciemnogrodzkiej. Jedynym zmartwieniem było marnowanie tutaj czasu. Mogliby być już w Warszawie, rozpakować się, wstać rano i przed południem zabrać się gdzieś na weekend, opowiedzieć znajomym, jak to było w Niemczech. A tak, jak jeszcze się opóźni, to potem nie da się wstać w sobotę o rozsądnej porze. Sobota to jeden z dwóch dni w tygodniu, kiedy można nieco pospać. Więc albo rybka, albo akwarium.

Z głośników popłynął następny komunikat kapitana. Zamiast oczekiwanego komunikatu o starcie kapitan Niwiński ogłosił, że opóźnienie startu będzie co najmniej półgodzinne, a może jeszcze się zwiększyć, ponieważ front burzowy obecnie przechodzi nad Polską. Być może zajdzie nawet konieczność lądowania na innym lotnisku niż Okęcie ze względu właśnie na pogodę.

– Nieźle, co? – odezwał się Leszczyński – Zapłaciliśmy kupę szmalu za bilety i siedzimy na tyłku. Czas ucieka.

Agnieszka nie odpowiedziała. Obserwowała kolejny liniowiec, który wylądował i właśnie wznosił kurtynę pyłu wodnego w blasku światła pasa. Złościło ją tak samo, jak Adama to, że niewiele może zrobić, że musi czekać. Czuła się nieco bezradna – zdana na łaskę innych ludzi i skąpe informacje docierające w

komunikatach kapitana i od stewardess. Pasażerom pozwolono wyjątkowo korzystać z komórek, by powiadomić oczekujących ich bliskich o opóźnieniu i możliwej zmianie trasy. Agnieszka wyjęła swój telefon. Przez chwilę zastanawiała się, do kogo ma zadzwonić i doszła do wniosku, że nie bardzo jest do kogo. Rodziców nie chciała denerwować – wiedzieli, że jest za granicą na szkoleniu i wraca w piątek. Znajomi o tej porze siedzieli w warszawskich lokalach i dodzwonienie się do nich graniczyło z cudem i miało z sensem. Mogła co najwyżej wysłać SMS-y, licząc na jakieś mocno wątpliwe współczucie. Przez ostatnich kilka miesięcy taka sytuacja zdarzyła się raz. Zadzwoniła do Michała. Ten, dysponując aktualną lotniczą prognozą pogody, rozwiął jej obawy. Wylądowali bez kłopotów na Okęciu.

Michał... fajny facet... do rany przyłóż, spokojny, opanowany, umiejący się odciąć, kiedy trzeba. Właściwy człowiek... tylko dlaczego nie pasował do jej świata? Gdyby miał więcej zrozumienia dla jej stylu życia, dla potrzeby bycia kimś, zajścia wysoko w służbowej hierarchii, prestiżu, dobrych wakacji. Cóż, zamiast zdobyć MBA i robić prawdziwe pieniądze, wolał nosić mundur i latać. Może jednak nie był właściwym mężczyzną, tylko chłopcem, który nie wie, kiedy wyrosnąć z młodzieńczych marzeń? Jednak... miała ochotę teraz właśnie zadzwonić do niego, powiedzieć mu, że utknęła we Frankfurcie z powodu pogody i dowiedzieć się czegoś więcej. Jego wiedza na pewno teraz by pomogła.

Przez następne 40 minut czekali na płycie lotniska. Wiadomości były kiepskie. Nad Polską szalał front burzowy. Opóźnienia i przekierowania maszyn pasażerskich były powszechne. Lądować było jednak można w przerwach między burzami – oczywiście tylko przy wspomaganium radiowym, bo choć widoczność bez deszczu sięgała kilkunastu kilometrów, to podstawa chmur opadła na 100-150 metrów.

Kiedy wreszcie o 21:36 maszynę przeszedł odgłos uruchamianych silników, napięcie opadło. Czekanie się skończyło, nareszcie lecieli.

Powidz, baza lotnicza godz. 22:10

Marciniak i Czerwiński stali w pełnym rynsztunku lotniczym wieży kontroli lotów. Ukończyli już papierkową robotę. Piętnastominutowe pogotowie nie wymagało od nich przebywania w domku pilota, woleli być w wieży, skąd był lepszy widok na otaczającą ich, przecinaną błyskawicami ciemność – no i było się w centrum wydarzeń. Komunikacja radiowa co chwilę przynosiła ciekawe

wieści o maszynach, które musiały zboczyć z trasy lub zawrócić, albo leciały na resztkach paliwa. Byli tu też Tkaczyk i kapitan Tomasz Krzyżanowski, którzy stanowili obsadę pary dyżurnej i Łysoń, który dowodził dyżurem bojowym eskadry.

Burza chwilowo się uspokoiła. Meldunki meteo mówiły jednak, że z południowego zachodu idzie kolejna, znacznie potężniejsza. Na razie wiało i zaciągało deszczem. Chmury przetaczały się tak nisko, iż widać je było w światłach lotniska.

Obok nasłuchu na własnej, wojskowej częstotliwości, na której nic ciekawego się nie działo z powodu braku lotów, wieża nasłuchiwała rozmów kontroli obszaru. Tu z kolei działo się aż za dużo. Z powodu opóźnień więcej niż zazwyczaj maszyn pasażerskich znajdowało się w powietrzu. Kontrolerzy mieli kłopot z odseparowaniem ich, zwłaszcza że niektóre próbowały uniknąć przelotu przez wysoko wypiętrzone chmury burzowe. To jednak nie zawsze się udawało i w ciągu ostatniej godziny, kiedy Marciniak i Czerwiński dołączyli do reszty, co najmniej trzy załogi meldowały o uderzeniach pioruna w maszynę. Na szczęście żadna nie odniosła uszkodzeń.

Na dole pod budynkiem na pilotów czekał samochód, gotów zawieźć ich do strefy rozśrodkowania, gdzie czekały gotowe do startu samoloty. Raz na trzy godziny technicy uruchamiali na 10 minut silniki, by w razie konieczności startu nie trzeba było ich ponownie rozgrzewać. Marciniak był pewien, że nawet w tym stanie rzeczy wystartowaliby w ciągu najwyżej siedmiu minut. Na żaden lot nie zanosilo się. W najgorszym wypadku dysponujące długim pasem startowym lotnisko mogło przyjąć któryś z „pasażerów”, gdyby brak paliwa czy jaka awaria zmusiła go do natychmiastowego lądowania.

Dalekie grzmoty co chwila wkradały się w odgłosy pracy kontroli lotów. Południowo-zachodnie niebo coraz częściej rozświetlały błyski. Były tak częste, że momentami wyglądały jak krótkie spięcie. Pioruny musiały bić seriami. Z daleka tylko nieliczne wyładowania widać było bezpośrednio. Większość musiała odbywać się między chmurami.

- Jak długo żyję, widzę coś takiego drugi, może trzeci raz – odezwał się w końcu Nowaczyk. – Przyjrzyjcie się panowie, to się nieczęsto zdarza.
- Ci w górze mają dziś przechłapano – zauważył Krzyżanowski. – Błyska się jak cholera, pioruny co chwila wałą w samoloty, do tego turbulencja. Kontrola lotów też na długo zapamięta ten piątek.
- Ludzie przylatują z wysp, biznesmeni wracają z delegacji, masa sprzętu w powietrzu i takie gorące powitanie – dołączył się do chóru komentato-

rów Czerwiński. – Co tam z tą nową burzą? – zapytał chorążego pełniącego dyżur meteo.

- Zbliża się – tamten wzruszył ramionami – Będziemy ją mieli jak nic za jakieś 30 minut.

Boeing 737 LOT-u nad zachodnią Polską godz. 22:12

Trzęsło od samego początku. Najpierw nieznacznie. 737 wstrząsany był turbulencją co chwila. Agnieszka nie wstawiała z miejsca. Dyskretnie zapięła pasy, choć Leszczyński odpiął je demonstracyjnie. Ani w samochodzie, ani w samolocie nie uznawał pasów. Twierdził, że krępują mu ruchy. Nie bardzo wiedziała, po co mu tu większa swoboda, a o efektach turbulencji wiedziała wystarczająco wiele, by nie ryzykować. Symbol zapięcia pasów zapłonął jasnym światłem nad przejściem do toalet. Wkrótce potem kapitan ogłosił komunikat.

- Mówi kapitan! Za dwie minuty wlecimy w strefę burzy. Ze względu na liczne pozostające w powietrzu samoloty kontrola lotu nie zezwoliła nam na oblot strefy burzowej. Jest ona zbyt obszerna. Spodziewamy się silnej turbulencji, dlatego proszę o zapięcie pasów i pozostanie na miejscach do odwołania.

Kapitan powtórzył jeszcze raz prośbę. Za oknem widać było pierwsze błyski.

- Ciekawe, ile poczekamy na lądowanie? – zapytał Leszczyński.
- Lądowanie w takiej burzy? Może uda się nam wskoczyć między chmury?
 - dodała Agnieszka. W blasku księżyca widać było przez okno – potężną górę cumulonimbusa.

Prawdziwa przeprawa jednak ich dopiero czekała. Chmury burzowe kłębiły się pod nimi, momentami dosięgając samolotu. Turbulencja wzmagą się. W pewnym momencie samolot spadł o kilka metrów. Żołądek Agnieszki podjechał momentalnie wyżej. Ktoś sięgnął po torebkę.

Potężny wstrząs cisnął samolotem. Lot przypominał teraz jazdę po wybojach pojazdem Flinstonów o kwadratowych kołach. Błyski w oknach stały się jaśniejsze i częstsze. W pewnym momencie poprzez przypominający wodospad szum silników do uszu pasażerów dotarł grzmot. Samolot przechylał się na boki, wyrównywał i stało się jasne, że walczy z paskudną pogodą. Skrzydła wyginały się ostro. Nawet w locie w normalnych warunkach pracowały, ale to, co wyczyniały teraz, mogło przyprawić o niepokój każdego. Ludzie szeptali między sobą i nerwowo się rozglądali. Niepokój wisiał w powietrzu. Błyski rozświetlały chmury. Zatrzęsło raz i drugi.

Purpurowy błyski i potworny huk niemal złąły się w jedno. Gwałtownie zapadła ciemność. Rozległy się krzyki.

Nad bazą w Powidzu burza rozszalała się na dobre. Pioruny biły, deszcz zaciął, wiatr chłostał.

- Pogoda dla prawdziwych wojowników – powiedział Michał do Czerwińskiego.
- To kiedy idziemy polatać? – spytał Przemias.
- Jak tylko skoczę po piwo.

Piloci jeszcze się przekomarzali, gdy Nowaczyk podniósł słuchawkę. Rozmawiał krótką chwilę. Gdy odsunął słuchawkę od ucha, zawołał: – Klucz dyżurny – do mnie!

Krzyżanowski, Tkaczyk, Marciniak i Czerwiński podbiegli do dowódcy.

- Panowie, jest alarm. Mamy w powietrzu lotowskiego *Boeinga 737*. Kod transpondera 7700, sytuacja awaryjna. Uderzeni piorunem, mają awarię awioniki, radaru i oświetlenia. Kontynuują lot po wyznaczonej trasie, mówią, że szlag trafił odbiornik, nie potwierdzają odbioru komunikatów. Jest jednak problem. Niskie chmury pokrywają wciąż wszystkie dostępne lotniska. Nawet gdyby któreś miało możliwość przyjęcia tej maszyny, to trzeba jakoś poinformować załogę. W takich warunkach nie znajdą lotniska, o lądowaniu nawet nie wspominając.

Nowaczyk pokazał punkt na mapie.

- Są tutaj. – powiedział. – Dowództwo chce, żebyśmy ściągnęli ich do Powidza. Pas jest długi, wokół nie ma wysokich zabudowań ani świateł, które mogłyby zmylić załogę. Gdyby okazało się, że maszyna została porwana, to łatwiej ją będzie izolować. Co prawda nie mamy szpitala pod nosem, ale o to niech się martwi Polkowski. Już ogłosił alarm w bazie. Marciniak i Czerwiński – rozpoznacie sytuację i jeśli nie będzie symptomów porwania, to sprowadzicie ich na ziemię. Krzyżak z Tkaczem – pogotowie pięciominutowe, zapieprzajcie do maszyn, w razie czego i was poderwiemy. Wszystko jasne?
- Tak jest, panie pułkowniku – odpowiedział Marciniak.
- No to w drogę. Startujcie jak najszybciej. Szczegóły poda wam ODN po starcie.

Upłynęła dłuższa chwila, nim zapaliły się światła awaryjne. W tym czasie w samolocie zapanowała histeria. Wrzaski nieco ustały, ale nie do końca.

W kabinie załoga walczyła o przyłączenie wszystkiego, co padło, do pracy. Przyrządy nawigacyjne były martwe, komputer bezradny, radar i radiowysokościomierz też nie działały. Musieli przyjąć co najmniej jedno potężne wylądowanie między chmurami. Awionika oberwała, i to zdrowo. Siadło wszystko – od świateł po systemy nawigacyjne. Jakimś cudem ocalał odbiornik radiowy. Nadajnik nie działał.

W kabinie pasażerskiej stewardesy próbowały opanować panikę. Maszyną jednak nadal trzęsło, burzowe chmury rozświetlały potworne błyski. Grzmot przebiegał się przez ryk silników, potęgując grozę.

Agnieszka zastanawiała się, jak poważną awarię spowodowało uderzenie pioruna.

Skorzystała z okazji, gdy obok niej przechodziła młoda stewardesa. Pochylając się nad Leszczyńskim i trzecią osobą siedzącą wraz z nimi, Agnieszka złapała ją za rękaw.

– Co się dzieje?

Zanim dziewczyna zdążyła znaleźć odpowiedź, Agnieszka zobaczyła strach w jej ledwie podświetlonych światłami awaryjnymi oczach.

– Mamy drobną awarię...

– Jak poważną?

Znowu zawahanie.

– Kapitan rozmawia z ziemią. To nie jest poważny problem...

– Proszę powiedzieć mi prawdę. Możemy wylądować czy nie?

– Niech pani zachowa spokój. Przepraszam, ale muszę zająć się innymi pasażerami.

Agnieszka zrozumiała, że nie uzyska odpowiedzi. Może kogoś innego taka odpowiedź byłaby w stanie zadowolić, ale nie ją. Wyczuła strach tamtej dziewczyny, a do tego zbyt wiele wiedziała o lotnictwie.

Czyli nie mogą wylądować. Jak długo mogą pozostawać w powietrzu? Jak daleko sięga pokrywa chmur? Czekać na przejaśnienie? Przecież nawet 600 kilometrów stąd, nad Frankfurt, niebo było zachmurzone. Wracać bez systemów nawigacyjnych do Niemiec? Tego chyba nawet nie wolno im zrobić.

Co mogą wymyślić? Chmur nie przegonią. Czy rzeczywiście mają łączność z ziemią, kiedy padło nawet oświetlenie kabiny? Jak tu wylądować? Pułap chmur jest niski. Mogą z nich wypaść zbyt stromo lub wpakować się na jakiś wieżowiec w Warszawie czy Poznaniu. W Poznaniu Ławica nie ma nawet radaru.

To nie był film. To działo się naprawdę.

Próbowała sobie jakoś wytłumaczyć, że przecież w kabinie siedzą ludzie, którzy wiedzą co robią, że ci na ziemi też ich tak nie zostawią. Jednak brak

było namacalnego dowodu, że tak się stanie. A ona siedziała przypasana do fotela i nic nie mogła zrobić. Dokładnie nic.

Marciniak z Czerwińskim kołowali *Szparką* na pas startowy. Uruchomienie maszyny zajęło im niecałe pięć minut. W ciągu dwóch minut od opuszczenia wieży znaleźli się przy maszynie. Teraz mieli wolną drogę i zgodę na start, gdy tylko znajdą się na pasie.

Michał skręcił na główny pas powidzkiej bazy. Światła pasa rozmywały się w gęstym deszczu, ich blask odbijał się od zgromadzonej na pasie wody oraz od nisko idących chmur. Porucznika przeszedł dreszcz – wprawdzie leciał dwa razy z Łysoniem tylko w oparciu o przyrządy i w nocy, ale w takich warunkach dawno nie latał. Za późno było, by się wycofać – w górze pozostawali czekający na pomoc ludzie. Musiał dać z siebie wszystko.

Ustawił samolot dokładnie w osi pasa. Zatrzymał go na moment na hamulcach, by zwiększyć ciąg do mocy bojowej – pełnej bez dopalania. Puścił hamulce i gdy maszyna ruszyła, przesunął przepustnicę w zakres dopalania. Samolot ruszył z kopyta.

Start był trudny. Silny, porywisty, boczny wiatr usiłował zepchnąć *Szparkę* z pasa. Marciniak trzymał maszynę pewną ręką i poderwał w powietrze we właściwym momencie. Samolot wzniósł się bez trudu, choć nie można powiedzieć, że gładko, bo już na kilkudziesięciu metrach pojawiła się turbulencja. Szybko też wpadli w chmury i Marciniak musiał przestawić się na pilotaż według przyrządów. Wyłączył dopalacz, nie przestawał się jednak wznosić. Musiał przebić się przez chmury, by widzieć cokolwiek, do tego na dużych wysokościach silnik turboodrzutowy zużywał mniej paliwa. Czerwiński nawiązał w tym czasie łączność z kontrolą obszaru i przestroił odbiornik, by słyszeć 737.

Nie było dobrze. Boeing leciał bez świateł na wysokości ośmiu i pół kilometra, z zapasem paliwa na trochę ponad godzinę lotu. Niewiele, zważywszy, że musiał przebić się przez chmury do Powidza. Przedtem musieli go jednak wypatrzeć w ciemnościach. Su-22 nie posiadał radaru, musieli polegać na wskazówkach kontrolerów naziemnych.

Dopiero teraz okazało się, jak rozsądny był, by zamiast dyżurnej pary Suk poleciała najpierw *Szparka*. Czerwiński miał sporo roboty z komunikowaniem się z lotniskiem, ODN-em i nasłuchiowaniem 737. Gdyby poleciały dwie maszyny jednoosobowe, obciążenie pilotów byłoby znacznie większe. Pilotaż w nocy, obserwacja przestrzeni, trzymanie szyku, przełączanie radia – rozmowy między sobą. Tu, w *Szparce*, mógł słuchać i włączać się do rozmowy tylko wtedy, gdy potwierdzał wykonanie jakiegoś polecenia. Kontrola obszaru odsu-

nęła wszystkie pozostające w powietrzu liniowce, tak by mogli swobodnie manewrować na podejściu do Powidza.

Nad chmurami było już jaśniej. Nadal trzęsło, jednak w wąskoskrzydłym samolocie o znacznym obciążeniu powierzchni nośnej nie było to tak dokuczliwe. Zawrócili obszernym zwrotem w lewo na południe, po dwóch minutach taki sam zwrot wyprowadził ich niemal dokładnie na kurs wschodni. Wspinali się na siedem i pół kilometra wypatrując ciemnej, nieoświetlonej sylwetki na tle księżycowego światła.

– Jest – rzekł w pewnej chwili Czerwiński. – Prawo, góra, godzina druga. Będziesz go miał tuż za obramowaniem wiatrochronu.

Marciniak rzucił okiem na przyrządy, po czym wyjrzał w przestrzeń. Niczego nie zauważył. Raz jeszcze obiegł wzrokiem tablicę przyrządów i powrócił do przeszukiwania nieba.

– Widzę go – powiedział. – Sześć zero sześć – nadał przed radio – widzę obiekt, wykonuję przechwycenie. Utrzymuj kontakt wzrokowy – powiedział do Czerwińskiego, choć nieco na wyrost. Przemas i tak powinien to wiedzieć, ale Marciniak wolał się upewnić.

– Okej

Marciniak wznosił *Su-22*, by zrównać się z wysokością *737*, wychodząc z tyłu za „pasażerem” nieco z lewej. Cały czas prowadził wzrokiem ciemną sylwetę, aż do momentu, gdy wysokości lotu obu maszyn zrównały się optycznie.

Zwiększył ciąg i zaczął wyprzedzać *737*, powoli, by załoga i pasażerowie mogli ich zobaczyć, ale nie poczuli zagrożenia. Należało być czujnym – tamci nie mieli aż tak rozległego widoku z kabiny. Ciemna sylweta Boeinga rosła w oczach. Marciniak zakończył manewr zgodnie z procedurą – z lewej strony i nieco powyżej.

– Widzą nas. Zameldowali to fonią – oznajmił Przemas.

Marciniak zamigał światłami pozycyjnymi. Pomachał również skrzydłami. Potwierdzenie przyszło szybko.

– Pomachał skrzydłami – zameldował Czerwiński. – Fonią potwierdzili, że polecą za nami.

– Okej – stwierdził Marciniak. – No, koledzy, zabieramy was do domu.

Wieża w Powidzu dał znać, że przestało lać. To była dobra wiadomość. Chmury nadal trzymały się nisko, na niecałych stu metrach, a ich wierzchołki sięgały niemal czterech kilometrów. Czekala ich ciężka przeprawa.

ODN dał mu sygnał do zwrotu w lewo, na północ. Zaczynał się najtrudniejszy etap.

Agnieszka zdała sobie sprawę, że coś się zmieniło. Jasne rozbłyski jasnego, fioletowopurpurowego światła piorunów zastąpiło inne, regularnie pulsujące. Wyrzała przez okno.

Była pierwszą osobą spośród pasażerów Boeinga, która zobaczyła ciemny kształt rozświetlany blaskiem światła pozycyjnych i antykolizyjnych. Ktoś przyleciał im pomóc!

Szturchnęła Leszczyńskiego łokciem:

- Popatrz! – zawołała, przekrzykując panujący w kabinie zgiełk. Leszczyński wyrzał przez okno i od razu zrozumiał.
- Przylecieli po nas! – wykrzyknął. Teraz większość pasażerów po lewej stronie zauważyła towarzyszący im samolot. Pokazywali sobie maszynę, a ci z lewego rzędu przekazywali dobrą wiadomość tym po prawej.

Towarzyszący Boeingowi samolot pojawił się teraz w całej okazałości na tle jaśniejszej odbitym światłem księżyca chmury. Mogła dostrzec szczegóły – garbatą sylwetkę z grzbietem za kabiną, wysoki statecznik pionowy, nawet stózek przy wlocie powietrza na dziobie... *Su-22*... z dwuosobową kabiną. Dwa cienie pilotów w hełmach i maskach tlenowych widoczne były na tle chmury. Pilot w przedniej kabinie najwyraźniej domyślał się, co mogą czuć zamknięci w ciemnej teraz kabinie 737, bo uniósł w górę zaciśniętą pięść. Pokazał, że sytuacja jest pod kontrolą.

Su-22 zamachał skrzydłami i położył się w płytkim zakręcie. 737 powtórzył manewr, trzymając się po zewnętrznej stronie. Samolotem znowu wstrząsnęła turbulencja. Jeszcze nad chmurami wojskowy odrzutowiec wypuścił podwozie. Oznaczało to, że prowadzi ich do lądowania. Zakręt zdawał się trwać w nieskończoność, ale oba samoloty musiały wykonać zakręt o niemal 140 stopni, by wejść na przedłużenie powidzkiego pasa. Maszyny zakończyły zakręt i rozpoczęły zniżanie.

Nawet stewardesy, które przed chwilą chodziły i uprzedzały co się będzie działo, zniknęły. Poprzedni paniczny, później radosny zgiełk zastąpiła pełna napiętego wyczekiwania cisza, jeśli nie liczyć zmieniającego się teraz co chwila szumu silników i wycia turbin. Maszyna opadała gwałtownie i żołądki podchodziły do gardeł nie tylko ze strachu, ale i z braku ciężenia. Kilka razy samolotem zatrzęsała potężna turbulencja. Chmury zbliżały się w szybkim tempie.

Szparką co chwila wstrząsała turbulencja. Utrzymanie jej na równi wcale nie było proste. Najważniejszy był sztuczny horyzont – by nie zmienić niespodziewanie kąta schodzenia czy nie dać się przechylić i zsunąć z kursu w ślizgu.

Szparce niewiele by to zaszkodziło, ale 737 mógł zgubić się w chmurach. Musieliby zacząć operacje nad chmurami od nowa, kosztem czasu i paliwa. Świadomość, że życie ponad setki osób zależy od tego, jak sobie poradzi, nie ułatwiała zadania. Przez krótki moment dekoncentracji miał ochotę zapytać, jak dają sobie radę piloci 737, zaraz jednak zarzucił tę myśl. Marciniak musiał trzymać się przyrządów, ILS-a, sztucznego horyzontu, prędkościomierza – by przebić się przez tę powłokę, która oddzielała ludzi w samolotach od zwykłego, bezpiecznego świata.

Boeingiem też trzęsło potężnie. Maszyna szybko opadała przez powłokę chmur ku ziemi. Jedynym źródłem światła było oświetlenie awaryjne. Jedynym źródłem dźwięku – silniki. Pełne napięcia czekanie zdawało się trwać wiecznie. Tylko piloci nie mieli czasu na rozmyślania. W kabinie Niwiński usiłował utrzymać w polu widzenia światła pozycyjne *Su-22*. Raz maszyna opadła niebezpiecznie daleko i załogaomal nie straciła z pola widzenia Suchoja. Skorygowali to, ale z kolei podeszli niebezpiecznie blisko, tak blisko, iż ujrzeli dyszę wylotową i stateczniki poziome Szparki. Niwiński nie powiedział o tym przez radio, choć wiedział, iż prawdopodobnie ich transmisje są odbierane. Pilotom *Su-22* świadomość tej groźnej sytuacji niewiele by pomogła. Jedyne, co mogli zrobić, to postarać się nie dopuścić do jej powtórzenia.

Drugi pilot walczył również ze sterowaniem, wspomagając Niwińskiego. Odczytywał czas schodzenia. Nie mieli wysokościomierza, ale powinni już przebić się przez chmury. Niwiński zaczynał się już niepokoić i niecierpliwić, kiedy powłoka nagle się przeredziła. Zobaczył *Su-22* z lewej u góry w pełnej krasie... a z przodu... światła pasa startowego.

Chmury ustąpiły miejsca ciemności. Agnieszka również dojrzała *Su-22*. Oprócz światła wojskowego odrzutowca, w mroku pojawiły się jeszcze inne – na ziemi. Zanim zdążyła się zastanowić, charakterystyczny odgłos wysuwanego podwozia rozwiął wszelkie wątpliwości. Lądowali. Za oknem mignęły pierwsze rozbłyski światła lotniskowych. Samolot wleciał nad pas, opadł i brutalnie uderzył kołami o ziemię. Lądowanie nie było miękkie, ale gdy tylko opadło przednie koło, a pilot odwrócił ciąg, wzniesając chmury wodnego pyłu, by wyhamować, w kabinie rozległy się brawa, okrzyki radości i ulgi. Leszczyński objął Agnieszkę, ta odwzajemniła mu się całusem w policzek.

Su-22 przeleciał wzdłuż pasa z wypuszczonym podwoziem. Gdy 737 przyziemił, Marciniak schował podwozie, włączył dopalacz i wyszedł w górę, by po drugim kręgu samemu wylądować.

737 kołował powoli po olbrzymim, lotnisku. Wokół stały wozy straży pożarnej, karetki pogotowia. Nie było widać żadnego terminala pasażerskiego, a jedynie jasno podświetlony hangar. Mundury ludzi na zewnątrz dopowiedziały reszty. Wylądowali na lotnisku wojskowym.

Samolot dokołował przed furtę hangaru, z którego biło światło. Boeinga otoczyły samochody, oświetlając go reflektorami. Załoga liniowca wyłączyła silniki i zapanowała cisza, jeśli nie liczyć ożywionych gdzieś dyskusji pasażerów. Do przedniego wyjścia dostawiono pomost do obsługi technicznej. Ludzie schodzili pojedynczo i szli do hangaru, chowając się przed siąpiącym deszczem i zacinającym wciąż wiatrem. Tutaj znaleźli się oko w oko z trzema jednomiejscowymi *Su-22M4* i grupą żołnierzy. Dowódca bazy polecił wydać racje żywnościowe i ciepłe napoje pasażerom, sprowadził także lekarza, na wypadek, gdyby ktoś poczuł się gorzej po przebytych stresie.

- A więc tak to wygląda – powiedział Leszczyński, gdy weszli do hangaru. Napięcie uszło z nich niczym powietrze z przekłutego balonu. Pozostała ulga i znużenie. Nie było nic do roboty. Jediną przyciągającą wzrok atrakcją były zajmujące hangar trzy *Su-22*. Jakiś wojskowy oznajmił, że autokary zabiorą ich do hoteli w pobliskich miastach. Agnieszce umknęły nazwy miejscowości. Zastanawiała się, co stało się z nią tam w górze? W życiu się tak nie bała...
- Co to za samoloty? – zainteresował się Leszczyński.
- *Su-22* – odrzekła Agnieszka. Michał objaśnił jej kiedyś cechy charakterystyczne wyglądu i przeznaczenia poszczególnych typów.

Podeszli Marta i Janusz. Cała czwórka pogrążona była w intensywnej rozmowie, gdy *Szparka* Marciniaka i Czerwińskiego dotknął pasa startowego i wylądował, wzbijając fontanny wody.

Marciniak dostał polecenie kołowania do hangaru, w którym przebywali pasażerowie *Boeinga*. W stan pogotowia postawiona została druga *Szparka*. Domyślał się, że Łysoń chce pokazać ich pasażerom, by poprawić wizerunek Sił Powietrznych. Powiedział o tym Czerwińskiemu.

- Będziemy w gazetach jak nic, jeśli wśród nich jest choć jeden dziennikarzyna – stwierdził Czerwiński. Marciniak przypomniał sobie zastrzeżenie Zdaneckiego.
- Nie powinienem pojawiać się w mediach – uprzedził Przemka.

- Słusznie. Nie odsłaniaj plakietki z nazwiskiem. Nie udzielaj imiennych odpowiedzi. Odsyłaj po nie do oficera prasowego.
- Najlepiej w ogóle się nie pokazuj, a jakby ktoś pytał, powiedz, że sprowadziły ich na ziemię krasnoludki.
- Łysoń byłby zachwycony.

Po raz pierwszy tego wieczora Marciniak uśmiechnął się szeroko. Wiedział, że nie ma wyjścia, że musi pokazać się tym ludziom. W gruncie rzeczy, gdyby nie zastrzeżenie Zdaneckiego, chętnie powiedziałby kilka słów dziennikarzom. Każdą okazję, by wymierzyć prztyczek w nos nadętym bubkom mówiącym, że wojsko jest do niczego, należy bezwzględnie wykorzystać.

Su-22 zakołował pod hangar. Marciniak wyłączył silnik. Ostry szum powietrza i wizg turbiny ucichły. Zastąpił je szum wiatru. Obsługa podstawiła drabinki, a osłony kabin uniosły się z cichym szmerem. Technicy rzucili się do zabezpieczenia foteli i do pomocy przy odłączaniu pilotów od instalacji samolotu. Obaj lotnicy, nie zdejmując hełmów, wstali w kabinach i zeszli po drabinkach na ziemię. Większość pasażerów przyglądała się im, kiedy zdjęli hełmy.

Agnieszka osłupiała! Pilotem z przedniej kabiny był Michał. Totalnie zaskoczona, nie wiedziała jak się zachować. Fakt, że to Marciniak sprowadził *Boeinga* na ziemię.

Nie była przygotowana na spotkanie z Michałem, do tego w takich okolicznościach. Dyskretnie zrobiła pół kroku w tył, za plecy znajomych. Potem kolejne pół. Potem cały krok. Potem dwa. A potem oddaliła się na tył grupy pasażerów i odwróciła plecami do pasażerów i pilotów.

Leszczyński rozpoznał Marciniaka, gdy ten wszedł w krąg jaśniejszego światła w hangarze. Obrócił się w stronę miejsca, gdzie ostatnio stała Agnieszka.

- Ej, czy to nie twój... – i zamilkł, zorientowawszy się, że mówi do powietrza.

Ktoś popchnął go w kierunku, gdzie pasażerowie otaczali już pilotów *Szparuki*.

Marciniakowi i Czerwińskiemu z trudem udało się, ściskając dłonie pasażerów, przebić do załogi 737 i zamienić kilka słów. Kapitan Niwiński i drugi pilot, którego nazwiska nawet nie usłyszał w panującym zgiełku, dziękowali im za pomoc.

- Głupstwo, też byście to dla nas zrobili – powiedział im Marciniak. W gruncie rzeczy czuł się świetnie z tą wdzięcznością ludzi, choć starał się tego nie okazać. A nawet więcej – czuł się wysmienicie. Już dawno nie był w tak dobrym nastroju. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy od dawna coś mu się w powietrzu udało. Po raz pierwszy od dawna czuł się komuś potrzebnym.

Załodze *Su-22* udało się w końcu wyrwać z objęć pasażerów *Boeinga*. Ich maszynę trzeba było ponownie zatankować, uzupełnić tlen i przejrzeć. Pasażerów należało przynajmniej wywieźć poza teren bazy naprędce zebranymi autobusami i zakwaterować gdzieś na noc. Wszyscy mieli więc po uszy roboty. Piloci wrócili do domku pilota, gdzie czekała ich kawa. I tak mieli służbę do rana.

Września, 17 maja , godz. 2:30

Agnieszka długo nie mogła zasnąć w pokoju hotelowym we Wrześni. Przewieziono ich tutaj długo po północy. Zakwaterowano ją i Martę w dwuosobowym pokoiku w niewielkim hotelu. Marta spała już w najlepsze, po zażyciu pastylek nasennych.

Ciemność, szum wiatru i deszczu sprawiały, że wciąż wracały chwile z kabiny *Boeinga*. Agnieszka zastanawiała się, co właściwie stało się z nią tam, w powietrzu.

Zasnęła nad ranem. Gdy jawa rozplywała się, a myśli wędrowały nieskrępowanym niczym biegiem, pojawiło się zdumienie, dlaczego w ogóle rozstała się z Michałem.

Rozdział IV

Artykuł 15: Wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwa

1. Kompetencje Unii w zakresie wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa obejmuje wszelkie dziedziny polityki zagranicznej i wszelkie sprawy dotyczące bezpieczeństwa Unii, w tym stopniowe określanie wspólnej polityki obronnej, która może prowadzić do wspólnej obrony.

2. Państwa Członkowskie popierają, aktywnie i bez zastrzeżeń, politykę zagraniczną i bezpieczeństwa Unii w duchu lojalności i wzajemnej solidarności oraz wykonują akty przyjęte przez Unię w tej dziedzinie. Powstrzymuj się od działań, które byłyby sprzeczne z interesami Unii lub mogłyby zaszkodzić jej skuteczności.

(Projekt Traktatu ustanawiającego Unię Europejską)

W służbie pokoju i praw człowieka

Le Soir, poniedziałek, 26 maja 2008r.

Unia Europejska posiada nareszcie siły zbrojne, zdolne do wykonywania operacji pokojowych na całym świecie, interweniowania w kryzysach humanitarnych i obrony terytorium Unii. Europa będzie mogła skutecznie działać na rzecz światowego pokoju, zarządzając kryzysom politycznym, rozdzielając walczące strony na dowolnym kontynencie. Zapewni w ten sposób promocję wartości, na podstawie których została zbudowana.

Komisja Europejska stawia ultimatum Polsce serwis światowy BBC, poniedziałek, 26 maja 2008r.

Komisja Europejska zażądała od Polski ratyfikowania traktatu europejskiego i jak najszybszego wprowadzenia w życie wszystkich jego postanowień. Zdaniem przewodniczącego Komisji, Marca Vandenoota, Polska łamie prawa człowieka, w tym prawa mniejszości, nie współpracuje z organami Unii w tym zakresie oraz prowadzi politykę ekologiczną niezgodną z unijnymi normami. „W Polsce prześladowani są ludzie wyznający europejskie wartości, takie jak prawo mniejszości do nieskrępowanego wyrażania własnych poglądów. Prześladowani są ekolodzy protestujący przeciw obwodnicy w dolinie Rospudy, budowie gazociągu z Norwegii do Polski, gazoportu w Świnoujściu czy amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Polska do tej pory nieoczyściła się z zarzutów o umiejscowienie na jej terytorium tajnych więzień CIA” – powiedział Vandenoot. Komisja domaga się od Polski natychmiastowych kroków, grożąc w razie ich niepodjęcia, poważnymi konsekwencjami.

Baza holenderskiej marynarki wojennej Den Helder 26 maja 2008r., godz. 9:15

Przewodniczący Komisji Europejskiej, Marc Vandenoot, po raz pierwszy oglądał flotę Europejskich Sił Zbrojnych w całej okazałości. Gwoli sprawiedliwości – każdy z obecnych polityków oglądał ją po raz pierwszy. Bo i pierwszy raz okręty udostępnione przez państwa członkowskie zebrały się razem, w jednym porcie, pod wspólnym dowództwem.

Dowódcą nowo tworzonych sił Komisja Europejska mianowała holenderskiego wiceadmirala Jana Dentersa. Właśnie w jego towarzystwie Vandenoot wizytował holenderską fregatę *Tromp* klasy *De Zeven Provinciën*, najnowocześniejszy i najsilniejszy okręt sił EAF.

Tromp oficjalnie sklasyfikowany był jako fregata przeciwlotnicza i dowodzenia – a więc okręt eskortowy i flagowy. Specjaliści i hobbyści na całym świecie pukali się w czoło, na widok lingwistycznego wybiegu, mającego ukryć prawdziwy rozmiar i możliwości krętu. Z pełną wypornością ponad 6000 ton okręt był raczej dużym niszczycielem, a siłą i jednostką ognia oraz możliwościami systemów wykrywania celów przypominał raczej wczesną wersję amerykańskich krążowników klasy *Ticonderoga*. Dodatkowym szczegółem różniącym jednostki klasy *De Zeven Provinciën* od okrętów typowo eskortowych, jakimi są fregaty, były możliwości i plany wyposażenia je w pociski *Tomahawk TLAM* do atakowania celów w głębi lądu.

Vandenoort wysłuchał cierpliwie wywodów admirała Dentersa i dowódcy okrętu, komandora Mesdegaarda, o poszczególnych komponentach systemu dowodzenia i kierowania ogniem. Szczegóły techniczne nie interesowały go. Nie znał się na uzbrojeniu. Wierzył, że Unia Europejska, modernizując swoje siły zbrojne, wchodzi lub wkrótce wejdzie w posiadanie uzbrojenia równie nowoczesnego, a nawet nowocześniejszego, niż amerykańskie. Wywalczył od rządu holenderskiego *Trompa*, bo Denters poprosił go o to. Delegacja Komisji Europejskiej obejrzała uniwersalne działo *OTO Melara* kalibru 127 mm na dziobie okrętu. Było imponujące, w przeciwieństwie do wyrzutni VLS, o których admirał mówił z największym entuzjazmem. Zawierały one 64 pociski przeciwlotnicze i przeciwrakietowe dalekiego zasięgu. Ich kontenery umieszczone w pokładzie nie wystawały ani trochę i nie były efektywne. Rzecznik Komisji, Xavier Ramos, zaproponował więc, by wspólne zdjęcie oficjeli Komisji i oficerów wykonać przy wieży działowej. Tak też zrobiono, po czym Vandenoort zostawił resztę eurokratów w towarzystwie komandora Mesdegaarda i młodszych oficerów, a sam zszedł z Dentersem do kabiny admirałkiej – oficjalnie zaproszony na kawę.

Zaproszenie miało charakter oficjalny, jednak Vandenoort wiedział, iż admirał chce porozmawiać swobodnie o czekającym go zadaniu. Denters znał pierwsze przyszłe zadanie sił morskich EAF. Vandenoort wtajemniczył go, gdy tylko plan zyskał aprobatę jego najbliższych współpracowników z Komisji Europejskiej. Denters był niewysoki, krępy, miał pospolitą twarz i zaawansowaną łysinę czołową przecinającą siwiejące ciemnoblonde włosy. Jego kariera trafiła na boczny tor, gdy jako dowódca fregaty *Van Speijk* w latach dziewięćdziesiątych dopuścił do wejścia na mieliznę, choć bezpośrednim sprawcą był oficer wachtowy. Po tym niefortunnym epizodzie trafił na ląd do służb zaopatrzeniowych Koninklijke Marine. Udało mu się przejść do szkolnictwa wojskowego, gdzie doczekał awansu i stopnia kontradmirała. Teraz, na skutek nacisków Vandenoorta, otrzymał stopień wiceadmirała i stanowisko głównodowodzącego EAF. Wprawdzie Denters od dawna nie dowodził jednostkami morskimi – co najwyżej na papierze, a raczej w pamięci symulatora – ale to się nie liczyło. Od tego miał sztab, oficerów holenderskich i kilku innych flot wojennych. Vandenoort potrzebował kogoś, kto będzie wykonywał rozkazy sprawnie i bez szemrania. Wyciągnięty z zapomnienia admirał wydawał się idealnym kandydatem. Plan przewodniczącego Komisji Europejskiej był głównie planem politycznym, a siły EAF miały w nim odegrać istotną, ale nie militarną rolę.

Vandenoort i Denters zeszli do kabiny i siedli przy biurku admirała. Marynarz pełniący funkcję admirałkiego ordynansa postawił filiżanki z kawą i wy-

szedł. Oficjele najedli się podczas przyjęcia i krótkiej konferencji na lądzie, więc Vandenoort podziękował za okrętowy obiad, który zaproponował mu Denters. Nie tylko nie trawił wojskowej kuchni, ale liczył też na to, iż rozmowa z admirałem nie zabierze mu zbyt wiele cennego czasu. Czekąco go zwiedzanie pozostałych okrętów i inne propagandowe hece, mające w zamierzeniu wzbudzić w Europejczykach dumę z posiadania europejskiej armii. Tak przynajmniej wyobrażał to sobie Vandenoort.

- Imponująca flota, admirałe – zauważył. – Musi pan czuć się dumny jako pierwszy dowodzący europejskimi siłami zbrojnymi.

Denters przyjrzał mu się uważnie.

- Istotnie, skład jest imponujący i reprezentuje liczące się europejskie państwa – admirał taktownie pominął milczeniem brak przedstawicieli imponującej niegdyś Royal Navy w składzie jego floty. Jak większość bardziej zaawansowanych projektów unijnych, Brytyjczycy i do tego podeszli z rezerwą. – Jednak obiecywał mi pan nieco więcej nowoczesnych okrętów i samolotów.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że nie jest w stanie wykonać zadania, o którym rozmawialiśmy. Zapewniał mnie pan, iż są wystarczające do jego realizacji.

- Panie komisarzu – rzekł cierpliwie admirał. – To są okręty z różnych flot, które nie współpracowały ze sobą w ramach takiego zadania. Nie mamy planów jego przeprowadzenia. Siły są z pewnością wystarczające, jeśli nie dojdzie do jakichś niespodziewanych sytuacji.

- Jakich sytuacji?! – obruszył się Vandenoort.

- Jeśli ktoś nie zacznie strzelać.

- Dramatyzuje pan – Vandenoort też sięgnął po kawę – Nie będzie żadnych niespodzianek – stwierdził kategorycznie. – Potrafimy zadbać o polityczną stronę całej operacji. Pan ma tylko dopilnować wyegzekwowania zadań Komisji. Nic więcej. Żadnej strzelaniny. Prowadzimy pokojową politykę.

- Oczywiście, panie komisarzu – Denters aż się uśmiechnął w duchu, gdy usłyszał o „pokojowej polityce”. Gdyby ktoś zaproponował prowadzenie takiej polityki wobec Holandii, uznałby to za wypowiedzenie wojny. Nie śmiał jednak powiedzieć tego Vandenoortowi. Dentersa nie opuszczały jednak wątpliwości. – A co będzie, jeśli potencjalny przeciwnik nie będzie chciał prowadzić pokojowej polityki?

- To wtedy dopiero odpowiemy ogniem. Będziemy mieli pełne prawo i większą siłę ognia. Sam pan twierdzi, że zarówno w samolotach, jak i w

okrętach, ma zdecydowaną przewagę. Tak czy inaczej wygramy, a pan przejdzie do historii jako pierwszy skuteczny dowódca Europejskich Sił Zbrojnych.

Denters uśmiechnął się. Może Vandenoort ma rację. To powinna być prosta rozgrywka. Prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak, jest niewielkie. Siły są wystarczające. A na talent polityczny Vandenoorta można liczyć. Przecież nie zostaje się szefem Komisji Europejskiej ot tak sobie.

Vandenoort wychodził z kabiny admirałkiej zadowolony. Miał już własne siły zbrojne. Teraz musiał zadbać o dobry powód, by móc ich użyć tak, jak to sobie zaplanował.

Bruksela, w pobliżu siedziby Komisji Europejskiej 26 maja, godz. 11:50

Jean Acostelle był mocno zmieszany.

Przed chwilą otrzymał polecenie od Vandenoorta. W gruncie rzeczy spodziewał się, że sytuacja może przybrać taki właśnie obrót. Miał zadzwonić do kilku ludzi, by przekazać im instrukcje od komisarza.

Był dobrym urzędnikiem wspomagającym Komisję Europejską. Całą karierę, od wyrwania się z niewielkiej miejsciny La Seyne-sur-Mer pod Tulonem, zawdzięczał właśnie instytucjom europejskim. Świecie wierzył, że jedność Europy sprawi, że nie będzie w Europie więcej wojen. Popierał wysiłki Vandenoorta, widząc w nim człowieka, którego charyzma i zdecydowanie przybliżą taką właśnie rzeczywistość. Nie raz posunięcia Vandenoorta nie spotykały się z jego akceptacją, jednak wykonywał je nie zgłaszając zastrzeżeń. Starał się być lojalny, dzięki temu zyskał dostęp do najważniejszych spraw i tajemnic.

W jego stronach starzy ludzie wciąż opowiadali o tym, jak po wkroczeniu wojsk niemieckich w listopadzie 1942 francuscy marynarze zatopili swoje okręty w Tulonie, by nie wpadły w ręce Niemców. Dziś mało kto chciał o tym pamiętać.

Jednak Jean znał ludzi, którzy pamiętali tę tragedię. Europa dała mu pracę i poczucie bezpieczeństwa. Dała mu wiarę, że narody Europy staną się jedną wielką rodziną i nigdy nie wystąpią jeden przeciwko drugiemu. I Jean Acostelle święcie w to wierzył.

Telefon Vandenoorta zastał go podczas wczesnego lunchu z jednym z komisarzy państw środkowoeuropejskich. Acostelle opóźnił wykonanie polecenia, tłumacząc się właśnie jego towarzystwem. Obiecał przewodniczącemu zadzwonić do wskazanych osób, gdy tylko wróci do biura.

Teraz gdy napotkany komisarz już się oddalił, opadły go wątpliwości. Powinien wykonać polecenie Vandenoorta... ale czy na pewno? Czy mimo szczytnych celów przewodniczący nie posuwa się za daleko? Acostelle stał przed wyjściem z restauracji i się zastanawiał. Jak wielu jego rówieśników, ślepa wiara i konformizm nakazywały mu wykonać polecenie i nie dyskutować z własnym sumieniem. Miał wiele do stracenia. Przed nim było jeszcze niemal całe życie. Miał dopiero 26 lat i karierę w instytucjach europejskich przed sobą.

Gdy wrócił do biura, zamknął się w gabinecie komisarza i połączył z ludźmi, których wskazał mu Vandenoort. Ich numery telefonów miały jedną, wspólną cechę: zaczynały się od „48”. Szybko przekazał im polecenia i zakończył połączenie. Dopiero wtedy wyrzła przez okno na rozpościerającą się dookoła stolicę przyszłej, zjednoczonej Europy.

Marynarze z Tulonu byli młodszy od niego.

Warszawa, Dowództwo Sił Powietrznych 27 maja, godz. 18:40

Raport wywiadu, jaki leżał przed generałem Zdaneckim, nie napawał go optymizmem.

Nie ma na świecie takiego wywiadu, który w momencie formowania, przekształcania lub doposażania sił zbrojnych w najbliższej okolicy pozostał obojętny. Pierwsze pytania, na jakie próbuje się uzyskać odpowiedź, brzmią: przeciw komu? Jakimi środkami? W jaki sposób?

Jedynie odpowiedź na drugie pytanie była znana, i to powszechnie. Skład sił EAF trudno było co prawda znaleźć w gazecie codziennej czy popularnym tygodniku, jednak pisma fachowe zamieszczały go z dokładnością do sztuki samolotu czy śmigłowca. Pierwsze pytanie: przeciw komu? – pozostawało bez odpowiedzi. Aktualnie żaden konflikt na świecie nie wymagał interwencji wojskowej Unii Europejskiej, a tym bardziej formowania tych sił w pośpiechu. Jeżeli nie wiadomo przeciw komu, musisz zakładać, że przeciw tobie, konkludował w myślach Zdanecki. Tym bardziej, że Polski nie zaproszono do udziału w tym przedsięwzięciu.

Generała niepokoiły również inne okoliczności. Choć raport trafił na biurko prezydenta Chłopickiego i premiera Radwańskiego, żaden oficjalny ruch w reakcji na to posunięcie na militarnej szachownicy Europy nie został wykonany. Tak, jakby nowa siła w ogóle nie istniała. A przecież należało chociaż zlecić studia na temat potencjalnych scenariuszy konfliktu z użyciem przeciw Polsce

sił EAF. Okoliczności powstania tych sił były co najmniej zastanawiające. Europejska polityczna poprawność i ślepy euroentuzjizm, pomyślał Zdanecki.

Generał zaczął zastanawiać się nad sposobem podniesienia gotowości bojowej w podległych mu jednostkach. Oficjalnie nie otrzymał poleceń. Za wydanie rozkazu mógłby stracić stanowisko, stopień i emeryturę, trafić przed sąd wojskowy czy za kratki. Z drugiej strony, gdyby komu strzelił do głowy głupi pomysł spleatania Polakom psikusa przy użyciu tych samolotów i okrętów, to lotnictwo było pierwszą linią obrony. I pierwszym, kto mógłby skopać tamtym tyłek. Jak, do cholery, przygotować ludzi, nie wydając zarazem rozkazu o podniesieniu gotowości?

Generał zebrał dokumenty i włożył je do sejfu. Zadzwoił do oficera dyżurnego z poleceniem, by podstawić samochód służbowy z kierowcą. Miał jeszcze dziś spotkanie w Sztapie Generalnym.

Zanim dotarł do samochodu, miał już pomysł.

Powidz, baza lotnicza 28 maja 2008r., godz. 9:15

Piloci Sześćdziesiątej Siódmej czekali w sali odpraw na dowódcę. Słowo „czekali” należy rozumieć luźno, ponieważ nikomu tak naprawdę nie spieszyło się do rozmowy z Łysoniem. Większość doskonale się bawiła, opowiadając dowcipy, wygłupiając się lub docinając sobie wzajemnie. Marciniak siedział z tyłu, obok Tkaczyka. Adam zostawił go, by – zanim pojawi się Łyson – zrobić własną, nieoficjalną wersję odprawy.

Tkacz swoim tubalnym głosem mógłby powalić tura. Przebijał się przez panującą wrzawę. Wstąpił na mównicę, ryknął „Uwaga!” i harmider ucichł. Wszyscy zastanawiali się, co teraz nastąpi.

– Uwaga! – zaryczał jeszcze raz Tkaczyk. – Otwieram dwumilionową, sto dwa tysiące sześćset osiemdziesiątą czwartą odprawę 67 eskadry lotnictwa taktycznego. Odprawa jest oczywiście ściśle tajna łamana przez poufna łamana przez gówno warta. Temat odprawy brzmi: jak wleźć przelożonemu w tyłek i się zanadto nie ufajdać!

Ryknął śmiech. Tkaczyk zrobił dramatyczną przerwę i groźną minę. Usta nawet mu nie drgnęły. Tylko oczy zabłyśły. Gdy śmiech nieco ucichł, kontynuował.

– Odpowiedź jest prosta: z powodu oszczędności budżetowych i nagłego zaraźliwego pacyfizmu wśród posłów wystąpiły istotne braki w zaopatrzeniu w

środki czystości. Zatem na postawioną na wstępie zasadniczą kwestię odpowiadamy: nie da się!

- Będziemy dzięki temu mieli pokój na dziesięciolecie – zawołał ktoś z sali. Wybuch śmiechu był tylko chwilowy, wszyscy chcieli usłyszeć ciąg dalszy. Marciniak zastanawiał się, w jakiej mierze Tkacz improwizuje, a w jakim stopniu przygotował sobie tę parodię.

- A teraz z tajnego raportu wywiadu. Unia Europejska wynalazła nową broń masowego rażenia: bombę papierową – Tkacz znalazł sobie kolejny obiekt ataku. – Owa niezwykle skuteczna i groźna broń działa na zasadzie zasypania zaatakowanego celu dokumentami, dyrektywami i paragrafami. Ofiary są miażdżone zwałami papieru i paraliżowane sprzecznymi przepisami. Działania bronią „P” są wspomagane specjalnymi oddziałami urzędników, dla których chwilowo zabrakło stołków. Tworzą oni lokalnie niszczące interpretacje i procedury. Oddziały te mają jednak problemy kadrowe, gdyż liczba stanowisk urzędniczych w Brukseli gwałtownie rośnie.
- A ile za to gazów bojowych produkują te pierdzistołki! – dorzucił Czerwiński. Skwitowała to kolejna salwa śmiechu.
- Wiadomości lokalne – ciągnął niezmordowanie Tkaczyk – W związku z projektem dokonania drastycznych oszczędności w budżecie obronnym przewidywany jest nowy, okrojony model czapki generalskiej. Według nieoficjalnych informacji ma ona być na tyle mała, że wejdzie tylko na głowy oficerów nieposiadających włosów. Nasze źródła wiążą tę pogłoskę z inną, według której nowym dowódcą Sił Powietrznych ma zostać obecny dowódca 67. eskadry, pułkownik Waldemar Nowaczyk, nieoficjalnie zwany...
- Ty się kiedyś doigrasz, Tkaczyk! – wszedł mu w słowo Łyson, który zniecierpliwiony pojawił się w drzwiach. Ryknął śmiechem, który szybko umilkł, bo wszyscy chcieli usłyszeć ripostę dowódcy. – Masz szczęście, że poczucia humoru mam więcej niż włosów, bo inaczej od dawna byłbyś głównym strategicznym odwodem naziemnym.
- Tak jest, panie pułkowniku! – odrzekł Tkaczyk, stając na baczność. – Żadna służba ojczyźnie nie hańbi.

Tu i ówdzie rozległ się chichot. Tylko Tkacz mógł tak sobie używać. Łyson na tyle go lubił, że przechodziły żarty kompletnie politycznie i towarzysko niepoprawne. Niektórzy mówili, że pułkownik toleruje wyczyny Tkaczyka tylko dlatego, by móc nauczyć się czegoś od niego i samemu przełamać nieco drętwy styl, jakim prowadził swoje części odpraw jeszcze jako zastępca. Obserwując dalszy przebieg odprawy, Marciniak stwierdził, iż w tych pogłoskach może być nieco prawdy.

- Siadaj wreszcie, ofermo batalionowa, bo zasłaniasz poważnym lotnikom ekran – rozkazał Nowaczyk. Kilku pilotów wymownie zaczęło rozglądać się w poszukiwaniu owych poważnych lotników. Ich spojrzenia mówiły: „naprawdę są tu tacy?”
- Ok, dość tych wygłupów, bo już mamy poślizg z programem, a do tego kilka dodatkowych, rozrywkowych drobiazgów – rzekł pułkownik. – Pogodę i omówienie planu lotów zostawiamy na koniec. Na początek szara rzeczywistość, czyli rutyna. Na wschodzie bez zmian, jak raportowali Breżniewowi i Andropowowi, gdy gospodarka radziecka się sypała. U naszych rosyjskich przyjaciół w obwodzie kaliningradzkim jest właśnie tak, to znaczy są w proszku, a będą w jeszcze gorszym. Przez ostatnich kilka dni nie latali i chwała im za to, oby jak najdłużej trzymali kontakt z matką ziemią. Na Białorusi Łukaszenka, jak na ostatniego europejskiego dyktatora, też wykazuje zadziwiająco mało inwencji.

Przerwał na chwilę, by wzmocnić zainteresowanie słuchaczy. Marciniak musiał przyznać, że Łysoń zrobił postępy.

- Nasi zachodni przyjaciele jednak dbają o to, byście tu nie powariowali z nudów – kontynuował. – Wiecie już, że powołali własne siły zbrojne, nie zapraszając nas do nich i nie racząc poinformować nawet o ich formowaniu. Widocznie uznali, że skoro nasi parlamentarzyści wołają dziwki i wódkę niż eurotraktat, to porządnym mieszkańcom kraju nad Wisłą żadna wzmianka o nowej drużynie harcerskiej się nie należy. Nazwali ją Europejskimi Siłami Zbrojnymi, z czego wynika niezbitnie, że nie mały kawałek Europy stał z mapy jakiś kataklizm. Brakuje co najmniej połowy.

Piloci nagrodzili śmiechem ostatnią uwagę. Nowaczyk przerzucił papiery.

- Nie znamy wprawdzie kryptonimu, pod jakim odbywała się operacja formowania tej nowej chluby Brukseli, ale bez pomocy wywiadu mogą postawić ostatnie pieniądze, że nazwali ją „pożar w burdelu”. Pożar w burdelu charakteryzują pośpiech, bałagan i dziwki latające we wszystkich kierunkach. W tym przypadku jest nie inaczej. Bałagan można zrozumieć, bo to typowe w Brukseli, ale ten pośpiech jest zastanawiający, bo nie do końca wiadomo, gdzie się pali. Zresztą sami później zobaczycie, gdy dostaniecie do ręki informacje wywiadowcze. Pragnę zwrócić szczególną uwagę waszym genialnym umysłem na kilka faktów, które wyjątkowo nie umknęły naszemu wywiadowi: dowództwo EAF mieści się w Utrechcie, dowódca EAF jest Holendrem, podobnie jak przewodniczący Komisji Europejskiej, a flota skoncentrowała się w holenderskiej bazie Den Helder. Co z tego wynika?

- Że Holendrzy chcą odebrać Niemcom i Ruskom monopol w napadaniu na Europę? – zapytał głośno Tkaczyk. Salwa śmiechu zagłuszyła odpowiedź Łysonia.
- Z tego wszystkiego najciekawsza jest ta koncentracja w Den Helder – kontynuował pułkownik, gdy śmiech już opadł na tyle, że był w stanie usłyszeć własny głos. – Z raportu wywiadu nie wynika, by były planowane jakieś wspólne ćwiczenia, które uzasadniałyby skupienie tych okrętów w jednej bazie. No chyba, że ktoś w wywiadzie nie przeczytał uważnie gazet. Pułkownik przerzucił jeszcze kilka kartek.
- Na deser zostawiłem najlepsze. W uznaniu wybitnego intelektu personelu latającego i uznając, że sztab nie dorasta jednostkom liniowym do pięt, Dowództwo przysłało nam zadanie sztabowe do rozwiązania. Temat brzmi: „Analiza celów postania i użycia sił EAF”. Krótko mówiąc, do jutra macie wszyscy mieć obstukane, jak prawnicy kodeksy, wszystkie informacje na temat EAF: ludzie, sprzęt, przeznaczenie i oczywiście nadzwyczaj długa i bogata historia. Z tym ostatnim punktem nie będziecie mieć problemu. Do tego macie napisać kilka stron analizy. Najlepsze z waszych wiekopomnych dzieł trafią do samego Dowództwa – przebiegł wzrokiem po zebranych, których twarze wyrażały bezgraniczne zdumienie. – Podobnie jak wy nie wiem, dlaczego wyznaczono wam takie zadanie. Znam wasz potencjał intelektualny i zdolności analityczne, ale postarajcie się zostawić co nieco do przemyślenia naszym kochanym sztabowcom.

Odpowiedział mu śmiech. Pułkownik przyjrzał się lotnikom, zwłaszcza dwóm w ostatnim rzędzie.

- Tkaczyk i Marciniak, was dzisiaj nie ma w planie lotów – ni to stwierdził, ni zapytał.
- Tak jest, panie pułkowniku – odpowiedział Michał.
- To już jesteście. O 13:00 macie lot na poligon w Wicku.
- Tak jest.
- A ja, panie pułkowniku? – zapytał Czerwiński.
- Ty siedzisz na siedzisku własnym w kancelarii tajnej i studiujesz materiały wywiadowcze – odpowiedział Łyson. – Zamiast ciebie z Marciniakiem poleci gość specjalny. Pomożesz mu, a właściwie jej, założyć cały balast. Tkaczyk, Marciniak, opracujecie plan lotu pokazowego. Tylko bez wygłupów, pasażer ma wyjść zadowolony, a nie zdewastowany – zastanowił się chwilę, czy o czymś nie zapomniał. – Z mojej strony to wszystko. Zastępca zwrócił się do majora Kwietnia – masz coś do dodania?

- Nie, panie pułkowniku – siedzący w pierwszym rzędzie Kwiecień wstał.
- Nikt nic ostatnio nie nabroił. Nie ma skarg, nie ma spraw dyscyplinarnych. Nikt nie złożył raportu o przeniesienie. Stan personelu pełen, chorych i symulantów brak.

Nowaczyk rozejrzał się, udając zdumienie.

- Tego jeszcze nie było – powiedział w końcu. – Muszę się chyba uszczypnąć.

Większość lotników Sześćdziesiątej Siódmej wolna od pilnych zajęć służbowych zasiadła po odprawie w tajnej kancelarii. Przeglądali tajne raporty wywiadu na temat sił EAF jak też ogólnodostępne materiały. Zainteresowanie dodatkowym zadaniem było umiarkowane – jeszcze jedna z wielu idiotycznych rzeczy, jakie należy zrobić. Jedyne ożywienie wywoływały żarty.

Tkaczyk miał własną teorię na temat tła „zadania specjalnego”.

- Słyszałem, że są braki kadrowe w sztabach. Próbują skaptować kogoś z personelu latającego. Ta cała zagadka to test. Rozwiążesz – znaczy: jesteś kiepskim pilotem, w nagrodę dostajesz do pilotowania ołówek oraz darmowy kurs taktyki walki zza biurka – i jesteś sztabowcem jak się patrzy. Od rana do wieczora analizy, zagadki i krzyżówki.
- Panu porucznikowi to chyba nie grozi – odezwał się podporucznik Marek Lisowicz, zwany Mulderem lub Foksiem, z racji nazwiska i raczej urojonego podobieństwa do bohatera „Z Archiwum X”

Lotnicy nie wyczuł podpuchy, choć tytułowanie go porucznikiem powinno obudzić jego czujność. Niestety, próżność wzięła górę.

- Tak? A to czemu? – spytał, spodziewając się komplementu.
- Bo panu porucznikowi słowa „analiza”, „zagadka” i „krzyżówka” kojarzą się tylko z perwersyjnym seksem!

Lotnicy gruchnęli śmiechem. Tkaczyk dał się podejść.

- Tobie zaraz spaczne poczucie humoru będzie kojarzyć się z moją pięścią – ostrzegł Lisowicza.
- Adam, poczytaj coś sobie – poradził Królak, którego zirytował ton Tkacza. – Lektura łagodzi obyczaje.

Czując, że temat do żartów się wyczerpał, Tkaczyk zanurzył się w dokumentach. Długo jednak nie wytrzymał. Zanim przyszli do kancelarii, zdążył wyciągnąć od Kwietnia informację o nadchodzącym, nadzwyczajnym locie jego i Marciniaka. Podobnie jak Lisowicz, Kwiecień dobrze znał jego słabości.

- Słyszeliście? Jakaś sprytna cizia dziennikarka wkręciła się na lot pokazowy. Podobno cholernie jej zależało, żeby polatać właśnie na Sukach – mówił konspiracyjnym szeptem, który, przy jego sile głosu, i tak rozchodził się po całej sali. – Nowaczyk dostał rozkaz od samego Dziadka. Niezła szopka, co?
- Jasne, że niezła – odrzekł Michał. Nie dość, że był pilotem dwumiejscowej maszyny, to teraz miał zostać pilotem maszyny pasażerskiej. Lot z babą w tylnej kabinie – to jest to, o czym marzy każdy bojowy pilot – pomysłał.
- A chociaż niezła dupa czy totalny pasztet? – spytał Lisowicz Tkacza.
- Kwiecień ocenił ją na dwanaście. W dziesięciostopniowej skali.
- Ten to tylko o jednym – westchnął Królak i uniósł oczy ku niebu.
- No to broń masowego rażenia – stwierdził Lisowicz. – Nawet nie atomowa. Termojądrowa.
- Możecie zająć się robotą, a nie jądrami? – spytał Kawecki.
- Jak się nazywa? – spytał Czerwiński.
- Wyleciało mi z głowy – przyznał Tkaczyk.
- Typowe – stwierdził Marciniak. – Gdyby chodziło o rozmiar stanika czy rodzaj noszonych majtek, pamiętałbyś na bank. Nazwiska oczywiście nie zapamiętasz.
- Mam słabą pamięć do nazwisk – bronił się Tkaczyk. – Zresztą jak cię interesuje nazwisko, to zawsze możesz zapytać. Mnie w kobiecie interesuje co innego.
- Jej życie wewnętrzne, ale tylko od pasa w dół – dokończył za niego Lisowicz.
- Ty jeszcze tam nie dotarłeś! – odciął się Tkaczyk poprzez śmiech zgromadzonych.
- Weźcie się do roboty, do ciężkiej cholery! – huknął Kawecki.
- Jawohl, Herr Major! – odhuknął Tkaczyk, zrywając się na baczność z krzesła. – Pan też miał dziadka w pruskiej armii?

Kawecki pokazał mu środkowy palec.

Koniec końców wzięli się za lekturę dokumentów dotyczących EAF. Czerwiński i Tkaczyk czytali po kolei – od historii i począwszy. Marciniak przerzucał kartkę po kartce, przeglądając informacje. Potem zajmie się czytaniem wszystkiego po kolei.

Musiał przyznać, że zaciekawiło go to zadanie. Może dlatego, że było niesztampowe, inne niż wszystkie. Oczywiście nie przyznałby się do tego w tym

gronie. Wszyscy obecni nienawidzili roboty papierkowej, której mieli na co dzień po uszy. To jednak odbiegało od rutyny, stanowiło wyzwanie.

Przebiegał po kartkach wzrokiem. Zapoznawał się z wyróżnionymi fragmentami, by potem powrócić do nich i zapoznać się z kontekstem. Jego uwagę przyciągnął mocniej dopiero skład sił EAF. Było w nim coś dziwnego.

Skład sił morskich przedstawiał się następująco:

Państwo	Rodzaj	Klasa	Jednostka
Holandia	Fregata	<i>De Zeven Provinciën</i>	<i>Tromp</i>
		<i>Karel Doorman</i>	<i>Van Amstel</i>
Hiszpania	Fregata	<i>Santa Maria</i>	<i>Canarrias</i>
	Patrolowiec	<i>Descubierta</i>	<i>Descubierta</i>
			<i>Cazadora</i>
Niemcy	Fregata	<i>Sachsen</i>	<i>Hessen</i>
		<i>Bremen</i>	<i>Karlsruhe</i>
	Kuter rakietowy	<i>Gepard</i>	<i>Nerz</i>
			<i>Dachs</i>
	Okręt podwodny	<i>206</i>	<i>U-23</i>
Belgia	Fregata	<i>Karel Doorman</i>	<i>Leopold I</i>
Francja	Fregata	<i>Floreal</i>	<i>Germinal</i>
			<i>Prairial</i>
	Awizo	<i>D'Estienne d'Orves</i>	<i>Commandant Blaison</i>
			<i>Commandant Birot</i>
Włochy	Fregata	<i>Maestrale</i>	<i>Euro</i>
	Korweta	<i>Minerva</i>	<i>Driade</i>
			<i>Fenice</i>

Poniżej składu floty znajdował się wykaz jednostek i sprzętu lotnictwa taktycznego:

Państwo	Jednostka	Typ	Ilość
Niemcy	JG 71 „Richthofen”	<i>F-4F ICE</i>	30
Belgia	349 Sqn	<i>F-16A MLU</i>	18
Francja	Régiment de Chasse 2/30	<i>Mirage F1-CT</i>	13
Włochy	154° Gruppo, 6° Stormo	<i>Tornado IDS</i>	18

Do tego cztery morskie samoloty patrolowe *P-3C Orion* i bazujące na okrętach śmigłowce *NH-90*, *AS-565M Panther* i *Westland Lynx*.

Marciniak szybko przeliczył siły. 79 myśliwców taktycznych – niemal tyle samo, ile miały oficjalnie na stanie polskie Siły Powietrzne. Sił nawodnych nie można było w ogóle porównywać. Z racji fachu brata Michał interesował się marynarką wojenną i miał znacznie większą wiedzę niż pozostali lotnicy. Co najmniej dwie z fregat EAF były faktycznie niszczycielami i nie miały odpowiednika w polskiej marynarce. Sześć miało imponującą siłę ognia. *Tromp* i *Hessen* miały potężne uzbrojenie przeciwlotnicze. Fregaty klasy *Karel Doorman* i *Bremen*, choć nie tak silne, jak tamte, też nie należały do słabeuszy. Właściwie tylko włoskie *Euro* francuskie klasy *Floreal* mogły zostać uznane za nieco słabsze. W sumie – 17 okrętów nawodnych i 1 podwodny. Potężna siła.

– Jeśli to są siły pokojowe, jak deklaruje Bruksela, to ja jestem aligator – stwierdził. Napotkawszy pytający wzrok Tkaczyka i Czerwińskiego, dodał: – Ani jednego samolotu transportowego. Ani jednego okrętu transportowego czy desantowego. Operacja pokojowa to głównie zajęcia – piechurzy, saperzy, czasem oddziały specjalne, trochę wozów bojowych, prawda? Czym ich chcą tam przewieźć? Chyba nie fregatami czy myśliwcami taktycznymi?

– Pokaż to – Tkaczyk zabrał mu biuletyn, choć pod nosem miał własną kopię. – Rzeczywiście – przyznał po chwili. – Same jednostki bojowe. Cztery eskadry lotnictwa taktycznego, siedemnaście okrętów nawodnych. Ładne mi siły pokojowe. Gdzie oni chcą ten pokój zaprowadzać? Wśród piratów na Karaibach? Gdyby eskortowali tankowce przez Zatokę Perską, jak Amerykanie w latach osiemdziesiątych – to by jeszcze miało ręce i nogi.

– To niejedyny kwiatek w tym ogródku – odezwał się milczący dotąd Czerwiński. – Zobaczcie. Szefem całości sił zostaje , dmiral. To oznacza, że pierwsze skrzypce w EAF grają siły morskie. A to nie są bynajmniej siły rozjemcze ani pokojowe. Jedyna obecnie sytuacja potencjalnie konfliktowa, gdzie marynarka gra pierwsze skrzypce, to Chiny i Tajwan. Ktoś wspominał o nieodległej inwazji Chińczyków?

– Pierwsze słyszę – stwierdził Tkaczyk.

– Dziwne to wszystko – podsumował Marciniak.

Zaczęli studiować uważnie wykaz okrętów.

– Większość z nich to nie są okręty oceaniczne, zdolne do operowania z dala od baz – stwierdził w końcu Michał. – Patrolowce to też jednostki mórz zamkniętych albo wręcz przybrzeżne. Raczej nie chodzi o interwencję na drugim końcu świata.

Czerwiński z uwagą studiował pozostałe dokumenty. Znalazł kolejny interesujący szczegół.

- Spójrzcie tutaj – pokazał w końcu fragment tekstu. – Organizują siły w pośpiechu. Wyobrażasz sobie, jak to powinno wyglądać w Brukseli? Trzydzieści analiz, stu ekspertów, kilkadziesiąt wersji roboczych. Po ceremonii podpisania porozumienia uroczyste powołanie dowódcy i sztabu. Potem niekończąca się biurokratyczna wojna o zorganizowanie jednostek i zgniły kompromis między zasadami taktycznymi Niemców i Francuzów – bo nikogo innego nie dopuściliby do spółki. A co tutaj mamy? Vandenoort załatwia jednostki po jednym piśmie i uzgodnieniach telefonicznych. Zostaną one wcielone do EAF aneksem do umowy, ale podpisanym już post factum, po koncentracji tych sił. To się po prostu w pale nie mieści.
- Może facet robi to na pokaz? – spytał Tkaczyk.
- Być może. Tylko dla kogo? – zastanawiał się Czerwiński – A może rzeczywiście coś majstrują. I jeszcze jedno: to nie są siły do działania z dala od Europy. Brakuje zaplecza logistycznego do tego typu działań.

Zagłębili się ponownie w dokumenty. Marciniak zastanawiał się, co właściwie knuje Vandenoort? Siły Vandenoorta stanowiły tylko część sił lotniczych i morskich państw zaangażowanych w EAF, jednak wydzielenie ich od ręki było zastanawiające. Wiadomo, że sprawność okrętów czy samolotów nie jest nigdy stuprocentowa. Chwilowy wysiłek tych państw na rzecz EAF był zatem znaczny, choć nieporównywalny z wysiłkiem wojennym. Po co to wszystko?

W samo południe Tkaczyk i Marciniak stawili się w gabinecie pułkownika. Tym razem Nowaczyk nie siłił się na dowcip.

- Jest do wykonania robota – rzekł dowódca. – Polecicie na lot ćwiczebny z dziennikarką. Żadne tam prawdziwe ćwiczenia. Sześć nalołów naloty na baterię *S-125 Newa* w Wicku Morskim i trochę swobodnego latania. Możecie wykonać kilka figur akrobacji i pozorowana walkę powietrzną, pięć minut, z dużym marginesem bezpieczeństwa. No i nie wyciskajcie więcej niż pięć g. To zdrowa baba, zdążyła namówić szefa na przelot i przebadanie się w WIML-u. Żadnych wygłupów, popisów, niepotrzebnego ryzyka, żadnego podgrzewania i górki z rzyganiem do torebki. Jeśli coś takiego macie w planie lotu, to radzę to usunąć, zanim się o tym dowiem – spojrzał na nich groźnie. Pokręcili głowami. – Profesjonalny, bezpieczny pokaz. Ma być tak żeby poczuła kilka g na sobie, ale bez przykrości. Tego życzy sobie góra i tak ma być, niezależnie od tego, co wam już chodzi po głowach? Czy to jasne?!
- Tak jest!

- Aha – i żadnych lotniczych legend, żadnych anegdot czy innych opowieści drzewa sandałowego. Nie chcę, żeby tego rodzaju pierdoły drukowali o nas w gazetach. Zrozumiano?!
- Tak jest!
- Idziemy do domku pilota. Powinna już się przebrać przy pomocy Czerwińskiego.

Wyszli z kancelarii dowódcy. Nowaczyk prowadził. Idący za nim piloci zerkali na siebie. Tkaczyk robił dziwne miny, Marciniak udawał znużonego. W rzeczywistości był wkurzony, że musi robić za taksówkarza. Miał unikać prasy – przypomniał sobie.

- Panie pułkowniku, generał Zdanecki polecił mi unikać kontaktów z mediami – rzekł w końcu.
- Generał nie wyraził sprzeciwu, gdy zaproponowałem, że ty właśnie polecisz – uciał dyskusję pułkownik. Marciniak nie powiedział już nic. Zrobił, co mógł. Rozkaz musiał wykonać. – Zresztą jak ci się nie podoba, możesz wystąpić anonimowo, pod inicjałami lub zmienionym nazwiskiem – dorzucił Łysoń.

Marciniakowi się to nie podobało. Za to Tkaczykowi bardzo.

- Porucznik X, orzeł przestworzy! – skomentował.
- Ty możesz być porucznikiem XXX, od razu cię wszyscy rozpoznają! – odciął się Marciniak.
- Panowie! – zgromił ich Nowaczyk. Dotarli już prawie do domku pilota. – Przestańcie się wygłupiać. Chłapniecie coś, i to „coś” od razu trafi do prasy. Będzie chryja.
- Wszystko, co od tej chwili powiemy, może być wykorzystane... – zaczął Tkacz, ale umilkł pod groźnym spojrzeniem pułkownika.

Łysoń otworzył drzwi domku i skierował się ku szatni. Zobaczył Czerwińskiego.

- Proszę, panie pułkowniku – zawołał tamten.

Pułkownik wszedł, za nim Tkacz i Michał.

- Pani redaktor – powiedział – Porucznicy Tkaczyk i Marciniak. Pani redaktor Dagmara Błasiak.

Uścisków dłoni nie było. Michał i Dagmara patrzyli na siebie bez słowa. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy i usta...

Łysoń połapał się od razu.

- Państwo się już znają? – zapytał.
- Mieliśmy okazję się poznać – odpowiedział Marciniak, uprzedzając odpowiedź Dagmary.

- Istotnie, ale nie spodziewałam się tu cię zastać – dorzuciła dziewczyna. Odwróciła się, by dopiąć kombinezon. Marciniaka spojrział na Tkacza. Ten bezgłośnie poruszał ustami: „Porucznik X”...
- Przepraszam – Dagmara odzyskała rezon, podała dłonie Tkaczowi i Marciniakowi. W słabym oświetleniu szatni Marciniak zauważył, że się zarumieniła – Musiałam się ubrać...

Akurat, pomyślał Marciniak. Skromnisia się znalazła. Przypomniał ją sobie w kostiumie kąpielowym, który ledwie cokolwiek zakrywał. Przyczyna zmieszania musiała być inna.

- Polecì pani z porucznikiem Marciniakiem w dwumiejscowej wersji *Su-22*. Porucznicy Marciniak i Czerwiński sprowadzili w zeszły piątek do lądowania lotowskiego *Boeinga 737*. Na pewno słyszała pani o tym. Porucznik Tkaczyk poprowadzi zgrupowanie maszyną jednomiejscową. Jest naszym pilotem roku i mistrzem celności bombardowania wśród pilotów – oczywiście nie licząc dowódcy eskadry – dodał nieskromnie. – Przeprowadzicie dwa pozorowane naloty na stanowiska rakiet przeciwlotniczych w Wicku Morskim. Zapozna się pani z typowym zadaniem, jakie realizujemy w trakcie ćwiczeń i realizowalibyśmy bojowo. Panowie zademonstrują też lot koszący i kilka figur pilotażu, jednak nie tak forsownych i z większym marginesem bezpieczeństwa, niż podczas naszych normalnych operacji. Jest pani gotowa?
- Jestem.
- Zostawiam panią pod opieką moich pilotów. Proszę ściśle stosować się do ich instrukcji. Życzę ciekawych wrażeń.
- Dziękuję.

Po drodze do maszyn Tkaczyk wczuł się w rolę prowadzącego i objaśnił Dagmarze szczegóły lotu:

- Polecimy najkrótszą trasą nad morze, na dużej wysokości. Po drodze zmienimy kilka razy szyk, żebyś mogła zobaczyć, jak to wygląda w locie – Tkacz przeszedł na „ty” bez pytania o zgodę. – Nad morzem pokręcimy trochę akrobacji zespołowej, potem przelecimy się kosiakiem nad plażą i wrócimy do Powidza. Przygotuj się na nagłe zmiany ciśnienia, znaczne przeciążenia i naprawdę dużą dawkę emocji. To jest ekstremalne latanie. Zobaczysz po godzinie lotu, jaki to wysiłek.

Drabinki do kabin były już podstawione. Sierżant z obsługi pomógł wsiąść Dagmarze. Czerwiński wspiał się za Dagmarą i Marciniakiem i poinstruował dziewczynę co do sposobu użycia fotela wyrzucanego.

- Jeśli porucznik Marciniak nakaże pani głośno i wyraźnie katapultować się, proszę pociągnąć za ten uchwyt. Proszę to zrobić tylko wtedy, jeśli Marciniak powtórzy nakaz katapultowania i bez wątpienia go pani zrozumie. Proszę nie dotykać drążka sterowego, przepustnicy, a szczególnie pulpitu symulacji uszkodzeń – Czerwiński wskazał pulpity u góry tablicy przyrządów – bo wprowadzi pani w błąd pilota. Szczególnie proszę unikać tej żółtej dźwigni.
 - A co to takiego? – spytała Dagmara.
 - Wyrzucenie pilota z pierwszej kabiny – powiedział Czerwiński, a widząc uśmiech i niedowierzanie Dagmary dodał: – To dwumiejscowy samolot treningowy. W powietrzu bywają sytuacje, w których instruktor musi katapultować ucznia, kiedy ten nie jest w stanie zrobić tego samodzielnie. Pani siedzi na miejscu instruktora.
 - Rozumiem – odpowiedziała. – Poleciałabym wtedy sama, prawda?
 - Raczej tego nie zalecamy – wtrącił Marciniak.
 - Proszę nie rozmawiać z pilotem w czasie czynności przedstartowych, startu, lądowania i korespondencji radiowej – uzupełnił Czerwiński. Powtórzył jeszcze raz listę zaleceń i zakazów, po czym zszedł z drabinki.
 - Ładny mi historyk! – zaczęła z wyrzutem, gdy tylko sprawdzili interkom. – Jesteś słowny jak nasi politycy. Miałaś zadzwonić, ale oczywiście nie zadzwoniłaś. Gdybym nie spotkała cię tutaj, to pewnie bym cię więcej nie zobaczyła.
 - Miałem służbę w weekend. Ktoś musiał ściągnąć tego Boeinga. Mogłem albo go ściągnąć, albo dzwonić do ciebie – zażartował.
 - Akurat – stwierdziła. – Jesteś okropnie nietaktowny. Rozumiem, że wolisz Boeingi od spotkania ze mną? Jakoś to przeżyję. Czemu nie powiedziałeś mi, że jesteś pilotem.
 - Znam stosunek cywilów do lotnictwa wojskowego. Nie miałem ochoty na jakieś ideologiczne spory, choć i tak w jeden dałem się wciągnąć. A ciebie co napadło, żeby akurat nas nawiedzić?
 - Chcę napisać reportaż o lotnikach, którzy latają na najstarszym sprzęcie. Chcę dowiedzieć się, czy to, co mówiłaś mi o *F-16*, jest prawdą. Naprawdę mnie to wciągnęło. To jest wyzwanie.
- Marciniak jakoś jej nie wierzył. Chodziło jej po głowie, że tu sobie kogoś poderwie? Z jej poglądami?

- I chcesz za do dostać Pulitzera? – zapytał.
 - Jeśli przy okazji się uda, czemu nie?! – zaśmiała się – Staram się łączyć pożyteczne z pożytecznym. Ja na tym wygram i wy coś wygracie.
- Michał znalazł potwierdzenie swoich domysłów.
- Ty sławę i chwałę, a my co?
 - Lepszy wizerunek.
 - Dziennikarze wydaliby ostatni grosz, żeby pogorszyć wizerunek wojska. Dlaczego mam wierzyć, że tym razem jest inaczej?
 - Nie musisz. Jeśli prawdą jest to, co mówiłeś, że pogrążono już *F-16* w czarnym PR, to sam kontrast z wymową większości tekstów już zapewni mi poczytność.
 - Tylko żebyś nie przesłodziła. Tego nie lubią czytelnicy.
 - Raczej wy tego nie lubicie.
 - Dobra – rzekł Marciniak – czyli wszystko, co od tej chwili powiem, może być wykorzystane przeciwko mnie?
 - Już od dobrych kilkunastu minut może być. Dlaczego Nowaczyk powiedział, że nie mogę cię cytować z nazwiska?
 - Bo nie lubię rozgłosu.
 - To jak mam cię opisać? Porucznik X?

Marciniak zaklął w myślach. Dlaczego ona wpada na te same głupie pomysły, co Tkacz?

- Nazwij mnie, jak chcesz, byle nie z imienia i nazwiska.
- Czemu chcesz być incognito?
- To ściśle tajne. Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić.
- Nie wygłupiaj się. O co chodzi?
- Nieważne. Wzięłaś Lokomotiv?
- Nie. Strzeliłam setkę. Może być?
- Regulamin zakazuje lotów po pożyciu alkoholu. Do tego stępi ci odbiór wrażeń. Gotowa?!
- Może skończ już gadać i weź się do roboty?
- Biorę się. Nie zapomnisz tego do końca życia. Patrz i podziwiaj.

Nad północno-zachodnią Polską godz. 11:20

Lecieli na pięciu tysiącach metrów, od siedmiu minut w tym samym szyku, w którym wystartowali. Marciniak trzymał się pięćdziesiąt metrów z tyłu z pra-

wej strony Suki Tkaczyka. Pogoda była idealna, w kryształowo czystym powietrzu poniżej nich przesuwwały się tylko cumulusy. Widzialność była doskonała. Z tylnego miejsca w szyku Michał i Dagmara widzieli prowadzącego *Su-22* – w lewo i powyżej. Maszyny szły razem jakby połączone niewidzialną nicią. Wrażenie było niesamowite – to nie oni lecieli, tylko świat przesuwał się wokół nich.

Marciniak podszedł na tyle blisko, że można było rozróżnić drobne szczegóły samolotu Tkacza. Zachował jednak bezpieczną odległość, zgodnie z zaleceniami Isonia, ale głównie po to, by nie wejść własnym samolotem we wzburzone powietrze za prowadzącym. Namachałby się wtedy zdrowo drażkiem, by utrzymać się w szyku.

Przed nimi pojawiło się morze.

Ciemnozielone, iskrzyło ostro, odcinając się wyraźnie od jasnego błękitu nad horyzontem i wyzierających zza niego chmur. To pewnie jest fantastyczny dzień na opalanie, pomyślał Marciniak.

Tkacz nawiązał kontakt z ODN. Zaczęli schodzić do pierwszego manewru – nalotu ze średniej wysokości na Wicko. Prawdę mówiąc, sporo było w tym improwizacji – punkt rozpoczęcia ataku wyliczony był z grubszą. Kurs się zgadzał.

W połowie nalotu na cel rozwrzeszczała się aparatura ECM.

- Co to za hałas w radiu? – spytała Dagmara.
- To aparatura ostrzegawcza. Wyrzutnia rakiet namierza nas radarem.
- Nie wystrzelą do nas?
- Ćwiczą tylko namierzanie. Nie mają rakiet na wyrzutniach.

Radio zaskrzeczało głosem Tkaczyka:

- Zefir dwa, odwracamy szyk nożycami. Uwaga, trzy, dwa, jeden, już.

Su-22 Tkaczyka wykonał gwałtowny zwrot w prawo. Marciniak zrobił to samo w lewo, po czym wrócił równie energicznie na poprzedni kurs. Był teraz po lewej stronie Tkaczyka. ECM na chwilę ucichł

- Zgubili nas – stwierdził Michał.
- Niezłe – stwierdziła Dagmara.
- To jeszcze nic. Za chwilę naprawdę poszalejemy.
- Brzmi kusząco.

Marciniak zignorował ostatnią uwagę. Kokpit był najmniej odpowiednim miejscem na flirt.

W przodzie, między cumulusami zamajaczyło wybrzeże.

Radar kierowania ogniem baterii rakiet znowu zaczął ich namierzać. Marciniak rzucił kilka paczek z folią aluminiową, by zmylić operatora. Mimo to radar nadal ich podświetlał. Na tyle długo, że zdążyliby strzelić raketę.

Wpadli nad brzeg, pomachali przeciwlotnikom skrzydłami, zakręcili w prawo i wyszli nad morze. Dwie minuty później i trzydzieści kilometrów zaczęły schodzić poniżej horyzontu radarowego.

- Schodzimy teraz naprawdę nisko – uprzedził Marciniak. – Trzymaj kapełusz i niech cię ręka boska broni przed dotykaniem sterownic, bo to będzie twój ostatni głupi pomysł w życiu.

Dagmara nie odpowiedziała. *Su-22* schodził łagodnie w zakręcie ku szarej zieleni morza. Dwadzieścia metrów nad wodą Marciniak wyrównał, by zejść jeszcze niżej.

Mógł spokojnie lecieć na 7-8 metrach, ale zdecydował się, że polecą nieco wyżej. 12-15 będzie ok.

Nawet jemu puls podskoczył gwałtownie. Lecieli, mając po prawej stronie słońce. Roziskrzona powierzchnia wody biła w oczy milionem odbłasków. Marciniak starał się unikać spojrzenia w tę stronę, by nie stracić orientacji. Wiedział, że Dagmara przeżywa jeszcze intensywniejsze emocje – dla niej był to pierwszy „kosiak”. Nie miał czasu się zastanawiać.

Tym razem radar zestawu przeciwlotniczego złapał ich późno. Mimo to dołot do celu zabrał im tyle, że zostaliby trafieni. Wyszli na tysiąc metrów, połączyli się w szyku i zawrócili nad morze, idąc północnym kursem.

- Trafili was? – spytała Dagmara.
- Tak, ale ułatwiłszy im zadanie. Normalnie zakłócalibyśmy im radary, stosowali manewry przeciwrakietowe. No i strzał byłby z daleka, rakieta, a nie nalot z bombami.

Radio zachrypiało głosem Tkacza:

- Ok, sześć zero sześć, zaczynamy część artystyczną. Trzy... dwa... jeden... już!

Zeszli niżej, znowu dziesięć metrów nad wodą. Morze w szalonym tempie przemykało pod nimi. Oddalali się od brzegu w szybkim tempie.

- Jak wrażenia? – zapytał Marciniak.
- Niesamowite – odrzekła Dagmara. Brakowało jej słów.
- Zefir dwa, przejmij prowadzenie – odezwał się Tkacz przez radio.
- Zrozumiałem, wykonuję – odpowiedział Marciniak. Pchnął przepustnicę i przyspieszył na tyle, by wyprzedzić Tkacza. Manewr nie byłby trudny, gdyby nie ekstremalnie mała wysokość. Trzeba było zachować szczególną uwagę.

W kilka sekund potem zrównał się z *Suką*. Rzucił okiem w lewo, by skontrolować odległość...

Kurwa! Marciniak omal nie wyrzeszczał tego w interkom. Tkacz zdjął maskę i grał na nosie... Oburącz!

Michał kopnął orczyk, odbijając od *Suki*, i dopchnął przepustnicę do oporu, odskakując w prawo w przód. Idiota! Na tej wysokości i w ciasnym szyku bez rąk na drążku! Trzymał go pewnie kolanami, ale to ani miejsce, ani czas na takie numery. Mógł skasować całą ich trójkę. Marciniak miał nadzieję, że Dagmara nie widziała tego idiotycznego popisu. Obiecał sobie, że po powrocie dobierze się Tkaczykowi ostro do dupy.

Okazja nadarzyła się jednak wcześniej. Tkacz zrównał się z nim. Marciniak pogroził mu pięścią. Jego narwany kumpel niespecjalnie się tym przejął. Zaraz też nakazał

– Zefir dwa, odbijamy do walki powietrznej. Trzy, dwa, jeden... Już!

Tkacz poszedł w lewo, na zachód, Marciniak na wschód. Marciniak postanowił, że bezlitośnie przetrzepie Tkaczyka. Miał zamiar upuścić trochę pewności siebie temu sowizdrzałowi! To powinno go trochę osadzić!

Po dwudziestu sekundach obaj zawrócili o 180 stopni, kierując się najpierw ku północy, by następnie wyjść naprzeciw siebie. Odległość wynosiła niecałe dziesięć kilometrów i Marciniak mógł dostrzec sylwetkę maszyny Tkaczyka w celowniku. Zbliżała się ze zsumowaną prędkością 1800 kilometrów na godzinę. Rosła w oczach.

– Uwaga, po lewej! – wykrzyknął Marciniak w interkom. Dagmara zobaczyła tylko błysk owiewki *Su-22* i usłyszała grzmot silnika samolotu, który śmignął z nieprawdopodobną prędkością obok nich, przechylony w zakręcie w lewo – na północ, zdradzając zamiary pilota.

Marciniak instynktownie przechylił maszynę w lewo, pociągnął do siebie drążek. Przyspieszenie uderzyło w nich potężnie. Dagmara aż stęknęła z zaskoczenia i wysiłku. Musiała walczyć o oddech. Maszyna szła w górę w ciasnym, skośnym wirażu, kierując dziób ku słońcu, wytracając prędkość i oddalając się od Tkaczyka. Marciniak znał dobrze zwyczaje pilotów bombowców – mniej chętnie od myśliwców wchodzili w ostre, pionowe czy skośne manewry. Na moment zostawił Tkacza za ogonem, ale ten oddalał się od niego w dość płaskim zakręcie na północ. Do tego Marciniak był wyżej i w słońcu. Tkaczyk będzie miał cholerny problem, by w ogóle go wytropić, o strzale nie wspomniawszy... Michał przekręcił głowę w górę, która teraz stała się dołem – morze zajmowało większą część lewej strony, a niebo zachodziło z prawej pod podłogę. Dostrzegł maszynę Tkacza w najbardziej oddalonym punkcie zakrętu.

- Jest u góry z lewej – odpowiedział Dagmarze.
- Gdzie u góry? – spytała zduszonym przez przeciążenie głosem.
- Pod horyzontem. Góra jest teraz względna – miał nadzieję, że to wystarczy za wyjaśnienie.

Utrzymał przewagę wysokości, mając mniejszą prędkość postępową miał też mniejszy promień skrętu. Tkacz nadal go nie widział, kontynuując zakręt na południe. Zorientował się, że coś jest nie tak, i zanurkował nagle w stronę słońca i powierzchni wody.

Marciniak tylko na to czekał. Opuścił dziób *Suchoja* pod horyzont, rozpędzając go, dokończył zakręt i wszedł w pole strzału za ogonem Tkacza. Ten usiłował wywinąć się gwałtowną świecą w słońce, ale Marciniak nie odpuścił. Poszedł za nim, wyciskając 7 g i słysząc w interkocie jęk Dagmary i jej ciężki oddech. Miał to gdzieś. Liczyło się wyłącznie pokazanie Tkaczowi, że nie jest taki dobry, jak mu się wydaje. To mu tylko wyjdzie na zdrowie. Szedł za *Su-22* w górę, wiedząc, że uciekający samolot nie może wznosić się w nieskończoność, prosto w zawieszono wysoko słońce. Tkacz w końcu też to zrozumiał. Przewalił maszynę ku morzu, licząc na odbicie słońca na falach, ale stanowiło ono dostatecznie dobry kontrast, by *UZR-60* jednak uchwycił jego dyszę wylotową.

- Zefir jeden. Mam cię na *UZR*. Już po tobie, Tkacz!
- Mowy nie ma!
- Mowy nie ma, jest trafienie. Przegrałeś!
- W porządku. Rewanż?
- Szkoda paliwa. Wykończyłem cię po niecałych czterdziestu sekundach.

Tkacza zatkało.

- To nie fair.
- Życie w ogóle nie jest fair. Moja pasażerka ledwie dyszy. Dostała parę razy 7 g.

Tkacz zastanawiał się chwilę.

- W porządku. Wracamy do bazy – powiedział.

Kołowali na płytę postojową powidzkiego lotniska. Marciniak uprzedził Dagmarę, by nie robiła nic, dopóki obsługa nie zabezpieczy fotela wyrzucanego przed przypadkowym wystrzeleniem.

Michał pierwszy wysiadł z kokpitu. Zszedł po drabinie na płytę lotniska. Obserwował, jak sierżant z obsługi pomaga Dagmarze wsiąść. Mimo, iż nie miała choroby lokomocyjnej, dorobiła się w locie lekkich zawrotów głowy. Było

to zapewne skutkiem wywołanych przeciążeniem zmian w krążeniu krwi, do których nie była przyzwyczajona. Czerwiński, kilku pilotów i ludzie z obsługi obserwowali całą scenę.

Zaabsorbowana schodzeniem Dagmara nie zauważyła „Muldera” Lisowicza, który podbiegł do sierżanta stojącego na drabince z wiaderkiem wody. Zaledwie niepewnie jeszcze stanęła na ziemi i uśmiechnęła się blade do zebranych, zainkasowała potężny, zimny prysznic. Krzyknęła wysokim głosem.

Piloci i obsługa ryknęli śmiechem. Rozległy się gwizdy, okrzyki i brawa.

Minęło kilka sekund, nim dziewczyna zorientowała się, co się stało. Otarła oczy, usiłowała też wytrząsnąć wodę z uszu. Widać było, że woda dostała się też za kombinezon.

- Witamy w Sześćdziesiątej Siódmej – zawołał ktoś.
- Mogliście mnie uprzedzić. Nie wzięłam ciuchów na zmianę.
- Jakież się znajdują – stwierdził Tkaczyk, który zdążył się wygramolić z kokpitu. – nie zdążyłem na prysznic?
- Celny strzał, sierżancie – skwitował Krzyżanowski.
- Zawsze tak traktujecie gości? – zapytała Dagmara.
- Tylko tych, którzy pierwszy raz polecą *Suką*.
- Szlag by trafił pilotów – stwierdziła.

Od strony domku pilota nadszedł Kwiecień.

- Co wy tu wyprawiacie, do jasnej cholery?! – zapytał. – Znowu urządziliście ulewę z wiadra? Wiecie, jak to będzie wyglądało w gazecie? Wyjdziemy na jakichś niewyżytych troglodytów. Nie mogliście sobie odpuścić?
- Mieliśmy złamać uświęcony zwyczaj? – oburzył się Krzyżanowski.
- Tam zwyczaj. Powiedz jeszcze, że nowa świecka tradycja – obruszył się Kwiecień. – Każdy z nas oberwał prysznic po pierwszym locie, ale my, we własnym gronie, to co innego. Kto to widział tak obchodzić się z gośćmi?

Nikt nie odpowiedział.

- Za bardzo się rozhułaliście ostatnio. Trzeba będzie przykręcić wam nieco śrubę – powiedział Kwiecień. Wziął oszołomioną i wciąż nieco zdezorientowaną Dagmarę pod ramię. – Chodźmy do szatni. Jakiś tymczasowy mundur polowy powinien znaleźć się w magazynie. Któryś z pilotów pożyczyci pani t-shirt – powiedział. – A potem zapraszam panią do kantyny. Jestem pewien, że nasi piloci koniec końców okażą się dżentelmenami i nie tylko dotrzymają pani towarzystwa, ale i zafundują obfity obiad.

Michał i Tkacz szli przez lotnisko do domku pilota. Przemoczoną Dagmarę mechanicy zabrali samochodem. Zaledwie oddalili się nieco od grupy, Marciniak wsiadł na Tkacza.

- Popierdoliło cię, czy co?! – Michał rzadko używał mocnych słów, ale te wcale nie wydawały mu się za mocne. – Życie ci niemiłe?! Co to były za popisy z trąbką?! Powinni cię prosto stąd odwieźć do czubków.
- Czego się czepiasz, Marciniak?! – oburknął Tkaczyk. – Robiłem ten numer setki razy.
- Jak masz ochotę wyciągnąć kopyta w głupi sposób, to zrób to sam, a nie pociągając za sobą innych! Nie miałbym za dużo czasu na pożegnanie się z życiem, gdyby rzuciło cię na nas na tej wysokości.
- Spokojna głowa. Trzymałem drążek między nogami.
- Wystarczyłoby, żeby zakłuło cię coś w jaja, a obaj mielibyśmy teraz pogrzeb państwowy. Pohamuj się trochę. Cmentarze są pełne pewnych siebie chojraków, którym się wydawało, że nie istnieje granica między szaleńczą odwagą a głupotą ze skutkiem śmiertelnym. Zresztą nie jesteś taki dobry, jak ci się wydaje. Dostałeś ode mnie po dupie i nawet nie wiesz, w jaki sposób.

Tkaczyk nie odrzekł.

- Doniesiesz na mnie Łysoniowi? – spytał w końcu.
- Nie, choć nie wiem, czy nie powinienem. Twój dzisiejszy wyczyn daje nieźle do myślenia. Może ja wyszedłem cało, ale co będę czuł, jeśli utrupisz kogoś innego?

Tkacz westchnął. Widać było, że wewnętrznie walczy.

- Masz rację, Michał – rzekł w końcu. – Wyglupy na ziemi to jedno, z popisami w powietrzu trzeba uważać. Obiecuję ci, że to już się nie powtórzy.

Marciniak przyjrzał mu się uważnie. Wiedział, że niełatwo jest zmusić Tkacza do przyznania się do winy. Wiedział też, że tam jest słowny i poważny. Taki kiks zdarzył mu się po raz pierwszy.

- W porządku – rzekł. – Ale jeśli usłyszę, że zrobiłeś coś podobnego, to miej pewność, że dowie się o tym sekcja bezpieczeństwa lotów.

Tkaczyk skinął tylko głową.

Marciniak i Tkaczyk zajęli osobny stolik w lotniskowej kantynie. Michałowi przeszła już złość na kumpla. Odechciało mu się jedynie zwykłych docinków i żartów.

W drugim końcu sali Dagmarę otaczał wianuszek pilotów. Część z nich chciała być zacytowana w reportażu, niektórzy chcieli przyjrzeć się zgrabnej, seksownej dziennikarce, a może nawet się z nią umówić. Przynajmniej Tkaczyk tak przypuszczał.

- Nikt w takich warunkach jej nie wyrwie – ocenił.
 - Opinia eksperta? – spytał Marciniak. – A z innej beczki: co powiesz o składzie sił EAF? – zmienił temat.
 - To jest niezły skład, żeby złożyć jakieś państwo Trzeciego Świata, może wesprzeć atak lądowy. Bez desantu morskiego i powietrznego.
 - Nieźle. Pobiegajmy palcem po mapie i znajdziemy takie państwo.
- Od wejścia szedł do nich Czerwiński.
- I jak się udał lot? – zapytał
 - Nieźle. Przekroczyłem o trzy g przeciążenia przewidziane dla pasażerki i spuściłem łomot prowadzącemu – uśmiechnął się do Tkacza, który nie zaprzeczył, bo przecież był świadek – Ogólnie może być. A co u ciebie?
 - Cudów nie dokonałem – westchnął Czerwiński. – Przeczytałem dokładnie te papiery, ale nie miałem czasu przetrwać ich treści. Siądźmy razem po południu i spróbujmy coś wykombinować, jak tylko skończy się ten medialny cyrk...
 - Uważaj! – ostrzegł go Marciniak. Do ich stolika zbliżała się Dagmara. Udało się jej opędzić od grupki wielbicieli. Podeszła i bez pytania zajęła wolne miejsce. Jej długie blond włosy, przedtem rozwiane i puszyste, później zwinięte pod hełm, teraz były nieco przyklapnięte. Prysznic zrobił swoje.
 - Jak tam zbieranie materiałów? – zagadnął ją Michał.
 - Świetnie. Mam głowę pełną wrażeń. Muszę je tylko uporządkować i nadać im jakiś kształt. Przesadziliście tylko z tym śmigusem. Nie macie szacunku dla kobiet?
 - U nas panuje pełne równouprawnienie.
- Spojrzała na niego z ukosa.
- Podobał ci się lot? – spytał Tkaczyk.
 - Było super, choć momentami ciężko. Nie przypuszczałam, że to taka ciężka praca. Dotąd pulsuje mi w głowie.
 - Bo jesteś nieprzyzwyczajona do przeciążeń i wysiłku fizycznego – stwierdził Marciniak. – A robota jest rzeczywiście ciężka i wymagająca. Dziś lecieliśmy w idealnych warunkach. Trochę trzęsło przy kosiaku, ale to norma. Bywa znacznie gorzej.
 - Czyli dziś było spokojnie i bezpiecznie?

- Może i spokojnie. Czy bezpiecznie? Zależy jak na to patrzeć. Z pewnością nie ryzykowaliśmy zbyt, ale lot kosiakiem zawsze jest nieco ryzykowny. Mały błąd, niewłaściwe rozłożenie uwagi, awaria w nieodpowiednim momencie – i zaliczamy glebę.
- Lecieliśmy nad morzem...
- To żadna różnica. Przy tej prędkości uderzenie o wodę to tak jak uderzenie o beton. Z samolotu i tak idą wióry. Nie ma pożaru, ale jest pogrzeb.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Bo wtedy bałabyś się lecieć.
- Mam rozumieć, że byliśmy o krok od śmierci?
- Jeśli tak napiszesz, to własnoręcznie cię uduszę – zirytował się Marciniak. – Nie ryzykujemy niepotrzebnie. Jakieś ryzyko jednak istnieje, tak jak wtedy, gdy wsiadasz do samochodu i jedziesz. Jest na pewno większe i jego skutki są bardziej brutalne. Umiemy się trzymać blisko granicy, gdzie nie jest ono zbyt wielkie.
- To po co właściwie tak latacie?
- To element taktyki. Latamy nisko i szybko, by uchronić się przed myśliwcami, raketami ziemia-powietrze i artylerią. Gdy lecisz nisko, mniej broni naziemnej jest w stanie cię namierzyć. W dodatku faceci na ziemi mają na to zdecydowanie mniej czasu, bo pozostajesz krócej i w ich polu widzenia.
- To fascynujące. Tyle się dowiedziałam. Opowiedz mi o *Boeingu*?
- Przemek ci opowie. Przepraszamy, ale mamy trochę papierkowej roboty po locie.

Dagmara zrobiła rozczarowaną minę.

- Skoro nie macie czasu teraz, to może wpadlibyście do mnie w piątek wieczorem? Organizuje niewielką imprezę. Będzie trochę moich znajomych. Jesteście zaproszeni. Przemek, ty oczywiście też – dodała, spoglądając na Czerwińskiego.
- Dziękuję, ale nic z tego. Mamy pierwszy od dawna wspólny wolny weekend z żoną. – powiedział Czerwiński.
- Nam też może wypaść służba – stwierdził Marciniak. Zobaczył cień rozczarowania na twarzy dziewczyny. – Ale jeśli nie wypadnie, to chętnie zajrzemy. Podaj adres Tkaczowi. W przeciwieństwie do nas on nigdy nie gubi adresów ani telefonów. Ma ich taką bazę, że mógłby obdzielić całe Siły Powietrzne – dodał z szelmowskim uśmiechem.

Powidz, baza lotnicza godz. 14:05

Marciniak, Czerwiński i Tkaczyk siedzieli w gabinecie Łysonia. Pułkownik wysłuchał sprawozdania obu pilotów z lotu pokazowego.

- Nieźle jak na zaimprovizowany *ad hoc* pokaz w locie. Należą wam się słowa uznania. Mam nadzieję, że po raz pierwszy od dawna ktoś napisze o nas kilka sprawiedliwych słów. Mieliście wrażenie, że się jej spodobało?
- Z pewnością – odpowiedział Tkaczyk. – Dostaliśmy od niej nawet prywatne zaproszenie na sobotę. Chętnie zintegrujemy się z ludnością cywilną, jeśli oczywiście pan pułkownik nie obarczy nas jakimś odpowiedzialnym zadaniem w weekend.
- Już ty się nie wymiguj integrowaniem z cywilami, Tkacz. Zresztą wszyscy wiedzą, co ty rozumiesz jako integracja – zauważył Łysoń.
- Chciałem tylko powiedzieć, że zrobiliśmy bardzo korzystne wrażenie na pani redaktor, mimo że Lisowicz z sierżantem Kamińskim potraktowali ją wiaderkiem – wyrwało się Tkaczowi.
- Co takiego?! – wykrzyknął zdezorientowany Łysoń, ale zaraz dośpiewał sobie wszystko. – No tak! Powiniennem się spodziewać. Nikomu nie przepuście. Zostawić was tylko na chwilę samych, to zdemolujecie nawet stóg siana. Dziwiłem, że przyszła tu wypindrzona jak Pamela Anderson, a wyszła jak zmokła kura. Oficerowie, chłopcy jak tury, a zabawiają się w tak niewyszukany sposób. A ja firmuję całą tę szopkę. Zastanowiliście się, geniusze, jak to będzie wyglądało w gazecie?
- I tak dobrze, że nie użyli do tego wozu strażackiego – wtrącił Marciniak.
- A ty nie bądź taki dowcipny! – uniósł się zdenerwowany Łysoń. – Czy wyście kompletnie zidiocieli?! Masz jeszcze coś do powiedzenia? – zapytał, zauważywszy zdziwioną minę, jaką zrobił Marciniak.
- Tak jest, panie pułkowniku! – odrzekł Marciniak. – Dlaczego pan pułkownik objeżdża nas, a nie tych, co wykonali ten numer?

Łysoń wbił w niego wzrok.

- Marciniak, ty ze mną nie igray, bo się doigrasz! – wycedził. Uwaga Marciniaka pohamowała go jednak.
- Panie pułkowniku, nie można przecież cały czas tak patetycznie i oficjalnie o wojsku – podjął walkę Tkacz, widząc, że postawa Marciniaka wzbudza jeszcze tylko wściekłość dowódcy. – Trochę humoru nie zaszkodzi...
- To, że jesteś mistrzem humoru koszarowego, nie znaczy, że musisz go propagować na łamach ogólnopolskiej prasy. Jeszcze trochę, a ogłoszą, że panuje u nas fala – Łysoń machnął ręką. – Zostawmy ten temat – rzekł, wi-

dząc, że Tkaczyk chce jeszcze coś dodać. – Czerwiński mówił, że zapoznaliście się już ze składem EAF i macie jakieś spostrzeżenia.

- Tak, panie pułkowniku – powiedział Przemas. – Ogólnie składamy się ku wnioskowi, że obecny skład tych sił służy raczej wsparciu kampanii lądowej gdzieś niedaleko. Nie widać zabiegów mających na celu pozyskanie zdolności ekspedycyjnych. Żadnych jednostek transportowych, desantowych czy zaopatrzeniowych w siłach powietrznych i morskich. Niepokój może budzić tryb ich powołania. Jest nagły, dość nieoficjalny i mało zbiurokratyzowany. Tak jakby chodziło o szybką interwencję. A nie ma przecież takiej potrzeby w okolicy.
- Jest jeszcze druga możliwość, która właśnie przyszła mi do głowy – wtrącił Marciniak. – Ten zestaw samolotów i okrętów nieźle nadaje się też na zablokowanie jakiegoś państwa. Oczywiście zakładając skuteczną blokadę lądową. Samoloty mogą egzekwować strefę zakazu lotów i wspierać okręty. Okręty mogą kontrolować transport morski. To taki wariant minimum.
- Ciekawe pomysły – ocenił Łysoń. – Macie to na piśmie? Nie? To do wieczora chcę to mieć. Dziękuję panom. Wrócimy do tematu wkrótce.

Piloci wyszli, a pułkownik popadł w zadumę. Koncepcja Marciniaka była odważna. Pewnie nieprawdziwa, ale... Nowaczyk postanowił wysłać ją do dowództwa wraz z kilkoma innymi. Jeżeli ktoś się wygłupi, to zapewne Marciniak. Jeżeli jednak trafi... no cóż... dobrze mieć tęgie łby we własnej eskadrze.

Trzej porucznicy wyszli z gabinetu dowódcy eskadry. Marciniak zachichotał i pokręcił głową.

- Co cię tak bawi? – spytał Tkaczyk.
- Nie dość, że dziwkarz i błazen, to jeszcze kapuś – odpowiedział Marciniak z uśmiechem. – Trzy w jednym. Podkablowałeś Lisowicza. Ma teraz przegwizdane u starego. Nie spodziewałem się tego po tobie.
- To nie ja pociągnąłem tę cieżę z wiadra – odparł Tkacz. – Mogli odpuścić sobie ten numer. Lepiej, że Łysoń dowiedział się od nas, niż gdyby przeczytał o tym w gazecie. A ty też zachowałeś się jak debil. Po jaką cholere się z nim droczysz, gdy jest rozjuszony jak byk? Chcesz się bawić w corridę, to jedź do Hiszpanii.
- Wiesz, że mam z nim na pieńku. Nie widzę powodu, żeby mu odpuszczać.

- To jeszcze nie znaczy, że musisz się głupio podkładać i go prowokować – stwierdził Tkacz – Na ciebie teraz będzie miał oko i czekał na byle potknięcie. Osobiście żałuję, bo jesteś solidnym kompanem i kiepsko będzie, jeśli wywalą cię za biurko z powodu przepychanek z Łysoniem. A Lisowiczowi trochę kurateli naszego kochanego pułkownika nie zaszkodzi. Będzie wiedział, że należy dbać o dobre układy ze starszymi kolegami – perorował, mając na myśli docinki Muldera pod własnym adresem. – Poza tym chciałem powiedzieć staremu, że jesteśmy na dobrej, koleżeńskiej stopie z panią redaktor. Dobrze byłoby, gdyby odpuścił nam piątkowy wieczór i pozwolił na dalsze nieoficjalne kontakty. To się nazywa taktyka.
- To twoje spryciarstwo ma tyle wspólnego z taktyką, co gumowa dmuchana lala z kobietą – stwierdził Marciniak. – Łysoń będzie miał na nas oko. Jakakolwiek awantura poza jednostką i leżymy. Dlatego raczej nie piszę się na tę eskapadę.
- Przesadzasz. Zwyczajnie masz cykora. Obawiasz się tej lasi. Zbyt przebojowa i odważna jak na ciebie.
- Mam dość przebojowych las i podpadania przełożonym. Łysoń niby żartował z tego prysznic, ale chyba ostatni raz nam odpuścił. Widać było, że go to nie bawi.
- Ja tam idę. Nawet jeśli nie Dagmara, to można wyrwać coś innego A ty co? Nic nie mówisz? – zwrócił się do Czerwińskiego.
- Delektuję się tym, że nie mam waszych problemów, panowie. Ja tu tylko latam.

Po wyjściu poruczników Nowaczyk zadzwonił do Zdaneckiego. Jabłońska połączyła ich niezwłocznie.

- Witam, panie pułkowniku – odezwał się Zdanecki.
- Dzień dobry, panie generale – tytułowali się przy powitaniach, mimo że znali się niemal od dwudziestu lat i od tego czasu byli na „ty”.
- Jak ci poszła wizyta prasowa? – spytał Zdanecki.
- Nie najgorzej. Redaktorka zadowolona z wizyty i przelotu, pod wielkim pozytywnym wrażeniem, mimo że chłopcy potraktowali ją wiaderkiem.
- Tego się można było spodziewać – odrzekł generał. – Od początku liczyłem się z tym, że wytną jakiś numer, nawet ją uprzedzałem. Najważniejsze, żeby uchwyciła niuanse. Zrobiłeś chłopakom test z analizy.
- Tak, mam na razie dwie koncepcje.
- Czyje?

- Tkaczyk, Czerwiński i Marciniak. Tkaczyk i Czerwiński mówili o ograniczonej kampanii lądowej, a Marciniak stwierdził, że te siły nadają się do blokady lotniczej i morskiej.
 - Szybko się uwinęli z tym zadaniem. Wiesz co? Posadź tę trójkę na tyłkach i każ im opracować ze dwa scenariusze według ich pomysłu – ataku i blokady tymi siłami. Wszystko – gdzie powinny bazować, jakie podjąć działania, jaką taktykę przyjąć. Niech przygotują to w formie zaleceń do gry wojennej.
 - W porządku – stwierdził Łysoni. A potem zauważył, że czegoś brakuje. – Jedna chwila, Tadziu, a kogo te siły mają atakować lub blokować?
 - Nie powiedziałem? Przepraszam. Wydawało mi się to oczywiste. Nas. To przecież nasza gra wojenna, nie Turkmenistanu.
- Łysoniowi aż tak oczywiste się to nie wydało.
- Tadeusz, czy wiesz o czymś, o czym ja nie wiem?
 - Waldek, jeśli jakieś państwo czy organizacja międzynarodowa formuje nową armię w pobliżu, to trzeba trochę to przemyśleć i przetrwać. Moim sztabowcom należy się lekkie wietrzenie umysłów. Dobrze by było, gdyby dostali jakiś scenariusz z zewnątrz, spoza kręgu wzajemnej adoracji. A i ty będziesz czuł się lepiej, mając kilku ludzi zorientowanych w tej materii. No i będą mieli szerszą perspektywę niż tylko z kokpitu. Dacie radę przygotować to na sobotę?
 - Pogonię im trochę kota. Chyba zanadto się rozbisurmanili, sądząc po tym, co zrobili z tą dziennikarką – Łysoni wziął oddech – Dostanę zaproszenie na rozgrywkę?
 - Oczywiście. Chętnie dowiem się, co o tym myślisz.

Rozdział V

Artykuł 39: Postanowienia szczególne dotyczące wprowadzania w życie wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa

1. Unia Europejska prowadzi wspólną politykę zagraniczną i bezpieczeństwa, której podstawę stanowią rozwój wzajemnej politycznej solidarności między Państwami Członkowskimi, określanie kwestii stanowiących przedmiot ogólnego zainteresowania i osiąganie coraz większego stopnia zbieżności działań Państw Członkowskich.

(Projekt Traktatu ustanawiającego Unię Europejską)

**Weekend manifestacji tolerancji
Liberation, 30 maja 2008r.**

Warszawska Parada Poprawności wyjątkowo w tym roku, zamiast w drugiej dekadzie czerwca, odbędzie się w ostatni weekend maja. W Krakowie organizacje ekologiczne zapowiedziały protest przeciw planom budowy amerykańskiej tarczy antyrakietowej. W Poznaniu stowarzyszenie organizacji ekologicznych, pacyfistycznych i antyfaszystowskich organizuje protest pod hasłem „F-16 – precz z Poznania”. Organizatorzy manifestacji zapowiedzieli złożenie petycji do polskiego parlamentu o jak najszybsze ratyfikowanie eurotraktatu.

Unia usiłuje rozwiązać kryzys La Libre Belgique, 30 maja 2008r.

Na sobotę zaplanowano posiedzenie najważniejszych organów Unii Europejskiej: Komisji Europejskiej i Rady Ministrów. Jak powiedział przewodniczący Komisji Europejskiej, Marc Vandenoot, tematem posiedzeń Komisji i Rady będzie zażegnanie kryzysu wywołanego odrzuceniem traktatu europejskiej przez Polskę. Od wtorku będzie obradował Parlament Europejski.

Powidz, baza lotnicza 30 maja 2008r., godz. 11:45

Scenariusz Marciniaka nabierał właśnie ostatecznych kształtów, gdy zadzwoniła komórka. Porucznik spojrział na wyświetlacz. Tkaczyk. Odebrał.

- Cześć byku z plastiku! – powitał kumpla.
- Fabryka nawozów? Produkcja będzie gotowa na wieczór? – odciął się Tkacz. – Impreza, panie kierowniku! – było ledwie południe, a on już myślał o wieczornym melanzu.
- Nie jadę. Zostawiam ci całe to towarzyscho.
- Zgłupiałeś? Za długo siedziałeś w tej warszawce. Odpuszczać rzadką okazję do ubawu i wyrwania się z tego zadupia? Jeśli nie masz śmiertelnego przypadku biegunki, to nic cię nie usprawiedliwia.
- Nie mam ochoty na tę bibę. Towarzystwo jest nie dla mnie. Wolę odwiedzić starszków i siostrę. Rzadko ich widywałem, odkąd byłem w Mińsku.
- Czy ja się przesłyszałem?! – Tkacz udał zdziwienie. – Co z ciebie za skrzydłowy?! Zostawiasz prowadzącego? Żelazna zasada...
- Nie wygłupiaj się. To nie lot bojowy. Sam sobie świetnie poradzisz.
- Oczywiście, że sobie poradzę, Marciniak, bez twojej pomocy – rzekł Tkacz urażonym tonem. – Poradzę sobie nawet z czterema pannami, ale co będzie, jak będzie ich osiem? Siła złego...
- Odczep się. Beze mnie przynajmniej będziesz musiał być czujny i nie wpakujesz się w żadną awanturę.
- Michu, wyluzuj – Tkacz przerwał aktorskie popisy. – Nawet takiemu upartemu tytanowi pracy przyda się trochę luzu. Harowałeś ostatnio jak wół i zaczynasz zjadać własny ogon. Oderwiesz się wreszcie od *Suk*, Kwazara, Łysonia i całego tego cyrku. No i nie udawaj błędnego rycerza. Chyba nie chcesz do końca życia zostać wiernym tej warszawskiej cipce, która

masturbuje się forszą i karierą?! Bądź dla siebie przyjacielem i trochę o sobie zadbaj. Należy ci się.

Trafił we właściwą strunę.

- No dobra. Pojadę – zgodził się bez entuzjazmu Michał. – O której?
- Wieczornym pociągiem z Gniezna, gdzieś po 19:00. Uważaj, żeby Łysoń ci czegoś nie nawrzucał.
- Spokojna głowa. Jeśli do wieczora nie wybuchnie wojna, to Łysoń na pewno mnie nie zaskoczy.
- Dobra. Zatem widzimy się pod koniec służby, załatwiamy co trzeba i spieszymy w podskokach.
- Okej – powiedział Marciniak. Rozłączyli się.

Komputer skończył drukowanie scenariusza. Michał zebrał papiery, wysłał dowódcy pocztą elektroniczną jego kopię, po czym ruszył do gabinetu Nowaczyka omówić swoją propozycję gry wojennej.

Poznań, w pobliżu Dworca Głównego godz. 20:25

Marciniak i Tkaczyk, obaj ubrani w cywilne łachy, usiłowali znaleźć jakiś środek komunikacji, który dowiozłby ich na miejsce. Michał nie był w Poznaniu od czasów licealnych, toteż nawigacja po mieście spadła na Tkaczyka. Zdaniem Marciniaka była ona do bani. Tkacz nakłonił go do pojechania aż na Poznań Główny, po czym oświadczył, iż lokum Dagmary leży gdzieś na Ratajach – jednym z wielkich poznańskich blokowisk, położonym hen na wschód od Warty, którą kwadrans wcześniej przekroczyli pociągiem z hukiem mostem kolejowym koło elektrociepłowni.

Marciniak klął beztróskę kumpla.

- Do ciężkiej cholery, nie mogłeś wcześniej sprawdzić, gdzie to dokładnie jest? Wracamy tam, skąd przyjechaliśmy. Ależ z ciebie pierdoła!
- Przedtem to zabawiałem cię rozmową. A zresztą co to za różnica, czy jedziemy ze Wschodniego, czy z Garbar? Stamtąd też daleko. Na jedno wychodzi.

Marciniak machnął ręką. Nie miał zamiaru sprzeczać się o głupoty. Jednak po chwili zauważył kolejny mankament.

- Moglibyśmy chociaż wskoczyć do nocnego albo marketu po jakąś flaszkę. Przecież nie wjedziemy tam na sępa z gołymi rękami, licząc na to, że urzniemy się na koszt gospodyni.
- Zadzwonimy do taksiarzy, żeby coś przywieźli.

- To będzie najdroższa flaszką w mieście, którego mieszkańcy uważają Szkotów za rozrzutnych. Wyjdziemy na kompletnych durni.
- Czy nie mógłbyś się zrelaksować i pomyśleć o czymś przyjemnym? Jak zawsze szukasz dziury w całym i wszystko chcesz planować. Nawet na imprezę spontaniczności masz tyle, co żółw przyspieszenia.
- Jeśli ja nie zaplanuję imprezy, to z twoją zdolnością improwizacji na pewno wyjdzie nieplanowana burda.
- Musisz być takim pesymistą w piątek wieczorem? Nie możesz być nim na przykład w poniedziałek rano?
- Koniec tygodnia skłania mnie do refleksji nad sensem życia i zadawania się z takim typem jak ty. Zawsze przez ciebie pakuję się w kłopoty.

Zanim Tkaczyk zdążył się odciąć, podjechał tramwaj, przerywając im konwersację. Marciniak nie do końca żartował. Parę razy wyciągnął już Tkaczyka z opresji. Raz z objęć pijanej dziwki, która chciała zapłaty za rzekomo wykonaną usługę. Sam omal nie oberwał przy tym od jej „opiekuna”. Tkaczyk nie pamiętał, czy rzeczywiście było za co płacić, bo odrobinę za dużo wypił. Innym razem Michał stał się rozjemcą w sporze Tkacza z mężem, który twierdził, że Adam dobierał się do jego żony. Co prawda Marciniak był przekonany, że to ona dobierała się do niego, a sam Tkacz był zainteresowany kimś zupełnie innym, ale z taktycznego położenia męża-rozacza nie miało to najmniejszego znaczenia.

Tkacz był świetnym kolegą i doskonałym pilotem. Poza ostatnim wybrykiem w trakcie ich wspólnego lotu jego lotnicza kariera była pasmem sukcesów. Mistrz celności bombardowania, pilot roku, ulubieniec dowódców. Był typem kompana, z którym można znaleźć się w każdej, kłopotliwej sytuacji, co zresztą często miało miejsce. Uwielbiał bowiem hulaszczę życie i w takich chwilach stawał się nieprzewidywalny.

Poznań, dzielnica Rataje, godz. 20:55

Było jeszcze całkiem jasno, gdy dotarli na Rataje. Wysiedli na przystanku, jaki podpowiedziała im zapytana w tramwaju starsza kobieta. Mimo podobieństwa bloków szybko ustalili, gdzie właściwie się znajdują i dokąd powinni zmierzać.

- To chyba będzie ta „deska” – Tkaczyk wskazał olbrzymi, wysoki na 11 pięter i szeroki na 10 klatek schodowych blok. Ciągnął się na przestrzeni

niemal pół kilometra. Gdyby nie przejścia w nim, obchodzenie go zajęłoby chyba z kwadrans.

To jednak był nie ten blok. Okazało się, że muszą powędrować na drugi koniec osiedla, do identycznego budynku. Szli pomiędzy mniejszymi, czteropiętrowymi, zbudowanymi z wielkiej płyty, blokami. Odgłosy nocnego życia dobiegały z kilku z nich. Peerełowskie, mamucie osiedla były rajem dla nowoczesnych kamieniczników – żyjących z wynajmu właścicieli lokali, posiadaczy po kilku lub kilkunastu w mieście. Kupowali oni te relatywnie tanie mieszkania, by za ciężkie pieniądze dać je w użytkowanie studentom lub tym, którzy przyjechali do większych miast w poszukiwaniu pracy. Tacy lokatorzy z reguły nie zagrzewali tu miejsca, nie dbali więc o dobre relacje z sąsiadami. Najczęściej wyrwani ze swego środowiska, oddzieleni od rodziny i przyjaciół, po tygodniu harówki urządzali huczną imprezę, nie dbając o to, czy współlokatorzy za cienką ścianą mają ochotę na przymusowe uczestnictwo w balandze, czy nie. Żerowali przy tym na powszechnym zubożeniu i braku sąsiedzkiej solidarności. Marciniak znał podobne przypadki i od razu poczuł niechęć do tego miejsca.

Znaleźli klatkę, której adres podała im Dagmara. Zanim upewnili się i weszli, usłyszeli odgłos silników odrzutowych. Zza bloku wyskoczył niespodziewanie *Boeing 737*, oświetlony od spodu niczym choinka światłami do lądowania.

– Jesteśmy chyba na podejściu do Ławicy – ocenił Marciniak. Maszyna przeszła może na dwustu metrach, poszybowała w stronę centrum, świecąc światłami do lądowania i pozycyjnymi.

Wjechali windą na dziewiąte piętro. Znaleźli oznaczone zapisanym przez Tkacza numerem drzwi i zadzwonili. Otworzyła im Dagmara.

- O, witajcie! – ucieszyła się, wpuszczając ich do środka. – Już straciłam nadzieję, że się pojawicie. Późno i nie daliście znać.
- To przez niego – Tkacz wskazał Michała. – Do końca stawał opór.
- Zabierz te paluchy – oburzył się Marciniak. – Nie mogliśmy trafić. Z powietrza rozwalilibyśmy tę budę w drobny mak, ale na ziemi jesteśmy bezradni – wyjaśnił.

Dagmara spojrzała na niego, niepewna, czy mówi serio, czy żartuje.

Marciniak przyglądał się dziewczynie. Wyglądała oszołamiająco w krótkiej, prostej, czarnej sukience. Włosy miała rozpuszczone i puszyste – jak kilka dni temu w bazie, nim Lisowicz z Kamińskim nie urządzili jej prysznic. By nie być zbyt natarczywym, rozejrzał się po mieszkaniu i gościach.

Dalsza wizja lokalna nie dostarczyła Michałowi tak pozytywnych wrażeń. Mieszkanie było wprawdzie urządzone prosto, dość elegancko i w jasnych, ciepłych barwach, a z balkonu rozciągał się widok na zachód, na panoramę zapa-

dającego w noc miasta z jego kolorowymi światłami. Towarzystwo było zdecydowanie mniej ciekawe. Pokoje były zadymione. Większość obecnych, w większości studentów lub aspirujących *yuppies* tuż pod studiami, kopała papierosy. Mimo wczesnej pory kilka osób zdradzało objawy nadużycia trunków. Z trzech dziewczyn wyglądających w miarę sensownie jedna już była całkiem nieźle podchmielona. Kilku facetów nosiło dredy, brody i koszulki z pacyfami lub logo ekologicznej organizacji Greenearth. U jednego na *t-shircie* znalazła się podobizna Che Guevary. Marciniak uznał, że to stanowczo towarzystwo nie dla niego. Już żałował, że się w ogóle tu wybrał.

- Czy mój nos mnie myli, czy ktoś tu pali trawę? – spytał Tkaczyk.
- Może komuś się trafiło – machnęła ręką Dagmara.
- Możesz tu robić taką bibę? Sąsiedzi się nie wkurwią? – Marciniak pomyślał o policji wjeżdżającej z powodu zakłócenia ciszy nocnej i znajdującej trawę. No i oczywiście Tkaczyka i jego w tym lokalu.
- Jesteśmy tu tylko do dziesiątej. Nikt nie będzie miał pretensji. Potem przenosimy się do klubu, niedaleko, w pawilonie. Chodźcie, poznać ludzi.

Dagmara poprowadziła ich do pokoju. Zaczęła przedstawiać dziewczynom. Marciniak usiłował zapamiętać imiona, ale po chwili dał sobie spokój. Doszedł do wniosku, że i tak drogi jego i tych panien raczej ponownie się nie przetną. Brak zainteresowania – to było dominujące uczucie. Powiedział każdej kilka zdawkowych słów. Zaczął rozglądać się za czymś do picia.

- Widziałeś tu gdzieś piwo? – spytał Tkacza.
- Nie. Jak dzielimy się rolami? Ty pijesz, a ja bzykam? Możemy później się zamienić.
- Taki podział zupełnie mi odpowiada. Nie widzę tu niczego dla siebie.
- Poza gospodynią.
- Powiedzmy, że poza jej centrolewicowymi poglądami i snobowaniem w tym towarzystwie reszta da się zaakceptować.

Tkaczyk zaczął bajerować dziewczyny. Dagmara poniechała przedstawiania ich mężczyznom. Bezceremonialność i konkretne zainteresowania lotników chyba trochę ją odstraszyło.

Michał znalazł w tym czasie nienaruszoną puszkę piwa. Lech. Może być. Bezceremonialnie zabrał ją i otworzył. Zaprzagnął popatrzeć na panoramę miasta, która obok Dagmary, wydawała się jedynym jasnym punktem sytuacji. Ruszył na balkon. Tu przynajmniej powietrze było świeże i bez dymu. Kolejny plus.

Dagmara dołączyła ze szklanką.

- Widzę, że konkretni z was faceci – stwierdziła.
- Okropnie chce mi się pić, a piwo najlepiej gasi pragnienie – wyjaśnił Michał.
- A Adam nie jest spragniony?
- Jest spragniony, ale piwa w drugiej kolejności.
- Aha – puściła do niego oko. – A ty przyszedłeś kontemplować panoramę Poznania?
- Coś w tym guście. Nie lubię dymu.
- Coś takiego. A mi się wydawało, że wszyscy piloci palą.
- Doprawdy? Podobno walczysz ze stereotypami. Ograniczasz się tylko do stereotypów płci?

Roześmiała się.

- Złapałeś mnie – przyznała. – Naprawdę nie chcesz poznać ludzi?

Marciniak zastanawiał się chwilę, ile może jej powiedzieć.

- Obawiam się, że pasuję tu jak pięść do nosa. To nie mój krąg towarzyski. Nie moje poglądy polityczne. Nie moje ulubione zabawy. Na pierwszy rzut oka pasuje mi tylko piwo – ugryzł się w język. Za późno. Wyłapał jej urażone spojrzenie. Niechący powiedział jej niemal, co o niej myśli. Gorączkowo zastanawiał się, jak z tego wybrnąć. Nie da się, pomyślał. Przepraszając za *faux pas* nie zamierzał. Tak bywa. Trzeba brnąć dalej, na chama. – Dlaczego właściwie zadajesz się z takimi typami?
- Chodzi ci o pacyfistów lub ekologów? Co masz przeciw nim?
- Tak samo chcą narzucać swoją wizję świata innym ludziom, jak kiedyś komuniści. Nie uznają racji innych. Nie uznają własności. Chcą zniszczyć tradycyjne więzi społeczne i zastąpić je papką jedynie słusznych rozwiązań i recept. Niekoniecznie zgodnych z rzeczywistością.
- Mają prawo do wyrażania swoich poglądów.
- Oczywiście. Nie mówię, że nie mają. Mówię o treści ich poglądów i sposobach ich propagowania.
- Propagują je w sposób pokojowy...
- ... i nieznoszący sprzeciwu ani odmiennych poglądów. Zamordyzm narzucany brutalną siłą niewiele różni się od narzucanego subtelnie.
- Mylisz się. Sporo ludzi ich popiera.
- Może w twoim kręgu towarzyskim. Ogólnie wcale nie tak dużo. I nie popieraliby, gdyby wiedzieli, co się za tym kryje. Wszelkie lewicowe pomysły tak naprawdę obiecują lepszy świat i więcej wolności, tylko jak przyjdzie co do czego, to trzeba ludzi zmuszać siłą do życia w tej utopii.
- Czemu tak nie lubisz ludzi o lewicowych poglądach?

- Bo usiłują wszystkich uszczęśliwić na siłę i wbrew ich woli. Zazwyczaj budują lepszy świat, urządzając innym piekło – wyjaśnił Marciniak. – Przed wojną mój pradziadek miał posiadłość w Wielkopolsce. Zatrudniał kilkanaście osób. Nie byli bogaczami z pracy najemnej, ale jakoś godnie i uczciwie żyli. Po wojnie komuniści zabrali mu majątek. Zrobili z części PGR. Ludzie w kolchozie klepali biedę i nigdy się z niej nie wyrwali. Popadli w alkoholizm, zdegenerowali się. Ci wszyscy, którzy uniknęli PGR-u i mieli choćby małe działki, produkowali lepiej, taniej i więcej w przeliczeniu na hektar od kolchozów i jakoś żyli. A teraz nie są w stanie się sami utrzymać, bo po komunie została zbyt rozdrobniona własność ziemi, jak na wolny rynek. Komuna zniszczyła to, co było dobrego, pozostawiła spuściznę, z którą trudno cokolwiek sensownego zrobić.
- Twierdzisz, że ci, którzy dzisiaj chcą sprawiedliwości społecznej, są temu winni?
- Tak samo nie tolerują innych poglądów. Za moje poglądy odmienne od ichnich jedynie słusznych, zaraz nazwą mnie faszystą. Sami natomiast noszą koszulki z Che Guevarą, facetem, który z kałachem w ręku narzucał w Ameryce Łacińskiej komunizm. Podobno propagowanie ustroju totalitarnego jest w Polsce prawnie zabronione? Wyobrażasz obie, jaka chryja byłaby, gdyby ktoś wyszedł na ulicę z podobizną Mussoliniego czy Tojo na piersi? Policja, prasa, sądy, wyroki. Potępienie w kraju i za granicą. A z Che Guevarą można – a jakże. I nikt się nie oburza.

Dagmara spojrzała na niego z ukosa. Więcej było w tym podziwu niż przygany.

- Uparty jesteś.
- To żaden argument. W każdym razie niemerytoryczny.
- Nie. To stwierdzenie faktu – uśmiechnęła się. – Unii Europejskiej też pewnie nie popierasz?
- Popieram współpracę między państwami i narodami – powiedział Michał. – Mamy wspólne interesy. Powinniśmy handlować i podróżować. Jednak integracja w formie eurotraktatu idzie za daleko. Narzucanie ideologii już przerabialiśmy. Podobnie jak scentralizowaną władzę, której łatwo nadużywać.
- Nikt nikomu nie narzuca ideologii.
- Oficjalnie nie. Tolerujemy wszelkie poglądy, z wyjątkiem tych, które nie są właściwe.
- Ale z ciebie złośliwiec!
- Wiem, co mówię.

Dysputę przerwało wejście Tkacza obejmującego dwie panienki.

– A co tu robi Michał? – wykrzyknął i sam sobie odpowiedział: – Michał oczarowuje organizatorkę imprezy! – huknął.

Dziewczyny zachichotały. Dagmara uśmiechnęła się. Zanim Marciniak zdążył się odciąć, usłyszeli odgłos podchodzącego do lądowania odrzutowca. Nie widzieli go, ponieważ balkon był od strony zachodniej, a on nadlatywał ze wschodu, zza budynku.

– Spory ruch tu dzisiaj macie – zauważył Michał.

– To chyba ten sam. Lądował już kilkanaście razy, co kilka minut.

– Ćwiczy starty i lądowania – stwierdził Tkacz.

Odgłos odrzutowca potężniał z sekundy na sekundę. Marciniak zdał sobie sprawę, iż maszyna jest nisko. Nagle odgłos turbin zaczął szybko wznosić się coraz wyżej...

– Słyszysz to, co ja... – zaczął Tkaczyk.

– Cholera! – warknął Marciniak. Zadarł głowę do góry. Pilot odrzutowca musiał zwiększać ciąg. Czyżby...

Huk silników skoczył nagle, gdy maszyna wyskoczyła nagle znad bloku, przelatując nad nimi. 737 był cholernie nisko. Jego podświetlone skrzydła zajęły znaczną część nieba. Mógł przelecieć 30, może 50 metrów nad blokiem.

Marciniak wypuścił powietrze.

– Co się stało? – spytała brunetka spod lewego ramienia Tkaczyka.

– Słyszeliśmy, że nisko podchodzi. A potem nagle dodał gazu – powiedział Marciniak, a widząc pytające spojrzenie, dodał: – Myśleliśmy, że zawadzi o blok.

– To się nazywa z deszczu pod rynnę – stwierdził Tkaczyk.

– Dlaczego? – spytała znowu brunetka.

– Jesteśmy pilotami wojskowymi. Przyjechaliśmy tu prosto z lotniska – wyjaśnił Michał.

– To dlaczego mi powiedziałaś, że jesteś aktorem kabaretowym? – zwróciła się do Tkacza brunetka.

– Bo jesteśmy tu incognito, a to jest tajna misja. Ja mu rozkazałem, bo jestem jego dowódcą – odpowiedział Michał, a Tkaczowi opadła szczeka.

– Opowiesz mi o lataniu? Jakimi samolotami latacie? – brunetka zarzuciła Tkacza pytaniami.

– Zaraz ci wszystko opowiem, tylko się czegoś napiję, bo mi w gardle zaschło w tym upale – powiedział Tkacz, kierując obie dziewczyny w stronę drzwi balkonowych. Na odchodnym wysunął w stronę Marciniaka język,

tylko dlatego, że obie ręce miał już zajęte. Ten zrewanżował się wysuniętym środkowym palcem.

- Zawsze jesteście dla siebie tacy mili? – spytała Dagmara, gdy Tkaczyk już się oddalił.
- Tylko w sprawach prywatnych łączy nas szorstka przyjaźń. W powietrzu jesteśmy dobrymi kumplami.
- Zacząłeś mówić o Unii...
- Nie wracajmy do polityki. Mam po uszy tego bagna.

Punktualnie o 22:00 towarzystwo przeniosło się do pawilonu w pobliżu bloków. Lokal okazał się pomieszczeniem klubu osiedlowego chwilowo zaadoptowanym na prywatną imprezownię. Marciniak skończył saczyć jedno piwo i rozglądał się za następnym, gdy na środek sali wyszedł wyglądający na studenta, wysoki, ciemnowłosy chłopak w koszulce z Che Guevarą. Nosił brodę taką, jak jego idol, dlatego Marciniak nazwał go w myślach „Che”

- Proszę wszystkich o uwagę! – zawołał. Powtórzył wezwanie, a gdy towarzystwo nieco ucichło, kontynuował. – Przypominam wszystkim, że jutro o 14:00 na Półwiejskiej odbędzie się manifa pod hasłem „Poznań przeciw *F-16*”. Protestujemy przeciwko przestarzałemu amerykańskiemu złomowi, który lata nad naszymi głowami, zagrażając naszemu bezpieczeństwu i niszczy nasze środowisko naturalne...
- Ej, synku, wiesz, o czym mówisz, czy tylko ci się wydaje, że wiesz?!!! – ryknął swoim tubalnym głosem Tkaczyk. – Martwym ścierwem jest twój Che, a *F-16* to najnowocześniejszy samolot, o jakim słyszałeś, bo pewnie nie widziałeś go na oczy. A swoje brednie to możesz wciskać radykałom takim jak ty.
- E, a ty kto? Masz zaproszenie? – spytał zaczepnie młodzik w koszulce z Che.
- Jest pilotem wojskowym i ja go zaprosiłam – wkroczyła Dagmara. – Ma prawo mieć inne zdanie.
- Dagmara, od kiedy to zadajesz się z faszystami? – spytał kumpel Che, krępy, długowłosy blondyn w koszulce Greearth.
- A nie mówiłem? Kto ma inne poglądy ten faszysta – wtrącił Marciniak. Znalazł już piwo i dotarł do Tkacza w samą porę, by uchwyceniem za ramię powstrzymać go przed uruchomieniem pięści. – Synu, czy ty w ogóle wiesz, kto to faszysta? Czy tylko powtarzasz to, co i wbili do łba na praniu mózgu?

- A ty kto niby jesteś, że się wcinasz? – spytał Greeneearth.
 - Na razie twoim obrońcą, bo już byś dostał po ryju. Więcej szacunku dla innych. A o *F-16* wiem trochę więcej od was.
 - Powinniście przeprosić – wtrąciła Dagmara.
 - Jeszcze czego! – powiedział Greeneearth. – Przepraszać tych... szwajców.
- Dagmara spojrzała na niego z wyrzutem.
- Kiepsko to o was świadczy, tym bardziej, że rzeczywiście mijacie się z prawdą – powiedziała do Greeneeartha. Zwróciła się do Marciniaka: – Wspominałeś mi, że to są nowe samoloty.
 - Tak. Ten „złom”, jak go tutaj nazwali ci pacyfiści na niby, jest prosto z fabryki. Obejrzyjcie wewnątrz dysz wylotowych silników przylatujących maszyn. Wszystkie mają naturalny, żółty kolor. Gdyby maszyny były używane, wloty byłyby czarne, bo okopcone od dopalaczy.
- Grupka ludzi zaczęła się zbierać wokół Greeneeartha i Marciniaka. Zanosilo się na ciekawy pojedynek.
- Greeneearth został zepchnięty do defensywy.
- Co z tego, że są prosto z fabryki. To starość, ma trzydzieści lat – powiedział.
 - Może ty się nie zmieniłeś od urodzenia, ale ten samolot – tak – przyciął Marciniak. – Nowe silniki, nowa awionika, poprawione rozwiązania konstrukcyjne płatowca. Trzydzieści lat doświadczeń eksploatacyjnych też robi swoje – odpowiedział Marciniak. – *Gripen* czy *Eurofighter* też mają już po dwie dychy. *Eurofightera* oblatano w 1986. Egzemplarz kosztuje trzy razy więcej niż nasz *F-16*, a zdolności do atakowania celów naziemnych dopiero się w nim implementuje.
 - Nie potrzebujemy nikogo bombardować. Nawet nie musimy się bronić, bo sąsiedzi nam nie zagrażają – stwierdził Che, który odzyskał w tym czasie mowę. – Nie będziemy agresorami. Chcemy żyć w pokoju!
 - Pieprzenie w bambus. Czy z tego, że ty nikomu nie okradasz mieszkań, wynika, że swojego możesz nie zamykać na klucz? Dziwna logika. Wystarczy zresztą się rozejrzeć – armia rosyjska tylko w okręgu kaliningradzkim jest silniejsza od naszej.
 - Wystarczy, że się będziemy bronić.
 - Bronić w powietrzu to mogą się Szwecja, Szwajcaria czy Anglia, oddzielone od szerokim pasem morza lub gór – Marciniak cierpliwie korygował każdą brednię, jaką wygłaszali tamci, tym bardziej, że skupił się wokół niego krąg słuchaczy. – Mogą sobie czekać, aż przeciwnik przekroczy ten pas, a to oznacza kilka lub kilkanaście minut na przygotowanie obrony. Zasada

jest prosta – odległość sprzyja obrońcom, bliskość – atakującym. My leżymy w środku łądu, jesteśmy państwem granicznym NATO i Unii – ciągnął, widząc zainteresowanie na twarzach. Każdy z naszych potencjalnych przeciwników może zaatakować nas z baz w pobliżu granicy. Jeśli będziemy się bronić tylko w powietrzu, to wróg w końcu zbombarduje nam lotniska. A wtedy nie będzie jak bronić się w powietrzu. Poza tym łatwiej jest samolot wroga zniszczyć na ziemi, gdzie jest on bezbronny. W powietrzu jest to dużo trudniejsze i bardziej kosztowne – i w ludziach, i w sprzęcie.

- *Gripeny* były tańsze i lepsze – wtrącił tonem wyższości dwudziestoparolatek wyglądający na yuppie.
- A wiesz, geniuszu, że uzbrojenie do nich trzeba byłoby kupić od Amerykanów, oczywiście za osobną kwotę? – przejął pałeczkę od Marciniaka Tkaczyk. - Kiedy ogłaszaliśmy przetarg, *Gripen* nie miał łącza komputerowego *Link 16*. Nie mogliśmy współpracować z Natowskimi maszynami wczesnego ostrzegania, chyba, że po łączach głosowych, ale to mało efektywne. Nie po to kupowaliśmy nowoczesny myśliwiec, żeby nie mógł wymieniać danych o celach z AWACS-em. *Gripen* nie miał możliwości przenoszenia rakiet przeciwradarowych. Szwedom one nie były potrzebne – założyli, że nie będą atakować wyrzutni rakiet ziemia-powietrze – bo mogli się bronić za morzem.
- Przecież te rakiety można łatwo dołożyć – upierał się yuppie.
- Doprawdy? Próbowałeś? – zakpił Tkaczyk. – Może wziąć kilka śrubek i przykręcić prowizorycznie pod ogonem? Wiesz, o czym mówisz? Trzeba zaprojektować wszystko od mocowań w kadłubie, poprzez anteny, integrację z głównym komputerem pokładowym. Trzeba sprawdzić czy to działał czy nie zakłóca innych systemów łączności. To cała masa ciężkiej roboty inżynierskiej, testowania, przeróbek i kosztów. Czyli opóźnienie w dostawie albo modyfikowanie dostarczonych już maszyn, co oznacza wycofywanie ich z linii i dekompletowanie jednostek bojowych. Piękna perspektywa.
- Czemu uważacie, że *Gripen* to gorszy samolot? – spytała jedna z dziewczyn, wyglądająca dość trzeźwo.
- Gorszy to niewłaściwe słowo – skorygował Marciniak – Po prostu został zaprojektowany specjalnie dla Szwecji. Spójrzcie na pierwszą z brzegu mapę. *Gripen* był projektowany do obrony przed Związkiem Radzieckim. Atakując Szwecję od strony łądu, Armia Radziecka musi przejść Finlandię, a to daje Szwedom czas na przygotowanie obrony łądowej. Potem czerwonoarmiejcy atakują Szwecję na wąskim froncie, poprzecinanym lasami, je-

ziorami i rzekami, później jeszcze zwężony górami. Mają niewiele dróg wzdłuż kierunku ataku. Cholernie trudny temat, bo nawet liczebność nie daje im przewagi. Po prostu nie ma gdzie upchnąć tych wszystkich dywizji. To tak jakby stu ludzi szturmowało wąski korytarz wąski na jednego, broniony przez pięciu czy dziesięciu. Dla Związku Radzieckiego atak lotniczy i desant morski na Szwecję był właściwym rozwiązaniem tego problemu. O ile w ogóle by zaatakowali, bo zdobycie Szwecji niczego im nie dawało.

- Nadal nie widzę związku z *Gripenem* – upierał się Japiszon.
- *Gripen* został stworzony do obrony przed atakiem przez Bałtyk – rzekł Michał. – Związek Radziecki mógł wysłać samoloty z baz nad Bałtykiem, z państw bałtyckich lub choćby naszego Bagicza pod Kołobrzegiem. Lot do Szwecji trwałby 15-20 minut. To wystarczyłoby, by Szwedzi wykryli ich nad morzem samolotami wczesnego ostrzegania i poderwali w powietrze *Gripeny*. O zaskoczeniu nie mogło być mowy. Do tego Rosjanie mieliby mało paliwa do walki nad Szwecją, zwłaszcza gdyby lecieli na małej wysokości, by opóźnić wykrycie. Dlatego *Gripeny* nie potrzebują dużego zasięgu. Miały startować z baz do przechwycenia i lądować zaraz po walce.
- Dużo by nie działy – stwierdził Japiszon nieprzekonany.
- Mylisz się – odparł Marciniak. – Ze wsparciem rakiet ziemia-powietrze i rakiet okrętowych, ze wsparciem radarów naziemnych i wczesnego ostrzegania, wobec przeciwnika z małą ilością paliwa lub uzbrojenia, spowodowałyby znaczne straty. Choćby dlatego, że większość uszkodzonych maszyn radzieckich skończyłaby w Bałtyku. Szwedzi nie mieli powodu, by atakować radzieckie bazy. Gdyby wpadł im do głowy ten pomysł, to mieliby dokładnie te same problemy, co lotnictwo radzieckie atakujące Szwecję. Dlatego *Gripen* miał zwalczać samoloty i okręty, a nie radary i lotniska. I dlatego nasze 48 *F-16* ma udźwig bomb równy 63 *Gripenom* oraz broń przeciwradarową, pociski i bomby przeciw bunkrom, mostom i lotniskom. A także większy zasięg, by dyżurować w powietrzu i nie dać się zaskoczyć.
- To wszystko bujda, bo i tak nikt nam nie zagraża – Greearth trąbił swoje, wbrew argumentom lotników.
- Spytaj Niemców, po co kupują nowusienkich 180 *Eurofighterów*, z których każdy kosztuje tyle, co trzy nasze *F-16*? Skoro nam nikt nie zagraża, to im tym bardziej nie, prawda? Takie poczucie bezpieczeństwa często bywa złudne. Obie światowe wojny wybuchły wtedy, kiedy ludzie nie wierzyli w ich wybuch. Kiedy Chamberlain podpisał z Hitlerem traktat monachijski

oddający Niemcom część Sudetów, chętnie się, że uratował pokój dla swojego pokolenia. Rok później wybuchła wojna, która zabiła kilkadziesiąt milionów ludzi. Oto skutki pacyfizmu za wszelką cenę.

Greeneearth się zamknął.

- Ale po co nam taki drogi samolot? Mamy przecież *MiGi* – podjął dysputę japiszon.
- Mamy. Jednak jeden *F-16* jest wart więcej w walce powietrze-powietrze niż *MiG-29* i w atakach na ziemię więcej niż *Su-22*.
- Bzdury opowiadasz. *MiG-29* to najlepszy myśliwiec na świecie – odezwał się ten z Che na koszulce.
- Skąd ty pacyfista, możesz to wiedzieć? – spytał z przekąsem Tkaczyk.
- Spokojnie – zmytygował go Michał. – Latałem *MiGiem-29*. To świetna maszyna, ale w posiadanej przez nas wersji jest moralnie podstarzała. Na dużą odległość nie może mierzyć się z *F-16*. „Szesnastka” może odpalić z dużej odległości cztery pociski *AMRAAM* do czterech celów i nie musi cały czas podświetlać ich radarem, wystarczy, że od czasu do czasu uaktualni ich położenie i przekaże pociskom. *MiG-29* może wystrzelić jedną rakietę *R-27*, ale musi podświetlać cały czas cel radarem. Właściwie musi wystrzelić obie, bo z jedną *R-27* nie może ostro manewrować. Możliwości maszyn w walce na małą odległość na papierze są podobne – celownik nahałmowy i zwrotne pociski na podczerwień. Tyle że *R-73* to pocisk sprzed dwudziestu lat, a *AIM-9X* to całkiem nowa elektronika i rewelacyjna zwrotność. Poza tym *F-16* ma bardziej ergonomiczną kabinę. Pilot może prowadzić walkę bez zdejmowania rąk z drążka i przepustnicy, bez przejmowania się kątem natarcia, bo tego pilnuje komputer, bez patrzenia na tablicę przyrządów. „Szesnastka” ma lepszą widoczność z kabiny i pochylony pod kątem 30 stopni do tyłu fotel, co pozwala lepiej znosić przeciążenia. Niby drobne różnice, ale dają większe szanse pilotowi „szesnastki”. *Viper* ma większy zapas paliwa i większą długotrwałość lotu, może więc kontynuować walkę, kiedy *MiG* musi się wycofać. Wiadomo, kto w takiej sytuacji dostanie w tyłek rakietą.
- To jeszcze nic – podjął Tkacz, zauważywszy, że Marciniak przerwał. – W porównaniu z *Su-22* to jest dopiero różnica. „Szesnastka” przenosi kupę uzbrojenia kierowanego, w tym zasobniki szybujące *AGM-154*, którymi może atakować spoza zasięgu obrony przeciwlotniczej, nawet z ponad stu kilometrów. Tam, gdzie *Suki* by poległy, „eF” nie zostanie nawet ostrzelany.

- No dobra, ale skoro musieliśmy już kupować, powinniśmy nabyć produkt europejski – uparł się Japison. – Powinniśmy kupić *Eurofighter*.
- Za te pieniądze, które wydaliśmy na 48 *F-16*, mielibyśmy 16 sztuk piekielnie drogiego myśliwca, który może za jakiś czas może będzie mógł co nieco zbombardować. Na pewno nie byłby to tu i teraz samolot wielozadaniowy. Nie sądzę, żebyśmy byli w stanie taką liczbą obronić cokolwiek.
- Taką liczbą *F-16* też nie obronimy – zauważył Greenearth.
- Tu się z tobą zgadzam. Dobrze byłoby mieć ze 160 sztuk. Dobilibyśmy do średniego nasycenia tymi maszynami w Europie.
- Chcielibyście latać na *F-16*? – spytała Dagmara, próbując ich rozdzielić.
- Pewnie – przyznał Marciniak. – Oczywiście trudno się rozstać nawet z *Sukami*. Zawsze jest sentyment. To... jak rozstanie z dziewczyną. Wspominasz najlepsze chwile, ale wiesz, że to nieuniknione,
- I tak będziemy protestować – wrócił do swojej gadki Greenearth. – Dlaczego te samoloty stacjonują w mieście? Nie zgadzamy się na to.
- W USA, którego pewnie nienawidzisz, bazy lotnicze są na przedmieściach wielkich miast – rzekł Michał. – Miramar, czyli Top Gun, mieści się na przedmieściach San Diego. Nellis – Top Gun Sił Powietrznych USA – mieści się na obrzeżach Las Vegas. To centrum wielkich międzynarodowych ćwiczeń Red Flag i baza zespołu akrobacyjnego Thunderbirds, który lata niemal codziennie w sześciosamolotowym składzie. Pewnie niektórym to przeszkadza, ale dla większości jest to powód do dumy. Tylko my usiłujemy zgrywać pacyfistów za Europą Zachodnią.
- Nie będziemy naśladować Amerykanów... – zaczął Che, ale Marciniak przerwał mu w pół zdania:
- Skąd pochodzisz?
- Z Pleszewa.
- To nie mieszkasz koło bazy? Po cholere wcinasz się w nie swoje sprawy?
- Będziemy bronić praw obywateli...
- Posłuchaj mnie, człowieku! – przerwał mu ostro Marciniak, celując wyprostowanym palcem wskazującym między oczy. – To ja jestem od obrony tych obywateli i ich praw. Wiązę mnie przysięga, kontrakt i oficerskie słowo honoru. Nie ja podjąłem decyzję o lokalizacji bazy, ani też nie ja zamieszkałem świadomie w pobliżu lotniska wojskowego. Nie mam zamiaru przeproszać za to, że podjąłem się bronić Polski, w tym także twojego tyłka, nawet za cenę życia. Jeśli każą mi startować z Krzesin, wykonam ten rozkaz bez najmniejszych skrupułów. Kto chce, niech idzie się jutro wygłupiać na Półwiejską. My ślubowaliśmy bronić tego kraju i jego obywateli

za cenę własnego życia. Nie zamierzamy tego robić za pomocą białych flag ani pacyfistycznych hasełek. Mówię wam wszystkim – obrócił się od Che i podniósł głos, akcentując każde słowo. – Możecie łać na armię i protestować przeciwko *F-16*. Jak się nie szanuje własnego wojska, to trzeba będzie tolerować cudze.

Odszedł na bok, by odstawić butelkę z piwem. Tkacz poszedł za nim. Towarzystwo skupione wokół zażartej dysputy z wolna rozchodziło się po kątach. Emocje opadały. Nie u wszystkich jednakowo.

- Nieźle daliśmy popalić tym lewakom – stwierdził Tkacz. – To im da do myślenia.
- Jeśli wierzysz w to, że można fanatyków przekonać za pomocą kilku logicznych i spójnych argumentów, to znaczy, że masz już zdrowo w czubie. Nic ich nie nauczy rozumu. Może jednak niektóre z ich mentalnych ofiar trochę się zastanowią.
- Zdaje się, że popsuliśmy im humor. Zobacz, jak debatują.

Istotnie, czwórka klientów z wyraźnym rysem ideologicznym zebrała się i naradzała intensywnie.

- Ciekawe, czego chcą od Dagmary. Mają chyba do niej pretensje, że nas zaprosiła. – Marciniak przyglądał się pobitym na propagandowym polu lewicowym działaczom. Rozmawiali zawzięcie i zerkali w stronę lotników. – Nie podoba mi się to. Zalutuje tu trawą, a my popsuliśmy pranie mózgu tym pseudopacyfistom. Radzę zmyć się, gdy tylko oni pójdą. Mogą wyjść i podkablować imprezę glinom.
- Nie wygłupiaj się. Muszę jeszcze pomaglować te dwie cizie. Jeszcze kwadrans, to wskoczą mi do łóżka, a potem zaciągną się bezterminowo.
- Nie błaznuj. Nie mam ochoty spędzić reszty nocy w pudle. Coś mi się wydaje, że ci tam kombinują jak konie pod górkę, jak by nas upieprzyć.

Tkaczyk przyjrzał się czterem chłopakom. Patrzyli spode łba nad pilotów. Było w tym tyle kiepsko skrywanej wrogości, że nawet on się połapał.

- Chyba masz rację. Powinniśmy przewencyjnie sklepać im michę.
- Ani się waż. Oni tylko szukają pretekstu do jakiejś awantury. Co prawda rozłożyłbyś ich lewą ręką...
- Dawno nikogo nie wyprałem. Przydałoby się trochę potrenować.

Marciniak westchnął. Gdy Tkaczyk zwęszył bójkę albo łatwą dziewczynę, trudno było mu cokolwiek wyperswadować.

Tamci ruszyli do wyjścia. Marciniak odprowadził ich wzrokiem, a potem ruszył w stronę Dagmary. Tkacz ponownie zaatakował dwie laski, które usiłował zbałamucić przez większość pobytu.

- Twoi kumple już uciekają? – spytał dziewczynę Michał.
- Mają sporo pracy z zorganizowaniem tej manify. Chcą jutro rano wstać.
- A nie mieli początkowo zostać do końca?

Dagmara spojrzała na niego zdziwiona.

- Domyślny jesteś. Rzeczywiście, mieli taki zamiar.
- Nagle zaczęło im się spieszyć, co? Ciekawe – powiedział Marciniak. – Nie zdziwiłbym się, gdyby nastali na tę imprezę policję. Nic by tak dobrze nie zrobiło ich sprawie, jak dwóch lotników pijanych i w lokalu ze środkami odurzającymi, prawda?
- Przesadzasz. Masz paranoję na punkcie tych ludzi.
- Chcesz się założyć? Zmyj się na jakąś godzinę. Zaczekaj i zobacz, co się wydarzy.
- Nie mam zamiaru tracić zabawy. Wobec wszystkich jesteś taki podejrzliwy?
- Nie. Tylko wobec tych, którzy mówią o wolności, a sami chcą innym założyć kaganiec.
- Naprawdę masz obsesję – stwierdziła. – Miałam cię za normalnego faceta, ale zacznam zmieniać zdanie.

Takie postawienie sprawy rozsierdziło Marciniaka. Wszystkie żale do kobiet z powodu Agnieszki i irytacja na działania radykałów nagle dały znać o sobie.

- Jeśli kryterium normalności jest dla ciebie palenie marihuany i noszenie koszulki z ryjem Che Guevary, to ja nie chcę być normalny – rzekł twardo.
- Wystarczy tego dobrego. Zmywamy się. Cześć.

Marciniak odwrócił się i nie czekając na odpowiedź. Ruszył w stronę Tkaczynka, dopijając piwo. Odstawił butelkę, poczekał, aż Adam wklepie do komórki telefony dziewczyn, po czym poklepał go po plecach.

- No bracie, najwyższy czas opuścić ten las – powiedział.
- Zwariowałeś? – zapytał Tkacz. – Nie ma jeszcze jedenastej. Nie po to tłukłem się taki kawał, żeby posiedzieć dwie godziny i nic z tego....
- Trzeba opuścić ten burdel, zanim zrobi się jakaś zadyma – przerwał mu Marciniak.
- Wyluzuj, czarnowidzu. Wieczór się dopiero zaczął.
- I nie mam zamiaru skończyć go w mamrze. Ci kretyni właśnie wyszli niezgodnie ze wcześniejszym planem – powiedział Marciniak. Spojrzał na Tkacza, który musiał jeszcze to przetrwać. – No chodź do cholery! – rzucił. – Wolisz zaliczyć jakiś porządny lokal, czy doczekać rana w cywilnej pace?

Tkacz chrząknął. Miał ogromną ochotę zobaczyć, co wyniknie z nowo zawartych znajomości, ale w końcu kumpel to kumpel.

- Masz rację – orzekł w końcu. – Coś tu śmierdzi. Zresztą nie puszcę cię samego. Najwyżej napijemy się czegoś porządnego w jakimś dobrym lokalu i powspominamy stare dobre czasy.

Marciniak poczekał, aż Tkacz pożegna się z Dagmarą i nawciska jej kitów na temat powodów ich nieoczekiwanej rejterady. Widział, jak dziewczyna otwiera szeroko oczy i unosi brwi. Zapewne miał w jej oczach ogromny wpływ na takiego rozrabiakę jak Tkacz. No tak, Marciniak, agresywny pilot, niepoprawna politycznie bestia i do tego cichy manipulator. Piękny obraz.

Tkacz podszedł do drzwi. Opuścili hałaśliwy klub i wyszli na ciemne aleje betonowego osiedla. Chłodny wiatr orzeźwił ich, a Marciniak poczuł ulgę, że się wyrwał z tej imprezy.

Szli ciemną, ciasną alejką między blokami. Oświetlały ją tylko słabe latarnie, w dodatku często skrywane się w koronach drzew i otoczone krzakami. Nagle na chodnik wychynęły z zarośli cztery postacie, zastawiając całą jej szerokość. Marciniak pomyślał w pierwszej chwili o blockersach. Zaraz jednak rozpoznał charakterystyczne sylwetki. Byli to czterej „pacyfiści”, którzy dopiero co opuścili imprezę. Jeden trzymał w ręku telefon. Na pewno nie czekali tu na towarzyską pogawędkę. Awantura wisiała w powietrzu.

- Psiakrew – zaklął cicho.
- Aż się proszą o mordobicie – stwierdził Tkacz, również cicho, przynajmniej jak na niego. Szli powoli w kierunku linii tamtych. – Gdy się zacznie wał pierwszy i się nie zastanawiaj.
- Wiem, co robić, do licha – powiedział Marciniak. Nie wyobrażał sobie, by on, szkolony do walki pilot, wycofał się z takiej konfrontacji. Musieliby spieprzać w podskokach, a to by było przekomiczne i poniżające zarazem. Zawodowi żołnierze, oficerowie uciekający przed pacyfistami. Dzień, w którym do tego by doszło, byłby kresem Rzeczypospolitej, pomyślał Marciniak. Nie bał się bójk. Miał przy sobie Tkacza, a na jego umiejętności i wolę walki można było w takich sytuacjach liczyć. – Damy radę.

Szli twardo, ale tamci zajmowali całą szerokość alejki – i nie zamierzali ustąpić. W końcu Tkacz stanął pierś w pierś z Greearthem i zaczął spychać go z drogi.

- Zejdziecie nam z drogi z własnej woli, czy wolicie szukać zębów na trawniku? – spytał wreszcie Tkacz.

- Tylko w gębie jesteście mocni – odpyskował Che. – Mordercy!
- Faszyzm nie przejdzie! – zawtórował mu Greenearth, stawiając opór Tkaczowi.

Marciniak doszedł do wniosku, że trzeba działać.

- Może jestem niepostępowy, ale mam poważny uraz na punkcie nazywania mnie bandytą – oświadczył. – Zwłaszcza przez bandę komuchów.
- I co mi zrobisz, faszysto? – spytał Che i wyciągnął ręce w kierunku Marciniaka.

Przeliczył się jednak. Marciniak uprzedził zamiar tamtego chwycenia go za kołnierz. Błyskawicznym ruchem chwycił Che za uszy i wyprowadził cios z byka. Poczul uderzenie w głowę, usłyszał trzask łamanych kości. Tkacz mignął mu po prawej. Nie czekał na zaproszenie. Gwałtownym ruchem odepchnął zastawiającego mu drogę Greeneartha, który miał spóźniony refleks i próbował powrócić na poprzednią pozycję. Tkacz wyprowadził szybki prosty, trafiając nadchodzącego idealnie w podbródek. Greenearth padł na głębę znokautowany.

Che trzymał się jeszcze na nogach, przyciskając ręce do twarzy, gdy Marciniak z całej siły kopnął go w krocze. Przeciwnik zgiał się wpół i potoczył na ziemię. Wtedy trzeci bojówkarz objął Michała od tyłu, przyciskając mu ręce do tułowia.

Marciniak przysiadł, nie pozwalając, by napastnik uniósł go w powietrze. Prawą ręką chwycił spodnie przeciwnika na udach. W trakcie krótkiej szamotaniwy zahaczył stopą prawą nogę tamtego. Rzucił się w tył, uderzając jednocześnie głową. Uderzenie w potylicę nieco go oszołomiło. Obaj padli na chodnik. Marciniak przygniótł napastnika własnym ciężarem. Uderzenie zamroczyło przeciwnika i zapało mu dech. Chłopak puścił Marciniaka, który przetoczył się przewrotem w tył po głowie i twarzy napastnika. Przykucnął u głowy leżącego i dwoma silnymi uderzeniami w szczękę zakończył walkę. Chłopak nie przejawiał już ochoty do wstawania.

Michał wyprostował się i ruszył na odsiecz Tkaczowi. Prawdę mówiąc, Tkacz wcale nie potrzebował pomocy. Mimo znacznej dawki alkoholu, jaką wlał w siebie w ciągu ostatnich dwóch godzin, na zimno punktował ostatniego czynnego przeciwnika precyzyjnymi, szybkimi ciosami. Po jednym z nich chłopak zatoczył się i wpadł prosto w objęcia Marciniaka. Michał złapał go za ramiona i walnął sierpem w szczękę. Trafiony poleciał w stronę Tkacza, który już bez żadnych ceregieli wstawił mu potężny cios w szczękę. Pacyfista padł jak kłoda.

Obaj lotnicy dyszeli ciężko. Walka była krótka, intensywna, ale zwycięska. Czterech aktywistów lewicy leżało – dwóch bez przytomności, dwóch zawodziło z bólu.

- Jesteś cały? – zapytał Marciniak, czując, że rosną mu na głowie guzy od uderzeń i dokucza wykręcony przy upadku prawy nadgarstek.
- Tak i świetnie się bawię. To był piękny nokaut. Czyściutki. Szkoda, że to już koniec – odezwał się Tkaczyk.
- Na szczęście. Zmiatajmy stąd, zanim ktoś wezwie gliny.

Ruszyli w stronę najbliższego skweru. Po drodze przyspieszyli kroku. Marciniak zastanawiał się, jak się z tego wykaraskać. Miał nadzieję, że nie było świadków. Na to, że tamci nie zawiadomią glin, specjalnie nie liczył. Pytanie, czy zdołają ustalić ich tożsamość. Psiakrew, Tkacz wygadał się przed tamtymi, kim jesteście – przypomniał sobie.

- Cholera, to się nazywa wieczór pełen atrakcji – powiedział Tkaczyk z satysfakcją. – Tylko z ciziami nie wyszło.
- Zamknij się i chodź – skarcił go Michał. – Założę się, że wezwali wcześniej gliny na imprezę. Oddalmy się, nim przyjadą.
- To po cholere czekali na nas? – zapytał Tkacz, który bił się świetnie po kilku piwach, ale niezbyt pewnie myślał.
- Chcieli zobaczyć, czy nas zgarną, a potem daliby cynk prasie. Nie sądzili, że wyjdziemy tuż za nimi. Musieli improwizować, ale trochę im nie wyszło.
- Trochę? Dostali po pyskach, że się do końca tygodnia nie pozbierają. Chyba nici z tej zadymy jutro.
- Jutrem się nie przejmuj. Musimy się stąd zmyć, zanim gliny pojawią się na imprezie.
- Myślisz, że powiedzą im o bójkę? Przecież sami nas napadli.
- Gdzie ty się do cholery uchowałeś? – Marciniak był zdziwiony brakiem bystrości Tkacza. – Myślisz, że wyśpiewają prawdę jak na spowiedzi? Widziałeś kiedyś fanatyka z sumieniem? Ja nie. Fakty są takie: ich czterech, a nas dwóch. Ich słowo przeciw naszemu. A poza tym ta bijatyka to woda na ich pacyfistyczny młyn.
- Przecież to oczywiste, że we dwóch ich nie napadliśmy.
- Dla ciebie i dla mnie. Glinom i prasie powiedzą, że było nas sześciu. A poza tym to przecież pacyfiści. Kto nam uwierzy, że próbowali użyć siły? Tkacz nie odpowiedział. Marciniak rozglądał się gorączkowo.
- Może zadzwonimy po taksówkę? – zaproponował Tkacz.
- Może od razu zadzwonimy po gliniarzy, żeby podrzucili nas na dworzec?! – zaperzył się Marciniak. – Jak myślisz, z czyją pomocą gliny będą nas szukać, kogo pytać w pierwszej kolejności? Od razu widać, że za dużo wypiliśmy.

Zobaczył w pobliżu skwer z przystankiem tramwajowym. Tu chyba wysiadali.

– Chodźmy – powiedział do Tkacza. – Pojedziemy nocnym tramwajem, drugim wagonem. Motorniczy nas nie zobaczy. Dojedziemy na Garbary, podejmiemy na stację i tam wsiądziemy w pierwszy lepszy pociąg, najlepiej do Gniezna lub Wrześni.

– Dobra, to jest myśl! – orzekł Tkacz.

Ruszyli w stronę przystanku. Marciniak zauważył w pobliżu tunel przejścia pod ulicą i pociągnął tam Tkaczyka.

Czekali kilkanaście minut, ale żaden tramwaj nie nadjeżdżał. Ni stąd, ni zowąd, Tkacz poczuł skutki imprezy. Zapaskudził tunel, puszczając obfitego pawia.

– No pięknie! – rzekł Michał – Nie dość, że kryjemy się tu jak osły, to jeszcze zarzygałeś kryjówkę – stwierdził, a widząc, że Tkacz niespecjalnie reaguje, dodał: – Jesteś w stanie uciekać o własnych siłach czy będę musiał cię holować?

Mimo paskudnego samopoczucia, Tkacz parsknął śmiechem.

– Marciniak, nawet w kłopotach jest z tobą zabawnie. Z tobą choćby do piekła – stwierdził.

– Lepiej nie. I tak już się wpakowaliśmy w kabałę.

Niedaleko przemknął radiowóz na sygnale. Marciniak spojrzął zaniepokojony na Tkaczyka. Nagle zadzwoniła jego komórka. Wyjął ją i spojrzął na wyświetlacz. Czerwiński. Odebrał.

– Cześć Przem – powiedział zdziwiony.

– Gdzie jesteście?! – Czerwiński nawet się nie przywitał.

– W przejściu podziemnym przy dużym przystanku tramwajowym, na skwerze na Ratajach... – Marciniak chciał wyjaśniać, ale Przem przerwał mu w pół zdania:

– Podejdźcie na górę, do drogi. Zaraz po was przyjadę.

Rozłączył się. Marciniak spojrzął na Tkaczyka.

– Przem jedzie po nas – wyjaśnił.

– Że co? Tak bez niczego?

– Na to wygląda.

– Dziwne.

– Rzeczywiście dziwne, ale najważniejsze, że wywiezie nas stąd bez niepotrzebnych świadków.

Wydostali się z tunelu po stronie przeciwnej do skweru z przystankiem i zaczęli przy głównej drodze, na trawniku. Marciniak miał nadzieję, że nikt ich nie będzie tu szukał, przynajmniej na razie.

Czekali dobrych kilkanaście minut i Marciniak zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Przemka, gdy od strony Malty, na przeciwnym paśmie, podjechał niezbyt szybko niewielki, granatowy Citroen. Kierowca zatrzymał się na wysokości tunelu, choć w tym miejscu obowiązywał zakaz postoju. Uchylił drzwi, a w zapalonym wewnętrznym świetle Michał rozpoznał Czerwińskiego.

Wyskoczyli na drogę, przebiegli ją obaj pochyleni i wskoczyli do samochodu – Marciniak na przednie siedzenie, Tkaczyk do tyłu. Czerwiński spojrzął na nich krytycznie.

- Dobrze, że kompletnie nie zwracaliście na siebie uwagi, wsiadając niezwykle dyskretnie – rzekł z przekąsem. – Co to za podchody? Wystarczy, że ja zachowuję się jak kretyn, zatrzymując się w środku nocy na pustej ulicy pod zakazem, ale wy pobiliście rekord głupoty. Pół osiedla musiało was widzieć, jak przemykaliście niczym złodzieje.
- Skąd się tu wzięłeś? – spytał Marciniak, ignorując odzywki swojego „elektronicznego”. Czerwiński, nim odpowiedział, ruszył z kopyta.
- Dostałem cynk od kumpla z żandarmerii, że jacyś wojskowi spuścili łomot kilku lewakom na Ratajach. Z miejsca skojarzyłem to z wami. Obaj lubicie kłopoty. Dobrze kombinujecie?

Mimo zawartej w głosie Czerwińskiego nagany, Marciniak pobłogosławił w duchu jego bystrość umysłu.

- Niestety – przyznał.
- Czemu ten kumpel dał ci cynk? – spytał z tylnego siedzenia Tkaczyk. Wjechali ślimakiem na trasę katowicką.
- Bo umoczyliście mundury w niezłą rozróbę. To aktywiści planujący manifestację antywojenną. Szukają rozgłosu. Agitowali w „Codziennej” od tygodnia dzień w dzień, jak sama nazwa wskazuje. Macie jak w banku, że szmatławiec będzie miał artykuł na „jedynekę”. Rozpęta się awantura jak sto diabłów. Nawet naszym glinom to nie smak, nie chcieli złapać was od razu.
- Kurwa! – wyrwało się Tkaczowi.
- Nie za późno te przekleństwa? – zapytał złośliwie Marciniak.
- A ty co? Nie było cię tam? – wtrącił Czerwiński. – Obaj wrzuciliście bombę lotniczą w wielkie szambo.

Zapadło milczenie.

- Nie mamy szans się wywinąć, skoro nakablowali już glinom – podjął Marciniak. – Mają kupę świadków, którzy nas rozpoznają.
- I jeszcze opowiedzą się za nimi – dodał Tkaczyk.

- To, że przygazowaliście, też pracuje na wasze konto – zauważył Czerwiński.
- Czyli mamy przejebane – podsumował Marciniak.
- Trzymajcie gęby na kłódkę. Nikomu z wojska nie zależy na laniu im wody na młyn. To oni będą musieli ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że to wasza robota, a nie na przykład blokerosów. Sami przecież na nich nie napadliście.
- Nie – odrzekł Marciniak. – Ale wdaliśmy się z nimi w dysputę na imprezie na temat *F-16*.
- Jesteście głaby – stwierdził Czerwiński. – Ale wasza głupota może też trochę was podratować w nieszczęściu. Te pacany znają wasze gęby, lecz przez wasze opowieści skojarzą was z Krzesinami, tym bardziej, że to głównie im chcą dowalić. Gliny pognają tam w pierwszej kolejności i nie znajdą tam nikogo. To da wam trochę czasu i podważy nieco wiarygodność oskarżeń. Na mój kiepski ogląd macie jakieś szanse się wywinąć. Nie liczyłbym jednak na zbyt wiele.

Marciniak był pod wrażeniem. Nie posądzał Przemasa o taki zmysł taktyczny i taką zdolność szybkiego zorientowania się w sytuacji.

- A ty masz szanse umoczyć razem z nami – rzekł.
- Masz świętą rację. I właśnie zastanawiam się, po jaką cholere się w to pakuję – stwierdził Czerwiński. – I po co wam to było?
- Ja się tam nie pchałem. Uprzedzałem, że to się tak skończy – stwierdził Marciniak.
- I wykrakałeś, Kasandro – uzupełnił Tkacz. – Trzeba było nie...
- Zamknijcie się obaj, dobrze?! – przerwał im Czerwiński. – Jeśli was posadzą, będziecie mogli zastanawiać się do woli, kto jest bardziej zasłużony dla sprawy.

Tkacz i Marciniak zamilkli. Przez chwilę obserwowali migające za szybami uliczne latarnie, dopóki nie zastąpiły ich ciemniejące pobocza.

- Dokąd jedziemy? – spytał w końcu Tkacz.
- A jak myślisz? Do Powidza, chociaż okrężną drogą. Tam gliny nie mają wstępu.
- Dopadną nas żandarmi.
- Jutro żandarmi będą przetrząsać Poznań. Do tego czasu może wyjdą jakieś korzystne okoliczności łagodzące. Znacie może jakąś?
- Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Tak myślałem, geniusze – stwierdził Czerwiński. -. Chociaż nie jestem lepszy od was. Z przyjemnością też bym im natrzaskał. Stuknęliście ich chociaż porządnie?
- Jak odchodziliśmy, żaden nie stał na nogach.
- Przynajmniej jak was posadzą, to będziecie wiedzieli za co. Mnie mogą zamknąć co najwyżej za zacieranie śladów.
- Zabrałeś nas, bo puściliśmy całą forszę na alkohol i dziwki i poprosiliśmy cię o zabranie nas z miasta – rzekł Marciniak. – Nie sypniemy cię. Od teraz morda w kubek.

Poznań, dzielnica Rataje, godz. 23:25

Wbrew temu, co powiedziała Marciniakowi, Dagmara wymigała się błahostką z uczestnictwa w imprezie. Pozostawiła rozbawione towarzystwo w lokalu i wróciła do mieszkania. Usunęła wszelkie ślady pozostałe po obecności licznych osób, wywietrzyła starannie pokoje i kuchnię. Zaczęła też sprzątać. Policyjny radiowóz przemknął na sygnale. Przez moment myślała, że Michał miał rację, ale wóz zniknął gdzieś między blokami.

Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, dlaczego Marciniak ją fascynuje. Był inny niż stereotyp pilota wojskowego, twarziela z Top Gun, dla którego liczy się tylko latanie, w przerwach między lotami liczą się natomiast wino, kobiety i śpiew. Miał poglądy radykalnie odmienne od jej, ale potrafił ich bronić – i to w rozsądny sposób. Jego argumentacja przemawiała do niej. Jego nonkonformizm był na swój sposób atrakcyjny. I to, że był skromny. Nie puszył się jak pozostali piloci. Mimo tak wyjątkowej pracy – wymagającej końskiego zdrowia, wiedzy równej doktoratowi z inżynierii czy aerodynamiki, zręczności cyrkowca i siły ducha mistrza olimpijskiego – potrafił na ziemi pozostać zwykłym człowiekiem.

Jednak miał paranoję. Jak mógł podejrzewać tych miłych chłopaków z ruchów antyfaszystowskich, ekologicznych i pacyfistycznych o jakieś nieczne zamiary? Oni walczą o swoje szczytne ideały ze skostniałym, nietolerancyjnym społeczeństwem. A że czasem pojechali po bandzie? Cóż, bywa to niezbędne, jeśli chce się coś zmienić. Nie bardzo wierzyła w ostrzeżenia Marciniaka. Wyszła, żeby się przewietrzyć i pomyśleć trochę na trzeźwo. Tak przynajmniej myślała.

Wyszła z mieszkania i zjechała windą na dół. Poszła powoli w stronę pawilonów. Nie obawiała się grup blokerek stojących pod klatkami. Blokery nie zaczepiali swoich. Mieszkając tu od dawna, większość z nich znała doskonale.

Do pawilonu zostały jej może dwie minuty drogi, kiedy przemknęły obok dwa samochody osobowe upakowane ludźmi. Tuż za nimi mknęła policyjna „suka”, też upakowana na maksa. Na jej oczach pojazdy zatrzymały się przed pawilonem. Ich pasażerowie wyskoczyli, rozbiegli się i otoczyli budynek. Niektóre z postaci wykonywały gesty typowe dla ludzi poruszających się z bronią.

Grupka kilku osób podeszła do drzwi pomieszczenia i wkroczyła do środka.

Weekend od początku zapowiadał się w Poznaniu gorąco, i to bynajmniej nie ze względu na typowe dla tego miasta wysokie temperatury. Zapowiedziana manifestacja na Półwiejskiej spędzała sen z oczu nie tylko oddziałowi prewencji, ale i dochodzeniowo-śledczemu Policji. Komisarz Zbigniew Nawrocki był pewien, że z powodu demonstracji będzie miał znowu więcej roboty. Bójka i oskarżenia o napaść z jednej i drugiej strony były w takich wypadkach normą. Nie mówiąc już o tym, że może skończyć się powybijanymi szybami w witrynach sklepowych na Półwiejskiej. Z całych tych politycznych zadym najbardziej poszkodowani wychodzili kupcy, którzy obrywali od jednych i od drugich, nie będąc w ogóle zaangażowanymi. Tych było mu naprawdę żal, bo polityczni aktywiści po obu stronach byli, jego zdaniem, po prostu siebie warci. Powiedział o tym po południu koleżance z wydziału, Emilii Sobczak.

- Ciekawe, czemu im tak zależy na tej Półwiejskiej. Nie mogą tej demonstracji zrobić na Kaponierze? – zdziwiła się Emila. Była typową policjantką – wyższą niż przeciętna kobieta, masywniejszą, o twarzy niezbyt zwracających uwagę za to o długich włosach w mysim kolorze, które czasami lubiła podfarbować na ciemną miedź.
- Móc to pewnie by i mogli, tylko ta garstka krzykaczy by tam mizernie wyglądała – stwierdził Nawrocki. – Poza tym prewencji byłoby stosunkowo łatwo odizolować ich od prawicy. A tak na Półwiejskiej jedni i drudzy są w zasięgu cegłówki. Wymarzona okazja do pokazania, jak to u nas biją ekologów czy pacyfistów.
- Racja – przytaknęła Emila. – Jak jeszcze któryś wkurwiony sklepikarz wyskoczy z pretensjami, to będzie kolejny powód do wrzasku na cały świat, jacy to my, Polacy, jesteśmy.

Sprawa była nieciekawa, tym bardziej, że zazwyczaj lewa strona oskarżała policję o bierność, a prawa – o stronnictwo. W napiętej sytuacji po odrzuceniu

przez Sejm eurotraktatu łatwo było się na czymś wyłożyć i zakończyć przedwcześnie policyjną karierę. Nawrocki był przygotowany na to, że sobota będzie ciężkim dniem i przygotowywał się do niej psychicznie. Cyrk zaczął się jednak znacznie wcześniej, jeszcze w piątek wieczorem.

Na godzinę przed północą anonimowy rozmówca poinformował, że w lokalu na Ratajach odbywa się impreza z prochami. Jest tam kilka osób z biznesu, mediów i trochę studentów. Zwiertżywszy grubszą sprawę, Nawrocki zebrał ekipę. Ledwie ruszyli, dyspozytor poinformował ich, że w pobliżu lokalu, na jaki właśnie organizował nalot, doszło do bijatyki. Jest czterech poszkodowanych. Mają zająć się tą sprawą, gdy tylko skończą obławę.

Nawrocki zaklął. Zapowiadała się pracowita noc.

Dagmara przystanęła i z daleka obserwowała przebieg wydarzeń. Upłynęła dłuższa chwila, nim z lokalu zaczęli wychodzić ludzie. Przyjrząwszy się im uważniej, stwierdziła, że niektóre osoby wyprowadzane są przez policjantów skute kajdankami. Zauważyła, że wokół lokalu zrobiło się zbiegowisko. Wmieszła się w grupkę gapiów.

Rozejrzała się. Lokal został już chyba opróżniony i „suka” zabrała aresztowanych. Policyjna ekipa przetrząsała wnętrze. Gliniarz w cywilu dowodzący akcją rozmawiał przez radiotelefon. Obok niego kręciła się kobieta, również w cywilnym ubraniu.

Z pobliskiego skweru wyszli kolejni mundurowi i kilku cywilów. Gdy znaleźli się w świetle okolicznych latarni, dowodzący policjant opuścił ze zdziwienia rękę z radiem. Dagmarze opadła szczęka.

Czterech organizatorów sobotniej manify wyglądało żałośnie. Nawrocki rozpoznał ich od razu. Widział ich w lokalnej telewizji, choć byli wtedy w znacznie lepszej formie. Ktoś im naprawdę zdrowo dołożył. Tylko łebek w koszulce Greenearth zachował w miarę niezmienny wygląd, jeśli nie liczyć ogromnego krwiaka po lewej stronie podbródka. Nawrocki wprawionym w tego typu sytuacjach okiem ocenił, że musiał zostać wyeliminowany celnym strzałem w pierwszym ataku i nie brał już dalszego udziału w bójce. Greenearth włókł się, słaniając na nogach. Pozostali wyglądali nie lepiej, by nie rzec – znacznie gorzej. Koleś z podobizną Che Guevary miał złamany nos. Szedł niezgrabnym, szerokim krokiem, trzymając się za zakrwawioną twarz i bełkocząc coś niewyraźnie.

- Nie dość, że złamali mu nos, to jeszcze skopali po jajach – skomentowała po cichu Emila.
- Tamci dwaj będą wyglądali jak misie panda – równie cicho ocenił stan pozostałych dwóch pobitych komisarz. – Chyba jutro nie poprowadzą tej demonstracji.
- To ci, co się pchają na Półwiejską? Jesteś pewien? – zapytała Emila – Ale jaja...
- Wyglądają na takich, co biorą udział w każdej imprezie antycośtam – zbyt wyjaśnienia Nawrocki. – No dobra. Wystarczy już tego komentowania. Kto panów tak urządził? – zwrócił się głośno do pobitych.
- Żołnierze – odpowiedział bełkotliwie ten w koszulce z Greenearth.
- Jacy żołnierze?
- Lotnicy. Cholerni piloci...
- Ilu ich było?
- Czterech... pięciu... nie pamiętam...
- Zabierzemy was do lekarza. Będziecie w stanie zeznawać?
- Tak... wszystko powiem... cholerni żołnierze... pieprzeni faszyci...
- Licz się ze słowami! – warknął na Greenearth'a jeden z posterunkowych. Odzywała się solidarność służb mundurowych.
- Spokojnie – rzekł do obu Nawrocki. Miał wątpliwości co do tych żołnierzy. Te cztery oferny prawdopodobnie włączyły się po Ratajach nocą i dostały po mordzie od miejscowych. A teraz chcą z tego zrobić sprawę polityczną. „Niedoczekanie” pomyślał.
- Weźcie ich na izbę przyjęć, opatrzcie i podrzućcie na komendę, jeśli lekarz zezwoli. Chodźmy się rozejrzeć – rzucił do Emilii. – Prowadźcie na miejsce.

Ruszyli na miejsce zdarzenia. Nawrocki niemal deptał po piętach posterunkowemu.

- Idealne miejsce na zasadzkę – stwierdził, gdy mundurowy wskazał miejsce bójki. – Przepytajcie okolicznych mieszkańców, czy czegoś nie słyszeli.
- Dziwne – powiedziała Emila – Ciasno tutaj. Ilu blockersów musiałyby siedzieć w tych krzakach, żeby pobić czterech ludzi? Zresztą rzadko się zdarza, by napadli jakąś większą grupę. – Nawet nie wspomniała o żołnierzach.
- Widocznie tym razem nie trzymali się regulaminu ani swojego kodeksu honorowego – stwierdził Nawrocki i wyciągnął rękę po krótkofalówkę posterunkowego. – Ok. Cztery zero dwa do jeden jeden. Szukamy w związku

z bójką na Ratajach żołnierzy: lotników lub żołnierzy Sił Powietrznych, a także większych grup blockersów – od sześciu w górę. Niech okoliczne patrole meldują o wszelkich takich grupach w okolicy.

- Jeśli chodzi o te grupy blockersów, to będziesz musiał zamknąć z pół osiedla – odezwała się Emilia, gdy stanowisko dowodzenia potwierdziło odbiór.
- Wierzysz w to, co mówisz?
- Nie, ale na razie wiemy tyle, ile wiemy.
- Panie komisarzu! – odezwał się jeden z mundurowych przeszukujących miejsce zdarzenia. Stał na trawniku w pobliżu kępy krzaków – Proszę tu podejść.

Nawrocki i Emilia podeszli do posterunkowego.

- Komórka – powiedział tamten i wskazał na ziemię.

Nawrocki wyjął z kieszeni foliową torbę. Przez nią ostrożnie chwycił leżący w trawie telefon komórkowy, wywrócił torbę na drugą stronę i zamknął telefon w torbie.

- Dostarczcie go do laboratorium – polecił.

Dagmara wróciła do mieszkania kompletnie oszołomiona. Marciniak okazał się przewidujący. Policja dostała cynk o narkotykach na imprezie – tak przynajmniej mówili gapie. Większość z jej kolegów i koleżanek wyprowadzono w kajdankach. Wiedziała, co im grozi. Wyroki – pewnie w zawieszeniu stygmat kryminalisty, człowieka karanego. O mały włos jej również nie wyprowadzono w kajdankach. To byłby koniec jej kariery dziennikarskiej.

Z drugiej strony Marciniak i Tkaczyk pobili tych chłopaków. Czy aby na pewno oni? Czy można było wierzyć pobitym? Napuścili policję na jej imprezę. Wyszli przecież wcześniej niż lotnicy. Podobno się spieszyli. Wcześniej planowali zostać. W takim razie jak Adam i Michał znaleźli ich we dwóch, dogonili i pobili? No i było ich dwóch, a nie pięciu. Za dużo tego wszystkiego. Jak to rozwikłać, do cholery?

Marciniak i Tkaczyk byli w opałach, ale i ona mogła mieć kłopoty. Impreza zaczęła się u niej. Może nikt jej nie sypnie. Jednak powinna trzymać się od obu tych spraw jak najdalej. Nic nie widziała, nic nie słyszała, nic nie wie. Tak będzie najlepiej.

Komisariat Policji Poznań-Nowe Miasto

31 maja, godzina 1:30

Nawrocki siedział naprzeciw młodzika w koszulce z Che Guevarą. Z boku Emila przyglądała się i przysłuchiwała. Nie spieszył się z wypisywaniem protokołu. Tamten aż palił się, żeby opowiedzieć mu o tym, jak zostali napadnięci. Komisarz, wytrawny dochodzeniowiec z kilkunastoletnim stażem, wiedział, jak przesłuchiwać świadków, szczególnie takich, co, do których roli w zajściu miał wątpliwości. A wątpliwości miał coraz więcej.

Dwóch poprzednich poszkodowanych twierdziło, że napadło ich pięciu lub sześciu mężczyzn, i że byli to lotnicy. Skąd wiedzieli, że są to lotnicy? Każdy miał inną odpowiedź: jeden, że byli umundurowani, drugi, że słyszał, jak mówili, że bicie pacyfistów jest lepsze od latania na *F-16*. Z sześciu napastników zrobiło się pięciu albo siedmiu, ale potrafili spójnie opisać dwóch. Co zaskakujące to opis ten był szczegółowy, jak na fakt, że bijatyka odbyła się w nocy i podobno zostali zaskoczeni.

Nawrocki celowo zwlekał. Zastanawiał się jeszcze nad taktyką przesłuchania. Poza tym im bardziej ten młodzieniec będzie zniecierpliwiony, tym łatwiej powie coś, co naprowadzi Nawrockiego na trop prawdziwego przebiegu zdarzeń. Bo tego, że ich wersja mija się z prawdą, nikt Nawrockiemu nie musiał mówić. On to już wiedział. Potrzebował mocnego dowodu.

- Więc mówi pan, że napadło was pięciu? – rozpoczął
- Pięciu albo sześciu. Nie widziałem dokładnie. Czekali tam na nas, cholerni żołnierze.
- Lotnicy, tak?
- Lotnicy...
- Na ścieżce?
- No. Wyszli z krzaków.
- I tak bez niczego was zaatakowali?
- No nie. Krzyczeli, że jesteśmy tchórze, zdrajcy i komuniści. A potem nas pobili.

Nawrocki nie zadał kolejnego pytania, bo ktoś zapukał w drzwi do pokoju przesłuchań. Wstał, otworzył je i ujrzał Stacha Starzaka, aspiranta. Starzak gestem pokazał, że mają z Emilą wyjść na korytarz. Odeszli kawałek, bo pod opieką dwóch posterunkowych siedziało i czekało na przesłuchanie trzech pozostałych poszkodowanych.

- Dzwonili z laboratorium w sprawie tego telefonu – oznajmił Starzak. – Telefon na kartę, *prepaid*, więc właściciela nie można ustalić. Zdjęli odc-

ski, ale AFIS nie skojarzył ich z niczym w bazie, więc nikt notowany w ostatnich kilkunastu latach raczej go nie tykał.

- No to dupa – stwierdził Nawrocki.
- Niezupełnie. Sprawdziliśmy numer tego telefonu. Jest lepsza heca, bo dzwoniło z niego do nas dzisiaj. Zgadnijcie, w jakiej sprawie?
- Powiesz nam, czy mam to z ciebie wydusić? – Nawrockiego pomału ogarniała senność i nie miał ochoty na quizy.
- Z tego telefonu dali nam cynk o tej imprezie na Ratajach.
- O w mordę! – Nawrocki aż drgnął i od razu wstąpiły w niego siły. – Czyli te dwie sprawy jednak się łączą.
- Jednak?
- Takie miałem wrażenie. To coś już mamy.
- Spieszcie się. Dzwonili już z „Codziennej” i pytali o tę bijatykę.
- Kiedyś utłukę tęym narzędziem naszego rzecznika prasowego.
- Zarzeka się, że to nie jego robota. Któryś z naszych pokrzywdzonych musi mieć bliskie kontakty z prasą.
- Oczywiście zrobią z tego sprawę polityczną.
- To już jest sprawa polityczna. Skoro wie o niej „Codzienna”, jutro będą gadały wszystkie media.
- Kurwa mać!

Starzak odszedł. Nawrocki z Emilą zastanawiali się, co jest grane.

- Tu zaszło coś na tej imprezie. To nie porachunki gangów narkotykowych, bo mielibyśmy nieboszczyków – głośno myślał Nawrocki.
- Ci czterej to aktywiści polityczni. Założę się, że sami nie odmawiają prochów, ale na pewno nimi nie handlują. To by ich skompromitowało.
- Zapytam się skąd szli, a ty dowiedz się wszystkiego o przebiegu i uczestnikach tamtej imprezy.

Emila odeszła podpytać drugi zespół przesłuchujący. Nawrocki poszedł po kawę. Gdy wrócił z napojem, Emila czekała już pod pokojem.

- Wyciągnęli coś od nich? – zapytał.
- Jak zwykle nic. Nikogo innego nie było, oni sami wpadli tylko na chwilę i oczywiście przypadkiem. O niczym nie wiedzą. Prochów bezpośrednio u nikogo nie znaleziono, jedynie trochę trawy. Nie będzie z tego zarzutów, nie ma kogo jak przycisnąć.
- Ok, wchodzimy i przyciskamy tego z Che.

Weszli.

- Przepraszam za zwłokę. Mamy dziś pracowitą noc – powiedział do tamtego Nawrocki. – Ok, opowiadajcie dalej. Szliście do nocnego tramwaju, dobrze się domyślam?
- Tak, do tramwaju, tam za tunelem.
- Skąd szliście?
- Co takiego?
- Skąd szliście? Co robiliście na Ratajach?
- Panie, co to pana obchodzi. Szliśmy, i już.
- Obchodzi, bo może ktoś was widział i śledził od początku. Muszę to wiedzieć.
- No dobra, panie. Skoro pan musi wiedzieć. Byliśmy u kolegi.
- Gdzie?
- Na osiedlu Orła Białego.

Nawrocki zanotował na protokole.

- Przeczytaj i podpisz.

Tamten przeczytał, wzruszył ramionami i podpisał.

- Podrzucimy cię radiowozem do domu.
- Muszę zostać z kolegami.
- Masz złamany nos, miałaś krwotok, przeżyłeś szok. Zemdlejesz mi tu, a ja wylecę za to ze służby. Jedziesz do domu.
- Poskarżę się pana przełożonym.
- Proszę bardzo. Komisariat to nie poczekalnia ani nie szpital. Przyznają mi rację. – Nawrocki sięgnął po telefon i skinął na Emilę. Ta wyprowadziła Che z pokoju. Nawrocki wydał dyspozycje swoim ludziom. Począł, aż Emila wróci.
- Starzak pojechał za nimi? – zapytał.
- Tak, razem z Kaczmarkiem. Mają go na oku, mogą go w każdej chwili zgarnąć.
- Powinniśmy go zgarnąć za tego Che na koszulce. Tylko jutro mielibyśmy tu na karku całą sforę. Dawaj ostatniego.

Następny był Greenerth. Nawrocki przepytął go w sprawie bójki. Mówił z grubsza to samo, co Che, tyle tylko, że nie pamiętał dalszego przebiegu. Twierdził, że dostał w rzyj na samym wstępie i film mu się urwał. Tu akurat Nawrocki skłonny był mu wierzyć.

- Czyli szliście do tramwaju, kiedy was napadli? – spytał w końcu.
- Tak.
- A skąd szliście?

Greenerth zrobił zdziwioną minę. Nie spodziewał się tego pytania.

- Jak to skąd?
- Co robiliście na Ratajach?
- A nie mogliśmy tam być?
- Nie mówię, że nie mogliście. Pytam, bo mogli was śledzić wcześniej.

Greeneearth zastanowił się, nim odpowiedział.

- Byliśmy na zakupach w centrum handlowym.
- No tak, możliwe, że tam już ktoś was przyuważył – powiedział bez zmruczenia oka Nawrocki, choć o 23:00 żadne centrum handlowe nie było już czynne. – Wróćmy jeszcze na chwile do bójki. Jak byli ubrani napastnicy?
- Jeden, taki szczupły, czarny, był w dżinsach, niebieskiej koszuli i kurtce. Drugi, ten duży blondyn, miał biały *t-shirt* i był w takich luźnych, jasnych spodniach.
- To skąd wiecie, że to byli żołnierze?!

Greeneearth spojrział na niego zaskoczony. Upłynęło w ciszy kilka sekund, nim odzyskał mowę.

- Ja coś takiego powiedziałem?
- Tak, jeszcze na Ratajach. Twój kumpel twierdził to tutaj, w pokoju. Mam jego podpisane zeznanie.
- Nic takiego nie mówiłem
- Owszem, mówiłeś. Powiedziałeś też, że byliście na zakupach. A twój koleś z wizerunkiem Guevary twierdził, że byliście u kolegi.
- Bo byliśmy, tylko później.
- Na którym osiedlu?
- Na Lecha.
- On twierdził, że na Orła Białego.
- Kłamiesz pan.
- To ty kłamiesz synu. A za to są już paragrafy o składaniu fałszywych zeznań, za co jako świadek możesz trafić na kilka lat do pudła. A być może o fałszywe oskarżenia.
- Nie groź mi pan.
- To mów prawdę. Gdzie byliście?
- Nie pański interes.
- Może i mój. Okaze się. Więc gdzie byliście? Na imprezie w pawilonie?

Greeneearth podniósł wzrok znad stołu i spojrział na Nawrockiego z przerażeniem. Nawrocki był już pewien, że się nie myli.

- Powiem ci synu, co o tym myślę – improwizował. – Byliście na tej imprezie. Poznaliście tam żołnierzy na przepustce. – Nawrocki zauważył, że Greeneearth wpatruje się w niego tępo. – Poczuliście trochę trawy i pomy-

śleliście, jak dobrze byłoby zrobić w coś wojskowych przed tymi waszymi jutrzejszymi występami. Wyszliście i daliście nam cynk o prochach. Więc zrobiliśmy nalot, zgarnęliśmy kilkanaście radośnie podchmielonych imprezowiczów, ale wśród nich nie było ani jednego żołnierza. Żołnierze wyszli, zanim my się zjawiliśmy. Spotkali się z wami i skleпали wam michy. A może – uśmiechnął się – może to wyście na nich napadli...?!

Greenearth odzyskał nagle mowę.

– Ty faszystowska świni! – wrzasnął. Zerwał się z krzesła, odepchnął usiłującą go zatrzymać Emilę i wypadł na korytarz.

Nawrocki, Emila i dwaj mundurowi rzucili się w pościg za Greearthem, ale stracili na początku wystarczająco wiele, by pościg był beznadziejny. Greeartha powinny zatrzymać otwierane na zamek magnetyczny z dyżurki drzwi wejściowe. Miał jednak szczęście. Przez drzwi przechodził właśnie zmęczony funkcjonariusz, na korytarzu panował harmider i stukot butów policjantów z prewencji, którzy zgarnęli grupę blokistów pod starym paragrafem nielegalnych zgromadzeń. Tupot nóg Greeartha zniknął gdzieś w tym hałasie. Dyżurny w wartowni pochylił się nad papierami, gdy chłopak wpadł na wychodzącego policjanta, powalając go na lastrykową posadzkę, minął dyżurkę i dopadł do drzwi. Popchnięty przez niego gliniarz momentalnie oprzytomniał, podniósł się i rzucił w pościg. Nawrocki i Emilia wypadli tuż za nim w ciemność nocy. Nawet nie krzyknął, bo nie chciał strażaków i przypadkowych ofiar. Dobiegając do wyjścia, zobaczył tylko zdziwioną minę dyżurnego.

Wszystko na nic. Greearth rozpląnął się w ciemnościach.

- Wszystko w porządku, panie komisarzu? – zapytał policjant z dyżurki, wybiegłszy za nimi przed komendę.
- A tak – odrzekł zasapany Nawrocki. – Tylko przesłuchiwany wybrał się na jogging.
- Ogłosić alarm?
- Nie trzeba. To świadek, spanikował – Nawrocki usiłował spacyfikować gorliwego dyżurnego. – Wracajcie do siebie.
- Ładna mi panika – burknął coś aspirant i wrócił na posterunek.
- Ale miałeś nosa! – stwierdziła Emila, gdy mundurowy się oddalił. – Ładnie zapieprzał. Nie spodziewałabym się tego po pobitym. Taka ucieczka. Myślałby kto, że to zawodowiec.
- Miał kupę szczęścia – wtrącił pechowiec powalony przez Greearthem w drzwiach. – Gdybym go usłyszał, to on by leżał, nie ja.
„Kiepska wymówka” pomyślał Nawrocki. Inspektor dobierze im się im wszystkim do tyłków za ten incydent.

- Znieważenie i napaść na funkcjonariusza na służbie, podejrzenie o składanie fałszywych zeznań, być może napaść i próba pobicia – powiedział głośno. – Ale mamy paszтет. Niech Starzak z Kaczmarkiem zgarną tamtego. Robi się nieciekawie.

Miał grubszą sprawę. Wiedział, że scenariusz, jaki przedstawił Greearthowi, musiał w wielu elementach zgadzać się z tym, co naprawdę zaszło. Tyle że śledztwo utknie. Impreza z trawą. Kupa ludzi. Cynk na policję. Bójka, sześciu uczestników, czterech podobno poszkodowanych, a teraz być może napastników. Zapewne jedno ma związek z drugim. Mnóstwo potencjalnych świadków i zmowa milczenia. I ani jednego postronnego widza.

Powidz, baza lotnicza, godz. 8:30

Marciniaka obudził huk startującego *Su-22*. Ocknął się i przez moment zastanawiał się, gdzie jest.

Czerwiński podrzucił jego i Tkaczyka do bazy. Noc spędzili już na jej terenie. Tu nie mogły ich sięgnąć zwykłe gliny, co najwyżej żandarmeria.

Pozbierał się jakoś do kupy i poczłapał na lotnisko. Tam poszedł do kantyny. Nie miał kaca, co najwyżej moralnego.

Kupił bułkę z serem, herbatę i gazetę. Nie było dobrze. Tak jak przypuszczał Czerwiński, ich poznańska bójka znalazła się na pierwszej stronie sobotniej prasy. Lewacy poskarżyli dziennikarzom, że zostali pobici przez wojskowych. Na wyciszenie sprawy nie było szans. Marciniak zastanawiał się, jakie są szanse, że nie uda się ustalić tożsamości jego i Tkacza. Oceniał, że raczej się nie wywiną. Żandarmeria i prokurator rozszarpią ich dla przykładu na strzępy, przy współudziale mediów. Tak czy inaczej karierę diabli wzięli. Będzie dobrze, jeśli nie trafi do pudła. Na to trzeba będzie sprzyjających okoliczności. Przydałby się jakiś cud.

Marciniak kupił kolejną bułkę i zastanawiał się, co dalej. Potem dokupił kawę. Nie przyszedł mu do głowy żaden sensowny pomysł. Tak doczekał do dziewiątej. W pustej kantynie usłyszał radiowy serwis informacyjny. Pobici oskarżyli policję o stronniczość i chęć zatuszowania sprawy. Rzecznik poznańskiej policji stwierdził, że poszkodowani składali sprzeczne zeznania, w związku z czym pojawiły się podejrzenia, iż chcą zataić prawdziwy przebieg zdarzenia. To była pomyślna okoliczność, ale dalsze wieści okazały się przygnębiające. Radio huczało od komentarzy zagranicznych. W Europie wymyślano niestworzone teorie – o tym, jakoby wojsko chciało zakłócić demonstrację, ponie-

waż zagrażała ona bazującym w Krzesinach *F-16*. Inna teoria mówiła o „odradzającym się w Polsce faszyzmie”. Marciniak nie był w stanie słuchać tych bzdur.

Do kantyny wpadł „Mulder” Lisowicz.

- Marciniak, Łysoń cię szuka.
- Poruczniku Marciniak, pułkownik Nowaczyk pana szuka – sprostował Marciniak cierpliwie. – Kiedy ty się nauczysz szacunku dla kolegów i przełożonych?

Lisowicz uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze – rzekł. – A tak nawiasem mówiąc, kto powiedział pułkownikowi o zwodowaniu dziennikarki? Uziemił mnie na weekend.
- I dobrze zrobił. Jak będziesz grzeczny i ładnie poprosisz, to ci powiem.
- Już to widzę.

Marciniak wyszedł i ruszył w kierunku gabinetu pułkownika. Skąd stary wiedział, że on jest na terenie jednostki? Nagłe zainteresowanie wielkiego wodza Marciniakiem w czasie teoretycznie dla niego wolnym od służby nie wróżyło niczego dobrego. Czyżby żandarmi lub policja już tu dotarli?

Łysoń już na niego czekał. Żandarmów i prokuratora wojskowego jeszcze nie było. Pułkownik był sam.

- Siadaj – polecił. – Tak czułem, że odpieprzycie z Tkaczykiem jakiś pasztet. Pobiliście... to właściwe słowo... otóż pobiliście wszelkie rekordy.
- O czym pan pułkownik mówi?
- Nie zgrywaj mi tu pajaca, Marciniak – warknął Łysoń. – Jesteście na pierwszych stronach gazet. Mógłbym uwierzyć, że ty wracasz po czterech godzinach z imprezy do własnej chaty, ale prędzej uwierzę w to, że latające spodki są przyszłością zbiorowego żywienia, niż w to, że Tkaczyk urwał się z biby przed świtem i z własnej woli wrócił do bazy. Krótko i szczerze: macie z tym coś wspólnego?

Marciniak znał prostą zasadę: do niczego się nie przyznawać.

- Nie, panie pułkowniku.
- Jesteś tego pewien?
- Tak jest, panie pułkowniku.
- To na pewno nie wy?
- To nie my, panie pułkowniku.
- Jeśli to wy, to nie chciałbym być w waszej skórce.

Marciniak nie odpowiedział. Łysoń patrzył na niego spode łba. Nie uwierzył w ani jedno słowo zaprzeczenia, ale nie mógł nic zrobić. Nie miał oficjalnego

zawiadomienia ani dowodów, ani przyznania się do winy, jedynie własne przypuszczenia. A to było stanowczo za mało.

- Ktokolwiek to zrobił, narobił niezłego bigosu – stwierdził w końcu. – Wszystkie media, krajowe i zagraniczne, o niczym innym nie gadają. Te biedne sukinkoty, jeśli wpadną, to mają przegwizdane. Żaden adwokacina ich z tego nie wyciągnie.

Łysoń zrobił dramatyczną pauzę.

- Po południu może tu przyjechać żandarmeria. Na razie nasi dzielni stróże porządku przewracają do góry nogami Krzesiny. Gdyby ktoś chciał uzemieć nasze *F-16*, już wie, że wystarczy kilku przebierańców w mundurach lotniczych i kilku pobitych paru pacyfistów, a nasza własna żandarmeria sparaliżuje bazę.

Marciniak milczał.

- Tymczasem wracasz na weekend do służby. Nie chcę żadnych niespodzianek – dodał pułkownik. – Wskakuj w mundur wyjściowy. Lecimy do Warszawy na gry wojenne i odprawę dowódców.

Porucznik zrobił zdziwioną minę.

- Twój scenariusz został przeznaczony do rozegrania. Nie jesteś ciekaw, dlaczego? – spytał. – Nieważne, i tak dowiesz się po południu. Zasuway się przebierać. Chcę cię tu widzieć odpicowanego za kwadrans.

Gdy Marciniak wyszedł, Nowaczyk zastanawiał się chwilę, a potem sięgnął po telefon. Doszedł do wniosku, iż prędzej czy później cała sprawa zwali mu się na głowę. Lepiej uprzedzić górę. Połączył się z Dowództwem Sił Powietrznych i zażądał rozmowy ze Zdaneckim. Dyżurny przekierował go na komórkę generała.

W krótkich, żołnierskich słowach Nowaczyk przedstawił sytuację i swoje wnioski: obaj porucznicy byli w Poznaniu, wrócili podejrzenie wcześniej, prosto do jednostki, nie pojechali w tamtą stronę samochodem, a więc ktoś ich przywiózł. Prawdopodobnie brali więc udział w bójce, o której mówiła już cała Polska i pół Europy, ale do tego się nie przyznają.

Zdanecki cierpliwie wysłuchał wynurzeń pułkownika.

- Masz jakiś namacalny dowód, że brali udział w bijatyce? – zapytał, gdy Nowaczyk zakończył swoje wywody.
- Nie.
- Masz jakiegoś świadka ich udziału w bójce?
- Nie.
- Zgłosiła się do ciebie żandarmeria? Policja? Ktoś ich rozpoznał? Przysłali portret pamięciowy?

- Nie, ale...
- Waldek, czego ode mnie oczekujesz? Żeby na podstawie wątpliwych przesłanek, które mogą być wynikiem zbiegu okoliczności, wydać dwóch dobrych pilotów prokuratorowi i mediom na pożarcie? Do diabła, to są nasi chłopcy!
- Marciniak to zły duch. Trzymają się go niefortunne wydarzenia i osoby. Ta dziennikarka, która ściągnęła ich do Poznania, to jego znajoma. Może zabrałbyś go w jakieś miejsce, gdzie nie nabroi?

Łysoń czekał chwilę na odpowiedź generała. Zdawało mu się, że Zdanecki ciężko westchnął.

- Niech pan posłucha, pułkowniku – zmiana tonu generała na oficjalny nie wróżyła niczego dobrego. – Wiem, że nie kochacie się z Marciniakiem nawet miłością platoniczną, ale guzik mnie to obchodzi. Nosicie ten sam mundur, te same odznaki i tego samego orła na czapce. Jeśli jeszcze raz usłyszę, że urządzacie sobie wendettę w podległej mi jednostce, to obaj wylądujecie na dupach w najbardziej zapyziałej bazie zaopatrzeniowej, a samoloty będziecie oglądali jedynie na zdjęciach. Czy to jasne?
- Tak jest, panie generale! – odpowiedział Łysoń. Usłyszał w słuchawce sygnał. Generał rozłączył się. Czuł się, jakby ktoś mu przyłożył. Wiedział, że Zdaneckiego niełatwo wkurzyć. Jeśli jednak generał postanowi zrobić porządek, zrobi to definitywnie.

Po chwili jednak uświadomił sobie, iż dowódca Sił Powietrznych podjął ryzykowną grę. Gdyby okazało się, że Marciniak i Tkaczyk rzeczywiście wdali się w tę awanturę, prasa mogła wymusić nawet jego dymisję. Oczywiście wymuszając przy okazji dymisję wszystkich w łańcuchu dowodzenia, z Nowaczykiem włącznie.

Wyglądało na to, że wszyscy tkwili w tym gównie po uszy.

Warszawa, dowództwo Sił Powietrznych godz. 13:30

Nowaczyk, Marciniak i Tkaczyk przylecieli śmigłowcem *Mi-2*, nazywanym popularnie z racji kształtu „kijanką” lub „plemnikiem”, na Okęcie. Stąd pojechali do Dowództwa samochodem, który przysłał po nich Zdanecki.

Generała zastali w sali odpraw. Kilku dowódców eskadr było tu z notebookami. Oni również uczestniczyli w grze wojennej. Teraz trwała przerwa.

Zdanecki przywitał się z nimi. Ogarnął Marciniaka długim, przenikliwym spojrzeniem. Przez chwilę Michał zastanawiał się, czy Łysoń wspomniał gene-

rałowi o przedpołudniowej rozmowie, i czy Zdanecki podejrzewa go o udział w bójce. Generał zaczął rozmowę na zupełnie inny temat.

- Przygotował pan ciekawy scenariusz gry wojennej. Prawdę mówiąc, nawet nasi sztabowcy nie musieli wiele poprawiać, choć bardzo chcieli, bo utarł im pan nosa. Rozegraliśmy już trzy gry na podstawie pańskiego pomysłu.
- Dziękuję, panie generale – odpowiedział zaskoczony Marciniak. – Mogę spytać, z jakim skutkiem?
- No cóż, rezultaty naszej strony trudno uznać za zachęcające – stwierdził generał. – Próbowaliśmy już trzykrotnie przełamać pańską blokadę, zarówno grając przeciw komputerowi, jak i przeciw dowódcom lotnictwa i marynarki. Za każdym razem dostaliśmy łomot.

Poznań, ulica Półwiejska godz. 14:05

Kordony oddziałów prewencji szczelnie izolowały uczestników manifestacji i kontrmanifestacji, tych pierwszych ściśniętych w handlowym deptaku Półwiejskiej, tych drugich przepychających się Kwiatową. Policji udało się odizolować deptak na jego najdłuższym zamkniętym odcinku, gwarantując bezpieczeństwo uczestnikom demonstracji. Kwiatowa stanowiła jedyne zagrożenie.

Po jednej stronie gromada młodzieży poubieranych w jaskrawe łachy, po drugiej ekipa nosząca białe-czerwone transparenty z orłem lub bez. Ogolone głowy, dzinsy i wysokie buty, niekiedy naciągnięte na twarz chusty. Obie strony wznosiły okrzyki. Pacyfiści krzyczeli „Hop hop, wojnie stop!”, ich przeciwnicy: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”. Grupa gapiów przyglądała się temu cyrkowi.

Nawrocki nie miał najmniejszej wątpliwości, kto będzie ukazany w mediach jako dobra, kto jako zła strona. Nie miał na to najmniejszego wpływu. Kilka ekip telewizyjnych filmowało wydarzenia.

– Nie za dużo tych filmowców? – spytał Starzaka. Obserwowali wydarzenie jako cywile, gotowi wyłapać po manifestacji co bardziej agresywnych uczestników.

– Nie mają chyba nic lepszego do roboty. To nie jest wydarzenie znacznej rangi. Tym się jednak nie martwię.

– Tylko się dziwię...

– Wiem. Popatrz lepiej tam – wskazał kontrmanifestację na Kwiatowej. – Skąd ich się tyłu wzięło?

– Rzeczywiście, kto by pomyślał, że jest ich aż tylu...
– Ich tylu nie ma – stwierdził autorytatywnie Starzak, który zajmował się rozpracowywaniem formalnych i nieformalnych grup. – Na każdego nacjonalistę w tym kraju przypada dziesięciu lewaków, dwie dziesiąte organizacji antyfaszystowskich i ze sto napisów „faszyzm nie przejdzie”. Musieli skądś ściągnąć posiłki.

Nawrocki przyglądał się grupie. Po chwili już wiedział. Charakterystyczne kaptury i kilka kibicowskich szalików wyjaśniło wszystko.

– Niedobrze – rzekł. – Ściągnął tu cały legion zawodowych zadymiarzy. Daj znać Jaroszowi co się święci – powiedział, mając na myśli dowódcę kompanii prewencji. – To może się kiepsko skończyć.

Czoło pacyfistycznej demonstracji dotarło właśnie na wysokość Kwiatowej. Z obu stron leciały teraz wrogie okrzyki i wyzwiska. Trzydziestu policjantów prewencji oddziało obie strony na odległość dwudziestu metrów. Wysoki rząd tarcz izolował skutecznie obie strony, także przed ciskaniem czegokolwiek z jednej grupy do drugiej. Okazało się to jednak niewystarczające.

Komisarz patrzył właśnie na ściśniętych w bocznej uliczce narodowców, gdy jego uwagę przykuło nagle poruszenie w jednej z kamienic. Dwie zamaskowane postacie wychyły z okna... Nawrocki wyciągnął z kieszeni ukryty dotąd nadajnik.

– Jarosz, uważajcie! U góry!

Obie postacie wyciągnęły obszerne, foliowe worki z wodą i z wysokości trzeciego piętra zrzuciły w grupę narodowców. Huk pękającej folii przebił się przez okrzyki manifestantów. Narodowcy, zadymiarze i kibice zamilkli skonsternowani, nie bardzo wiedząc, co się stało. Szybko jednak zrobili użytek z widoku kilku zmoczonych od stóp do głów postaci.

Ulica Kwiatowa wybuchnęła wrzaskiem. Tłum błyskawicznie odsunął lub przewrócił barierki ochronne. Naprzeciw siebie stał pluton policjantów i rosnąca w siłę i agresję grupa narodowców i zadymiarzy. Ci ostatni, pozbawieni jakichkolwiek odruchów solidarności, wypchnęli lub wykopnęli stojących w pierwszym rzędzie prosto pod policyjne pałki. Z jednej i drugiej strony poleciały ciosy.

Drugi pluton prewencji ruszył na odsiecz odciętem przez obie strony manifestacji kolegom z Półwiejskiej, spychając pacyfistów wstecz. Chcieli nie dopuścić do zwania obu stron i nie pozwolić manifestacji odciąć pierwszy pluton. Pacyfiści stanęli na ich drodze. Policjanci musieli użyć siły, a wtedy bitwa z pacyfistami rozpoczęła się na dobre. Ekipy telewizyjne filmowały to wszystko.

Nawrocki obserwował ze zgrozą rozwój wypadków. Minutę po zrzuconiu dwóch worków z wodą dwa plutony prewencji tłukły się z manifestantami w niekorzystnej sytuacji, a Jarosz miał tylko jeden pluton w odwodzie, i to zgromadzony za manifestacją lewicy.

- Wezwij posiłki! – krzyknął do Starzaka.
- Nie przyślą. Reszta zabezpiecza mecz!
- Jeśli przegramy tutaj, to nie będzie się co martwić o mecz!
- Spróbuję.

Jednak Nawrocki wiedział już, że bitwa jest przegrana. Zadymiarze, znający zakamarki poznańskiego centrum, przeniknęli już na tyły plutonu prewencji, zmuszając go do wycofania. Z manifestacji lewicy poleciały świece dymne, utrudniając dodatkowo policjantom zapanowanie nad sytuacją i powiększając chaos. Jarosz nakazał już użycie gazu łzawiącego, ale w ferworze walki mało który z jego podopiecznych miał możliwość wykonania rozkazu. Fronty bijatyki uległy dezintegracji. Na skrzyżowaniu Półwiejskiej i Kwiatowej toczyła się chaotyczna bitwa, rozbita na setki drobnych bijatek. Każdy, kto znalazł się w zasięgu ciosu, obrywał. Uczestnicy walk wykazywali się niezwykłą inwencją. Dwóch szalikowców owinęło szalikiem głowę pacyfisty. i tak obezwładnionego niemiłosiernie okładali ciosami i kopnięciami. Jeden z policjantów zapędził się w pościgu za zadymiarzem do bramy i zaraz wyleciał stamtąd z pękniętą przyłbicą hełmu. Ktoś zaczął się na nieostrożnych w bramie. Któryś z kiboli wyskoczył przed kamerę prywatnej telewizji, pajacując z szalikiem. Jego kumple zaatakowali kamerzystę z boku, obalając na ziemię, rozwalając kamerę i kopiąc. Towarzysząca mu reporterka szczęśliwie wyrwała się zadymiarzom i uciekała w popłochu, ale w stroju topless, bo górną część garderoby zostawiła w rękach napastników. Nikt nie miał okazji napawać się tym nieoczekiwanym striptizem, bo bijatyka dopiero rozkręciła się na dobre. Trzech lewaków pochwytiło jednego z narodowców i wrzuciło go w witrynę butiku, rozwalając w drobny mak szybę. Zaatakowany trzymał ich jednak na tyle mocno, że potoczyli się za nim, potknęli o obramowanie i wpadli do środka, podcinając wystawowe manekiny, które skutecznie ich przywalały. Zanim wygrzebali się, by kontynuować bójkę, Jarosz i trzech jego ludzi wpadło. Poszły w ruch policyjne pały, pozbawiając pechowców ochoty do dalszych wybryków. Dopiero potem wyprowadzili ich poza obręb zadymy.

– Armatki wodne już jadą – krzyknął Starzak do Nawrockiego poprzez bitywny zgiełk. – Ja pierdołę, ale cyrk... – skomentował, ale nie dokończył, bo w ich stronę poleciała cegła. Odskoczyli i rozdzielili się na dobre, bo przedzielili ich walczący.

Nawrocki nie miał już wyboru. Bitwa przeniosła się w korytarze i bramy, przez co była nie do opanowania. Policja przegrała to starcie a on, podobnie jak inni policjanci, musiał wywalczyć sobie drogę odwrotu.

Warszawa, ul. Żwirki i Wigury godz. 18:30

Odprawa dowódców wyższego szczebla zaczynała się o 19:00. Marciniak obejrzał w tym czasie jeszcze dwie rozgrywki. Za każdym razem blokujący wygrywali.

W trakcie przerwy w grze, około 17:00 udało mu się wyrwać na chwilę na obiad. W pobliskim barze był odbiornik telewizyjny. Siedział nad porcją frytek i jakimś paskudnym mięsem udającym kotlet, oglądając Teleexpress. Wydanie zdominowały zamieszki, jakie wybuchły w największych miastach Polski w związku z manifestacjami ekologicznymi i pacyfistycznymi. Na sam początek trafił materiał z Poznania. W ciasnej Półwiejskiej policjanci i manifestanci pałowali się na całego. Bijatyka na stosunkowo małej przestrzeni wyglądała w telewizji jak wielkie zamieszki. Kupa poszkodowanych po obu stronach, wśród policjantów, było też mnóstwo zniszczeń w okolicznych domach i sklepach. Manifestujący skrajni lewicowcy już oskarżyli policję o bierność, a nawet sprzyjanie kontrmanifestacji. Podobnie było w innych miastach. Manifestacje lewicowców pod innymi pretekstami odbyły się bowiem także we Wrocławiu, Gdańsku i Łodzi. Wszędzie doszło do zadym i bijatyki demonstrantów i ich adwersarzy między sobą a policyjnymi oddziałami prewencji.

Jeszcze gorsze były doniesienia z zagranicy. Zamieszki w Polsce stały się tematem dnia światowych mediów. Te pokazywały kiboli noszących biało-czerwone szaliki jako nacjonalistów. Mieszano zamieszki z ich nocną bójką na Rajtach. Obok bulwersujących zdjęć i wybrakowanych faktów pojawiały się już interpretacje mówiące o narodzinach faszyzmu w Polsce. Włoski dziennik posunął się jeszcze dalej, mówiąc o jego odrodzeniu w Polsce. Chyba z ojca Włocha, pomyślał Marciniak.

Ledwie zauważył, jak dosiadł się do niego Tkaczyk.

- Ładny pasztet – zauważył Adam półgłosem. Marciniakowi wydawało się, że Tkacz ryknął na cały bar.
- Siedzimy w tym po uszy – powiedział. – Jeszcze rano myślałem, że uda się nam wywinąć, ale powiał huragan historii, a myśmy usiłovali szczać pod wiatr.
- No to lampasy generalskie diabli wzięli – westchnął Tkaczyk.

- Czyje? Twoje? Jesteś cholernym nieudacznikiem. Ty mnie naciągnąłeś na tę zakichaną imprezę. Od początku nie miałem ochoty na ten wypad. Gdybyś mnie posłuchał, siedzielibyśmy przy piwie w Przyjezierzu...
- ...i podrywali wsiowe laski! – dokończył Tkacz.
- Poderwałeś coś w Poznaniu, poza własnym tyłkiem spieprzając w podskokach?!
- Nie marudź jak stara baba. Jakoś się wywiniemy.
- Przed chwilą mówiłeś coś dokładnie odwrotnego. Jesteś roztrzęsiony jak galareta z chorobą Parkinsona.
- A niech to szlag – mruknął Tkacz – rozumiem, polec w bitwie z godnym przeciwnikiem, ale dać po mordzie główniarzom i wylecieć z woja? Co za pieprzony pech...

Marciniak zastanawiał się chwilę. Doszedł do wniosku, że ich szanse są nikłe. Mimo to sytuacja nie była całkiem beznadziejna.

- Za późno na żale – rzekł cicho. – Na razie mordę w kubeł. O niczym nie wiemy. Póki nie mają na nas dowodów, mogą nam skoczyć. A zdaje się, że nasi przeciwnicy właśnie zadarli na paru polach z policją. Może nas nie znajdą.
- Inni też będą szukać – zauważył Tkacz.
- To prawda. Te dzisiejsze zadymy mogą przysporzyć i innych kłopotów. Może uda się przez jakiś czas przelawirować. Jeśli nas od razu nie capną, może wyjdą jakieś inne okoliczności. Byle nie narobić sobie innych kłopotów. Siedzmy cicho i róbmy swoje.
- A możemy wdać się w kolejną bójkę? – zażartował Tkacz.
- Na to na pewno się już nie piszę. Chcesz dostać po mordzie i trafić do pułdła, to baw się na własny rachunek.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej, godz. 17:45

Marc Vandenoort otworzył nadzwyczajne posiedzenie Komisji Europejskiej. Zaczął od wniosku o wyłączenie z posiedzenia komisarza polskiego ze względu na konflikt interesów. Wniosek przeszedł przy jednym głosie sprzeciwu właśnie polskiego komisarza, Krzysztofa Rudnickiego. Rudnicki opuścił posiedzenie Komisji i Vandenoort mógł przejść do meritum.

- Szanowni koledzy – zaczął. – Jak wiecie, mieliśmy dziś debatować o kryzysie spowodowanym odrzuceniem eurotraktatu przez Polskę. Niestety, dziś zaszły inne wydarzenia. W nocy polscy wojskowi brutalnie pobili w

Poznaniu czwórkę pokojowych działaczy organizacji pacyfistycznych, ekologicznych i antyfaszystowskich, organizatorów demonstracji przeciw militaryzacji Polski i stacjonowaniu myśliwców *F-16* w Poznaniu. Zamiast im pomóc, polska policja oskarżyła ich o składanie fałszywych zeznań. Jednego z działaczy antyfaszystowskich aresztowano. Pozostałym udało się uciec. Są jednak poszukiwani przez policję. Po południu policja brutalnie rozpędziła pokojową manifestację tych samych organizacji przeciw stacjonowaniu *F-16* w Poznaniu i cztery w innych miastach. Są ranni i aresztowani. Do tego mamy wcześniejsze incydenty, w tym niewyjaśnioną przez polską stronę aferę z więzieniami CIA.

- Wszyscy widzieliśmy skalę represji wobec pokojowo nastawionych osób, bojowników o wolność i prawa człowieka – kontynuował po chwili. – Zdjęcia, jakie pokazują europejskie stacje telewizyjne, są szokujące. Skala represji jest ogromna. To i sprzeciw polskiego rządu wobec przyjęcia eurotraktatu daje podstawy do przypuszczeń, że w Polsce tworzy się dyktatura nacjonalistyczna, a może nawet faszystowska.

Vandenoort przerwał. Rozglądał się i oceniał wrażenie, jakie jego przemowa wywrze na niewtajemniczonych w jego plan komisarzach. Potem podjął mowę.

- Ponieważ stwierdzam, że postawa Polski narusza istotne wartości i cele Unii Europejskiej wymienione w Artykule 2 traktatu europejskiego, zgodnie z Artykułem 17 tegoż traktatu składam wniosek o podjęcie natychmiastowych działań o charakterze politycznym, ekonomicznym, z opcją militarną, w celu wyegzekwowania od Polski przestrzegania zasad i wartości Unii Europejskiej. Przygotowałem w tym celu odpowiedni wniosek i plan działania.

Vandenoort wyjął teczkę z dokumentami.

- Proponuję podjęcie następujących działań: zawiesić Polskę w prawach członka Unii Europejskiej ze wszystkimi tego konsekwencjami, obejmującymi swobodny przepływ ludzi, towarów i usług, uczestnictwo w gremiach decyzyjnych Unii, wszelką pomoc ekonomiczną, dopłaty bezpośrednie i strukturalne, wymianę naukową i kulturalną. Zażądać od Polski ratyfikowania i przestrzegania traktatu europejskiego. Objąć ochroną wojskową, morską i powietrzną strefy interesów Unii, ze szczególnym uwzględnieniem szlaków komunikacyjnych, stref połowów i wydobycia surowców naturalnych. Oznacza to morską i powietrzną blokadę Polski na terenie całej Unii. Wykonanie tej blokady powierzyć służbom granicznym państw członkowskich, a na obszarze Morza Bałtyckiego kontyngentowi morskie-

mu i lotniczemu Europejskich Sił Zbrojnych pod dowództwem admirała Jana Dentersa.

Zapadła cisza. Nikt nie zadał pytania, kiedy Vandenoort przygotował ten dokument.

- Jest pan pewien, że tak drastyczne środki są uzasadnione? Czy wiemy na pewno, co zaszło w Polsce? – zapytał John Hastings, brytyjski komisarz ds. energii.
- W świetle ostatnich wydarzeń jak najbardziej. Wiemy dokładnie, co się stało. Manifestacje filmowało wiele niezależnych stacji telewizyjnych. Mamy naocznych świadków. Mamy osoby napadnięte i pobite przez wojsko i szykanowane przez policję. Ci ludzie muszą się ukrywać. Jak możemy to tolerować?
- Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci doniesieniami prasy z Polski. Na razie to tylko doniesienia. Może należy poczekać na wyjaśnienie całej sprawy? Nie takie rzeczy dzieją się na Białorusi i sankcje są znacznie mniej dotkliwe – upierał się Hastings.

Vandenoort wziął głębszy oddech. Udał, że się zastanawia.

- Gdyby to była pierwsza tego typu sprawa, najprawdopodobniej wyjaśnienia połączone z jakąś formą ostrzeżenia byłyby wystarczającym środkiem przeciw takim praktykom – Vandenoort zawnazs ułożył sobie argumenty, teraz wystarczyło je podać w odpowiedniej formie. – Jednak to nie pierwsze tego typu wydarzenie. Pamiętacie sprawę tajnych więzień CIA. Nie doczekaliśmy się ani jej wyjaśnienia, ani nawet współpracy polskich władz. Teraz mamy eskalację działań łamiących prawa człowieka. Najpierw tajne więzienia, teraz jawne łamanie wolności słowa i zgromadzeń na masową skalę. Porównałeś, John, Polskę do Białorusi. To prawda, że na wydarzenia na Białorusi nie reagujemy aż tak energicznie. Jednak Polska jest członkiem Unii Europejskiej i jest zobowiązana przestrzegać jej zasad. Nie możemy pozostać wobec tego obojętni wobec ich łamania. Zły przykład bywa zaraźliwy. Dziś Polska toleruje prawicowy ekstremizm, jutro odrodzi się on w innych państwach. Nie możemy do tego dopuścić.
- Masz rację co do zasady, Marc – zgodził się Hastings. – Jednak pozostaje sprawa środków. Czy musimy angażować aż siły zbrojne do egzekwowania sankcji? Czy musimy uciekać się do zawieszenia traktatu ze Schengen?
- A jak inaczej chcesz sprawić, by sankcje były skuteczne? – zapytał Vandenoort. – Musimy uszczelnić granicę lądową. Swobodny przepływ ludzi to nadal swobodny przepływ towarów i pieniędzy, choćby w postaci handlu przygranicznego i turystyki. To jest stosunkowo proste, bo większość

sąsiadów Polski to członkowie Unii. Zablokowanie połączeń z Polską odejnie polską gospodarkę choćby od pieniędzy, jakich dostarczają jej pracujący w zachodniej Europie emigranci. Jednak by to odcięcie było skuteczne, musimy zablokować także połączenia lotnicze i morskie, a tego nie uda się zrobić bez blokady morskiej. Bałtyk to zarazem droga, przez którą mogłyby się wedrzeć na polski rynek towary spoza Unii. Jestem pewien, że jeśli nie ogłosimy blokady, to strumień statków popłynie przez cieśniny duńskie. Polacy zapewnią sobie zaopatrzenie, a amerykański czy dalekowschodni biznes chętnie zajmie miejsce firm z Europy Zachodniej.

Ten argument był nie do zbiccia w tym gremium. Myśl, iż Azjaci, lub co gorsza, Amerykanie, mogliby skorzystać na embargu, wypierając europejskie firmy, była bardziej niedopuszczalna, niż użycie sił EAF do blokady. Kwestia użycia sił zbrojnych została w ten sposób rozstrzygnięta.

- Mam nadzieję, że nie dojdzie do użycia broni? – spytał jeszcze Hastings.
- Nie planujemy użycia broni, chyba, że w obronie własnej sił egzekwujących blokadę – odrzekł Vandenoort. – Pamiętamy cały czas o tym, że pokój i prawa człowieka to nienaruszalne wartości Unii.
- A co z Rosją czy Ukrainą? Nie możemy nakazać im zamknięcia granic! – odezwał się Björn Waldström, komisarz ds. rozwoju i polityki humanitarnej. – To zniweczy cały wysiłek.
- Nie zniweczy – odpowiedział Vandenoort. – Cały ruch graniczny, turystyczny, migracyjny, handlowy spadnie na barki służb Rosji, Ukrainy i Białorusi. Jestem przekonany, że państwa te szybko wprowadzą również obostrzenia w tym ruchu. Może nie tak dotkliwe, jak nasze, ale wystarczające, żeby zmusić Polskę do respektowania stanowiska Komisji.

Schuster aż uśmiechnął się pod nosem. „Jestem przekonany” Vandenoorta znaczyło tyle, iż porozmawiał on z odpowiednimi ludźmi i uzyskał zapewnienie co do postępowania wymienionych państw w razie nałożenia na Polskę embarga.

Nad dyskutującymi komisarzami wisiało jeszcze jedno pytanie. Najważniejsze. I ono w końcu padło.

- Co na to Stany Zjednoczone? – spytała Gina Ferrati, komisarz ds. Handlu.
- Nie sędzę, żeby z powodu blokady swojego osła trojańskiego wypowiedziały Unii wojnę – zażartował Vandenoort. Zaraz jednak dodał: – Nie atakujemy terytorium Polski, więc Stany nie będą miały powodu interweniować militarnie. Wprowadzenie jakichkolwiek innych retorsji będzie dla Amerykanów trudne. Mogą wprowadzić sankcje? Tylko wobec kogo? Wobec całej Unii? Zantagonizują ponownie stosunki transatlantyckie z po-

szczególnymi państwami, nic w zamian nie zyskując. Mogą co najwyżej zakazać członkom Komisji Europejskiej wjazdu na teren USA, ale nie sądzę, żeby z tego powodu ktoś z nas specjalnie cierpiał. Polska nie wytrzyma długo sankcji, a gdy przyjmie eurotraktat, Waszyngton się wycofa i zaakceptuje ten stan rzeczy. O co wtedy będzie miał walczyć?

- A co z NATO? – nie dawała za wygraną Włoszka.
- NATO? – zdziwił się Vandenoort – Większość państw NATO to lojalni członkowie Unii Europejskiej. Chyba nie uważasz, że wystąpią przeciw własnym sankcjom?
- Na co właściwie liczymy? – dociekała Ferrati. – Na to, że Polacy się załamią? Że zmienią rząd? – zapytała Vandenoorta.
- Polacy mają oczywiście prawo do samostanowienia – odpowiedział przewodniczący Komisji. - Należąc do Unii, muszą jednak respektować jej wartości. Zadaniem Unii jest egzekwowanie przestrzegania zasad przez państwa członkowskie. Musimy nakłonić do tego Polskę. Jeśli Polacy zechcą przy okazji zmienić rząd na bardziej postępowy, to będzie ich suwerenna decyzja. Ja w każdym razie się na nią nie obrażę.
- Mimo wszystko to dość ryzykowny plan – oceniła Ferrati. – Polska może wystąpić z Unii.
- Polska nigdy nie wystąpi z Unii! – stwierdził kategorycznie Vandenoort – Polacy są euroentuzjastami. Wskazują na to wszystkie badania. Polska gospodarka jest zbyt uzależniona od unijnej pomocy, a dwa miliony Polaków pracują w Unii. Sankcje tylko uświadomią im, jak bardzo są już częścią zjednoczonej Europy i jak wiele zyskają, przyjmując eurotraktat. Myślę, że to najwyżej kwestia miesiąca lub dwóch. Na pewno odblokuje to proces ratyfikacji traktatu – Vandenoort zgrabnie ujął w słowa mechanizm straszaka na niepokornych.
- A jeśli dojdzie do wymiany ognia? – nie ustępowała Ferrati.
- Zapewniam was, że nie dojdzie. Nie naruszymy integralności terytorialne Polski. Nie ma takiej potrzeby. Polacy nie mają wystarczających sił lotniczych i morskich, by próbować przełamać blokadę. Gdyby zdecydowali się na taką próbę, ponieśliby sromotną klęskę. Nasza demonstracja determinacji i siły wystarczy. Moim zdaniem nie ma o czym mówić.

Vandenoort przerwał na chwilę. Potem wytoczył najcięższy argument:

- Nie możemy pozwolić na wstrzymanie procesu ratyfikacji traktatu. Los dalszej integracji unijnej zależy od przyjęcia go przez państwa członkowskie. Po wiem więcej – od tego zależy przyszłość Unii.

Nikt się nie odezwał. Vandenoort wiedział, że los, posady i dochody osób zasiadających w Komisji zależały od istnienia Unii. Kogo w bogatych krajach Zachodu będzie obchodziło, czy Polska ratyfikowała eurotraktat sama, czy pod przymusem? Nie będzie to miało wpływu na wybory do Parlamentu Europejskiego i ludzie zasiadający w tej sali z pewnością trafią z powrotem do Brukseli, jeśli tylko nie popełnią głupich, kardynalnych błędów. Natomiast rozpad czy dysfunkcja Unii oznaczała utratę stanowisk. A więc wszyscy będą za.

Vandenoort się nie mylił. No może nieznacznie. Zarządził głosowanie. Tylko Ferrati wstrzymała się od głosu.

Komisariat Policji Poznań-Nowe Miasto godz. 17:55

Nawrocki siedział u swojego przełożonego, inspektora Hajdukiewicza. Łeb miał obolały po popołudniowej zadymie. W głowie jeszcze mu szumiało od ciosu, jaki zainkasował od własnej strony. Nawinął się bowiem pod pałkę jednemu z policjantów prewencji.

Zdał właśnie inspektorowi sprawę z wypadków zeszłej nocy. Inspektor zaszępiiony wysłuchał jego hipotez dotyczących wydarzeń na Ratajach. Próbował teraz podsumować to, co usłyszał od podwładnego:

- Mówiąc krótko: mamy czterech poszkodowanych, którzy mataczą, komórkę, z której dano nam lipny cynk o proszkach, dwóch podejrzanych o napad, którzy być może zostali napadnięci i żadnego świadka, który mógłby potwierdzić którąkolwiek z wersji. Nikomu nie możemy postawić zarzutów, tymczasem te typki oskarżają wojskowych i nas?
- Na to wygląda.
- Do tego na deser mamy mocno pobitego poszkodowanego, który dla jaj ucieka z przesłuchania, wymykając się kilku gliniarzom. To prawie jak z filmu Barei.
- Wspominałem o tym, że poszkodowani mataczą? – zirytował się Nawrocki.

Hajdukiewicz spojrział na niego ponuro i znowu się zaszępił.

- Wspominałeś. I nie przedstawiłeś na to żadnych dowodów, jedynie swoje przecucia. Komórka dowodem nie jest. Może to napastnicy ją zgubili?
- Jeśli nasi pobici byli napastnikami, to rzeczywiście tak było.
- Masz na to jakiś dowód?

Nawrocki zwątpił. Trwało to krótko, bo ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść – huknął Hajdukiewicz.

Wszedł Starzak. On też oberwał po południu. Mrugał podbitym okiem. W rękę trzymał kartkę. Sam też się trzymał, choć po ciosie dwóch mocarzy z prewencji musiało go wyciągać z pola walki.

– Mam dane dotyczące tej komórki...

– Mów – ponaglił go Hajdukiewicz.

– Sprawdziliśmy wykaz połączeń z tej karty SIM. Okazuje się, że dzwoniono z niej do różnych działaczy skrajnej lewicy: ekologów, pacyfistów, i tym podobnych.

Hajdukiewicz i Nawrocki spojrzeli na siebie.

– A nie mówiłem? – triumfował Nawrocki. – Chyba, że jedni skrajni lewacy pobili się z innymi.

– To przynajmniej wiemy, kto na kogo nas napuścił – stwierdził Hajdukiewicz.

– Wiemy kto, nie wiemy na kogo – sprostował Nawrocki. Mimo że łeb go jeszcze bolał, myślał trzeźwo. – Nadal nie wiemy też, dlaczego. Na pewno nasi biedni poszkodowani byli na tej bibie – skonstatował Nawrocki. – I chyba mieli coś do kogoś. W każdym razie nie są tacy święci, za jakich usiłują uchodzić.

– I jeszcze jedno – włączył się ponownie Starzak – Z tej komórki wielokrotnie dzwoniono za granicę i dzwoniono na nią z zagranicy. Szczególnie w ostatnich dniach były to nasilone połączenia.

– Skąd? – zapytał Hajdukiewicz.

– Numery kierunkowe wskazują na Belgię i Holandię.

– Sprawdźcie te numery.

Starzak wyszedł. Hajdukiewicz zwrócił się do Nawrockiego.

– Zbychu, stąpasz po cienkim lodzie – stwierdził. – Twoja hipoteza jest, mówiąc ogólnie, słabo udokumentowana. Góra na mnie naciska. Komentator wojewódzki wydzwania do mnie, jego z kolei ściga Komenda Główna – głos Hajdukiewicza zdradzał znużenie – Media już się do nas dobierają, że rzekomo nic nie robimy, że osłaniamy sprawców, że prześladujemy poszkodowanych. Tamci chodzą od kamery do kamery i pokazują siniaki pod oczami i ten rozkwaszony nos. Wiesz, jak na to reagują media. Po tej stronie sceny politycznej nie ma agresorów, są tylko ofiary. Masz mało czasu na śledztwo i potrzebę cholernie mocnych dowodów, jeśli chcesz podtrzymać ten kurs. Znajdź dobrych świadków.

– Będzie ciężko. Żadna z tych osób nie ma interesu, żeby z nami współpracować.

- Zrób, co się da. Musimy znaleźć sprawcę, inaczej inni znajdą za nas kozła ofiarnego.

Nawrocki wyszedł z gabinetu inspektora przekonany, że trafiła mu się *mission impossible*.

Dowództwo Sił Powietrznych, Warszawa, godz.18:00

Marciniak i Tkaczyk zajęli miejsca w ostatnim rzędzie w sali odpraw. Byli tu najmłodszymi oficerami. Większość stanowili dowódcy korpusów i brygad, byli też dowódcy najważniejszych eskadr, w tym dowódca 12 ELT z Mińska Mazowieckiego, podpułkownik Głowacki. Siedział w przedostatnim rzędzie, kilka krzeseł w lewo od Marciniaka.

- Czołem, panie pułkowniku! – powiedział Marciniak, gdy dawny dowódca obrócił się na moment do tyłu.
- Cześć Gizmo – Głowacki ucieszył się na jego widok. – Miło cię widzieć. Jak sobie radzisz z bombowcami?
- Całkiem nieźle, panie pułkowniku. Chociaż z myśliwcami radziłem sobie chyba lepiej – Marciniak nie chciał wyrażać swoich wątpliwości w obecności Nowaczyka, który siedział dwa rzędy przed nim. – Nie narzekam.
- Dasz sobie radę, byku... – Głowacki chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tej chwili na salę wszedł Zdanecki i wszyscy oficerowie poderwali się na baczność.
- Spocznij – rzucił generał. Lotnicy opadli na krzesła. Generał przeszedł do ekranu rzutnika. Uruchomił prezentację.

Rozejrzał się po sali. Nie zwykł tracić czasu. Koncentrował uwagę zebranych.

- Panowie – zaczął – tematem odprawy będzie sytuacja polityczna i militarna po powołaniu Europejskich Sił Zbrojnych. Informacje, które przedstawię w toku, są zaklasyfikowane jako ściśle tajne.

Przerwał i wrzucił pierwszy slajd. Na ekranie pojawiła się twarz szczupłego, szpakowatego, zadbanego mężczyzny po pięćdziesiątce, o zimnych, niebieskich oczach i dość sympatycznej twarzy. Wyjątek stanowiło jego spojrzenie. Znali go wszyscy.

- Nie muszę chyba panom przedstawiać Marca Vandenoorta, przynajmniej z imienia, nazwiska i stanowiska – kontynuował Zdanecki. – Urodzony w 1953 roku, w Utrechcie, w rodzinie mieszczańskiej. Studia w Amsterdamie, socjologia. Od 1971 roku w Partii Pracy. Nasz wywiad ocenia jednak, że poglądy Vandenoorta, oficjalnie zbliżone do socjaldemokratycznych,

mają jednak bardziej skrajny charakter. Podejrzewamy, że Vandenoort ma ścisłe kontakty z radykalnymi organizacjami lewicowymi. W roku 1995 prasa zachodnia pisała o jego kontaktach z Frakcją Czerwonej Armii, w połowie lat siedemdziesiątych, ale nie znaleziono na to mocnych dowodów.

Zdanecki przerwał, by przeładować kolejny slajd.

- W następstwie afery korupcyjnej wokół prób sprzedaży europejskiej broni do Chin i Tajwanu, poprzedni skład Komisji Europejskiej musiał podać się do dymisji w lutym bieżącego roku. Parlament Europejski wybrał Vandenoorta jako przewodniczącego głównie głosami socjaldemokratów i skrajnej lewicy. Głównym argumentem, jaki podnosili jego zwolennicy, było to, iż Vandenoort jest najlepiej w stanie spożytkować efekty prezydencji portugalskiej i postęp w sprawie eurotraktatu. Sprawa ratyfikowania eurotraktatu jest priorytetem Vandenoorta. Niestety, nasz parlament pospieszył się z głosowaniem. Odrzuciliśmy eurotraktat, zamiast poczekać, aż zrobi to ktoś inny. W ten sposób stanęliśmy na drodze planom Vandenoorta.

Zdanecki wyświetlił slajd przedstawiający układ sił wobec eurotraktatu. Diagram pokazywał nastawienie poszczególnych rządów i społeczeństw do przyjęcia eurotraktatu oraz stan jego ratyfikacji w poszczególnych państwach.

- Jak widzicie panowie, sytuacja polityczna wokół traktatu jest skomplikowana. Wcześniejszą wersję, zwaną potocznie konstytucją odrzucili w referendum obywatele Francji i Holandii, mimo, iż rządy obu tych państw optowały za traktatem. Podobna sytuacja jest w Wielkiej Brytanii. Tam eurotraktat nie przeszedłby w powszechnym referendum, dlatego rząd unika jak ognia rozpisania plebiscytu. Czeskie władze są nastawione eurosceptycznie, szczególnie czeski prezydent. Vandenoort najchętniej tylnymi drzwiami przepchnąłby eurotraktat, podobnie jak większość rządów europejskich, w tym Francja i Niemcy. Odrzucenie go przez nasz Sejm skomplikowało zadanie Vandenoortowi i dało argument do ręki eurosceptykom. Przypuszczamy, że zamierza on odwrócić tę sytuację na swoją korzyść.

Generał ponownie zmienił slajd.

- Najnowsze przedsięwzięcie Vandenoorta: Europejskie Siły Zbrojne EAF. Zapewne wielu z was zadawało sobie pytanie: po co Unii Europejskiej siły zbrojne tworzone w takim pośpiechu i w takim właśnie składzie, do tego po cichu i nieoficjalnie. Dlatego poczyniliśmy pewien wysiłek intelektualny, zadając to pytanie oficerom Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej – bo siły lotnicze i morskie stanowią obecnie trzon EAF. Przy okazji zazna-

jomiliśmy większość oficerów ze składem i możliwościami tych sił, także wobec naszego państwa.

Zdanecki przerwał na chwilę, by napić się wody ze szklanki.

- Uczestniczyliście panowie w serii gier symulacyjnych, których celem była ocena zdolności sił EAF do zagrożenia Polsce. Na przeprowadzenie tej serii gier musiałem uzyskać specjalną zgodę Ministra Obrony. Nie było to łatwe, ponieważ oficjalnie Unia Europejska ani EAF nam nie zagrażają. Jednak skład sił EAF napawa niepokojem. Spostrzeżenia oficerów liniowych, sztabowych, a także analityków wywiadu pokrywają się w kilku punktach. Najważniejszy z nich to taki, iż siły te nie mogą działać w oddaleniu od Europy. Ich ekspresowe powołanie sugeruje, iż wkrótce będą niezbędne. Ich jedynym dysponentem jest Marc Vandenoort. A kto stoi dziś na drodze planów Vandenoorta?

Generał sięgnął znowu po szklankę, dając czas obecnym na przetrwanie usłyszanych informacji i udzielenie sobie odpowiedzi na ostatnie pytanie.

- Musiałem sporo się napocić, by nasi polityczni zwierzchnicy zechcieli sobie odpowiedzieć na to pytanie, ale i niechętnie przyznać, że może warto się nad tym zastanowić. Efektem naszych eksperymentów jest wniosek mało pocieszający: siły EAF nie są w stanie bezpośrednio zagrozić polskiemu terytorium, a ich zdolność do zadawania uderzeń jest ograniczona, jednak skutecznie mogą zablokować transport morski. Taką koncepcję wysunął porucznik Marciniak z 67. eskadry.

Tkaczyk szturchnął Marciniaka łokciem.

- Jesteś sławny, stary – szepnął. Albo wydawało mu się, że szepnął, bo kilku oficerów z tylnych rzędów obejrzało się w ich kierunku. Był wśród nich Nowaczyk:
 - Panowie... zachowujcie się – powiedział półgłosem.

Generał nie zwrócił uwagi na zamieszanie w tylnych rzędach. Mówił dalej:

- Rozegraliśmy dziś pięciokrotnie próbę militarnego przełamania blokady na podstawie sił, którymi dysponuje EAF i którymi dysponujemy my. Wyniki nie są zachęcające. Gdyby taki scenariusz rzeczywiście miał miejsce, wpadlibyśmy w poważne kłopoty...

Zdanecki przerwał, bo drzwi do sali odpraw otworzyły się i pospieszonym krokiem weszła Jabłońska. Nie bacząc na szereg oficerów wyższych stopniem podbiegła niemal do generała, wręczając mu zadrukowaną kartkę papieru. Szeptła mu coś chwilę do ucha. Generał nie zmienił wyrazu twarzy, skinął głową, powiedział półgłosem „Dziękuję!”. Jabłońska wyszła tak szybko, jak się pojawiła.

- Panowie... – rzekł w końcu Zdanecki – Sytuacja, o której mówiłem przed chwilą była czysto hipotetyczna. Była, bo przed chwilą Komisja Europejska uchwaliła polityczne i ekonomiczne sankcje wobec Polski: zawieszenie swobody ruchu transgranicznego, zawieszenie unijnej pomocy gospodarczej, zawieszenie handlu zagranicznego, zawieszenie w prawach członka UE i totalna blokada lądowa, morska i powietrzna. Wejście w życie – ze skutkiem natychmiastowym, po zatwierdzeniu decyzji przez Radę Ministrów i Parlament Europejski.

Na sali zapadło milczenie.

- To jeszcze nie jest przesądzone. Któryś z tych organów może go nie zatwierdzić – powiedział pułkownik Domański dowódca, 46. ELT ze Świdwina.
- Bardzo wątpliwe, pułkowniku – odpowiedział Zdanecki. – Rządy większości państw są prounijne, nie będą chciały sprzeciwić się Vandenoortowi. Co do Parlamentu Europejskiego, na 785 miejsc 299 przypada socjaldemokratom, socjalistom, komunistom, zielonym i Wolnemu Sojuszowi Europejskiemu określającemu się jako „narody bez państw”. Oni na 99 procent poprą Vandenoorta. Wystarczy absencja części posłów lub przekonanie część liberałów do głosowania za wnioskiem Vandenoorta i jego plan przejdzie. Myślę, że stoimy w obliczu poważnego kryzysu.

Generał przerwał i popatrzył w stronę ostatniego rządu.

- Poruczniku Marciniak! – powiedział. – Muszę panu pogratulować zdolności przewidywania, choć doprawdy, lepiej byłoby, gdybym mógł tego nie robić. Myślę, że przyjdzie nam sprawdzić pański scenariusz w rzeczywistości.

Siedziba kanclerza Niemiec 1 czerwca 2008r, godz. 19:58

- Pani kanclerz, dzwoni doktor Biergbaum. Mówi, że to bardzo pilne – asystent podał Andrei Meier telefon komórkowy. Kanclerz prosiła, by łączyć ją i przynosić komórkę tylko w takich właśnie sprawach. Telefon od Jurgena Biergbauma, ministra spraw zagranicznych, mógł być tylko pilny. Biergbaum przebywał bowiem na posiedzeniu europejskiej Rady Ministrów w Brukseli.
- Witaj Jurgen – podjęła rozmowę Meier. – dzieje się coś, o czym powinienam wiedzieć?

- Vandenoort zwiariował – mocne słowa w wydaniu Biergbauma nie były rzadkością, rzadko jednak były nieuzasadnione. – Chce zawiesić Polskę w prawach członka Unii i nałożyć blokadę ekonomiczną.
- To ostry krok, ale bynajmniej nie wariatwo po ostatnich wydarzeniach. W czym problem?

Kanclerz Meier słuchała przez chwilę wynurzeń swojego ministra spraw zagranicznych. W przeciwieństwie do Biergbauma nie widziała w zamiarach Vandenoorta niczego zdrożnego. Pomysł, by przywołać Polaków do porządku i pchnąć ich postępowanie na właściwe tory najwyraźniej przypadł jej do gustu.,

- To uzasadnione posunięcie po tym, co się wydarzyło wczoraj – skwitowała kanclerz. – Vandenoort ma rację. Mamy kryzys na skalę europejską. Rozwój wypadków w Polsce zagraża procesowi integracji. Możemy mieć do czynienia z reżimem nacjonalistycznym. Chyba nie muszę ci mówić, co to oznacza. Chyba czas przypomnieć Polakom, iż należą do Unii Europejskiej, nie uważasz?
- To chyba przesada, oparta na wątpliwych przesłankach – przyznał Biergbaum. W jego głosie dało się słyszeć niechęć. – Poza tym Vandenoort przesadza. Chce nie tylko nałożyć embargo ekonomiczne, ale i blokować tranzyt lądowy, morski i powietrzny przez terytorium państw unijnych. Zamierza wykorzystać do tego unijne siły zbrojne. To może zdestabilizować sytuację w Polsce i jeszcze bardziej zagrozić ratyfikacji traktatu.
- Przecież nie chce zatapiać statków i zestrzeliwać samolotów? – spytała kanclerz. – Z tego, co mówiłeś, ma zamiar jedynie kontrolować ruch lotniczy i morski. Ma to być demonstracja siły, bez otwierania ognia.
- Tego nigdy nie można wykluczyć w działaniach o charakterze zbrojnym.
- Polacy są zbyt słabi, żeby się na to poważyć. Ich jedyny wartościowy sprzęt stanowią *F-16*, a te nie osiągnęły jeszcze gotowości bojowej. Nie będzie żadnych incydentów zbrojnych.
- Uważam jednak, że nie powinniśmy tego popierać.

Kanclerz zastanowiła się chwilę. Vandenoort bez wątpienia chciał przyspieszyć proces integracji i powstrzymać wyłamywanie się pojedynczych uczestników. I bez polskiej wpadki było wiadomo, że znaczna część mieszkańców Europy nie pali się do dalszej integracji unijnej. Przy okazji jednak chciał umocnić władzę Brukseli. Tego jednak nie należało się obawiać. Wobec siły głosu największych państw w ustalonej w nowym traktacie, bez ich zgody niewiele można było zrobić. Przeworsowanie traktatu leżało więc w interesie Niemiec. Vandenoort mógł sobie wyobrażać, co chciał, centralizując władzę Brukseli. I tak był uzależniony od największych.

- Masz rację Jurgen... i jej nie masz – powiedziała. – Propozycja Vandenoorta jest mało subtelna, ale skuteczna. Pomyśl o naszym interesie narodowym... i o interesie europejskim – poprawiła. – Polacy skapitulują przed blokadą. Nie mają szans, bo nie mają prawa weta. Są mocni w gębie, lecz gdy przychodzi do negocjacji, są osamotnieni i pasują. Wyjdziemy na tym dobrze, bo przestaną blokować w końcu ważne dla nas projekty energetyczne i współpracy z Rosją. Europa ruszy naprzód.
- Dostarczymy też nowej amunicji eurosceptykom, – zauważył Biergbaum. – Podniosą te wyświechtane argumenty o superpaństwie, wszechwładzy superzrządu i nadadzą im nową świeżość. Kiepsko też widzę udzielenie Vandenoortowi pomocy wojskowej. Polacy mogą to wykorzystać propagandowo.
- Eurosceptycy już dziś podnoszą głowę i panoszą się po ulicach żądając odstąpienia od integracji i większości europejskich wartości – zaproponowała Meier. – udowodnimy im, że się nie liczą. Co do pomocy wojskowej, to całość firmuje Komisja Europejska, a nie my. Posunięcia Vandenoorta nie zaszkodzą nam. Możemy popierać je po cichu, unikając ostentacyjnego zaangażowania. Zawsze możemy odciąć się od jego błędów, jeżeli je popełni, a na pewno możemy głośno zakwestionować jego metody. Działania Vandenoorta zwiększają nasze możliwości.
Biergbaum zamilkł. Najwyraźniej szukał argumentów.
- Jurgen, tu chodzi o przyszłość i jedność Europy – przerwała mu Meier. – I nie tylko o nią. Jeśli wygrają eurosceptycy, to zarówno proces integracji, jak i polityka proeuropejska w wielu państwach będą zagrożone. Na to nie możemy pozwolić. Ani jako Europejczycy, ani jako Niemcy.
Biergbaum chwilę milczał.
- W porządku – powiedział w końcu. – Będę głosował za.

Rozdział VI

Artykuł 40: Postanowienia szczególne dotyczące wprowadzania w życie wspólnej polityki bezpieczeństwa i obronnej.

3. Państwa Członkowskie, w celu wprowadzenia w życie wspólnej polityki bezpieczeństwa i obronnej, oddają do dyspozycji Unii swój potencjał cywilny i wojskowy, aby przyczynić się do osiągnięcia celów określonych przez Radę Ministrów. Państwa Członkowskie wspólnie tworzące wielonarodowe siły mogą również przekazać je do dyspozycji wspólnej polityki bezpieczeństwa i obronnej.

(projekt Traktatu ustanawiającego Unię Europejską)

Wiadomości CNN

1 czerwca 2008r., 22:00

Rzecznik Departamentu Stanu na nadzwyczajnej konferencji prasowej ostro potępił decyzję Komisji Europejskiej o nałożeniu na Polskę sankcji politycznych i ekonomicznych. „To bezprecedensowa decyzja w historii Unii Europejskiej, podjęta pod wpływem chwili. Aktualnie analizujemy informacje docierające z Polski. Nie wiemy jeszcze, czy rzeczywiście zachodzą przesłanki do podjęcia takich kroków, ani czy sporu między Polską a Komisją nie da się rozwiązać innymi sposobami. Wzywamy obie strony do dialogu” – powiedział rzecznik.

Komunikat Ministerstwa Spraw Zagranicznych Warszawa, 1 czerwca 2008 r.

Rząd Rzeczypospolitej stanowczo protestuje przeciwko drastycznym sankcjom Unii Europejskiej nałożonym na Polskę. Stanowią one pogwałcenie podpisanych i przestrzeganych przez Polskę umów międzynarodowych, godzą w suwerenność państwa polskiego i wolność polskich obywateli.

Sankcje wobec Polski nałożono na podstawie niepotwierdzonych zarzutów i niewyjaśnionych jeszcze wydarzeń. Prawa człowieka nie są w Polsce naruszane. Rząd Rzeczypospolitej nie przyjmuje do wiadomości uzasadnienia wniosku Komisji Europejskiej. W związku z powyższym zastrzega sobie prawo do podjęcia wszelkich kroków w celu zniesienia blokady.

Oburzenie i niedowierzanie Rzeczpospolita, 2 czerwca 2008r.

Polska opinia publiczna przyjęła z oburzeniem i niedowierzaniem sankcję i blokadę granic nałożoną przez Komisję Europejską w następstwie sobotnich zajęć. – To nieproporcjonalna kara. Nie takie zajścia zdarzają się przecież w innych państwach Unii – komentuje dr Grzegorz Reszka, ekspert ds. międzynarodowych z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Według telefonicznego sondażu „Rzeczypospolitej” aż 87 procent Polaków potępia sankcje unijne. 7 procent uważa, że Komisja Europejska postąpiła słusznie, forsując przyjęcie sankcji. 6 procent nie ma w tej sprawie zdania.

Pałowanie wolności w Polsce El Pais, 2 czerwca 2008r.

Pięć legalnych, pokojowych demonstracji grup lewicowych, antyfaszystowskich i ekologicznych zostało w minioną sobotę brutalnie spacyfikowanych w Polsce. W Krakowie grupy prawicowe rozbiły na terenie dzielnicy Nowa Huta demonstrację antyfaszystowską. W Poznaniu skrajna prawica, z udziałem mieszkańców miasta, pobiła uczestników ekologicznej i pacyfistycznej demonstracji przeciw stacjonowaniu w mieście amerykańskich myśliwców F-16. W noc poprzedzającą poznańską demonstrację jej organizatorzy zostali pobici przez wojsko, a następnie byli szykanowani przez policję.

Polska zawieszona w UE Le Soir, 2 czerwca 2008r.

W następstwie wielokrotnego i rażącego naruszania praw człowieka Polska została zawieszona w prawach członka Unii Europejskiej. Rada Ministrów poparła wniosek Komisji Europejskiej przy jednej trzeciej państw wstrzymujących się od głosu. Nie reprezentowały one jednak jednej trzeciej mieszkańców Unii.

Na nadzwyczajnym posiedzeniu Parlament Europejski przyjął ponadto projekt rozszerzonych sankcji ekonomicznych i politycznych wobec Polski. Obok zawieszenia wymiany handlowej, przepływu usług i osób, pomocy europejskiej dla Polski, zostanie ona objęta blokadą powietrzną i morską w strefie ekonomicznych interesów Unii Europejskiej. Oznacza to zablokowanie komunikacji morskiej przez Bałtyk.

Eurotraktat pod presją New York Times, 2 czerwca 2008r

Sankcje nałożone na Polskę przez Unię Europejską dotyczą nie tylko jej relacji z państwami Unii. Odcinają ją od komunikacji morskiej z innymi kontynentami, obejmują również budowę gazociągu z Norwegii. Wykonanie tej części blokady powierzone zostało siłom EAF. Mimo, iż przewodniczący Komisji Europejskiej Marc Vandennoort zapewnia, że siły te zostaną użyte wyłącznie do blokady i nie naruszają terytorium Polski, militarna sytuacja w rejonie zachodniego Bałtyku może prowadzić do konfrontacji zbrojnej.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej 2 czerwca 2008r., godz. 10:35

Vandennoort dopiął swego. Tak jak się spodziewał, Parlament Europejski zatwierdził decyzję Komisji. Nieco trudniej poszło z Radą Ministrów. Tu zwłaszcza eurosceptyczni Czesi oponowali. Kularowa rozmowa sprawiła jednak, że minister spraw zagranicznych Czech przestał dyskutować i po prostu wstrzymał się od głosu. Vandennoort dał mu do zrozumienia, czym grozi sceptycyzm wobec planu Komisji. Pozostałych przekonała argumentacja o łamaniu praw człowieka. Przykłady pokazanych w telewizji rozbitych manifestacji i pobitych pacyfistów nie tylko działały na wyobraźnię, ale dały szansę usprawiedliwienia prointegracyjnych rządów przed obywatelami. Krótki czas, jaki upłynął od wydarzeń, nie pozwolił mediom na zapoznanie się ze szczegółami zajść. Zeszły

one na dalszy plan wobec szybkich kroków organów europejskich. Vandenoort na to liczył. Przygotowany od dawna grunt w postaci licznych sporów Polski z Unią w sprawach Rospudy, sprawy więzień CIA i nieustanne bicie przez zachodnie media w „skrajnie prawicowy” polski rząd i parlament zrobiły swoje. Mimo to Vandenoort nie był pewien wyników głosowania. Tu, w Radzie Ministrów, bardziej niż w pozostałych organach Unii liczyły się interesy narodowe.

Kiedy przyszło do głosowania, ministrowie z Czech i Polski wstrzymali się od głosu. Było to zbyt mało, by powstrzymać przyjęcie decyzji. Plan Vandenoorta przeszedł w organach unijnych bez większych trudności. Nawet dość ostrożni zazwyczaj Anglicy w obliczu ostatnich wydarzeń nie protestowali.

Teraz jednak chodził wściekły po gabinecie. Wprowadzie kluczowe polityczne punkty planu, udały się w stu procentach, jednak jego realizacja wciąż napotykała na niespodziewane trudności w pomniejszych sprawach. Na przykład tej z Niemcami.

Vandenoort nie spodziewał się ciosu z tej strony. Nie po Niemczech. Zaledwie godzinę wcześniej rozmawiał z kanclerz Andream Meier. Poruszył temat udostępnienia baz lotniczych we wschodnich Niemczech, niedaleko Rostocku – Laage i poradzieckiej Demmin. Ku jego kompletnemu zaskoczeniu kanclerz Meier odmówiła.

- Nie mogę spełnić tej prośby – oświadczyła po prostu. – I tak narażam się na zarzuty prowadzenia agresji przeciw Polsce. Skojarzenia historyczne są zbyt silne.

Vandenoort starał się ją przekonać do zmiany stanowiska. Argumentował, że przecież chodzi o operację pokojową i czysto polityczną.

- Bzdura – stwierdziła Meier. – Do operacji czysto politycznych nie angażuje się wojska. To już jest operacja militarna, a trzon sił stanowią niemieckie samoloty i okręty. Żąda pan stanowczo zbyt wiele.

Vandenoort zrozumiał, że nic nie wskóra. Głośno podziękował pani kanclerz, a w myślach bardzo niepochwlebnie określił jej sposób prowadzenia się. Musiał znaleźć inne bazy lotnicze dla sił EAF, gdyż inaczej groziło im, że będą latać z Holandii. Byłaby to operacyjna i logistyczna katastrofa, gdyż maszyny spędzałyby na dolatywaniu do rejonów patrolowania zbyt wiele czasu, do tego lawinowo podnosząc koszty. Ostatecznie udało mu się namówić rząd Danii do udostępnienia niewielkiego, międzynarodowego lotniska Roskilde położonego niedaleko Kopenhagi, w charakterze tymczasowej bazy powietrznej. Nie było to lotnisko wojskowe z prawdziwego zdarzenia, do tego niewielkie, z licznym cywilnym ruchem maszyn dyspozycyjnych, sportowych i szkolnych. Miało tylko tę zaletę, że leżało blisko obszaru działań.

Wściekłość Vandenoorta podsycala reakcja Stanów Zjednoczonych. Na jego biurku leżała nota ambasadora USA. Spodziewał się, że w pierwszym odruchu USA poprą swojego „osła trojańskiego”, jak nazywali Polskę eurokraci. Mimo to ostra nota, zawierająca potępienie decyzji Unii Europejskiej i zastrzegająca podjęcie kroków politycznych i ekonomicznych, rozsierdziła komisarza. Całe szczęście, że nie było w niej mowy o krokach wojskowych. Mimo całej europejskiej bufonady i snu o potędze Vandenoort wiedział, iż Unia nie mogłaby stawić czoła amerykańskiej interwencji lotniczej czy morskiej. Tylko otwarta wojna mogła skłonić Stany do interwencji – i to grało na jego korzyść.

Dla Vandenoorta było jasne, że blokada lądowa i lotnicza zadusi Polskę szybko. Transport i handel zagraniczny nie poradzą sobie przy tranzycie przez Ukrainę czy Rosję. Unia zrekompensuje przedsiębiorcom zachodnioeuropejskim ewentualne straty z powodu blokady. Za wszystko i tak zapłaci Polska, gdy tylko przystąpi do eurotraktatu. W końcu wszystkie najważniejsze organy Unii już uznały Polaków winnymi obecnego kryzysu.

Baza holenderskiej marynarki wojennej Den Helder 3 czerwca 2008r., godz. 7:15

Teraz na pokładzie Trompa w kabinie admirałkiej Vandenoort dyskutował z admirałem Dentersem o nadchodzącej misji. Denters nie był już tak zadowolony, jak komisarz.

- Jestem w stanie zrozumieć, że nie namówił pan Szwedów na udostępnienie nam baz. Ale Niemcy? Brak baz w Niemczech mocno ogranicza moje zdolności operacyjne.
- Ma pan tylko nie puszczać ich statków, nie pozwolić, by wypływali poza wody terytorialne. To wszystko. To operacja polityczna, a nie militarna. Nie ma potrzeby korzystania z baz w Niemczech. Sam powiedział pan, że może tymi siłami zablokować Polaków na zachodnim Bałtyku.
- Siły to nie wszystko. Trzeba je odpowiednio rozmieścić. Co ja zrobię, mając jedyną bazę samolotów w Danii, do tego totalnie nieprzystosowaną, bez schronohangarów?
- Chyba nie sądzi pan, że Polacy ją zbombardują? – obruszył się Vandenoort.

Denters wzruszył ramionami.

- Da mi pan gwarancję na piśmie, że tego nie zrobią? – zapytał.

- Admirale, stanowczo pan przesadza! – zirytował się Vandenoort. – Wie pan doskonale, że nie przedrą się przez kordon myśliwców i obronę przeciwlotniczą pańskich okrętów.
- Panie Vandenoort, w polityce i wojnie nie ma nic pewnego. A pan właśnie ograniczył moje możliwości manewru do minimum. Mam blokować Polaków czy pilnować bazy?
- Da pan sobie radę. Proszę wyjść w morze i wykonywać zadanie.
- Tak też zrobię. W naszym interesie jest, byśmy jak najszybciej zakończyli blokadę. Im mniej damy Polakom czasu do namysłu, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak.
- Wszystko będzie, jak należy!

Vandenoort pożegnał się i wyszedł z kajuty. „Łajza” – pomyślał o Denterście. „Okrętów ma trzy razy tyle, co Polacy, samolotów tyle samo, a mimo to się obawia”. Pomyślał, że gdy tylko Denters zrobi swoje, trzeba będzie odesłać go z powrotem, a na jego miejsce znaleźć kogoś bardziej kompetentnego. Przy odrobinie szczęścia i sukcesie w nadchodzącej operacji kandydatów powinno być zatręszienie.

Na pokładzie Trompa Denters został z mieszanymi uczuciami.

W gruncie rzeczy współczuł Polakom. Podłożyli się sami pod walec historii, jak to nieraz miało miejsce. Usytuowani między Niemcami a Rosją, nieraz robili za piłeczkę pingpongową dla obu mocarstw. W ciągu tych kilku lat w Unii byli trudnym, bo dużym i żądającym odpowiedniego miejsca partnerem. Stali się zarazem wygodnym chłopcem do bicia, a teraz Vandenoort znalazł sposób i okazję, by pokazać im miejsce w szeregu. Fakt, że prowadzili mało zręczną politykę i wielokrotnie podłożyli się Unii. Na przykład wiążąc się ściśle ze Stanami.

Dentersowi nie podobał się cały ten bajzel przy tworzeniu sił EAF. Kiedy Vandenoort zadzwonił z propozycją objęcia przez admirała dowodzenia tymi siłami, Denters wyobrażał sobie wzorcowy sposób formowania tych sił z pełnym planowaniem celów, sił, udziałem szerokiego sztabu ludzi, stworzeniem zaplecza technicznego, informacyjnego i ludzkiego. Zamiast tego dostał zbieraninę okrętów od oceanicznych *Trompa* czy niemieckich *Hessen* i *Bremen* po kutry rakietowe, które ciężko będzie zagospodarować przy blokadzie. Do tego zbieranina samolotów, głównie taktycznych, bez jednostek wsparcia. Wszystko bardziej na zasadzie pospolitego ruszenia, bo Vandenoortowi zależało na szybkim uruchomieniu tych sił i pokazaniu Polakom ich miejsca w szeregu. Dlate-

go, zamiast wynegocjować najnowocześniejsze samoloty, jak *Eurofighters* czy *Rafale*, Vandenoort zgodził się na *F-4* i *Mirage FI-C*. Francuzi i Niemcy wciśnęli mu stary, a więc najbardziej awaryjny i pozbawiony nowych części zamiennych sprzęt, przerzucając w ten sposób koszty jego utrzymania na Komisję Europejską. Wspólna polityka obronna była piękna, ale tylko na papierze.

Admirał stwierdził, że jednak ma szczęście. Gdyby Polacy mieli choćby tylko swoje *F-16* w pełnej gotowości bojowej wraz z pełnym pakietem możliwości do przenoszenia uzbrojenia, mogliby się pokusić o przełamanie blokady. Przeciwookrętowe *Harpoony* czy przeciwradarowe *HARM-y* do spółki z elektronicznymi systemami obronnymi mogłyby narobić mu niezłego bigosu, a nawet coś zatopić. W każdym razie stanowiłyby poważne zagrożenie dla okrętów, które – zamiast patrolować akwen – musiałyby trzymać się razem w szyku do obrony przeciwlotniczej, skupione wokół *Trompa* i *Hessen*. To poważnie utrudniłoby kontrolowanie statków. Większość jego okrętów wspierana przez myśliwce i trzymana na zachodnim Bałtyku da sobie radę z potencjalnym atakiem *Su-22*, gdyby taki w ogóle nastąpił. Denters wątpił jednak w taką ewentualność.

Zadzwonił telefon. Pomost, a więc Mesdegaard.

- Denters.
- Komandor Mesdegaard. Panie admirale, dowódcy okrętów zebrani w sali odpraw
- Już idę.
- Odmeldowuję się.

Denters wziął admirałską czapkę z biurka i nałożył ją na głowę. Należało wziąć się do roboty.

W czasie, gdy Denters szedł na odprawę oficerów, do lotniska Roskilde dojeżdżały pierwsze oddziały piechoty i inżynieryjne duńskiej armii. Miały zabezpieczyć bazę dla lotnictwa EAF.

Zgorzelec, granica polsko-niemiecka, godz. 8:30

Opuszczone nie tak dawno przejście graniczne Zgorzelec-Goerlitz znowu ożyło, obsadzone przez niemieckich policjantów federalnych, którzy na ten czas ponownie zamienili się w pograniczników. Granica została szczelnie zamknięta. Opuszczone szlabany uzupełniła drogowa kolczatka i prowizorycznie rozciągnięte zasieki. Za nimi przechadzali się żołnierze *Bundespolizei*, demon-

stracyjnie uzbrojeni w pistolety maszynowe. Od czasu do czasu nad Goerlitz przemknął śmigłowiec tej formacji, *EC-135* lub *Bo-105*, patrolujący granicę na Odrze.

Po polskiej stronie ponad setka osób zatrudnionych na zachodnim brzegu Odry kłębiła się niezdecydowanie. Decyzją Unii Europejskiej pozbawiono ich właśnie źródła utrzymania – dla niektórych jedynego. Od czasu do czasu gniewny, niecenzuralny okrzyk po polsku lub po niemiecku przebijał się przez hałas miasta w stronę posterunku granicznego. Niemieccy policjanci nie zwracali na to najmniejszej uwagi, trwając niewzruszenie na świeżo wyznaczonym posterunku.

Dawne drogowe przejście graniczne w Kostrzynie nad Odrą godz. 8:50

TIR-y wypełniały już cały terminal i okupowały kawał drogi dojazdowej do przejścia. Trudno powiedzieć, na co liczyli ich właściciele i kierowcy, skoro co najmniej od dwóch dni wiadomo było, że granica zostanie zamknięta. Niemcy wzorcowo i bez żadnej zwłoki wykonali polecenia instytucji europejskich nakazujących zablokowanie dawnych granic z Polską.

Po zachodniej stronie mostu, za Odrą, niemieccy policjanci urządzili prowizoryczną barykadę. Po wschodniej stronie, w TIR-ach, przeznaczona do szybkiego transportu żywność zaczynała tracić świeżość. Część ciężarówek zawracała, tworząc na drogach dojazdowych potworny młyn.

Za blokadę zaczynali płacić polscy przedsiębiorcy, ponosząc straty w towarach i niewpływającej gotówce.

Serwis światowy BBC, 3 czerwca, godz. 12:00

Holenderską bazę marynarki wojennej w Den Helder opuszczają kolejne okręty europejskich sił zbrojnych EAF. W szyku torowym biorą kurs na Bałtyk, gdzie w ramach blokady będą kontrolować ruch statków i egzekwować nałożone na Polskę sankcje.

Londyn, lotnisko Stansted **4 czerwca 2008r., godz. 7:05**

Adam Leszczyński, Agnieszka Madej i Marta Kowalska patrzyli bezradnie na tablicę odlotów lotniska Stansted. Kolejne loty do Polski oznaczone były jako *cancelled*. Przy kontuarze kolejnych linii lotniczych powtarzano im tylko *I'm sorry*. Wszystkim było bardzo przykro, że nie latają do Polski. Unia Europejska zawiesiła wszelkie kontakty z Polską. Obowiązuje blokada graniczna. Nie wolno przemieszczać do Polski ludzi i towarów. Wszystkie loty odwołane.

Leszczyński początkowo myślał, że to jakiś głupi żart. Jednak serwisy informacyjne w kilku stacjach telewizyjnych odbieranych w poczekalniach oraz wiadomości z Internetu przeczytane, gdy tylko usiedli z notebookiem w lotniskowym *hot-spicie*, przekonały ich, że to smutna prawda. Adam zadzwonił do prezesa Warsaw Euro Partner Consulting. Ten już wiedział, jaka jest sytuacja. Niewiele mógł pomóc. Banki zawiesiły transakcje. Nie mógł nawet przekazać im pieniędzy na powrót czy przedłużenie pobytu. Byli skazani na zasoby konta Adama, kredyt w angielskim banku, i to, co mieli przy sobie w gotówce.

Podobnie jak kilkaset tysięcy Polaków przebywających za granicą, Agnieszka, Marta i Adam stali się zakładnikami Vandenoorta.

Pałac prezydencki, Warszawa, Krakowskie Przedmieście **godz. 17:30**

Posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego przeciągało się daleko ponad miarę. Obok prezydenta Chłopickiego i stałych członków Rady, w spotkaniu brali udział premier Radwański, szef Sztabu Generalnego oraz dowódcy poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. Prezydent zagaił dyskusję po wysłuchaniu raportów przygotowanych przez MSZ i MON. Wynikało z nich, że blokada wcielana jest w życie pełną parą i bezwzględnie. Większość incydentów z nią związanych miała miejsce w cieśninach duńskich i na zachodnim Bałtyku. Siły morskie EAF zawróciły kilka płynących do Polski statków, w tym kontenerowce, tankowce i promy pasażerskie. Zatrzymano nie tylko ładunki, ale i Polaków przebywających za granicą. Rej w dyskusji wodził jednak Radwański, wyjątkowo, jak na polskiego polityka. Z wyglądu typowy intelektualista, mocno łysiejący okularnik, zawsze poprawnie i starannie wysławiający się, w przeciwieństwie do sejmowych wyrobników o robotniczych i chłopskich twarzach, strzelających równie często *faux pas*, jak i błędy gramatyczne. Błyskotliwy, precy-

zyjny i niemal nigdy nieuciekający się do kłamstwa. Nigdy nie unikał mocnych stwierdzeń, tak było i tym razem.

- To wyjątkowo ordynarne zagranie! bynajmniej nie wygląda na blef – rzekł Radwański. – Jestem przekonany, że czekali na sprzyjające okoliczności, odkąd ratyfikacja eurotraktatu padła w Sejmie.
- Tak błyskawiczne zorganizowanie sił zbrojnych mogłoby to potwierdzać – przyznał Chłopicki. – Jakie mamy możliwości załagodzenia tego kryzysu?
- Zapewniam Vandenoorta, że ratyfikujemy eurotraktat, gdy tylko okaże się to politycznie wykonalne, ale to go nie zadowala – odpowiedział Radwański – Żąda, byśmy podjęli radykalne kroki w rodzaju nowych wyborów. Jego zdaniem powinni je wygrać euroentuzjaści, co zapewniłoby dalszy bieg traktatowi.
- Wyśmienity pomysł – zachnął się Chłopicki. – Oto jak „zbawca zjednoczonej Europy” pojmuje demokrację: wolne wybory są w porządku, jeśli wygrywają nasi. Nie ma co, demokracja pełną gębą.
- Do tego bez szans na realizację – dodał Radwański. – Nastroje zmieniają się z godziny na godzinę. Blokada dotknęła osobiście bardzo wiele osób. Winią za to Unię i raczej trudno, żeby ją pokochali. W razie wyborów musimy się liczyć z tym, że partie skrajnie antyeuropejskie nie tylko wejdą do parlamentu, ale i stanowić będą liczącą się siłę. Moim zdaniem, forsując blokadę, Vandenoort przekreślił szanse na eurotraktat, a w każdym razie znacznie je zredukował.
- Tylko pewnie jeszcze o tym nie wie? – spytał Chłopicki.
- Myślę, że kompletnie nie zdaje sobie sprawy, z jaką odmiennością postaw od tych doskonale mu znanych ma do czynienia.
- Co zatem możemy zrobić? – prezydent przejechał wzrokiem po zebranych.

Zapadła cisza. Nikt nie chciał wyskoczyć z jakimś nieprzemyślanym pomysłem. W końcu odezwał się Radwański.

- Blokada będzie nas kosztować, i to sporo. Użyjemy wszelkich środków politycznych, by ją znieść, jednak musimy uzbroić się w cierpliwość. Musimy przekonać Vandenoorta, że takie działanie jest bezcelowe, wymaga to jednak czasu. Możemy jednak pomyśleć o złagodzeniu skutków embarga, o tranzycie przez wschodnią granicę.
- Czyli, pańskim zdaniem, powinniśmy położyć uszy po sobie? – prezydent był znany jako „jastrząb” i wietrzył defetyzm nawet tam, gdzie było o niego trudno.

- W żadnym wypadku – odparł Radwański. – O ile trudno nam interweniować w sprawie zamknięcia granic lądowych, to blokada morska na wodach międzynarodowych godzi w swobodę żeglugi i naszą wymianę handlową z państwami spoza Unii. Musimy z tym walczyć.
 - W jaki sposób?
 - Generał Łański zapewnił mnie, że możemy wyrzucić na nich presję.
 - Generale, nie chce pan chyba posunąć się do działań zbrojnych? – spytał Rudnicki, odwołany niedawno z Brukseli.
- Szef Sztabu Generalnego uśmiechnął się pod rudym wąsem.
- Bynajmniej, panie komisarzu. Mamy jednak kilka sposobów, by bez jednego wystrzału utrudnić im blokadę i podnieść jej koszty. Drastycznie.
 - Miejmy nadzieję, że to odbierze im ochotę do blokowania – rzekł Radwański. – W przeciwnym wypadku koszty będą wysokie. Po obu stronach.

Powidz, baza lotnicza, 5 czerwca 2008r., godz. 7:30

Piloci 67 eskadry siedzieli, czekając na dowódcę, w sali odpraw. Atmosfera była poważniejsza niż zwykle. Obyło się bez żartów. Poczta pantoflowa niosła plotkę o nowych rozkazach. Stan podwyższonego napięcia widać było zresztą od weekendu. Jeszcze w sobotę Szef Sztabu Generalnego anulował wszystkie urlopy. W jednostkach z poboru wstrzymano przepustki. Od wtorku do eskadr technicznych zaczęli napływać rezerwiści mobilizowani po cichu, bez nagłaśniania w mediach. Wiadomo było, że te ostatnie i tak wkrótce to wywieszą, ale nie chciano ułatwiać przeciwnikom zadania.

Od poniedziałku toczyły się „konsultacje polityczne na najwyższym szczeblu”, jak określano panikę na szczytach władzy. Sytuacja polityczna pasowała jak ulał do ulubionego porównania taktycznego Łysonia, czyli pożaru w burdelu. Nikt nie wiedział, co robić. Na taką ewentualność nikt nie miał planu – ani politycznego, ani wojskowego. Propaganda kilkunastu ostatnich lat o konieczności oparcia bytu państwowego o Unię Europejską zrobiła swoje – nikt nie miał planu na wypadek konfliktu z Unią. Przypuszczano, że istnieją plany działań na wypadek wojny z Rosją, Białorusią – ba, nawet z Ukrainą czy Niemcami – ale z Unią? Jak to w Polsce, w ostatecznym rozrachunku trzeba będzie improwizować. Marciniak miał jednak wrażenie, że przeciwnik także improwizuje,

przynajmniej w sferze militarnej. Przynajmniej jeśli chodzi o plan działań wojskowych, istniała jakaś namiastka równowagi.

Decyzje polityczne miały zapaść lada chwila. Jediną dobrą stroną całego tego cyrku było to, że wszyscy warczący na siebie od kilku lat politycy różnych partii, partyjek i stronnictw nagle jakby zapomnieli o osobistych urazach i zaczęli gorąco debatować, co z tym fantem zrobić. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Vandenoort odniósł sukces w Brukseli, ale przeliczył się kompletnie co do rozwoju sytuacji w Polsce. Euroentuzjaści jakby zniknęli z życia publicznego. Ci najzagorzalsi dyskretnie usunęli się w cień. W narodzie, który przez ostatnie dwieście lat zaznał jedynie czterdziestu prawdziwej niepodległości, próba narzucenia siłą ograniczającego suwerenność traktatu nie mogła być przyjęta inaczej.

Rozmyślenia Marciniaka przerwało wejście dowódcy. Wszyscy piloci poderwali się na baczność. Łysoń machnął tylko ręką i wszyscy usiedli na powrót. Nie było żartów. Zanim dowódca rozłożył sobie papiery na mównicy, zapanała kompletna cisza. Łysoń chciał już zacząć przemowę, gdy zorientował się, że coś jest nie tak, jak zwykle. Przeciągnął wzrokiem po skupionych, wpatrzonych w niego twarzach.

- Co z wami? Siedzicie jak na pogrzebie! – stwierdził. Kilka twarzy poszerzyło się w uśmiechu, ale nie zabrzmiał żaden rechot, czy nawet chichot.
- I macie poniekąd rację – powiedział Nowaczyk. – Jest naprawdę niewesoło. Mamy polityczny pat między Unią a Rzeczpospolitą. Odrzucenie przez nas eurotraktatu jest wygodnym pretekstem dla innych państw do nieprzyjmowania go. W ostatnich dniach miały miejsce liczne incydenty, które dały ostatecznie Komisji Europejskiej do ręki argument, że w Polsce łamane są prawa człowieka. Argument oparty na co najmniej wątpliwych podstawach, ale wystarczył, by przekonać zachodnich polityków. Unia nałożyła na nas embargo i blokadę granic. Komisja Europejska twierdzi, że w całej sprawie chodzi o prawa człowieka, ale żąda od naszego kraju przyjęcia tego traktatu wbrew naszej woli. Na to się zgodzić nie możemy.

Od północy państwa Unii zawiesiły ruch graniczny z Polską. Obywatele polscy nie mogą przekraczać w żadną ze stron granicy z Niemcami, Czechami, Słowacją i Litwą. Wstrzymano połączenia promowe do Szwecji i Danii i wszelkie połączenia lotnicze z Europą i Ameryką. Blokada obejmuje bowiem także tranzyt. Żaden zarejestrowany w Polsce samolot nie może lecieć nad terytorium państw unijnych. Żaden zarejestrowany w Polsce samochód, czy to osobowy, czy ciężarowy, nie może jechać tranzytem przez Unię do państw spoza Unii. Na zachodnim Bałtyku EAF rozstawił swoje okręty pod

dowództwem admirała Jana Dentersa. Jego dossier macie w teczkach. Patroluje tam kilka fregat i korwet – krążą na zmianę w przesmyku między Szwecją a Niemcami, nie blokując Sundu ani Bełtów. Sprawdzają ruch statków płynących do portów bałtyckich. Zatrzymują jednostki wpływające na Bałtyk, sprawdzają listy przewozowe. Kilka statków mających wpisany jako port przeznaczenia Gdańsk pod eskortą korwet i patrolowców EAF odesłano do Kopenhagi lub Rostocku. Na razie jednak nie ruszyli na wschód, ale to wystarczy. Blokują całkowicie transport morski z i do Polski ze świata. EAF ma rozkazy zajmować polskie statki i samoloty, jeśli tylko wykręcą one poza polskie wody terytorialne lub polską przestrzeń powietrzną. Tak już się stało ze statkami firmy GazBalt pracującymi przy budowie gazociągu z Norwegii. Niemiecka fregata *Karlsruhe* zajęła je i odprowadziła do Kopenhagi, gdzie zostały zatrzymane. MSZ zaleciło prywatnym samolotom i statkom nieopuszczanie wód terytorialnych i przestrzeni powietrznej, ale wiecie doskonale, jak bardzo nasi obywatele lubią przestrzegać państwowych zaleceń. Prędzej czy później jakiś statek, czy samolot znowu wpadnie w ręce EAF. Krótko mówiąc – cholerny szajs.

Nowaczyk przerwał, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie zrobili jego słowa na zebranych.

- Tyle złych wieści, czas na te nieco lepsze – kontynuował pułkownik. – Pierwsza to taka, że w całym tym zamieszaniu zdobyliśmy już punkty, i to bez wchodzenia do gry. Niemcy pokazali wała Vandenoortowi i nie zgodzili się na bazowanie samolotów i okrętów EAF na ich terytorium. To dla nich poważny cios. Ich maszyny będą bazowały na lotnisku cywilnym w Roskilde w Danii. Lotnisko jest oczywiście nieprzystosowane do bazowania tak znacznej liczby maszyn wojskowych. Z tego, co nam wiadomo, zanektowali nawet parking na tymczasową płytę postojową. Mogą mieć niezłe problemy, jeśli przyjdzie im prowadzić operację z użyciem większej liczby maszyn naraz. To po pierwsze. Po drugie, Niemcy chyba obawiają się, by ich udział w tym cyrku nie obrócił się przeciw nim propagandowo. Na samolotach Luftwaffe uczestniczących w blokadzie zamalowano czarne krzyże maltańskie, a w ich miejsce wstawiono unijną flagę. Wskazuje to na szybkie i nieprzygotowane w gruncie rzeczy działanie. Unijni burokraci nie byli w stanie nawet wymyślić oryginalnych znaków rozpoznawczych. Trzeci punkt to mobilizacja eurosceptyków w państwach zachodnich. Mieli zorganizować marsz protestacyjny pod siedzibą Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego, ale socjalistyczny burmistrz Brukseli zakazał

demonstracji pod pretekstem niemożności zapewnienia bezpieczeństwa. Macie i europejską wolność słowa – dorzucił swój komentarz Łysoń.

Rozległy się śmiechy.

- Panie pułkowniku, czy możemy się spodziewać jakichś wystąpień zachodnich pacyfistów przeciw militarnej części blokady? – zapytał poważnym tonem Tkaczyk, co wywołało kolejną falę śmiechu.
- Będziesz pewien, że będą protestować, gdy usłyszysz, co mam wam do zakomunikowania – powiedział Nowaczyk, gdy fala wesołości nieco opadła. – Nasz rząd postanowił nie poddawać się czemuś, co premier Radwański nazwał próbą wymuszenia rozbójniczego i narzucenia pełnej uległości wobec Brukseli. Nie będą nas szantażować wojskową blokadą, w każdym razie nie będziemy siedzieć z założonymi rękami. Użyjemy wszelkich dostępnych środków, politycznych, ekonomicznych, a może nawet militarnych, do zniesienia blokady i zniwelowania jej skutków. Uzasadnienie Radwańskiego jest proste – dziś narzucą nam eurotraktat, jutro wszystko, co będą chcieli. Prezydent Chłopicki nie wydał jeszcze oficjalnego oświadczenia, ale Biuro Bezpieczeństwa Narodowego poinformowało już MON, że prezydent popiera w pełni tę linię polityczną. Na razie nie widać różnic, ale te z pewnością ujawnią się później. Wiecie sami, jak nasi politycy umieją się pięknie różnić – dorzucił, wywołując kolejną falę wesołości. – Albo wywalczymy sobie prawo decydowania we własnym zakresie i dobrowolnie, w co chcemy w zjednoczonej Europie wejść, a w co nie, albo będą traktować nas jak popychli, z którymi można zrobić wszystko, co się chce. To już moje trzy grosze komentarza do stanowiska rządu. Minister spraw zagranicznych udaje się – przez Ukrainę, Rosję i Norwegię do Stanów Zjednoczonych szukać tam wsparcia, nie tylko symbolicznego i moralnego, ale i bardziej konkretnego. Jakiego – to się okaże. Pierwszą naszą retorsją jest zamknięcie naszej przestrzeni powietrznej dla samolotów Unii i lecących do lub z Unii. Oznacza to wzmożony ruch nad Bałtykiem, Czechami i Słowacją. Wszystkie maszyny, które obserwujecie popołudniami lecące z Rosji do Niemiec czy Francji będą musiały nadłożyć drogi. Pomijając kwestie ekonomiczne, oznacza to dodatkową robotę dla Dentersa i jego okrętów. Będą musieli zwijać się jak w ukropie, by zidentyfikować liczne samoloty.

Piloci na sali odpraw zaszemrali. Nowaczyk przerzucił jakieś papiery na mównicy.

- Czas na drugą dobrą wiadomość – kontynuował pułkownik. – Wchodzimy do gry i podbijamy stawkę. 12 eskadra zostaje przebazowana do Krze-

sin. Trzydziesta Siódma przenosi się do Babich Dołów. *F-16* z Krzesin i Łasku lecą do Dębłina. Nie są jeszcze w stanie gotowości bojowej, a dostawy ostatnich maszyn zostaną prawdopodobnie i tak wstrzymane, bo Amerykanie nie puszczą ich przez Rosję czy Ukrainę. Jednostki rakiet ziemia-powietrze i naziemne posterunki zwiadu walki radioelektronicznej udają się na stanowiska bojowe. My otrzymaliśmy rozkaz operacyjny wykonywania lotów zwiadu elektronicznego w obrębie naszej przestrzeni powietrznej. Mamy rejestrować wszystkie źródła emisji związane z EAF i te, jakie mogą być wykorzystane przeciw nam. To jest pierwszy etap działań, ale za nim pójdą następne, jeśli Komisja Europejska się nie wycofa. Urlopy i przepustki są cofnięte aż do odwołania. Szczegółowy harmonogram lotów poda wam major Kwiecień. Są pytania?

- Jaki jest cel tych działań, panie pułkowniku? – spytał Marciniak.
- Dobre pytanie – stwierdził Łysoń. – Są w zasadzie dwie możliwości: albo Unia uzna blokadę politycznie nieopłacalną, bo doprowadzimy swoją postawą do takiej destabilizacji wewnątrz Unii, że też przestanie się to opłacać. Albo przyprą nas do muru i będziemy musieli się przebijać.
- To drugie czarno widzę – mruknął siedzący obok Marciniaka Tkaczyk.
- Działamy według jakiegoś szerszego planu? – naciskał Marciniak. Rozległy się śmiechy.
- Marciniak, czy ty zawsze musisz zadawać niestosowne pytania? – obruszył się Nowaczyk. Spoważniał jednak zaraz. – Na razie nic mi o tym nie wiadomo. – Nowaczyk starał się nie powiedzieć wprost, że planu nie ma. – Zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. Być może poprzestaniemy na lotach rozpoznawczych. Mowa jest o eskalacji działań w dalszej ich fazie, choć nikt nie powiedział, do jakiego stopnia. Miejmy nadzieję, że znajdziemy polityczne rozwiązanie, zanim komuś przyjdzie ochota nacisnąć spust.

Nadzieja nadzieją, ale może być nieciekawie. Każdy pilot w sali odpraw wiedział, że do strzelaniny dochodziło nieraz z dużo bardziej błahych powodów, niż te opisane przez Nowaczyka. Wszyscy jednak mieli nadzieję, że najgorsze się nie wydarzy.

Pas nad wodami terytorialnymi pomiędzy Wickiem Morskim a Kołobrzegiem

9 czerwca 2008r., godz. 12:20

Marciniak i Czerwiński krążyli *Szparką* na wysokości około pięciu kilometrów wzdłuż wybrzeża, pomiędzy poligonem w Wicku Morskim a Kołobrze-

giem. Odcinek drogi na południowy zachód pokonywali nad morzem, tuż nad granicą wód terytorialnych, wykonywali obszerny zakręt w lewo o 180 stopni i wracali do Wicka. Pełen cykl zajmował im około 10 minut.

Nie byli w powietrzu sami. Kilometr niżej, za to dużo wolniej krążyła dwusilnikowa turbośmigłowa *Bryza* Marynarki Wojennej z radarem obserwacji bocznej. Śledziła ruch statków i – co najważniejsze – okrętów uczestniczących w blokadzie. Zadaniem obserwacji radarowej było nie tylko wykrycie okrętów, ale i sprowokowanie, by włączyły radary. Rejestracją ich sygnałów miał zająć się zasobnik *KKR-1* podwieszony pod *Szparką*. O tym, że zamiar ten przynajmniej częściowo się powiódł, świadczyły liczne sygnały rejestrowane przez komputer i aparaturę ostrzegawczą. Dwa pociski powietrze-powietrze *R-60* na środkowych, podskrzydłowych podwieszeniach świadczyły o tym, że nie był to lot ćwiczebny. Całość tego zwiadowczego przedsięwzięcia osłaniały dwie pary *MiGów-29* – również uzbrojone w komplet rakiet powietrze-powietrze *R-27* i *R-73*.

Był to ich drugi, prawdziwy lot bojowy. Pierwszy raz polecili w sobotę. Jako najmłodsza stażem załoga *E-Szparki* – bo takiej ksywy dorobił się zmodyfikowany *Su-22* – utknęli na dość odległym miejscu w grafiku lotów. Załogi wracające z wypraw narzekały na nudę. Nie widziano przeciwnika – bo w taki sposób określano siły EAF – a jedynie słyszano efekty jego radiolokacyjnych działań. Pierwszy ich lot też był taki. Marciniak pilnował tylko parametrów lotu i pracy instalacji i systemu. Obserwował też przestrzeń powietrzną, nie mając nic poza tym do roboty. Latali na autopilocie. Czerwiński mógł jedynie obserwować przestrzeń powietrzną i ewentualnie aktywność radarów. Dlatego wymógł na Nowaczyku zgodę na zabranie w drugi lot aparatu fotograficznego. W pierwszym locie stres i napięcie było duże. Nie wiadomo było, czego spodziewać się po siłach EAF. Latanie z podwieszeniami bojowymi jeszcze nie spowszedniało, ale stres niemal się ulotnił.

Lecieli właśnie nad morzem w stronę Kołobrzegu. Marciniak obserwował jasne chmury na północnym zachodzie. Mogły równie dobrze kryć przeciwnika, jak i pozwolić go łatwiej odkryć wzrokowo na jasnym tle.

Panel ostrzegawczy nagle rozświetlił się pomarańczowym błyskiem. Zapłonęła sylwetka samolotu. W słuchawkach rozległ się pisk. Obaj piloci niemal podskoczyli na fotelach.

- Ktoś nas maca radarem! Przechwycenie powietrzne – zawołał Marciniak do interkomu.
- To *APG-65*. Niemieckie *Phantomy*. Na drugiej – powiedział Czerwiński, który dysponował na swoim ekranie możliwością zidentyfikowania radaru.

Niemieckie *F-4F* jako jedyne posiadały ten typ radaru w tej części Europy. Miały go jeszcze greckie *Phantomy*, hiszpańskie *Hornety* oraz hiszpańskie i włoskie *Harriery* lotnictwa morskiego. Obecności żadnego z tych typów w tym rejonie wywiad nie sygnalizował.

Marciniak wyłączył autopilota i przeszedł na sterowanie ręczne. Tymczasem Czerwiński zawiadamiał stanowisko dowodzenia.

- Zeus, tu Atena pięć, odbieram sygnał śledzenia radaru *APG-65*, godzina druga, poziom średni. Prawdopodobnie *F-4*.
- Zrozumiałem Atena pięć. Tu Zeus. Atena trzy, nowy kurs trzy zero zero, lampion.
- Atena trzy, zrozumiałem, wykonuję.

Dwa *MiGi-29* ubezpieczające ich dostały rozkaz zwrotu w stronę przeciwnika i podświetlenia go radarem. Marciniak patrzył w prawo, tam, gdzie znajdowałyby się na tarczy zegara godzina druga, gdyby siedział pośrodku niej z dwunastą na wprost siebie.

Zaczynała się prawdziwa gra. *Phantomy* nie musiały podświetlać ich wiązką radarową, by ostrzelać ich raketami *AIM-120 AMRAAM*. Jeżeli piloci niemieckich *F-4F* użyli trybu STT¹², to zapewne w celu wywarcia presji psychologicznej i wysłania ostrzeżenia: uwaga, nadciągamy. Stanowisko dowodzenia nakażało *MiGom* wykonać dokładnie ten sam numer. Do tej pory leciały one z wyłączonymi radarami.

- Zeus, tu Atena pięć, masz dla nas jakieś polecenia?
- Atena pięć, tu Zeus. Róbcie swoje.
- Zrozumiałem, Zeus. Bez odbioru.

Na tle jasnych chmur Marciniak wypatrzył dwie kropki i smużki dymu.

- Są. Nasza wysokość, godzina druga – powiedział.

Trzymał drążek sterowy i przepustnicę, gotowy do manewru, gdyby tamci odpalili rakietę. Przy *AIM-120* naprowadzanym w facie końcowej własnym radarem, aparatura ostrzegawcza uprzedziłaby go późno. Być może za późno, zważywszy średnią zwrotność maszyny. Dostrzeżenie odpalonej rakiety dałoby mu kilkanaście dodatkowych sekund na manewr obronny. Na szczęście tamci zbliżali się z boku, co zmniejszało szanse trafienia. Rakietę musiałaby zakręcać za uciekającym samolotem, być może nie nadążając. Uciekać przed *AMRAAM-em* nie byłoby rzeczą przyjemną. Pocisk uchodził za wyjątkowo skuteczny.

12 *Single Target Track* – tryb pracy radaru myśliwca, w którym śledzi on pojedynczy cel podświetlając go w sposób ciągły wiązką fal radiowych; używany do naprowadzania półaktywnego pocisków powietrze-powietrze, np *AIM-7 Sparrow* lub *R-27R*

Niemcy zbliżali się szybko. *Phantomy* podążały za *Su-22*, zakręcając i rozluźniając szyk. Dymiły potężnie, z czego były dobrze znane. Prowadząca maszyna szybko zbliżała się do *Su-22*. Zrównała się z nimi, lecąc w odległości może dwudziestu metrów po prawej stronie. Drugi pozostał dwieście metrów po prawej z tyłu. W odległości dwóch kilometrów za tym niewielkim powietrznym orszakiem podążały dwa *MiGi-29* osłony, gotowe w każdej chwili przyłożyć Niemcom pociskami krótkiego zasięgu *R-73*.

Major Manfred „Manny” Hartmann przyglądał się polskiemu bombowcowi z przedniej kabiny *Phantoma*. Zastępca dowódcy Jagdgeschwader 71 „Richthofen” czystym przypadkiem i bez żadnego pokrewieństwa przypadkiem nosił to samo nazwisko, co słynny as hitlerowskiej Luftwaffe i jeden z byłych dowódców eskadry, Erich „Bubi” Hartmann – i do tego to samo imię, co jej patron. Od imiennika różnił go wygląd – major był krzepkim, ciemnowłosym facetem – i przydomek. „Bubim” został ochrzczony oficer uzbrojenia, latający z Hartmannem, kapitan Rolf Burglow.

Hartmann trafnie ocenił ładunek bojowy *Suchoja* o numerze taktycznym 606 – dwa pociski *R-60* i zasobnik rozpoznawczy *KKR-1*.

- Wykonują zwiad elektroniczny – powiedział do Bubiego. – Przyjrzymy się im dokładnie i zrobimy zdjęcia.
- Jasne – odpowiedział Burglow. – Oni nam też.

Major przyjrzał się raz jeszcze kabinie polskiego *Suchoja*. Drugi członek załogi najwyraźniej również robił zdjęcia jego maszynie. Hartmann nie był tym zachwycony, uwaga Burglowa wskazywała, że on również. Powód był jasny: by nie drażnić prasy i nie wywoływać skojarzeń z agresją hitlerowską z 1939 roku, na wyraźne polecenie kanclerz Meier zamalowano na maszynach niemieckich maltańskie krzyże i zastąpiono je naprędce flagą Unii. Do tego całą tę robotę wykonano na tyle niestarannie, że ślady pospiesznego przemalowania widać było gołym okiem. Hartmann uważał to za idiotyzm. Wystawiało to na pośmiewisko niemieckich lotników i samą Luftwaffe Polacy nie mieli tego problemu. Na ich maszynie białe-czerwone szachownice odbijały się wyraźnie od ciemnozielonego kamuflażu.

Hartmann nie był zachwycony politycznym wymiarem zadania, jakie mu zlecono. Był co prawda żołnierzem i nie dyskutował sensowności rozkazów. Miał jednak prawo mieć własne zdanie i chętnie z tego prawa korzystał. Nie podobało mu się, że musi egzekwować blokadę Polski. Nie chcą eurotraktatu – ich sprawa. Nie muszą nawet być w Unii. Nawet jeśli chcą zmierzać w stronę Azji,

to nie nasz ból głowy. Niemcy sobie poradzą. Przez cztery dekady były granicznym państwem NATO z kupą radzieckich wojsk tuż za granicą. Oczywiście lepsza Polska stabilna i demokratyczna, ale co zrobić. Nic na siłę.

Przez tydzień utrzymywania blokady Hartmann i Burglow niemal codziennie patrolowali nad Bałtykiem, osłaniając z powietrza okręty EAF. Wreszcie dostali ciekawsze zadanie – zobaczyć, co właściwie robi polska powietrzna pikieta, widoczna dzień w dzień i noc w noc nad wybrzeżem. Oprócz posterunku radiolokacyjnego zbierała dane o radarach EAF. To już wiedział na pewno.

Obaj piloci *Su-22* patrzyli teraz w jego stronę. Major zdjął prawą rękę z drążka sterowego i pomachał w stronę Polaków. Drugi członek załogi *Su-22* podniósł aparat i zrobił mu zdjęcie. Pierwszy pilot uniósł dłoń do góry i postukał palcem w hełm tak, jakby stukał się w czoło.

- I czego się cieszysz, durny szwabie? – rzucił Marciniak do interkomu. Darowałyby sobie te przyjazne gesty. Nieprędko będą znowu sojusznikami. Nie po tym, co tu się działo.
- Wydaje mu się, że jest na pikniku – skomentował Czerwiński. – Z chęcią władowałbym mu *R-60* w dupę.
- Ja również. Nie jesteśmy przypadkiem w obrębie naszej przestrzeni powietrznej?
- Nie. GPS pokazuje, że lecimy pół kilometra na północ od granicy wód terytorialnych.

Aparatura ostrzegawcza przestała straszyć, odkąd *Phantomy* zrównały się z nimi. Marciniak zastanawiał się, czy w maszynach siedzą piloci, których spotkał kiedyś na ćwiczeniach NATO. Może Fleisch albo Riese? Cholera wie. Głupio tak stać po przeciwnych stronach barykady z ludźmi, których do niedawna uważał za sojuszników.

Przez krótką chwilę podziwiał *F-4*. Maszyna, która miała swoje miejsce w historii – weteran wojny wietnamskiej i wojen bliskowschodnich. Widział go już wiele razy na ziemi i kilkakrotnie w powietrzu, ale nigdy jako potencjalnego przeciwnika. Opuszczony, ostry dziób, wąska, pochylona osłona kabiny, szerokie wloty powietrza po bokach, skrzydła załamane w jednej trzeciej szerokości – *Phantom* w pełni zasługiwał na swą nazwę. Nie czas było się jednak zachwycać.

- Zrobiłeś swoje, to zjeżdżaj! – Marciniak dał jeszcze raz upust swoim emocjom.

Jakby na jego życzenie niemiecki myśliwiec pochylił się w prawo i zakręcił. Oddalał się z wolna w stronę niewidocznych stąd okrętów EAF. Drugi *F-4F* podążył za nim.

Hartmann poczuł się głupio, widząc gest pilota *Szparki*. Powinien darować sobie pozdrowienia. Pachniały hipokryzją. Byli po przeciwnych stronach barykady.

- Wiemy już, co chcieliśmy – warknął – Spadamy stąd, zanim wlecimy za nimi w ich przestrzeń powietrzną.

Major położył *Phantoma* na skrzydło. Oddalał się od polskiego patrolu, ogłędając się za siebie tylko dla własnego bezpieczeństwa. Ostrzegacz radarowy wciąż buczał, informując go, iż jest namierzany przez *MiGa-29*. Zważywszy, że miał go dokładnie za ogonem, nie było to przyjemne.

Liberalne media zachodnie pokazywały do tej pory Polskę naprzemiennie jako kraj euroentuzjastów, ale i zacofany, katolicki i nieeuropejski, z głupim rządem i parlamentem o odchyleniu nacjonalistycznym. Gdy przyszło co do czego, polski pilot pokazał Niemcowi, że blokadę uważa za głupotę, a sam nie ma kompleksów, i to jego, Niemca po stronie Unii uważa za głupka. Hartmann uświadomił sobie nagle, że jego odruch dumy narodowej stłumiono, nakazując zamalowanie czarnych krzyży. Polaków usiłowano zmusić, wbrew woli ich parlamentu, do przyjęcia eurotraktatu. To przecież było znacznie więcej niż zamalowanie znaków przynależności państwowej na samolotach. Hartmann pomyślał, że Polacy mają prawo być wkurwieni, ale nie powiedział tego głośno. Nawet do Burgłowa.

Powidz, baza lotnicza, 9 czerwca 2008r., godz. 14:00

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Nowaczyk nie wściekał się na Marciniaka, ale nawet wydawał się zadowolony z wykonanej przez nich roboty.

- Wczytałeś już te zdjęcia? – zapytał mocującego się z laptopem Czerwińskiego Łysoń. Siedzieli w sali odpraw i omawiali przebieg lotu.
- Jeszcze z nimi walczę, panie pułkowniku – odrzekł Przemek.
- Co sądzicie o ich ostatnich przedsięwzięciach? – zapytał pułkownik.
- Może jestem odosobniony w swoich poglądach, ale nie wydaje mi się, żeby morale Niemców zostało podbudowane tymi flagami unijnymi w

miejscu ich czarnych krzyży. – odpowiedział Marciniak. – Pilot *F-4* usiłował wymacać, co robimy i zrobić przy tym dobrą minę do złej gry. Wydaje mi się, że trochę spałałem mu humor.

- Wywiad powinien sprawdzić morale sił EAF. To może być kolejny punkt na naszą korzyść.
- Byłbym ostrożny z formułowaniem takich wniosków, panie pułkowniku. To tylko pojedynczy przypadek. Zresztą nie wiemy, czy się zirytował, czy dostał rozkaz powrotu. Naprawdę chcemy ich zdrowo nacisnąć?
- Tak przynajmniej twierdzi dowództwo i takie są rozkazy. Co z tego praktycznie wyniknie, tego naprawdę nie wie nikt, z naszymi decydentami w pierwszej kolejności. Mam wrażenie, że poruszają się po omacku, ale to już nie nasz problem. Masz już te zdjęcia? – zwrócił się do Przemka.
- Tak jest! – Czerwiński obrócił laptopa w kierunku pułkownika.

Nowaczyk przyglądał się *Phantomowi*.

- Pięknie! – stwierdził. – To będzie świetnie wyglądało w mediach – niemiecki myśliwiec bez czarnych krzyży, za to z europejską flagą. – Dajmy to do Dowództwa, niech puszczą to dalej. Będzie ubaw.
- Tak jest!
- Od jutra czeka nas nowa robota. Mamy już kompletne sygnatury radarowe większości ich okrętów. Gdy tylko nasi spece od ECM¹³ wprowadzą dane do oprogramowania zasobników, zaczynamy nękać ich elektronicznie. Mamy rozkaz utrudnić im życie, jak tylko się da, bez otwierania ognia. Zakłócanie radarów, łączności, namierzanie radarami kierowania ogniem. Zobaczą, że to nie piknik, ale i my będziemy mieć pełne ręce roboty.

Gdynia-Orłowo, wybrzeże klifowe 10 czerwca 2008r., godz. 11:37

Reporter telewizji ZDF, Franz Zimmermann, przyglądał się przez lornetkę z klifu w Gdyni-Orłowie redzie trójmiejskich portów. Ku jego zdziwieniu reda nie zamarała całkowicie. Ruch statków nie był intensywny. Na oczach Zimmermanna motorówka pilota zbliżyła się do trapu przy burcie jednego ze statków zakotwiczonych na redzie. Średniej wielkości kontenerowiec na pewno nie był pod polską banderą.

13 ECM – *Electronic Countermeasures* – walka radioelektroniczna. Polega na zakłócaniu pracy środków elektronicznego rozpoznania, łączności i kierowania ogniem, którymi dysponuje przeciwnik.

- Kręć to, Rudi – polecił swojemu kamerzyście, Rudolfowi Giedebauerowi.
- Robi się – odrzekł Giedebauer.

Zimmermann był pewien, że w sytuacji tak ostrego konfliktu między władzami Unii i Polską, uda mu się zdobyć szereg tematów i gorących newsów. Ten niewątpliwie taki właśnie był. Ktoś złamał blokadę. To będzie bomba.

Nie minęło pięć dni blokady, a statki obcych bander zawijały do Gdańska. Zimmermann ustalił nazwę i armatora jednostki, a potem przesłał materiał do Niemiec. Wieczorne wiadomości należą do niego.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej 11 czerwca 2008r., godz. 18:45

- Panie komisarzu, proszę włączyć telewizję – asystentka Vandenoorta, Giselle Busch wpadła jak po ogień do jego gabinetu, przerywając rozmowę telefoniczną.

Vandenoort w pierwszym odruchu chciał obsobaczyć Giselle za wejście bez pukania i przerwanie rozmowy. Wyraz twarzy kobiety spowodował, że chwycił pilota i włączył kanał GBC News.

Na ekranie ukazał się materiał nakręcony przez ekipę z ZDF, z podpisem „Gdansk's anchorage” i obrazem wchodzącego do portu kontenerowca. Na pokładzie w równych rzędach piętrzyły się metalowe pojemniki. Co gorsza, statek był bandery francuskiej, a więc unijnej!

Vandenoort osłupiała ze wściekłości słuchał komentarza. Wynikało z niego, iż niektórzy z armatorów mimo embargo nadal przewożą ładunki do Polski. Falszują listy przewozowe, okazywane przy kontroli siłom blokującym. Listy opiewają na dostarczenie frachtu do Finlandii czy Litwy, a nawet Rosji. Jednak statki płyną na wschód poza zasięg radarów grupy bojowej, a na wysokości Rozewia czy Helu skręcają na południe i wchodzą do Gdańska. Zazwyczaj robią to pod osłoną nocy. Proceder jest opłacalny, gdyż z powodu blokady ceny towarów w Polsce podskoczyły gwałtownie, spadła też liczba przewoźników. Podjęcie ryzyka jest więc opłacalne i przynosi krocie.

Komisarz zaklął. Zadzwoił do Giselle:

- Łącz mnie z Denterssem.

Po niecałych dwóch minutach, z których większość zajęło Dentersowi dotarcie do telefonu satelitarnego, Vandenoort rozmawiał z admirałem.

- Tu Denters – usłyszał w słuchawce.

- Blokada jest nieszczelna – ryknął do słuchawki bez przywitania. – Statki obchodzą ją poprzez fałszowanie listów przewozowych. Faktycznie skręcają do Polski poza zasięgiem radarów. Niech pan coś zrobi, do cholery.
- Musiałbym rozproszyć siły po całym Bałtyku, a to by wystawiło je na atak...
- Niech pan przestanie pieprzyć. Na razie to wystawił pan na pośmiewisko mnie i całą operację.
- Ja wystawiłem? Nie sądziłem, że tak łatwo będzie sfalszować listy przewozowe. Kto kontroluje obieg dokumentów? Ja czy pańska administracja?!
- To nie ma nic do rzeczy! – huknął Vandenoort. – Te statki nie mają prawa docierać do polskich portów.
- Wypraszam sobie takie uwagi – odciął się ostro Denters, po czym już spokojniej kontynuował – Mogę oczywiście rozproszyć okręty po Bałtyku, ale na to poproszę rozkaz na piśmie. To oznacza nie tylko narażenie moich okrętów na atak, ale i wysokie koszty utrzymania blokady.

Słowa Dentersa nieco ostudziły Vandenoorta.

- Co możemy zrobić, żeby uszczelnić blokadę mniejszym kosztem? – zapytał.

Denters milczał chwilę.

- Te statki zawracają na południe poza zasięgiem naszych radarów okrętowych. Ten jest niewielki. Zamiast rozpraszać okręty, proponuję wysłać na wschodni Bałtyk samolot patrolowy, a armatorom zagrozić konsekwencjami prawnymi. Zapis śledzenia radarowego może być dowodem?
- Nie wiem. Niech pan zorganizuje patrole lotnicze i śledzenie statków, a ja zajmę się tym, żeby zatrzymać je, jeśli nielegalnie popłyną do Gdańska.
- W porządku, panie przewodniczący.
- Proszę jak najszybciej to wdrożyć!

Nad Bałtykiem, 12 czerwca 2008r., godz. 19:10

Dowódca samolotu patrolowego *P-3C Orion* Deutsche Marine komandor podporucznik Gerd Heinemann zaklął siarczyście, gdy operator urządzeń elektronicznych zameldował, iż ekran radaru zasnuł się echami. Niestety, w większości były to echa fałszywe. Już jeden z pierwszych patroli lotniczych odkrył, że Polacy nie zamierzali bynajmniej biernie dawać się ekonomicznie zadusić blokadą. Emitowane przez nich zakłócenia okazały się niespodziewanie efektywne i stały się zmorą operatorów radarów. *Orionom* utrudniały wykrywanie i

śledzenie kursu statków we wschodniej części morza, zwłaszcza w przypadku śledzenia bardziej oddalonych obiektów. Jasnoszary, turbośmigłowy *P-3C* obserwował właśnie ten akwen, krążąc na dwóch z czterech silników 20 mil na wschód od Bornholmu.

Heinemann połączył się z dowództwem operacyjnym EAF i przedstawił sytuację. Jego zdaniem nie można było śledzić ruchu statków w tych warunkach z odległości 100 mil morskich. Dowództwo EAF nakazało mu przemieścić się 50 mil na wschód.

Komandor nie był zachwycony tym pomysłem. Rozkaz nakazywał mu oddalenie się od własnych sił, za to zbliżenie do polskich myśliwców bazujących w pobliżu Zatoki Gdańskiej. Jego załoga myślała podobnie.

- Jeśli będą chcieli zrobić nam kuku, to właśnie dostali doskonałą okazję – skomentował rozkaz drugi pilot Heinemanna, Andreas Moelke.
- Nie sądzę, żeby chcieli – powiedział Heinemann pewnym tonem. Wcale nie był jednak o tym przekonany.

Ustawił autopilota na lot do nowego rejonu patrolowania. Coś jest mocno nie tak, pomyślał. Zakłócenia nie ustępowały. Na ekranie radaru nadal dominowała kasza, z której trudno było wyłowić jakiegokolwiek rzeczywiste echo. Czyżby Polacy dysponowali skuteczniejszymi systemami walki radioelektronicznej, niż te, o których wiedział EAF?

Heinemann zastanawiał się jeszcze nad nową sytuacją, gdy nagły dźwięk alarmu z systemu ostrzegania radarowego niemal podrzucił go w fotelu. Wyświetlacz aparatury ostrzegawczej *ALR-66* pokazywał zagrożenie z prawej strony, nieco z tyłu.

- *SA-5!* – wykrzyknął Moelke.
- W dół! – krzyknął Heinemann. Wyłączył autopilota. – Rozruch obu silników! Natychmiast!

Samolot schodził już ku powierzchni morza. Heinemann wiedział, że musi zejść poniżej 300 metrów. Śledził ich radar kierowania ogniem zestawu rakietowego *S-200 Wega* – w nomenklaturze NATO – *SA-5 Gammon*. Potężne, niemal trzytonowe rakiety miały zasięg około 250 kilometrów i pędziły ze szczytową prędkością ośmiokrotnie przekraczającą prędkość dźwięku. Ustawione na polskim środkowym wybrzeżu mogły porazić cel na większości obszaru środkowego i zachodniego Bałtyku. *Orion* Heinemanna znajdował się być może 150 lub 160 kilometrów od wyrzutni *SA-5*, pocisk mógł go porazić w ciągu 90-100 sekund od odpalenia. Poniżej 300 metrów *SA-5* były jednak nieskuteczne.

Oba wyłączone wcześniej silniki już pracowały, kiedy samolot opadł na bezpieczną wysokość. Sygnał ostrzegawczy umilkł. Prawdopodobnie *Orion* zna-

laż się poniżej horyzontu radarowego, w strefie radiolokacyjnego cienia zapewnianego przez krzywiznę Ziemi. Niestety, z tego samego powodu, wraz z wysokością, spadł też skuteczny zasięg obserwacji radarowej. Z wysokości 300 metrów mogli wykrywać cele nawodne w odległości nie większej niż 80-90 kilometrów. Do tego zakłócenia jak były, tak były.

By misja miała jakikolwiek sens, Heinemann musiał wrócić na większą wysokość, zapewniającą większy zasięg radaru i mniejsze zużycie paliwa. Wiedział, że będzie zmuszony podjąć taką próbę. Nie miał oczywiście żadnej gwarancji, że *P-3C* nie zostanie ponownie podświetlony radarem. Nie miał żadnej gwarancji, że w jego stronę Polacy nie wystrzelą rakiety. Coś, co początkowo wydawało się łatwą operacją, zamieniało się w rzeczywiste zagrożenie. Jednak Heinemanna to specjalnie nie zdziwiło. Jako żołnierz zdziwiłby się raczej, gdyby Polacy poddali się bez walki.

Po pięciu minutach spędzonych na małej wysokości, *Orion* Heinemanna zaczął mozolnie piąć się na wysokość przewidzianą dla tego lotu patrolowego. Komandor powiadomił drogą radiową dowództwo EAF o zaistniałych wydarzeniach. Łączność też szła opornie. Czyżby Polacy zakłócili komunikację głosową?

W ciągu następnych kilku godzin patrolu sytuacja z *SA-5* powtórzyła się czterokrotnie. I czterokrotnie Heinemann podejmował ucieczkę w dół, w cień radiolokacyjny. Ta szarpiąca nerwy zabawa nadgryzła też zapas paliwa. W rezultacie wrócili do bazy wcześniej. Inny *P-3C* zastąpił ich na patrolu.

Bałtyk, na północ od Ustki, wody międzynarodowe godz. 23:20

Dominik Kunc, czterdziestosiedmioletni szyper średniej wielkości kutra *UST-24*, usiłował prowadzić swoją jednostkę po ciemku, bez świateł nawigacyjnych i radaru. Szli na północ, w kierunku Szwecji z prędkością 8 węzłów, największą, jaką mógł wycisnąć z kochanej, starej łajby. Noc była ciemna, bezksiężycowa, przez warstwę chmur nie widać było gwiazd. Daleko z tyłu pozostały światła łądu. Migające światło latarni morskich w połączeniu z namierzeniami kierunkowymi pozwalało określić z grubsza pozycję. Wyłynęli dwie i pół godziny przed późnym tej porze roku zmrokiem. Gdyby nie zachmurzenie, byłiby wciąż widoczni w świetle dnia.

Znajomy Kunca, były wojskowy, doradził mu, by nie używał radaru. To tak, jakby włączyć latarkę w ciemności, powiedział. Wszyscy będą wiedzieć, że tam jesteś. Kunc chciał przepłynąć do Szwecji, kupić tam towary i wywieźć do

Polski – oczywiście łamiąc blokadę. Po niecałych dwóch tygodniach blokada stała się dotkliwa, głównie na skutek paniki, powodującej masowy wykup towarów. Drugą przyczyną braków na rynku było zamrożenie importu. Unijne limity doprowadziły do upadku produkcji w branży spożywczej, a znaczna część firm uzależniła się od partnerów zagranicznych i przychodów spoza Polski.

Dla gospodarki był to szok. Mógł on zostać nieco skompensowany przez zmiany utartych już procedur i zachowań firm, ale na to trzeba było czasu. Przemytnicze rejsy stały się zyskowe. Kunc, jego brat i szwagier postanowili skorzystać z okazji, by odbić nieco z kiepskiej egzystencji, jaka pozostała po unijnych limitach połowowych. Udało im się nawiązać kontakt z przebywającym w Szwecji znajomym. Ten miał im nadać miejsce i czas odbioru żywności, alkoholu i papierosów.

Robili sobie nadzieję na niezły interes. Wszyscy, którzy mieli łodzie, wypływali od wprowadzenia blokady albo na połów, albo na przemyt. Ceny żywności podskoczyły pierwsze. Za nimi podskoczyły i alkohole, paliwo, podrzecz miała wkrótce elektryczność. Trzeba było jakoś żyć.

Kunc od czasu do czasu oświetlał latarką tarczę kompasu. Na używanie innych pomocy nawigacyjnych nie można było sobie pozwolić. Jego brat, Krzysztof stał na dziobie z lornetką. Granicę wód terytorialnych przekroczyli jeszcze za dnia. Kierowali się na północ, z Ustki w stronę szwedzkiej Karlskrony. Mieli nadzieję w ciągu kilku nocnych godzin przebyć siedemdziesięcimiłowy pas wód międzynarodowych i znaleźć się na bezpiecznych wodach terytorialnych neutralnej Szwecji. Wiedzieli, że okręty EAF pozostają na zachodnim Bałtyku – i choć mogą dopłynąć do ich szlaku nocą, to jednak do tej pory tak daleko się nie zapuszczały. Byle ich nie zauważyli.

Kunc bardziej usłyszał niż zobaczył Krzyśka, który przyszedł z dziobu do sterówki.

- Zatrzymaj silnik – zawołał tamten. Dominik posłusznie pociągnął przepustnicę i zdusił obroty.
- Co jest? – zapytał.
- Sam posłuchaj.

Silnik już nie terkotał. Przez szum fal przebijał wyraźnie dźwięk silników lotniczych. Przypominał te samoloty turbośmigłowe, które latały czasem do Szwecji. Tyle że był bardziej donośny. Dominik zorientował się, że samolot leci nisko. Usiłował go zobaczyć, jednak maszyna pozostała niewidoczna. Miał nadzieję, że samolot leci w chmurach.

Spod pokładu wyszedł Jan Duda, szwagier Dominika.

- Co się dzieje? – spytał.

- Samolot – odpowiedział Dominik,
- Widział nas?
- Chyba nie. Ja bym go pierwszy zobaczył.

Dźwięk silników umilkł. Kunc odczekał, po czym pchnął przepustnicę do oporu. Przy braku jakiegokolwiek rezerwy czasowej musieli się spieszyć, by zdążyć przed świtem.

Nad środkowym Bałtykiem godz. 23:30

Kapitan Jens Breitenbach przekazał meldunek o zauważonym kutrze. Miał powód do zadowolenia. Lot był trudny. Jego *P-3C* leciał poniżej podstawy chmur, zaciemniony, z wyłączonym radarem, na czterech silnikach. Tej nocy nie można było latać inaczej. Na dużej wysokości straszły wciąż atakiem polskie stanowiska rakiet ziemia-powietrze *SA-5*. Radar był bezużyteczny z powodu notorycznego zakłócania przez Polaków. Zejście poniżej chmur i horyzontu radarowego uwalniało od uciążliwych pozorowanych ataków. Co prawda promień działania samolotu i czas patrolowania znacznie spadł w związku ze wzrostem zużycia paliwa. Lot pod chmurami wymagał niezwykłego skupienia ze strony obu pilotów – chwila nieuwagi mogła skończyć się uderzeniem w wodę. Był zarazem świadectwem doskonałego wyszkolenia załogi. Co najważniejsze – pozwalał korzystać z kamery termowizyjnej umieszczonej w zasobniku pod skrzydłem *Oriona*. Właśnie operator tej kamery wykrył kuter. Dlatego patrol, w przeciwieństwie do lotu na dużej wysokości, mógł być zaliczony do udanych.

Breitenbach nie zrobił zwrotu i nie przeleciał ponownie nad kutrem. Kamera śledziła jednostkę dłuższą chwilę. Na tej podstawie komputer wyliczył jej położenie, kurs i prędkość. Rzut oka na wyświetlacz mapy wystarczył Breitenbachowi do wysnucia wniosku, iż polski kuter idzie do Karlskrony. Nie dojdzie tam, tego był pewien.

Bałtyk, na wschód od Bornholmu 13 czerwca 2008r, godz. 1:45

Na rufowym pokładzie francuskiej fregaty *Germinal* panowała gorączkowa krzątanina. Do śmigłowca *NH-90* ładowała się wzmocniona drużyna *troupes de marine* – francuskiej piechoty morskiej. Okręt płynął samotnie w zaciemnie-

niu w kierunku przesmyku między Szwecją a wyspą Bornholm. Zadanie, jakie otrzymał od admirała Dentersa dowódca *Germinala*, *capitaine de corvette* Alexandre Vigoreaux, było proste: zająć na międzynarodowych wodach polski kuter, wykryty przez *Oriona*.

Niepokój komandora podporucznika Vigoreaux budził jedynie fakt, iż okręt sił EAF po raz pierwszy zpuścił się tak daleko na wschód bez wsparcia sił nawodnych. Co prawda w pobliżu krążyły dwa niemieckie myśliwce *F-4F* gotowe interweniować, gdyby Polacy próbowali zaatakować słabo uzbrojony *Germinal*. Mimo wszystko ryzyka nie można było całkowicie wyeliminować. Vigoreaux był zadowolony z tego, że przekonał admirała Dentersa do przechwycenia kutra późną nocą, gdy będzie on już bliżej Szwecji, a *Germinal* mógł skryć się za wyspą Bornholm.

Na rozkaz Vigoreaux fregata wykonała pod wiatr, w kierunku północno-zachodnim. Śmigłowiec rozgrzał już silniki. Gdy tylko okręt ustawił się pod wiatr, maszyna zwiększyła obroty i uniosła się z pokładu. Pilot przechylił śmigłowiec, odchodząc od osi okrętu, pochylił nos i rozpędził na północ, by po chwili skierować na wschód, w kierunku poszukiwanego statku.

Bałtyk, kuter *UST-24* godz. 1:55

Szypra Kunca nie zaniepokoił kolejny przelot samolotu. Słysząc go było teraz wyraźniej, nawet przez warkot silnika. Był przekonany, że i tym razem załoga samolotu go nie dostrzegła. Po chwili usłyszał go znowu. Tym razem przeleciał blisko i Kunc zaniepokoił się nie na żarty. Co się działo? Czyżby tamci jednak ich wykryli?

Odpowiedź przyszła nagle. Od tyłu oświetliło Kunca jaskrawe światło.

- Janek, kurwa, zgaś to! – ryknął Kunc i odwrócił się, by skoczyć w kierunku szwagra. To nie Duda jednak robił mu kawał. Za rufą wisiał śmigłowiec. Oślepiony Kunc z trudem to sobie uświadomił, gdy dotarł do niego łopot wirnika.
- Co jest, do cholery?! – wykrzyknął Kunc. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mu odpowiedzieć. Jego brat, Krzysztof, równie zaskoczony, gapił się z dziobu na oślepiający reflektor. Duda wyszedł spod pokładu. Spojrzał na światło, usłyszał łomot łopat śmigłowca i nie odezwał się ani słowem.

Maszyna zbliżyła się do kutra i zawisła nad pokładem. Ze śmigłowca opadły liny. Po nich zjechały na pokład ciemne, uzbrojone postacie, które rozbiegły się po pokładzie. Kuncowie i Duda byli tak zaskoczeni, iż nie próbowali nawet za-

reagować. Nim zrobili jakikolwiek ruch, żołnierze *troupes de marine* sterroryzowali ich pistoletami maszynowymi, powalili na pokład i opanowali kuter. 30 mil na wschód od Bornholmu *UST-24* wpadł w ręce sił EAF. Dochodowa eskapada Kunca, jego brata i szwagra skończyła się aresztowaniem ich i kutra przez siły Dentersa.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej godz. 2:30

Marc Vandenoort patrzył z satysfakcją na program informacyjny *BBC News*. Kamera pokazywała polski kuter w świetle reflektora śmigłowca *NH-90*, francuskich *troupes de marine* powalających polską załogę i opanowujących *UST-24*. Spiker informował o dwóch innych jednostkach zatrzymanych tej nocy w podobny sposób – przy użyciu desantu śmigłowcowego i wysuniętych okrętów patrolowych. Vandenoortowi to się spodobało. Po fatalnych z punktu widzenia *public relations* wiadomościach z fotografią przemalowanego niemieckiego *F-4* i wchodzącymi do Gdańska statkami, wreszcie jest co pokazywać Europejczykom.

- Nareszcie Denters robi, co do niego należy – odezwał się do siedzącego obok Schustera. – Blokada musi być całkowita. Zaczyna już przynosić skutki. Ukraina podniosła cła i opłaty tranzytowe. Rosja za chwile zrobi to samo. Oba państwa wprowadzą za chwile własne embargo wobec Polski na handel i transport, bo z powodu blokady Polski też tracą znaczne sumy. Nie są w stanie nacisnąć nas, więc będą naciskać Polaków. Jesteśmy skuteczni. Nie minęły jeszcze dwa tygodnie od rozpoczęcia blokady, a już wiadać jej skutki w postaci wzrostu cen, braku towarów i niepokojów społecznych. Jeszcze trochę i rzucimy Polaków na kolana. Ratyfikacja traktatu będzie formalnością.
 - Jeśli Polacy nie wytną jakiegoś numeru... – zaczął Schuster.
 - Cuda się nie zdarzają – stwierdził Vandenoort. Złapał za słuchawkę telefonu. O tej porze byli sami, więc osobiście połączył się telefonem satelitarnym z *Trompem*. Zgłosił się adiutant admirała.
 - Tu Vandenoort. Chciałbym rozmawiać z admirałem.
- Po chwili przy telefonie zjawił się admirał.
- Denters. Słucham, panie przewodniczący.
 - Gratuluję panu udanej akcji. Jeszcze trochę, a uszczupli pan poważnie wolę Polaków trwania w uporze. Kutry zatrzymamy na poczet odszkodo-

wania za koszty blokady. To świetny sukces. Liczę na kolejne efektowne zatrzymania.

- Dziękuję – admirał zrobił pauzę. – Proszę jednak być przygotowanym na to, że nie wszystko pójdzie gładko. Polacy robią nam spore trudności.
- Przesadza pan! – Vandenoort był w świetnym humorze i nawet nie chciał mu się opieprzać admirała za czarnowidztwo. – Co takiego robią? – zapytał wesołym tonem.
- Zakłócają nasze radary. Samoloty patrolowe muszą korzystać z kamer termowizyjnych, a te mają mniejszy zasięg. Musimy latać dalej.
- I tak musicie przecież patrolować cały południowy Bałtyk – zauważył Vandenoort przytomnie.
- Owszem, to jednak nie wszystko. Cały czas moje maszyny nękane są pozorowanymi atakami wyrzutni pocisków przeciwlotniczych dalekiego zasięgu *SA-5 Gammon*. Muszą przez to latać na małej wysokości, a to skraca czas patrolowania i zwiększa zużycie paliwa.
- To są pozorowane ataki – oburzył się Vandenoort. – Niech mi pan nie wmawia, że lotnicy boją się straszaków!
- Nigdy nie wiadomo na pewno, czy atak jest pozorowany. Nie możemy go zignorować. Ta robota strasznie szarpie nerwy.
- Nie możecie po prostu latać poza zasięgiem tych rakiet?
- To paskudztwo może zestrzelić samolot nad Szwecją lub Kopenhagą.

Vandenoort zamilkł zaskoczony.

- Spodziewa się pan czegoś więcej? Po zajęciu trzech kutrów?
- Nigdy nie wiadomo, gdzie jest ta granica, za którą przeciwnik przestanie biernie patrzeć, a zacznie działać. Na razie są cierpliwi, ale nikt nie wie, ile to potrwa. A jeśli w morze wyjdą ich okręty podwodne...
- Po to dostał pan niemieckiego *206*, żeby uniemożliwić im wyjście.
- Wiem. Mimo wszystko to najgroźniejsza ich broń. Lotnictwa aż tak się nie obawiam.
- Niech pan robi swoje. Wspólnie zadbamy, żeby zakończyć tę sprawę jak najszybciej.
- Tak jest, panie komisarzu.

Vandenoort rozłączył się.

- Cholerny cykor – stwierdził do Schustera.
- Nie oceniaj go pochopnie. On jest na pierwszej linii.
- Po to jest żołnierzem. Za to mu płacimy.
- Płacimy mu też za ocenę sytuacji militarnej. Skoro twierdzi, że Polacy nie są tak ulegli, jak się spodziewałeś, to raczej wie, co mówi.

- Padną wkrótce, a wtedy nie będzie miało znaczenia, co Denters gadał.
- Obyś miał rację.

Komisariat Policji Poznań-Nowe Miasto

godz. 4:55

Komisarz Zbigniew Nawrocki z wdzięcznością popatrzył na aspirant Emilię Sobczak, gdy ta postawiła przed nim kubek gorącej kawy. Nawrocki leciał z nóg. A raczej padłby, gdyby nie kolejna kawa tej nocy. Nocna służba w tym gorącym okresie dawała się we znaki bardziej niż zwykle.

Nigdy nie brakowało im roboty, ale to, co się działo od tygodnia, przekraczało wszelkie wyobrażenia. W związku z blokadą uaktywnili się wszelkiej maści kombinatorzy, przemytnicy i inne ciemne typy. Pół biedy, że przemycali, a czasem oszukiwali. Gorzej, że w pogoni za łatwym zyskiem zaczęli do siebie strzelać. A to już groziło śmiercią lub zranieniem przypadkowym osobom.

Nie brakowało też innych zajęć. Co chwila inna demonstracja to popierała Unię Europejską w jej żądaniach wobec Polski, to sprzeciwiała się stanowczo blokadzie. Jedyne, co w tym było pocieszającego, że tych drugich było zdecydowanie więcej. Niestety i jedne i drugie kończyły się zazwyczaj przepychankami i bijatykami, a to była kolejna robota dla policji – operacyjna i papierkowa.

- Długo tak nie pociągniemy – stwierdziła Emila. Sięgnęła po paczkę z papierosami. Nawrocki też wrócił do palenia, choć obiecywał sobie, że rzuci. Oboje próbowali, jednak bez nikotyny i kofeiny nie daliby rady. Nic dziwnego, że walka z nałogiem była bezowocna.
- Racja – przytaknął Nawrocki. – Ludzie przyzwyczaili się do wysokiego poziomu życia, to teraz zapłacą każdą cenę za dostępność whisky, marlboro czy elektroniki. A bandziory tylko korzystają.
- Nie mówię o nas. Mówię o kraju – sprostowała Emila. – Chociaż co do nas to się zgadzam. Wszystko się posypie.
- Ciekawe, co nasi genialni politycy robią w tej sprawie? – komisarz włączył radio.

...poinformowały o zatrzymaniu na Bałtyku trzech polskich kutrów płynących do Szwecji, prawdopodobnie w celu przemytu towarów. Siły EAF aresztowały załogi i zarekwirowały jednostki. Przewodniczący Komisji Europejskiej Marc Vandenoot powiedział Radiu France Internationale, iż jest bardzo zadowolony z ostatnich sukcesów morskich sił EAF „To duży sukces w utrzymaniu blokady.

Jesteśmy zdeterminowani walczyć o prawa człowieka w Polsce do ostatecznego sukcesu”...

Nawrocki wyłączył odbiornik.

- Tylko ta kichowata propaganda. Bombardują nas hiobowymi wiadomościami – stwierdził.
- A są inne? – spytała Emila.
- Tylko jeszcze gorsze.
- A co z tymi pobitymi demonstrantami. Coś drgnęło?
- Gdzie tam. Wojsko ma inne problemy na głowie. Żandarmeria nie współpracuje. Próbowalem ruszyć coś innymi kanałami. Dzwoniłem do Dowództwa Sił Powietrznych, chciałem nieoficjalnie wyciągnąć jakieś wsparcie. Uzyskałem tylko zapewnienie jakiejś miłej pani, że jak tylko generał upora się z kryzysem unijnym, to chętnie mi pomoże. Do dupy z taką współpracą.
- A ty byś nie spławił intruzów, zwłaszcza teraz? – zauważyła Emila.
- Może i masz rację – Nawrocki się zamyślił. Kto na kogo i dlaczego napadł na Ratajach? Gdyby zdołał ruszyć tę sprawę... Gryzła go nie tylko ciekawość. Wyrobiony przez lata szósty zmysł podpowiadał, że sprawa jest ważna. Do kilkudziesięciu takich bójek dochodziło co roku między bardzo różnymi ludźmi. Wiele szczegółów nie pasowało zwykłego zajścia tego typu.

Na razie jednak komisarz miał związane ręce. Wszystko, co mógł zrobić, to wrócić do domu i trochę się przespać. Nie miał nawet ochoty tłumaczyć żonie i córce, co oznacza cały ten bałagan.

Powidz, baza lotnicza godz. 10:30

Marciniak szedł na odprawę z mieszanymi uczuciami. Cały ten bałagan po mału wymykał się spod kontroli. Latali już nawet po dwa razy dziennie. Obsługa techniczna harowała bez wytchnienia przy starych *Sukach*. Piloci nie opuszczali lotniska. Oni też harowali, latając na zmianę, śpiąc na zmianę, w nielicznych przerwach dyskutując o zaistniałej sytuacji. Większość była zdania, że trzeba walczyć, choć perspektywy na wygraną były marne. Znikąd żadnej pomocy. Czas grał na niekorzyść Polski. Rosja i Ukraina ogłosiły już, że 21 czerwca wprowadzą własne obostrzenia w handlu i ruchu granicznym. Nie całkowite, ale wystarczające, żeby przygnieść, i tak już ledwie zipiącą polską go-

spodarke. Jedyne jakiś cud mógł uratować rząd stawiający opór przed brutalną siłą i politycznym przymusem. Dla wszystkich posiadających najmniejszy nawet instynkt polityczny było jasne, iż jeśli padnie rząd, to następny nie będzie miał wielkiego pola manewru. Będzie musiał przyjąć warunki Komisji Europejskiej, zgodzić się na eurotraktat i przyznać tym samym do łamania praw człowieka. A jeśli Polska zostanie złamana, żadne państwo w Europie nie zakwestionuje już eurotraktatu. Tym samym zacznie on obowiązywać, pieczętując kompletne zwycięstwo Vandenoorta i jego opcji politycznej.

Kłopoty Marciniaka chwilowo zeszyły na dalszy plan. Spodziewał się ich jednak niebawem. Gliny mają inną robotę niż przejmowanie się jakąś bijatyką, choćby politycznie niekorzystną. Sprawa prędzej czy później jednak wróci, a wtedy będzie cholernie trudno się wykaraskać. Chyba, że...

Doszedł do sali odpraw i zarzucił myślenie o własnych sprawach. Trzeba pilnować swojej pozycji tutaj, pomyślał. Wszedł i usiadł w czwartym rzędzie obok Tkaczyka, ale nim zdążył zagadnąć go, do sali odpraw wkroczył pułkownik.

– Baaaczność!

Piloci poderwali się z miejsc.

– Spocznij – Nowaczyk odesłał ich na siedzenia. Podeszedł do mównicy. Rozłożył swoje dokumenty.

– Panowie, mamy dziewiąty dzień embarga, jakie nałożyła na nas Unia Europejska. Ogólna sytuacja jest jednak mocno nieciekawa. Blokada kosztuje naszą gospodarkę 63 miliony dolarów dziennie. Są to koszty niezrealizowanych kontraktów, wzrostu cen, utraty turystów, rezygnacji z połączeń lotniczych i morskich, wzrostu kosztów tranzytu, głównie przez państwa zza wschodniej granicy. Społeczeństwo jest podzielone i przyciśnięte do muru. Kupa naszych rodaków została za granicą; najwięcej na Wyspach. Są zablokowani. Nie mogą dostać się do kraju. Gospodarka uzależniona jest od unijnej pomocy i swobodnego dostępu do unijnych rynków. Według analityków Ministerstwa Gospodarki upłynie co najmniej pół roku, nim dostosuje się do nowej sytuacji. W tym czasie stracimy miliardy.

– Próbujemy znaleźć polityczne rozwiązanie, ale nie jest to łatwe. Próbowali mediować Amerykanie. Ich siła przetargowa jest jednak słaba. Vandenoort nie dostarczył im pretekstu do bezpośredniego wsparcia wojskowego. Polityka Vandenoorta jest o tyle sprytna, że udało mu się zneutralizować NATO i uniknąć zdecydowanej amerykańskiej interwencji. Nie możemy liczyć na Amerykanów ani w postaci przełamania przez nich blokady, ani wsparcia zaopatrzeniowego czy uzbrojenia.

Piloci zaszemrali.

- Panowie, to co teraz powiem, jest jeszcze bardziej tajne, niż cała nasza odprawa – powiedział pułkownik. Przywrócił tym ciszę na sali. Odczekał jeszcze chwilę. – Oficjalnie Amerykanie nam nie pomagają. Jednak nieoficjalnie... Otrzymujemy od nich dane wywiadowcze. Są to zdjęcia satelitarne i informacje z nasłuchu elektronicznego. Co ważniejsze... dostaliśmy od nich specyfikację amerykańskiego sprzętu używanego przez siły EAF. Przynajmniej teoretycznie wiemy, jak zagłuszyć radary *F-4* i *F-16 MLU*, a także pocisków *AMRAAM* i kierowania ogniem dla raket *Sea Sparrow* i *Standard* oraz wszelkiego innego sprzętu pochodzenia amerykańskiego, a tego, jak wiecie, w siłach EAF jest niemało.

Po sali przeszedł szmer. Marciniak zastanawiał się, czy w ramach Kwazara da się szybko wdrożyć tę wiedzę. Jeśli tak, to ich szanse w razie ewentualnego starcia rosły. Pytanie – jak bardzo?

- Bez wątpienia oczekivalibyśmy więcej, ale w tej sytuacji musi wystarczyć nam to, co mamy. W końcowym rozrachunku nawet taka pomoc może okazać się przydatna i przeważać szale na naszą korzyść. Musimy zyskać przewagę i przejść do działań ofensywnych. Do tej pory to EAF dyktowała nam warunki. Utrudniamy im życie, jak tylko się da, ale to za mało. Musimy wzmóc presję, by osłabić działanie blokady. Maszyny walki radioelektronicznej będą działać jak do tej pory – zbierając sygnały radarów okrętów EAF i zagłuszając je. W związku ze wczorajszymi zatrzymaniami kutrów spróbujemy wykurzyć okręty tych sukinsynów z okolic Bornholmu.

Pułkownik wyświetlił mapę zachodniego Bałtyku.

- Plan jest następujący. Mniejsze okręty patrolowe, korwety i małe fregaty zapuszczają się w celu przechwytywania naszych jednostek handlowych nawet na wschód od Bornholmu. Wysyłają śmigłowce z piechotą morską w celu zajęcia jednostek wykrytych przez samoloty patrolowe *P-3 Orion*. Potem eskortują zajęte statki w kierunku Kopenhagi. Naszym zadaniem będzie demonstracja siły. Załogi walki radioelektronicznej zagłuszają łączność i radary wysuniętych patrolowców. Maszyny uderzeniowe dokonają przelotu „kosiakiem” nad tymi okrętami. Nasze przesłanie jest jasne: możemy was w każdej chwili zatopić. Lot wykonamy za dnia.
- Co, jeśli otworzą ogień? – spytał Lisowicz.
- Maszyny WRE zabiorą *H-25MP*. Jeśli padnie choćby jeden strzał, potraktujemy nimi okręty. W pojedynkę, w warunkach zakłócania i braku pocisków przeciwraketowych są znaczne szanse, że oberwą. Zadanie wyko-

na nasza eskadra przy wsparciu pozostałych *Szparek*. Zabierzcie się za opracowanie planów lotu. Dla każdej z maszyn biorących udział w akcji przewidziana jest jedna rezerwowa, więc będziecie mieli sporo roboty. Czas wykonania – jutro o świcie. Są pytania?

- Mamy zamiar przegonić ich z tej części Bałtyku? – zapytał Marciniak.
- Tak to określiło dowództwo.
- I chcemy, by blokada była nieszczelna?
- Tego nie ma w rozkazie, ale wynika, że tak.
- To czemu nie zwiniemy im jednego z tych *P-3C*? – drażył Marciniak, któremu pewna myśl nie dawała spokoju. – Przecież to one decydują o szczelności tej blokady.
- Poruczniku, wykonujemy rozkazy. Nie dostaliśmy rozkazu zestrzelenia tych samolotów. Nie otworzymy pierwszego ognia. Ma pan jakieś wątpliwości?!
- Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, nie chodzi mi o strzelanie do tych gratów. Politycznie strzelilibyśmy sobie samobójca. Wystarczy jednak, że grzecznie poprosimy ich o wylądowanie u nas. Z pewnością nie odmówią.

Rozległy się śmiechy. Nowaczyk wbił wzrok w Marciniaka, który przez moment pożałował swojego wysoku.

- Poruczniku Marciniak... – zaczął
- Panie pułkowniku, może Marciniak ma rację? – wtrącił Krzyżanowski – Tych samolotów jest niewiele, stanowią jednak morskie oczy EAF. Zabranie im jednego to będzie dla nich poważny cios.
- Panowie, rozkaz jest wyraźny! – powtórzył Nowaczyk.
- Lecąc nad fregaty też ryzykujemy – zauważył major Kwiecień. – Co gorsza, to oni mogą nam również dołożyć. Przy *Orionie* nie ryzykujemy nic. Jeszcze nie słyszałem, żeby *Orion* kogoś zestrzelił.

Znowu rozległy się śmiechy. Nowaczyk podrapał się po brodzie. Zastanawiał się. Jego podwładnym marzyła się awantura – większa niż na to wskazywały rozkazy. Z drugiej strony demonstracja siły przelotem nad słabiutką francuską fregatą niewiele by dała. To, co proponowali jego piloci, było zuchwałym i godzącym w zasoby i wizerunek przeciwnika posunięciem. No i właśnie rzucili mu wyzwanie.

Mógł oczywiście zasłonić się rozkazem. Wyszedłby na służbistę i cykora, gdyby chociaż nie spróbował pogadać z Dziadkiem, z którym przecież znali się jak łyse konie. A Dziadek miał swoje układy z politykami...

- Bierzcie się do roboty! – rzucił.

Powidz, baza lotnicza 14 czerwca, godz. 1:50

Sala odpraw tym razem świeciła pustkami. Przebywali w niej, stojąc przed ekranem, na Nowaczyk, Kwiecień, Tkaczyk, Lisowicz, Kawecki, Królak, Marciniak i Czarnecki. Wszyscy mieli wziąć udział w najbliższej misji. Na ekranie pojawiła się mapa Bałtyku z naniesionymi symbolami. Łysoń był w dobrym humorze:

- Są dwie dobre wiadomości. Po pierwsze, nasi specje już zaprogramowali zasobniki *SPS-141 SC* na zagłuszanie radarów EAF pochodzenia amerykańskiego. Oprogramowanie do zakłócania sprzętu produkcji europejskiej musi jeszcze poczekać, bo nie mamy wszystkich charakterystyk emisji, ale jest w drodze. Na razie musimy polegać na zakłóceniach szumowych.

Marciniak pomyślał, że lepiej byłoby nie sprawdzać, czy to oprogramowanie działa jak należy. Założyłby się, że reszta obecnych na sali oficerów miała dokładnie tę samą refleksję. Czerwiński już zdążył wyliczyć, że ich zasobniki powinny narobić niezłego bigosu. Na pewno da się oślepić radary okrętów EAF na tyle, by nie połapali się, co się dzieje z *Orionem*.

- Druga dobra wiadomość: dowództwo zatwierdziło wasz pomysł, choć podobno, w co nie wątpię, musiało uzyskać akceptację premiera i prezydenta. Z jedną małą modyfikacją – przelecimy się nad ichnimi okręcikami, a potem zabierzemy się za *Oriona*. To znaczy – zabierzecie się wy z Marciniakiem i myśliwcami, bo my wracamy do bazy. Nie będziemy kusić licha dłużej niż to niezbędne. Popatrzcie.

Pułkownik wyświetlił symbole na mapie.

- Na północ od Bornholmu krąży francuska fregata *Germinal* klasy *Floreal*. Ta sama, która zajęła wczoraj jeden z kutrów. Poluje na nasze statki na wodach międzynarodowych. Tkaczyk, Marciniak i Czerwiński pod moim dowództwem zajmą się *Germinalem*. Pozostali – pod dowództwem Kwietnia, zajmą się *Cazadorą*. To hiszpański patrolowiec klasy *Descubierta*. Krąży na południowy zachód od Bornholmu. Nie jest tak wredna, jak *Germinal*, zwinęła nam tylko jeden kuter, dowództwo jednak chce, żeby i Francuzi i Hiszpanie zmoczyli się ze strachu. Plan jest prosty: załogi *Szparrek* zakłócają wszelką emisję z okrętów. *Suki* podchodzą z dwóch kierunków w warunkach widzialności wzrokowej. Jedna maszyna od południa, druga od wschodu, od słońca. Przelatujemy, robimy dużo huku, patrzymy jak Francuzi i Hiszpanie brudzą sobie bieliznę i zmiotamy.

- Lecimy z naddźwiękową? – zapytał Tkaczyk.
- Nie. Nie chcemy trupów od pękającego szkła czy podmuchu. Mamy tylko pokazać im, że są podatni na atak. Zabieramy na pokład kamery, żeby pokazać później przelot w telewizji.
- Co z pozostałymi radarami okrętowymi i *Oriona*? – spytał Czerwiński.
- Zajmą się nimi maszyny z Czterdziestej Szóstej. Po ataku od razu zwrot na południe. W tym czasie *MiGi* zdejmują *Oriona*. Jeśli w trakcie akcji okręty otworzą ogień do maszyn uderzeniowych, *Szparki* mają im przypieprzyć *H-25*. Wszystko jasne?
- Co z końcem operacji? – zapytał Marciniak.
- Kiedy *MiGi* ściągną *Oriona* do naszej przestrzeni powietrznej, wy dacie im osłonę elektroniczną. Gdy tylko przekroczą linię brzegu, zwijacie się do bazy. Tu jest harmonogram i rozmieszczenie sił – Nowaczyk wyciągnął z teczki kilka arkuszy i rozdał lotnikom. – Bierzcie się za plan lotu. O trzeciej musimy być w maszynach.

Marciniak poczuł, że podskakuje mu tętno. Tu już nie było żartów. Być może przyjdzie mu strzelać do okrętów EAF. I być może sam znajdzie się pod ostrzałem.

Zachodni Bałtyk, na północny wschód od Bornholmu godz. 3:30

Capitaine de corvette Alexandre Vigoreaux, stał na pomoście fregaty *Germinal*, popijając kawę, którą przyniesiono mu z kambuza. Fregata patrolowała wody Bałtyku, idąc z prędkością ośmiu węzłów na wschód. Odkąd okręt został skierowany na wysuniętą pozycję patrolową w blokadzie, dowódca spędzał *gros* czasu na stanowisku dowodzenia. Vigoreaux miał świadomość, że jest pierwszą, potencjalną ofiarą ataku. Najdogodniejszą chwilę dla atakujących stanowiły godziny przed świtem. O tej porze czujność jest najmniejsza, a wschodzące słońce utrudniało obserwację wzrokową. Ktoś mógłby spytać, po co *Germinalowi* obserwatorzy z lornetkami – jednak Vigoreaux miał pewność, iż atak rozpocząłby się od elektronicznego osłepienia radarów.

Komandor sączył kawę przyniesioną mu na pomost przez kuka, gdy w głośniku sieci łączności wewnętrznej rozległ się głos:

- Pomost, tu radar. Silne zakłócenia radarów rozpoznania i nawigacyjnych, powtarzam, silne zakłócanie.

Capitaine omal się nie zakrztusił. Wziął mikrofon do ręki i przełączył do kabiny radio.

– Radio, nadaj informację do dowództwa sił nawodnych. Silne zakłócanie naszych radarów. Potrzebujemy wsparcia,

Po chwili odezwała się kabina radio:

– Pomost, tu radio. Zagłuszają nasze częstotliwości nadawania.

– Zrozumiałem radio – potwierdził Vigoreaux. Zwrócił się do oficera wachtowego – Ogłosić alarm bojowy. Maszyny, cała naprzód. Zwrot na kurs zachodni przez sterburtę.

Wachtowy potwierdził rozkaz. Dźwięk klaksonu poderwał wszystkich członków załogi. Ci, którzy spali, wyskakiwali z koi. Nieliczni marynarze w pośpiechu wybiegali z mes, wkładając kamizelki ratunkowe i hełmy. Biegli w szalonym pędzie na stanowiska bojowe. Okręt przyspieszał, co miało zwiększyć jego szanse na manewr w razie ataku.

– Samolot prawo sześćdziesiąt! – krzyknął obserwator z prawej strony pomostu.

Vigoreaux chwycił lornetkę i spojrzał w prawo, sześćdziesiąt stopni od osi symetrii okrętu. Nisko nad wodą mknął w ich stronę odrzutowiec. Nie wydawało mu się, żeby miał cokolwiek na podwieszaniach, ale mógł się mylić...

– Cel samolot prawo sześćdziesiąt – oficer artylerii podał komendę do dział, będącego kręgosłupem ich słabej obrony przeciwlotniczej. – Panie komandorze, proszę o pozwolenie otwarcia ognia.

– Nie zezwalam! – odkrzyknął Vigoreaux. Nie miał ochoty wszczynać wojny.

– Samolot od dziobu! – ryknął obserwator. Vigoreaux odwrócił głowę i spojrzał prosto w gorejące, wschodzące słońce. W samą porę, by dostrzec nadlatujący odrzutowiec.

Su-22 wynurzył się z tarczy słońca, z hukiem przeleciał wzdłuż prawej burty, poniżej topów masztów. Nikt nie zdążył zareagować. Potężny podmuch zrzucił kapitańską czapkę Vigoreaux do morza, a on sam aż skulił się od uderzenia powietrza i grzmotu.

Trzy sekundy później nadlatująca od burty maszyna przeskoczyła nad dziobem, na wysokości okien sterówki, zdawało się, że tuż przy wieży armaty kalibru 100 mm. Działo nie nadażyło śledzić samolotu. Ten już zresztą mknął na północ na małej wysokości. Zanim Vigoreaux zaczął znowu normalnie oddychać, huk odrzutowców umilkł, a one same zniknęły za horyzontem. Komandor zadał sobie sprawę, że gdyby był to rzeczywisty atak, to mogło być już po nich.

- Wypatrywać kolejnych maszyn! – krzyknął do obserwatorów. – Kontynuować zwrot na kurs 270. Wracamy do sił głównych!
Nie miał zamiaru czekać, aż Polacy podeślą mu kolejną falę bombowców.

P-3C Orion na południowy wschód od pozycji *Germinala*

Kapitan Jens Breitenbach założył okulary przeciwsłoneczne. Wschodzące słońce i jego odbłask na wodzie utrudniały obserwację z kokpitu lecącego na wschód nad Bałtykiem *P-3C*. Do tego Polacy jak zwykle zakłócali radar *APS-137*. Bez kamery w podwieszanym zasobniku trudno byłoby cokolwiek w tych warunkach wykryć.

Breitenbach przyjął ze spokojem meldunek nawigatora o zakłócaniu systemów łączności. I tak mogli nadać komunikat po przelocie na północ od Bornholmu. Tam zakłócanie przez polskie naziemne posterunki walki radioelektronicznej nie sięgało. Jeżeli Polacy nie mieli akurat w powietrzu samolotu lub śmigłowca *WRE*, można było spokojnie nadać meldunek do dowództwa, przesłać dane o położeniu, kursie i prędkości wykrytych polskich statków i kontynuować patrol.

Maszyna zbliżała się właśnie do południowo-wschodniego krańca strefy patrolowej, najdalej od trzonu własnych sił. Breitenbach wzmógł czujność, obserwując przestrzeń po prawej stronie. Miał pecha, bo zagrożenie przyszło z lewej.

Najpierw podniósł alarm ostrzegacz radarowy *ALR-66*. W ciągu ostatnich kilkunastu dni załoga oswoiła się już z próbami straszenia przez naziemne wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych. Teraz jednak kierunek zagrożenia – z lewej z tyłu – wskazywał na samolot. Ostrzegacz wyświetlił niewielkie cyfry – „29”. I to zmroziło Breitenbacha. Polski myśliwiec odcinał im odwrót do bazy, odcinał ich od głównych sił *EAF*.

Zanim kapitan zdążył powiedzieć cokolwiek, z lewej strony z dołu pojawił się dwusilnikowy odrzutowiec myśliwski w szare i zielonoszare plamy maskujące. Dymił jak lokomotywa. Breitenbach rozpoznał od razu groźną sylwetę *MiGa-29*. Maszyna miała podwieszony cały garnitur raket powietrze-powietrze.

- Cholera, szefie! – wykrzyknął drugi pilot. – Mamy drugiego z tyłu.

Myśliwiec po lewej przechylił się nagle na lewe skrzydło, demonstrując całą paletę uzbrojenia. Breitenbach prawidłowo odczytał ten gest: „bo jak wam przyp...!?”. *MiG* wyrównał skrzydła...

- Szefie, nadają do nas na częstotliwości alarmowej.
- Przełącz na interkom.
- ... Obrońca siedem zero, dowódca patrolu bojowego do *P-3 Orion* sześć zero zero pięć na środkowym Bałtyku; jak mnie słyszysz?
- Słyszę cię dobrze, Obrońca siedem zero; w czym mogę pomóc? – Breitenbach wiedział dobrze, że nie może w niczym pomóc polskimi myślami; usiłował jedynie zachować twarz.
- Sześć zero zero pięć, zmień kurs na jeden cztery zero, cel lotnisko Gdynia Babie Doły. Jak mnie zrozumiałeś? Odbiór.
- Zrozumiałem cię dobrze – Breitenbach odwrócił się w fotelu do drugiego pilota i przełączył się do interkomu. – Jak myślisz Willi? Polskie żarcie jest dobre. Chyba przyjdzie nam chwilę zabawić w Polsce.
- Mamy walczyć, szefie? – spytał operator radaru.
- Cholernie dużo byśmy zdziałali – Breitenbach zdziwił się, jak łatwo przychodziło mu żartować w tej sytuacji. Myślami wrócił do żony i córki, do swojego mieszkania w Wilhemshaven. Czy jeszcze je zobaczę? Muszę. Nie mogę ich tak zostawić. Wprawdzie jestem żołnierzem... przysięgałem bronić Niemiec... ale na skrzydłach mam flagi Unii, a nie krzyże maltańskie. Nie bronię Niemiec, więc jaki sens miałyby takie poświęcenie?
- No co chłopaki? – spytał po chwili milczenia. – Macie ochotę polec na polu chwały za zjednoczoną Europę Vandenoorta?

Nikt się nie odezwał.

- Sześć zero zero pięć, tu dowódca patrolu bojowego, Obrońca siedem zero. Zmień kurs na jeden cztery zero, lotnisko Gdynia Babie Doły. Masz na to minutę, inaczej otworzymy ogień. Jak mnie zrozumiałeś?
- Zrozumiałem cię dobrze. To niesprowokowany, bezprawny akt agresji – odpowiedział spokojnie Breitenbach. – Wykonuję. Bez odbioru.

Breitenbach wyłączył autopilota i przejął stery. Orion pochylił się w prawo i obszernym łukiem skręcił na kurs 140, w kierunku polskiego wybrzeża. Dwa *MiGi-29* podążyły za nim niczym cienie.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej

godz. 8:00

Marc Vandenoort oglądał wiadomości ZDF ze ściągniętą twarzą. Widział niemiecką załogę *P-3C* schodzącą na płytę lotniska w Babich Dołach. Żołnierze polskiej żandarmerii wojskowej sprawdzili, czy Niemcy nie mają broni, po czym odprowadzili ich do czekającego autobusu. Niemcy nie zakładali rąk na

kark ani nie unosili ich do góry. Sprawiali jednak wrażenie zrezygnowanych. Stali się pierwszymi wojskowymi jeńcami, bo jak do tej pory EAF zatrzymała jedynie polskich cywilów. Vandenoort domyślał się, co może dziać się w Niemczech. Komentator telewizji umieszczony w pobliżu lotniska Roskilde był bezlitosny:

Lotniczo-morska blokada Polski okazała się dla Unii Europejskiej i jej sił zbrojnych dużo trudniejszym przedsięwzięciem, niż początkowo zakładano. Najpierw jej nieszczelność wykorzystali przemytnicy, którzy potrafili zdobyć fałszywe dokumenty przewozowe i przechytryć kontrolę graniczną i morską. Potem przebijali się przez sito wojskowych radarów i systemów rozpoznania, by swobodnie wpłynąć do polskich portów nawet całkiem sporymi jednostkami. Próby uszczelnienia blokady skończyły się fiaskiem. Polacy pomysłowo i bez jednego wystrzału uszczuplili lotnictwo EAF o jeden z czterech samolotów patrolowych. Skuteczność blokady stoi pod wielkim znakiem zapytania.

Dalsze wiadomości wcale nie były lepsze. Okręty patrolujące Bałtyk w polowaniu na łamiące blokadę polskie jednostki musiały się wycofać. Denters wstrzymał loty patrolowe P-3. W wyniku prostej operacji zaczepnej Polaków siły EAF straciły kontrolę nad środkowym i wschodnim Bałtykiem.

Rozmowa Vandenoorta z Dentersem, jaka nastąpiła potem, nie należała do grzecznych pogaduszek.

- Jakim prawem wycofuje pan blokadę ze środkowego Bałtyku?! – ryknął do słuchawki Vandenoort, gdy tylko admirał zgłosił się na linii.
- Denters próbował wytłumaczyć mu sytuację:
- Muszę przygotować na nowo plan działań. Obecny nie pozwala mi skutecznie działać...
- Co pan mi tu pieprzy! – wszedł mu w słowo Vandenoort. – Ma pan dość sił, żeby prowadzić tę blokadę. Stracił pan samolot patrolowy...
- Straciłem jedną z czterech najpotrzebniejszych do tej blokady maszyn! – tym razem i Denters się uniósł – Nie mogę wznowić patroli bez gwarancji bezpieczeństwa dla pozostałych trzech. Polacy okazali się agresywniejsi, niż przypuszczaliśmy. Muszę dać im osłonę myśliwców...
- To niech im pan da, do kurwy nędzy, i nie daje się wodzić za nos! – wrzasnął Vandenoort. Schuster przyglądał mu się z dezaprobatą.
- To będzie dodatkowo kosztować...
- Niech pan nie pieprzy mi o kosztach! – Vandenoort nie dał sobie niczego powiedzieć. – Brak eurotraktatu i jedności europejskiej też oznacza koszty

- Vandenoort powiedział to nieco spokojniej, nadal jednak mówił o wiele za głośno.
 - Wobec takich incydentów musimy się też liczyć z wymianą ognia i ofiarami po obu stronach...
 - Niech mnie pan nie próbuje straszyć! – przerwał komisarz. – Jeśli dojdzie do strzelaniny, to będzie to wyłącznie wina Polaków. Pan ma za sobą wszystkie organy Unii. Niech pan zostawi politykę i zajmie się swoją robotą. Niech pan jak najszybciej odzyska kontrolę nad Bałtykiem. Zrozumiał pan?
 - Tak jest, panie komisarzu.
 - Czekam na efekty.
- Vandenoort odłożył słuchawkę. Spojrzał na Schustera.
- Wybierzemy się tam i zobaczymy na własne oczy, jak to wygląda i jak Denters wciela moje polecenia w życie. Każę Acostelle przygotować wizytę w Roskilde i na okrętach.
 - Na nasz przyjazd pomalują trawę na zielono... – zaczął Schuster. Vandenoort nie pozwolił mu skończyć.
 - Dlatego wybierzemy się tam po cichu – powiedział.

HNLMS *Tromp*, Kopenhaga **godz. 8:25**

Admirał Denters wyłączył telefon satelitarny w centrum dowodzenia. Stał w kabinie łączności w towarzystwie komandora Mesdegaarda i pierwszego oficera, komandora porucznika Arnolda Molenaara. Wszyscy trzej mieli niewesołe miny. Denters przezornie wziął ze sobą świadków, na wypadek, gdyby Vandenoort wydał mu jakieś szalone rozkazy. Mesdegaard i Molenaar czekali wnioski admirała.

- Widzicie panowie, że nasze zadanie staje się coraz mniej wdzięczne – rzekł po chwili Denters. – Może okazać się, że wywołamy strzelaninę w środku Europy w XXI wieku. Co pana trapi? – spytał, widząc minę Molenaara.
- Zastanawiam się, co zrobiliby Vandenoort, gdyby to Holendrzy, a nie Polacy wycięli mu numer z eurotraktatem. Raz już to przecież zrobili. Zablokowałby Holandię?
- Cholera go wie! Vandenoort to lewicowiec i internacjonalista. Być może...- rzekł Denters i zaraz uświadomił sobie, że nie powinien roztrząsać tego typu spraw z podwładnymi. – Nie nasz ból głowy. Jesteśmy zawo-

dowcami i mamy do wykonania robotę. Trzeba zaplanować patrole na nowo. Macie panowie jakieś sugestie?

Przeszli do wyświetlacza sytuacji taktycznej. Obraz pokazywał zachodni Bałtyk i pełną sytuację lotniczą i morską, z wszystkimi obiektami wykrytymi przez siły EAF. Przy płaskim, stołowym ekranie stali już oficerowie sztabu Dentersa.

- Lotnictwo będzie musiało dać osłonę myśliwską *Orionom* – powiedział Molenaar.
- Bez wątplenia. To cholernie podniesie koszty całej operacji. Polacy są cwani, wiedzieli, gdzie nas najlepiej trafią. Ich ta operacja kosztowała niewiele. Coś poza tym?
- Będziemy musieli chyba ruszyć siły główne co najmniej w kierunku Bornholmu, tak by szybko zareagować na wypadek ataku lotniczego na któryś z wysuniętych patrolowców – zasugerował Mesdegaard. – Musimy wzmocnić także ich osłonę przeciwpodwodną. Nie ryzykowałbym zostawienia ich tam sam na sam. Poza tym Polacy mogą dać osłonę nawodną swoim jednostkom łamiącym blokadę. Jeśli na wschodzie pozostaną tylko patrolowce, mogą wykonać taki ruch. Przeciw naszym siłom głównym raczej się nie odważą.
- Słusznie – zwrócił uwagę Denters. – Gdzie proponujecie panowie ustawić siły główne?
- Gdzieś na północny zachód od Bornholmu – powiedział Molenaar.
- By to przesunięcie miało sens, musimy się przemieścić dalej – skrzywił się Denters.
- Nie powinniśmy oddalać się za bardzo od własnych lotnisk – poparł zastępcę Mesdegaard. – *Standardy*¹⁴ z *Trompa* mogą dać osłonę wysuniętym okrętom, nawet jeśli będziemy krążyć na zachód od Bornholmu. W razie potrzeby możemy przesunąć się na wschód. Wyspa i szwedzkie wody terytorialne do pewnego stopnia osłaniają nas przed działaniami polskich okrętów podwodnych, pod warunkiem, że wysuniemy śmigłowce poza przybrzeżne płycizny. To dobre miejsce dla operowania siłami głównymi.
- W porządku – zgodził się Denters. Zawsze starał się słuchać opinii podwładnych, choćby nie mieli racji. Tym razem jednak zgadzał się z nimi, choć starał się ich sprowokować do argumentowania. Zawsze mogli dostrzec coś, co on sam przegapił. Zwrócił się do łącznościowca: – Połącz mnie z generałem Schneiderem.

14 Pociski woda-powietrze *SM-2 Block IIIA*

Lotnisko Roskilde, Dania godz. 8:50

Generał Karl Schneider, dowódca sił lotniczych EAF, szedł przez lotnisko w kierunku samolotów JGD 71. To, co musiał zakomunikować pilotom, bynajmniej mu się nie podobało. Wyglądało na to, że sprawy się komplikują. Z daleka dostrzegł Hartmanna, przy jego *F-4*. Major przejął obowiązki dowódcy eskadry. Jego poprzednik, podpułkownik Jensche, trafił do szpitala z powodu zatrucia pokarmowego, jakiego nabawił się podczas ostatniej przepustki. Wyglądało na to, że nieprędko wróci do służby. Schneider skinął na Hartmanna. Major odszedł od myśliwca i zbliżył się do generała.

- Manfred, przygotuj nowy plan lotów. Będziemy osłaniali *P-3* na każdym patrolu – rzucił. Zauważył, że major się skrzywił. – O co chodzi?
- Nasz *Phantomy* pomału przestają się nadawać do tak intensywnej służby – odrzekł Hartmann. – To trzydziestoletnie „ptaszki”. Sypią się. Pogotowie bojowe – tak, ale naziemne. Wyloty okazjonalne. W takiej sytuacji możemy zachować wysoką gotowość bojową. Ciągła harówka wykończy nas technicznie i moralnie.

Schneider wiedział, co Hartmann ma na myśli. Stare myśliwce często się psuły, do tego były ostatnimi tego typu maszynami w Luftwaffe. Zaczynało brakować części zamiennych. Technicy ledwie radzili sobie z naprawami, a do tego, jeśli rzeczywiście będą tak w nie orać, to po zakończeniu całej tej imprezy maszyny trzeba będzie spisać ze stanu i JGD 71, do czasu otrzymania *Eurofighterów* będzie jednostką naziemną. Jemu też się to nie podobało. Pomyślał jednak, że to problem rządu federalnego.

- Denters wymaga od nas pełnego wysiłku – rzekł. – Część wezmą na siebie belgijskie i holenderskie *F-16*. Jednak dyżurowania w powietrzu nie da się uniknąć. Będziecie musieli od czasu do czasu polecieć. Na 12:00 zaplanowałem odprawę. Chcę mieć gotowy wstępny plan. Uzgodnij go ramowo z dowódcami Belgów i Holendrów.
- Tak jest, panie generale – odpowiedział Hartmann z wyraźną niechęcią. Podkreślił ją służbistym zwrotem. Ze Schneiderem znali się od dawna – od czasu, kiedy generał był jeszcze żwawym majorem, a Hartmann nieopierzonym podporucznikiem. Schneider popatrzył na *Phantoma* z europejską flagą zamiast niemieckich krzyży. Miał ochotę wzruszyć ramionami, ale się opamiętał. Bez entuzjazmu ruszył w kierunku zaimprovizowanej na parkingu płyty postojowej belgijskiego 349 dywizjonu, by oznajmić nowe polecenia jego dowódcy.

Londyn godz. 17:55

Siedzieli we troje w wynajętym pokoju i zastanawiali się, co jeszcze są w stanie zrobić. Marta Kowalska, Adam Leszczyński i Agnieszka Madej – troje pechowców, którzy o włos nie załapali się na powrót z delegacji w Anglii przed blokadą.

Pieniądze na angielskim koncie Adama jeszcze były, ale ubywały szybko. Jeszcze tydzień, góra dwa, i nie starczy już nawet na bilet lotniczy.

- Niestety, na bilet lotniczy na Ukrainę czy do Kaliningradu nie mamy co liczyć. Nasi zapobiegliwi rodacy wykupili wszystko – Leszczyński referował swoje przeżycia z popołudnia. Obszedł i obdzwonił w sumie kilkadziesiąt przedstawicielstw różnych linii lotniczych. Wszędzie słyszał to samo. – Poza tym coraz trudniej dostać się z dawnego ZSRR do Polski. Ich własne embargo obejmuje także drobiazgową kontrolę paszportową. Podobno ci, którzy polecili do Rosji czy na Ukrainę, czekają nawet po kilkanaście dni na przejściu granicznym, a to oznacza znacznie gorsze warunki, niż pozostawanie tutaj.
- Pozostaje chyba tylko próba wejścia do samolotu na chłama – stwierdziła Marta. Drobną, uroczą blondynką, zawsze roześmianą, od tygodnia była mocno przygnębiona. – Jeśli ktoś zrezygnuje, możemy się wepchnąć.
- Odpada. Nikt nie zrezygnuje. Takich cwanych jak my jest na pęczki – rzekł Leszczyński. Dwa tygodnie koczowniczego życia nie zostawiły śladu po jego biznesowej elegancji. Elegancko przystrzyżony, szczupły brunet, zamienił się w niedogolonego chudzielca o nieco zapadłych oczach. W biznesie świetnie dawał sobie radę. Tu sytuacja wymykała się spod kontroli. – Poza tym mogłoby się okazać, że się rozdzielimy. Ktoś, kto poleci, być może da sobie radę. Jeśli zostaną dwie osoby, to też. Co jednak będzie, jeśli któraś zostanie samo tutaj? Poza tym takich chętnych jest na pęczki i tworzą się komitety kolejkowe. Nie mielibyśmy szans wobec mafii budowlanców czy hydraulików. Są bezwzględni i do tego mają więcej szmalu niż my.

Nie powinien wypowiadać ostatniego zdania, ale jakoś mu się wymknęło. W głębi duszy obawiał się upadku. Gdyby pozostali tu jeszcze jakiś czas, ich status okazałby się znacznie gorszy od tych emigrantów, którzy pracowali ciężko fizycznie. Nie było skąd zorganizować pomocy. Polska ambasada oficjalnie nie działała. Oficjalnie, bo Brytyjczycy nie wtrącali się zbytnio w to, co polscy dy-

plomaci robią w przymusowo wolnym czasie. Odcięci od Polski pracownicy MSZ jednak niewiele mogli zrobić.

- A co z tym promem? – spytała Agnieszka.
- Śliska sprawa – Adam miał wyrzuty sumienia, że w ogóle powiedział im o tej możliwości. – Wypłynię za tydzień. Może później. Oficjalnie płynie do Rygi. Mówią, że po drodze zawinie do Gdańska...
- Dużo osób o tym wie?
- Niewiele – przyznał Leszczyński. On sam dowiedział się od znajomego, który – jak się domyślał – trudnił się przemytem, przedtem w tamtą stronę, teraz z powrotem do kraju. – Niewiele, bo sprawa jest nielegalna i dość ryzykowna. Trzeba przepłynąć linię kontroli wśród okrętów wojennych.
- Przecież nie będą do nas strzelać – obruszyła się Agnieszka.
- Nie będą, ale mogą zatrzymać, a mimo wszystko to mieszkanie jest przyjemniejsze od okrętowego aresztu.
- Nie możemy czekać – stwierdziła Agnieszka. – Załatw wstęp na ten prom. Musi się udać.

Powidz, baza lotnicza godz. 18:20

- Ale jazda! – stwierdził Tkaczyk do grona pilotów w kantynie. Roztrząsali przy kawie wydarzenia ostatniej nocy, oglądając przymusowy przylot *Oriona* do Gdyni – Dostali po dupie aż miło. Ładnie wiali, nie ma co.
- Nie sądziłem, że tak łatwo to pójdzie – przyznał Kwiecień.
- Miał pan pietra, majorze? – spytał Czerwiński.
- Skądże znowu. Było nudno jak u cioci na imieninach. Co do cholery możecie o tym wiedzieć?! – zirytował się nagle. – Siedzieliście z daleka i nikt do was nie mierzył z „setki”.
- Właśnie dlatego pytam, jak było – odpowiedział z niezmaconym spokojem Czerwiński. – Chcę wiedzieć, zanim przyjdzie nam zrobić coś podobnego.
- Jeśli pytasz, czy adrenalina mi skoczyła, to tak. Przelot był świetny. Mam nadzieję, że musieli potem zmieniać gacie.
- Obrobiliśmy im jednego Oriona. Zostały im trzy. Będą musieli się nieźle spręzać, jeśli chociaż jeden im nawali – entuzjazmował się Tkaczyk.
- Długo ten stan nie potrwa – ostudził zapał Tkacza Królak. – Mają tyle samo maszyn co my. Tyle że dedykowanych do jednego zadania. Zagonią

nas w piętękę. Uruchomią stałe patrole bojowe i nawet nie postraszymy kolejnego Oriona.

- Dlaczego nie? – wtrącił się do rozmowy Marciniak. – Zawsze znajdzie się sposób...
- Niby jaki? – spytał Królak, ale nie doczekał się odpowiedzi, bo do kantyny wtargnął z trzaskiem otwieranych drzwi Lisowicz.
- Marciniak, masz gości! – ryknął na całą salę.
- Ja go kiedyś zatłukę za ten brak szacunku dla starszych – Marciniak przerwał wywód. – Usiłujesz mnie robić w balona? – zapytał Lisowicza – W stanie pogotowia musiałyby być to chyba kapelan generalny, żeby dostać przepustkę.
- To dziennikarka – odpowiedział tamten. – Ma chyba chody w dowództwie i status korespondenta wojennego.

Marciniak spojrział na Tkaczyka. Ten wzruszył tylko ramionami.

- W takim razie chyba pójdę. Idziesz ze mną? – spytał Michał.
- Jasne.
- Gdzie ona jest? – Marciniak zwrócił się znowu do Foksa.
- W pokoju zastępcy.

Marciniak i Tkaczyk podnieśli się z miejsc i ruszyli do sali odpraw.

- Wpadłeś w oko tej cizi, jak babcię lampą – stwierdził Tkacz, gdy tylko wyszli z kantyny.
- Zawzięła się na mnie. Może będziesz raz dobrym kumplem i zdejmiesz mi ją z ogona?
- Mowy nie ma! – zaparł się Tkaczyk. – Muszę zobaczyć, jak radzisz sobie z takim problemem. Będę miał ubaw po pachy.
- Kanalia... – rzucił Marciniak. Ciekawie zapowiadającą się wymianę zdań zakończyły im drzwi do pokoju Kwietnia.

Dagmara wyglądała jak zwykle zabójczo. Nawet sportowe ciuchy nie były w stanie zakryć jej sylwetki. Marciniak skłął się w duchu. Podobała mu się fizycznie jak cholera. Tylko czemu ma takie idiotyczne poglądy?

- Witam dzielnych pilotów! – rzuciła, wstając z krzesła.
- Witamy panią korespondentkę wojenną – odpowiedział Tkaczyk. – Nie ma to jak mała zadyma na skalę europejską. Wymarzona okazja do spotkania towarzyskiego.
- Żebyście wiedzieli – rzekła. – Będę miała najlepszy materiał, prosto z pierwszej ręki.
- Wątpię – powiedział Marciniak. – Nie wolno nam mówić nic o akcji.
- Czyli byliście tam dzisiaj?!

Marciniak ponownie skłął się w myśli za nieostrożność.

- Niczego takiego nie powiedziałem – stwierdził. – Nie wolno nam mówić o służbie. To wszystko.
- Nie bądź zły – dziewczyna złagodniała. – Zrobiłam ci coś?
- Dajcie spokój – wtrącił Tkaczyk. – Ledwie tu weszliśmy, już się bierzecie za łby. Co cię właściwie sprowadza?
- Chciałam zobaczyć was przy robocie.
- Chwilowo jesteśmy bezrobotni – zażartował Marciniak.
- Popatrzę sobie, jak gdzieś polecicie.
- Jeśli masz na to zgodę, to ok. Ale i tak nic ci nie powiemy.
- Nigdy nic nie mówicie. Ostatnim razem też polecieście, to tylko oglądałam skutki waszej roboty.

Marciniak i Tkaczyk spojrzeli po sobie.

- O czym ty gadasz? – zapytał Michał.
- O tych czterech aktywistach, których spraliście na Ratajach. Wyglądali jak chodzące nieszczęścia.
- To nie my – sprzeciwił się Marciniak, choć wewnątrz poczuł satysfakcję.
- Wyszli dobrą chwilę przed nami. Jak niby mieliśmy to zrobić? Pogoniliśmy za nimi sprintem i pobiliśmy ich we dwójkę?
- Liczyłam, że mi to wyjaśnicie. Twoje wyjaśnienie nie brzmi zbyt wiarygodnie.
- Bo i nie ma takie być. Nie mamy z tym nic wspólnego. Nie zamierzamy się tłumaczyć.
- A ja jestem księżną Yorku. Darowałbyś sobie te kity.
- Słyszałem, że waszą imprezę rozpedziły smerfy – odezwał się Tkaczyk. – Spędziłaś upojną noc w izbie zatrzymań?
- Nie. Wysłałam, zanim się zaczęło.
- Czyli oficjalnie mnie nie słuchasz, ale jak przyjdzie co do czego... – wtrącił Marciniak.
- Tak, Kasandro. Masz niezwykły dar przepowiadania nieszczęść. Powiesz mi imię przyszłego męża?
- Nie powiem, bo by wynikało z tego nieszczęście. Zostaniesz starą panną.
- Miło, że dobrze mi życzysz. Jak to dobrze mieć przyjaciół!
- Zawsze do usług!
- Możecie zmienić temat?! – wtrącił Tkacz głosem, który mógłby przyprawić o zawał bizona.
- Słuszna uwaga. Powiedzcie mi, co właściwie sądzicie o tej blokadzie? – Dagmara najwyraźniej miała dość komplementów.

- A co mamy sądzić?! – wyrwał się Tkaczyk. – To zwykle kurewstwo i tyle!
- Uważaj, co gadasz! – zgromił go Marciniak. – Nie cytuj tego błazna. On nie wie, co ma sadzić, a czego nie powinien.
- Nie o to mi chodziło... – zaczęła Dagmara.- Pytam, czy jest jakaś szansa na jej przełamanie.
- Chcesz odpowiedź oficjalną czy nieoficjalną?
- Jedną i drugą.
- Oficjalnie to możesz udać się do oficera prasowego. Opinii nieoficjalnej nie wolno ci zacytować.
- Wielkie dzięki!
- Nieoficjalnie więc, jak kopniemy ich w tyłek, to zatrzymają się w Brukseli.
- Eksperci mówią co innego.
- To my jesteśmy eksperci.
- Dobra dobra! Dziennikarze wojskowi mówią co innego. Że mamy za mało sił, że przestarzałe lotnictwo...
- A kto gardłował, że niepotrzebne nam *F-16*? Że to kosztowne zabawki? Jeden paćan z Brukseli ze swoją prywatną armią złożoną z kilkunastu okrętów różnej jakości i osiemdziesięciu starych samolotów odcina nas nie tylko od Unii, z którą chce nas siłą integrować, ale i od reszty świata. Lewicowy hipokryta.
- Ty zawsze swoje...
- Gizmo ma rację – wtrącił Tkacz. – Gdybyśmy mieli te trzy eskadry *F-16* gotowe do walki, pokazalibyśmy skurwysynom, gdzie raki zimują.
- A tak nie pokażemy?
- Bez komentarza.

Przerwali rozmowę, bo na dworze rozległy się dźwięki silników odrzutowych pracujących na jałowych obrotach. Jakies maszyny lądowały właśnie na pasie. Ki diabeł?

- Naprawdę jest tak źle?
- Może być jeszcze gorzej, jeśli dojdzie do walki.
- Przegramy?
- Kto nie wierzy w zwycięstwo, będzie zawsze niewolnikiem – rzekł Marciniak. – Ale spójrz prawdzie w oczy: kilkunastoletnia luka w modernizacji lotnictwa i marynarki przez kolejne rządy, ślepa wiara w to, że w Europie nie będzie żadnej wojny i że Unia i NATO nam wystarczą. I zobacz, co mamy! Tylko nie pisz, że to ja ci powiedziałem.

- A jednak pójdziecie walczyć.
- Jeśli padnie taki rozkaz, to pójdziemy. Taką mamy robotę. Przysięgaliśmy bronić tego kraju i wykonywać rozkazy przełożonych. A zresztą... właściwie co cię tak naprawdę interesuje? Szukasz krwi? Bo, znając twoje poglądy, przypuszczałbym, że popierasz blokadę.

Dagmara spojrzała na niego z ukosa.

- Naprawdę masz o mnie takie kiepskie zdanie?
- Jeszcze kilka tygodni temu dałabyś się pokrajać za postęp, europejskość i polityczną poprawność.
- Może zmieniłam zdanie?
- Chciałbym to zobaczyć.
- To jak? Możemy to wygrać? – przerwała tę przepychankę Dagmara.
- Być może tak. Politycznie. Propagandowo. Na Zachodzie też jest sporo eurosceptyków, którzy chętnie rozłożyliby eurotraktat. Na pewno nam kibicują. Liczą na to, że utrzymamy Vandenoortowi nosa. Ten zaś liczy, że łamiąc nas, zastraszy inne rządy.
- Czyli wszystko zależy od nas?
- Powiedzmy, że sporo – uśmiechnął się Marciniak.
- A możemy sobie pozwolić na przegraną?
- Nie. I Vandenoort też nie może sobie pozwolić. I to mnie niepokoi.
- Uważasz, że starcie jest nieuniknione?
- Tego nie wykluczam.
- To co będzie?
- Jak to „co”?! – Marciniak wzruszył ramionami. – Wojna!...

W głośniku radiowęzła zachrobotąło.

- Uwaga! – skrzeczący głos przerwał względną ciszę. – Załogi *Szparek* stawią się natychmiast w sali odpraw.
- Na razie! – rzucił Marciniak do Dagmary i ruszył do drzwi, kiedy radiowęzeł powtarzał komunikat. Szybkim krokiem wyszedł biura zastępcy. Tkaczyk ruszył za nim.
- A ty, od kiedy jesteś załogą *Szparki*? – zdziwił się Marciniak. – Nie chciałeś zostać z inną szparką sam na sam?
- Ciekawe, co znowu wymyślili? – zastanawiał się Tkacz. – Alarm to to nie jest.
- Nie wykręcaj się od odpowiedzi. Strach cię obleciał? Zrobiłeś się nieśmiały? A może zapomniałeś, jak to się robi?
- Ale nakręciłeś tę cipcię jak stary zawodowiec! – odciął się Tkaczyk. – Wojna i lekceważący stosunek do niej starego trepa. Mistrzowskie zagra-

nie! „Jak to co? Wojna” – przedrzeźniał Marciniaka. – Założę się, że miała kisiel w majtkach! – dorzucił.

Marciniak posłał mu ciężkie spojrzenie.

W sali odpraw zebrali się lotnicy biorący udział w locie, z wyjątkiem dowódcy eskadry Nim rozpoczęła się tradycyjna giełda pod hasłem „o co znowu tutaj chodzi”, drzwi otworzyły się, ktoś rzucił „Baczość!”, weszli Zdanecki z Nowaczykiem. Zdanecki rzucił „spocznij” i brać lotnicza rozlokowała się na krzesłach.

– Panowie! – przemówił generał – Gratuluję wam sukcesu w dzisiejszej operacji przechwycenia *Oriona*. Poszło jak po maśle, głównie dzięki temu, że była to precyzyjna robota, wykonana z pełnym profesjonalizmem i poświęceniem. Zadaliśmy naszym oponentom poważny cios prestiżowy i polityczny. Okazało się, że są nieprzygotowani do pełnienia policyjnej roli, jaka im wyznaczono. Skompromitowaliśmy ich bez jednego wystrzału. Taktycznie sukces jest także znaczący. Przeciwnik utracił cenny samolot patrolowy, istotny dla wykonywania jego operacji. Zmusiliśmy przeciwnika do większego wysiłku. Według najnowszych raportów naszych posterunków radiolokacyjnych i walki radioelektronicznej, *Oriony* latają teraz z osłoną pary myśliwców. Zwiad lotniczy marynarki twierdzi, że główne siły morskie EAF wyszły w morze i krążą na zachód-północny zachód od wyspy Bornholm, również osłaniane przez patrole myśliwskie. Blokada kosztuje nas sporo, ale jest też coraz bardziej kosztowna dla naszych przeciwników. Oznacza to zarazem większe wyzwanie dla nas. Nasze władze państwowe chcą, byśmy nadal utrudniali siłom EAF blokadę, zarazem dokonując takich operacji, jak dzisiejsza. Nie będzie to już tak proste. Przeciwnik jest czujny i prężny muskuły. Uprowadzić drugiego *Oriona* bez strzelaniny raczej się już nie uda. Słucham, kapitanie Królak?

– Marciniak mówi, że wie jak to zrobić – rzekł Królak. – Tak przynajmniej twierdził przy kawie – dodał.

Marciniak rzucił mu wściekle spojrzenie.

– Poruczniku? – spytał generał. – Mówił pan serio czy to jakaś zgrywa?

– Tylko luźne przemyślenia, panie generale.

– Proszę się z nami podzielić.

Marciniak zawahał się. A zresztą...

– Będziemy potrzebowali kilku *MiG-ów*, *Szparek* i naziemnych stacji ECM... Wszystkiego, czego może nam dostarczyć Kwazar.

- Z raketami włącznie? – spytał Królak.
- Panowie, skończcie te żarty – upomniał go Nowaczyk.
- Jakie są trasy i harmonogram lotów *Orionów*? – zapytał Marciniak.
- Latają dokładnie w tym samym kwadracie co poprzednio, na małej wysokości.– odpowiedział generał. – Osłona to para myśliwców, lata zazwyczaj na pięciu-siedmiu tysiącach metrów, 10-12 kilometrów za *Orionem*, tak by trzymać go na radarze i jednocześnie pilnować podejść z boku. Druga para myśliwców patroluje w pobliżu floty EAF.
- To jedyna bezpośrednia osłona? – dopytywał się Marciniak. – Żadnych patroli tuż nad powierzchnią wody?
- Naszym zdaniem tak. Głowacki sprawdzał to radarem przed przylotem tutaj.

Marciniak zastanawiał się chwilę.

- W takim razie to się da zrobić – powiedział.

Nad północną Polską, 15 czerwca, godz. 1:25

Marciniak i Czerwiński krążyli w *Su-22UM3*, wyposażonym w zasobnik *SPS-141*, na wysokości pięciu tysięcy metrów, gdzieś pomiędzy Słupskiem a Kartuzami. Podobnie jak kilka poprzednich, noc była pochmurna i bezkłęskowa. Tylko gwiazdy oświetlały niebo. Piloci nie mieli jednak czasu zajmować się astronomią. Siły EAF dostarczały im innej rozrywki. Gdzieś poniżej, w radarowym cieniu ziemi krążyły *MiGi-29*. Ich piloci – Krawczyk i Olszewski – mieli wyjątkowo niewdzięczne zadanie tej nocy. Musieli trzymać się nisko, nad lądem, a później nad morzem. Gdzieś na zachodzie, pomiędzy Koszalinem a Szczecinem krążyli w *Szparze* Kawecki z Królakiem. W pobliżu były jeszcze dwie *Szparki* z Czterdziestej Szóstej osłaniane przez dwie pary *MiG-ów* z 12 eskadry. Ich zadaniem było zakłócanie radarów okrętów EAF. Wspomagały ich w tym dwie *Bryzy* Marynarki Wojennej krążące w pobliżu Słupska. W skład zespołu realizującego przechwycenie wchodziły też bateria rakiet przeciwlotniczych *SA-5* i trzy naziemne posterunki walki radioelektronicznej.

- Radar *APG-65*. Lecą znów na wschód – ogłosił Czerwiński. – O, jest też *APS-137*. Gniazdo, tu Szpon sześć sześć. Widzę obu klientów na wschodniej odnodze. Właśnie lecą na wschód.
- Szpon sześć sześć, tu Gniazdo – odezwało się radio zniekształconym głosem Zdaneckiego. – Zrozumiałem, klienci na wschodniej odnodze. Dziób, Pazur, Kiel, Widmo czekajcie na sygnał. Odbiór.

- Szpon sześć sześć, zrozumiałem, wykonuję.
- Czerwiński grzebał przy tablicy komputera sterującego zakłócaniem.
- No czekajcie pacany – powiedział. – Już my wam urządzimy dyskotekę.

Polskie wybrzeże Bałtyku, Wicko Morskie **godz. 1:28**

Na posterunku walki radioelektronicznej panowała pełna skupienia cisza. Dowodzący porucznik Tomasz Masłoń i podlegli mu zawodowi żołnierze czekali na rozkaz uruchomienia kierunkowej emisji. Nie czekali bezczynnie. Co chwila uaktualniano położenie celów emisji, . Antena emisji musiała stosownie zmieniać położenie.

- Widmo jeden to Gniazdo – odezwało się radio. – Oślepić, kod dziewięć dwa, powtarzam oślepić, kod dziewięć dwa. Odbiór.
- Zrozumiałem, Widmo jeden. Oślepić, kod dziewięć dwa. Wykonuję.

Porucznik sięgnął do panelu przełączników. Uruchomił wcześniej przygotowaną emisję. Nie miał pojęcia, jak zareaguje przeciwnik, był jednak pewien, że będzie to dla niego niemiła niespodzianka.

Nad Bałtykiem **godz. 1:28**

Major Manfred Hartmann też nie spał tej nocy. Podążał w swoim *F-4F* nad chmurami. To był niełatwy patrol. Jedyne okiem, które widziało coś więcej, był radar. *Phantom* nie posiadał czujnika podczerwieni czy kamery termowizyjnej. Nie posiadał też łącza danych, za pomocą którego do jego komputera pokładowego można by transmitować dane o obiektach wykrytych przez inne samoloty czy przez okręty EAF.

Hartmann rozmyślnie wziął „psią wachtę”, o najtrudniejszej dla człowieka porze, między północą a drugą w nocy. Świeżo upieczony, faktyczny dowódca JG-71, choć jeszcze „pełniący obowiązki”, nie tylko chciał świecić przykładem dla podwładnych. Jeśli kłopoty miały nastąpić, to Hartmann spodziewał się ich właśnie teraz – w porze obniżonej czujności. Przeciwnik już pokazał, że jest sprytny i potrafi działać w sposób niekonwencjonalny. Drugą załogę dobrał nieco mniej doświadczoną – porucznicy Gerd Fleisch i Udo Springer byli obiecującą, młodą załogą.

Właśnie skręcili na wschód, osłaniając *Oriona* Heinemanna, gdy „Bubi” Burglow ogłosił pojawienie się zakłóceń. Zmiana częstotliwości pracy radaru niewiele pomogła. Zakłócający albo od razu ją wykryli i zmienili częstotliwość zakłóceń, albo zakłócali w szerokim paśmie. Kilka prób nie dało żadnego efektu.

Hartmann postanowił przyspieszyć i zbliżyć się do *Oriona*. Nawiązał łączność z *Fleischem* i nakazał mu włączenie świateł pozycyjnych. Zakłócenia były tak potężne, że tracili już kontakt radarowy z osłanianym *P-3*. Sam zwiększył ciąg i zaczął się zastanawiać, czy warto zejść pod chmury i szukać tam *Oriona*. Utrzymaliby kontakt wzrokowy, jednak *Orion* krążył na kilkuset metrach. Zejście tak nisko szybko zużyłoby paliwo *Phantoma* w szybkim tempie i wymagałoby załamania całego harmonogramu działań. Hartmann wołał jednak zarwać harmonogram, niż dopuścić do jakiejś wpadki. Zdecydował, że zejdzie pod chmury, jeśli w ciągu najbliższej minuty radar nie przebijie się przez zakłócenia. Bieg wydarzeń oszczędził mu wykonania tej decyzji.

Ostrzegacz *ALR-68* rozjarzył nagle tablicę zagrożeń zielonym blaskiem. Liczba „29” z prawej strony z tyłu nie pozostawiała wątpliwości. Od tyłu zachodził ich *Fulcrum*.

Hartmann wykrzyknął przez radio „Nożyce!” i odbił w prawo w dół, jednocześnie zwiększając ciąg do maksimum i włączając dopalacz. Gwałtowne przeciążenie wcisnęło go w fotel. *Fleisch* poszedł w lewo w górę. Intencją Hartmanna było zwrócić się jak najszybciej do atakującego przeciwnika, jednocześnie uciekając w dół, gdzie radar nie wykrywał samolotów tak skutecznie. *Fleisch* miał zrobić to samo, idąc w górę, a więc zmniejszając prędkość i zawężając promień zakrętu. Musieli zrobić to szybko i porazić *MiGi* pociskami średniego zasięgu *AIM-120B AMRAAM*, zanim zdołałyby podejść na odległość walki manewrowej. *AMRAAM-y* – naprowadzane w końcowej fazie własnym radarem i o większym zasięgu od przenoszonych przez *MiGi R-27* dawały im przewagę na dystans. W walce z bliskiej odległości znacznie zwrotniejsze i dysponujące lepszym przyspieszeniem *MiGi* rozniosłyby ich w strzępy.

- Masz coś? – spytał „Bubiego”, gdy zawrócili w kierunku wskazywanym przez *ALR-68*.
- Ani śladu. Nadal zagłuszają na potęgę.

Hartmann zaklął. Nie miał żadnego detektora poza radarem. *MiGi* miały detektor podczerwieni. Mogły nim naprowadzić termolokacyjną wersję *R-27* i odpalić go z trzydziestu kilometrów. Byłoby wtedy niewesoło. Jedynym pocieszeniem było to, że musiałyby to zrobić przy widzialności wzrokowej, inaczej

kierowany na podczerwień pocisk nie uchwyciłby celu. Hartmann musiał więc dostrzec odpalenie. Nie widział jednak nic.

ALR-68 odezwał się znowu, tym razem dokładnie z lewej strony.

– Zwrot w lewo! – zakomenderował Hartmann. Oba *Phantomy* znów położyły się w ciasnym zwrocie.

– Ostrożnie! – ostrzegł „Bubi” – Możemy naruszyć ich przestrzeń powietrzną.

– Do cholery z tym! – wściekł się Hartmann. – Widzisz coś? – zapytał znowu.

– Nic. Tylko zakłócenia.

Sygnał umilkł.

– Musimy zrobić zwrot w lewo, inaczej naruszymy polską przestrzeń powietrzną! – ostrzegł po raz kolejny Burgłow.

Hartmann posłuchał niechętnie. Położył *Phantoma* w kolejny ostry skręt.

– Wilk Morski dwa, skręć w lewo na kurs siedem zero – rozkazał Fleischowi.

Potwierdzenia nie było.

– Wilk Morski dwa, czy mnie słyszysz?

Szum i piski. Jakieś głosy się odezwały.

-... jesteś... skręcam... kurs...

Hartmann wywnioskował, że tamci jednak manewrują. Jeszcze trochę i całkiem pogubią się w tych ciemnościach i zakłóceniach.

Ostrzegacz znowu zapiszczał i Hartmann zobaczył, że *MiG* zachodzi go od ogona.

Nie miał wyjścia. Skręcił ostro w lewo, jednocześnie schodząc w chmury. Musiał odbić na północ, bo na południe była polska przestrzeń powietrzna. W gęstej zawieszynie nie groziły mu przynajmniej pociski naprowadzane w podczerwieni – rozpylona woda skutecznie pochłaniała jego ślad termolokacyjny. Zdał sobie sprawę, że kompletnie zgubił bocznego. A i nie wiedział, gdzie jest *Orion*...

Cholera! Do diabła z *MiGami*. Co z patrolowcem?

Nad północną Polską, godz. 1:35

Marciniak i Czerwiński byli w *Szparce* praktycznie pozbawieni możliwości obserwacji tego, co działo się dookoła. Brak radaru czy łącza danych w niewielkim tylko stopniu kompensowała aparatura klasyfikująca sygnały radarowe

oraz rozmowy radiowe stanowiska dowodzenia i poszczególnych załóg. Kore-spondencję radiową nakazano ograniczyć do minimum, by ukryć przed EAF fakt obecności w powietrzu aż tylu maszyn.

- Zgubiłem ich radary. Musieli zmienić kurs. – powiedział nagle Czerwiński. – Gniazdo, tu Szpon sześć sześć, straciłem sygnał radarów *APG-65*. Wyłączyli je albo zmienili kurs. Odbiór.
- Zrozumiałem Szpon sześć sześć. Bez odbioru. Dziób jeden jeden, zaczynaj. Kurs trzy trzy zero.

Niemal pięć kilometrów poniżej nich i dwadzieścia kilometrów na północ Krawczyk i Olszewski usłyszeli komunikat. Pilotowane przez nich *MiGi* zakończyły kolejny krąg na wskazanym kursie i z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę podążyły na małej wysokości nad Bałtyk.

Nad Bałtykiem godz. 1:38

Dowodzony przez komandora podporucznika Heinemanna *P-3 Orion* leciał poniżej chmur w kompletnej ciemności. Ze względu na niższą, niż przypuszczano, ich podstawę, Heinemann musiał zmniejszyć do dziewięciuset metrów wysokość patrolowania, pierwotnie ustaloną na 1200. Od kilku minut Polacy zakłócali działanie radaru *APS-137*. Jedyne źródłem informacji stawała się kamera termowizyjna. Operator urządzeń elektronicznych widział dzięki niej kilka obiektów nawodnych, jednak były zbyt daleko na polskich wodach, by można było ustalić, czym są.

- Nawiązałeś łączność? – zapytał Heinemann nawigatora.
- Nie. Od kilku minut mam kakofonię zamiast fonii.

Heinemann był zaniepokojony. Polacy zagłuszali łączność głosową. Do tego *ALR-66* z rzadka sygnalizował obecność radarów niemieckich *Phantomów*. Samoloty albo się zgubiły, albo wykonywały jakieś nieokreślone manewry. Hartmann nie powiadomił ich o zagrożeniu, dla ostrożnego po uprowadzeniu Breitenbacha komandora nie było to jednak równoznaczne z poczuciem bezpieczeństwa. Heinemann zastanawiał się nad możliwością wykonania wcześniejszego zwrotu na północ, gdy Moehlke zameldował:

- Dwa myśliwce po prawej.

Heinemann chciałby wierzyć, że są to *Phantomy* Hartmanna. Przeczucie mówiło mu, że tak nie jest. Nie musiał długo czekać na potwierdzenie.

Lotnisko Gdynia Babie Doły godz. 1:55

Generał Zdanecki z satysfakcją obserwował lądowanie *Oriona*. Gdy przechwycony samolot zaczął kołowanie pod czujnym plutonu piechoty, eskorta *MiGów* nie była już potrzebna. Obie maszyny podeszły do lądowania, zastąpione w powietrzu patrolem bojowym z Trzydziestej Siódmej. Chwilę później wylądowała też *Szparka* Marciniaka i Czerwińskiego. Piloci mogli podziwiać efekty swojej roboty.

Generał podążył w kierunku *Oriona*, z którego „zające” właśnie wyprowadzili załogę. Do środka weszli saperzy. Ekipa techników badała samolot, ale Niemcy i tak zniszczyli część wyposażenia. Trudno. Chwilę później pod *Orionem* zebrali się biorący udział w akcji piloci.

- No to macie panowie to, coście chcieli – zażartował Zdanecki. – Rozbiliście chyba Niemcom bank, a EAF plan patroli.
- Jeśli chcą utrzymać szczelność blokady, będą musieli przepchnąć na środkowy Bałtyk część sił nawodnych – zauważył komandor Antonowicz z lotnictwa marynarki.
- I w tym nasza nadzieja – stwierdził Zdanecki. – Będą musieli napinać mięśnie, aż im ubranie pęknie.

Generał zamyślił się. Stawka została podbita, przeciwnik poniósł straty. Będzie musiał zareagować. Pytanie: jak? EAF miało przewagę ilościową i jakościową w okrętach i przewagę jakościową w samolotach. Nie dało się wykluczyć żadnej opcji, chyba, że przeciwnikowi zabraknie jaj albo wyobraźni. Albo jednego i drugiego.

Zdanecki był pewien jednego: przewagę techniczną można zniwelować, przynajmniej częściowo wyobraźnią, pomysłowością i determinacją. A tych, w odróżnieniu od przeciwników, Polakom nie brakuje. Tylko na jak długo to wystarczy? I jak długo wytrzyma ten stan społeczeństwo?

Zdanecki przyglądał się *Orionowi*. Obok niego podziwiał niemiecką maszynę Marciniak.

- Będziemy musieli znaleźć jakiś klucz do politycznej warstwy – rzekł do niego Zdanecki. – Możemy wygrać jedno czy drugie starcie, ale tylko tam odniesiemy faktyczne zwycięstwo. Tak czy inaczej gratuluję panu pomysłu. Udało się po raz drugi utrzyć nosa tym sukinsynom. Większy z pana pożytek tu niż w myśliwach.
- Dziękuję, panie generale – powiedział Marciniak. „Niech to cholera!” – pomyślał. Wyglądało na to, że właśnie przyklepał swoje przeniesienie do *Szparki* na stałe.

Lotnisko Roskilde, Dania godz. 2:10

Ciemność nocy rozświetlały światła lotniska, pojazdów i samolotów. Hartmann zszedł po drabince z kokpitu *F-4* na stanowisku postojowym. Zdjął hełm i przez chwilę miał ochotę cisnąć nim o ziemię. Polacy sprzątnęli mu sprzed nosa osłaniany przez jego parę patrolowiec *P-3 Orion*. Nie tam żaden europejski. Niemiecki.

Hartmann zauważył, że w jego kierunku nadchodzi Schneider i wyprostował się, mimo zmęczenia. Za generałem szło kilku cywilów, których jednak nie rozpoznał, bo zza ich pleców świecił mu reflektorami w oczy samochód. Major wyprostował się i zaszalował, podobnie jak Burglow, który dopiero co zszedł z drabinki. Schneider oddał honory.

- Spocznij! – rzucił. – Co się stało, majorze? – zapytał.
- Oszukali nas chyba sfigowaną emisją radaru *Slot Back*. Mieliśmy na ostrzegaczu *MiGa-29*, którego w rzeczywistości nie było. Ruszyliśmy, żeby go przechwycić i zostawiliśmy *Oriona*. Nie mogliśmy ich powiadomić o sytuacji, bo Polacy kompletnie zagłuszyli łączność głosową. Nic więcej zrobić nie mogliśmy w tych warunkach.
- Daliście się wodzić za nos! – wtrącił jeden z cywilów. – Trzeba było zignorować te sygnały...
- A kim pan, kurwa, jest, żeby mi dawać takie rady?!!! – wybuchnął Hartmann. – Wsiądź pan sobie sam do *F-4* i czekaj, aż ci wleci w dupę ruska rakietą!...
- Majorze! – huknął Schneider.
- Generale... – zaczął cywil. Dopiero teraz Hartmann rozpoznał Vandenoorta.
- Panie komisarzu, pomijając formę, major ma całkowitą rację – wszedł mu w słowo Schneider. – Nasi chłopcy nie mieli żadnego sposobu, żeby sprawdzić, czy to jest prawdziwy, czy sfigowany atak. Postąpili słusznie. Ostatnią rzeczą, na jaką mogli sobie pozwolić, był *MiG-29* na ogonie. Musieli reagować szybko, bo *F-4* może skutecznie walczyć z nim jedynie na większy dystans. Jeśli będzie się zwlekać i *MiG* podejdzie bliżej, to po zupie. My to wiemy i Polacy też. Ktoś cholernie sprytnie to wymyślił.

Tyrada Schneidera ostudziła zapędy Vandenoorta, żeby zrugać Hartmanna. Może jednak Denters ma rację i siły są niewystarczające?

- Czego potrzebujecie, żeby skutecznie ich blokować? – spytał wojskowych.

Zanim Schneider zdążył dać dyplomatyczną odpowiedź, Hartmann wyrwał się z własną wersją:

- Rozwalmy im w cholerę narzędzia walki radioelektronicznej: radary, posterunki zakłócania i samoloty, szczególnie *Bryzy* i *Su-22*. Jeśli tego nie zrobimy, to cały czas będą robić nas w wała.
- Przemysław pański pomysł, majorze – powiedział Vandenoort. – Rozumiem pańskie wzburzenie, ale proszę w przyszłości uważniej dobierać słowa. Do zobaczenia.
- Do widzenia, panie ministrze – odrzekł Hartmann, myśląc ze zdenerwowania funkcję Vandenoorta. Był cholernie wkurwiony – najpierw ta kompromitująca porażka, teraz wymądrzający się oficjele na płycie postojowej. Szlag by to trafił!

Schneider i cywile się oddalili. Hartmann i Burgłow ruszyli w kierunku budynków lotniska i zaimprovizowanej szatni pilotów EAF.

- Mówiłeś serio? Chcesz zbombardować polskie instalacje? – spytał Bubi. Hartmann wzruszył ramionami.
- Jak chcesz dostać bizona, to potrzebna jest rusznica, a nie proca. Wszystko zależy od tych cholernych polityków. Jedno jest pewne: tak jak dzisiaj daleko nie zajdziemy.

W szatni panował ciągły ruch. Załogi dyżurowały w powietrzu na okrągło. Kiedy Hartmann i Burgłow wchodzili, czterech innych pilotów, z belgijskiego 349. dywizjonu, opuszczało właśnie pomieszczenie. Wymienili z nimi zdawkowe pozdrowienia i weszli do środka. Przez krótką chwilę byli sami. Zdążyli zdjąć kamizelki ratunkowe, gdy do szatni wkroczył Schneider.

- Manfred, ty kiedyś wyciągniesz kopyta przez swoją niewyparzoną gębę. Nawet nazwisko ci nie pomoże – zaczął od wejścia. – Musiałeś pyskować temu skurwysynowi? Miałeś cholernie dużo szczęścia. Mógł złożyć na ciebie skargę do kanclerz Meier.
- Miałem uśmiechać się i pocałować go w tyłek? – odciął się Hartmann. – Karl, co się z tobą dzieje?!
- Wsadź mordę w kubek i nie wychylaj się! – uniósł się Schneider – A swoje genialne sugestie taktyczne trzymaj dla siebie. Ten sukinkot gotów potraktować je serio, a wówczas będzie prawdziwa strzelanina i prawdziwe trupy. Nawet nie wspomnę o tym, że pyskowałeś w obecności starszego stopniem! A ja cię ledwie, cholera, wybronilem!

- Dzięki serdeczne, ale wcale cię o to nie prosiłem. Zamierzasz dalej latać bez sensu i dawać obrabiać nam dupy?! – nie ustępował Hartmann. Złość, która nieco już mu przeszła, teraz zdawała się powracać.
- A co do kurwy nędzy, powinniśmy twoim genialnym zdaniem zrobić?! – teraz i Schneider znalazł się pod wpływem emocji. – Wywołać wojnę z Polską?! Po jaką cholere? Nie podsuwajmy politykom takich pomysłów. Oficjalnie jesteśmy siłami policyjnymi i wymuszamy blokadę. Lepiej niech tak zostanie. Skończcie z darmowym doradztwem i lobbingsiem. Mamy latać i pilnować, by dyrektywa o embargu była wcielana w życie – generał ruszył do drzwi. – Nawarzyłeś niezłego piwa, Manfred. Pytanie, kto będzie musiał je wypić – powiedział i wyszedł.

Hartmann zastanowił się chwilę. Złość trochę mu przeszła i zaczął kalkulować na zimno.

- Chyba Schneider ma rację – rzekł w końcu do Bubiego. – Niepotrzebnie się ten dupek napatoczył. A ja rzeczywiście nawarzyłem piwa.... Kto będzie musiał je wypić? Też pytanie – wzruszył ramionami. – Wiadomo kto. Słabszy.

Komisariat policji Poznań-Nowe Miasto

16 czerwca 2008r, godz. 9:12

Telefon na biurku Nawrockiego dzwonił uporczywie co chwila. Takiego bajzlu już dawno nie było. Sytuacja polityczna i gospodarcza zmuszała ludzi do podejmowania desperackich kroków. Ilu to przemytników z przymusu czy nielegalnie przekraczających granicę złapali już w kilku wypadach nad Odrę? Trudno było zliczyć. Nawrocki zazwyczaj puszczał tych ludzi wolno – takie zresztą szły zalecenia z góry. Zostawała mu po tym góra papierów i zadanie odróżnienia notorycznych bandytów od obywateli łamiących prawo w stanie wyższej konieczności. Ci pierwsi bowiem korzystali bez skrupułów z pomyślnej koniunktury i nagłego wzrostu liczby policyjnych obowiązków.

Telefon zadzwonił po raz kolejny. Komisarz zakończył wypełnianie kolejnego formularza i dopiero wtedy podniósł słuchawkę.

- Nawrocki, słucham.
- Hajdukiewicz. Co z tym twoim śledztwem na temat tych pacyfistów?
- Leży – Nawrocki nie owijał w bawełnę – Nikt nie chce gadać, jednego z tych pseudopacyfistów mieliśmy na oku, ale nic na niego nie mamy. Ten, który napadł Emilę i mnie, dobrze się schował...

- Posłuchaj Zbychu – wszedł mu w słowo Hajdukiewicz – Nic mnie nie obchodzą twoje trudności. Miałem telefon od samego komendanta głównego. Chcą efektów. Albo mi dostarczysz jakieś rezultaty, albo obaj popłyniemy.
 - A co, do cholery, mam jeszcze zrobić? – warknął Nawrocki. – Chciałem wysłać list gończy za tym Greearthem, nie wyraził pan zgody. Jak mam go złapać, skoro nie mogę używać podstawowych narzędzi?
 - Wiesz, dlaczego nie mogłem wydać ci pozwolenia na ten list gończy. Prasa by nas rozszarpała za to, że ścigamy bojownika o pokój i ekologię...
 - Tonę w papierach, haruję po godzinach! Padam na pysk! Jeszcze tydzień i sam się zwolnię! Mam dość tego cyrku!
 - Wszyscy go mamy dość, ale tamta sprawa ma priorytet...
 - To niech mi pan da kogoś do pomocy albo zwolni mnie od pomniejszych przestępstw. To nie jest robota na przerwę na papierosa!
 - Niczego nie mogę obiecać. Spróbuję coś wymyślić. Na razie musicie radzić sobie sami – stwierdził inspektor i się rozłączył.
 - Skurwysyn – rzucił pod nosem Nawrocki.
 - O mnie mówisz? – spytał Starzak, który akurat stanął w drzwiach.
 - O tobie mawiam, że jesteś dupkiem, i to tylko wtedy, kiedy stary mnie wkurwi.
 - To się chwilowo wstrzymaj i wyluzuj.
 - Niby czemu?
 - Bo mam coś, co cię zainteresuje.
- Starzak odsunął sobie krzesło, na którym zwykle siedzieli przesłuchiwani.
- Siądź wygodnie... – powiedział.
 - Przestań się wygłupiać i gadaj, o co chodzi. Nie mam czasu – zirytował się Nawrocki.
 - Nie chciałem, żebyś spadł z krzesła po tym, co powiem. Sprawdziłem te belgijskie komórki, na które dzwoniło z tamtej, znalezionej w miejscu bójki na Ratajach. W naszych rejestrach ich nie ma...
 - Przyszedłeś mi powiedzieć, że nadal gówno wiemy? Trzeba było zadzwonić!
 - ... poprosiłem więc znajomego z ABW, żeby sprawdził je dla mnie nieoficjalnie – ciągnął niezrażony Starzak z tajemniczą miną. – Opierał się trochę, ale w końcu dał się namówić. Warto było... wyszła prawdziwa bomba – przerwał i popatrzył na Nawrockiego.
 - No gadaj wreszcie, o co chodzi! – zdenerwował się komisarz.
- Starzak pochylił się przez biurko i powiedział konspiracyjnym tonem:

- Te belgijskie numery należą do współpracowników Vandenoorta. Naprawdę bliskich współpracowników!
- O kurwa! – wyrwało się Nawrockiemu.
- I to niejedna – przytaknęła Starzak.
- Siedzą w tym po uszy, tak przynajmniej wynika z billingów...
- Myślisz, że te manifestacje to była prowokacja inspirowana z Brukseli?!
- A ty co myślisz, skoro przyszedłeś z tym do mnie? – odpowiedział pytaniem Nawrocki.

I zaraz nasunęła się wątpliwość. – A ABW co na to?

- Jak to „co”? – spytał Starzak. – Nasi chłopcy z Rataj w ogóle ich nie interesują. Kumpel dopytywał się, po co mi te numery.
- Nie bądź naiwny. Na pewno chcieli wiedzieć, co wyniuchaliśmy.
- Znam tego faceta jeszcze sprzed Szczytna. Jest średnio cwany, za to ciekawski jak diabli. Nic nie wiedzą.
- Skąd ta pewność?
- Bo usiłowałem wyciągnąć od niego wcześniej coś o tych niby-pacyfi-
stach. Nic nie wiedział.
- Wierzyć mi się nie chce. Taka afera, a ABW nic o niej nie wie?
- A niby czemu ma wiedzieć? Nie tykają skrajnej lewicy, podobnie jak wywiad nie umieszcza swoich agentów w Brukseli. Prasa by ich rozszarpała! Przecież to wszystko dobre i pokojowe. Ciekaw jestem, czy tamci równie pobłażliwie traktują nas i nie przysyłają nam swoich agentów.
- Zadajesz dziwne pytania. Odpowiedź masz w tych billingach.

Nawrocki zamilkł. Sprawa dotychczas miała dla niego wymiar wyłącznie kryminalny. Zachowanie tych typków było podejrzane, może pachniało prowokacją, ale nie aż tak wyrafinowaną i do tego tkwiącą po uszy w zimnej wojnie, jaką brukselscy biurokraci wytoczyli Polsce. Informacje Starzaka wszystko zmieniały. Do tego ani razu w jego niezbyt posuniętym dochodzeniu w sprawie bójki na Ratajach ABW nie pojawiła się ani razu. Nagle coś sobie uświadomił.

- Stasiu, czy dobrze kojarzę... czy tylko my znamy te wszystkie fakty? – zapytał.
- Na to wygląda. Chyba, że ktoś inny je pokorarzy...
- Małe szanse w tym bajzlu. I niech tak zostanie. Nie mów o tym nikomu. Nie mamy twardych dowodów, a jedynie przypuszczenia. Przy odrobinie szczęścia możemy to jakoś wykorzystać. Jeśli to jednak bezmyślnie rozkładamy, z pewnością obróci się to przeciw nam.

- Mnie nie musisz tego mówić – obruszył się Starzak. Wstał z krzesła i ruszył do drzwi. – Mam nadzieję, że zrobisz z tego właściwy użytek – powiedział, nim je zatrzasnął.

Nawrocki założył ręce za głowę. Cholera, co za szambo! Miał cholernie mocną poszlakę, wskazującą na to, iż prowokacyjne demonstracje inspirowane były z Brukseli. I guzik mógł z tym zrobić, bo zdobył tę informację nielegalnie, poza właściwym śledztwem. Winowajcy uważali się za pokrzywdzonych i poza napaścią na funkcjonariusza, jakiej dopuścił się Greeneearth, niczego nie można im było zarzucić. Sukinkoty naraziły współobywateli na szykany i straty na wielką skalę – a on, stróż prawa, wiedział o tym – i był bezsilny. Typowy dylemat gliniarza.

Walnął z rozmachem pięścią w biurko! Jeśli on i Starzak się nie mylili, to miał w ręku klucz do wielkiej afery. Intryga Vandenoorta wyglądała na prymitywną, ale w tym klimacie politycznym miała wszelkie szanse powodzenia. Zresztą nie takie numery przechodziły. Wiele mógłby zmienić, gdyby wszczął oficjalne śledztwo w sprawie bójki, ale przeciw pacyfistom. Wówczas miałby pełne prawo szukać motywów napaści i prześledzić wątek brukselski. A zatem i wyświetlić, kto i po co organizował te manifestacje, na których doszło do zamieszek. Nie mógł tego zrobić, bo w sprawie bijatyki i poprzedzającej ją imprezy wszyscy milczeli konsekwentnie, niczym starzy sycylijscy *mafioso*.

Jedynym punktem zaczepienia byli ci cholerni lotnicy. Jeśli w ogóle byli lotnikami. Musi ich znaleźć. Tylko czy w ogóle zechcą gadać? Jak przemówić im do rozsądku? Jak nakłonić do współpracy? Jeśli w ogóle ich znajdzie, to od początku, jako glina, będzie postrzegany jako ich wróg. Jako mundurowy, który chce postawić w stan oskarżenia innych mundurowych. Po prostu paragraf 22.

Musiał znaleźć kogoś, kto będzie mediatorem. Kogoś, komu obie strony będą mogły zaufać. Kogoś, kto nie będzie obawiał się nieformalnych działań i będzie odpowiednio wysoko postawiony, by móc rzeczywiście czegoś dokonać. Kogoś, kto zaryzykuje dla sprawy własną karierę.

To będzie cholernie trudne, pomyślał Nawrocki. Sam musiał też wejść w szarą strefę i zaryzykować. Jeśli ktokolwiek dowie się o jego poczynaniach, zanim zgromadzi mocne dowody, to wyleci z hukiem. To zarazem i atut – nie będzie musiał namawiać wojskowych do zrobienia czegoś, czego sam nie robił.

Komisarz sięgnął do telefonu.

Rozdział VII

Artykuł 58: Zawieszenie praw członkostwa w Unii

1. Na uzasadniony wniosek jednej trzeciej Państw Członkowskich, Parlamentu Europejskiego lub Komisji, Rada Ministrów, stanowiąc większością czterech piątych swych członków, po uzyskaniu zgody Parlamentu Europejskiego, może przyjąć decyzję europejską stwierdzającą istnienie wyraźnego ryzyka poważnego naruszenia przez Państwo Członkowskie wartości wymienionych w artykule 2. Przed dokonaniem takiego stwierdzenia Rada wysłuchuje dane Państwo Członkowskie i, stanowiąc zgodnie z tą samą procedurą, może skierować do tego Państwa zalecenia.

Rada Ministrów regularnie bada czy powody dokonania takiego stwierdzenia pozostają aktualne.

(projekt Traktatu ustanawiającego Unię Europejską)

Ośmieszona blokada

Die Welt, 16 czerwca 2008r.

Polskie siły zbrojne skompromitowały w ubiegły weekend działania sił EAF. Uprawdając dwa niemieckie samoloty patrolowe P-3C Orion, Polacy udowodnili, że nie będą biernie przyglądali się niszczącej ich gospodarkę blokadzie. Siły EAF okazały się bezradne wobec słabo uzbrojonych, ale pomysłowych i odważnych Polaków. EAF poniosła straty bez jednego wystrzału z którejkolwiek ze stron. W ciągu ostatnich dziesięciu dni samoloty i

okręty obu stron wielokrotnie zbliżały się do siebie na odległość strzału. Do wymiany ognia na szczęście nie doszło. Skuteczność blokady została jednak podważona. Unia Europejska powinna wycofać się z chybionego pomysłu embarga, zanim napięta sytuacja doprowadzi do otwarcia ognia.

**Vandenoort: „Nie wykluczamy żadnej opcji”
BBC News, 17 czerwca 2008r.**

W związku z uprowadzeniem przez Polaków dwóch należących do EAF samolotów P-3 przewodniczący Komisji Europejskiej Marc Vandenoort nie wykluczył użycia siły. „Blokada została nałożona przez Unię Europejską zgodnie z obowiązującym prawem unijnym. Działanie Polaków jest bezprawne. Komisja Europejska jest gotowa użyć sił EAF w każdy możliwy sposób, by zapewnić skuteczną realizację blokady”, powiedział na specjalnej konferencji prasowej Vandenoort.

**Polska gospodarka chyli się ku upadkowi
The Economist, 15 lipca 2008r.**

Po ponad sześciu tygodniach blokady Polacy są zmęczeni. Embargo kosztowało ich gospodarkę, według różnych szacunków, od dwóch do pięciu miliardów euro. Rozdzielone emigracją zarobkową rodziny zostały niemal całkowicie odizolowane. Ceny żywności, energii i paliw wzrosły nawet trzykrotnie. Blokada stworzyła ogromny czarny rynek najbardziej poszukiwanych, do tej pory dóbr, do tej pory w ramach globalizacji, importowanych. Atmosferę paniki podsycają media, dla których blokada stanowi doskonałą pożywkę.

Nie najlepsze początkowe notowania rządu Jana Radwańskiego spadły na łeb na szyję, a na ulicach pod kilkunastu demonstranci żądający ustąpienia rządu. Ugrupowania lewicowe już zapowiedziały, że są gotowe przejąć władzę i niezwłocznie doprowadzić do eurotraktatu, gdy tylko uda się zebrać większość parlamentarną. „Zmiana rządu w Polsce na bardziej proeuropejski i postępowy wystarczy, byśmy rozważyli zniesienie embarga” – oświadczył w niedzielę przewodniczący Komisji Europejskiej, Marc Vandenoort.

Opór Polski ostoją eurosceptyków **Daily Telegraph, 16 lipca 2008r.**

Spektakularne sukcesy odniesione w połowie czerwca przez Polaków w walce z europejską blokadą pchnęły brytyjskich eurosceptyków do działania. Największa w historii demonstracja antyeuropejska przeszła wczoraj przez Londyn, gromadząc według różnych źródeł od trzydziestu do osiemdziesięciu tysięcy uczestników. Protestowali oni przeciw polityce Unii Europejskiej i domagali się oni ustąpienia labourzystowskiego rządu Jacka Gordona, popierającego nałożone na Polskę sankcje.

Choć Polacy dotkliwie odczuwają skutki sankcji, to i drugiej stronie pomatu wyczerpują się możliwości oddziaływania. Budżet Komisji Europejskiej został poważnie nadszarpnięty przez utrzymywanie non-stop na morzu większości okrętów EAF. Polityczne poparcie dla działań Komisji spada w poszczególnych państwach członkowskich. Rządy krajowe mogą wkrótce stanąć przed alternatywą: wycofać się z poparcia dla Komisji czy narazić na gniew wyborców.

Warszawa, Dowództwo Sił Powietrznych **17 lipca, godz. 8:15**

Generał broni Tadeusz Zdanecki nie zwykł się martwić bez powodu. Z samego faktu, że zamknął się w swoim gabinecie z zatroskaną miną i nie kazał przeskadzać bez ważnego powodu, można było wywnioskować, iż są poważne powody do zmartwienia.

I rzeczywiście były. Jeszcze w sobotę generał gotów był się założyć, że Vandenoortowi i Dentersowi nie starczy testosteronu, by zaryzykować poważniejszą awanturę. Raport wywiadu, jaki właśnie otrzymał, wyraźnie wskazywał, że Zdanecki taki zakład by przegrał.

Treść raportu była pełna białych plam. Ostrzeżenie, jakie przyszło ze źródła o kryptonimie Amber, było jednak jasne: EAF może w najbliższym czasie podjąć akcję ofensywną. Nieznany pozostawał jej cel, zakres i siły przeznaczone do jej wykonania. Wyglądało na to, że przeciwnik stracił cierpliwość, nie mogąc wyegzekwować swoich żądań od razu.

Zdanecki był jednak pewien swoich wcześniejszych domysłów. Celem przeciwnika nie była otwarta wojna. Jeżeli zmuszony był do wykonania takiego kroku, to dlatego, że dotychczasowa blokada nie była tak skuteczna, jak początkowo zakładał Vandenoort. Najsilniejsze okręty EAF musiały wyjść w mo-

rze, by pilnować polskich wybrzeży. Mimo to grecki prom ominął blokadę i przybił niemal za dnia do gdyńskiego nabrzeża. Tylko czujność żandarmerii uchroniła go przed ciekawskimi oczami reporterów. Promem przyплыło z Anglii ponad tysiąc ośmiuset Polaków.

W realizowaniu blokady przeszkadzały przede wszystkim polskie środki wal-ki radioelektronicznej. To one dały osłonę promowi, który wymknął się sensorom EAF i zboczył ze szlaku żeglugowego do Rygi. Jeśli EAF będzie chciała coś zaatakować, to w pierwszej kolejności one staną się ofiarą.

Zadzwonił telefon. Jabłońska.

- Panie generale, komisarz Nawrocki z Poznania chce koniecznie z panem rozmawiać. Dzwonił już o wpół do ósmej, teraz dzwonił ponownie.
- Co pani mu powiedziała?
- Że jest pan na spotkaniu w Sztapie Generalnym.
- W porządku – powiedział generał. Jedną z najlepszych zalet Jabłońskiej jako adiutanta było to, że umiała łącać w żywe oczy i nie pozwalała się zagadać. Intruz, z którym generał nie chciał rozmawiać, nie miał w starciu z Jabłońską żadnych szans. Jej kobiecey „generator kitu” działał na rzecz Zdaneckiego idealnie. Generał podejrzewał, że Jabłońska wykształciła sobie tę umiejętność przy okazji odrzucania licznych męskich zalotów. Czasem zastanawiał się, czy nie wyjdzie jej to bokiem. Dobiegała pomału trzydziestki, a w Warszawie czas płynął szybko...

Zdanecki otrząsnął się z zamyślenia. Jakby mało było problemów, jeszcze ten glina. Od miesiąca uporczywie wydzwaniał do niego raz na kilka dni, prosząc o spotkanie. Jak dotąd Jabłońska skutecznie go spławiała. Na co liczył? Za mało obaj mieli roboty, żeby gadać o tym poznańskim incydencie.

Generał doszedł do wniosku, że ma ważniejsze problemy niż natrętny glina, w dodatku prawdopodobnie usiłujący dobrać się do skóry jego chłopakom. Trzeba zapobiec ewentualnemu uderzeniu i zaplanować kontrakcję. Teraz gdy w morze wypłynął najgroźniejszy przeciwnik – holenderska fregata klasy *De Zeven Provinciën*, należy koniecznie zebrać jej charakterystykę emisji elektronicznych. Okręt, jak dotąd, siedział cicho i trzymał karty przy orderach. Jeżeli przyjdzie walczyć z EAF, to muszą być przygotowani. A to oznaczało zebranie kompletu sygnatur emisji. Nawet z całym „kwazarowym” osprzętem pewnie niewiele by bez nich zdziałali. Należało sprowokować EAF i zmusić ich do odsłonięcia co ciekawszych atutów.

Generał westchnął ciężko. Miał już pomysł, co zrobić. Oznaczało to jednak, że wystawi na znaczne niebezpieczeństwo swoich najlepszych ludzi.

Powidz, baza lotnicza, godz. 11:55

Dagmara Błasiak zaczynała działać Marciniakowi na nerwy.

Powodów było kilka, a jednym z nich, jeśli nie najważniejszym, był fakt, że była kobietą.

Nie to, żeby Michał miał uraz do kobiet. Nic z tych rzeczy. Uwielbiał kobiety na długo przed tym, nim nauczył się je skutecznie uwodzić. Im lepiej umiał je oczarowywać, tym bardziej je lubił.

Sprawa z Agnieszką spowodowała, że miał na pleć piękną chwilową alergię. Nic nie poprawiłoby mu samopoczucia równie skutecznie, jak chwilowa całkowita izolacja od płci pięknej. Rzecz w tym, że taka była niemożliwa, gdyż przynajmniej jedna w charakterze „korespondenta wojennego” kręciła się po lotnisku. Była kobietą w jego typie, jeśli chodzi o powłokę cielesną i całkowicie nieodpowiednią, jeśli chodzi o hierarchię wartości i poglądy. Jej obecność doprowadzała Michała do szału. Temperament, sposób poruszania się, energia, pewność siebie czyniły Dagmarę kobietą naprawdę pociągającą. Marciniak mawiał o takich kobietach, że są „do tańca i do różańca, przynajmniej na krótki dystans” (co jego kumpel Tkaczyk zwykł kwitować zwrotem: „taniec można pominąć”). Jednak im częściej przebywał z Dagmarą, tym bardziej uświadamiał sobie, iż nie jest to kobieta, z którą chciałby związać się na całe życie. Oczami wyobraźni widział już liczne nieporozumienia co do tego, w jaki sposób spędzać czas wolny, w jaki sposób wychowywać dzieci, gdzie i z kim spędzać wakacje... Najbardziej zdumiewające było to, że do tej pory nigdy nie zastanawiał się nad takimi sprawami, zanim się z kimś związał. Zdumienie było jednak tylko dodatkiem do irytacji, której nie miał sposobu uniknąć, tak, jak nie mógł unikać Dagmary na terenie bazy.

Do tego najwyraźniej zawzięła się na Marciniaka. Nie było sposobu, żeby ją odstręczyć. Pojawiała się przy samolotach, przed odprawami, w kantine, w domku pilota. Michał doskonale wiedział, że to skutek jego uników. Atrakcyjna kobieta, jaką niewątpliwie była Dagmara, rzadko zaznawała odrzucenia. Zazwyczaj szybko zniechęcali ją do siebie faceci, którzy byli na każde skinienie. Michał był inny. Po prostu jej unikał. Już samo to, że nie powaliła go na kolana urodą, czyniło go dla niej atrakcyjnym. Sytuacja była więc patowa z tendencją do pogarszania. Marciniak rzucił kiedyś do Tkaczyka, że obawia się, iż obawia się nawet wejść do toalety z obawy, by nie dopadła go tam Dagmara. Tkaczyk spojrzał na niego spode łba:

– Ty jakiś dziwny jesteś – stwierdził.

To przedpołudnie zapowiadało się zwyczajnie. Obfite cumulusy raz po raz przesłaniały słońce, i tak rachityczne, bo przesłonięte cienkimi chmurami warstwowymi. Nie działo się nic specjalnego. Marciniak siedział w sali odpraw, grzebiąc w zaległych raportach, gdy przysiadła się Dagmara. To był koniec pracy, bo treści raportów nie mógł jej pokazać. Zamknął segregator.

- Michał, ty najwyraźniej mnie unikasz – zaczęła.
- Unikam cię? – Marciniak udał, że nie wie, o co chodzi. – Skądże znowu! Jestem po prostu zajęty.
- Męska wymówka – zachnęła się. – O co ci właściwie chodzi?
- Mnie? O nic – rozejrzał się po siedzących wokół wkoło, ale wszyscy zgodnie udawali skupienie nad bieżącą robotą. Marciniak był pewien, że pilnie słuchają, by później mieć temat do nabijania się z niego. – Pilnie pracuję, jak wszyscy wokoło – dodał. Zauważył, że siedzący niedaleko Królak uśmiechnął się pod nosem. – Może tak zaatakujesz kapitana Królaka? On lubi dziennikarki.
- Marciniak, nie wymiguj się od kilku słów dla prasy – odciął się Królak. – Jesteś gwiazdą tej eskadry, szczególnie po swoich chwalebnych nadmorskich wyczynach.
- Jakich wyczynach? – zainteresowała się Dagmara.
- Ścisłe tajnych – zbył ją Marciniak. – Kapitan Królak niczego wielkiego nie dokonał, więc musi podpierać się dokonaniem innych – dodał złośliwie.

Królak nie odpowiedział. Weisnął nos w papiery i udał, że nie usłyszał.

- *F-16* znowu lądował awaryjnie – zmieniła temat Dagmara.

Marciniak miał jej serdecznie dosyć. Jakby nie dość jej natręctwa i zabójczego kontrastu wyglądu i osobowości, jeszcze zawzięła się na *F-16*, podobnie jak inni dziennikarze.

- Jesteście uprzedzeni do tych samolotów – stwierdził. – Nie znacie faktów, co nie przeszkadza wam formułować daleko idących hipotez. To uprzedzenie w najczystszej postaci.
- Jak to nie znamy faktów? Może zaprzeczysz, że z jedenastu pierwszych tylko dwa były w pełni sprawne? Samochody są sprawniejsze! – zaperzyła się.
- Co to znaczy „w pełni sprawne”? – zirytował się Michał. – Jeśli nie świeciła jakaś dioda, to już nie był w pełni sprawny. Tylko czy to zmienia jego zdolność do bezpiecznego lotu? Ile w pełni sprawnych samochodów jeździ po polskich drogach?
- Samochody nie psują się tak często.

Marciniak westchnął. Wyrwał z notesu kawałek kartki i zaczął coś zapisywać, co chwila stukając w klawiaturę notebooka.

– Co robisz? – spytała.

Marciniak nie odpowiedział, dokąd nie skończył obliczeń.

– Z ilu części składa się samochód? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała, nie wiedząc, do czego zmierza.

– A z ilu części składa się *F-16*?

– Też nie wiem...

– Zgodzisz się ze mną, że ze znacznie większej liczby niż przeciętny samochód osobowy?

– Raczej tak. I co z tego? Tak drogie samoloty powinny być bardziej niezawodne!

– Matematyka na poziomie szkoły średniej pokazuje, że tak złożonym produktem nie da się zagwarantować bezawaryjności na poziomie cepa czy brony! – ignorancja Dagmary zaczynała już irytować Marciniaka. – Wiesz, z jaką prędkością latają te samoloty?

– Kilkaset kilometrów na godzinę...

– Siedemset do tysiąca. Z jaką prędkością jeżdżą samochody?

– Osiemdziesiąt... Sto trzydzieści...

– Załóżmy dla ułatwienia, że dziewięćdziesiąt. Ile to razy mniej niż dziewięćset?

– Dziesięć.

– Dziesięciokrotnie większa prędkość to w prostym przeliczeniu sto razy większe siły aerodynamiczne. Nawet uwzględnivszy bardziej opływowy profil, to kilkadziesiąt razy większe siły aerodynamiczne. Pamiętaj, jakie przeciążenia działają na *F-16* w trakcie manewrów?

– 9 g?

– Właśnie. Pokaż mi samochód manewrujący z takimi przeciążeniami.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale” – zirytował się Marciniak. – Przy pięciu g w kabine nacisk na szyję wynosi tyle, jak gdybyś stała na głowie bez podpierania się rękami. Przy ośmiu czy dziewięciu musisz trzymać łeb na zagłówku z idealnie wyprostowanym kręgosłupem, inaczej ryzykujesz bolesne skręcenie i chodzenie w kołnierzu ortopedycznym przez dłuższy czas. Samolot i jego części podlegają takim samym obciążeniom. Wszystko zależy od tła czy kontekstu. Jesteście uprzedzeni jak cholera i podajecie informacje w sposób wybiórczy i tendencyjny.

– Pokaż mi gdzie!

- Proszę bardzo. Nie dalej jak dwa miesiące temu przy okazji wymiany komputera pokładowego w jednym z *F-16* opisaliście, że ma sześć procesorów, sześćdziesiąt megabajtów pamięci i średni czas międzyawaryjny 1245 godzin. Zapomnieliście tylko powiedzieć, że jest to komputer dedykowany do pracy w czasie rzeczywistym i wykonywania ściśle określonych zadań bojowych, gdzie liczy się niezawodność, niezawodność i jeszcze raz niezawodność. W efekcie przeciętny Kowalski doszedł do wniosku, że komputer pokładowy jest bardziej przestarzały od pecetów, z których wypisują te brednie. Tak samo nikt nie napomknął, że te 1245 godzin to godziny lotu, których w roku nie ma zazwyczaj więcej niż 300. Ten komputer naprawdę ma dłuższy czas międzyawaryjny niż 7 tygodni postoju na ziemi!

Marciniak zamilkł na chwilę. Skonstatował, że wszyscy piloci pracujący w sali odpraw przyglądają im się z uwagą. Dagmara też musiała to zauważyć, bo przestała się sprzeczać.

Marciniak poszperał coś w dokumentach.

- Popatrz – pokazał jej wykres. – To jest wykres Mission Capable *F-16 C i D* w latach 1990-1999 w USA¹⁵. Jak widzisz, średnia wynosi 83-85 procent. To cholernie wysoki stopień sprawności, jeśli porównasz go np. z niemieckimi Tornado. Jeśli ten samolot jest tak zły, to co powiedzieć o innych?

Dagmara nie wiedziała, co odpowiedzieć. Z tej sytuacji wybawił ją Łysoń, który z rozmachem godnym jaskiniowca wkroczył do sali odpraw.

- Panowie, zbierać klamoty, odprawa dla załóg *Szparek* za pięć minut. Pani Błasiak, proszę się przewietrzyć – dodał, ujrawszy Dagmarę. – To ściśle tajna odprawa.

Dziennikarka wstała i wyszła z sali bez słowa sprzeciwu. Łysoń potrafił być prawdziwym macho, zwłaszcza gdy był podminowany. Wyszli też piloci *Suk*.

- A ty nawet tutaj musisz uganiać się za babami. Za dużo przebywasz z Tkaczykiem – jeśli pułkownik nie miał pod ręką pretekstu, by zaatakować Marciniaka, to zazwyczaj szybko go znajdował.
- Sama się przysiadła – wzruszył ramionami Marciniak. Nie pułkownika biznes. Chociaż nie – póki na terenie bazy, to jego.
- Nie wciskaj mi tu kitów – Nowaczyk rozłożył swoje papiery i notebooka.
- Nieważne. Podejdźcie tu.

Kawecki, Królak, Marciniak i Czerwiński podeszli do stołu, na którym rozstawił się pułkownik.

15 <http://www.globalsecurity.org/military/systems/aircraft/images/f-16-mc.gif>

- Z braku samolotów patrolowych przeciwnik rozstawił swoje okręty na wysokości Bornholmu, po wschodniej i zachodniej stronie. W ten sposób przecina trasy żeglugowe do Szwecji, i łapie naszych dzielnych rybaków, którzy chwilowo zmienili profesję na szmuglerską. Silne patrole powietrzne chronią okręty od południa i wschodu. Rozpoznanie elektroniczne Marynarki wskazują na obecność *F-4* i *F-16*.

Pułkownik wskazał obszar na zachód od Bornholmu.

- Tu rozstawili swoje najlepsze zabawki. Fregata klasy *De Zeven Provinciën* – to nasza dziewczynka na tę noc, a raczej na to popołudnie. Nie mamy jej sygnatur radarowych, zwłaszcza radaru *SMART-L*. Musimy ją uzyskać. Polecicie na mały zwiad – zakreślił palcem na mapie obszar nieco na północ od Świnoujścia – żeby zdobyć te charakterystyki. Wyposażenie – *KKR-1* do zwiadu i *SPS-141 SC*. Wysokość lotu 5000 metrów. Należy ich zmusić do reakcji – zakłócanie pełną mocą, tak żeby uruchomili swoje najlepsze cacka. Mają was namierzyć i postraszyć radarami, a wy macie nagrać wszystko dokładnie. Zmywacie się stamtąd dopiero wtedy, gdy będziecie mieli pewność, że nasza holenderska przyjaciółka pokazała wszystkie swoje wdzięki. Jakies pytania?
- Co robić, jeśli komuś tam puszcza nerwy i palec mu się omsknie na spuście? – zapytał Marciniak. – Może warto puścić ze dwie *Suki* z *H-25*, żeby ich zajęły?
- Głupszego pomysłu dawno nie słyszałem! – ofuknął go Łysoń. – Niby co zrobią z tymi kilkoma rakietami przeciw ich systemom przeciwrakietowym? Bez osłony myśliwców? Daleko by nie zalecieli. Macie ich sprowokować do włączenia radaru, a nie wszczynać trzecią wojnę światową. Czy to jasne?
- Tak jest!
- Co z ich myśliwcami? – zapytał Krzyżanowski.
- To już inna para kaloszy. Tym się zajmą *Zadymiacze* z Trzydziestej Siódmej. Będą chodzić między Koszalinem i Szczecinem poniżej horyzontu radarowego, z wyłączonymi radarami. W razie czego zrobią im „a kuku”.
- Lecimy obiema maszynami? – zapytał Czerwiński.
- Nie. Wy zostajecie jako rezerwa. Lecą Kawecki i Królak. Potwierdzili.
- To do roboty. Start za pół godziny.

Bałtyk, na zachód od Bornholmu, godz. 12:00

Transportowy śmigłowiec *NH-90* mknął nad Bałtykiem, trzęsąc pasażerami. Pogoda była nieszczerólna, zimny, wschodni wiatr też robił swoje. Acostelle pomyślał, iż dobrze, że to nie jest prawdziwa wojna i nikt do nikogo naprawdę nie strzela. Nawet widok przemykających nisko co chwila patroli belgijskich *F-16* nie byłby wtedy pocieszający.

Mieli już dobrych kilka minut spóźnienia. Vandenoort kręcił się niecierpliwie na niezbyt komfortowym siedzeniu. Śmigłowiec nie był salonką, do jakich przywykł komisarz. Ponieważ uparł się, by z Dentersem spotkać się na pokładzie Trompa, musiał znieść niewygodę.

Na horyzoncie zamajaczyła wielka sylweta fregaty. Okręt zrobił zwrot pod wiatr, by umożliwić śmigłowcowi lądowanie na pokładzie. W miarę, gdy się zbliżali, podziw Acostelle dla okrętu rósł. Gładkopokładowa jednostka zbudowana zgodnie z regułami redukcji odbicia radiolokacyjnego miała dwie nadbudówki o gładkich, nieco skośnie ustawionych ścianach. Futurystyczny design okręty podkreślała niewielka ilość detalicznych konstrukcji na pokładzie – mostów, masztów czy innego osprzętu, dających pole do popisu radarom. Okręt w dużej mierze stanowił jednolitą bryłę, nawet z masztami i antenami zabudowanymi w zgrabne, geometryczne figury. Sprawiał przez to wrażenie jeszcze większego, niż był w rzeczywistości.

Pilot rozpoczął manewr zniżania za rufą jednostki, Okręt szedł z szybkością 10 węzłów, śmigłowiec doganiał go, zniżając się nad kilwaterem. W pobliżu okrętu, kilkanaście metrów nad wodą maszyną zakołysała nagłą turbulencja.

- Co się dzieje? – spytał zaniepokojony Vandenoort.
- To tylko zawirowanie od nadbudówek – odpowiedział pilot. -Normalna rzecz. Zapomniałem panów uprzedzić.

Acostelle zauważył, że na twarzy Vandenoorta zagościł na moment wyraz strachu. Komisarz momentalnie jednak odzyskał panowanie nad mimiką. Wystarczyło to jednak, by Francuz zorientował się, że i Vandenoorta da się w odpowiednich okolicznościach nastraszyć.

Śmigłowiec, zrazu niepewnie, potem już twardo, dotknął pokładu startowego. Acostelle od razu poczuł się lepiej. Przy niewielkiej fali Tromp prawie się nie kołysał. Wycie silników ucichło, łopaty wirnika przestały łopotać. Vandenoort nie czekał na zaproszenie, odpiął pasy i wysiadł przez luk otwarty przez lotników. Acostelle i reszta świty komisarza wysiedli za nim. Na pokładzie czekali na nich Denters i Mesdegaard.

**Powidz, baza lotnicza,
godz. 12:20**

- Co za geniusz wymyślił ten plan? – zżymał się Czerwiński. Szli płytą lotniska w kierunku schronohangaru, w którym ukryta była ich *Szparka*.
- Pojęcia nie mam. Sądząc po entuzjazmie Łysonia, ten genialny pomysł przyszedł z góry. On zawsze chętnie spełnia życzenia wyższych szarż.
- Jak każdy, dobry żołnierz.
- Nie przesadzaj. Powinien mieć własne zdanie.
- Ty masz je aż nadto często. Przysłali cię chyba dla równowagi.
- Zamiast mi docinać, wyraziłbyś zadowolenie z tego, że nie musimy lecieć. Ten, kto tam się znajdzie, ma do odegrania rolę robaka na haczyku.
- Cieszę się jak cholera. Myślisz, że mogą zacząć strzelać?
- Musimy być na to przygotowani. Wątpię, czy pozwolą nam zajrzeć sobie do garnka tak bez niczego.

Zamilkli w pobliżu schronohangaru. Obchód i umieszczenie się w maszynie zajęło im kolejne minuty. Obsługa techniczna wyholowała samolot i pomogła im zając miejsca w kokpicie.

- Raz dwa trzy, próba spraya – powiedział Czerwiński przez interkom, gdy podłączyli się do wszystkich systemów. – Mamy szczęście, że to nie my robimy za robaka – dodał, zauważywszy, że Marciniak się nie roześmiał.
- Masz cykora? – spytał Michał.
- Tylko głupi się nie boi. Gdybyśmy to my lecieli, bałbym się jak diabli. Na szczęście posiedzimy tu sobie chwilę.
- Jeszcze nie wszystko stracone. Może im coś nawalić.
- Nie kracz, do cholery. Jeszcze wykraczesz.

Marciniak nie odpowiedział.

Major Kawecki rozgrzewał silnik *Szparki*. Maszyna stała przed schronohangarem, gdyż próby uruchamiania *Su-22* w zamkniętej przestrzeni bunkrów kończyły się fiaskiem. Obaj lotnicy, skupieni, nie żartowali i nie docinali sobie, jak Marciniak i Czerwiński. Procedury przedstartowe pochłonęły ich całkowicie. Należało się spieszyć. MiGi miały zjawić się w sektorze operacyjnym za dwadzieścia pięć minut, a więc tuż przed 13:00. Ponieważ miały pełne uzbrojenie raketowe i operowały na niskim pułapie, ich czas patrolowania był mocno ograniczony.

Kawecki zamknął już osłonę kabiny i zamierzał właśnie poprosić wieżę o zgodę na kołowanie i start, gdy silnik nieznacznie zmienił ton. Zmiana była ledwie wyczuwalna, lecz zaniepokoiła Kaweckiego.

- Słyszałeś? – zapytał Królaka.
- Co takiego? – odpowiedział pytaniem tamten. Nim Kawecki zdążył wyjaśnić, rozległ się głośny huk i maszyna zadygotała. Wizg turbiny na jałowych obrotach przeszedł w charczenie. Samolot drżał.
- Co jest do cholery?! – wykrzyknął Kawecki. Kątem oka dojrzał mechanika dającego mu znać, by wyłączył silnik. Pilot już to robił.

Odezwała się wieża.

- Diament jeden, wyłącz natychmiast silnik. Powtarzam, natychmiast wyłącz silnik.
- Wykonałem, ja Diament jeden – odpowiedział Kawecki.

Co u diabła mogło się stać?

Kawecki zauważył, że ludzie z obsługi biegli w kierunku stojącej przed schronohangarem Szparki. W ich stronę ruszył też wóz strażacki.

- Diament dwa, uruchamiaj silnik. Masz zgodę na kołowanie i start.

Gdyby Marciniak i Czerwiński siedzieli obok siebie, pewnie popatrzyliby na siebie ze zdumieniem.

- No i wykrałeś – stwierdził Przemas. – Niepierwszy raz zresztą. Na przyszłość musisz uważać, na to, co gadasz, Kasandro. Dagmara słusznie tak cię nazwała.
- Jeśli przestaniesz gdakać, to jest jakaś szansa, że wrócimy z tego lotu – zażartował Michał. Zbierało mu się na czarny humor. Rzeczywiście wyglądało na to, że wszystkie jego kiepskie przewidywania sprawdzają się ostatnio co do joty – Mamy łączność z myśliwcami?
- Zaraz sprawdzę – Czerwiński przełączył radiostację na częstotliwość operowania Trzydziestej Siódmej. Usłyszeli jakieś komunikaty, ale zbyt przerywane, by je zrozumieć. – Kiepsko, ale jest.
- Dobra, jedziemy z tym koksem.

Na znak dany przez obsługę naziemną wykołowali sprzed schonohangaru i ruszyli w stronę pasa.

HNLMS *Tromp*, na zachód od Bornholmu

godz. 13:10

- Uderzenie na polskie instalacje walki radioelektronicznej jest koniecznością.

Vandenoort powtórzył dobitnie słowa raz już wypowiedziane w toku dyskusji w admirałkiej kajucie. Pomysł niemieckiego majora sprzed miesiąca zapadł mu w pamięć. Ten głupiec Denters nie potrafi zrozumieć, że nie można tkwić w miejscu. Kto stoi w miejscu, ten się cofa. Kto nie maszeruje, ten ginie.

- Nie widzę powodu, byśmy atakowali polskie terytorium – odparł Denters. – Blokada i tak potężnie szkodzi Polakom. Osiągnie pan swój cel tydzień lub dwa później, ale go pan osiągnie. Po co przekształcać ten konflikt w bezładną strzelaninę?
- Proszę zostawić politykę w mojej gestii – powiedział ostro Vandenoort. – To ja decyduję, co jest tu skuteczne, a co nie.
- Mógłbym dokładnie zażądać tego samego w stosunku do działań militarnych – odpowiedział spokojnie Denters. – Uważam jednak, że należy wysłuchać pańskich sugestii. Co nie znaczy, że się z nimi zgadzam. A propos polityki – domyśla się pan, jak fatalny efekt w mediach będzie miał zbrojny atak na Polaków?
- Naszym zadaniem jest okazać skuteczność i zdecydowanie. Lamenty tamtejszej prasy możemy sobie darować.

Denters pomyślał, iż Vandenoort rzeczywiście może zlekceważyć prasę. Po części nawet w państwach popierających blokadę. Dopóki stały za nim rządy, był praktycznie nieodwoływalny. A szansa, że zdeklarowani eurosceptycy przejmą władzę w wystarczającej liczbie państw, by go odwołać, była mniej więcej taka sama, jak szansa trafienia głównej nagrody w loterii. Vandenoort mógł sobie pozwolić na wiele.

Zadzwonił telefon. Denters podniósł słuchawkę. Słuchał przez chwilę.

- Już tam idę – powiedział.

Vandenoort popatrzył na niego pytająco.

- W pobliżu naszej floty kręci się polski samolot i zakłóca działanie naszych radarów. Idę na stanowisko dowodzenia. To doskonała okazja, żeby zobaczyć, jak to na co dzień. Chcecie panowie iść ze mną?

Vandenoort i Acostelle nie mieli nic przeciwko.

Nad Bałtykiem, 25 kilometrów na północ od Świnoujścia godz. 13:15

Krażyli na wysokości pięciu kilometrów. Wypiętrzone cumulusy świeciły jasnym, bladym blaskiem w ich stronę, rzucając cień na morze poniżej. Gęstniały z każdą chwilą, tworząc powłokę, którą przecinały tylko nieliczne okna. Niebo powyżej też nie było całkiem czyste, zasnuwał je cirrostratus, skutecznie osłabiający i oziębiający światło. W zimnej bieli, przechodzącej momentami w szarość, leciało się kiepsko, obserwowano jeszcze gorzej. Gdyby w ich kierunku wystrzelono raketę, mieliby niewielkie szanse zaobserwować ją i wykonać skuteczny unik. Samo zejście z wysokości kilku kilometrów do cienia radarowego w ucieczce przed raketą woda-powietrze zajęłoby sporo czasu. Do tego okrętów EAF pilnowały powietrzne patrole bojowe. Czerwiński co chwila wychwytywał impulsy ich radarów.

Aparatura ostrzegawcza pulsowała dźwiękami o różnej częstotliwości i różnym natężeniu, oznaczającymi smagnięcia wiązek radarów. Pracowały na różnych częstotliwościach i na różnych platformach – głównie na okrętach. Żaden z nich jak dotąd nie oświetlił Szparki wiązką prowadzącą, za którą podążałaby rakietka. Poczucie bezpieczeństwa było jednak złudne – najnowsze pociski powietrze-powietrze mogły być zaprogramowane przed strzałem i odpalone bez wiązki prowadzącej. Ich własny, pokładowy radar, włączony w końcowej fazie lotu naprowadzał je precyzyjnie na cel w ciągu kilku, góra kilkunastu sekund lotu. Tyle mieli czasu, gdyby ktoś potraktował ich pociskiem powietrze-powietrze *AMRAAM*. Osłona myśliwców niewiele by zdziałała. Porównanie do robaka na haczyku było jak najbardziej trafne.

- Chyba mam naszą dziewczynkę – odezwał się Czerwiński po kilku minutach skupionego milczenia.
- *De Zeven Provinciën*?
- Tak. Zdecydowali się nas pomacać radarem.
- Jeśli jesteś pewien, że to on, to za moment powinniśmy się zwijać.
- Nie jestem pewien. Skonsultuję to z ziemią. Znają położenie tego parzywca, więc będą wiedzieli, czy to on, czy nie on.

Czerwiński zajął się korespondencją radiową. Jednak ODN też nie wiedział, czy to *De Zeven Provinciën*. Niedobrze. Zanosilo się, że jeszcze tu polatają.

HNLMS *Tromp*, na zachód od Bornholmu godz. 13:28

- Jest tutaj, na północ od wyspy Wolin, na granicy polskiej przestrzeni powietrznej – Mesdegaard wskazał obszar na komputerowej mapie systemu dowodzenia. – Zaraz zrobi zwrot o 180 stopni i polecą na wschód.
 - Co to za maszyna? – spytał Denters.
 - Prawdopodobnie *Fitter* – odpowiedział komandor. Nazwą *Fitter* określano dla ułatwienia komunikacji w NATO wszystkie maszyny rodziny *Su-7/17/20Su-22*.
 - Nie wiadomo na pewno?
 - Brak emisji radarowych i znaczna prędkość przelotowa. Na pewno odrzutowiec. Bez kontaktu wzrokowego nie wiemy, jaki.
 - Gdzie on dokładnie jest? – zapytał Vandenoort. Niełatwo było mu się połączyć w wyświetlanej na ekranie sytuacji morskiej i powietrznej.
 - Tutaj – Mesdegaard wskazał symbol na mapie.
 - To nasze siły? – zainteresował się Acostelle, wskazując liczne obiekty powietrzne pomiędzy okrętami EAF a wybrzeżem polskim.
 - Nie, to cywilne samoloty. Muszą omijać Polskę z powodu ich blokady. Trochę nam przeszkadzają. My im zresztą też.
 - W jaki sposób?
 - Nasze radary zakłócają im niekiedy aparaturę pokładową. Często się na to skarżą. Musimy osłabiać emisję, a wtedy jesteśmy bardziej narażeni na zakłócanie.
 - Dlaczego po prostu nie zestrzelicie maszyn zakłócających? – wtrącił się Vandenoort.
 - Technicznie nie ma problemu – odpowiedział Denters. – Ale to akt agresji. Latają we własnej przestrzeni powietrznej. Poza tym, co przez to zyskamy?
 - Przewagę. Utrąćcie jeden z jej elementów po polskiej stronie.
 - Wyślą, po prostu, następną maszynę, gdzieś w głębi łądu...
 - Admirale, i tak musimy zniszczyć im radary, emiterzy i samoloty WRE. Co stoi na przeszkodzie, żeby zniszczyć teraz ten jeden?
- Denters popatrzył na niego. Po wcześniejszych porażkach Vandenoort chciał mieć pokazówkę. Denters zwrócił się do Mesdegarda.
- Komandorze, proszę przekazać koordynatorowi osłony myśliwskiej rozkaz, żeby wysłał parę *F-16* na przechwycenie tego *Su-22*.
 - Mają go zestrzelić? – upewnił się Mesdegaard.
 - Tak jest. Zestrzelić – potwierdził admirał.

Nad Bałtykiem, 80 kilometrów na północ od Świnoujścia godz. 13:30

Major Nicolas Willems pilnował odległości od powierzchni morza, przemykającej tuż pod jego *F-16*. On i jego skrzydłowy, porucznik Denis Van de Velde, osłaniali na małej wysokości okręty AF od południa. Rozciągnięte w luźnym szyku, by nie utrudniać obserwacji i manewrowania, belgijskie *Viper*y z dywizjonu 349, usiłowały nie pokazać się polskim radarom naziemnym. Miały stanowić przykrą niespodziankę, na wypadek, gdyby Polacy chcieli znowu zagrozić patrolowym *Orion* lub przelecieć nad którąś z wysuniętych na wschód fregat. Na nic takiego się niezanosiło i cały patrol był tylko stratą czasu i paliwa. Na małej wysokości samoloty konsumowały potworne ilości ropy lotniczej, a pilotaż wymagał od załóg maksymalnej koncentracji. Mimo to Willems wolał to od nudnego wiszenia na dużej wysokości z okazjonalną ucieczką przed pozorowanym atakiem rakietami *SA-5*.

Willemsowi rzadko zdarzało się nie zrozumieć rozkazu stanowiska dowodzenia. Tym razem jednak zażądał powtórzenia głośno i wyraźnie, ponieważ wydało mu się niedorzeczne. Głośno i wyraźnie ponownie otrzymał polecenie: przechwycić i zniszczyć polski samolot, prawdopodobnie *Su-22 Fitter*, na południe od trasy jego patrolu. Zniszczyć dyskretnie i pewnie – podejść na odległość bezpośredniego strzału, tak by rakietą przeznaczona dla polskiego bombowca nie trafiła przypadkiem innej maszyny. A tak łatwo mogłoby się zdarzyć, gdyby wystrzelony z daleka pocisk dostał jakiejś głupawki w tłumie cywilnych maszyn omijających Polskę od północy.

Major potwierdził przyjęcie rozkazu i na południe. Van de Velde podążał za nim niczym cień. Radary pozostawili w gotowości do emisji, polegając na danych transmitowanych z innych źródeł detekcji za pomocą łączy komputerowych. Zeszli jeszcze niżej – wysokość 30 metrów gwarantowała im, że nie zostaną dostrzeżeni przez polskie radary niemal do końca, do odpalenia rakiet. Na ucieczkę dla *Fittera* będzie już wtedy za późno.

Jedyny problem stanowiły chmury. Willems zdecydował, że nie będzie bawił się w atak naprowadzanym w podczerwieni *Sidewinderem*. Pewniakiem był w tym wypadku pocisk średniego zasięgu *AIM-120 AMRAAM*, zwany przez pilotów *Slammer*. Zgodnie z rozkazem Willems zamierzał odpalić go z niewielkiej odległości, tak by pocisk uchwycił cel bezpośrednio własnym radarem pokładowym, bez fazy naprowadzania pośredniego, bezwładnościowego z lub bez uaktualnienia danych po drodze przez radar pokładowy *F-16*.

Major nie był szczęśliwy, że będzie pierwszym w tej operacji, który odda ostry strzał. Ostatecznie Polacy nie zwinili tak wiele. Przez moment zrobiło mu się żal polskich lotników. Pocieszyła go myśl, że prawdopodobnie nawet nie zdążą zauważyć, że zostali trafieni.

- Jubiler, tu Szafir. Mleko na wyczerpaniu, wracam...
- Cholera, myśliwce się wycofują – skomentował Czerwiński.
- Zapytaj, jak długo mamy tu jeszcze siedzieć.

Czerwiński połączył się z ziemią. Nadal nie umieli ustalić, pozycji okrętu, który najprawdopodobniej był fregatą *De Zeven Provinciën*. Bryza Marynarki Wojennej wciąż jeszcze miała zbyt kiepskie echo radarowe okrętu. Bez skojarzenia okrętu z sygnałami zebrane przez nich dane były niepełnowartościowe. ODN nakazał im patrolować dalej.

- Jubiler, przyslijcie dwa Szafiry. Nie będziemy tu siedzieć sami wystawieni na strzał – włączył się do korespondencji Marciniak, gdy tylko ODN zakończył wyjaśnienia.
- Szafiry są wszystkie na dyżurze bojowym lub uziemione – padła odpowiedź z ziemi. – Zaraz zorganizujemy dodatkową parę.
- Kurwa ich mać – zaklął Marciniak, upewniwszy się, że mówi tylko do interkomu. – Każą nam tu wisieć jak tarcza na strzelnicy. Zaraz to możemy oberwać, zanim oni tam na dole zorientują się, że coś się dzieje. Nie przewidzieli, że będzie potrzebna druga para *MiGów*?
- Mamy za mało samolotów i części zamiennych. Latają intensywnie od początku tego cyrku – stwierdził Czerwiński. Marciniak nieco ochłonął. Przemas miał rację – część *MiGów* pełniła normalny dyżur bojowy, niektóre były uziemione z braku rosyjskich części zamiennych. Wygospodarowanie dodatkowych maszyn do ich osłony po opóźnionym starcie musiało potrwać.
- Miej oko na wszystko. Najmniejsza oznaka, że coś jest nie tak i wiejemy.
- Okej.

Marciniak wyteżył wzrok. O odpaleniu rakiety z okrętu poinformowałyby ich aparatura. Jednak w tych warunkach mógł się do nich podkraść myśliwiec i odpalić rakietę kierowaną w podczerwieni. Oberwaliby bez najmniejszego ostrzeżenia. Jediną pociechą było to, że to oni byli po stronie słońca, mieli więc lepsze szanse dostrzec przeciwnika atakującego z dołu, niż on ich...

Dochodzili do zachodniej granicy strefy patrolowej. Michał położył *Su-22* w obszerny zakręt w lewo – tym razem wcześniej niż poprzednio. Po piętnastu sekundach miał być już na kursie wschodnim.

Willems połapał się, że coś jest nie tak. Zaskoczony patrzył na ekran sytuacji taktycznej. Cel miał wyjść idealnie przed nich i dostać rakiętą prosto w dyszę wylotową. Tymczasem zmienił kurs znacznie wcześniej niż poprzednio i zmusił ich do ataku z boku. Mając cel z lewej i przestrzeń powietrzną Polski przed sobą Willems był w kropce. Mógł albo strzelić teraz w średnio korzystnej sytuacji, albo naruszyć przestrzeń powietrzną Polski.

Major postanowił nie czekać, tylko strzelać od razu. Wybrał podwieszonoego pod prawym skrzydłem *AMRAAM-a* i czekał aż ten uchwyci cel.

Byli niemal u końca zwrotu na wschód, gdy tablica zagrożeń zapłonęła niespodziewanie pomarańczowym blaskiem.

- Rakieta na piątej! To *AMRAAM!* – wykrzyknął Czerwiński. Marciniak już rzucił gwałtownie maszynę w prawo, przewrotem niemal na plecy, w skośny zakręt i pchnął przepustnicę do oporu, usiłując zwiększyć kąt między kursem własnym a kursem rakiety. Czerwiński aż jęknął, gdy niespodziewane przeciążenie wcisnęło go w zakamarki fotela. *AMRAAM* był blisko, skoro wykryli jego radar. Mieli kilka, może kilkanaście sekund. *Szparka* skręcała ostro w prawo, do ziemi.
- Zagłusz go! – warknął stłumionym przez przeciążenie głosem.
- Robię, co mogę! – odparł Czerwiński.

Marciniak wykręcił głowę, usiłując zobaczyć pocisk, ale kabina *Su-22* unieвозмоżliwiała mu to. Instynktownie rzucił samolot ku ziemi i chmurom. Pocisk nadlatywał z prawej i prawdopodobnie od dołu, inaczej naziemne radary wykryłyby przeciwnika wcześniej.

- Jubiler, strzelają do nas *AMRAAM-em* – krzyknął w radio Czerwiński. Marciniak był pełen podziwu – Czerwiński nawet w stresie zorientował się, że trzeba poinformować ODN o sytuacji. Sam nacisnął przycisk wyrzucający pakiety z paskami folii aluminiowej. Ich pęczki tworzyły w powietrzu pozorne cele dla radaru. Michał nie łudził się, że zmylą pocisk. *AMRAAM* uchodził za cholernie skuteczną broń.
- Diament dwa, powtórz, nie zrozumiałem...
- Strzelają do nasi, do kurwy nędzy!

Sygnal ostrzegawczy niespodziewanie umilkł. Marciniak nie miał czasu się tymnacieszyć. Nurkowali w stronę najbliższej chmury, prosto na południe. Przywrócił *Su-22* do normalnej pozycji i w tym momencie zobaczył dwa *F-16* wyskakujące z cumulusa z prawej z tyłu.

Oba belgijskie *F-16* po odpaleniu *AMRAAM*-przez prowadzącego poszły świecą w górę. *Willems* chciał potwierdzić efekt ataku i ewentualnie poprawić drugim pociskiem. Co prawda *AMRAAM*-a mógł nie trafić *Su-22* chyba tylko w wypadku awarii, jednak major, jako zawodowiec, nie zostawiał niczego przypadkowi. Wyszli z chmur akurat w porę, by zobaczyć... jak pocisk mija uciekający ciemnozielony odrzutowiec!

Willems nie wierzył własnym oczom.

-Kurwa! – zaklął pod nosem. Zareagował jednak błyskawicznie. Uruchomił *Sidewindera* na wyrzutni na końcu lewego skrzydła. Nacisnął spust, gdy tylko pocisk osiągnął gotowość, a głowica uchwyciła cel.

– Bluescreen 1, Fox 2 – zameldował odpalenie, gdy *Sidewinder* z fuknięciem opuścił wyrzutnię. *Willems* śledził jego lot. Pocisk węzłowatymi zakosami popędził za celem, korygując kurs zgodnie z ruchem *Su-22*. Uruchomienie i wystrzelenie rakiety zabrało jednak cenne sekundy – i *Fitter* zniknął w chmurze, zanim *Sidewinder* go dogonił. W chmurze naprowadzany podczerwienią pocisk mógł trafić tylko przypadkiem.

Willems zaklął ponownie i włączył radar.

Panel zagrożeń znowu zapłonął pomarańczowym blaskiem. Tym razem wskazywał tył – za ogonem.

– Ściga nas *F-16*! – wykrzyknął Czerwiński. – Nie jeden. Dwa – poprawił.

Marciniak nie odpowiedział. Starał się utrzymać *Suchoja* w nurkowaniu i jak najszybciej zejść do lotu koszącego. Tylko nad samą wodą mieli jakąś szansę...

Przez moment w słuchawkach zabrzmiał brzęk oznajmiający o przechwyceciu przez głowicę samonaprowadzającą *AMRAAM*-a, zaraz jednak ucichł. Wiadocześnie nowe oprogramowanie *SPS-141 SC* nie było aż tak złe, skoro dwa razy udało im się zmylić głowicę.

– Nie za szybko schodzimy?! – zapytał Czerwiński. Pytanie było na miejscu, bo wysokość malała w szalonym tempie. Mimo że Marciniak śledził wskazania wysokościomierza, gdy wypadli z chmur, powierzchnia wody wydała mu się zbyt bliska. Momentalnie ściągnął drążek do siebie. Usły-

szał ciche przekleństwo Czerwińskiego, któremu gwałtownie zaserwowane przeciążenie znowu coś boleśnie wykręciło. Ledwie zmieścili się, wyprowadzając tuż nad wodą. Marciniak nie zdążył się nawet przestraszyć. Udało mu się ustabilizować lot bardzo blisko powierzchni morza – nie więcej niż dziesięć metrów. Fale zdawały się muskać brzuch maszyny.

– Diament dwa, co się u was dzieje? – zapytał ODN.

Zignorowali pytanie.

Gwałtowna eksplozja tuż za samolotem oznajmiła, że *F-16* nie zrezygnowały z lupu. Po poszyciu zagrzecgotały odłamki. Michał rzucił tylko okiem na tablicę przyrządów, ale wszystko było w normie.

– Co to było?! – spytał.

– *Sidewinder* – odpowiedział Czerwiński.

– Diament dwa, co z wami?! – powtórzył pytanie ODN.

– Dwa *F-16* strzelają do nas! Lecimy w stronę brzegu! Walnijcie w nich czymś!!! – wykrzyczał w radio Czerwiński.

– *Newy* nie dadzą rady. Bandyci są zbyt blisko was.

Kolejna eksplozja wyrzuciła w powietrze wodę. Tym razem rakietą strzelona pod zbyt dużym kątem z góry nie zdołała wrócić do lotu poziomego. Trafienie na tej wysokości rakieta uciekającego samolotu było niezwykle trudne – pocisk mógł wpaść do wody, zapalnik zbliżeniowy mógł spowodować przedwczesną detonację. Czerwiński zakłócał *AMRAAM-y*, a *Sidewinderom* utrudniały działanie odbicia słońca i gorącej dyszy wylotowej w wodzie i wyrzucane od czasu do czasu przez Marciniaka flary magnezowe. Tylko dlatego nie oberwali jedną z dwóch wystrzelonych do nich rakiet.

Brzeg rósł w oczach. Marciniak bał się tej chwili. Myśliwcom trudno było strzelać do celu szorującego niemal po wodzie – od tyłu jego sylwetka była zbyt wąska, by dobrze wycelować. Musiały wyjść w górę i nurkować pod znacznym kątem ryzykując zderzenie z wodą. Dla *F-16* kąt takiego ataku był większy, gdyż umieszczone w skrzydle działko skierowane było dwa stopnie w górę w stosunku do osi maszyny, w locie poziomym musieliby więc strzelać ze znacznej odległości.

Obaj Belgowie wiedzieli o tym doskonale. Zrezygnowali już z ataku rakietaми, gdyż wskutek emitowanych przez *Su-22* zakłóceń głowice *AMRAAM-ów* co chwila gubiły cel, a *Sidewindery* też okazały się nieskuteczne. Zajęły więc pozycję za ogonem *Su-22*, wyczekując chwili, gdy ten będzie musiał wyskoczyć w górę.

Nie doczekali się. Marciniak wycelował w prześwit między drzewami i przeprowadził *Szparkę* tuż nad wydymami. Wokół *Suchoja*śmignęły smugowe poci-

ski, uderzając w drzewa i wydmy. Żaden pocisk nie trafił, na dodatek oba *Vipers* musiały odskoczyć w górę, by uniknąć spotkania z drzewami. Przez moment miał spokój. Zaraz też ład się skończył i pojawiło się cholernie dużo wody... Dokąd teraz?

- To Dziwna. Leć w prawo! – Czerwiński jakby czytał w jego myślach. Marciniak skreślił, niemal przyklejając *Szparkę* do tafli.
- Znow są za nami! – głos Czerwińskiego zdradzał napięcie. – Trzymaj się wody. Teraz w lewo.
- Nadal was ścigają? – spytał ODN.
- Nie, poszli na nieszpory! – wrzasnął Czerwiński. Musieli nie przełączyć się na interkom.
- Lecą w waszym kierunku myśliwce z południowego patrolu. Będą za pięć minut. – odezwał się kontroler z ODN.
- Za pięć minut to będzie po zupie! – krzyknął Marciniak. Położył właśnie *Su-22* w kolejny zakręt nad wodą. Przed oczami zamigotały mu ogniste świetliki i fontanny wody. Belgowie znowu strzelali z działek. Jeden z *F-16* wyszedł w górę i wystrzelił serię. Opuścił jednak szybko, gdy utracił wysokość.

Marciniak przykleił *Szparkę* jeszcze bardziej do wody. Kolejna seria z działka szybkostrzelnego mignęła koło kabiny. Strzelali wprost z tyłu do bardzo wąskiej sylwetki, dlatego żaden z pocisków nie trafił. Jedno trafienie wystarczyłoby, by zwalić ich do wody. Marciniak włączył dopalacz. Duża szybkość jeszcze bardziej utrudniała Belgom prowadzenie ognia, a nawet skuteczny pościg. Michał wiedział, że piloci myśliwcy nie lubią małych wysokości. W tym, jako przeszkolony pilot bombowca, upatrywał swoją szansę.

Trzy odrzutowce z hukiem mknęły tuż nad powierzchnią Dziwnej, budząc zdumienie okolicznych mieszkańców i przypadkowych przechodniów nadbrzeżnych miejscowości. Nisko nad wodą ciemnozielony, wielki, garbaty *Su-22UM3*, dwieście, może trzysta metrów, nieco wyżej, dwa mniejsze, ciemnoszare *F-16*, w nieznacznej odległości od siebie. Samoloty pędziły pomiędzy kontynentalną częścią Polski a wyspą Wolin, w stronę miejscowości noszącej tę samą nazwę, co wyspa. Belgowie nadal nie strzelali, czekając na kolejną szansę. A ta była już niedaleko.

Przed *Su-22* zamajaczyły odległe kształty mostów. Marciniak spodziewał się tego, ale liczył, że Belgowie nie zapuszczą się daleko w głąb ładu. Przeliczył się. Miał teraz do wyboru odbić nad brzeg lub przeskoczyć ponad mostami. W każdym wypadku dostałby się pod morderczy ogień z działek lub nawet pod

pociski raketowe. Na to, że piloci *F-16* odpuszczają, nie było szans – nie po to ścigali go taki szmat drogi.

Mosty rosły w oczach. Były aż trzy. Marciniak ujrzał prześwit pod nimi. Nie było czasu do namysłu. Zdecydował instynktownie. Nieznacznie sprowadził Szparkę jeszcze niżej. Był może trzy metry nad wodą, ale przy tej prędkości nie był pewien, czy nie jest za nisko. Celował w środek przesmyku.

- O kurwa! – wyrwało się Czerwińskiemu. Jeden i drugi ciemny kształt mignęły wokół kabiny... i już byli po drugiej stronie. Wyrwał w górę i w lewo, wyrzucając flary, bo trzeci, zwodzony most miał już zbyt mały prześwit. Był pewien, że zaraz oberwą, ale nic się nie stało.

Willems i Van de Velde byli pewni, że *Fitter* wyskoczy im przed mostem prosto w celowniki. Czekali do ostatniej chwili, ale tak się nie stało. Zorientowali się w zamiarach Marciniaka zbyt późno. Most był tuż tuż. Willems zdążył tylko krzyknąć:

- W górę!!! – i kopnął orczyk, jednocześnie ciągnąc z całych sił drążek sterowy na prawym podłokietniku. Jego *F-16* wystrzelił w skośny, wznoszący prawy zakręt. Potężne przeciążenie aż zamroczyło majora, który jedynie kątem oka zarejestrował łukowe przesło mostu mijające samolot. Z potwornym hukiem odrzutowego silnika i skondensowaną parą wodną na górnej przykadłubowej powierzchni skrzydeł *F-16* Willemsa uciekał na pełnej mocy w nisko wiszące chmury. Pilot odpuścił wreszcie sobie i maszynie i przez kropłową osłonę kabiny obejrzał się w stronę skrzydłowego.

Van de Velde nie miał tyle szczęścia. Leciał co prawda nieco z tyłu, ale zareagował wolniej i poszedł prosto w górę, w miejscu, gdzie przesło sięgało najwyżej. Jego maszynie zabrakło kilkudziesięciu centymetrów. Mimo, iż wykonał równie energiczny manewr co Willems, jego *F-16* uderzył o przesło podkadłubową płetwą i dyszą wylotową. Cios, jaki dostał samolot, wystarczył do uszkodzenia struktury kadłuba, naruszenia silnika i rozszczelnienia tylnego zbiornika paliwa. Uderzenie rzuciło Van de Veldem, silnik stracił ciąg, a za ogonem pojawił się ogień...

- Skacz Denis! Skacz! – usłyszał w słuchawkach okrzyk dowódcy.

Okrzyk Willemsa uświadomił mu grozę sytuacji. Ekran wielofunkcyjny i klasyczna tablica ostrzegawcza zasygnalizowały pożar, i bez tego pomarańczowy odbłask w owiewce powiedział mu wszystko. Rzut oka do tyłu i jęzor ognia spowodowały, że Van de Velde nie zwlekał. Sięgnął do uchwyty katapultowania i pociągnął go z całej siły.

Fotel wyrzucany zadziałał, jak powinien, ściągając pilota i jego kończyny do właściwej pozycji. Osłona kabiny odpadła z hukiem odrzucona miniładunkami

wybuchowymi, a potem kokpit *F-16* uleciał Denisowi Van de Velde w dół wraz z potężnym kopnięciem ładunku miotającego. Kilka sekund później pilot kołysał się na szelkach spadochronu na wysokości zaledwie kilkudziesięciu metrów, a na piętnastometrowej linii kołysał się zasobnik z awaryjnym wyposażeniem.

Wypadki potoczyły się szybko. Zanim Van de Velde zdążył uwolnić się z maski tlenowej i poluzować choćby uprząż spadochronu, znalazł się w nurtach Dziwny. Oszołomieni, osłupieli gapie na brzegu, zbyt późno zorientowali się, że pilot potrzebuje pomocy. Mimo napełnionej kamizelki ratunkowej zaplątany w linki spadochronu, walczący z maską tlenową, porucznik Denis Van de Velde utonął dwanaście metrów od brzegu, niemal an powierzchni Dziwny, stając się pierwszą, śmiertelną ofiarą konfliktu.

Powidz, baza lotnicza, godz. 14:55

Porucznicy Marciniak i Czerwiński siedzieli w sali odpraw w towarzystwie pułkownika Nowaczyka i majora Kwietnia. Oglądali serwis informacyjny TVN24. Marciniak nie był w stanie opanować drżenia rąk. Oszołomienie i nadmiar adrenaliny dopiero teraz dały znać o sobie. Czuł się, jakby rozładował wagon węgla. Mimo uspokajających myśli nie był w stanie zapanować nad odruchami. Dopiero teraz dotarło do niego, jak wiele szczęścia mieli, uchodząc z życiem z tej walki.

Brawurowa ucieczka *Su-22* przed *Viperami* stała się medialnym hitem. Telewizja bez przerwy powtarzała nagrania zarejestrowane amatorskimi kamerami wczasowiczów. Przemykająca z hukiem pod mostami Szparka, a potem kraksa belgijskiego *F-16* – to dla telewizji była prawdziwa gratka. Media używały sobie, ile wlezie, a Marciniak wciąż nie mógł uwierzyć, że zmieścił się rozpędzonym, niemalym przecież samolotem pod dwoma niezbyt wysokimi mostami. Reporterzy podawali, że prześwit między wodą a przesłen wynosił około dwunastu metrów.

Powodów do niewiarygodnego zdumienia było zresztą więcej. Śmigłowiec stacji telewizyjnej był już na miejscu, pokazując miejsce katastrofy belgijskiego *Vipera*. W miejscu, gdzie kadłub myśliwca zderzył się z konstrukcją mostu, ziała wyrwa. Dookoła niej gorące gazy wylotowe spaliły farbę i okopciły metal. Okaleczony i opuszczony przez pilota *F-16* spadł na nabrzeże, powodując pożar. Na szczęście nikt nie zginął, choć jeden ze strażaków został lekko ranny, gdy w ogniu pożaru eksplodował któryś z pocisków raketowych, z czego re-

porterzy wysnuli trywialny wniosek o tym że samolot był uzbrojony. Strażak miał dużo szczęścia – głowica *Sidewindera* o wymuszonej fragmentacji mogła zrobić z niego sitko. Tego szczęścia wyraźnie zabrakło pilotowi belgijskiego myśliwca. Nie odniósł widocznych obrażeń przy katapultowaniu. Zginął dopiero w wodach Dziwny.

Marciniak zastanawiał się, jak dziwne jest życie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinni zginąć obaj z Czerwińskim od pierwszego strzału. Przeciwnik miał dramatyczną przewagę, a jednak przetrwali. Za to jeden z ich prześladowców zginął w głupi sposób.

- Mama zawsze mi powtarzała, żeby walczyć do końca i niczym się nie przejmować – powiedział z głupia frant Czerwiński. Może chciał skomentować coś innego, ale trafił w dziesiątkę w myśli Michała.

Walczyć do końca. Wykorzystać wszystkie szanse – tak jak w brydżu. Walczyć do końca, bo może przeciwnik popełni jakiś błąd, bo może okoliczności zmienią się na lepsze. Póki żyjesz, wciąż możesz wygrać, jeśli grasz z wystarczającą determinacją i odwagą. Może przeciwnik jest mniej cierpliwy, mniej uważny, może zbyt pewny siebie? Trzeba wierzyć w zwycięstwo. To wszystko wpajano im w szkole orląt i w eskadrach, a jednak dopiero ten dzień dał mu doświadczyć, że to najczystsza prawda. Gdyby poddali się tam, nad Bałtykiem, prawdopodobnie leżeliby już od półtorej godziny martwi na jego dnie.

- No to teraz będzie jazda – skomentował Nowaczyk. – Mamy pierwszego nieboszczyka. Dobrze, że nie po naszej stronie. Ci z EAF pojechali po bandzie! Wlecieli prawie 40 kilometrów w naszą przestrzeń powietrzną. Cholernie im zależało, żeby was dopaść. Ciekawe, dlaczego?
 - I prawie się udało! – Marciniak wciąż był wzburzony i nie krył tego. – Podeszli do nas niezauważeni i bez przeszkód ze strony osłony myśliwskiej. Gdzie u diabła były *Zadymiacze*?
 - Jednej parze skończyło się paliwo, a reszta sprawnych maszyn pełniła dyżury na lotniskach, wzdłuż wybrzeża i zachodniej granicy.
 - Warto było tak się narażać? – spytał Czerwiński.
 - Chyba tak – stwierdził Nowaczyk. – Ostatecznie żyjecie, a *Szparka* jest tylko lekko drażnięta odłamkami. Mamy komplet charakterystyk radarów ich okrętów...
 - I tak nic z tym nie zrobimy – przerwał mu zirytowany Marciniak.
- Łysoń popatrzył na niego spode łba – jednak bez nadmiernej złości.
- Jesteś pewien? – spytał. – Właśnie udowodniłeś, że można walczyć nawet kiepskimi kartami, jeśli wie się, jak.

- Drugi raz nie chciałbym tego próbować – bronił się Marciniak. – Zresztą co zrobimy? Przypuścimy zmasowany atak na ich okręty? To nie ma sensu.
- Nie my o tym decydujemy – wtrącił się Kwiecień. – Będzie rozkaz, to polecimy, choćby ryzyko było wielkie, bo ryzyko zaniechania może być większe.
- Panowie, dajcie spokój – uciał dyskusję pułkownik. – Zachowajcie siły na przeciwnika. Zadanie zostało wykonane, strat po naszej stronie właściwie nie ma, jeśli nie liczyć paru dziur w poszyciu *Szparki* i dwóch nastrozonych oficerów. Mamy komplet sygnatur radarowych. Zamiast się złościć, zajmijcie się przywracaniem gotowości bojowej *Szparkom*. Coś mi mówi, że będziemy ich potrzebować niebawem. Skoro zaczęli do na strzelać, Rubikon został przekroczony. Maszyna Kaweckiego jest bardziej uszkodzona. Poleciało kilka łopatek turbiny, na szczęście nie zdemolowały niczego ważnego, ale silnik jest do wymiany. Waszą też trzeba połatać.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej

godz. 16:45

Vandenoort siedział przed ekranem laptopa. Obok niego zasiadali Schuster i Acostelle. Asystentki nie było.

Na ekranie laptopa pojawił się ponownie admirał Denters.

- Major Willems twierdzi, że wyprowadził ich w pole naprawdę doskonały pilot – rzekł, usiłując wytłumaczyć niepowodzenie. – Co gorsza, uważa, że pierwszy *AMRAAM* nie trafił z powodu aktywnego przeciwdziałania z polskiego samolotu.
- Widocznie potrafią skutecznie zagłuszać amerykańskie uzbrojenie – wyjaśnił Schuster. – To byłby koronny dowód, na to, że mają taką zdolność, bo podejrzewaliśmy to wcześniej. No i jest bardzo prawdopodobne, że pomagają im Amerykanie.

Amerykanie. USA. Te słowa działały na Vandenoorta niczym czerwona płachta na byka. Nawet teraz umoczeni po uszy w Afganistanie i Iraku Jankesi mieszały się do wewnętrznych spraw Europy i podkopywali fundamenty integracji.

- Zgodzicie się ze mną panowie, że uderzenie na polskie środki WRE jest konieczne dla uszczelnienia blokady? – zapytał Vandenoort.
- To prawda – przytaknął Schuster.
- Wygląda na to, że tym razem ma pan rację w sprawach militarnych – przyznał bez entuzjazmu Denters.

- Vandenoort pokiwał głową.
- A pan co o tym myśli, Jean? – spytał Francuza.
- Acostelle miał odpowiedź przemyślaną od dobrej chwili.
- W pełni się z panem zgadzam, panie komisarzu.

Acostelle nie umiał kłamać. Gdyby Vandenoort zapytał go, czy uderzyć z powietrza na Polskę, prawdopodobnie powiedziałby tak, ale jego postawa zdradziłaby, co naprawdę myśli. Jednak Vandenoort postawił pytanie czysto teoretyczne i z logicznego punktu widzenia łatwo było się zgodzić z tym tokiem rozumowania.

Francuzowi nie podobała się cała wojenna awantura Vandenoorta. Miał jednak świadomość, że, będąc w centrum wydarzeń, może na coś wpływać. Jeszcze nie czas, by mówić, co naprawdę o tym myśli...

- Rozumiem, że zajmie się pan przygotowaniami do ataku? – spytał Dentersa Vandenoort, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, rzekł:- W porządku. Mam nadzieję, że tym razem wszystko pójdzie, jak należy. Ja ze swej strony zadbam od strony, by potępiono oddolnie i w mediach polską agresję wobec blokady. Ten mały wojskowy prztyczek powinien ująć nam na sucho.

Warszawa, pałac prezydencki godz. 18:25

- Panowie, jakie są nasze szanse wyjścia z tego konfliktu? – spytał prezydent Chłopicki.

- Moim zdaniem nikłe – odpowiedział Radwański. – Postawa Brukseli skutecznie podzieliła posłów i nie ma szans na ratyfikowanie eurotraktatu. Od początku byłem i nadal jestem przeciw uleganiu szantażowi. To, co dziś wydaje się najłatwiejszym wyjściem, jutro będzie nas kosztować utratę znaczenia, prestiżu, wpływów i – co gorsza – części suwerenności.

- Walczymy o poparcie zewnętrzne?

- Walczymy, ale szanse maleją z dnia na dzień. O koalicji wewnątrz Unii możemy zapomnieć. Czesi czują się zbyt słabi, by postawić się Brukseli. Podobnie państwa bałtyckie. Z ich pomocą można by skutecznie przełamać blokadę lądową. Litwinom blokada się nie podoba, ale nie staną po naszej stronie, bo blokadę łatwo rozszerzyć na nich. Ukraina stara się o członkostwo w Unii i NATO, więc również nie jest zainteresowana jawnym poparciem, ale tu jest już lepiej. Otrzymujemy od Ukraińców części zamienne do *MiGów-29* i *Su-22*, dzięki czemu te maszyny jeszcze latają.

- A co z Amerykanami? – dopytywał się Chłopicki.

– Ich sytuacja jest równie skomplikowana – wyjaśnił Radwański. – Są związani w Iraku i Afganistanie. Ich siły morskie wiąże Iran i Zatoka Perska. Do logistycznego wspierania operacji lądowych na Bliskim i Środkowym Wschodzie niezbędna jest im baza w Ramstein. Wiemy z pewnego źródła, że kanclerz Meier już zapowiedziała, że w razie zaangażowania Stanów po stronie Polski baza zostanie zablokowana. To oznacza osłabienie sił amerykańskich w państwach muzułmańskich, być może wzmożoną ofensywę talibów i Al-Kaidy, a zatem więcej ciał w plastikowych workach i oddalenie szans na opanowanie sytuacji. Na żadną pomoc poza mediacjami liczyć nie możemy – poza współpracą wywiadowczą i w dziedzinie walki radioelektronicznej.

– Jaka to dokładnie jest pomoc? – zainteresował się prezydent.

– Dostajemy od nich regularnie zdjęcia satelitarne sił EAF, zarówno morskich, jak i Roskilde. Otrzymaliśmy też instrukcje, w jaki sposób zakłócić działanie samonaprowadzających pocisków ich produkcji, używanych przez EAF – wyjaśnił generał Krzysztof Łański, szef Sztabu Generalnego. – Uratowało to dziś nasz *Su-22* od zestrzelenia pociskiem *AMRAAM* przez belgijskie *F-16*...

– A propos tego incydentu – wtrącił Chłopicki – dlaczego zdecydowali się na taki atak?

– Nasze samoloty walki radioelektronicznej sprawiają im najwięcej problemów – wyjaśnił Łański – między innymi z powodów, które opisałem. Jesteśmy w stanie zakłócić większość ich radarów lotniczych, morskich i głowic samonaprowadzających. Ich samolotom dają się we znaki nasze naziemne posterunki WRE, ale by zakłócać radary okrętów, musimy korzystać z samolotów. Zakłócamy je zazwyczaj wtedy, gdy statki usiłują przełamać blokadę. Skutecznie.

– Mimo to nie rozumiem, dlaczego strzelali?

– Moim zdaniem ich cierpliwość jest na wyczerpaniu – odparł Łański. – My ponosimy straty, ale oni ponoszą koszty finansowe i polityczne. Chcą rozstrzygnąć konflikt na swoją korzyść, nie czekając na zmiany polityczne w Polsce.

– Mogą posunąć się dalej?

– Politycznie czy militarnie? – spytał Radwański.

– W obu przypadkach.

– Politycznie i medialnie wojskowy atak na nas pewnie spowodowałby zapewne więcej protestów i demonstracji, ale zapewne by się opłacił. Mają swobodę działania i mogą z niej skorzystać. Czywojskowo... panie generale?

– Wojskowo mają przewagę i możliwości działania.

– Co by pan zrobił na ich miejscu?

Łański zastanawiał się chwilę.

– Zniszczyłbym samoloty i instalacje WRE. To one najbardziej utrudniają im życie. Zarazem to niewielki koszt wojskowy i polityczny. Zrobili dziś pierwszy krok.

– Wystarczy, że zniszczą instalacje naziemne, a nie będziemy w stanie prowadzić swoich operacji – wtrącił Zdanecki. – To są najtańsze z naszych środków WRE, mogą prowadzić działania dwadzieścia cztery godziny na dobę. Samoloty ich nie zastąpią. Zniszczenie wszystkich *Su-22* WRE nie da tego samego efektu.

– Co możemy zrobić? – zapytał Chłopicki.

– Możemy spróbować odeprzeć atak, jeśli on nastąpi, po czym jak najprędzej przejść do przeciwdziałania i przejąć inicjatywę. Inaczej uderzą powtórnie.

– Mówi pan z takim przekonaniem, jakby był pan pewien, że uderzą.

– Bo niemal mam taką pewność. Blokada nas nie załamała i nie zastraszyła. Odnieśli szereg taktycznych i prestiżowych porażek, z dzisiejszą włącznie. Będą chcieli to sobie odbić.

– A propos tego incydentu jeszcze raz – powiedział Chłopicki – co z tymi dwoma naszymi lotnikami?

– To twarde sztuki – stwierdził Zdanecki. – Dali sobie radę w zaskakującej, na pozór beznadziejnej sytuacji. I jeszcze wpędzili przeciwnika w pułapkę. To świetna załoga jak zresztą większość z naszych pilotów.

– Czy i my damy sobie równie świetnie radę? – zażartował Radwański.

– Mając takich ludzi, możemy mieć nadzieję – rzekł Zdanecki. – Jeszcze możemy to wygrać.

Warszawa, DowództwoSił Powietrznych 18 lipca, godz.16:30

Odprawa dowódców obu eskadr myśliwskich, trzech eskadr uderzeniowych, brygad raketowych z wybrzeża i bydgoskiej brygady radiotechnicznej trwała już drugą godzinę. Oprócz nich obecnych było kilku wyższych oficerów sztabowych i jeden z wiceministrów obrony. Szef wywiadu wojskowego, szczupły i dość młodo wyglądający generał Pawlak zreferował już sytuację i przekazał wszystko, co wiedział na temat planów EAF.

– To pewne informacje? – Zdanecki wpatrywał się w Pawlaka.

– Dotychczasowe informacje z tego samego źródła sprawdzały się w stu procentach – odpowiedział Pawlak. – Są wiarygodne i precyzyjne. Atak nastąpi w ciągu kilku następnych dni, a celem będą instalacje walki radio-

elektronicznej i stanowiska baterii pocisków ziemia-powietrze, ze szczególnym uwzględnieniem zestawów *Wega*.

- To oznacza, że w ciągu kilku najbliższych dni będziemy musieli trzymać wszystkie siły niezbędne do odparcia ataku w stanie podwyższonej gotowości – stwierdził Zdanecki. – Nie znamy dokładnego terminu. Nie możemy non-stop latać. Założę się, że EAF ma też u nas swoich ludzi, choćby w postaci korespondentów i reporterów. Gdy tylko zaczniemy intensywnie latać, od razu połapią się, że coś się święci.
- Moim zdaniem możemy dość precyzyjnie ocenić, kiedy zaatakują – wtrącił Nowaczyk. – Najlepsza pora, by atakować znad morza, to zachód słońca. Będą chcieli zaatakować kilkanaście minut przed dziewiątą. Licząc czas startu i dolotu – nie więcej niż 45 minut – oznacza to, że satelita nie może się pojawić między dwudziestą a dwudziestą pierwszą. To brak amerykańskiego satelity nad Europą o tej porze wyznaczy dzień ataku.
- Dlaczego myślisz, że właśnie o tej porze? – zapytał Głowacki.
- O tej porze roku będą mieli słońce za plecami. Jeśli pójdą tuż nad wodą, to nasze radary naziemne wykryją ich z 30-35 kilometrów, a z takiej odległości będą w stanie odpalić już *HARM-y*. Reszta już będzie formalnością. Mają taką przewagę w myśliczach, że *MiGi* nie dadzą im rady. Po dwóch minutach od wykrycia będzie po wszystkim.
- Jeśli będziemy znali dzień ataku, to możemy poczekać na nich o określonej porze, na małej wysokości, zachowując EMCON¹⁶ – rzekł Głowacki – Oni liczą na zaskoczenie. Nie będą się spodziewali gorącego powitania. To my ich zaskoczymy
- Żeby wykryć ich i ostrzelać *R-27*, będziecie musieli włączyć radary – zauważył Łysoń.
- Niekoniecznie – powiedział Zdanecki. – Możemy wykryć ich systemami podczerwieni. WZL-om udało się je w końcu wyremontować te systemy, a niemieckie maszyny Trzydziestej Siódmej mają możliwość przenoszenia *R-27T*. Dostaliśmy kilkanaście tych rakiet od Ukraińców. To nasza mała niespodzianka.
- Nikt nie strzelał tymi rakietami od niepamiętnych czasów – wtrącił Domański.
- Fakt, ale wystarczy, że narobią zamieszania w ich szyku – odrzekł Głowacki-Nie będą wiedzieli, kto do nich łąi. A może nawet uda się któregoś zrzucić.

16 EMCON – kontrola emisji radarowych – „cisza” radiowa i radarowa, dla zapobieżenia wykrycia przez środki wywiadu elektronicznego przeciwnika.

- Zarys planu już mamy – orzekł Zdanecki – Co z tymi przelotami satelitów? Ma ktoś dane?
- Jutro wypada pasujący do tego schematu dzień – stwierdził niespodziewanie jeden ze sztabowców.
- Cholera – zaklął Zdanecki. – Musimy więc jutro pod wieczór przenieść baterie przeciwlotnicze na nowe stanowiska ogniowe.
- Tego nie możemy zrobić! – zaprotestował Pawlak. – To zdradzi nasze źródło po stronie przeciwnika i sparaliżuje prace wywiadu.

Zdanecki wbił wzrok w Pawlaka.

- Jeśli tego nie zrobimy, stracimy cenny sprzęt i ludzi – powiedział twardo. -Ilu ludzi po stronie EAF wie o planach tego uderzenia? – spytał, a nie doczekawszy się odpowiedzi, rzekł: – Nie wiemy, ale prawdopodobnie jest ich trochę. Czy naszemu agentowi grozi kula w łeb? Nie sędzę. Nie powieszę go, celebrując Europejski Dzień Przeciw Karze Śmierci. No chyba, że wynajdą jakiegoś zakapiora ze wschodniej mafii. Zresztą nie znajdują źródła, nawet gdyby domyślili się, że coś wiemy. A ja nie mogę wystawić na strzał kilkudziesięciu czy kilkuset ludzi i cennego w naszych warunkach sprzętu. Ich utrata politycznie i medialnie kosztowałaby nas zwycięstwo. Ten konflikt to nie jest typowa operacja wojenna, to polityczna i medialna próba sił z militarnym wsparciem. EAF obrywając od nas i nie mogąc wskórać nic, poniesie polityczną i propagandową klęskę, do tego da nam pretekst do odwetowego ataku...
- O tym, czy takie uderzenie będzie, zadecydują prezydent z premierem! – wtrącił stanowczo wiceminister Dobrowolski.
- Nie powiedziałem, że uderzymy, tylko że będziemy mieli pretekst, a to dwie różne sprawy – powiedział Zdanecki. – Tak czy inaczej musimy przenieść baterie rakiet i posterunki WRE. Zniszczone nie przydadzą się nam do niczego.
- Jaki więc jest plan? – zapytał Dobrowolski.
- W ogólnym zarysie bardzo prosty – odpowiedział w swoim stylu Zdanecki. – Są tu nieproszonymi gośćmi, więc gdy tylko przekroczą granicę naszej przestrzeni powietrznej, zgotujemy im gorące powitanie. Dokładnie takie, na jakie zasługują.

**Poznań, osiedle Winiary,
18 lipca, godz. 17:10**

Nawrocki rozciągnął się jak długi na kanapie przed telewizorem. W zasadzie nigdy nie lubił leniuchować, ale tym razem zrobił wyjątek. Typowo męski popołudniowy wypoczynek – piwo plus pilot od telewizora. W sąsiednim pokoju jego żona Mariola przekomarzała się z ich dziesięcioletnią córką, Kariną. Właśnie żonie zawdzięczał wyrwanie się z pracy, która chwilami trwała już piętnaście godzin na dobę. Mariola zadzwoniła do żony Hajdukiewicza, a ta wywarła odpowiedni nacisk na swojego ślubnego. Zapytany o całą sprawę Nawrocki mógł tylko rozłożyć ręce. Zazwyczaj nienawdził, gdy żona wtykała nos w jego sprawy służbowe. Każda taka interwencja kończyła się kłótnią i „cichymi dniami”. Tym razem jednak był jej wdzięczny.

Komisarz czekał z niecierpliwością chwili, gdy córka wyjdzie do koleżanki i w mieszkaniu zrobi się nieco ciszej. Po raz pierwszy od kilku tygodni będą mieli z Mariolą dłuższą chwilę dla siebie, a on nie będzie wykończony pracą... Nawrocki aż się uśmiechnął. Pomyślał, że w jego sytuacji odrobina hedonizmu nie zaszkodzi na odreagowanie przepracowania i stresu. No i wyśpi się wreszcie na zapas, kładąc się przed północą.

Oczekiwanie na miłe chwile Nawrocki skracał sobie, skacząc po kanałach telewizyjnych. O tej porze trudno było znaleźć cokolwiek ciekawego – durnowaty teleturniej, serial dla idiotów, kiczowate teledyski z dziewczynami ucharakteryzowanymi na blachary i facetami o wyglądzie żuli. Nawrocki nie przesadzał z wyrafinowaniem w odbiorze dóbr kultury, ale ponieważ taki cyrk miał codziennie w pracy, więc przerzucał wytrwale kanały, aż mignęło mu coś znajomego. Piwo spowolniło jego reakcję, więc wrócił na kanał informacyjny, dopiero po krótkiej chwili zastanawiając się, dlaczego to zrobił.

Oglądał kanał informacyjny prywatnej telewizji TVNG. Na ekranie pojawili się demonstranci. Sądząc po ubiorach i hasłach na transparentach – skrajnie lewicowi. Protestowali przeciwko bezprawnemu – ich zdaniem – utrudnianiu przez Polskę unijnej blokady. Nawrocki pomyślał, że znalazł już to, co ściągnęło jego uwagę. Pewien niepokój pozostał... coś tam jeszcze mu mignęło.

Komentarz umilkł, a materiał przedstawiał teraz opinię jednego z demonstrantów. Nawrocki jednak w ogóle nie słyszał, o czym tamten mówi. Wpatrywał się w jego twarz i koszulkę z napisem „Greenearth”...

- Kurwa mać! – ryknął komisarz, zrywając się na równe nogi. Skoczył do telefonu. Nawet nie zauważył, że jego córka już wyszła, a przez otwarte drzwi ze zdumieniem przygląda mu się żona.

- Ten skurwysyn jest w Warszawie i demonstruje sobie, jak gdyby nigdy nic na Placu Zamkowym! – Nawrocki prawie krzyczał do Hajdukiewicza.
 - To się dzieje teraz?! – upewnił się inspektor.
 - Tak, to relacja bezpośrednia. Niech go zamkną, do cholery, zanim znowu zniknie nam na trzy tygodnie.
 - W porządku, już dzwonię. Może go zdejmą.
 - Niech mi pan da delegację do Warszawy. Jak tylko go zdejmą.
 - Dobra. Chcesz radiowóz?
 - Nie trzeba. Pojadę pociągiem.
- Nawrocki popatrzył na Mariolę.
- Muszę jechać do Warszawy. Być może już dziś wieczorem – powiedział.
 - No to sobie wypocząłeś – odrzekła, odwróciła się na pięcie i wyszła do kuchni. Nawrocki nie wiedział, co ma jej powiedzieć.
- Pieprzony Greeneearth nie miał kiedy pojawić się w telewizji. Niech go szlag!

Lotnisko Roskilde, Dania, 19 lipca, godz. 11:00

Generał Karl Schneider machnął ręką zamiast „spocznij” do oficerów w zaimprowizowanej sali sztabowej. Pięciu dowódców eskadr sił EAF i dowódca zaimprowizowanego pospiesznie klucza walki radioelektronicznej złożonego z niemieckich i włoskich *Tornado ECR* usiedli. Schneider otworzył notebooka i sprawnie podłączył go do ściennego monitora.

- Dograłeś się Manfred – rzucił w kierunku Hartmanna, reprezentującego na spotkaniu JG73. Hartmann uniósł tylko brwi ze zdumienia. Nie spytał jednak o nic. Oficerowie w napięciu czekali na to, co Schneider powie. Po ostatnich wydarzeniach w powietrzu wisiała niezła awantura.
- Panowie, mamy do wykonania ważną robotę – zaczął Schneider. – Dowództwo EAF dostało zgodę, a raczej polityczną dyrektywę, by wzmocnić blokadę poprzez zniszczenie polskich środków walki radioelektronicznej. Naszym celem będą położone na środkowym i zachodnim wybrzeżu Polski radary, wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych dalekiego i średniego zasięgu, posterunki łączności i WRE. Nie mamy niestety autoryzacji, by uderzyć na lotniska i samoloty. Te ostatnie możemy niszczyć jedynie w powietrzu.

Żaden ze słuchaczy się nie odezwał. Hartmann pomyślał, że nareszcie biorą się do roboty, jak należy. Osobiście nie miał nic przeciw Polakom – ich sprawa czy chcą być w zjednoczonej tak, czy inaczej Europie, czy nie. Nie lubił jednak

partactwa i amatorszczyzny, a tym pachniały mu dotychczasowe działania EAF.

Schneider wyświetlił mapę z naniesionymi pozycjami obiektów przeznaczonych do zniszczenia.

- Większość celów znajduje się w pasie przybrzeżnym, co ułatwia nam zadanie. Nie będziemy atakować instalacji w głębi ładu, mimo że mamy zdolność spenetrowania polskiego systemu obrony powietrznej. Nasze działania utrudniają tylko te stanowiska raketowe i WRE, więc nie ma potrzeby narażać się na ryzyko. O ataku na te cele nie będą widzieli dziennikarze, nie będzie zdjęć czy filmów, tak jak to miało miejsce ostatnio.

Schneider nacisnął przycisk pilota i na ekranie pojawiły się nowe symbole. Hartmann rozpoznał trasy przelotów, rubieże odpalenia rakiet, zasięgi rażenia polskich stanowisk raketowych. Było ich trochę...

- Plan jest prosty – kontynuował Schneider. – Prowadzimy normalne operacje patrolowe jak dotychczas. Pod wieczór, jeszcze w dobrym słońcu, z Roskilde startują maszyny uderzeniowe i osłony. Stopniowo, od mających najdłuższe trasy przelotowe, bo jak widzicie, liczą one od 250 do 400 kilometrów. Uderzenie na poszczególne obiekty musi być zsynchronizowane. Słońce będziecie mieli przez większość lotu za plecami, jedynie na krótko na ostatnim odcinku z boku. Dolot do celu cały czas na małej wysokości, by uniknąć wykrycia radarem i wykrycia wzrokowego ze statków. Obowiązuje *emission control* - pełen zakaz emisji radarowych i radiowych. Mamy duże szanse uzyskać całkowite zaskoczenie i zminimalizować straty po obu stronach. Po ataku maszyny grupy uderzeniowej odchodzą na małej wysokości od celów w stronę otwartego morza. Wszystko zgodnie z regułami sztuki – jeden nalot, żadnych powtórek, żeby nie nadziać się na ogień. Skład grupy uderzeniowej – jedno *Tornado ECR* i dwa lub trzy *Tornado IDS*. *ECR* atakują *HARM-ami* i zakłócają radary. *IDS* atakują bombami stanowiska wyrzutni rakiet, i to, co pozostanie z posterunków WRE. Sześć par *F-16* zajmie się patrolami myśliwskimi Polaków. Są pytania?
- Mamy pełne *emission control*. Skąd będziemy znać sytuację powietrzną nad Polską? – spytał pułkownik Mario Cassini, dowódca włoskiego komponentu *Tornado IDS*.
- Nie będziemy – odpowiedział Schneider. – Obserwujemy ich od kilku dni. Praktycznie nie zmieniają aktywności powietrznej. Mają niewielkie zapasy paliwa i oszczędnie nimi gospodarują. Patrole myśliwskie latają na dużej wysokości. Nasze radary regularnie obserwują ich *MiGi* i *Su*. *MiGi* używają od czasu do czasu radarów, by ocenić sytuację powietrzną nad

Bałtykiem. Nawet jeśli wykryją grupę uderzeniową, to zginie ona w masie ech samolotów pasażerskich latających obecnie nad Bałtykiem. Jeśli wykryją nalot, wezmą go w pierwszej chwili za rutynowy patrol powietrzny. Jeśli zorientują się, że to nierutynowy patrol, czasu na reakcję będą mieli bardzo mało. Ich patrole bojowe zostaną rozbite przez nasze *F-16*. Nie zdążą poderwać samolotów z Poznania czy Gdyni i skierować ich do walki przed zbombardowaniem naszych celów. Gdyby próbowaliby nas ścigać, nadzieją się na rakiety z *Trompa* i *Hessen*. To nie byłoby miłe zakończenie dnia, nieprawdaz?

Lotnicy roześmiali się. Plan Schneidera wydawał się prosty i skuteczny.

- Co ja mam robić? – spytał oczywiście Hartmann, wywołując kolejną falę wesołości u pozostałych uczestników spotkania.
- Zadyma bez Hartmanna to żadna zadyma – skomentował Schneider. – Niestety, mam dla ciebie kiepską wiadomość. Nie skieruję twoich *F-4* do walki z *MiGami-29*. Są na to za stare i zbyt ociężałe. Zostajesz na rutynowych patrolach, osłaniasz okręty. Możemy wezwać cię na pomoc z *AMRAAM-ami* jako ciężką artylerię, gdyby pojawiły się problemy. *AMRAAM-y* mają też *F-16*, więc szanse na robotę masz nikłe.

Obecni roześmiali się. Atmosfera nieco się rozluźniła.

- Co ze statkami handlowymi? Mogą nas przedwcześnie wykryć i ostrzec Polaków – odezwał się znowu Cassini.
- Będziemy znali ich pozycje i kursy wcześniej i uaktualniali przez łącza danych, więc ominiecie je o 10-15 mil – odrzekł Schneider – Nie zauważą was na tej wysokości, a nawet gdyby, to wezmą za latające nisko patrole myśliwskie. Większość trasy będziecie lecieli z grubsza zachód-wschód, podobnie jak te patrole, więc szansa na odróżnienie was od innych jest znikoma.
- Czemu nie zaatakujemy uzbrojeniem precyzyjnym, z daleka? – zapytał Cassini, którego uderzył brak naprowadzanych laserowo bomb czy pocisków manewrujących.
- Nie mamy pocisków manewrujących *Taurus*, bo po jaką cholere w operacji blokady powietrzno-morskiej pociski do punktowego atakowania ważnych celów zapleczą? – zapytał retorycznie z pewnym zakłopotaniem Schneider, po czym szybko dodał: – Bomby naprowadzane laserowo trzeba by zrzucić ze średniej wysokości i podświetlać w trakcie dolotu do celu, a to wystawiłoby was niepotrzebnie na przedwczesne wykrycie i ostrzał. Liczymy na zaskoczenie, szybki dolot do celu na małej wysokości, obez-

władnienie radarów przez *ECR-y*, precyzyjny atak i powrót. Przy tej dysproporcji sił powinno wystarczyć.

- Dlaczego nie weźmiemy udziału w ataku na cele naziemne? – zapytał podpułkownik Jacques Peltier, dowódca *Régiment de chasse 2/30* wyposażonego w *Mirage F1*.
- Pozostaniecie w rezerwie, jako myśliwce do patrolowania, na wypadek, gdyby Polakom strzeliło coś do głowy. Celów naziemnych jest trochę, ale Tornado wystarczą. Jak widzicie, nawet nie wszystkie lecą. Sześć IDS też pozostanie w rezerwie.

Peltier pokręcił głową. No trudno. Chociaż z drugiej strony wcale nie miał wielkiej ochoty na udział w tym zadaniu. Może to i lepiej, że skromny zespół planistów Schneidera dał im taką tyłową robotę.

- Jeszcze jakieś pytania? – odezwał się Schneider – Nie ma? To dobrze. Biercie się do planowania. Robota czeka.

Warszawa, Komenda Rejonowa Policji Warszawa I Śródmieście godz. 17:15

Nawrocki krążył wokół przesłuchiwanego niczym wilk wokół stada owiec. Nie przeszkadzał mu nawet adwokat Stefański, profesor prawa i głośny działacz organizacji „Obywatele przeciw nadużyciom władzy” broniącej praw człowieka. Minęły zaledwi edwadzieścia cztery godziny, odkąd ujrzał Greeartha w telewizji, a miał go w garści. Beznadziejna głupota chłopaka budziła aż politowanie. Będąc poszukiwanym przez policję pchać się na pokazywaną w mediach demonstrację! Bo chyba nie poczucie bezkarności? Z zatrzymaniem nie było najmniejszego kłopotu. Ochraniająca demonstrację ekipa „cywilów” poszła po jej rozwiązaniu za Greearthem i zgarnęła go z ulicy, gdy tylko oddalił się od kumpli. Z uzyskaniem tymczasowego aresztowania też nie było problemu, gdyż poznański sąd dawno przychylił się do wniosku prokuratora, poparte go zeznaniem trójki policjantów. Krótko mówiąc, Greearth siedział w gównie po uszy.

- Sprawa jest prosta – powiedział Nawrocki, gdy już skończył. – Napaść na funkcjonariuszy na służbie. Posiedzisz sobie trzy lata. Składanie fałszywych zeznań. Możesz dostać do pięciu latek. W sumie możemy dołożyć ci tyle, żebyś nie wyszedł przed trzydziestką. Wierz mi, to cholernie dużo czasu. Sprawa jest tak oczywista, że nawet siedzący tu pan mecenas jest w stanie to zrozumieć.

- Pan sobie za dużo pozwala, komisarzu! – oburzył się profesor Stefański.
 - Mój klient jest niewinny.
 - To oceni sąd – odpowiedział Nawrocki. – Mam tu zeznania trójki policjantów...
 - Oskarża pan we własnej sprawie! – zagrział Stefański.
 - Rzecz w tym, że nie oskarżam. Zarzuty postawił mu już prokurator – odpowiedział Nawrocki. Milczał przez chwilę. – Gotowi jednak jesteśmy wycofać nasze zarzuty.
 - Pod jakim warunkiem? – spytał Stefański.
 - Że pański klient rzuci nieco światła na przebieg bójki na poznańskich Ratajach nocą z 30 na 31 maja.
 - Przecież to on jest ofiarą. Powiedział już wszystko.
 - Są mocne poszlaki, że nie, a to, co powiedział, niekoniecznie jest prawdą.
 - Usiłuję pan udowodnić fikcyjną hipotezę!
 - Usiłuję wyjaśnić, co się stało i dlaczego się stało. Za dużo w tej sprawie sprzeczności i niejasności.
 - Mój klient nic więcej w tej sprawie nie powie! Powiedział już wszystko!
 - W takim razie posiedzi.
 - Wątpię.
 - Niech pan go nie zwodzi. Zna pan jakiś sąd, który nie dał wiary trójce gliniarzy o nieposzlakowanej opinii?
 - Znajdziemy coś na pana...
 - Pan mi grozi? Chyba wie pan, co przewiduje za to prawo?
 - Jestem pewien, że nie jest pan tak nieposzlakowany...
 - To proszę przygotować się na długie poszukiwania. Pański klient do tego czasu zdrowo się postarzeje w zakładzie karnym.
- Greeneath milczał.
- Czego pan chce? – spytał profesor.
 - Odpowiedzi na kilka pytań.
 - Niech pan pyta.
 - Niech pan radzi swojemu klientowi odpowiadać.
 - Słyszał, o czym mówiliśmy. Jest wystarczająco inteligentny, by zrozumieć.
 - Wątpię, ale to wasz ból głowy.
- Nawrocki obszedł stół.
- Kto kogo napadł na Ratajach?
 - Już powiedziałem. Dwóch lotników napadło na nas!
 - Dwóch na was czterech?

- Tak.
 - Mówiłeś wcześniej, że było ich pięciu lub sześciu. Wierzy pan w te bujdy? – zwrócił się Nawrocki do profesora. Tamten wzruszył ramionami.
 - Do kogo należał telefon, który znaleźliśmy na miejscu bójki? Tym razem Greenearth wzruszył ramionami. Nawrockiego ta zabawa zaczynała irytować.
 - Czemu dzwoniłicie z niego do Brukseli?
 - Cisza.
 - Ktoś stamtąd kazał wam zorganizować prowokację przeciw Polsce? Greenearth drgnął...
 - Protestuję przeciw tej insynuacji! Pan sobie stanowczo zbyt wiele pozwala! – uniósł się profesor.
 - Pańskiemu klientowi grozi osiem lat pierdła! Ja usiłuję mu pomóc! – huknął Nawrocki.
 - Gównu mi zrobisz! – odezwał się nagle Greenearth stanowczo. – Już wkrótce ten faszystowski rząd upadnie, a wtedy wyjdę na wolność!
 - To się jeszcze okaże! – rzekł stanowczo Nawrocki. – Na razie jedziesz do Poznania.
 - Nie może go pan przewieźć... – wtrącił profesor.
 - Ależ mogę i muszę. Nie czytał pan nakazu aresztowania? Wydał go poznański sąd i w Poznaniu prowadzone jest śledztwo. Prokurator chce go mieć na miejscu.
 - Utrudnia mi pan kontakt z klientem. To niedopuszczalne...
 - Najeździ się pan trochę, to fakt. Uczciwie zarobi pan na honorarium.
- Nawrocki zostawił oniemiałego profesora i wyszedł, by ochłonać. Ci dwaj wyjątkowo działali mu na nerwy. Był uodporniony na bezczelnych podejrzanych. Zdał sobie jednak sprawę, że Greenearth ma rację. Jeśli pod naciskiem blokady padnie rząd i władzę przejmie nastawiona przychylnie do Vandenoorta lewica, Greenearth i reszta prowokatorów pozostaną bezkarni.
- Komisarz wiedział, że musi dotrzeć do innych uczestników zdarzeń. Tylko podważenie wersji Greeneartha i jego kumpli mogło sprawić, że tamci „popłyną” i że prawda o ich roli w sprowokowaniu blokady wyjdzie na jaw. Zdał sobie sprawę, iż czasu ma coraz mniej.

Polskie wybrzeże Bałtyku, Wicko Morskie godz. 18:25

– Jazda! Ruszcie dupy! Zwijamy ten bajzel i w nogi! – żywymi słowami motywował swoich podwładnych porucznik Masłoń. W miejscu dotychczasowego stacjonowania miała pozostać niewielka czata.

Masłoń dopiero teraz miał chwilę, by zastanowić się, dlaczego kazano im się tak nagle zwijać w podskokach. Przez ostatnie tygodnie skutecznie nękali z tego miejsca siły lotnicze EAF. Harując jak wół, porucznik doszedł do wniosku, że przyczyna musi być ważna. Pobliska bateria rakiet Newa SC również szykowałą się do wymarszu, a to oznaczało jakieś większe przemeblowanie. Co prawda poszczególne posterunku od czasu do czasu zmieniały stanowiska ogniowe, ale były to pojedyncze przypadki. Ruch odbywał się zazwyczaj w nocy, a nie jak teraz – za dnia. W miejscu dotychczasowego stacjonowania mieli zostawić tylko jeden samodzielny nadajnik.

Coś wisiało w powietrzu. Ten gwałtowny pośpiech wskazywał raczej na coś złego.

Powidz, baza lotnicza godz. 19:15

Pogotowie bojowe trzymało pilotów Sześćdziesiątej Siódmej na miejscu i w napięciu. Od popołudniowej odprawy wiadomo było, że jeśli polecą, to będzie walka, nie żadne przepychanki. Dowództwo spodziewało się ataku na polskie terytorium. Szykowałą się prawdziwa walka z ostrym strzelaniem. Jeżeli samoloty EAF naruszą polską przestrzeń powietrzną, będzie trzeba im przyłożyć, ale i będzie można samemu oberwać. Po walce Marciniaka i Czerwińskiego z belgijskimi Viperami nikt nie miał wątpliwości, że EAF nie żartuje. Spośród pilotów Sześćdziesiątej Siódmej tylko Marciniak i Czerwiński przeszli prawdziwy bojowy chrzest. Dla wszystkich pozostałych było to dziewicze doświadczenie. Walkę znali jedynie z książek, opowiadań czy filmów wojennych. Ilość ćwiczeń czy poligonowych prób uzbrojenia nie miała tutaj znaczenia. Emocje były niemałe – oczekiwanie i niepewność dawały się we znaki, szczególnie w postaci nerwowych bólów brzucha. Jedynie niewybredne żarty i rozmowy na tematy, o których nie wypadało mówić w dobrym towarzystwie, pomagały na chwilę zapomnieć o nadchodzącej akcji.

Po południu Łysoń zapoznał ich z sytuacją i planem działania. Wiedzę o planowanym ataku wyjaśnił interpretacją zdjęć satelitarnych otrzymanych od

Amerikanów i informacjami od przypadkowego, naocznego świadka. Wywiad podobno wywnioskował możliwość atakutransportu bomb i rakiet na lotnisko Roskilde, sfotografowany przez amerykańskiego satelitę zwiadowczego. Marciniak zastanawiał się, w jaki sposób dowiedzą się o terminie nadchodzącego ataku. Z satelitarnej fotografii bomb lotniczych trudno było przecież wnioskować o celach i porze ataku, a, według planu obrony, dowództwo nie miało zamiaru pokryć radiolokacyjnie podejść do wybrzeża.

Sam plan obrony był prosty, tak samo, jak plan ataku przygotowany przez EAF. Łysoń wyłożył go dosłownie w kilku zdaniach:

- Zakładamy, że przeciwnik zaatakuje z małej wysokości, by osiągnąć pełne zaskoczenie i korzystać z echa radarowego ziemi. My zrobimy dokładnie to samo. Dodatkowe patrole myśliwskie będą czekać na małej wysokości, by przechwycić samoloty uderzeniowe i osłonę. Nie będą spodziewali się takich sił. *Szparki* wyłączą od strony elektronicznej myśliwce EAF. Musimy zniwelować ich przewagę wynikającą z posiadania *AMRAAM-ów*. Będziecie krążyć – zwrócił się do załóg *Szparek* – poza zasięgiem ich rakiet. Reszta maszyn zostanie w rezerwie na wypadek, gdyby trzeba było wymieść maszyny szturmowe. Jeśli nie będzie takiej potrzeby, w ogóle nie wejdziecie do walki. Nie ma powodu ryzykować starcia z *Tornado IDS* uzbrojonym w *AIM-9L*.

I to by było tyle. Proste niczym konstrukcja cepa. Zaskoczyć przeciwnika, przywalić, uciec, nim zdola się opamiętać.

Tkaczyk mocno nastawił się na walkę. Marciniak zorientował się, gdy szli z odprawy w stronę schronohangarów.

- Muszę któregoś upolować! – powiedział do Michała.
- Wyluzuj! – studził jego zapal Michał – To wcale nie jest takie zabawne, jak ci się wydaje. Lepiej, żeby nie przylecieli.
- Czy mi się zdaje, czy masz cykora, Marciniak?
- Nie mam cykora. Wiem lepiej niż ty, że nie są tak mocni, jak to wygląda, ale mimo wszystko niekoniecznie mam ochotę któregoś zdmuchnąć. Chyba, że będę musiał.
- No nie! – zaśmiał się Tkaczyk. – Gizmo stracił wrodzoną krwiożerczość! Jeśli ty nie chcesz posłać któregoś do wody, to znaczy, że ja jestem impotentem!

Marciniak aż się uśmiechnął, próbując obie wyobrazić Tkaczyka w roli oziębłego seksualnie samca.

- Nic ci nie grozi. Po prostu mam większy dystans do pewnych spraw. I do kobiet, i do walki – rzekł.

– W takim razie powinieneś zostać pułkownikiem.

Teraz Marciniak i Czerwiński siedzieli w swoich kabinach w *Szparce*. Pięciominutowa gotowość do startu wymagała obecności załóg w samolotach. Piloci jednomiejscowych *Su-22M4* mieli więcej luzu – większość była w stanie piętnastominutowego pogotowia, mogli więc przebywać w budynkach bazy. Tylko Łyson z Tkaczykiem czekali w kabinach.

Wieczór był słoneczny, choć nie brakowało chmur – wysokich cirrusów i cirrostratusów. Zbierały się głównie po wschodniej stronie, gdzie tworzyły silny kontrast między odbiciem światła słonecznego rzucanym przez siebie cieniem. Na zachodzie i północy niebo było czyste. Było ciepło, ale nie gorąco – dwadzieścia czy dwadzieścia dwa stopnie. Słońce wisiało jeszcze wysoko nad horyzontem. Marciniak raz jeszcze obejrzał mapę i plan lotu. Mieli iść wyżej niż myśliwce, by móc wcześniej zagłuszyć radary przeciwnika, jeśli tylko je włączy. Pod skrzydłami *Szparki* czekały już dwa zasobniki *SPS-141*. Mieli więc zagłuszać na całego. Do tego dwa naprowadzane w podczerwieni pociski powietrze-powietrze *R-60*. Ten sam zestaw uzbrojenia plus po jednym pracującym w trybie samoobrony *SPS-141*, przenosiły wyznaczone do tej akcji *Suki*. *R-60* nie mógł się równać z *AIM-9 Sidewinder* w wersji *L* lub *M* – miał mniejszy zasięg, mniejszy kąt śledzenia głowicy i nie mógł być odpalany z przedniej półsfery celu – mówiąc po ludzku w sytuacji „łeb w łeb” – a jedynie z tyłu, od strony dysz wylotowych. Mimo to lepiej było go mieć niż nie mieć.

Marciniak oderwał wzrok znad mapy.

– To będzie cholerna zadyma – odezwał się do Przemasa. – Mamy przeciw sobie kupę nowoczesnego uzbrojenia. Nie zazdrozczę naszym na *MiGach*. Jeśli nie zdołamy zakłócić radarów tamtym...

– Zdołamy – odpowiedział pewnym głosem Czerwiński. – To cholerstwo działa lepiej niż myślałem. Uratowało nam przedwczoraj skórę. Gdyby nie ono, lezelibyśmy na dnie Bałtyku lub Dziwnej.

– Dobrze to słyszeć – stwierdził Marciniak. – Ale to tylko jedna strona medalu. Trzeba zadać tamtym jakieś straty. Nasze *R-27* raczej nie mają wielkich szans na dystans.

– I tak mogą zrobić swoje, rozpędzając tamtych na cztery wiatry – powiedział Czerwiński – Wszystko zależy od tego, jak chłopak z *MiGów* to rozegrają.

– Myślę, że zrobią co w ich mocy. Gramy w końcu na własnym boisku.

Marciniak przerwał i się zamyślił. Gdyby nie ta pechowa mijanka nad Darłowem, byłby w tej chwili na pierwszej linii. Przez moment czuł się nieco niedowartościowany w stosunku do ludzi, z którymi do niedawna latał. Zaraz jednak

doszedł do wniosku, że nie ma w tym jego winy. Po prostu dostał takie rozkazy. Miał zamiar wypełnić je najlepiej, jak potrafił.

Lotnisko Roskilde, Dania, godz. 19:38

Vandenoort w towarzystwie generała Schneidera i Jeana Acostelle w oknie jednego z budynków lotniska, służącego tymczasowo Schneiderowi za gabinet. Oglądał kołowanie na start samolotów grup uderzeniowych i osłony. Pękate, w kolorze przechodzącej w szarość ciemnej zieleni Tornado ze skrzydłami o zmiennym skosie i potężną płetwą statecznika pionowego były obciążone uzbrojeniem tak, że trudno aż było uwierzyć, że wzbiją się w powietrze. Nieco tylko mniej szokująco wyglądały niemieckie *Tornado ECR*, niektóre w jasnoszarym malowaniu, z dwoma pociskami antyradarowymi *HARM*, z zasobnikami walki radioelektronicznej *Cerberus*, rozrzutnikami flar i dipoli pod skrzydłami oraz zbiornikiem podwieszanym pod kadłubem. Ciemnoszare, belgijskie *F-16* wyglądały przy *Tornadach* lżej i zwinniej. Pełną paletę uzbrojenia powietrze-powietrze, składającą się z czterech pocisków *AIM-120 AMRAAM* i dwóch *AIM-9L Sidewinder*, uzupełniały u nich zasobniki walki radioelektronicznej *ALQ-131*.

Najpierw miały startować grupy mające za zadanie zaatakować cele najbardziej odległe – gdzieś w pobliżu przylądka Rozewie. *Tornado* były na pasie jako pierwsze, po nich mające nieco mniejszy zasięg *F-16*.

Do Schneidera podszedł szef jego sztabu i coś powiedział. Poprzez wizg liczących turbin Vandenoort nie zrozumiał słów.

- Co się stało? – zapytał Schneidera.
- Polacy niespodziewanie zmniejszyli aktywność w zakresie zakłócania naszych radarów. Znacznie mniejsza jest też aktywność ich stanowisk przeciwlotniczych.
- Co to może oznaczać?
- Nie wiem. Nie sądzę, by się nas spodziewali.

Vandenoortowi przeszło przez myśl, że może jednak. To się nie trzymało kupy. Co za niedorzeczność! Gdyby spodziewali się ataku, podnieśliby raczej stopień gotowości. Sekretarz uznał, że nie należy niczego sugerować wojskowym. Przejechał się na tym już kilkakrotnie. W razie niepowodzenia cała wina spadnie na mundurowych. Jednak tym razem inicjatywa należy do EAF. Mają przewagę liczebną i jakościową. Rozniosą Polaków w powietrzu i na ziemi,

wyłączą te przekłete stacje zakłócające, uszczelnią blokadę i w ciągu kilku tygodni powalą przeciwnika na łopatki.

- Wprowadzi pan jakieś zmiany? – spytał ponownie Schneidera. Ten wzruszył ramionami.
- Nie – odpowiedział. – Trzymamy się planu. Zbombardujemy te stanowiska niezależnie od tego czy przeszkadzają nam, czy chwilowo się wstrzymały. Nie widzę powodu, by odwoływać akcję.

„Tego by jeszcze brakowało” – pomyślał Vandenoort. Skoro jednak operacja nie jest zagrożona, to wszystko jest w najlepszym porządku. Patrzył z zadowoleniem na kołujące samoloty. Nareszcie podejmują jakieś sensowne kroki po takim czasie bezproduktywnego trwania w klinczu. Chciał się podzielić z kimś swoim entuzjazmem. Obejrzał się na swojego asystenta. Acostelle był blady i miał zboląłą minę.

- Co panu jest, Jean? – spytał Vandenoort zaniepokojony.
- Boli mnie brzuch. Chyba zaszkodził mi ten szybki posiłek w Kopenhadze – odparł Acostelle. Rzeczywiście, zahaczyli o stolicę Danii przy okazji spotkania z premierem tego państwa. Acostelle skorzystał z okazji, by wyrwać się na chwilę do miasta i zjadł coś na szybko w jakimś podejrzanym barze.
- Wezwać lekarza? – spytał Schneider.
- Nie trzeba. Wystarczy, że pójdę do toalety – odparł ze zboląłą miną.
- Jest na drugim końcu korytarza – podpowiedział generał. Acostelle przeprosił i wyszedł. Gdy zamykał drzwi do pokoju Schneidera, pierwsza para *Tornado* na pasie startowym włączyła dopalacze, zalewając Roskilde ogłuszającym hukiem.

Powidz, baza lotnicza **godz. 19:55**

- Alarm!!!

Czerwona rakietka wystrzeliła w niebo. Oznaczało to start w przyspieszonym tempie. Marciniak i Czerwiński zaczęli skróconą procedurę przedstartową. W trybie alarmowym wszystko poszło piorunem. Maszyny kołowały praktycznie bez komunikacji radiowej do pasa i wzbijały się w powietrze bez zezwolenia w wieży. Procedura alarmowa przewidziana na taką okoliczność nie przewidywała żadnej komunikacji. Cała operacja miała do momentu kontaktu z przeciwnikiem trwać w pełnej ciszy radiowej i przy braku emisji radarowych.

Zanim dobrze się obejrzeni, pędzili po pasie za pozostałymi trzema maszynami. Startowali w kierunku zachodnim, mając po prawej nad lasem zachodzące słońce. Jego blask nabrał już różu charakterystycznego dla późnego, letniego wieczora. Niebo było blade, na zachodzie poprzecinane pasmami wysokich cirrusów i cirrocumulusów. Od wschodu zasnuwała je pomału warstwa altostratusa, tworząc strefę cienia, w której mogli się ukryć.

Zaraz po starcie obrali ustalony wcześniej kurs. Powietrze było spokojne, nie było wiatru i prawie nie było turbulencji. Nisko już schodzące słońce oświetlało kabinę ciepłym i zarazem dość ostrym światłem. Dziwacznie kontrastowało to z wyposażeniem kabiny, maską tlenową na twarzy i perspektywą prawdziwej walki. Marciniakowi wydawało się to nierzeczywiste, wręcz surrealistyczne.

Obciążona wyposażeniem, uzbrojeniem i dodatkowymi zbiornikami paliwa maszyna pędziła, prowadzona wprawną ręką porucznika, do strefy dyżurowania. Ich początkowym zadaniem było zbierać sygnały radarów i poszukiwać tych świadczących o obecności wrogich samolotów, gdyby grupy uderzeniowe EAF zdecydowały się ujawnić w trakcie dolotu do celów. W drodze do strefy wykryli jedynie słabe sygnały z radarów *APG-65*, świadczące o obecności w powietrzu niemieckich *F-4F Phantom*. Sygnał był słaby, a kolejne namiary wskazywały na typową aktywność patrolową przeciwnika, polegająca na osłonie własnych okrętów i patrolowaniu linii dozoru. Sygnały radarowe były zbyt słabe, by wykryć polskie odrzutowce, zmierzające w stronę wybrzeża – *Phantomy* były zbyt daleko.

Nie weszli na większą wysokość, by nie pojawić się na ekranach radarów okrętowych, szczególnie fregat *Tromp* i *Hessen*. Czekali na przeciwnika nisko, zdając sobie sprawę z szybkiego zużycia paliwa. Jeśli rachuby sztabowców i ich źródła informacji okażą się zawodne, cały plan diabli wezmą. Co więcej, jeśli EAF spóźni się 15 minut, to prawdopodobnie wykona całą zaplanowaną robotę bez przeciwdziałania zestrony polskiej. Większość maszyn będzie musiała wrócić do baz z braku paliwa. Zdaniem Marciniaka cały ten plan był oparty na zbyt wątplych przesłankach.

Siedem minut po starcie Czerwiński zameldował, że widzi myśliwce.

– *Zadymiacze* na dziewiątej!

Marciniak przyjrzał się maszynom idącym w luźnym szyku bojowym. Oba myśliwce miały w nim znaczną swobodę, zarówno w obserwacji, jak i prowadzeniu ognia. Szły rozciągniętą dwójką, równie nisko, jak ich *Szparka*.

– Ki diabeł? – zapytał Michał. Miała ich wspierać 12 eskadra, tymczasem numery taktyczne maszyn, przemalowane z czerwonych na czarne, mó-

wiły wyraźnie, że należą do Trzydziestej Siódmej, która – według zapewnień Łysonia z odprawy – miała pełnić normalne dyżury.

– Chodzi ci o te numery? – zorientował się Czerwiński. – Nie mam pojęcia. Widocznie nasi wodzowie doszli do wniosku, że Trzydziestej Siódmej należy się dodatkowa rozrywka.

Ze względu na ciszę radiową nie mogli porozumieć się z pilotami *MiGów-29*.

– Mam tylko nadzieję, że dograli to lepiej niż ostatnim razem, i że chociaż jesteśmy na jednej częstotliwości taktycznej z *MiGaczami* – powiedział.

– Jeszcze takich sensacji by nam brakowało – stwierdził Czerwiński.

Zamilkli. Słysząc było tylko szum silnika i sygnały ostrzegające o radarach. Nikt nie odzywał się poza ODN-em, nadającym krótkie komunikaty dla poszczególnych formacji. Napięcie rosło.

Dłuższą chwilę nic się nie działo i Marciniak był coraz bardziej przekonany, że to fałszywy alarm i cała sprawa rozejdzie się po kościach. Wtedy właśnie radio zachrobotało:

– Uwaga, tu Szafir. Mam słabe echo w podczerwieni, kurs trzy pięć dwa. Zbliżają się! Diamenty, bądźcie w pogotowiu! Zaczynamy obróbkę!

MiGi zakłoły się.

– Szafir trzy jeden, odpalam dwójkę!- odezwał się dowódca sekcji myśliwców.

– Zaczyna się. Strzelają R-27 z dystansu. – skomentował Czerwiński. Marciniak chciał jeszcze coś dodać, gdy usłyszał znajomy głos: – Szafir trzy dwa, cel w zasięgu ognia. Odpalam dwójkę.

Olszewski.

Nad Bałtykiem godz. 19:55

Trzy *Tornado* mknęły z prędkością niemal tysiąca kilometrów na godzinę tuż nad szarą powierzchnią morza. Stanowiły drugą, najdalej wysuniętą na wschód grupę uderzeniową. Dwa *IDS* pilotowane przez Włochów i niemieckie *ECR*, pilotowane przez majora Michaela Hahna miały zniszczyć baterię rakiet *SA-5* na stanowisku ogniowym niedaleko Łeby.

Kapitan Max Eichel, operator systemów uzbrojenia w *ECR*, był zaniepokojony. Od strony wyznaczonego celu- ulokowanej niedaleko Łeby baterii rakiet *S-200 Wega* – nie docierały żadne emisje radarowe, na które można by naprowadzić pociski przeciwradiolokacyjne *HARM*. Żaden radar, który mógłby zakłó-

cić, nie próbował omieść jego *Tornado* swoją wiązką. Na razie oni, w *Tornado ECR*, nie mieli z kim walczyć. Albo przeciwnika tam nie było, albo był cholernie cwany.

Dowódca grupy uderzeniowej, pułkownik Mario Cassini, pomachał skrzydłami swojego *Tornado IDS*. Uzbrojone w girlandy swobodnie spadających bomb, uderzeniowe *IDS* wysunęły się naprzód, przed *ECR* Hahna Kilka kilometrów na północny wschód para belgijskich *F-16* pod dowództwem majora Willemsa przygotowywała się do sprowokowania Polaków emisją radarów pokładowych. Poza kompletnym brakiem aktywności Polaków wszystko wyglądało dobrze. Lotnicy EAF byli niemal pewni, że osiągnęli pełne zaskoczenie.

I nagle wszystko się posypało. Eichel zobaczył na ekranie stacji ostrzegawczej sygnał o odpaleniu rakiety z lewej strony, z przodu.

- Snowbirds, rakiet! Odpalenie na dziesiątej! – krzyknął w radio Eichel, łamiąc ciszę radiową. Było to bez znaczenia. I tak zostali już wykryci. Widząc kolejne sygnały, dodał : – Druga! I trzecia!
- Snowbirds, unik, bomba!- wydał komendę Cassini. Zgodnie z jego poleceniem maszyny z ciasnego dotąd szyku rozprysnęły się po niebie. *Tornado* Cassiniego poszło w lewo, trzymając się powierzchni morza i wyrzucając pułapki termiczne i radiolokacyjne dla zmylenia pocisku. Druga maszyna, pilotowana przez majora Massimo Abruzziego, odbiła w prawo, również rozrzucając flary. Hahn skierował *ECR* w lewo, za maszyną Cassiniego. Wyszedł wyżej, usiłując dać szansę Eichelowi na wykrycie emisji radiolokacyjnej. Maszyny Cassiniego i Hahna szły w kierunku, z którego wystrzelono rakiety. Piloci usiłowali je dostrzec.
- Masz coś? – zapytał Hahn z przejęciem.
- Nic! Żadnych emisji Mogą być *Atolle*! – wykrzyknął Eichel, sygnalizując, że wystrzelone do nich pociski mogą być naprowadzane w podczewieni. Równie dobrze mogły to być *AMRAAM*-y z polskich *F-16*, gdyby Polacy zdecydowali się jednak ich użyć – ciągły brak wszelkich emisji pozostawiał te dwie możliwości. *AMRAAM* napawał Niemca respektem, jeśli nie przerażeniem...
- Cholera, gówno widać! – zaklął Hahn. Wypatrzeć niewielki pocisk nawet z jego płomieniem wylotowym w dziwacznych warunkach zachodu słońca, podświetlonych z jednej strony i ciemnych z drugiej chmur na południowym wschodzie wcale nie było łatwo. Nie widząc rakiety, Hahn nie mógł wykonać skutecznego uniku. A ten trzeba było rozpocząć w odpowiednim momencie – zbyt szybki lub zbyt późny manewr był bezskuteczny, a wtedy...

Cassini musiał coś zobaczyć, bo jego maszyna gwałtownie położyła się lewy zakręt i wyrzuciła ponownie serię flar. Hahn rzucił *ECR* w prawo, by zmylone flarami rakiety nie wzięły go na cel. Fuknięcia pironabojówi jasny blask dochodzący z tyłu maszyny powiedziały Eichelowi, że Hahn również wyrzucał flary. Nie widzieli nadlatujących rakiet, bo *Tornado* przechylone było niemal całkiem na bok w skraj. W radio zrobił się niezły harmider.

- Jedyńka, uciekaj w lewo! W lewo! – to nie było do nich, tylko do Cassiniego.
- Tu dwójka, kontynuuję zadanie.
- Tu czwórka, podświetlam! – Willems meldował o włączeniu radarów.
- Snowbird cztery, odbij w prawo! Nadlatuje *Alamo* – ostrzegł Willemsa jego skrzydłowy. A więc *MiGi-29*. Hahn odetchnął z ulgą. Z nimi *Viper* Willemsa sobie poradzą. Co z tym celem?
- Są jakieś emisje z ziemi? – zapytał Eichela.
- Nadal nic.

Zakręcili o dziewięćdziesiąt stopni w prawo. Hahn wyszedł z zakrętu i wyrównał. Wyrzucił jeszcze dwie flary. Eichel obejrzał się w lewo, w kierunku, z którego wystrzelono pociski. W tym momencie na ekranie wielofunkcyjnym zaświecił dodatkowy symbol: *SA-8 Gecko*. Z tyłu z lewej. Eichel przeniósł wzrok na ekran, a potem z powrotem wyjrzał w lewo do tyłu. Zobaczył tylko smugę ognia i w tym momencie dostali. Błysk, huk, wstrząsi grzechot odłamków zlały się w jedną, ogłuszającą kakofonię trafienia. Maszyną targnął podmuch eksplozji, wytrącając ją ze stabilnego lotu. Zanim Eichel zdążył zorientować się w skutkach trafienia, Hahnowi udało się przywrócić maszynę do stabilnego lotu.

- Snowbird trzy, dostaliśmy! – wykrzyknął Hahn w radio. Zszedł jednak niżej i zaczął skręcać w prawo, w kierunku otwartego morza. Dźwięk silników wyraźnie się zmienił.

- Bardzo źle? – spytał Eichel.
- Prawy silnik traci obroty i się grzeje. Chyba zdrowo oberwał – odpowiedział Hahn. Lecieli prawie nad powierzchnią morza. Nos maszyny lekko myszkował. – Wyłączam go.

By ulżyć uszkodzonej maszynie, Eichel zrzucił oba pociski *HARM* do morza. Ekran sterowania wyposażeniem pokazał brak kontaktu z zasobnikiem *Cerberus*. Wszystkie narzędzia walki radioelektronicznej *ECR* w jednej chwili diabli wzięli. Nie mieli już czym walczyć, wyeliminowani praktycznie pierwszym strzałem. I tak dobrze, że nie spadli. System ostrzegania jednak działał i poka-

zywał nadal *SA-8 Gecko*. I to nie jeden, a trzy sygnały. To chyba jednak nie *Gecko* ich trafił. Włączył się za późno. Musieli dostać *R-27*.

- Tu Snowbird trzy, maszyna uszkodzona, wracamy do bazy – zameldował dowódca eskadry.
- Snowbird pięć, dostałem. Skaczę!
- Tu dwójka, nadlatuję nad cel. Ładunek gorący – poinformował Abruzzi. Drugie *Tornado* nadlatywało nad cel z uzbrojonymi bombami. Cassini się nie odzywał.

Willems zaklął, gdy tylko dotarło do niego pierwsze ostrzeżenie o nadlatującej rakiecie. Było jasne, żeżaskoczenie diabli wzięli. To przeciwnik ich zaskoczył. Major pociągnął swojego *Vipera* wyżej, na jakie trzysta metrów, skręcając jednocześnie w lewo, w stronę atakujących, i włączył radar. Zdołał ustalić położenie dwóch celów i wskazać je *AMRAAM-om*, zaraz jednak ekran radaru zasnuła kasa fałszywych ech. Mimo to odpalił pociski, nie licząc specjalnie, że któryś trafi. Miał w pamięci *Su-22* oszukującego z łatwością *Slammery*. *AMRAAM-y* nie zdążyły dobrze odejść, gdy otrzymał ostrzeżenie od swojego bocznego, porucznika Dumonta.

- Czwórka! *Apex* na jedenastej!

Co jest, do cholery? Ostrzegacz milczał przecież! Willems zobaczył nadlatujący pocisk. Wycelował w niego dziób, odczekał, aż zbliży się i poszedł ostro w lewo, wyrzucając pułapki radiolokacyjne, włączając zakłócanie. Liczył, że zgubi nadlatujący *R-27*. Mimo wszystkich tych zabiegów pocisk skręcił za nim i tylko zwrotność *Vipera* spowodowała, że nie zmieścił się w wykonywanym przez majora manewrze. Wykręcając głowę w prawo, Willems zobaczył pocisk przemykający jakieś trzydzieści metrów za nim. Do diabła z nim!

Belg skręcił gwałtownie w prawo. Gdzieś tam, pod ciemną, nocną chmurą, czaiły się *Fulcrumy*. Usiłował złapać je radarem, ale zanim na dobre zaczął zwrot, *MiGi* podświetliły go pierwsze. Znaczyło to tylko jedno – w jego kierunku leciał już sterowany półaktywnie kolejny *R-27*. Ten pierwszy musiał być naprowadzany na podczerwień, cholernym *R-27T!* Willems aż zadygotał ze złości! Cholerni Polacy! Cwanie to wykombinowali!

Trzeba uważać. Major miał coraz więcej szacunku dla słabiej wyposażonego przeciwnika. Mimo to był przekonany, że jest w stanie im dołożyć. Psiakrew, gdzie jest Dumont? Aha, po prawej, niżej. Położył maszynę w kolejny zwrot w lewo. Nos w stronę pocisku... tym razem sygnał naprowadzania zniknął, a *R-27* poszedł w bok. *ALQ-131* to porządna maszynka. Nie zdołał jednak chwycić po-

nownie radarem MiGów, więc szanse, że któryś *AMRAAM* trafi bez uaktualnienia położenia celu były znikome. Na razie walczył o przeżycie, a przeciwnik miał inicjatywę.

- Kurwa, SAM¹⁷ na drugiej! – wykrzyknął nagle Dumont. Zamiast strzelać do polskich *MiGów*, boczny Willemsa musiał wykonywać gwałtowne uniki przed wystrzelonymi z ładu raketami. Gdzie, do cholery, jest szwabskie *Tornado ECR*, skoro polskie radary pokładowe i wyrzutnie raketowe bezkarnie sobie hulają? Willems chciał zapytać przez radio, ale w tym momencie Niemcy zameldowali, że zostali trafieni i odlatują na północ.

Major zmiął w ustach ciężkie przekleństwo pod adresem *boschów*. Niemcy dali się głupio postrzelić. Teraz został na placu boju z dwoma *F-16* przeciw *MiGom-29*, *SAM-om* i maszynom *WRE*. Mimo to nie zamierzał uciekać. Miał swoje porachunki z Polakami!

Cassini gwałtownie manewrował, uciekając przed *R-27*. Szyk uderzeniowych *Tornado* poszedł w rozsypkę zaledwie kilka kilometrów od brzegu i od celu. Nie było szans na atak, gdy nad brzegiem szalały *MiGi*. Cassini utracił kontakt wzrokowy z pozostałymi *Tornado*, skręcając w lewo, w kierunku walczących myśliwców. Cel ataku został z prawej z tyłu, na południowym zachodzie.

Poprzednia seria uników zaprowadziła włoską maszynę blisko brzegu, bliżej, niż się pułkownikowi wydawało. Zamiast zakręcić w lewo, na północ i odejść od brzegu, Cassini położył swoje *Tornado* w ostry prawy skręt, by zejść z linii strzału myśliwcom i wejść na kurs do ataku na cel lądowy – domniemaną baterię *SA-5*. Chciał skrócić do minimum czas przebywania w strefie zagrożenia. Przybliżył się jeszcze bardziej do brzegu – widać go było już przez wyświetlacz przezierny HUD. Gdy dziób maszyny celował prostopadle w brzeg, na ekranie ostrzegania radarowego pojawił się symbol: *SA-8*.

Cassini kontynuował skręt w prawo, na kurs zachodni, gdy zobaczył odpalenie rakiety z brzegu. Jego operator systemów uzbrojenia wyrzucał flary i dipole zakłócające. Jednocześnie próbował zakłócić przy pomocy zasobnika *ECM* radiolokator kierowania ogniem zestawu *Gecko*. Sygnał ostrzegawczy zamilkł, gdy *Tornado* pędziło nad wodą niemal prosto na zachód. Cassini odetchnął z ulgą. Radar kierowania ogniem *SA-8* musiał ich zgubić.

W ferworze walki pułkownik zapomniał o tym, że *SA-8* miały dodatkowy, telewizyjny system naprowadzania, śledzący cel i przekazujący komendy sterują-

17 SAM (ang. Surface-to-Air Missile) – ogólne określenie rakiet ziemia-powietrze (lub woda-powietrze).

ce do pocisku, właśnie na wypadek silnego zakłócania. Skrecał wciąż swoim Tornado z przechyleniem 80 stopni, przy prędkości 850 kilometrów na godzinę, gdy sterowany tym pomocniczym sposobem pocisk z SA-8 eksplodował w pobliżu maszyny.

Eksplozja cisnęła samolotem i choć nie wyrządziła rozległych szkód, jednak zniszczyła mechanizm sterowania sterem kierunku. W innych okolicznościach dla doświadczonego pilota, jakim był Cassini, nie byłoby to groźne. Przy osiemdziesięciostopniowym przechyleniu minimalne poruszenie potężnej płetwy steru kierunku skierowało *Tornado* ku wodzie. Nim Cassini zdążył zareagować, nim zrozumiał, co się stało, maszyna uderzyła w wodę, która przy tej prędkości zderzenia była twarda niczym beton. *Tornado* walnęło w wodę, rozlatując się na setki części.

Na ekranie ostrzegawczym zapaliło się pomarańczowe światło. Marciniak i Czerwiński znali je dobrze: *APG-66*, a więc *F-16*. Czerwiński momentalnie włączył zakłócanie.

– Szafir trzy jeden do Jubilera, prawy silnik mi się grzeje! Odchodzę, kierunek jeden cztery pięć!

O w mordę! Dowódca klucza *MiGów* odpadał po wystrzeleniu rakiet R-27. Olszewski zostanie sam przeciwko pięciu maszynom wroga. Zamiast dwóch *MiGów* i ośmiu zwrotnych pocisków krótkiego zasięgu R-73, w kierunku *Viperów* polecą tylko jeden z czterema rakietami.

– Szafir trzy dwa, odpalam jedynekę. Idę w nich! – Olcha zdał sobie sprawę, że jeśli ma cokolwiek zdziałać w pojedynkę, musi dać tamtym po łbie z bliska, nim opamiętają się po ataku raketowym z dystansu. Marciniak nie wahał się ani chwili.

– Szafir trzy dwa, tu Diament trzy, idziemy za tobą!

– Diament trzy, tu jedyneką. Co ty odpierdasz?! Zostań gdzie jesteś, do kurwy nędzy!!! – wtrącił się Nowaczyk.

– No pięknie! – rzekł z tylnej kabiny Czerwiński. Nie dość, że znowu szli do walki z *F-16*, to jeszcze dowódca się wtrąca. Stary miał jednak rację – idąc za Olszewskim, rozsypywali cały plan walki.

– Tu trójka, nie zostawię go samego! – odpowiedział Łysoniowi Marciniak. Wrzucił ciąg bojowy, bo Olcha oddalał się już na dopalaczach.

– Tu jedyneką! Lecę do was! – Nowaczyk zdał sobie sprawę, że musi improwizować. Nie było czasu się zastanawiać.

– Tu dwójka, idę za wami! – wtrącił się Tkaczyk.

- Dwójka, rób swoje! Gdzie mi się wpierdalasz do cholery?! – ofuknął go Łyson.
- Tu dwójka, nie było rozkazu...
- Stul pysk, dwójka! To jest rozkaz. Wykonuj zadanie!
- Zrozumiałem, wykonuję.

W trakcie tej wymiany zdań Marciniak wycelował nos *Szpany* w kierunku, w którym widział dopalacze *Zadymiacza* Olszewskiego. Pędzili pełną mocą na spotkanie belgijskich *F-16*.

Olszewski samotnie szarżował na dwa belgijskie *F-16*. Miał świadomość, że póki oba myśliwce wykonują uniki przed nadlatującymi raketami, niewiele mu zrobią. Musiał dotrzeć na odległość skutecznego strzału *R-73*, zanim tamci ponownie użyją *AMRAAM-ów*. Ich pierwsza salwa nie była skuteczna – w porę wykonał unik tak, że znalazł się poza strefą wykrywania, gdy pociski włączyły swoje radary pokładowe. W normalnych warunkach nie miałby szans – *F-16* podałyby *AMRAAM-om* uaktualnioną pozycję celu i pociski prawdopodobnie znalazłyby drogę do celu. Jednak wcześniejszy atak *R-27T* i zakłócanie przez *Szparę* zrobiły swoje.

Teraz jednak w jego stronę leciał pojedynczy *F-16*. Belgijski myśliwiec przekroczył właśnie linię brzegu. Obie maszyny zbliżały się do siebie łeb w łeb z niemal dwukrotną prędkością dźwięku. Olszewski szukał go wzrokiem w przestrzeni, wiedząc, że przy niewielkiej sylwetce *Vipera* nie będzie łatwo zauważyć. Dostrzegł go jednak na tle jaśniejszego po północno-zachodniej stronie nieba. Belg schodził dość gwałtownie w dół, usiłując umknąć przed ścigającą go rakieta ziemia-powietrze. W ciągu niespełna trzydziestu sekund dystans między nimi zmalał z dwunastu do czterech kilometrów. Tamten musiał go też dostrzec... a może jednak nie?! I gdzie u licha jest drugi?

Kolejny *SA-8* wystrzelił z gwałtownym błyskiem z przybrzeżnego pasa. Olszewski dostrzegł jego płomień wylotowy i z trudem stłumił chęć wykonania uniku. Pocisk nie był przeznaczony dla niego. Przeniósł wzrok na *Vipera*. Pocisk ścigał go z jego prawej, tylnej ćwiartki. Belg skręcił w prawo, usiłując zwiększyć kąt między kursem własnym i nadlatującą rakieta. Wyrzucił flary i dipole. Uciekał przed nadlatującym pociskiem ciasnym skrzętem na zniżaniu, aż za końcówkami skrzydeł pojawiły się smugi kondensacyjne. Uciekał w dół, licząc, że jeśli nie oszuka pocisku manewrem lub pułapkami, to może zdąży się schować w cieniu radarowym. Włączył dopalacz, prezentując go Olszewskiemu w całej krasie.

Teraz albo nigdy! Belgijski myśliwiec stanowił doskonały cel. Olcha nie wahał się ani chwili. Skręcił ostro w lewo, w kierunku *Vipera*. Głowica uruchomionego wcześniej *R-73* uchwyciła cel niemal od razu. Po pięciu sekundach *Fulcrum* był idealnie za ogonem *F-16*, jakieś 1200-1400 metrów i nieco powyżej. Porucznik nacisnął spust.

R-73 z głośnym szumem zszedł z lewego zewnętrznego pylonu. Pocisk popędził w stronę Belga, który wyrzucił całą serię flar. Być może rakieta pozwoliła się zmylić którejś z nich, bo, choć dopędziła *F-16*, eksplodowała dość daleko. Nie widać było uszkodzeń, na maszynie Belga zamigotały iskry uderzeń odłamków...

Olszewski chciał wykończyć *Vipera*. Nim jednak zrobił cokolwiek, zelektryzował go okrzyk Marciniaka:

– Olcha! W prawo! Już!!!

Wykonawszy unik przed ostatnią z rakiet, Willems zszedł nisko i zakręcił na zachód. Usiłował dołączyć do Dumonta, który nieopatrznie zrobił pierwszy unik przed pociskiem z *MiGów* w stronę baterii *SA-8*. Miał prawo się pomylić, bo wtedy jeszcze *Tornado ECR* nie było uszkodzone, a bateria siedziała cicho. Teraz jednak *SAM* złapał go w potrzask, wystrzeliwując w jego stronę kolejne rakiety. Dumont usiłował się wyplątać z tego, uciekając ciasnymi zwrotami z jej zasięgu.

Willems dostrzegł szarżującego *MiG-a* w ostatniej chwili. Zrozumiał, że Dumont tak czy inaczej oberwie. Nie mógł się z tym pogodzić. Jednego bocznego stracił przedwcześnie. Pchnął do oporu przepustnicę, włączył dopalacz i ruszył ku zakręcającemu mu przed nosem *Fulcrumowi*. *MiG-29* sprawił mu dokładnie ten sam prezent, jaki sam otrzymał od Dumonta. W tym śmiertelnym przekładaniu śmiać się miał ten, kto będzie ostatni. Major wiedział, że inne polskie maszyny kręcą się w pobliżu, jednak najgroźniejszy był *Fulcrum*, który mignął mu właśnie przed nosem.

Willems wszedł *MiG-owi* za ogon. Nie mógł jednak strzelać, by nie trafić Dumonta. Obie maszyny – *F-16* i *MiG-29* ustawiły mu się na linii strzału. Willems nie widział drugiego *MiGa* ani nie odbierał sygnałów jego radaru. Być może któryś z *AMRAAM-ów* trafił. Teraz jednak liczył się Dumont. Willems patrzył ze wściekłością, jak *Archer* schodzi spod skrzydła *MiGa* i eksploduje w pobliżu *F-16*.

Zanim cokolwiek wydarzyło się z *Viperem* Dumonta, *Fulcrum* gwałtownie skręcił w prawo, dając mu okazję do strzału. Willems machinalnie poszedł za

nim. Głowica *Sidewindera* uchwyciła cel, gdy tylko *Viper* zwrócił się w stronę *MiGa*. Major odczekał moment, aż kąt strzału jeszcze zmaleje, po czym naciął spust i odbezpieczył kolejny pocisk. Obserwując wystrzelony pocisk, uświadomił sobie nagle, czemu *Fulcrum* skręcił w prawo.

Ciemne tło południowo-wschodniego nieba zamaskowały *Szparkę* przed oczami belgijskich pilotów. Nawet słońce szczęśliwie schowało się za chmurę, usuwając zdradliwy odbłask z owiewki. Ciemnozielony samolot na tle ciemnozielonego lasu pod ciemnym niebem, zwrócony w kierunku przeciwnika dziobem, w otocze elektronicznych zakłóceń był całkowicie dlań niewidoczny. *Viper* widać było całkiem przyzwoicie na tle jaśniejszego, północno-zachodniego nieba.

Marciniak widział kątem oka, jak z trafiony odłamkami głowicy *R-73 F-16* buchnął po chwili dymem, a później jęzorem ognia. Widocznie odłamki uszkodziły tylny zbiornik, wylewając paliwo na gorące części silnika. Tylną część kadłuba rozerwała eksplozja, a z kokpitu katapultował się pilot. Jednak uwagę Marciniaka zaprzętał drugi *Viper*, ścigający teraz Olszewskiego. Obie maszyny przemieszczały się w lewo, przed dziobem *Szparki*. Na oczach Marciniaka *F-16* odpalił pocisk w kierunku jego kumpla.

– Olcha!!! Flara!!! W prawo!!! – wrzasnął do radia.

Olszewski ściągnął *MiGa* w ciasnym, forsownym zwrocie, aż na skrzydłach zagotowała się skondensowana w wirach para. Z maszyny poleciały flary. Marciniak wstrzymał oddech. Nie widział, czy *Sidewinder* zgubił Olchę... Pędził w stronę walczących na dopalaczu... jeszcze trochę... jego *R-60* miały niewielki zasięg...

Zgubił! Pocisk minął *MiGa-29*, nie eksplodując. Jednak Olcha leciał prosto. Poprzedni zakręt wykonał tak ciasno, że musiało go zamrozić, stracił nieco prędkości. *F-16* skręcał za nim, szykując się do kolejnego strzału, usiłując uplasować się w sześciestopniowym stożku za ogonem ofiary. Pilot *Vipera* usiłował powtórzyć manewr Olszewskiego, ale komputer pokładowy nie pozwolił mu na tak karkołomny zakręt. Musiał skręcać nieco obszerniej. To dało Marciniakowi nieco czasu. Czy wystarczająco dużo? Będzie miał tylko jedną szansę. Jeśli *Viper* zwróci się przeciw niemu, to przedwczorajsza szczęśliwa ucieczka raczej się nie powtórzy. Nie miał jednak wyjścia – jego kumpel mógł zginąć pierwszy...

Już! Uruchomiony chwilę wcześniej *R-60* uchwycił cel.

– Olcha!! W prawo!! Zejdź mi ze strzału!! – ryknął w radio Marciniak.

MiG i *Viper* rosły Marciniakowi w oczach. Wolno, zbyt wolno, pozbawiony poprzednim zwrotem *MiG* wszedł w kolejny forsowny zakręt. *F-16* był ciągle w zwrocie. Nie mógł strzelić, gdyż, lecąc szybciej od Olszewskiego, znalazł się nieco na zewnątrz zakrętu. Ustawił się za to do Marciniaka tyłem, może z 600 metrów przed nosem *Szparki*...

To musiał być pewny strzał. I był.
Marciniak nacisnął spust.

Willems za późno zdał sobie sprawę, że Polacy zapędzili go w pułapkę. Usiłując ochronić Dumonta, sam wpadł pomiędzy młot i kowadło. Przed sobą miał wyrzutnie *SA-8*, prawdopodobnie drugiego polskiego *MiGa*, który z wyłączonym radarem mógł na niego zapolować. Musiał przynajmniej wykończyć tego przed sobą, jeśli w ogóle miał wyjść z tego cało.

MiG zrobił jednak ciasny zakręt, tracąc prędkość. Willems leciał szybko, a aktywny, komputerowy układ sterowania nie pozwolił na tak forsowny manewr. Gdyby major miał więcej czasu, wykończyłby *MiGa* po utracie energii. Czasu jednak nie miał.

Willems do końca nie dostrzegł szarżującego *Su-22*. Wyczuwając niebezpieczeństwo, wystrzelił w zwrocie kilka flar, jednak nie starczyło mu czasu na jakąś bardziej przemyślaną reakcję. Z taki niewielkiej odległości dysza potężnego silnika *F100-PW220* świeciła w podczerwieni jaśniej niż słońce, do tego Belg ustawił się idealnie tyłem do atakującego. Mimo flar *R-60* nie mógł spuścić. Trafił idealnie w dyszę, rozrywając tylną część kadłuba na strzępy.

Potężny cios niemal wyrzucił Willemsa z fotela. Coś ukuło go w kark, pasy boleśnie wbiły się w ciało. Wielofunkcyjne ekrany popękały od wstrząsu, ożyła tablica uszkodzeń – i to pełnią blasku. I bez niej Willems wiedział, że przegrał. Na swoje szczęście nie stracił przytomności. Dziób maszyny poleciał w dół, resztę kadłuba i kokpit oświetliły płomienie. Mimo przenikliwego bólu w szyi Willems obejrzał się do tyłu. To, co zobaczył, tylko potwierdziło decyzję.

– Dostałem, skacze! Skacze! Skacze! – krzyknął, nim pociągnął za dźwignię odpalającą katapultę.

Na zachód od nich nie niepokojony przez *MiG-i* i *SA-8* Abruzzi wtargnął nad ląd na małej wysokości. Jego operator uzbrojenia i nawigator, porucznik Pietro Gallo, wyprowadził go idealnie nad cel, którym były domniemane stanowiska ogniowe *S-200Wega*. *Tornado* przemknęło z prędkością 900 kilometrów na go-

dzinę na wysokości nie większej niż 100 metrów zrzucając salwę bomb *Mk 82* z hamulcami aerodynamicznymi, opóźniającymi opadanie i detonację, tak by atakujący z małej wysokości samolot zdążył oddalić się poza zasięg ich rażenia. Seria ciężkich eksplozji wstrząsnęła zalesioną, piaszczystą okolicą, wznosząc tumany kurzu i dymu, ciskając w powietrze powyrywane gałęzie i wybijając część szyb w odległych o 800 metrów zabudowaniach. W chwili, gdy na ziemi miało miejsce to pandemonium, *Tornado* Abruzziego szło w górę w prawo skośnym zakrętem, wykonywanym na wypadek, gdyby w którejś z bomb nie otworzyły się hamulce. Załoga usiłowała wypatrzeć wtórne eksplozje, jednak nadaremnie. Trafili co prawda w stanowiska ogniowe *SA-5*, ale samych wyrzutni już tam nie było.

Pochłonięci obserwacją skutków własnego bombardowania włoscy lotnicy nie zauważyli *Suki*, która kosiakiem zbliżała się od południa. Na tle ciemniejszego nieba i jeszcze przyciemniającego go altostratusa była trudno zauważalna, podobnie jak *Szparka* Marciniaka. Zdyscyplinowany przez Łysonia Tkaczyk wykonywał zadanie. I słusznie przewidział, że jeśli któreś z *Tornado* zdoła zaatakować wyznaczony cel, to po ataku zawróci na północ zakrętem w prawo, oddalającym go od walczących myśliwców. Obserwował, jak włoski bombowiec wyrzuca ładunek, eksplozję bomb i wykonywany przez *Tornado* manewr wyjścia z ataku. Bombowiec zakręcił na górcę, by uniknąć trafienia odłamkami, gdyby któreś z bomb nie otworzyły się hamulce. Zaraz jednak dokończył zakręt o 180 stopni, schodząc w dół, ku bezpiecznej bliskości ziemi i w cień radiolokacyjny.

Tkacz obserwował, jak włoski bombowiec ucieka nad Bałtyk. *Su-22* pędził na dopalaczu od momentu, gdy Tkaczyk zauważył wybuchy bomb. Polska maszyna wyskoczyła nad morze kilka sekund za Włochem, doganiając go szybko. Ciemna sylwetka *Tornado* odcinała się wyraźnie na tle jasnego, zachodniego nieba. Słońce zaszło, więc jego ciepło nie mogło zwieść głowicy *R-60*. Tkacz uruchomił głowicę samonaprowadzającą pocisku podwieszzonego pod prawym skrzydłem. Gdy odległość spadła poniżej kilometra, nacisnął spust. *R-60* strzelił z prawego pylonu i poszedł najkrótszą drogą – prosto do celu.

Włosi nie zorientowali się, że odpalono do nich raketę. *Tornado* pędziło nad wodą, gdy *R-60* eksplodował w pobliżu, uszkadzając go odłamkami. Nie było jednak widocznych tego efektów i Tkacz zastanawiał się, czy aby nie poprawić drugim. Dystans jednak zmalał gwałtownie i, będąc w odległości czterystu metrów od Włocha, zobaczył odlatującą owiewkę i katapultujących się pilotów. Obaj Włosi mieli więcej szczęścia od rodaków, bo pociski uszkodziły oba silniki, nie zrzucając ich natychmiast do Bałtyku. Tkaczyk musiał wykonać gwał-

towny unik, by uniknąć zderzenia z samolotem i katapultującymi się pilotami, po czym wszedł w obszerny lewy zakręt, zawracając do Powidza.

Atak na stanowiska polskiej obrony powietrznej w okolicach Łeby zakończył się dla sił lotniczych EAF katastrofą.

Willems, nieco oszołomiony i obolały, wisiał na szelkach spadochronu. Miał poczucie klęski. Przeciwnik okazał się twardy, przebiegły i profesjonalny. Bez względu na wykorzystanie zaskoczenia i wygrał, mimo nie do końca korzystnego rozwoju wypadków. Widział Dumonta opadającego może ze dwa kilometry od niego. Dobrze, że chociaż obaj wyskoczyli. Miał nadzieję, że porucznik nie utopi się jak Van de Velde. To już byłby nadmiar pecha. Zastanawiał się, kto tak urządził. Odpowiedź otrzymał niebawem.

Niedaleko niego przemknął samotny *Su-22*. Willems rozpoznał dwumiejscową wersję *Su-22UM3*. Numer taktyczny był znajomy: 606. To ta cholera, którą gonili z Van de Velde, skonstatował. Widział ją w telewizji przelatującą pod mostami. W powietrzu nie było nikogo więcej. Żadnego MiGa. Dopiero później przeleciał drugi *Su-22*. To te skurwysyny z dwumiejscowego *Fittera* tak go urządziły, i to po raz drugi. Willems sklął w duchu i głośno, bardzo intensywnie i wymyślnie, ale krótko obu polskich lotników. Musiał przyznać, że mają jaja. Na osłode pomyślał, że zapewne załatwił jednego *Fulcruma AMRAAM-em*. Musiały być dwie takie maszyny, a pojawiła się w walce jedna. Dopiero w niewoli miał się dowiedzieć, jak bardzo się mylił.

Powierzchnia Bałtyku przybliżała się szybko. Willems zajął się przygotowaniami do nieuchronnej kąpieli.

Lotnisko Roskilde, Dania, godz. 21:37

Schneider obserwował przez okno powrót maszyn z zadania. Obserwował z niepokojem, bo maszyny wracały pojedynczo, i to w stanie, który nie napawał optymizmem. Dwa *Tornado IDS* wróciły jako pierwsze z bombami na podwieszaniach. Potem wróciły dwa *F-16* bez *AMRAAM-ów*. O tym, że starły się, i to ostro, z *Fulcrumami*, już wiedział z korespondencji radiowej. Wiedział też, że były straty. Nie wiedział jak znaczne. Niepojęte było to, że – o ile orientował się na bieżąco – wszystkie zgrupowania miały kontakt bojowy z maszynami przeciwnika. I oczywiście na ekranach systemu dowodzenia pojawiły się nie-

liczne echa, przekazywane za pośrednictwem łącz danych. Wszystkie skaczące po ekranie – a zatem fałszywe.

Jak to do cholery możliwe? Polacy patrolowali niezbyt intensywnie pas przybrzeżny, do tej pory nie było starć, nie mieli powodów wzmacniać patroli. Nie mogli wykryć odpowiednio wcześniej nadlatujących tuż nad wodą grup uderzeniowych, bo nie mieli maszyn wczesnego ostrzegania. Przy tak niskim locie nalot EAF musiał być zaskakujący. A jednak to Polacy zaskoczyli lotników Schneidera. Coś tu śmierdziało i generał postanowił przeprowadzić śledztwo, gdy tylko zbierze raporty od załóg.

Kolejny *Tornado* pojawił się nad pasem. Schneider przyłożył do oczu lornetkę. Ten nie miał uzbrojenia, za to miał zdrowo poszarpany kadłub z lewej strony i skrzydło. Ociężałe i nieco niepewne manewry nad pasem świadczyły o tym, że oberwała instalacja hydrauliczna. Gdyby ta maszyna miała dalej do bazy, to pewnie by nie powróciła.

Po dwudziestu pięciu minutach Schneider miał bilans strat. Był on jak na „pokojową” operację, przerażający. Z trzydziestu maszyn biorących bezpośrednio udział w ataku nie powróciło aż sześć – cztery *Tornado* i dwa *F-16*. Jak się dowiedział nieco później, zginęło sześciu lotników – czterech włoskich i dwóch niemieckich z *Tornado ECR*. Grupa uderzeniowa atakująca stanowisko *SA-5* w pobliżu Łeby po prostu przestała istnieć – jedyny ocalały samolot, niemieckie *Tornado ECR* – wylądował awaryjnie w Szwecji.

Takiego obrotu sprawy i strat w wysokości dwudziestu procent, Schneider nie spodziewał się w najczarniejszych wizjach. Jego koncepcja, by sprawę załatwić po cichu i znienacka – skądinąd słuszna – tu obróciła się przeciwko lotnikom EAF. To była po prostu katastrofa.

Vandenoort obserwował dramatyczny powrót maszyn. Tak jak Schneider słyszał rozmowy pilotów i wiedział już, co się wydarzyło.

- Może mi pan to wyjaśnić?! – zażądał ostrym tonem, gdy Schneider podsumował wyniki akcji. Komisarz chciał wyjechać po starcie grup uderzeniowych, ale Schneider zatrzymał go. Jak się okazało, na własną szkodę.
- Wygląda na to, że Polacy nas zaskoczyli. Byli dobrze przygotowani do odparcia ataku. Stąd to niepowodzenie...
- Niepowodzenie?! To jest kompletna klęska!! – huknął Vandenoort. – To pan za to odpowiada...
- Ponoszę odpowiedzialność za planowanie i wykonanie operacji lotniczych, ale nie za bezpieczeństwo informacji! Ktoś poinformował Polaków o naszych zamiarach! – Schneider również podniósł głos. – Wiedzieli dokładnie gdzie i kiedy uderzymy i trzymali w powietrzu odpowiednie siły!

Nie wiedzieliśmy o dodatkowych patrolach, a oni mają za mało paliwa, żeby utrzymywać je cały czas! Musieli wiedzieć!

- Usiłuje pan usprawiedliwić swoją niekompetencję...
- O moje kompetencje może pan zapytać moich podwładnych. Powiedzą panu o tej operacji dokładnie to, co ja w tej chwili. Proszę do nich zejść i się przekonać!...
- Nie mam czau na pyskówki z pańskimi pilotami. Tymczasem wystąpię do Dentersa o odwołanie pana z funkcji dowódcy lotnictwa...
- Pańskie prawo!

Schneider miał dość Vandenoorta i całej tej awantury. Zaplątał się tam, gdzie nie powinien. To miała być polityczna operacja. Zamiast tego zamieniała się w krwawą jatkę z Bogu ducha winnymi Polakami. Czy interesy Vandenoorta rzeczywiście współgrały z interesami Niemiec? Czy trzeba było załatwiać je w ten sposób? Schneider miał poważne wątpliwości. To nie była robota dla żołnierza demokratycznego państwa niemieckiego. Może dla najemnika, płatnego mordercy czy prowokatora.

Vandenoort opuścił pomieszczenie wraz ze swoją świtą bez zbędnych słów. Asystent Vandenoorta, Acostelle, skinął generałowi głową na pożegnanie. Wyglądał już znacznie lepiej niż przed godziną. Sraczka już mu przeszła. Też mają zmartwienia, ci cholerni biurokraci, pomyślał Schneider. Ciekawe, jak uda mu się wytłumaczyć z tej katastrofy zwierzchnikom.

HNLMS *Tromp*, godz. 22:05

Denters wysłuchał połajanki Vandenoorta w milczeniu, w zaciszu kabiny admirałskiej. Miał po dziurki w nosie spierania się z komisarzem. Nie dość, że Vandenoort gówno wiedział o operacjach wojskowych, to usiłował wszystkim sterować ręcznie. Nalegał na atak na polskie instalacje, a teraz zrzucał winę za niepowodzenie na innych. Szkody po tym niefortunnym przedsięwzięciu musiał naprawiać Denters.

A były one niemałe. Atak na terytorium Polski wykraczał poza działania typowe dla blokady. Denters od początku był mu przeciwny, ale Vandenoort naciskał, i to skutecznie. Skutecznie do tego stopnia, że Polacy mieli teraz wyśmienity pretekst do kontrataku. A Denters miał zdrowo przetrzepane lotnictwo i okręty EAF rozciągnięte w długą linię patrolową od Wolina po kraniec Helu. Nie mogły się wspólnie bronić przeciw samolotom. Najsilniejsze okręty nie musiały się bać ataku z powietrza, jednak mniejsze w pojedynkę mogły łatwo

paść ofiarą niespodziewanego ataku *Fitterów*. Denters nakazał podwojenie ilości patroli myśliwskich. Wobec strat i uszkodzeń wśród belgijskich *F-16* znowu trzeba będzie zajeżdzać niemieckie *Phantomy*. Cholera by to wzięła.

Do tego wszystkiego, jeśli Polacy zechcą wziąć odwet, nie muszą wcale sięgać po samoloty. Prawdziwym problemem Bałtyku była kiepska akustyka. Polskie okręty podwodne mogły się tu cholernie dobrze maskować, podejść na odległość strzału do osamotnionych w swoich rejonach dozoru okrętów EAF i wystrzelić je swoimi torpedami na Księżyc. Śmigłowce przeciwpodwodne i własne sonary okrętów Dentersa mogły tu nie wystarczyć. By zapobiec atakowi spod wody, trzeba było zapobiec wyjściu polskich podwodniaków z bazy Gdynia-Oksywie. Według informacji wywiadu, wszystkie pięć okrętów przebywało w bazie.

Rad nierad, admirał musiał sięgnąć po ostatnią swoją kartę. Niemiecki okręt podwodny *U-23* trzeba było umieścić na drodze polskich sił morskich, tak blisko Gdyni, jak się tylko da. Czyli na granicy wód terytorialnych. A gdyby trzeba było – to nawet w ich obrębie.

Denters wezwał swojego szefa sztabu i nakazał mu przygotowanie rozkazów operacyjnych dla *U-23*.

Powidz, baza lotnicza godz. 22:30

Ładowanie po takim locie było pestką, choć gdy dolecieli do Powidza, zapadł już zmrok. Podkołowali *Szparką* pod schronohangar. Zgromadzili się tu piloci oraz część obsługi naziemnej. Wszyscy wiedzieli już, że Marciniak i Czerwiński kropnęli *F-16*. Był to wyczyn niebywały. W ciągu trzech dni za ich sprawą EAF i *Force Aérienne Belge* pożegnały się z dwoma tego typu maszynami.

Marciniak wyłączył silnik i otworzył osłonę kabiny. Technicy podstawili drabinkę i zabezpieczyli fotel wyrzucany, a następnie pomogli mu odpiąć przewody. Kiedy schodzili z Czerwińskim po drabinkach, rozległy się wiwaty. Zaraz potem nad pasem przeleciał *Su-22* Tkaczyka, wykręcając efektowną beczkę. Ledwie dotknęli ziemi, obaj lotnicy znowu znaleźli się znowu w powietrzu – tym razem za sprawą kolegów. Kiedy już zgromadzeni pozwolili nacieszyć im się korzystaniem z własnych nóg, mogli dowiedzieć się, czego dokonali.

Prawdę mówiąc, mieli powody do zadowolenia. Od razu zaczęła się wymiana informacji, kto, gdzie, kiedy i czego dokonał. Ci, którzy zostali na ziemi, mieli lepszy przegląd sytuacji – mieli dostęp do większej liczby źródeł, sami nie będąc zaabsorbowani walką.

W przeciwieństwie do tamtego lotu, gdzie Marciniak i Czerwiński uciekali przed parą *F-16*, tu była czysta robota – ofensywna, myśliwska, pod kontrolą. Zaplanowana i wykonana perfekcyjnie, uwzględniając reakcję na awarię prowadzącego myśliwca. No i pierwszy strzał rakieta – i od razu zestrzelenie. Szkoda, że nie było to pierwsze zestrzelenie – Olszewski trafił „swojego” *F-16* szybciej. To jednak nie było ważne. Odnieśli nieprawdopodobny sukces, roznosząc starymi samolotami grupę dużo nowocześniejszych maszyn EAF. Inne grupy zestrzeliły jeszcze dwie maszyny. Tylko jeden z *MiGów* dostał *AMRA-AM-em* i spadł, ale pilot wykpił się drobnymi obrażeniami odniesionymi przy katapultowaniu. Nieco gorzej poszło na ziemi, gdzie czterech ludzi zginęło, gdy ich wyrzutnia raket *SA-8* została trafiona *HARM-em* odpalonym z niemieckiego *Tornado ECR*. Wyjaśniła się sprawa zamiany *MiGów* – poniemieckie maszyny Trzydziestej Siódmej mogły odpalać naprowadzane termicznie *R-27T*, użyte na początku starcia. *MiG-i* Dwunastej nie miały tej możliwości, więc eskadry podmieniły kilka maszyn, by mieć możliwość użycia tych rakiet niezależnie od tego, której wypadnie wejście do walki.

Kiedy emocje nieco opadły, a piloci opowiedzieli o swoich przeżyciach w bitwie, udali się wreszcie do szatni, by się przebrać. Czekają ich jeszcze liczne obowiązki, w tym sprawozdania z lotu i rozmowa z oficerem wywiadu. Nieśpiesznie szli przez lotnisko.

- Czy ja śnię, czy to już drugi *F-16*, którego uziemiliśmy? – zapytał Czerwiński, szczypiąc się w przedramię. – Załatwić *Vipera* lecącą na *Su-22*... W życiu nie pomyślałbym, że to się da zrobić.
- Wszystko jest możliwe – Marciniak wzruszył ramionami. – Z tym dziwniejszym poszło łatwiej. Wystawił nam się dyszą tak, jakby prosił o rakieta.
- Ciekawe, czy schwytali pilota – zastanawiał się Przymas. – To dopiero będzie propagandowy sukces. *F-16* EAF nie wracają do bazy. Jeśli wszystko się potwierdzi, to EAF od jutra będzie musiał latać na miotłach.

Marciniak zastanowiło co innego.

- Mieliśmy kupę szczęścia, ale i dobrych, precyzyjnych informacji o tym, co i jak zamierzają – orzekł. – Ciekawe skąd?
- Nie wierzysz w tę informację o bombach na zdjęciach satelitarnych?
- A ty wierzysz, że ze zdjęć bomb nasi dzielni analitycy wyczytali cele i porę ataku? To bajka dobra dla pismaków.
- Myślisz, że mamy tam jakąś wtyczkę?
- Ktoś daje nam cynk. Tylko z naszego małego starcia powinien sobie namalować cztery połówki flag unijnych. Dzięki niemu wygraliśmy.

Ledwie weszli do szatni, wpadł jak bomba zdyszany Lisowicz.

- Pułkownik was wzywa! – wysapał. Wybiegł, nim zdążyli o cokolwiek zapytać.

Marciniak spojrział na Przemasa.

- Przygotuj się na o-pe-er – powiedział.
- Skąd to przypuszczenie? – zdziwił się Czerwiński.
- Jeszcze nigdy mnie nie wezwał, żeby pochwalić. Zawsze przy takich okazjach obrywam.
- Czarnowidz z ciebie.
- Być może. Jeśli tym razem będzie inaczej, to będzie to większy cud, niż nasze dzisiejsze zwycięstwo.

Marciniak i Czerwiński stali na baczność w gabinecie pułkownika Nowaczyka. Bynajmniej nie zbierali pochwał.

- Co wy sobie, kurwa, wyobrażacie?! – powiedzieć, że Łysoń był wkurwiony, to tak, jakby powiedzieć „lekką podenerwowany” o byku rozjuszonym czerwoną płachtą . – Że możecie olewać rozkazy?! Że możecie rozważać precyzyjny plan?! Że możecie toczyć na własną rękę wojnę z EAF i używać sprzętu według własnego widzimisię?! Kto wam rozkazał lecieć na pomoc myśliwcom?!
- Zdrowy rozsądek, panie pułkowniku – odpowiedział spokojnie Marciniak. Początkowa wściekłość przeszła w chłodną obojętność. Tym razem Łysoń przegiął. Gdyby czekali na jego rozkaz, po Olszewskim zostałyby wspomnienie. Pułkownik mógł sobie wrzeszczeć. Formalnie mógł im zarzucić niesubordynację, ale wobec powodzenia ich akcji niewiele by wskórał.
- Zdrowy?! Macie się za zdrowych na umyśle?! Szlag mógł was trafić, a ja musiałbym się tłumaczyć z waszych głupich pomysłów! Nie powinniście byli lecieć na tę akcję!

„A kto by poleciał zamiast nas?” pomyślał Marciniak. Załóg rezerwowych dla *Szparek* nie było, a to one właśnie zadecydowały o zwycięstwie. Nie powiedział tego na głos. Bezpodstawne sztorcowanie przez upierdliwego dowódcę nie zepsuło dobrego humoru. Tego wieczora Łysoń mógł mu skoczyć obiema nogami na warsztat. Miał go w dupie.

- Jeszcze jeden taki numer, a będziecie obaj latać na miotłach! – zagroził Łysoń. – Zejdźcie mi z oczu, nim się naprawdę wkurwię.

„I tak jesteś już wkurwiony i gównie możesz nam zrobić”. Marciniak z trudem zachowywał obojętną twarz. Rzadko zdarzało mu się tak zirytować puł-

kownika, i to na czysto, gdy dowódca nie miał bezpośredniego pretekstu do odwetu. Na pewno będzie go szukał, ale pewnie nie teraz. Ma za dużo spraw na głowie.

Na dobrą sprawę Łysoń powinien być mu wdzięczny. Gdyby nie załatwili tego „Efa”, to on załatwiłby Olszewskiego, a potem dobraliby się im do tyłków. Belg był zdeterminowany, groźny i za wszelką cenę chciał odnieść zwycięstwo. Intuicja podpowiadała Michałowi, że belgijski pilot miał coś wspólnego z ich poprzednią przygodą. Może chciał się zemścić za tego, który tak głupio zginął? Cholera wie. Walczył odważnie, ale miał pecha. Oni mieli szczęście.

– Odmaszerować! – zakomenderował Nowaczyk.

I tak nie było najgorzej. Zasalutowali, zrobili w tył zwrot i wyszli.

– Ale mu odbiło! – stwierdził Marciniak, gdy oddalili się na bezpieczną odległość od gabinetu pułkownika. – Miewał już różne odchyły, ale tym razem nieźle przegiął.

– Chyba wściekł się, że i my i Tkacz zestrzeliliśmy po jednej maszynie, a on ganiał jak głupi pomiędzy nami – powiedział Czerwiński. – Tkacz dobił go tą beczką na pięćdziesięciu metrach. Tylko nasz kochany dowódca niczym szczególnym się nie wykazał. Na jego miejscu też byś się wkurwił.

– Przejdzie mu, jak się prześpi – powiedział Michał. – Spuściliśmy dupkom Vandenoorta niezły łomot, i to minimalnymi siłami. Zdziałaliśmy znacznie więcej, niż można się było spodziewać. Szkoda, że nasze „Efy” nie są jeszcze gotowe do walki. Z nimi u boku puścilibyśmy na dno całą tę bandę...

– Poszło jak po maśle, ale to chyba efekt zaskoczenia. Następnym razem może nie pójść tak łatwo.

– Tego się właśnie obawiam. Atakując nasze terytorium, ci dranie przekroczyli Rubikon. Na co mogą się jeszcze odważyć?

Serwis światowy BBC, godz. 22:30

Według niepotwierdzonych informacji, nad Bałtykiem doszło do gwałtownego starcia lotnictwa Europejskich Sił Zbrojnych z polskimi samolotami wojskowymi. Do bitwy doszło w pobliżu środkowego wybrzeża Polski. Nieoficjalne źródła mówią o kilku ciężkich eksplozjach i licznych, przelatujących na małej wysokości samolotach. Na razie nie wiadomo, kto kogo zaatakował, brak także informacji o ofiarach.

Serwis CNN
godz. 22:40

Rzecznik Komisji Europejskiej, Xavier Ramos, potwierdził, iż wczesnym wieczorem doszło do potyczki sił lotniczych EAF z maszynami polskich Sił Powietrznych. Według Ramosa polskie samoloty zaatakowały patrole EAF w międzynarodowej przestrzeni powietrznej. „Atak został odparty, a napastnicy ponieśli dotkliwe straty”, powiedział Ramos.

ZDF,
godz. 22:45

Polska telewizja publiczna pokazała właśnie zdjęcia czterech pilotów sił EAF, dwóch Włochów i dwóch Belgów, schwytanych po starciu nad polskim wybrzeżem. Obok pilotów, warszawska stacja wyemitowała zdjęcia dwóch wraków samolotów, w których specjaliści rozpoznali F-16, najprawdopodobniej oddelegowanych z belgijskich Sił Powietrznych do EAF. Oznacza to, że siły EAF utraciły co najmniej trzy samoloty,

Serwis światowy BBC
godz. 22:55

Na konferencji prasowej rzecznik polskiego rządu, Jan Włodarczyk, potwierdził informację o starciu polskich Sił Powietrznych z lotnictwem EAF. „Nad polskim wybrzeżem doszło do największej bitwy lotniczej od drugiej wojny światowej. Po obu stronach zaangażowanych było łącznie kilkadziesiąt samolotów bojowych”. Włodarczyk podważył twierdzenia rzecznika Komisji Europejskiej, Ramosa, który oskarżył Polskę o atak na siły EAF. „Skoro na naszym terytorium leżą wraki i schwytaliśmy pilotów, to jasne, kto kogo zaatakował”. Jego zdaniem celem sił EAF było zniszczenie polskich instalacji wojskowych w pasie przybrzeżnym, jednak żadne z zaatakowanych instalacji nie poniosły uszczerbku. Rzecznik powiedział, że siły EAF utraciły co najmniej pięć samolotów bojowych przy zerowych stratach strony polskiej.

**Pałac prezydencki, Warszawa,
19 lipca, godz.23:40**

– Panowie, co dalej?

Prezydent Chłopicki zadał to pytanie swojemu gronu doradców, premierowi, ministrom obrony i spraw zagranicznych oraz wojskowym – szefowi sztabu, generałowi Krzysztofowi Łańskiemu i dowódcom Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej – Zdaneckiemu i admirałowi Gromnickiemu. Wszyscy ci ludzie siedzieli przy długim stole konferencyjnym w jednej z sal pałacu przy Krakowskim Przedmieściu. Wojskowi zasiadający niemal na przeciwnym końcu niż prezydent, nie kwapili się z odpowiedzią. Cywile wręcz przeciwnie.

- Powinniśmy wykorzystać fakt nalotu do wzmożonej ofensywy dyplomatycznej, do postawienia sprawy w organach Unii Europejskiej, a może na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ – powiedział Rudnicki.
- Świetny pomysł. To tak jakby w sprawie morderstwa zwrócił się z apelacją do mordercy. Podziwiam ich geniusz. – szepnął Zdanecki Gromnickiemu.
- Ma pan jakieś uwagi, generale? – uwagi prezydenta nie uszło to, iż generał skomentował po cichu słowa.

W chwilach trudnych Zdanecki zwykł mawiać nieprzyjemne i niepopularne prawdy zarówno podwładnym, jak i zwierzchnikom.

- Panowie – rzekł – Marc Vandenoot postanowił zaatakować terytorium Rzeczypospolitej. Radziłbym nie zwracać się do niego z prośbą, by więcej tego nie robił, tylko solidnie kopnąć go w tyłek.
- Generale... – odezwał się minister Dobrowolski, ale prezydent powstrzymał jego tyradę gestem dłoni.
- Nie jestem przekonany, że należy eskalować konflikt – rzekł prezydent. – Spróbujemy rozwiązać go dyplomatycznie. Jeśli nie uda się w sposób pokojowy – wtedy damy panom wolną rękę.
- Z całym szacunkiem, panie prezydencie – powiedział Gromnicki. – Generał Zdanecki ma rację. Nie możemy prosić EAF o rozmowy, teraz gdy odnieśliśmy taktyczne zwycięstwo. Zostanie to odebrane jako nasza słabość. Proszę sobie wyobrazić – po naszym ciosie chwieją się politycznie i militarnie na nogach, a my cofamy się i mówimy: tylko nas nie bijcie. Co sobie pomyśla? Że jesteśmy jeszcze słabsi od nich! To ich zachęci do postawienia się i kontynuowania blokady. W tej chwili zapewne wielu z nich rozważa możliwość jej przerwania.

- Co więcej, mamy niezwykłą okazję zadania im dotkliwego ciosu odwetowego – dodał Zdanecki. EAF nie da nam kolejnego tak dobrego pretekstu. Do wygrania nie muszą nas atakować. Mogą nas zadusić tą blokadą.
- Panowie, nie możemy wszczynać wojny! – zirytował się Rudnicki. Zdanecki pomyślał, że facet tkwi wciąż jedną nogą w Brukseli.- Tylko dialog i wzajemne ustępstwa mogą doprowadzić do pokojowego rozwiązania. Jeśli nie będziemy rozmawiać...
- Widział pan, w jaki sposób rozmawia Vandenoort! – przerwał mu Zdanecki. – Zrzucając bomby na nasze terytorium. Żarty się skończyły. Toczył pan przez miesiąc tajne rozmowy z przedstawicielami Vandenoorta. Użył pan jakieś ustępstwa z ich strony?
- Panowie, dajcie spokój! – wtrącił Kruza. – Zdaje się, że mamy więcej niż czterdzieści osiem „jastrzębi” w Siłach Powietrznych.
- Jeżeli ochrzcił mnie pan „jastrzębiem” za trzymanie się elementarnej logiki konfliktu, to, do cholery, jestem nim! – odciął się Zdanecki.
- Panowie, przestańcie! – wtrącił się Chłopicki – Nie zgadzam się na rozwiązanie siłowe. Nie możemy być agresorem.

Zdanecki pokręcił głową. Jak można być agresorem broniąc się i kontratakując?

- Spróbujemy negocjować z Komisją. Być może wyciągną wnioski z ostatnich wypadków.

Zawsze to samo gównu, pomyślał generał. Liczenie na to, że partner czy przeciwnik jest naiwny, idealistyczny i wierzy w piękne hasła. Po drugiej stronie siedzą cynicy, którzy nie wahali się wydać rozkazu zrzucania bomb. A my ich ładnie poprosimy, żeby przestali.

Zdanecki zbyt dobrze znał polityków, by jeszcze raz wtrącić się do dyskusji. Dokąd porządnie nie dostaną w tyłek, będą tkwili w złudzeniach. Na razie mógł zrobić tylko tyle, by chronić swoich chłopaków.

Wojskowi opuścili pałac zdegustowani. Ponieważ Zdanecki odesłał swojego kierowcę do domu, Gromnicki podrzucił go do Dowództwa swoim pojazdem służbowym.

- W taki sposób daleko nie zajedziemy – stwierdził admirał. – Będą do sądnego dnia zastanawiać się, czy dokopać tym sukinsynom, czy nie.
- Tak źle i tak niedobrze – Zdanecki pokręcił głową. – Wcale nie jestem przekonany, czy uderzenie na EAF wyszłoby nam na zdrowie. Ty nie masz odpowiednich sił nawodnych. Ja nie mam odpowiednich sił uderzeniowych. Nie mamy zapasów, sojuszników też mamy daleko i na nasze własne życzenie niezbyt zaangażowanych. Nie mamy starannie przeanalizowa-

nych planów na wypadek takiej sytuacji, które mogłyby być podstawą do działań. Znowu przyjdzie nam improwizować.

- I lepiej improwizujmy skutecznie – podsumował Gromnicki. – Jeśli przyjdzie nam walczyć, potrzebny jest dobry plan. Piekielnie dobry plan. Bez niego będziemy mieli kolejny, bezproduktywny zryw.

Siedziba kanclerza Niemiec **godz. 23:50**

– Uważam, że jak najszybciej powinniśmy wycofać się z tej awantury – Juergen Biergbaum mówił stanowczym głosem. Siedział w kanclerskim pokoju gościnnym z kanclerz Andream Meier. Rozmawiali w cztery oczy przy dwóch filiżankach gorącej, czarnej kawy. Biergbaum poprosił o rozmowę, gdy tylko dotarli do niego informacje o nieudanym nalocie EAF na cele w Polsce. Dowództwo EAF skrywało zamiary przed państwami członkowskimi Unii Europejskiej. Zdaniem Biergbauma może to i było słuszne z powodów wojskowych, ale ze względów politycznych – niedopuszczalne.

Kanclerz Meier nie podzielała jego zdania.

– Juergen, nie możemy tak po prostu zabrać teraz z EAF swoich wojsk i wsparcia- oświadczyła kanclerz. – Nie tylko osłabilibyśmy EAF, ale przyczynilibyśmy się do likwidacji europejskich sił zbrojnych. Skoro my nie chcemy ich wspierać, to dlaczego mają je wspierać Włosi, Francuzi czy Belgowie? Bez wątpienia zrobiliby to samo co my, czyli wycofali jednostki... Vandenoort popełnia błędy, jednak jeśli cofniemy mu poparcie, idea dalszej integracji Europy padnie, integracja na wiele lat zostanie zahamowana, a my stracimy przewodnią rolę w Unii. Francuzi już czekają na nasze potknięcie czy zawahanie, żeby przejąć pałeczkę. Nie mamy już wyjścia. Musimy popierać Vandenoorta.

– Integracja już jest mocno narażona na szwank. Podobnie nasza reputacja. Polacy już trąbią na cały świat o tym, jak to Niemcy zaatakowali polskie terytorium!

– Nie Niemcy, tylko EAF, mające legalny mandat interwencyjny wydany przez organy europejskie.

– Wiadomo, kto za nim stoi. Tracimy na tym.

– Na razie traci tylko Vandenoort. To on wziął na siebie odpowiedzialność za działania i przebieg tej blokady – kanclerz Meier była nieprzejednana.

– Pytanie, jak długo możemy mu na to pozwalać?

– Już niedługo. Według źródeł wywiadowczych, Polacy są na skraju wycofania. Blokady jest niezwykle skuteczna.

- Naciski eurosceptyków również!
- Juergen, w tym wyścigu wygrywamy my. Mamy większe zasoby i przewagę polityczną i militarną.
- Obawiam się, że za bardzo stawiamy sprawę na ostrzu noża. Wynik tej rozgrywki wcale nie jest przesądzony, a staje się ona coraz bardziej burzliwa. Jeśli przegramy, to będzie to bardzo dotkliwa i obfita w skutki porażka – stwierdził Biergbaum.
- Jesteś pesymistą Juergen – orzekła Andrea Meier. – Na razie rozejrzyj się, co o tym wszystkim myślą pozostali nasi partnerzy z EAF. Ja postaram się porozmawiać z Vandenoortem i nieco uspokoić sytuację.

Biergbaum przystał na propozycję pani kanclerz. Meier nie chciała zrezygnować z poparcia dla Vandenoorta. Alternatywa było poleganie na przewodniczącym Komisji i zakładanie, że poradzi on obie z kryzysem. A jeśli nie? Biergbaum miał wrażenie, że Andrea Meier wciąż nie widzi groźnych konsekwencji blokady. Nie powiedział głośno tego, co stało się dla niego jasne po zakończonym klęską nalocie EAF. Żadna ze stron nie mogła honorowo się z tego wycofać. Następowwała eskalacja działań. Kolejne starcie zbrojne było już tylko kwestią czasu.

Eckenfoerde, baza 3 dywizjonu okrętów podwodnych Deutsche Marine

20 lipca, godz. 8:35

Gorączkowa krzątanina na pokładzie *U-23* osiągnęła apogeum. Dla niezorientowanego obserwatora wyglądała jak kompletny bałagan. Były to jednak pozory. Rytuał wyjścia w morze był starannie opracowany i uporządkowany. Nic nie działo się przypadkowo.

Niewielki okręt podwodny klasy *206A*, z charakterystycznym, szerokim dziobem, dziwacznym, jakby trypoziomowym kioskiem i zanurzoną rufą, stanowił jedyny podwodny atut EAF. Z wypornością podwodną wynoszącą 500 ton był jednym z najmniejszych okrętów podwodnych, jakie kiedykolwiek seryjnie budowano. Był przeznaczony do działania na akwenach zamkniętych – takich jak Bałtyk.

Korvettenkapitan Johann Freitag, dowódca okrętu, stojąc na pomoście, czytał po raz kolejny rozkaz operacyjny dowódcy sił EAF. Miał nadzieję, że udział w siłach EAF okrętu podwodnego stanie się formalnością i załoga trochę odpocznie i doprowadzi okręt do nieco lepszego stanu. A było nad czym pracować, bo choć przyjęty do służby w 1975 roku okręt był i tak jedną z najmłodszych po-

zostających w służbie tego typu jednostek, to jednak miał swoje lata. Poważne awarie jakoś go omijały, ale załozde dokuczaly mnożące się, drobne usterki.

Nadzieje okazały się płonne. Spokojne plany wzięły w łeb. Freitag dostał rozkaz natychmiastowego wyjścia w morze i patrolowania wejścia do Zatoki Gdańskiej, niemal na granicy polskich wód terytorialnych. Mimo że okręt był niewielki i cichy, a Bałtyk z jego warunkami akustycznymi stwarzał wręcz idealne warunki do ukrycia okrętu podwodnego, to rozkaz śledzenia i meldowania dowództwu EAF ruchów polskiej 3 Flotyli Okrętów wzbudził mieszane uczucia Freitaga. W Gdyni stacjonowały główne polskie siły zwalczania okrętów podwodnych w postaci dwóch fregat amerykańskiego typu *Oliver Hazard Perry* z ich śmigłowcami pokładowymi *Seasprite* i korwety przeciwpodwodnej *Kaszub*. W razie wykrycia *U-23*, mimo miażdżącej przewagi EAF w siłach nawodnych, na własnym podwórku siły te mogły nieźle go wymaglować.

U-23 miał zablokować polskie okręty podwodne w ich gdyńskim mateczniku. Zadanie było proste – jeżeli wyjdą, miał je „zatrzymać i meldować”. Oznaczało to zatopienie bez ostrzeżenia polskich okrętów, gdyby te wyruszyły przeciw blokadzie. Rozkaz Freitag przyjął bez zastrzeżeń natury taktycznej. Spośród okrętów EAF jego *U-23* miał największe szanse zadania ciosu polskim siłom podwodnym, a skryty atak z zaskoczenia miał największe szanse sukcesu. Pozostawały wątpliwości natury moralnej. Musiał jednak pogodzić się z tym, że w zaistniałej sytuacji będzie musiał, być może, zabić kilkudziesięciu polskich marynarzy, by chronić swoich ziomków i sojuszników, zgromadzonych pod flagą Unii.

Druga część rozkazu operacyjnego – meldowanie ruchów polskich sił nawodnych, a w następnej kolejności atakowanie -budziła już poważniejsze wątpliwości. EAF mógł poznać te ruchy zwiadem elektronicznym czy ze źródeł osobowych, a jego każde wystawienie anteny i nadanie sygnału u wrót polskich baz mogło oznaczać wykrycie. Gdyby *U-23* miał po prostu czaić się i siedzieć cicho, mógłby – przy odrobinie szczęścia – doczekać rozkazu wycofania i nawet nie zostawić Polakom świadomości, że był u wrót Zatoki Gdańskiej.

Teraz gdy tylko *U-23* zniknie z Eckenfoerde, Polacy zaczną zastanawiać się, gdzie się podział i nie będą musieli długo nad tym myśleć. Możliwości było niewiele. Dowódca *U-23* miał świadomość, że na płytkich wodach w pobliżu polskiego wybrzeża szanse przypadkowego akustycznego wykrycia go przez polskie siły nie będą wielkie. Transmisja radiowa zwiększała wielokrotnie ryzyko wykrycia i namierzenia. W takim wypadku Polacy szybko go znajdą. Dobrze wiedzą, że *U-23* stanowi największe zagrożenie na przedpolach bazy w Gdyni. Trudny do wykrycia, mógł zatopić obie największe polskie jednostki –

fregaty *Oliver Hazard Perry* - i umknąć. Dlatego, jeśli go wykryją, nie będą się zastanawiać ani zadawać pytań. Gdy tylko zorientują się w sytuacji, wyślą mu na spotkanie odpowiedni komitet powitalny z prostym rozkazem: strzelać, żeby zatopić. Na ich miejscu Freitag tak właśnie by zrobił.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej **godz. 9:10**

Pułkownik Emile Lessard, szef sekcji wywiadu EAF, starał się odpowiadać cierpliwie i spokojnie na pytania Vandenoorta. Siedzieli we dwóch w biurze komisarza. Przewodniczący Komisji Europejskiej na czas wizyty pułkownika odizolował się od świata, zakazując asystentce wpuszczania jakichkolwiek gości czy łączenia rozmów telefonicznych. Schneider poprosił pułkownika – niepozornego, niewysokiego, wąsatego czterdziestolatka, o przeprowadzenie dochodzenia w związku z możliwym przeciekami o planowanym ataku na polskie radary, stanowiska pocisków SAM i posterunki WRE.

- Twierdzi pan, że jest niemal pewne, że Polacy wiedzieli o planowanym ataku, i wiedzieli to od nas? – spytał Vandenoort, gdy pułkownik przedstawił pierwsze konkluzje ze swojego błyskawicznego śledztwa.
- Do takich wniosków doszedłem, analizując aktywność polskiego lotnictwa przez kilka dni poprzedzających atak. Była niewielka i niezmienna – jeden czy dwa patrole myśliwskie wzdłuż wybrzeża, morski patrol radarowy, jedna lub dwie maszyny WRE. Tymczasem w czwartek wieczorem czekało na nas na małej wysokości, poza zasięgiem radarów okrętowych, co najmniej sześć grup z patrolami myśliwskimi i samolotami WRE.
- Nie mogli nas w jakiś sposób wykryć?
- Nie. Przy tak niskim locie grup uderzeniowych ich radary naziemne mogły wykryć nasze samoloty z odległości 30-35 kilometrów, na minutę czy dwie przed atakiem. Mogli oczywiście stwierdzić przygotowania do ataku na podstawie dostarczanych im regularnie amerykańskich zdjęć satelitarnych Roskilde. My z kolei widzielibyśmy ich wzmożoną aktywność patrolową z satelitów – samoloty na płytach postojowych, startujące lub lądujące w większej niż dotychczas ilości. Nic takiego nie miało miejsca.
- Kto nas wydał?

Lessard spodziewał się tego pytania. Mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce.

- Praktycznie każdy. Nie mam pojęcia, kto mógłby to być. Nie mamy komórki kontrwywiadu, a ja zajmuję się analizą danych dostarczanych przez wywiady państw UE.

Vandenoort usiłował przetrwać tę wymijającą odpowiedź. Denters i Schneider przysłali mu faceta, który miał wytłumaczyć ich porażkę. Czy tak było rzeczywiście? Postanowił wyciągnąć z tego kurdupla, ile się da.

- Czy zachowane zostały wszystkie środki, by nalotu nie dało się wykryć radarem lub jakimś innym środkiem technicznym?
- Według mojej najlepszej wiedzy tak. A nawet gdyby został on wykryty, to takiego odparcia ataku nie dałoby się przygotować w takiej skali i tak precyzyjnie.
- Kto wiedział o ataku?
- Od środy na pewno dowódcy EAF i dowódcy eskadr. W czwartek dowiedzieli się piloci. Obsługa naziemna eskadr, personel lotniska musieli się domyślać wcześniej, kiedy przywieziono transport bomb i rakiet HARM. Załogi samolotów transportowych wiedziały jeszcze wcześniej. To około osiemset osób.
- Myśli pan, że któryś z wojskowych zdradził tajemnicę?

Lessard zastanowił się nad odpowiedzią. Kalanie własnego gniazda, zwłaszcza wobec polityków, nie było w wojsku najlepiej widziane.

- Nie można tego wykluczyć, panie komisarzu – zaczął ostrożnie. – Jesteśmy zobowiązani do zachowania tajemnicy. W tak liczonym gronie może się trafić jedna czy dwie osoby, które z pobudek emocjonalnych, osobistych czy materialnych mogą się sprzeniewierzyć przysiędze. Proszę nie zapominać o tym, że wielu z nich może po prostu nie zgadzać się z polityką europejską wobec Polski...

Po twarzy Vandenoorta przemknął groźny cień.

- Oczywiście to tylko luźna hipoteza...
- Czy możemy w tych warunkach powtórzyć atak? – spytał Vandenoort.
- Do czasu uszczelnienia i wykrycia, któredy poszedł przeciek, rekomendowałbym wstrzymanie się od działań ofensywnych...
- Generał Schneider twierdzi, że przeciek wyszedł z kręgów wysokich oficerów lub polityków Komisji Europejskiej. Co pan o tym sądzi.

Lessard w trakcie całej rozmowy unikał jak ognia sformułowania takiej hipotezy. Tak czy inaczej powracała ona za każdym razem, gdy próbował zgłębić tajemnicę porażki lotnictwa EAF. Polacy nie mogli dowiedzieć się o akcji na godzinę czy dwie przed nalotem. Pułkownik nie był lotnikiem, ale wiedział wystarczająco wiele, by stwierdzić, że plan odparcia ataku musiał powstać z wyprzedzeniem. W takim razie przeciek nie mógł wyjść od techników, personelu pomocniczego czy szeregowych pilotów. Musiał w nim uczestniczyć któryś z dowódców. Lessard był jednak zbyt cwany, by wprost poprzeć tezę

Schneidera wbrew Vandenoortowi. Po kiego grzyba miał wpieprzać się w spór Niemca z Holendrem? Mógł na tym tylko stracić.

– Jestem artylerzystą i operacje lotnicze znam tylko w zarysie – powiedział.
– Być może w tym, co mówi generał Schneider, jest pewna racja. Nie sądzę, by przeciek był celowy. Nikt nie jest samobójcą, bo przecież każdy z lotników mógł polecieć na tę misję. Ktoś mógł się przypadkowo wygadać. Tu do Kopenhagi jest niedaleko. To duże miasto, sporo uciech dla samotnych mężczyzn, zestresowanych po ciężkiej i niebezpiecznej służbie. Wie pan, to wyzwolony, postępowy kraj... któraś z tych dziewczyn mogła mieć polskie korzenie...

– Dziękuję panu, pułkowniku! – przerwał mu Vandenoort. Niczego szczególnego się nie dowiedział. Może poza tym, że Denters i Schneider zrobili wszystko, by opancerzyć sobie dupy. Nic nie mógł im zrobić. Winą za niepowodzenie nalotu mogli obarczyć brak kontrwywiadu w strukturach EAF, zażądać śledztwa w sprawie przecieku, a to mogło się ciągnąć miesiącami. Nie mógł ich wyrzucić, nie mógł zaatakować Polaków i zmieść tego sprzętu i instalacji, które przeszkadzały w blokadzie. Pole do działania znacznie się zawężyło.

Vandenoort miał szczerzy zamiar je odzyskać.

Gniezno godz. 12:20

Niebo nad Wielkopolską zasnuwane było ciężkimi chmurami. Burzowy front przyniósł gwałtowne ochłodzenie, zamieniając gorące, słoneczne lato w imitację późnej jesieni. Tylko zielone liście na zmokłych, targanych silnym, porywistym wiatrem, drzewach zdradzały prawdziwą porę roku.

Paskudna pogoda oznaczała dla Marciniaka pierwszą od miesiąca prawdziwą przepustkę – i to na cały dzień. Dowództwo postanowiło nie eksploatować samolotów i nie zużywać cennego paliwa na nękanie sił EAF. Na Bałtyku sztormowa pogoda z pewnością przyprawiała nawet najbardziej zaprawionych marynarzy Dentersa o morską chorobę. Samoloty EAF musiały patrolować – istniała przecież niewielka szansa złapania jakiegoś zdesperowanego przemytnika. „Dupa błada, niech sobie blokują”, powiedział Tkacz, zobaczywszy w piątek prognozę. I miał rację. Połowa Sześćdziesiątej Siódmej rozpierzchła się na przepustki. Dotyczyło to także Marciniaka i Czerwińskiego. *Szparka* Kaweckiego i Królaka została doprowadzona wreszcie do stanu używalności po poszatkowaniu przez oderwane łopatki turbiny, a obaj lotnicy – w odróżnieniu od Michała i Przemka – nie brali udziału w dwóch ostatnich akcjach, więc im

przypadł dyżur bojowy. Ograniczenia w pełnieniu służby nie dotyczyły eskadr myśliwskich – w nich niezależnie od pogody panowało pełne pogotowie bojowe.

Michał pojechał wreszcie do rodziców. Chciał dowiedzieć się, co słycać u brata. Od dnia rozpoczęcia blokady nie miał z nim żadnego kontaktu. Tkacz chciał go namówić na wyprawę do Poznania, do Dagmary, ale Marciniak tylko postukał się palcem w czoło. Zbyt dobrze pamiętał, co się wydarzyło ostatnio.

Sprawa bójki na Ratajach przycichła. Media przestały się nią interesować. Przełożeni Marciniaka o niej zapomnieli. Michał wiedział jednak, że takie śmierdzące sprawy wypływają na wierch w najmniej spodziewanym momencie.

Korzystając z zamieszania, Tkacz chciał odnowić znajomość z dziewczynami, od których wziął numery telefonów. Michała namawiał zaś do poderwania Dagmary. Marciniak nie miał jednak ochoty wykonać żadnego ruchu w tym kierunku.

Dagmara budziła w nim sprzeczne uczucia. Była nie tylko oszołamiająca fizycznie. Miała tę iskrę Bożą, która sprawia, że mężczyźni oglądają się nawet za skończoną brzydulą. Podobała mu się szalenie i jednocześnie go odstraszała. Jej światopogląd był odległy od światopoglądu Marciniaka o całe lata świetlne. Jej styl życia zbyt przypominał mu Agniechę. Miała lotny umysł, ale jeśli chodzi o przekonania, wydawała się niereformowalna.

Łamiąc własne, starannie wypracowane zasady, Michał podzielił się wątpliwościami z Tkaczykiem. I dostał odpowiedź, jakiej powinien się spodziewać.

– Poglądy i nogi idą w łóżku na bok – oświadczył Tkacz swoim donośnym głosem. – Powinieneś ją rznąć i nie zastanawiać się, czy czyta Marksa, czy Adam Smitha.

Dalej nastąpił wykład, na co Marciniak powinien w tych okolicznościach zwracać uwagę. Michał przerwał tyradę Tkacza, mówiąc, że wie to bez niego.

Marciniak zostawił samochód rodziców w przeddzień blokady w Gnieźnie. Teraz nie chciał ich namawiać na przyjazd z powodu gigantycznych cen benzyny dochodzących już do 12 złotych za litr. Ponieważ publiczna komunikacja autobusowa została mocno ograniczona z powodu problemów z zaopatrzeniem w paliwo, dowódca bazy oddelegował wojskowy autobus, by rozwieźć żołnierzy do pobliskich węzłów komunikacyjnych – takich jak Gniezno, Września czy Poznań. Marciniak trafił więc do domu bez przesiadki.

Zaskoczyły go pustki i cisza na ulicach. Samochody nie jeździły z braku benzyny. Ludzi przegoniły do domów zimno, deszcz i wiatr. Sklepy były pozamykane, bo nikt niczego nie kupował w niedzielę – nie dlatego, że rygorystycznie

przestrzegano trzeciego przykazania, ale ze względu na odstrasżające ceny i braki w zaopatrzeniu. Dopiero przy jednym z kościołów dojrzał grupę wiernych wysypującą się po mszy. Większość pospiesznym krokiem rozeszła się do domów. Zawarczał i odjechał spod świątyni tylko jeden samochód.

Matka i ojciec powitali go, jakby w domu nie było go cztery lata, a nie cztery tygodnie. Przez te trzy tygodnie wydarzyło się jednak tyle, że i Michałowi wydawało się, iż całe lata nie było go tutaj. Rodzice zdawali sobie sprawę z tego, że musiał brać udział w akcji bojowej, choć nie znali szczegółów. Wiedzieli, że Kazimierz z *Orlem* stacjonuje w Gdyni i od rozpoczęcia konfliktu nie wyszedł w morze. Michał był w tym czasie na lotnisku Babie Doły, ale nawet nie obejrzał z powietrza portu wojennego na Oksywiu. Nie miał wieści od brata.

Na opowiadaniu, co się przez ten czas wydarzyło, spędził całe przedpołudnie. Nie pominął niczego, poczynając od bójki na Ratajach, kończąc na opieprzu od Nowaczyka. Rodzice przysłuchiwali się uważnie, pytając czasem, ale nie komentując. Ojciec zabrał głos dopiero wtedy, gdy skończył.

- Wpakowałeś się w niezłą kabałę, nie ze swojej winy, to jasne – rzekł. – Mielicie z Adamem uciekać przed tymi gówniarzami? To nieważne. Jak coś się z tego wywiniesz. Chyba za intensywnie nie szukają, skoro do tej pory was nie znaleźli. Poza tym chyba nie są pewni co do tych typków. Jednego z nich szukają za napad na policjanta.
- Głupio zrobiłem, dając się namówić na ten wypad – stwierdził Michał. – W zasadzie wcale mnie tam nie ciągnęło. Na razie gliny mają co innego do roboty. Jednak prędzej czy później odkryją mój udział w tej bijatyce, a wtedy będzie niewesoło. Moja kariera w wojsku będzie skończona.
- To chyba jeden z mniejszych problemów, dlatego nie zwracaj sobie nim głowy teraz – powiedział Marciniak senior. – Martwi mnie ta blokada. Pomijając galopujące ceny i wszystkie niedogodności, naruszono kupę naszych praw – i co? Nikt nie pisał słowa w naszej obronie, że to bezprawie, że to ingerowanie w nasze wewnętrzne sprawy. Jedyne Waszyngton zdobył się na protest, ale tylko dyplomatyczny. Mają nas gdzieś, odkąd rozluźniliśmy więzy z USA i grzecznie wykonujemy polecenia Unii. Obawiam się, że będziemy musieli wywalczyć sobie swoje prawa sami. A to wiadomo, co oznacza.
- Naprawdę myślisz, że nie można tego rozwiązać politycznymi metodami? – spytał Michał.
- Pomyśl. Obie strony zasmakowały już krwi. Żadna nie może w honorowy sposób się wycofać. Państwa europejskie popierają politykę Vandenoorta, bo stanowi ona przedłużenie polityki krajowej: dążenia do integracji

za wszelką cenę, politycznej poprawności. Jeśli odwołają Vandenoorta, to zakwestionują własną politykę wewnętrzną. Jeśli ją zakwestionują, nie będą mogli do niej łatwo wrócić, a nawet skompromitują się w oczach wyborców na tyle, że mogą przegrać wybory. Eurosceptycy już ostro ich atakują.

- Innymi słowy, los Europy w naszych rękach -ni to stwierdził, ni to spytał Michał.
- Może to za dużo powiedziane, ale kierunek rozwoju sytuacji na pewno.
- Kto by pomyślał, że w XXI wieku coś takiego się wydarzy – wtrąciła matka.
- A kto by pomyślał, że pod koniec XX wieku w Europie dojdzie do ludobójstwa? – spytał ojciec. – Trzeba mieć odrobinę wyobraźni. Cały pomysł zjednoczonej Europy z silną centralą w Brukseli jest kompletnie poroniony. Kto przy zdrowych zmysłach chce dobrowolnie oddać władzę odległym o tysiąc kilometrów biurokratom, na wybór i odwołanie których praktycznie nie ma wpływu? Kto oddaje we władanie tychże takie kluczowe dziedziny jak polityka zagraniczna i obronna? Opuściliśmy sobie sojusz ze Stanami w imię unijnej wspólnej polityki zagranicznej i obronnej. Dzięki temu Vandenoort ma dzisiaj siły zbrojne, którymi może nas blokować, a Stanom nie zależy na nas w wystarczającym stopniu. Z ich punktu widzenia jesteśmy częścią „wspólnej polityki” i o naszych sprawach rozmawiają z Brukselą, nie z nami. Jeszcze trochę, a w ogóle umyją ręce, uznając całą awanturę Vandenoorta za wewnętrzną sprawę Unii.

Marciniak nie mógł nie przyznać ojcu racji. W trakcie referendum unijnego zagłosował za przystąpieniem do Unii, choć ojciec stanowczo to odradzał. Teraz żałował, że nie zastanowił się gruntowniej przed oddaniem głosu.

- Gdyby Unia miała być organizacją silnie współdziałających demokratycznych państw narodowych, do czegoś takiego nigdy by nie doszło – ciągnął ojciec. – Nowoczesne demokracje zachodnie nigdy nie wystąpiły zbrojnie przeciwko sobie. We współczesnych wojnach po jednej stronie zawsze jest dyktatura – czy to wojskowa, czy religijna, czy komunistyczna. Rządy Brukseli nie są demokratyczne. To demokracja mniej więcej, taka jak piąta woda po kisielu. Tyle warstw pośrednich, że nasz wpływ na ich decyzje jest żaden. Wystarczy, że władzę obejmie sprytny manipulator czy szaleniec – i nieszczęście gotowe...
 - Co zrobisz ze sprawą tej bójkii? – przerwała tyradę Marciniaka seniora matka.
- Michał wzruszył ramionami.

- Mogę już tylko liczyć na cud, że odpuszczą albo umorzą śledztwo. Albo zginą w jego zawiłościach. Stało się. Muszę doczekać końca blokady, a potem zastanowię się, co dalej. Wcale nie jestem pewien, co powinno być dalej.
- Chcesz odejść do cywila?
- Muszę jeszcze odsłużyć swoje. Gdyby nie bliskie spotkanie nad Darłowem i ta bijatyka, mógłbym jakoś wkręcić się na *F-16* i robić karierę, albo dostać spokojny przydział, skończyć jakieś cywilne studia. Nie ma co, ładnie się wpakowałem...

Marciniak przerwał i się zamyślił. Miałby dużo szczęścia, gdyby sprawa bijatyki nie wyszła na jaw. Nawet gdyby zakończył za kilka lat karierę wojskową, otrzymałby emeryturę i prawdopodobnie perspektywy na jakieś sensowne i dochodowe zajęcie. Bijatyka wszystko zmieniała. Gdyby teraz wywalili go z armii, szanse na znalezienie pracy miałyby niewielkie. Wolał o tym nawet nie myśleć. Przeniesienie do Sześćdziesiątej siódmej odczuł jak niezасłużoną degradację. Wyrzucenie z armii byłoby znacznie bardziej bolesne.

Matka jakby czytała w jego myślach:

- Na razie nic ci nie grozi. Nawet gdyby groziło, możesz się bronić. W razie najgorszego masz jeszcze rodzinę. Pomożemy ci. Najważniejsze, żebyś cały i zdrowy wyszedł z tego konfliktu. Karierę można robić na różne sposoby, pieniądze można stracić i zarobić. Życia, zdrowia i straconego czasu odzyskać się nie da.
- Jasne, mamo – odpowiedział Michał. Jakoś przetrwa ten kryzys i z większymi lub mniejszymi stratami go zamknie. Dobrze, że chociaż ma rodziców i rodzeństwo. Ci zawsze będą stali za nim – niezależnie od tego, co się wydarzy.

Londyn, przedmieście Dagenham

22 lipca, godz.22:30

Zimny wiatr i deszcz zacinały w mrokach nocy, gdy Agnieszka, Marta i Adam podchodzili do terminala Forda na przedmieściu Dagenham w ujściu Tamizy. W porównaniu z centrum Londynu było tu ciemno. Szerokie ujście rzeki było niemal czarne, jeśli nie liczyć świateł kilku jednostek przepływających po rzece. Widok na przeciwległy brzeg przysłaniały burty kontenerowców, potęgując wrażenie osamotnienia.

Do Dagenham dojechali koleją – na taksówkę nie było już ich stać. Czterokilometrowy odcinek od stacji Dagenham East do służącego załadunkowi samo-

chodów terminalu pokonali piechotą. W nieznanym terenie marsz zdawał się trwać wiecznie. Mimo mapy dzielnicy i stosunkowo prostej trasy kilkakrotnie omal nie zblądzili w ciemnościach. Dotarli wreszcie do łukowatego, wychodzącego w morze pirsu Forda, przystosowanego do załadunku samochodów – z szeroką jezdnią. Tymczasowo przycumował tu grecki prom *Xenia*, na który mieli zamustrować. Zobaczyli go z bliska po raz pierwszy, choć z daleka domyślili się miejsca postoju. Zbiegowisko ludzi nie uszłoby niczyjej uwagi, mimo panujących ciemności.

Xenia stała zacumowana rufą do ujścia Tamizy. Była promem pasażersko-samochodowym, z dość wysoką wolną burtą, ale o niskiej i smukłej – jak na jednostkę *Ro-Ro* – sylwetce. Ślady rdzy na burtach, widoczne nawet w szczątkowym świetle, zdradzały, że jednostka nie była od dawna remontowana. To miał być jej drugi rejs na wschodni Bałtyk. Kapitan i załoga ubili już świetny interes na pierwszym kursie. Jednostka kierowała się do Kłajpedy. Będąc poza zasięgiem okrętowych radarów EAF i z dala od czujnych, podczerwonych oczu z rzadka latających *Orionów* bez przeszkód zawinęła do Gdyni.

Na widok statku oraz tłoczących się do niego ludzi Agnieszkę przeszedł dreszcz. Wiele razy słyszała o promach zatopionych w wyniku przeciążenia ludźmi i ładunkiem – głównie w południowo-wschodniej Azji. Prom, ludzie, sztormowa pogoda marne oświetlenie i sceneria przemysłowego terminala z pokątnym załadunkiem nie nastrojały dobrze. Całe przedsięwzięcie jawiło się ryzykownie.

- Naprawdę nie wiem, czy powinniśmy wsiadać – powiedziała półgłosem do Marty i Adama.
- Wydaliśmy na bilet nasz ostatni szmal – stwierdził Leszczyński. – Nie możemy teraz się wycofać.
- Możemy – rzekła. – Chętnych jest sporo. Na pewno nie wszyscy mają bilety. Możemy sprzedać je z niezłym przebicciem.
- Zwariowałaś?! – oburzył się Leszczyński. – Stawałem na głowie, żebyśmy się tu dostali! Jeżeli nie wydostaniemy się teraz, to wylądujemy pod mostem. Nie mam zamiaru być żebrakiem.
- Lepiej pod mostem niż na dnie Morza Północnego!
- Nie przesadzaj! Sztorm jutro się skończy. Kilkadziesiąt godzin i będziemy w Polsce, z dala od tej gehenny. Nie wiadomo, jak długo potrwa ten kryzys.

Mimo argumentacji Leszczyńskiego, Agnieszkę ogarniały złe przeczucia.

- To już nie kryzys. To wojna. Słyszałeś, co działo się wczoraj. Tam jest strzelanina. Do wczoraj to było rozsądne... dziś... sama nie wiem...

- Przestań się mazać. Mamy XXI wiek. Jesteśmy w Unii Europejskiej. Naszym chyba trochę odbiło, ale sytuacja jest pod kontrolą. Wsiadamy.

Agnieszka miała ochotę powiedzieć, że gdyby sytuacja była pod kontrolą, to nie musieliby wsiadać na ten prom, ale zmilczała. Była kompletnie skołowana pogodą, napięciem, oczekiwaniem i tym, co się wyrabiało wkoło. Nie miała ochoty zostać sama na Wyspach. Oddzielić się od grupy było naprawdę ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała.

Pewnie Adam ma rację, myślała. Panikuję. Jestem zmęczona. Za kilkadziesiąt godzin będziemy w kraju. Na dłuższy czas mam dosyć wyjazdów. Spać mi się chce. Może czas wziąć urlop i porządnie się wypaść po tym dramacie? Może Michał miał rację?... czas zwolnić i zająć się innymi sprawami.

Przepchnęli się do kolejki oczekujących. Co chwila jakiś nieszczęśnik podchodził i pytał o możliwość zaokrętowania lub próbował odkupić bilet. Tu i ówdzie ludzie kłócili się i przepychali. Wybuchła nawet większa szamotanina, którą jednak natychmiast spacyfikowały osoby postronne. Nikt nie chciał, żeby tym zbiegowiskiem zainteresowała się policja, bo mogłoby to zakończyć całą eskapadę. Po pierwszej wyprawie nikt nie zadał sobie trudu sprawdzenia, dlaczego tylu Polaków zechciało nagle płynąć do Kłajpedy. W przypadku awantury mogło się to łatwo zmienić.

Prom miał odcumować w środku nocy – nie wcześniej niż o dwunastej. Nikt nie chciał opóźnień. Było jednak jasne, że bez poślizgu się nie obejdzie. Dobrze, że nie czekali do ostatniej chwili – jeżeli o tej porze było niespokojnie, to przed odejściem promu wciąż mogą dziać się dantejskie sceny. Rufowa furta promu była zamknięta – nie było załadunku samochodów.

Znaczna liczba członków załogi promu została skierowana do utrzymania porządku przy wejściu na trapy. Ludzie tłoczyli się w obawie, że biletów sprzedano więcej niż miejsc. Obowiązywać mogła zasada, iż kto pierwszy ten lepszy. W ścisku udało im się przejść razem kilka kontroli biletów, choć tłum kilkakrotnie o mały włos ich nie rozdzielił. Jakim cudem nikt nie wpadł do wody przy wejściu na trap – tego nie wiedział nikt. Dokuczliwy deszcz i wiatr stały się bez znaczenia. Walka o wejście na prom była niemal jak walka o przeżycie.

Weszli wreszcie na rozchybotany trap – jedną z ostatnich przeszkód na drodze do kraju. Oficjalnie mieli bilety na rejs do Kłajpedy na Litwie. Wiadomo było jednak, że prom powtórzy manewr z pierwszego rejsu. Z należącej do Unii Litwy pasażerowie musieliby dostać się do Polski tranzytem przez Rosję. To wcale nie byłoby łatwe. Dlatego kapitan *Xeni* ryzykował – zdawał sobie sprawę, że więcej pieniędzy zdobędzie, idąc wprost do Polski.

Kiedy znaleźli się już na promie, pozostawało tylko znaleźć sobie miejsce i czekać. Nie mieli miejsca kabinowego – rozlokowali się na jednym z górnych pokładów – otwartym, ale nie najwyższym. Wiało tu potwornie, wiatr wnosił do środka krople deszczu – ale i tak nie było najgorzej. Najpaskudniej mieli ci, których ulokowano w ładowni samochodowej. Nie przewidziano przewozu samochodów, zresztą tym, którzy zaryzykowali rejs, nie w głowie było przewożenie czterech kółek.

Ilu ludzi mogło znaleźć się na pokładzie? Dwa tysiące? Trzy? Nie wiedzieli. Nie liczyli. Było dobrze po pierwszej, gdy – ku rozczarowaniu setek ludzi oczekujących na pirsie- załoga podniosła trapy. Oczekiwanie się skończyło. Czekają ich osiemdziesiąt godzin rejsu przez Morze Północne, cieśniny duńskie i Bałtyk. Być może za trzy dni znajdą się w kraju.

Rozdział VIII

Artykuł 17: Klauzula elastyczności

- 1. Jeżeli działanie Unii okaże się niezbędne do osiągnięcia, w ramach polityk określonych w części III, jednego z celów Konstytucji, a Konstytucja nie przewidziała kompetencji do działania wymaganej w tym celu, Rada Ministrów, stanowiąc jednomyślnie na wniosek Komisji i po uzyskaniu zgody Parlamentu Europejskiego, podejmuje właściwe działania.**

(projekt Traktatu ustanawiającego Unię Europejską)

Waszyngton podejmie się mediacji New York Times, 25 lipca 2008r.

Sekretarz Stanu USA, Mark Thomason uda się w tym tygodniu do Brukseli i Warszawy jako mediator w konflikcie europejskim. Departament Stanu ocenia, że sytuacja w Europie przybiera niebezpieczny obrót. Rozłam lub dyktatura w Unii Europejskiej byłyby groźniejsze dla bezpieczeństwa światowego, co kryzys w Zatoce Perskiej. O skali problemu świadczy fakt, iż w zeszłym tygodniu po raz pierwszy od ponad 60 lat doszło do otwartej walki pomiędzy siłami zbrojnymi państw europejskich. „Kryzys przybrał niebezpieczny i nieoczekiwany obrót. Mimo problemów w Iraku i Afganistanie musimy poświęcić więcej uwagi Europie”, ocenił Thomason podczas konferencji prasowej.

Nie wiadomo, jakie polityczne rozwiązanie zawiezie do Europy sekretarz stanu. Wiadomo jedynie, że wykluczył on kategorycznie jakiegokolwiek zaangażo-

wanie militarne, mimo, iż siły USA nadal stacjonują w Europie, a na wodach północnego Atlantyku i Morza Śródziemnego przebywają trzy grupy uderzeniowe US Navy z lotniskowcami.

Eurosceptycy triumfują **Frankfurter Allgemeine Zeitung, 25 lipca 2008r.**

Pod hasłem „Dość integracji na siłę” odbyła się w Berlinie potężna demonstracja eurosceptyków. Demonstranci protestowali przeciw blokadzie Polski i integrowaniu Europy przy użyciu nacisków politycznych i militarnych. Krytykowali również rząd w Berlinie za udzielenie wsparcia działaniom Komisji Europejskiej. – Nie powinniśmy uczestniczyć w tej haniebnej agresji, jaka skończyła się naruszeniem suwerenności terytorialnej Polski – powiedział Rolf Mielke, jeden z organizatorów demonstracji. Według organizatorów w proteście wzięło udział około stu sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Policja oszacowała wielkość demonstracji na czterdzieści tysięcy osób.

Nastroje w niemieckim społeczeństwie oddaje przeprowadzony na zlecenie FAZ sondaż: tylko 19 procent Niemców popiera blokadę, 55 procent jest przeciw, pozostali nie mają zdania. Spadło poparcie dla eurotraktatu – obecnie popiera go zaledwie co trzeci ankietowany, połowa jest przeciw.

Fala protestów przeciw polityce Unii Europejskiej zalewa też Wielką Brytanię. Rozpoczęła ją dziesięć dni temu wielka demonstracja w Londynie. Wczoraj wielkie demonstracje odbyły się w Manchesterze, Birmingham, Coventry i Glasgow. Eurosceptycy zapowiadają na weekend kolejne protesty w Liverpoolu, Southampton, Bristolu i Edynburgu.

Rząd słaby jak nigdy **komentarz redakcyjny, Rzeczpospolita, 25 czerwca 2008r.**

Znakomita większość Polaków – bo aż 72 procent – uważa, że blokadę nałożono niestusznie. Nie przekłada się to na poparcie dla rządu. Aż 64 proc. badanych uważa, że nie robi on wszystkiego, by rozwiązać kryzys. Działania rządu ocenia pozytywnie co dziewięć badany.

Konflikt z Komisją Europejską może przerodzić się w poważny kryzys rządu. Partia Ludowa rozważa porzucenie koalicji rządzącej i przejście do opozycji. Umożliwiłoby to albo przejęcie władzy przez lewicę, albo rozpisanie nowych wyborów. Każdy z tych scenariuszy miałby fatalne skutki. Byłby to pierwszy w niepodległej Polsce przypadek, w którym zewnętrzna presja doprowadziłaby do zmiany rządu. Jednocześnie zaprzepaściłoby to szanse Polski o lepsze warunki eurotraktatu. Każdy ze scenariuszy z upadkiem rządu oznacza zatem

istotne osłabienie pozycji Polski w Unii Europejskiej ze wszystkimi długoterminowymi konsekwencjami.

**Pałac prezydencki, Warszawa,
25 lipca, godz. 18:30**

Kolejne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego wlokło się już trzecią godzinę. Zdanecki miał wrażenie *deja vu*. Padały te same zaklęcia, co jeszcze dwa tygodnie temu. Jego kiepskie mniemanie o politykach potwierdzało się z każdą minutą.

Starcie sprzed kilku dni niczego ich nie nauczyło. Nadal próbowali dogadać się „z naszymi europejskimi partnerami”, jakim to eufemizmem określali przeciwników w mediach. Nic się nie zmieniło. I podobnie jak przedtem, zachodni politycy wyrażali te same żądania, co przedtem. Macie ratyfikować traktat i siedzieć cicho.

– Jakie efekty przyniosły rozmowy z rządem niemieckim? – zapytał Chłopicki.

– Kanclerz Meier wyraziła zainteresowanie rozwiązaniem konfliktu i zapewniła, że dołoży wszelakich starań, by było to rozwiązanie pokojowe... – odpowiedział Kruza, minister spraw zagranicznych.

– Z dyplomatycznego na polski: zróbcie, co każemy, inaczej wam przyłożymy, i to ostro – nawet Radwański był wkurzony postawą Niemców. Jeszcze trzy dni temu pokładał spore nadzieje w ułożeniu się za plecami Vandenoorta z najsilniejszym państwem Unii. Daremnie.

– Dlaczego Niemcom tak zależy na poparciu Vandenoorta? – zapytał Zdanecki. Wtrącał się w rozmowy polityków, kiedy tylko miał na to ochotę i czuł taką potrzebę. Zirytowane spojrzenia cywilnych urzędników nie przeszkadzały mu, podobnie jak ostrzegawcze miny Łańskiego. Odkąd ledwie uszedł z życiem z kraksy *Iskry*, nie bał się ludzi.

– Vandenoort realizuje interesy Niemców, pozornie się od nich odcinając – odpowiedział Radwański. – Ma możliwość robienia takich rzeczy, które niemieckiemu rządowi zablokowałyby ich obywatele. Kanclerz Meier wydawało się, że skoro Niemcy są najsilniejsi w Unii, to Vandenoort będzie chodził na ich pasku, ale splotał im figła. Odkąd dysponuje własnymi siłami zbrojnymi, uniezależnił się od państw członkowskich. Co mogą mu zrobić? Niemcy nie wycofają swoich sił lotniczych i morskich z EAF, bo sami podłożyliby minę pod proces integracji i zanegowali to, do czego zachęcają resztę państw. Nie wycofają poparcia dla Vandenoorta, bo w ich miejsce weszliby natychmiast

Francuzi. Vandenoort wie to doskonale. Jest niezależny i może rozgrywać niemiecko-francuskie konflikty interesów i antagonizmy, tak by żadne z państw mu nie zaszkodziło.

Zdanecki skinął głową. Ocena Radwańskiego pokrywała się z jego własną. Tu było coś do ugrania, tyle że na rozwiązanie, które chciał zaproponować, nikt na razie się nie zgodził.

– Krótko mówiąc, skoro Niemcy nie mogą wpływać na Vandenoorta, nasza ofensywa dyplomatyczna wobec nich jest bez sensu? – zapytał.

– Niekoniecznie – odrzekł Radwański. – Zawsze mogą zajść takie okoliczności, które skłonią Niemców do cofnięcia poparcia dla Vandenoorta. Lepiej, żebyśmy mieli wtedy mocniejszy grunt pod nogami.

– Jakie to mogą być okoliczności?

Radwański zastanawiał się chwilę. Nerwowo zdjął i przetarł okulary.

– Tego na razie nie wiem – przyznał.

– Jakie mamy perspektywy przetrwania blokady? – zapytał Chłopicki, chcąc przerwać dialog premiera i generała.

Radwański sięgnął po skoroszyt z raportem gospodarczym. Zaczął referować tylko najważniejsze punkty. Raport liczył kilkaset stron, a narada trwała już i tak zbyt długo. Mimo tego, co każdy z nich widział na własne oczy, wnioski z raportu były zatrważające.

Blokada, choć nieszczelna, okazała się skuteczna, co można było zobaczyć na wykresie wzrostu cen. Wykres szokował. Ceny paliw poszybowały w górę pięciokrotnie, ceny żywności czterokrotnie. Odcięta od importu i strumienia płynących z Unii i od emigrantów pieniędzy gospodarka dusiła się i usiłowała ratować, ale z bolesnym skutkiem. Nie wzrosły jeszcze inne, ważne opłaty, ale było to tylko kwestią czasu. Eksport i import nie istniały, ograniczony do minimum został przywóz surowców energetycznych. Żywności nie wystarczało, choć rząd zawiesił unijne limity w jej produkcji i zachęcał do zwiększenia podaży. Realne jej zwiększenie mogło nastąpić dopiero w przyszłym roku. Do tego czasu ceny żywności będą rosły. Wzrosło bezrobocie, niepokoje społeczne były na porządku dziennym.

Zdanecki zastanawiał się, po co wezwano tu wojskowych, skoro premier i ministrowie przez pierwszą godzinę dyskutowali rozwiązania polityczne, mało – jego zdaniem – realistyczne. Mimo kilku dotkliwych prestiżowych porażek Vandenoort trzymał w ręku wszystkie atuty. Choć w Unii narastały nastroje eurosceptyczne i pojawiały się demonstracje na wielką skalę – największe antyunijne protesty od lat – to jednak nie były one w stanie zagrozić rządowi ani

tym bardziej Komisji Europejskiej. Wojnę na przeczekanie musiała wygrać Komisja Europejska.

Po zreferowaniu przez Radwańskiego raportu, dyskusja wróciła do punktu wyjścia, czyli nieskutecznych prób politycznego rozwiązania kryzysu. Była równie jałowa, jak i przedtem. Jeszcze sześć dni wcześniej wydawało się, że możliwe jest polityczne rozwiązanie, że obie strony w szoku po bitwie nad polskim wybrzeżem nieco się opamiętają. Nadzieje te rozwiały się razem z dymem po bitwie. W Radzie Bezpieczeństwa ONZ upadła, na skutek weta Francji i Rosji, amerykańska rezolucja wzywająca Komisję Europejską do wycofania blokady. Misja ostatniej szansy Thomasona była w trakcie, szanse na jej pozytywne zakończenie były jednak znikome. Ostatnich kilka dni uświadomiło boleśnie polskim najwyższym władzom, że kompromis z Vandenoortem tak – ale wyłącznie na jego warunkach.

Prezydent miał też dosyć dreptania w miejscu i powtarzania, że jest beznadziejnie.

– Wydaje mi się, że na dziś opcje polityczne omówiliśmy wystarczająco szczegółowo – powiedział, jak zwykle cedząc słowa. – Panowie – zwrócił się do generałów – pytam was niechętnie, ale muszę to zrobić. Jakie mamy możliwości wojskowe wyjścia z tego impasu?

Łański odpowiedział w imieniu wojskowych.

– Niestety, nie lepsze, niż przed bitwą nad wybrzeżem – stwierdził. – Lepsze okoliczności pojawiły się po bitwie, kiedy siły EAF zostały zdekompletowane w wyniku zestrzeleń i uszkodzeń. Z informacji, jakie uzyskał nasz wywiad, wynika, że większość maszyn EAF uszkodzonych w bitwie odzyskała sprawność bojową. Ubytki w sprzęcie zostały uzupełnione. Najgroźniejsze z utraconych maszyn – belgijskie *F-16* – uzyskały uzupełnienie w postaci klucza identycznych myśliwców holenderskich. Mają ich o jeden więcej niż na początku blokady. Przeciwnik jest czujny i przygotowany na atak. W obecnej chwili blokady nie pokonamy. Musielibyśmy zniszczyć okręty przeciwnika. Mamy na to zdecydowanie za mało sił. Ich stosunek w samolotach taktycznych wynosi jeden do jednego. Jednak przeciwnik posiada znacznie nowocześniejsze maszyny – w tym zmodyfikowane *F-16 MLU*, które, mimo, że starsze od naszych, stanowią odpowiednik *F-16 Block 40* lub *50*. Mają możliwości bojowe zbliżone w walce powietrznej do naszych *Block 52+*, które jednak nie osiągnęły jeszcze gotowości bojowej. Maszyny te stale patrolują nad okrętami EAF. Wobec ich patroli i siły ognia okrętów, wysyłanie przeciw nim frontalnym uderzeniem *MiG-ów 29* i *Su-22* byłoby posyłaniem pilotów na pewną śmierć. Gdybyśmy nasze *F-16* były gotowe do walki, mielibyśmy szanse coś

zatopić. W obecnej sytuacji nie widzę takiej możliwości. Kosztem sporych strat moglibyśmy zaatakować z powietrza ich wysunięte najdalej na wschód, naj-słabsze okręty, pod warunkiem przebicia się przez patrolowe myśliwskie...

– To dobrze, bo rozwiązanie siłowe jest najgorszym z możliwych – wtrącił Rudnicki.

– Ale byłoby najskuteczniejsze! – wtrącił Zdanecki.

– Niby czemu?! – zaperzył się Rudnicki.

– Bo zniszczyłoby blokadę i odebrało Vandenoortowi instrument, który uniezależnia go od państw członkowskich.

– I wywołało ostrą reakcję tych ostatnich! – wtrącił ostro Kruza. – Naprawdę uważa Pan, że Niemcy czy Francuzi będą przyglądać się obojętnie, jak bombardujemy ich okręty i zabijamy ich żołnierzy?

Zdanecki spojrzał mu w oczy.

– To już wasz problem, panowie, żeby zneutralizować ich reakcję. Ja jestem od tego, żeby skutecznie im przyłożyć – dokończył, mimo ostrzegawczych znaków ze strony Łańskiego.

– Obawiam się, że musielibyśmy zdrowo ich poróżnić, żeby sparaliżować ewentualną reakcję. – wtrącił Radwański. – Mamy jeszcze jakieś opcje wojskowe? Co na to marynarka?

Marynarka ma niewiele do powiedzenia, pomyślał Zdanecki. Ten rodzaj sił zbrojnych był niedoinwestowany jak żaden.

– Nie mamy możliwości zaszkodzenia siłom blokady przy użyciu okrętów nawodnych – odpowiedział Gromnicki. – Teoretycznie moglibyśmy wprowadzić mniejsze okręty raketowe pomiędzy liczne kutry i trawlerzy rybackie, które wyroiły się na naszych wodach terytorialnych. Stamtąd mogłyby odpalić rakiety do okrętów EAF. Taki plan ma jednak znikome szanse powodzenia. Nasze jednostki szybko zostałyby wykryte przez lotnictwo EAF, zanim zdążyłyby cokolwiek zdziałać. Okręty EAF wielokrotnie przewyższają nasze pod względem siły ognia woda-woda i same mają silną obronę przeciwrakietową. Mamy za mało rakiet, by przedarły się one przez zmasowaną obronę przeciwrakietową i myśliwce przeciwnika. Ewentualny rewanż EAF doprowadziłby z pewnością do zagłady naszych okrętów. To byłby mecz do jednej bramki. Jedyna możliwość to atak spod wody. Tu są pewne szanse, ale nie przy tak rozciągniętej linii patrolowej... poza tym są jeszcze inne ograniczenia – Gromnicki nawet nie chciał wdawać się w szczegółowe wyjaśnienia.

– Jakże? – zainteresował się premier.

- Teoretycznie możemy wystawić do walki cztery z pięciu okrętów. Tyle mamy sprawnych – odpowiedział Gromnicki. – Jednak obawiałbym się wysłać Kobbeny.
- Dlaczego? – zapytał Chłopicki.
- EAF posiada jeden okręt niemieckiej klasy 206. Według naszych informacji wyszedł on właśnie w morze. Miejsce zajmowane przez niego w bazie Eckernfoerde jest puste. Nasze Kobbeny to właściwie modyfikacja okrętów klasy 206. Ich charakterystyki akustyczne są dość zbliżone do 206...
- Co z tego?! – zniecierpliwiał się Dobrowolski – Mamy przecież ich więcej ...
- Właśnie w tym problem – przerwał mu Gromnicki. – Okręty podwodne rozpoznają przeciwnika po sygnaturze dźwiękowej. Nasi dowódcy wykrywszy okręt podwodny klasy *Kobben* lub *206* będą musieli starannie potwierdzić jego tożsamość. W kiepskich warunkach akustycznych Bałtyku, w stresie spowodowanym walką, nie będzie to łatwe. Niemiecki dowódca nie będzie miał tego problemu – wszystkie wykryte okręty podwodne będą okrętami przeciwnika. Ma swobodę działania, podczas gdy nasi dowódcy będą mieli związane ręce. Niemiec z łatwością strzeli pierwszy. Chyba nie muszę dalej tłumaczyć, czym to grozi...

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

- Możemy użyć okrętów klasy *Kobben* do patroli w szeroko rozstawionych sektorach, posłać je pod porty niemieckie czy duńskie, ale nie do skoncentrowanego ataku na siły EAF, przynajmniej, dopóki nie unieszkodlimy tego *206*. Szkoda, bo moglibyśmy zadać im poważne straty.

- Czyli nie mamy ich czym zaatakować – ni to stwierdził, ni spytał prezydent.

- Jest jeszcze piąty okręt, *Orzeł* – odpowiedział Łański.

- Racja – zmitygował się Chłopicki.

- To możliwości mamy nadal niewielkie. Jeden okręt podwodny przeciw kilkunastu nawodnym, samolotom i śmigłowcom? – spytał Radwański.

- To i tak lepsze niż żadne – zauważył Zdanecki.

- Tak to wygląda – przyznał Łański.

- Czyli opcja militarna odpada? – zapytał premier.

- Niekoniecznie – wyrwało się Zdaneckiemu.

Łański spojrzał na niego groźnie.

- Co ma pan na myśli? – spytał Chłopicki, również świdrując wzrokiem generała.

Zdanecki ważył starannie słowa, nim zaczął odpowiadać.

– To zadanie jawi mi się jako niezwykle trudne, ale nie niemożliwe – odrzekł. – Mimo przewagi EAF pokonaliśmy ich już raz w powietrzu. Mieliliśmy przewagę informacyjną i w walce radioelektronicznej, która zniwelowała różnice w uzbrojeniu. Wiedzieliśmy gdzie, kiedy i jak zaatakują. Oni nie wiedzieli, że my wiemy. Wierzyli, że osiągną zaskoczenie, tymczasem to my ich zaskoczyliśmy. Dzięki starannemu planowaniu i lepszej taktyce osiągnęliśmy sukces, choć wydawał się mało prawdopodobny. Oczywiście dowódcy EAF drugi raz nie dadzą się nabrać, nawet nad własnym terytorium mielibyśmy poważne problemy, żeby wyjść zwycięsko z podobnego. EAF na pozór nie ma słabych punktów, przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Przygotuję kilka planów na wypadek, gdyby rząd zdecydował o rozwiązaniu siłowym. Nie mogę panom obiecać cudu. To nie kampania wyborcza. Już dziś mogę powiedzieć, że będą to operacje bardzo ryzykowne. Gdybym dziś podjął operację zaczepną, to wysłałbym tam *Orla* z pełnym zapasem torped i rozkazem rozniesienia w drobny złom okrętów EAF. To chyba najsensowniejszy plan.

– Naprawdę nie masz pomysłu, jak ich ugryźć? – spytał Łański.

Zdaneckiemu pewien pomysł chodził od kilku chwil po głowie. Wiedział jednak aż za dobrze, że nie należy zbyt wcześnie wyklądać kart na stół. Jeśli powie teraz, przyspieszy decyzję o użyciu sił zbrojnych. A to mogło oznaczać zagładę jego ukochanego lotnictwa. Do tego rząd był pod presją zewnętrzną i wewnętrzną. Łatwo mógł zdecydować się na desperacki krok i nawet wygrać go militarnie, ale przegrać politycznie. Generał wiedział, że po tamtej stronie też są gorące głowy. Intuicja podpowiadała mu, że prędzej czy później popełnią jakiś polityczny błąd, który będzie można wykorzystać i wygrać ten konflikt. Rzucanie się teraz do walki nie miało sensu.

– Pracuję nad tym. Gdy będzie taka potrzeba – będzie i plan – odrzekł.

Łański uśmiechnął się. Zbyt długo znał Zdaneckiego, by mu uwierzyć na słowo. Na pewno ma coś w zanadru, pomyślał.

– Nie przekomarzajcie się, panowie – powiedział Chłopicki. Zwrócił się do Gromnickiego: – Proszę przygotować szczegóły operacji dla *Orla*. Chcę je poznać jak najszybciej.

– Tak jest, panie prezydencie – odrzekł admirał. Nie wyzbył się wojskowych nawyków w stosunku do cywilnych.

– Proszę opracować kilka wariantów działań sił powietrznych, na wypadek niepowodzenia misji *Orla* – zwrócił się z kolei do Zdaneckiego prezydent.

– Oczywiście, panie prezydencie – Zdanecki wystrzegał się „tak jest” w stosunku do cywilów.

- Kiedy mamy podjąć działania, panie prezydencie? – spytał Łański, choć nie powinien tego robić. Prezydent nie zganiał go jednak, tylko się zamyślił.
- Jeszcze nie teraz – odrzekł. – To jeszcze nie jest najlepszy moment. Proszę trzymać podległe panom jednostki w gotowości. Taka okazja może się pojawić w każdej chwili.

Spotkanie dobiegło końca. Czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Wojskowi wyszli zniesmaczeni.

- Jedyną dobrą stroną czekania jest to, że można przynajmniej zabrać się za planowanie, którego poniechaliśmy w czasach, gdy jeszcze panował spokój – stwierdził Zdanecki, gdy oddalili się z Łańskim od cywilów. – Co zamierzasz? – spytał Gromnickiego.
- Spróbuję wypuścić *Orla* w morze. Lepiej, żeby był już w rejonie działań, gdyby przyszedł rozkaz ataku. No i nie powinien siedzieć w porcie, bo a nuż komuś z EAF przyjdzie do głowy pomysł zablokowania nas w Gdyni? Co wtedy zrobimy?
- Jak to „co”?! – zapytał Zdanecki teatralnie oburzonym tonem. – Rozpieprzymy ich w drobny mak!

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej godz. 19:00

Marc Vandenoot zreagował ostateczną wersję depechy do dowódcy sił EAF, taką, jaką ustalił z Schusterem.

Miał dość całej tej blokady. Najpierw nie otrzymał takich samolotów i okrętów, jakie były mu niezbędne. Potem niekompetentni dowódcy EAF dopuścili do utraty kilku cennych maszyn i do przepuszczenia przemytników przez Bałtyk. Kiedy wreszcie dał im zielone światło do zniszczenia tego, co najbardziej przeszkadzało im w wypełnieniu zadania, to ponieśli druzgocącą porażkę. Cierpiał na tym prestiż Unii, Komisji i osobiście jego – Vandenoota.

Do tego na całym kontynencie zaczęły się rozruchy. W Brukseli było spokojnie – w końcu mieszkała tu cała armia urzędników żyjących z Unii, ale na prowincji Wielkiej Brytanii, Niemiec czy Francji doszło do wielu antyeuropejskich demonstracji. Wystąpienia te były na tyle silne, że dostał nieoficjalne sygnały o rozważaniu – na razie teoretycznym – wycofania poparcia dla blokady przez niektóre rządy. Do tego nie mógł dopuścić.

Polska słabła w oczach. Nie mógł jednak pozwolić na rozszczelnienie blokady czy kolejne przegrane starcie zbrojne. Siły EAF nie mogły dopuścić, by Po-

lacy wspierali nocne rajdy przemytników przez Bałtyk. Jeśli dojdzie do starcia, to musiały takowe wygrać.

Dlatego też napisał tę depezę.

HNMLS *Tromp*, na zachód od Bornholmu, godz.19:45

Admirał Denters siedział w kabinie admirałskiej *Trompa*. Z niepokojem czytał po raz kolejny dyrektywę Komisji Europejskiej, uzupełniającą i korygującą dyrektywę nakładającą na Polskę blokadę wojskową. Zastanawiał się, co robić, gdy rozległo się pukanie.

– Wejść!

Wszedł Mesdegaard.

– Panie admirale, melduję się...

– Daj spokój, Adrianie.

– Tak jest.

Denters wskazał komandorowi krzesło. Potem podał mu formularz z depezą. Dowódca *Trompa* przebiegł go szybko wzrokiem.

- Mój Boże...

Denters pokręcił głową i otarł czoło rękami. Mimo klimatyzacji pocił się obficie.

– Tak, do tego już doszliśmy – powiedział. – Wygląda na to, że Vandenoortowi cierpliwość się wyczerpała. Chce iść na konfrontację na całego. Być może chce także odstraszyć Polaków od odwetu, choć gdyby taki miał nastąpić, to już by nastąpił. Najbardziej martwi mnie to, że możemy teraz sprowokować strzelaninę. Chciałem, żebyś zapoznał się z tym pierwszy. Zgodnie z wytycznymi Schustera z dyrektywą mają zostać zapoznani wszyscy dowódcy jednostek pływających, personel latający i pododdziały interwencyjne.

– Pytanie, czy musimy to wykonywać?

– Rozkaz jest rozkazem. Obyśmy nie musieli.

Mesdegaard miał ochotę coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

– Najgorsze jest to, że z powodu braków w samolotach patrolowych musiałem rozciągnąć wszystkie okręty w linię patrolową od długości geograficznej wyspy Uznam aż po Hel. Jeżeli dojdzie do jakiegokolwiek nieprzewidzianej sytuacji, to niezwykle trudno będzie zapobiec wymianie ognia, a przed rewanżem Polaków *Tromp* czy *Hessen* będą zabezpieczone, jednak mniejsze okręty na wysuniętych pikietach mogą zdrowo oberwać. Trzeba

się liczyć nawet z ich utratą. Nie będziemy w stanie obronić ich przed zmasowanym atakiem z powietrza. Ta dyrektywa bije też w nas. Czy się nam podoba, czy nie, musimy ją wykonać.

Mesdegaard skinął głową.

– Przekażę dyrektywę moim oficerom – rzekł.

Denters skinął głową. Też miał nadzieję, że do najgorszego nie dojdzie. Zaczął redagować treść depeszy streszczającej najnowszą dyrektywę Komisji. W najbardziej telegraficznym skrócie jej treść można było zawrzeć w zdaniu: strzelać bez ostrzeżenia do polskich okrętów i samolotów wojskowych poza polskimi wodami terytorialnymi i przestrzenią powietrzną; do jednostek cywilnych łamiących blokadę, które nie zatrzymają się na wezwanie, również strzelać. Celnie.

Serwis światowy BBC

25 lipca, godz. 22:00

Przewodniczący Komisji Europejskiej, Marc Vandenoot oznajmił, iż wobec ostatnich, agresywnych posunięć Polaków, które doprowadziły do śmierci lotników EAF, wydał podległym mu siłom rozkaz bezwzględnego otwierania ognia do wszelkich polskich wojskowych jednostek lotniczych i morskich, jakie opuszczą polską przestrzeń powietrzną i polskie wody terytorialne. Zarządzenie Vandenoorta wchodzi w życie o północy.

U-23

godz. 22:30

Komandor podporucznik Freitag czytał najnowsze rozkazy ze zdumieniem.

Zaledwie kilka minut wcześniej U-23 wystawił na chwilę antenę radiową nad powierzchnię wody. Zanim Freitag pozwolił odebrać przekazy radiowe, podniósł maszt ESM tylko po to, by przekonać się, że Polacy nie próżnują. Od strony Gdyni aparatura wyłapała sygnały radarów śmigłowców *SH-2G Sea Sprite*. Takiej aktywności nie było przedtem, dlatego Freitag stał się szczególnie ostrożny. Albo Polacy zamierzali wyjść w morze fregatami klasy *Perry*, na których bazowały *Sea Sprite*'y, albo domyślili się lub, co gorsza, dowiedzieli o obecności *U-23* w pobliżu najważniejszej bazy morskiej. Zważywszy, że ktoś uprzedził ich o nalocie, nie było to wcale takie nieprawdopodobne. Informacja

o kłesce nalotu na brzegowe instalacje rozniosła się – mimo próby jej stłumienia – wśród oficerów EAF. Wraz z nią rozeszło się podejrzenie o przecieku. Wobec takie perspektywy Freitag nie był najlepszej myśli. Perspektywa nie do pozazdroszczenia – w takiej odległości od Gdyni polskie śmigłowce przeciwpodwodne mogły go zaskoczyć w każdej chwili. No a teraz ten rozkaz...

Bałtyk jest co prawda idealnym miejscem do działania okrętu podwodnego. Zdaniem Freitag „podwodniak” był jedynym okrętem, jaki miał szansę przeżyć na tym akwenie początek pełnoskalowego konfliktu i jeszcze trochę. Dla okrętu nawodnego Bałtyk był śmiertelną pułapką w dobie radarów, odrzutowców i rakiet przeciwokrętowych. Dla jednostki podwodnej warunki są znacznie bardziej sprzyjające. Zmienne zasolenie tworzy obszary cienia akustycznego, w których okręt może ukryć się przed ciekawskim sonarem przeciwnika. Na płytcznach daje znać o sobie hałas powierzchniowy – dźwięki wydawane przez „podwodniaka” nikną w szumie tła. Na płytkich wodach Bałtyku okręty nawodne nie mogą w pełni korzystać z sonarów aktywnych o niskich częstotliwościach. Nie mogą też rozwijać najbardziej czułych i precyzyjnych sonarów holowanych, gdyż wlokłyby się one po dnie, nie tylko nie słysząc niczego poprzez powodowany przy tarciu o dno hałas, ale i ryzykując uszkodzenie sensorów.

Jednak rozkaz, który właśnie otrzymał, pachniał szaleństwem i samobójstwem. Freitag nie był w stanie zrozumieć, jakie korzyści odniosłoby EAF ze storpedowania przez niego jakiegoś polskiego statku lub jednostki innej bandery łamiącej blokadę. Gdyby rzeczywiście trafił w coś, Polacy nie tylko dostaliby dowód obecności *U-23* na tym akwenie, ale i doskonały powód, żeby spuścić Niemcom baty. Najpóźniej po dwudziestu minutach od wybuchu torpedy miałyby na karku całą eskadrę śmigłowców ZOP. Nawet gnając na złamanie karku – czego nie powinien robić ze względu na powstający przy tym hałas – zdążyłby się oddalić może o pięć mil. A potem, po takim sprincie, zabrakłoby mu energii w akumulatorach na unikanie ataków. Oby tylko nie trafiła się jakaś duża jednostka, którą Denters będzie chciał koniecznie trafić, pomyślał Freitag. Co do mniejszych, zawsze można wytłumaczyć się tym, że nie były warte torpedy.

Serwis światowy CNN **26 lipca, godz. 7:00**

Przewodniczący Komisji Europejskiej Marc Vandenoot podziękował sekretarzowi stanu USA Markowi Thomasonowi za próbę mediacji w sporze europej-

skim. Podkreślił, że Europa nie może zrezygnować ze swych wartości i pryncypiów tak samo, jak nie może tolerować odstępstwa od tych wartości w krajach członkowskich. Vandenoot wyraził nadzieję, że Warszawa szybko zmieni swoje stanowisko i uzna racje Brukseli.

Powidz, baza lotnicza, godz. 7:05

- ...skurwysyn odrzucił jakikolwiek kompromis! Za mało skopaliśmy mu tyłek!- zżymał się Tkaczyk. Właśnie cisnął w telewizor skórką od banana. Jego wściekłość dzieliła reszta pilotów oglądających w sali odpraw poranne wiadomości.

W wizerunek Vandenoorta na ekranie telewizora w sali odpraw poleciało szereg zaimprovizowanych pocisków – kule ze zmiętego papieru, guma do żucia, ogryzki, a nawet plastikowy kubek. Lisowicz włożył do rozwiniętej prezerwatywy ogryzek i cisnął nim w ekran. Piloci ryknęli śmiechem.

– Twój garnitur, kutasie! – skomentował Tkaczyk, wywołując kolejny wybuch wesołości.

- Na pewno nie umie go włożyć! – krzyknął Lisowicz.

W sali powstał harmider. Każdy z obecnych usiłował dołożyć własny, wyszukany epitet pod adresem Vandenoorta. Łysoń, który śmiał się wraz z innymi, teraz wstał, usiłując zaprowadzić porządek.

- Koniec trzech minut nienawiści! – zawołał, a widząc, że to nie skutkuje, dodał: – Zamierzacie znęcać się nad tym futem cały dzień?! Rozejść się! I sprzątnąć mi ten bajzel.

Piloci niechętnie zbierali się z miejsc. Po ostatnich sukcesach nastroje były raczej dobre, choć upór Vandenoorta budził gniew.

- Ten kutas nie zmieni kursu ani o sekundę kątową, jeśli go zdrowo nie kopniemy – ocenił Tkaczyk. Marciniak przyznał mu rację.
 - Ciekawe, kiedy nasi wodzowie zdecydują się na tego kopa. Robi się niewesoło – dodał Krzyżanowski.
 - Miejmy nadzieję, że niedługo. Diabli mnie biorą na to czekanie – odrzekł Marciniak.
 - Nudzi ci się? A gdzie twoja księżniczka? – zapytał złośliwie Tkacz.
 - Pisz artykuł o twoich bohaterskich wyczynach.
 - Myślałem, że o twoich.
 - Odesłałem ją do ciebie. Bufonada to twoja specjalność.
- Tkacza na moment zatkało.

- Jeszcze trochę, a pomyślę, że boisz się wystąpień publicznych – odciął się w końcu. – Zawsze byłeś nieśmiały. Już w Dęblinie chorobliwie bałeś się wsiąść do kabiny w obawie przed oceną innych, a teraz doszedł jeszcze lęk przed kobietami. Jak tak dalej pójdzie, skończysz jako prawiczek...
- Gadasz takie głupoty, jakbyś z braku bab usiłował mnie poderwać! – przerwał mu Marciniak. Żarty Tkacza zaczynały mu działać na nerwy.

Powidz, baza lotnicza, godz. 15:15

Zdanecki przybył na inspekcję Sześćdziesiątej Siódmej zaledwie dwie godziny później, kiedy Kawecki i Królak polecili na patrol, a Marciniak i Czerwiński skończyli właśnie układać plan lotu. Z sali odpraw trafili do gabinetu Łysonia wraz z Tkaczykiem, Krzyżanowskim i Kwietniem.

- Siadajcie – Nowaczyk wskazał kilka dodatkowych krzeseł, gdy weszli. Lotnicy posłusznie usiedli. Marciniak i Tkaczyk spojrzeli po sobie.
- Panowie, tej rozmowy nie było – powiedział Zdanecki na wstępie. – Zdaję sobie sprawę, że to, co powiem, może być trudne do zaakceptowania, ale zostaliście przygotowani do wypełniania trudnych zadań. To może być jedno z nich.

Generał rozłożył notatnik z odręcznymi notatkami.

- Jak wicie, sytuacja jest nieciekawa. Vandenoort odrzucił wszelkie próby załagodzenia sporu. Zaangażował się i nie może się wycofać. Nasze naciski, naciski Amerykanów, niewiele pomogły. Podobnie nasza próba złamania solidarności między Niemcami i Francją. Nie ma na to szans, ponieważ oba rządy chcą piec własną pieczen łapami Vandenoorta. Żaden nie wycofa się w obawie, że drugi zajmie jego miejsce. Prezydent i rząd jeszcze nie dojrżeli do decyzji o rozwiązaniu siłowym, ale jestem przekonany, że wkrótce zaczną poważnie je rozważać.

Lotnicy spojrzeli po sobie.

- Jakie to może być rozwiązanie? – spytał Marciniak.
- Rozbicie blokady siłą. W portach USA czy Kanady czekają na towary. Żaden armator nie zaryzykuje rejsu prosto w paszczę EAF, aresztowania statku i wykupowania go z internowania EAF. Znajdują się co prawda ryzykanci, którzy wpadają w drugim czy trzecim rejsie, ale jest ich zdecydowanie za mało – generał przerwał na chwilę. – Jest jeszcze jeden powód – powiedział. – Zniszczenie sił EAF oznacza zniszczenie niezależności Van-

denoorta. Bez nich nie będzie mógł samodzielnie realizować swoich celów politycznych.

- Powiedzmy, że zniszczymy te okręty i samoloty, co jest cholernie mało prawdopodobne – rzekł Czerwiński, ignorując znaki dawane mu przez Łysonia. – Jakie mamy gwarancje, że Niemcy nie ruszą przez granicę?
- Na razie żadne – przyznał Zdanecki. – Obawiam się, że nasi politycy zmarnowali okazję po bitwie nad wybrzeżem, żeby wtedy spuścić łomot okrętom EAF. Wtedy taki odwet byłby uzasadniony i jakiegokolwiek retorsje ze strony państw popierających EAF zostałyby mocno oprotestowane przez media i obywateli. Teraz sytuacja wróciła do punktu wyjścia.
- A co na to nasi sojusznicy? – odezwał się Tkacz. – Nie mogliby podesłać jakiegoś gołębnika, żeby przepędził w cholerę te okręty?
- Poruczniku, Stany nie mają wystarczającej liczby czynnych grup bojowych lotniskowców, bo o nich chyba pan mówi, żeby interweniować w trzech miejscach Bliskiego Wschodu, trzymać w szachu Kim Dzong Ila i jeszcze naciskać na Vandenoorta – odpowiedział Zdanecki. – Gorzej, że są już mocno uzależnieni od Europy w operacjach bliskowschodnich. Nie wejdą w otwarty konflikt z Vandenoortem, Niemcami i Francją. Mowy nie ma.
- Co zatem możemy zrobić? – zapytał Krzyżanowski.
- Tego chciałbym się dowiedzieć od was. Mój sztab jest zdekompletowany – stwierdził Zdanecki. – Większość sztabowców odesłałem do jednostek liniowych. Przerost personalny niewiele by pomógł. I tak większość spraw zazwyczaj czeka na akceptację kolejnych szczebli zwierzchników, ze mną włącznie. Gdybyście wiedzieli, ile pierdół dziennie muszę załatwiać i ile świstków podpisywać... – machnął ręką. – Jeśli któryś zostanie kiedyś głównodowodzącym, to się dowie. Nieważne. Chcę, żebyście zastanowili się, jak można, dysponując naszymi skromnymi siłami, rozpieprzyć skutecznie tę blokadę. Poruczniku, niech pan tak na mnie nie patrzy – zwrócił się do Marciniaka. – Wpadliście tutaj na kilka pomysłów, które zdrowo namieszały EAF i narobiły politycznych szkód Vandenoortowi. Zgarnięcie im tych dwóch *Orionów* to był majstersztyk – Zdanecki miał gdzieś, że Łysonś zagotuje się ze złości. – Moi sztabowcy ledwie nadążają z bieżącą robotą. Dział planowania jest w proszku, w dodatku też musi odciążać operacyjny. Spójrzcie na to okiem pilotów liniowych. Macie doświadczenie z Kwazarem, wiecie, co potrafi. Pomysł na zaszkodzenie Vandenoortowi jest bezcenny. Jest wart niemal tyle, ile nasza niepodległość. Może być tyle wart – poprawił.

Zapadła cisza. Lotnicy trawili w myślach to, co właśnie usłyszeli.

- Panowie, przypominam, sprawa jest tajna, specjalnego znaczenia. Wszyscy macie najwyższą kategorię dostępu do informacji – powiedział generał.
- Sprawdziły was też pod kątem bezpieczeństwa kontrwywiad wojskowy i ABW. Otrzymaliście wszyscy najwyższe oceny, jeśli chodzi o stopień bezpieczeństwa.

Marciniak pomyślał, że jednak w działaniach kontrwywiadu i ABW muszą istnieć poważne proceduralne luki, skoro przegapili ich udział w bójce. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ generał kontynuował.

- Oczekuję burzy mózgow i waszych pomysłów jak załatwić blokadę. Jestem gotów rozważyć nawet najbardziej zwariowane pomysły, bo standardowa doktryna może nie wystarczyć. Nawet jeśli coś wyda się wam całkiem zwariowane, nie wahajcie się tego zgłosić. Może po przeróbkach wykluje się coś sensownego. Musimy mieć w zanadru wymieniony pomysł, bo EAF ma przewagę liczebną i jakościową.
- Możemy brać pod uwagę „eFy”? – spytał Marciniak.
- Nie, *Viperów* nie ruszamy. Nie osiągnęły gotowości bojowej, postanie ich do walki oznacza ich utratę. Musimy poradzić sobie siłami *MiG-ów*, *Suchojów* i tego, co jest do wsparcia.

Zapadła cisza. Nikt nie skomentował.

- W porządku panowie. Gratuluję dotychczasowych sukcesów i liczę na waszą inwencję – generał pożegnał się z oficerami i wyszedł.

Poznań, komenda policji Poznań-Nowe Miasto, godz. 18:30

Nawrocki wyszedł z przesłuchania nie mniej wypompowany niż Greenearth.

Musiał przyznać, że sukinkot trzyma się twardo. Najwyraźniej adwokat przekonał go, że upadek polskiego rządu jest bliski, a co za tym idzie, jego uwolnienie również. Komisarz nie miał wątpliwości, że choć Greenearth napadł na funkcjonariuszy, to nie odsiedzi ani dnia, jeśli Polska załamie się pod presją blokady. Jeśli złamiemy się w tak kardynalnej sprawie, jak ratyfikacja eurotraktatu, to wypuszczenie Greeneartha będzie przy tym wyglądać niewinnie niczym soplwanie na chodnik.

Powinien przyskrzynić drania i zmusić go do wyśpiewania wszystkiego, co ma na sumieniu. Drań trzymał w ręku niezwykle cenną wiedzę o kulisach wydarzeń poznańskich. Gdyby wydoszła się na światło dzienne, można by wiele

zmienić. Tyle tylko, że Greenearth czuł się pewnie, a Nawrocki miał związane ręce. Nie mógł nawet uprzykrzyć mu życia, bo sam znalazłby się w poważnych opałach. Nie dość, że Greenearth już teraz wrzeszczał do mediów za pośrednictwem adwokata, że jest więźniem politycznym, to gdyby stała mu się jakakolwiek krzywda w areszcie, Nawrocki miałby przesrane. Dlatego strażnicy mieli dzień i noc na oku aktywistę umieszczonego w osobnej celi, z dala od kryminalistów. Taki stan rzeczy mógł trwać jednak długo, a Nawrocki nie miał czasu. Nikt go zresztą nie miał.

Czy Greenearth i jego kumple kłamali o lotnikach? Jaki przebieg miała bójka?

Gdyby znalazł domniemanych lotników, a oni opowiedzieli przebieg zdarzeń, miałby przeciwwagę do twierdzeń aktywistów o rzekomej napaści. Może udałoby mu się zmusić Greeneartha do opowiedzenia, czemu służyły liczne jego kontakty jego środowiska z otoczeniem Vandenoorta. Nawrocki był pewien, że niczemu dobremu. Byłby to poważny cios w wiarygodność blokady, szanse Polski na utrzymanie rządu i stanowiska w sprawie eurotraktatu wzrosłyby znacznie, a szanse Greeneartha na to, że jego grzeszki ujdą mu na sucho – zmalałyby.

Tyle że nie miał domniemanych lotników.

Interwencja Żandarmerii Wojskowej w Krzesinach wyrządziła więcej złego niż dobrego. Greenearth, Che i reszta twierdzili, że to są lotnicy z Krzesin. Żandarmi zabrali z bazy kilku lotników najbardziej odpowiadających rysopisom, ale Che, początkowo zatrzymany, a później wypuszczony, nie rozpoznał żadnego jako napastnika. To również dało komisarzowi do myślenia. Gdyby chodziło o pognębienie wojskowych w ogóle, Che rzuciłby podejrzenie na kogośkolwiek, niezależnie od tego, jakie alibi by mieli. On jednak szukał konkretnych osób, które zalazły mu za skórę. I wiedział, kogo ma wskazać. Nawrocki pomyślał, że jednak byli to lotnicy, ale po kłapie przeszukania Krzesin nie miał podstaw, by żądać od dowództwa brygady lotniczej otwarcia i przeszukania kolejnych baz. Zwłaszcza w obecnych warunkach konfrontacji zbrojnej z EAF.

Musiał dotrzeć do kogoś postawionego wysoko i przekonać go do współpracy. Miał tylko własne podejrzenia. Żaden z jego zwierzchników nie będzie interweniował u wojskowych, mając za argument przekonania paranoika.

Nawrocki postanowił działać na własną rękę. Nękał już od miesiąca Dowództwo Sił Powietrznych. Jak dotąd – bezskutecznie. Zbывano go oczywiście w warunkach kryzysu twierdzeniem, że generał jest zajęty. Komisarz nie poddawał się łatwo. Zadzwoił jeszcze raz.

Uprzejma adiutant generała oczywiście usiłowała go jak zwykle spławić, ale Nawrocki był psem gończym. Nie odpuszczał.

- Jeżeli generała nie ma, to proszę umówić mnie na spotkanie osobiste w najbliższym możliwym terminie. Przyjadę osobiście w każdym dogodnym dla państwa terminie – powiedział, przyjawszy pokornie kolejną porcję kitu, jaką zaserwowała mu sympatyczna adiutant.

Kobieta po drugiej stronie milczała. Nawet jej doświadczeniem w puszczeniu z nurtem namolnych interesantów odmówić takiej prośbie nie było łatwo.

- Generał może przyjąć pana jutro w południe – oświadczyła niespodziewanie. Najwyraźniej liczyła na to, że upierdliwy policjant, wobec własnego nawału pracy w kryzysie, nie wyrobi się z wyjazdem następnego dnia.
- Będę. Proszę wpisać mnie do terminarza i wystawić przepustkę.
- Oczywiście. Będzie na pana czekała przy głównym wejściu – odrzekła niewzruszenie Jabłońska. Nie mogła zbywać go w nieskończoność, zwłaszcza że uparł się zobaczyć z generałem w ściśle tajnej sprawie wagi państwowej. I tak zapewne nie dotrze...
- Zatem do zobaczenia, do jutra – powiedział Nawrocki i odłożył słuchawkę.

Miał teraz problem, jak dostać się do Warszawy. O oficjalnej delegacji mógł zapomnieć. Musiałby powiedzieć zwierzchnikom o sprawie, a wówczas istniałoby ryzyko, że zostanie zatuszowana lub po prostu uznana za poboczny wątek nie związany ze śledztwem. Mógł złożyć wniosek o dzień urlopu, ale na tym by się skończyło – Hajdukiewicz nie wyrazi zgody. Oficjalnie nie cofnięto im urlopów, jednak szef powiedział: „Szlaban”, a naleganie skończyłoby się pytaniami w tyłu: po co ci ten urlop teraz?

Pozostawało tylko jedno.

Zadzwonił do Emilii.

- Jeszcze dobrze nie wyszłam z roboty, a ty już dzwonicz? – oburzyła się. Wiedział, że żartuje. – Ok, o co chodzi? Mam wracać?
- Muszę się jutro na dzień wyrwać z firmy.

Emilę na moment zatkało.

- Co się stało? Nabroileś coś?!
- Nie powinnaś wiedzieć.

Znowu chwila ciszy.

- A więc jednak?
- Nie. Dopiero mam zamiar coś zrobić i lepiej, żebyś nie wiedziała co. Nie chcę cię w to wciągać.
- Myślałam, że jesteśmy partnerami.

- Jesteśmy i bardzo to cenię. Jednak dla twojego dobra nie powinienem ci mówić o tym, co zamierzam zrobić.
- Kombinujesz coś na własną rękę?
- Niczego ode mnie nie słyszałaś.

Emila ponownie zamilkła. Nawrocki był pewien, że waży decyzję.

- Co mam zrobić?
- Zadzwońię do ciebie rano, że się źle czuję. Odwlekaj zainteresowanie Hajdukiewicza moją osobą tak długo, jak się da. Niech do mnie nie dzwonią. Moja żona dostarczy zwolnienie.
- W porządku.

Nawrocki pomyślał, że jest na najlepszej drodze, by kilku osobom spłatać następny dzień niezłego figla.

Siebie również do nich zaliczał.

Powidz, baza lotnicza

godz. 20:45

Siedzieli nad planami szóstą godzinę. Jeśli sędzić po efektach, ich wysiłek był kompletnie jałowy. Wyglądało na to, że nadzieje Zdanieckiego na kolejny, świetny pomysł, są kompletną utopią/

- Jedyne, co możemy zrobić tymi siłami, to uderzyć na ich pojedyncze pikiety na Bałtyku – podsumował dotychczasowe rozważania Tkacz – Zająć patrole myśliwskie przy pomocy *MiGów* i przywalić rakietami w mniejsze okręty. Zatopimy jeden lub dwa, reszta będzie musiała uciec pod osłonę myśliwców i większych jednostek.

Kręcili się w kółko wokół tego samego problemu.

- To nic nie załatwi – sprzeciwił się Czerwiński. – Rozluźnimy w ten sposób blokadę, ale jej nie zlikwidujemy. Co gorsza, zamiast zadać EAF ostateczny cios, tylko damy im motywację do walki.
- Okręty są silnie bronione. Przedrzeć się przez osłonę myśliwską to jedno – rzekł Kwiecień. – Powiedzmy, że *MiG-i* przy zaskoczeniu przeciwnika dałyby nam krótkie okno czasowe na zaatakowanie okrętów, zanim wystartują ich rezerwy z Roskilde. I co dalej? Możemy rozwalić *Floreala* czy którąś z mniejszych fregat, ale *Trompa* czy *Hessen* nie ruszymy. Są zbyt silnie uzbrojone. Blokada będzie trwać, choć osłabiona. Polityczne skutki takiego ataku będą oplakane.
- Najgorsze jest to, że EAF nie ma żadnego słabego punktu – powiedział Krzyżanowski. – Mają przewagę w siłach lotniczych. Wywalczenie prze-

wagi w powietrzu dałoby nam swobodę działania. Tyle że musielibyśmy ściągnąć ich samoloty nad nasze terytorium i tu załatwić znieńca tak jak poprzednio. Wątpię jednak, by drugi raz dali się nabrać na ten sam numer. Tam też nie siedzą idioci. Wyślą część maszyn, resztę zostawią w rezerwie. Zresztą wywalczenie przewagi w powietrzu to taki sobie pomysł. Najlepiej oczywiście zbombardować lotnisko...

- Mają inny słaby punkt – wszedł mu w słowo Marciniak. – Lotnisko Roskilde – dodał, zauważywszy zdziwione spojrzenia.
- I co z tego, poruczniku?! – spytał zirytowany Łysoń, zapominając, że miał nie „panować” Marciniakowi. – Jak pan sobie wyobraża, że poprosimy ich grzecznie, żeby zrobili lukę w patrolach albo zamknęli oczy, kiedy mu zbombardujemy im pasy startowe? Może pan sobie pomarzyć.
- Punkt jest rzeczywiście słaby, bo mają jedno lotnisko – rzekł Krzyżanowski. – Gdyby móc je zbombardować, zapewne mielibyśmy czas, dokąd nie pozbierają się, nie zorganizują innych sił lub innego lotniska. Roskilde jest jednak bronione przez patroli myśliwskie, po drodze stoją okręty, które mogą nas naszpikować rakietami ze znacznej odległości, a z kolei *Suki* mają zbyt mały zasięg, żeby polecieć w tamtą stronę z sensownym ładunkiem bojowym na małej wysokości. A nawet gdyby miały, to nadal jednak nie mamy czym przyładować okrętom. Sprawa wygląda beznadziejnie.

Kwiecień pokręcił głową.

- Tomek ma rację. To czyta fantazja – rzekł. – Nasze szanse wyglądają mizernie, jeśli w ogóle. Do Roskilde jest 500 kilometrów w linii prostej. Możemy polecieć nisko, ale zużyjemy kupę paliwa i zabierzemy niewiele ładunku bojowego. Jeśli polecimy na średniej wysokości, złapią nas radarem na długo przed przekroczeniem linii brzegowej. Musielibyśmy przelecieć w pobliżu terytorium Niemiec, być może przez ich przestrzeń powietrzną, narażając się dodatkowo na atak *Eurofighterów* z Laage. Założmy, że się uda, że przebijemy się przy sporych stratach, wyeliminujemy lotnisko na pół dnia lub dzień. I co dalej? Znajdą kolejne lub wyremontują Roskilde. Może dopadniemy jakieś maszyny na ziemi, ale większość wystartuje. Pomyślmy o tym, jak wciągnąć ich nad własne terytorium. Tu mielibyśmy jakieś szanse zadania im znacznych strat niewielkim kosztem własnym.
- EAF nie pofatyguje się nad Polskę. Status quo ich zadowala – rzekł Czerwiński. – Zgadzam się z Tomaszem: drugi raz do nas nie przylecą, to zbyt kosztowne wojskowo i politycznie. Czym mielibyśmy ich sprowokować do takiego kroku? Tam, gdzie siedzą, czas pracuje na ich korzyść. To my będziemy musieli zaryzykować.

Milczeli, wpatrując się w mapę. Tyle godzin pracy – i nic.

- Wracamy do punktu wyjścia. Trzeba zdobyć przewagę w powietrzu – odpowiedział Tkaczyk.
- Słusznie – rzekł Łysoń. – Od tego należy zacząć. Pytanie jak?
- Jeszcze raz Roskilde – uparł się Marciniak.
- W tych warunkach przydałby się okręt podwodny z raketami *Tomahawk* pod brzegami Danii – zażartował Czerwiński.
- Albo *GROM* gdzieś pod Kopenhagą – dodał Kwiecień.
- Panowie, nawet jeśli *Formoza* czy *GROM* zostały przerwane do Danii, to mi nic o tym nie wiadomo – przerwał tę licytację Łysoń. – Do rzeczy.
- Jedynym naszym atutem jest zaskoczenie – rzekł Marciniak. – Nie spodziewają się, że zdobędziemy się na taki krok. Obrona naziemna Roskilde jest symboliczna – bateria *Hawków* i zestawy przenośne. Jeśli ominiemy patrole bojowe myśliwców, to rozwalimy im tę budę.
- Dla maszyn, które wzięłyby udział w takim nalocie, byłby to lot w jedną stronę – zirytował się Łysoń. – Proponuję, żebyśmy trzymali się realiów. Nie stać nas na działania *kamikaze*. Chyba, że są ochotnicy? – rozejrzał się po obecnych. – Nie ma. Czym możemy zaatakować te ich pikiety?
- Możemy obezwładnić je zakłócaniem, *H-25MP* i dołożyć *H-25ML* – odpowiedział Krzyżanowski. – Jeśli *Zadymiacze* zdejmą nam z głowy myśliwce, nie powinno być problemu. Bez radaru pojedynczy okręt gównie zdziała przeciwko naprowadzanym laserem raketom z kilku samolotów. Będzie duże „bum” i po krzyku. Nasze trzy eskadry spokojnie mogą wykończyć mniejsze okręty. Z większymi nawet bym w tych warunkach nie próbował.
- Dokładnie – przyznał mu rację Kwiecień – Przecież nie wlecimy z niekierowanymi bombami na najeżone raketami i działami okręty, bo wpadlibyśmy jak dziwki na wieczór kawalerski. Już lepiej naprawdę palnąć sobie w łeb.
- *H-25MP* mogłyby wyrządzić okrętom spore szkody. Przecież jeśli zdemolujesz okrętowi radar, pozbawisz go też naprowadzania raket woda-powietrze – zauważył Czerwiński.
- Większe z tych okrętów można by szybko wyremontować czy zastąpić innymi. Pamiętajcie o zasadach: przeciwnika należy ugodzić śmiertelnie albo wcale – stwierdził Łysoń.
- Tyle tylko, że właśnie zamierzamy się sprzeniewierzyć tej zasadzie – wtrącił Marciniak.

- Ty znowu swoje! – odparł pułkownik. – Zrobimy co w naszej mocy. Atak na Roskilde i największe okręty nie wchodzi w grę. Żeby zaatakować te cholerne łajby, musielibyśmy najpierw przyłożyć w Roskilde, a wiadomo, że nie damy rady. Do tego nie stać nas na rozproszenie sił. Jeżeli nie wyeliminujemy lotnictwa EAF, to o dobraniu się do tych kryp możemy sobie pomarzyć.

Marciniak zamilkł. Walczyć trzeba do końca i zrobić co się da. Miał wrażenie, że planują zrobić zbyt mało. Komu mogło się przysłużyć połowiczne zwycięstwo nad mniejszymi okrętami EAF? Nie brał już udziału w dalszej dyskusji. Wpatrywał się w zaznaczone na mapie pozycje największych okrętów i znacznik pokazujący położenie lotniska Roskilde. Był pewien, że gdzieś tam musi być rozwiązanie.

Bałtyk, na zachód od Bornholmu

godz. 20:55

Słońce stało jeszcze nad horyzontem na północnym zachodzie, oświetlając zimną scenę, jaką tworzyły zielonoszary Bałtyk, postrzępione chmury i szare sylwetki okrętów wojennych. Prom *Xenia* stał w dryfie, czekając na inspekcję piechoty morskiej EAF, jaka zbliżała się szybko pontonowymi łodziami Zodiak od strony najbliższego okrętu.

Agnieszka, Marta i Adam stali przy relingu na górnym pokładzie. Obserwowali utrzymujący się na trawersie bakburty okręt wojenny. Śmigłowiec morski EAF wytropił ich trzy godziny wcześniej. Od kwadransa, na sygnał z okrętu wojennego, prom zwolnił do niewielkiej prędkości, umożliwiającej jedynie utrzymanie sterowności.

Gdy łodzie podeszły bliżej burty, nad górny pokład nadleciał śmigłowiec. Zrzucano z niego liny, po których zjechali żołnierze francuskiej piechoty morskiej. Francuzi szybko rozbiegli się dwójkami, zabezpieczając górny pokład. *Zodiaki* dobiły do opuszczonego trapu. Kolejne dwie drużyny *troupe de marine* wbiegły na pokład jednostki, osłaniany przez kolegów z góry. Dowódca drużyny udał się na mostek. Pozostali trzymali wartę w newralgicznych punktach pokładu lub rozpoczęli inspekcję statku i pasażerów. Zaglądali do ładowni, prowadzili wyrywkową kontrolę dokumentów, komunikowali się przez radio z pobliskim okrętem.

Okręt po lewej burcie robił imponujące wrażenie. Choć mniejszy od promu, robił imponujące wrażenie swoją prostą, masywną, gładkopokładową sylwetką. Miał proste, pozbawione licznych zewnętrznych szczegółów konstrukcyjnych

nadbudówki. Wyglądał jak futurystyczna konstrukcja. Ktoś porównał jego kształt do krążownika imperialnego z *Gwiezdnych wojen*. Porównanie było na miejscu, zważywszy, że 144-metrowy *Tromp* mógł uchodzić za duży niszczyciel, a reprezentował imperialne interesy Europy. Okręt zwolnił i ustawił się na kursie równoległym do *Xeni* może w odległości kabla na północ od promu.

Tłum pasażerów wisiał na relingach, obserwując, jak załoga promu opuszcza welbot. Pierwszy oficer promu w asyście dwóch marynarzy zszedł do motorówki z teczką pełną dokumentów. Welbot odbił od opuszczonego trapu i wyruszył w kierunku fregaty o numerze taktycznym *F803*.

Czas płynął. Rzekomo prosta inspekcja przedłużała się ponad miarę. Minuty upływały, a zachowanie inspekcji nie wskazywało na jej rychłe zakończenie. Francuscy żołnierze przechadzali się wśród pasażerów, intensywnie sprawdzając paszporty i inne dokumenty tożsamości. Komunikowali się energicznie z dowódcą. Widać było, że mają wątpliwości. Ich zachowanie wróżyło kłopoty. Agnieszka zastanawiała się, w jakim celu to robią. Dziwił ją też czas trwania inspekcji. Czyżby z dokumentami promu było coś nie w porządku? Czy zatrzymają ich teraz? Czy pozwolą kontynuować rejs? Po trzech kwadransach tej szopki poczuła, że nie da rady. Musi podzielić się z kimś swoimi wątpliwościami.

- Myślisz, że coś podejrzewają? – spytała nie wiedząc czemu szeptem Leszczyńskiego. Obecność obcych żołnierzy z bronią gotową do strzału sprawiała, że czuła się nieswojo. Ci faceci ze swoimi pistoletami maszynowymi mogliby urządzić straszną masakrę, gdyby nagle przyszło im do głowy zacząć tu strzelać na oślep, pomyślała.
- Nie wiem. Trzymają nas tu już godzinę. Na pewno nie dlatego, że nie mają nic lepszego do roboty. To jasne, że taka ilość Polaków na jednym statku śmierdzi na odległość szwindlem. Gdyby tak nie było, już by nas puścili.
- Myślicie, że mogą nas zatrzymać tutaj? – spytała Marta.
- Mogą. Trafimy wtedy do obozów dla uchodźców.

Perspektywa trafienia do jednego obozu z uchodźcami z Afryki czy Bliskiego Wschodu nie napawała ich optymizmem. Choć deklarowali się jako tolerancyjni i otwarci kulturowo, nigdy nie stykali się z przeciętnymi imigrantami. Ich kontakty z innymi kulturami ograniczały się do biznesmenów lub urzędników korporacji albo personelu w hotelach podczas wyjazdów turystycznych.

Do tego głupio zostać tak zatrzymanym niemal na progu domu.

Ten dom nagle okazał się cenny. Wszystkie wyjazdy do „prawdziwej” Europy zbladły nagle. Obecność żołnierzy z państw „starej” Unii okazała się nagle nieprzyjemna. Zwłaszcza że zagradzali oni drogę do domu.

- Nie mam pojęcia, czego oni szukają, ale nie podoba mi się to – powiedziała Marta.
- Szukają pretekstu, żeby nas zatrzymać – stwierdził Leszczyński.

Zerknęli jeszcze raz w stronę fregaty. Na jej pomoście bojowym, obok sterówki, kilku oficerów przyglądało się *Xeni* przez lornetki.

HNMLS Tromp, na zachód od Bornholmu godz. 22:40

Długotrwały zmierzch zdążył zapaść nad jednostkami. Inspekcja EAF na *Xeni* nadal trwała. Denters przyglądał się jeszcze promowi przez lornetkę, gdy na skrzydło pomostu bojowego wszedł Mesdegaard.

- Panie admirale, dokumenty promu są w porządku.
- Inspekcja coś znalazła?
- Nic niepokojącego, panie admirale.
- Skład pasażerów?
- Niemal sami Polacy. Około dwóch i pół tysiąca. Statek przeładowany. Po długich i żmudnych poszukiwaniach znaleźliśmy dwójkę Litwinów,
- Jakież dowody łamania embarga?
- Nic, co stanowiłoby pretekst do zatrzymania.

Admirał zastanawiał się. Ta ilość Polaków stwarzała podejrzenie, że prom może próbował złamać blokadę i dostarczyć większość pasażerów prosto do kraju ojczystego. Formalnie nie było do czego się przyczepić. Jako port przeznaczenia w dzienniku pokładowym widniała Kłajpeda. Nie mógł zapobiec podróży Polaków na Litwę, a tym bardziej – do kraju. Litwa miała wspólną granicę z Rosją – choćby z obwodem kaliningradzkim – a tę Polacy mogli przekraczać. Przez Rosję mogli już dostać się do Polski.

Vandenoort będzie wściekły, że puszczamy *Xenię*, pomyślał Denters. Jednym z założeń jego polityki – czego głośno nie powiedział admirałowi – było zatrzymanie jak największej liczby emigrantów zarobkowych na Zachodzie. Było to w ich rodziny pozostawione w Polsce, pozostawiając je bez środków do życia i rozdzielając na czas nieokreślony. Informacje o zjawisku eurosierot dotarły nawet do Komisji Europejskiej. Vandenoort nie przebiegał w środkach. „Bezwzględny skurwysyn”, pomyślał o nim Denters.

Nie miał powodu, by przetrzymywać dłużej tych ludzi. Inspekcja przetrząsnęła prom niemal od zęz po topy masztów. Gdyby mieli coś znaleźć, już by znaleźli.

– W porządku – rzekł. – Komandorze, proszę wycofać inspekcję z promu i odesłać ich pierwszego oficera.

Mesdegaard chciał już potwierdzić odbiór rozkazów i odejść, gdy Denters nagle coś sobie przypomniał.

– Aha – rzekł. – Proszę przekazać samolotom patrolowym, żeby śledziły ten prom.

ORP Orzeł, Gdynia-Oksywie **godz. 22:15**

Rozkaz nadszedł nagle. Okręt stał przy pirsie portu wojennego. Załoga miała zakaz opuszczania bazy. Pełna gotowość od początku konfliktu nie przełożyła się na żadną sensowną aktywność. Podwodniacy gnuśnieli w bazie. Załoga miała w większości wyrobione zdanie: gdyby posłano ich do walki, spuściliby EAF niezły łomot. Bezczynność działała na nich przygnębiająco.

Kuczwański niemal przybiegł na okręt. Marciniak wyszedł właśnie na kiosk. Dowódca wspiął się błyskawicznie.

- Zarządź zbiórkę. Rano wychodzimy w morze – wypalił.
- Jakie zadanie?
- Rozkazy poznamy na morzu.
- Niedobrze. Warto byłoby wiedzieć, na co się przygotować.
- Ważne, że kończy się to przymusowe bezrobocie. Ludzie zaczęli wywracać się na lewą stronę.

Marciniak rzucił odpowiednie rozkazy wachtowym. Mieli sprawdzić stan załogi i przygotować okręt do wyjścia w morze.

- O której wyjście?
- O piątą. Będzie widno, ale żadnego pieprzonego satelity zwiadowczego nad głową. Śmigłowce i fregaty wyczyszczą nam drogę.
- To i tak każdy głupi połapie się, że wychodzimy.
- ...ale EAF nie przechwyci nas u wyjścia z Gdyni – zauważył Kuczwański.
- Co z tym ich okrętem podwodnym?
- Zniknął. Właśnie dlatego dostaliśmy asystę.

Kuczwański zajął się gonieniem i bezszaniem ludzi. Robił to z typowym dla niego wybuchowym entuzjazmem. Nikt jednak nie narzekał. Ludzie cieszyli się, że wreszcie zaczynają działać.

Prom *Xenia*, na zachód od Bornholmu godz. 23:10

Pasażerowie promu odetchnęli z ulgą, widząc zbierających się do odpłynięcia żołnierzy, i welbot powracający od strony fregaty z pierwszym oficerem. Śmigłowiec odleciał już dawno. Było jasne, że inspekcja dobiegła końca.

- Mam nadzieję, że dadzą nam spokój – rzekła Agnieszka.
- Szukali, szukali, ale nie znaleźli. Odczepią się – stwierdził Adam. Gdyby zamierzano ich zatrzymać, żołnierze pozostałoby na pokładzie – Leszczyński, który jako jeden z niewielu ze swego rocznika trafił po studiach do wojska i nieco orientował się w działaniach militarnych.

Ludzie pomалу rozchodzili się po pokładzie, układając się do snu na prowizorycznych posłaniach, karimatach, śpiworach, ubraniach, a nieraz wprost na pokładzie. Byli zmęczeni nie tylko napięciem inspekcji, ale i rejssem w mało komfortowych warunkach na promie nadającym się jedynie do znacznie krótszych rejsów. Nadchodziła noc – ostatnia, czwarta noc na pokładzie *Xeni*. Mimo to wśród pasażerów panowało uczucie ulgi. Jeśli wszystko pójdzie dobrze – przed południem będą w Trójmieście. Nie przywykli do czekania, wystarczająco długo czekali, by wyrwać się z Anglii. Świadomość, że są już tylko kilkanaście godzin od Polski, napawała radością, ale i zniecierpliwieniem.

Welbot został wciągnięty na pokład. Szary okręt wojenny zamigał jeszcze aldisem, przy jego rufie zakotłowała się woda. Maszyny *Xeni* ruszyły. Pokład zawibrował, prom ruszył z miejsca. Z minuty na minutę, coraz dalej zostawiał na tle ciemnego zachodniego nieba wielką, holenderską fregatę.

Powidz, baza lotnicza 27 lipca, godz. 0:07

- Panowie, to wszystko na nic.

Łysoń wypowiedział tę opinię bez entuzjazmu. Nie mieli pomysłu na ugrzyzienie sił EAF. Do dyskusji o Roskilde nie wrócili. Po wielu godzinach w sali odpraw, otoczeni masą map, materiałów wywiadowczych, charakterystyk broni przeciwnika, nie osiągnęli niczego. Lotnicy zgłaszali różne pomysły, które oka-

zywały się do bani, zanim jeszcze pomysłodawca skończył się wysławiać, albo wkrótce potem. To było jak rzucanie grochem o ścianę. Świadomość własnej bezradności była cholernie frustrująca.

– Zwijajcie się spać. Nic tu po was – zakończył burzę mózgow Nowaczyk.

Marciniak pomyślał, że to najbardziej sensowny rozkaz, jaki od dawna usłyszał. Latał wciąż dwa razy na dobę, a w jego zegar biologiczny zgrzytały już chyba wszystkie tryby i jęczały sprężyny. To była pierwsza od dawna noc, gdy mógł przespać się do rana.

Lotnicy rozeszli się, żegnając się półsłówkami. Marciniak dowlóknął się do kwatery, padł na łóżko i szybko zasnął.

Nie był to jednak sen, o jakim marzył. Nie przyśniła mu się młoda, piękna kobieta, nie przyśnił mu się urlop ani rodzinny dom. W jego śnie ziemia migąła pod lecącym kosiakiem odrzutowcem, a na horyzoncie, w jasnych łunach odpaleń i pióropuszech dymy, startowały w niebo rakiety ziemia-powietrze.

Bałtyk, na północny wschód od Helu, godz. 4:32

Dwa niebieskoszare śmigłowce ZOP *Mi-14 PŁ* leciały w stronę otwartego morza na północ od półwyspu helskiego. Pogoda była do bani, niskie chmury, silny, porywisty wiatr i wzburzone morze nie tylko utrudniały lot, ale i obniżały skuteczność poszukiwań. Powodowany przez fale hałas zagłuszał poszukiwane dźwięki i choć można je było do pewnego stopnia odfiltrować, to trudno było w tych warunkach oczekiwać fajerwerków skuteczności.

Dowodzący sekcją ZOP komandor podporucznik Napierała w myślach zbierał wszelkie fakty i przypuszczenia. *U-23* zniknął z bazy Eckernförde tydzień temu. Dowództwo Marynarki podejrzewało, że najprawdopodobniej jedyny okręt podwodny EAF zakradł się w pobliże którejś z głównych baz, by śledzić polskie okręty i ewentualnie zablokować je w porcie. Dwa dni poszukiwań prowadzonych przez załogi śmigłowców *Sea Sprite* nie potwierdziły jednak tej hipotezy. Udowodnienie, że okrętu tam nie ma, było niemożliwe, dopóki nie pojawiłby się gdzieś na powierzchni w innym miejscu – na przykład ponownie w bazie czy w jednym z portów. Dowództwo wołało dmuchać na zimne, dlatego po intensywnej akcji poszukiwawczej *Sprite'ów* posłało do akcji swojego asa atutowego.

Rozkaz był jasny: przeszukać rubież na granicy wód terytorialnych na północ od Helu. Wcześniej *Sea Sprite'y* sprawdziły dokładnie rejon Helu – miejsce doskonale nadające się do zastawienia pułapki na wychodzące z Zatoki okręty.

Rezultat był zerowy. Napierała spodziewał się tego. Zaczajenie się tuż przy Helu stwarzało duże szanse, ale i znaczne ryzyko. W razie wykrycia lub po przeprowadzeniu ataku okręt podwodny musiałby uciekać co najmniej dwanaście mil do granicy wód terytorialnych, w znacznej części po płytkich wodach, pozostawiając na powierzchni, mimo przebywania pod wodą, wyraźny kilwater. Obecna sytuacja nie usprawiedliwiała aż tak drastycznego ryzyka. Napierała był pewien, że okręt czai się na głębszych wodach eksterytorialnych.

Przeczcucie mówiło mu, że go napotka.

Niepokój Napierały budziło jedynie uzbrojenie. Z niezrozumiałych dla niego powodów dowództwo wyznaczyło do zadania egzemplarze śmigłowców nieprzystosowane do przenoszenia nowoczesnych torped *MU-90*. Sześć zmodernizowanych *Mi-14* pozostało w Darłowie. W komorach uzbrojenia obu jego śmigłowców czekały gotowe do użycia, stare, poradzieckie *AT-1*. Pod względem nowoczesności układów naprowadzania nie warto było ich nawet przyrównywać do *MU-90*. Prawdopodobieństwo zniszczenia celu przy ich użyciu było znacznie niższe od tego, które dawały nowe nabytki Marynarki. Miały też inne wady, jak choćby te, że nie bardzo znosiły upadek przy zbyt dużej prędkości. Z tego powodu nigdy nie były używane na samolotach ZOP, a jedynie na śmigłowcach. Instrukcja zabraniała też użycia ich na wodach, których głębokość nie przekraczała 80 metrów. Wody, które mieli przeszukać, były zaledwie nieznacznie głębsze.

Zaczęli dopiero niemal czterogodzinny patrol, z którego trzy godziny miały przebiegać tak właśnie, jak teraz – w zawisie, tuż nad wodą. Specjalnie na tę okoliczność przylecieli do Babich Dołów, przenocowali, wystartowali rano z maksymalnym zapasem paliwa. Taka to była robota – długie godziny bezowocnego, żmudnego poszukiwania i czasem jakieś znalezisko. Czekały ich trzy godziny ciężkiej pracy, na szczęście dość bezpiecznej, bo pod osłoną własnych myśliwców – no i w locie, a nie na czterech literach na ziemi. Większość konfliktu z EAF właśnie przesiedzieli, jedynie od czasu do czasu macając okręty EAF pokładowym radarem.

- Bryłu, masz coś? – spytał Napierała.
- Na razie cisza – odrzekł Bryłowski. – Fala tak hałasuje, że jeśli coś znajdziemy, będziemy mogli mówić o szczęściu większym, niż przy bliskim spotkaniu z *MiG-iem*.
- Przenosimy się?
- Jeszcze minutę.

Po kolejnej minucie nasłuchu pasywnego i kilku impulsach aktywnych Bryłowski zwinął zanurzany sonar. Pława sonaru nie zdążyła znaleźć się jeszcze

przy kadłubie śmigłowca, gdy Napierała podniósł maszynę i poleciał na północny zachód. Półtorej mili dalej w stronę Helu opuścili sonar ponownie, by po paru minutach bezowocnych poszukiwań wykonać następny skok. I tym razem nic nie wykryli.

Po półgodzinie poszukiwań postanowili oddalić się od lądu i sprawdzić linię wzdłuż granicy wód terytorialnych. Kiedy Brylowski skończył przeszukiwanie przybrzeżnych płycizn przy Helu w pobliżu wraku niemieckiego torpedowca *T-5*, przelecieli 10 mil na północny wschód. Napierała skreślił pod wiatr i zatrzymał rozpedzoną maszynę niemal dokładnie na granicy wód terytorialnych. Brylowski opuścił sonar.

Nie wisieli jeszcze dwóch minut, kiedy Brylu wykrzyknął:

– Mam kontakt! Prawdopodobnie jednostka podwodna, namiar jeden trzy siedem!

Mieli podwodniaka po prawej z tyłu – na wschód od nich.

– Pewniak? Nie żaden hałas tła? – zapytał Napierała.

– Wyraźnie dźwięk sztucznego pochodzenia. Oznaczam go jako S1.

Wisieli trzy minuty. Napierała przywołał drugi śmigłowiec, który zaczął zrzucić pławy hydroakustyczne.

– Możesz powiedzieć coś więcej? – spytał Napierała.

– Na razie niewiele. Jednostka o napędzie elektrycznym, śruba chyba sześć- lub siedmiołopatowa.

– Namiar pewny?

– Jak to, że nazywam się Brylowski.

– W porządku. Wyciągaj wędkę, zarzucamy na namiar krzyżowy.

Ponieważ usiłowali namierzyć okręt przeciwnika tylko pasywnie, nasłuchując wytwarzanych przez niego hałasów, określenie jego położenia wymagało namiaru krzyżowego. Namiary kierunkowe wzięte z dwóch różnych miejsc przecinając się, pokazywały przybliżone położenie przeciwnika.

Napierała poleciał na południowy wschód. Podczas gdy on prowadził maszynę według wskazań Gęsickiego, Adamowicz powiadomił dowództwo. Półtorej minuty później i dwie mile morskie dalej ustawił ponownie maszynę pod wiatr i znowu opuścili sonar.

– Kontakt! Namiar trzydzieści pięć, identyczny z S1.

Z przecięcia namiarów wynikało, że cel był blisko – nie więcej niż półtorej mili od nich...

– Mamy go! – wykrzyknął Napierała. – Spróbuj powiedzieć coś więcej, a ja pogadam z lądem. Niech tylko dadzą zgodę, to spuścimy mu na łeb pigułkę...

- To prawdopodobnie 206, szefie. Niemal z pewnością – rzekł Brylowski, nie mniej podekscytowany od swojego dowódcy. – Śruba siedmiolopatawa, profil pasuje, jest blisko, słuchać go dobrze, niemal bez zniekształceń. Robi cztery węzły.

Napierała już kłócił się z lądem. Nie miał zgody na atak. Ktoś w dowództwie miał wątpliwości – rzekomo dlatego, że okręt był poza polskimi wodami terytorialnymi.

- Co z tego, że jest poza wodami?! – niemal krzyknął Napierała. – Nie przyłynęli tu na wakacje! Jak ich wetnie, to będziemy ich szukać przez miesiąc. A co będzie, jeśli będziecie musieli wyjść okrętami z Gdyni?
- Musimy skonsultować to z dowództwem floty – padła odpowiedź. – Śledźcie ich i nie pozwólcie im się zgubić.
- Zrozumiałem – burknął Napierała i wyłączył radio. – Jak ich mam nie zgubić? Kiedy połapią się, że ich śledzimy, zwieją w otwarte morze. Zostawią nam pozorator, a sami wrócą, kiedy nie będziemy mieli już paliwa na patrole. Czym oni tam myślą?
- Może boją się politycznych konsekwencji ataku na okręt poza wodami terytorialnymi? – spytał Gęsicki.
- Niech już lepiej boją się własnych żon! – warknął Napierała – EAF nie obawiał się politycznych konsekwencji, kiedy bombardował nasze wybrzeże. Powinniśmy im przypieprzyć – tu i teraz! Pajace!

Stali w zawisie czekając na pozwolenie. Cel płynął leniwie stałym kursem.

U-23

- Kontakt! Prawdopodobnie śmigłowiec! Namiar trzysta!

Okrzyk hydroakustyka przerwał graniczące z sennością zamyślenie Freitaga. Oficer podniósł głowę. Okręt poruszał się na bezpiecznej głębokości 40 metrów, wystarczająco daleko od dna, wystarczająco daleko od powierzchni, by nie zostać przypadkowo zauważonym przez przelatujący samolot i z dala od jednostek nawodnych, które mogłyby go rozjechać.

- Jak szybko się przemieszcza? – spytał.
- Praktycznie wcale. Chyba stoi w zawisie.

Doczekaliśmy się – pomyślał Freitag. W zawisie to na pewno śmigłowiec przeciwpodwodny, bo raczej nie jednostka ratownicza.

- Ster w prawo na kurs trzysta trzydzieści.

Niedobrze, cholera. Mieli groźnego, bo zdolnego szybko przemieszczać się przeciwnika, który mógł przyłapać ich na płyciźnie.

Zamierzał oddalić się od tego cholernego śmigłowca i nie ryzykować. Jeśli zostanie wykryty, to i tak diabli wezmą cały pobyt tutaj. Nie to było jednak najgorsze.

- Sonar do dowódcy. Tracę kontakt.

U-23 zakręcał powoli. To był niebezpieczny moment. Ustawiali się rufą do śmigłowca, tracąc go z pola widzenia sonaru. Freitag mógł równie dobrze zrobić zwrot przez lewą burzę, cały czas mając śmigłowca na oku, czy raczej na elektronicznym uchu sonaru. Tyle tylko, że podszedłby bliżej tamtego, zwiększając ryzyko wykrycia...

- Sonar, zamelduj, gdy go usłyszysz ponownie.

Mi-14PŁ

Kolejny okrzyk Bryłowskiego omal nie postawił Napierały na baczność w kokpicie.

- Szeffie, zamiar nie ulega zmianie. Cel zakręca!

- Kurwa mać, usłyszał nas! – zaklął Napierała. Naruszający wody terytorialne okręt podwodny EAF właśnie mu się wymykał, a w dowództwie zapewne debatowali, co o spuszczeniu mu na łeb piguły powiedzą zachodnie telewizje.

- Co robimy? – spytał Adamowicz.

- Czekamy – mimo iście nuklearnego temperamentu Napierała potrafił zachować zimną krew. – Niech myśli, że go nie usłyszeliśmy. Słyszysz go, Brylu?

- Głośno i wyraźnie!

- Dobrze chociaż to! Trzymaj go i nie zgub!

- Bez obawy szefie! Niech tylko dadzą nam zgodę, to dobierzemy mu się do dupy. Zdaje się, że zrobił w tył zwrot.

Napierała miał ochotę jeszcze raz zakląć, ale powstrzymał się ze względu na resztę załogi. Pierwszy raz w życiu miał okazję – i to naprawdę perfekcyjną – naprawdę przyłożyć okrętowi podwodnemu. Całe życie do tego się szkolił. Do tego tym chamom z EAF naprawdę się to należało. Co z tego, skoro dowództwo uparcie milczało.

U-23

Sytuacja była ciężka, ale nie beznadziejna. Przeciwnik nie ruszył się ani nie zaatakował. Albo ich nie zauważył, albo namierzał.

- Sonar do dowódcy. Mam kontakt z celem. Namiar bez zmian.
- Prędkość trzy węzły, zejść na sześćdziesiąt metrów!
- Tu sonar. Jest drugi śmigłowiec. Namiar jeden osiem dwa i się zmienia. Boja aktywna w wodzie.
- Jak silny sygnał?
- Poniżej wykrywalności.

Podczas gdy obsada centrali powtarzała rozkazy, Freitag przebiegł wzrokiem po twarzach ludzi. Wyczytał z nich napięcie.

- Nie usłyszał nas – powiedział. – Gdyby usłyszał, już goniłaby nas torpeda. Cofniemy się i wrócimy, gdy polecą dalej.

Zauważył, że marynarze nieco się rozluźnili. Wszyscy mieli świadomość, że Polacy nie będą się cackać. Freitag był zadowolony z tego pierwszego spotkania z uzbrojonym wrogiem. Do tej pory widzieli tylko cywilne, niewielkie jednostki – głównie kutry i trawlerzy i żadnego frachtowca czy innego statku towarowego. Poszło nieźle, nie dali się wykryć i zaskoczyć.

- Na kursie trzysta trzydzieści – zameldował sternik.
- Bardzo dobrze – rzekł Freitag.
- Sonar do dowódcy. Cel przemieszcza się za rufę. Tracę kontakt.

Freitag uznał, że śmigłowiec dalej prowadzi poszukiwania. Jednak ostrożności nigdy za wiele.

- Ster w prawo, na kurs zero trzydzieści – rozkazał. Chciał ustawić okręt w taki sposób, by śmigłowiec nie znalazł się ani przez chwilę w martwej strefie sonaru za rufą. Mógł zaskoczyć ich stamtąd, nadlecieć i zrzucić bombę głębinową, a nawet poczęstować torpedą. Dowiedzieliby się o tym zbyt późno. Komandor miał nadzieję, że patrol miał ładunek do poszukiwania okrętów podwodnych, a nie poszukiwawczo-uderzeniowy. Mógł mieć nadzieję, ale nie pewność. W każdym razie powinien unikać wykrzyca.

Okręt zaczął skręcać. Freitag czekał na meldunek o odzyskaniu kontaktu ze śmigłowcem. Zastanawiał się, jak podejść do granicy polskich wód terytorialnych, gdy usłyszał okrzyk hydroakustyka:

- Torpeda w wodzie!

Mi-14PŁ

Wyczekiwany sygnał z łądu wreszcie nadszedł.

– Zefir jeden, tu Eos, masz pozwolenie na otwarcie ognia.

Napierała potwierdził i przełączył się na interkom:

– Nareszcie! – wykrzyknął – Sonar z wody. Przygotować torpedę!

Miał nadzieję, że nie zwlekali zbyt długo. Przeciwnik już odkrył ich obecność. Zaskoczenie diabli wzięli. Będzie trudno coś zdziałać.

Mi-14 ruszył z zawisu, zabierając za sobą sonar. Brylowski był pewien, że przeciwnik zrobił „w tył zwrot”, lecieli więc zrzucić mu torpedę za rufę.

– Przylecą po nas posprzątać – skwitował to Napierała. Po ocenie Brylowskiego jego ocena szans na sukces zdecydowanie wzrosła. Przy odrobinie szczęścia szwaby usłyszą torpedę na krótko przed tym, zanim da im ona kopa w tyłek.

Nie minęła minuta, gdy torpeda *AT-1* wypadła z luku *Mi-14* i podążyła ku morzu, stabilizowana niewielkim spadochronem. Pocisk wpadł gładko do wody z niewielkim pluskiem. Na miejsce akcji wrócił z rozstawiania pław drugi *Mi-14PŁ*.

U-23

– Ster w prawo na zero dziewięć zero! Zanurzenie 60 metrów! Cała naprzód awaryjna! – wykrzykiwał komendy Freitag. – Wyrzucić pozoratory!

Zwrotny *206* szybko skręcał w prawo. Nabierał prędkości. Mimo że torpeda wpadła do wody blisko, Freitag otrząsnął się błyskawicznie. Rozkazy wyrzucał z siebie automatycznie. W końcu szkolił się wiele lat i przeżył niejedną taką sytuację na ćwiczeniach. Tyle tylko, że to nie były ćwiczenia. Ścigała ich prawdziwa torpeda z najprawdziwszą głowicą bojową. Freitag poczuł, że się poci. Miał nadzieję, że uda mu się uniknąć ciosu.

Na okręcie rozległ się ping – charakterystyczny, wysoki dźwięk, wydawany przez aktywny sonar naprowadzający torpedy. Freitagowi ciarki przeszły po plecach. Odgłos powtarzał się w szybkiej sekwencji, co oznaczało jedno – torpeda uchwyciła cel i przeszła do ataku. *U-23* wyrzucił wabie – niewielkie urządzenia wytwarzające hałas i chmurę pęcherzy powietrza, tworzące pozorny cel dla pasywnych i aktywnych układów naprowadzania torped. Szybko schodzili głębiej – nie tylko dlatego, by zmylić torpedę, ale i by nie zostawić na powierzchni kilwatu.

– Sonar do dowódcy! To *AT-1*!

Freitag odczuł nieznaczną ulgę. Atakował go *Mi-14PL*, w kodzie NATO nazywany *Haze-A*. Z jakichś nieznanych powodów śmigłowiec nie zrzucił supernowoczesnej, cichobieżnej *MU-90*, w jakie ostatnio uzbroili się Polacy, tylko starą poradziecką *AT-1*. Jednak ta była zabójcza i trzeba było ją wymanewrować. A nie bardzo było gdzie uciekać...

U-23 wyciągał już 10 węzłów. Prędkość rosła, ale za wolno. 12 węzłów. Okręt wolno zwracał dziób ku wschodowi. 15 węzłów. Częstość pingów gwałtownie rosła. Torpeda była coraz bliżej...

– Ster lewo na burt. Kurs zero! Wyrzucić wabie!

U-23 pędził już z prędkością 17 węzłów. Wszedł w ciasny zwrot, wrzucając w pozostawiony za rufą wodny wir pozoratory. Dziób szybko zataczał łuk w lewo. Pingi były coraz częstsze i bardziej natarczywe...

– Ster maksymalne wychylenie w lewo! W dół na 70 metrów! Wyrzucić wabie! Alarm zderzeniowy!

Freitag z przerażeniem słuchał pingowania, które przeszło już niemal w ciągłe dzwonienie. Instynktownie zacisnął ręce na poręczy, tak, jakby to mogło pomóc. Jeżeli torpeda trafi, będzie po nich – *U-23* nie miał przedziałów wodoszczelnych. Eksplozja puści go na dno bez żadnych ceregieli.

Ludzie w centrali zamarli w oczekiwaniu na cios. Zamiast wybuchu usłyszeli wycie silnika torpedy, która przemknęła gdzieś nad nimi. Cholernie blisko! Freitag otarł pot z czoła i wypuścił powietrze z płuc. Pingowanie ustało.

– Sonar do dowódcy! Torpeda zmienia namiar! Minęła nas!

– Sam słyszę, do cholery! – zagrział Freitag, po czym zmytygował się: – Przepraszam, sonar. Dzięki za meldunek.

Dziób oscylował już wokół północy. Torpeda szalala za rufą. To był cholernie niebezpieczny moment. Pocisk zacznie zaraz na nowo poszukiwać celu. Jeśli zrobi zwrot w prawo, na południe, zacznie oddalać się od *U-23*. Jeśli skręci w lewo, znowu będą mieli ją na karku...

– Sonar, co z torpedą?

– Centrala, torpeda zmniejszyła prędkość. Szuka nowego celu...

Bach! Aktywny impuls z torpedy trafił w kadłub *U-boota*. Za chwilę – kolejny.

– Sonar do dowódcy! Torpeda w stałym namiarze. Namierza nas sonarem, chyba nas wykryła!

– Kurs 300, wyrzucić wabie.

Kolejna para pozoratorów opuściła wyrzutnie *U-23*. Okręt pędził z maksymalną prędkością na północny zachód. Zyskali jakąś minutę przewagi nad pociskiem. Nie było to wiele – jakieś 500-600 metrów, odległość dalece niewy-

starczająca do wydostania się poza zasięg wykrywania pocisku. Mimo to sytuacja się poprawiła – torpeda była dalej niż po zrzuceniu, miała mniej paliwa, a oni mieli więcej miejsca do manewrowania.

– Sonar do centrali. Namiar na torpedę się zmienia. Złapała wabie.

Po dwóch minutach ciągłego sprintu na zachód Freitag polecił wyrzucić jeszcze jedną parę pozoratorów i zmienił kurs bliżej północy. Oddalając się od miejsca wykrycia i ataku zastanawiał się, co zrobi drugi śmigłowiec. Przeciwnik mógł mieć jeszcze jedną torpedę.

Mi-14PŁ

Bieg wydarzeń wywołał konsternację w kabinie *Mi-14*. Spodziewając się eksplozji krótko po zrzuceniu torpedy Napierała przesunął śmigłowiec o tysiąc metrów na zachód od wyliczonej pozycji *u-boota*. Tu, w zawisie, opuścili ponownie sonar, by na krótko uzyskać kontakt i utracić go w szumie postawionych między okrętem a śmigłowcem pozoratora i w hałasie ścigającej podwodniaka torpedy. Bryłowskiemu na krótko udało się ponownie odzyskać kontakt, gdy okręt po raz drugi został wykryty przez torpedę. Mimo trzech hałasujących pozoratorów porucznik prawidłowo odtworzył trasę ucieczki *U-23*. Zorientował się też, że torpeda zgubiła cel i zajęła się wabim.

– Jasna cholera, gdyby nie opieprzali się tak w dowództwie, byśmy go mieli! – zirytował się Napierała.

– Cwany skurczybyk musiał szybko usłyszeć torpedę – ocenił Bryłowski. – Połapał się błyskawicznie. Gdyby nie to, też byśmy go dostali. Dobry jest.

– I tak go dorwiemy – stwierdził Napierała. – Możesz go namierzyć?

Bryłowski manipulował chwilę przy aparaturze.

– Moim zdaniem wieje na zachód.

Napierała nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Nakazał drugiemu ze śmigłowców zrzucić torpedę w oznaczonym przez siebie pławą dymną miejscu. Podnieśli sonar i polecili w kierunku *U-23*. Zrzucili pławę niedaleko od miejsca, w którym *U-23* wyrzucił czwarty zestaw pozoratorów.

Około półtorej minuty później drugi śmigłowiec przeleciał nad pławą, zrzucając kolejną torpedę *AT-1*.

U-23

– Torpeda w wodzie! Namiar jeden dwa dwa!

Okrzyk hydroakustyka odpowiedział Freitagowi na pytanie, które ten zadał sobie niespełna minutę wcześniej. Znowu mieli torpedę w prawej tylnej ćwiartce. I znowu mieli kupę szczęścia, że ją w porę usłyszeli. A może wcale nie było to szczęście? Freitag nie miał czasu zastanawiać się, czy to los mu sprzyja, czy po prostu on sam jest taki dobry w te klocki. Zorientował się już, że dowódca polskiego patrolu ZOP jest niezłym taktykiem i szybko podejmuje trafne decyzje. W wodzie była kolejna torpeda. Znowu zrzucili mu ją prawie za rufą.

- Kurs zero trzy zero, zwolnić do ośmiu węzłów – rozkazał Freitag. Komandor chciał zorientować się w kierunku biegu torpedy. Musiał w tym celu zwrócić dziób w prawo, by nie przeszła mu do martwej strefy za rufą, a zarazem zorientować się, w jaki sposób zmieni się namiar. Ryzykował jednak – zamiast uciekać od obu torped, niebezpiecznie w stronę pocisku na wschodzie, który cały czas szukał celu, co chwila atakując wabie, i od którego nie oddalił się jeszcze wystarczająco – Sonar, co słyszysz?
- Torpeda zmienia namiar... cały czas w prawo... pinguje... przyspiesza... chyba złapała pozorator!

Nagła eksplozja cisnęła okrętem. Freitag zatoczył się na pokładzie. Gdzieś posypało się szkło. Światło zamigotało i wróciło do normy. W pierwszej chwili pomyślał, że zostali trafieni. Otrząsnął się jednak błyskawicznie.

- Sprawdzić szczelność okrętu! Meldować o uszkodzeniach! Sonar, co to było?
- Druga torpeda, chyba trafiła w pozorator albo uderzyła o dno.

Załoga sprawdzała szczelność okrętu. Siłą eksplozji zrobiła wrażenie na wszystkich. Nikt nie miał wątpliwości, że gdyby trafiła, zginęliby wszyscy.

- Drobne zniszczenia. Okręt szczelny – zameldował zastępca Freitag, porucznik Hermann Klein.
- Kurs dwa dziewięć zero. Cała naprzód. – rozkazał Freitag. Chciał wykorzystać hałas spowodowany eksplozją i przemieszczeniem mas wody. Mógł on potrwać dłuższą chwilę i zamaskować ich odwrót z miejsca, w którym został zaatakowany.

Freitag uciekał na zachód, z niewielkim odchyleniem ku północy. Wiedział, że załogi śmigłowców zorientują się, iż spudłowały. Wtedy w pierwszej kolejności zaczną szukać go na północy.

Nie zamierzał jednak pozostać w pobliżu polskich wód terytorialnych. Teraz gdy został wykryty, pożytek z jego obecności był żaden, a ryzyko, że zostaną zatopieni, rosło z każdą chwilą.

Mi-14PŁ

Zdążyli opuścić do wody sonar pół mili od dymnej pławy, gdy w powietrze wystrzeliła potężna kolumna spienionej wody. Odgłos eksplozji, stłumiony basowym warkotem silników, dotarł do uszu lotników niemal równocześnie z widokiem skutków wybuchu.

- Dostał? – spytał bez entuzjazmu Napierała. Nawet jeżeli *u-boot* oberwał, to nie ich torpedą.
- Chyba nie – odrzekł Brylowski. – Za szybko wybuchła.
- Podnosimy sonar i lecimy szukać szczątków – zdecydował Napierała.

Półtorej minuty później Mi-14 stał w zawisie nad miejscem detonacji. Woda była jeszcze spieniona, unosił się w niej wzburzony wybuchem muł i pęcherzyki powietrza, będące produktem eksplozji. Gęsicki otworzył nawet furkę i wyglądał na zewnątrz omiatany strumieniem powietrza z wirnika. Niczego jednak nie dostrzegł – ani plamy oleju, ani pływających ciał czy szczątków.

- Spudłowaliśmy – rzekł w końcu.

Napierała uparł się, by jednak wykończyć podwodniaka.

- Na pewno nie poszedł w kierunku jeszcze aktywnej torpedy. Niech dwójka leci na północny zachód. My spróbujemy namierzyć go sonarem na zachód stąd.

Oba śmigłowce zużyły już swoje torpedy, nie miały więc czym przyładować Niemcowi. Staraly się jednak utrzymać kontakt, nim druga para maszyn, z pełnym uzbrojeniem, przyleci w rejon poszukiwań.

U-23

Sonar zameldował, że odgłosy śmigłowców zanikają. Mieli znaczne szanse, by urwać się prześladowcom. Ci zużyli już wprawdzie posiadane torpedy, ale było jasne, że za chwilę zjawi się kolejna para z nowym ładunkiem amunicji. Freitag wymanewrował już dwa pociski i niespecjalnie miał ochotę na kolejne. W ciasnym wnętrzu *u-boota* spociał się jak mysz. Blond włosy kleiły mu się do czoła.

Pod osłoną hałasu powstałego po eksplozji, okręt z trudem wymknął się śmigłowcom, uciekając pełną mocą na zachód, potem na północ. Gdy przycichły rewerberacje, komandor rozkazał zmniejszyć prędkość do czterech węzłów i zmienił kierunek na północny wschód, a potem na wschód. Zerwał kontakt, gdy po trwającym przez kilkadziesiąt minut sprincie baterie akumulatorów naładowane były chyba tylko przemożną chęcią ucieczki.

U-23 skradał się cicho przy dnie, nasłuchując. Cztery węzły to był paskudny kompromis. Freitag wolałby iść wolniej, ciszej i zarazem oszczędniej, ale musiał wycofać się z przeszukiwanego przez śmigłowce akwenu, zanim ściągną uzbrojone posiłki. Zarazem nie mógł iść szybciej, by nie hałasować i nie wyczerpać do końca zapasu energii. Gdy tylko odejdą na bezpieczną odległość, wyjdą na peryskopową i podładują akumulatory, korzystając z chrapów.

Powiedział Kleinowi, że zamierza wycofać się z granicy polskich wód terytorialnych. Zastępca nie skomentował tego, jedynie przytaknął. On też uważał, że *U-23* wypełnił już swoje zadanie.

Mi-14PL

Maszyna Napierały mknęła nisko nad wodą w kierunku wybrzeża. Lotnicy marynarki wojennej spierali się, co było przyczyną niepowodzenia.

- Za późno dostaliśmy zezwolenie na przyładowanie szkopom! – perorował Napierała. – Gdybyśmy od razu rzucili torpedę, już by leżał na dnie. Skubany zawrócił, i to nie dlatego, że w pobliżu była granica wód terytorialnych. Usłyszał nas i zwiął.
- Dobry był, skurczybyk – zaoponował Brylowski – Gdy tylko nas wykrył, nie pozwolił, żebyśmy znaleźli się w jego martwej strefie nasłuchu. Cały czas śledził nas sonarem i wiedział, kiedy torpeda wpadła do wody. Miał niewiele czasu na zrobienie uniku, ale wykorzystał go perfekcyjnie. Inaczej już by leżał na dnie.
- I te cholerne *AT-1*! Druga musiała uderzyć w dno! – złościł się dowódca.
 - Gdybyśmy wzięli *MU-90*, to te manewry nic by szkopowi nie dały. Na dwie jedna z pewnością by trafiła! Cholerny świat, pieprzone sztabowe pierdzistołki.

Brylowski tu gotów był przyznać komandorowi rację. Jaki, u diabła, jest sens wysyłania śmigłowców do zwalczania okrętów podwodnych z nie najnowszą bronią? Mimo wszystko nie był aż tak zły na zwierzchników, jak dowódca załogi. W końcu nikt nie daje chętnie zgody na strzelaninę, bo konsekwencje są nie do przewidzenia.

- Nie mamy co narzekać – usiłował zmitygować Napierałę – Przegoniliśmy drania i tyle. Nie sądzę, żeby tu pozostał.
- A jeśli jednak? – zapytał komandor. – Skoro nie leżą na dnie, mają swoją bodegę manewru.

„Racja”, pomyślał Brylowski. Jeżeli faceci w *u-boocie* dostali polecenie za-blokowania Gdyni, to wrócą tu i będą dalej czatować na polskie okręty – tyle

że już znacznie czujniej, ostrożniej i przebieglej. Na pewno nie dadzą się głupio złapać. Szkoda, że poszły obie torpedy, a i paliwa nie było po co wypalać, skoro za pół godziny przylecą zmiennicy. Napierała już o to zadbał. Trzeba będzie urządzić polowanie na znacznie większą skalę.

Dowództwo Marynarki doszło chyba do tego samego wniosku. Obserwując konsolę systemu *Leba*, Bryłowski dostrzegł dwa punkty oznaczające okręty nawodne, odrywające się od portu wojennego w Gdyni. Oba oznaczały fregaty klasy *Oliver Hazard Perry*.

Gdynia-Oksywie **godz. 5:40**

ORP Pułaski i *ORP Kościuszko* szły całą naprzód w szyku torowym, w odstępach mili morskiej, w stronę miejsca, gdzie śmigłowce Napierały stoczyły walkę z *u-bootem* Freitagą. Ich masywne, szare kadłuby wydawały się znacznie ciemniejsze w cieniu rzucanym przez chmury i przebijające się na wschodzie słońce. Ostre dzioby pruły agresywną, krótką falę, wyrzucając pienne odkosy, za rufami pienił się kilwáter. Przy pełnej prędkości sonarzyści na obu jednostkach nie słyszeli absolutnie nic. Liczyło się jednak szybkie podejście w rejon patrolowania. Dopiero tam mieli zwolnić i odrzucić potencjalnego przeciwnika. Daleko przed okrętami śmigłowce przeczesywały ciemne, wzburzone wody Bałtyku w poszukiwaniu podwodnego wroga. Na razie oba okręty były w miarę zabezpieczone przed atakiem spod wody.

Z tyłu, za hałasującymi przy maksymalnej prędkości fregatami, niepostrzeżenie wymknął się na wody Zatoki niewielki, czarny kształt. *Orzeł* wyszedł w morze zgodnie z planem. Oficerowie i załoga wiedzieli już o starciu śmigłowców z okrętem podwodnym. Wyjście w morze stanowiło ryzyko większe, niż jeszcze przypuszczali wieczorem. Oni musieli się poruszać, czyniąc niewielki i stłumiony przez dźwięki tła hałas, przeciwnik mógł zaś iść z szybkością zapewniającą sterowność, zachowując maksymalną ciszę. Przewaga taktyczna leżała po stronie *U-23*.

Kuczawski i Marciniak wiele daliby za to, by niemiecki okręt został zatopiony lub przynajmniej wykryty w określonym miejscu. Mogliby wtedy wytyczyć trasę omijającą najgroźniejszego dla nich przeciwnika. Niestety, nie zanosilo się na to.

Ponieważ sztabowcy Marynarki nie mieli do tej pory zbyt wiele do roboty, okręt został zaopatrzony w kilka planów działania, sporządzonych zawczasu

dla różnych sytuacji taktycznych. Jednak żaden z nich nie miał być na razie realizowany. Okręt miał udać się na pozycję wyczekiwania... i czekać.

Prom *Xenia* godz. 6:02

Pasażerowie promu długo czekali na tę chwilę. Idący podróżną prędkością prom wyszedł poza zasięg obserwacji radarowej okrętów EAF i wszedł w zwrot w prawo, na południe, w stronę Polski. Pasażerowie uczcili tę chwilę wiatami. Lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, że wczesnym popołudniem wejdą do Gdyni. Zmęczeni ludzie jakby odzyskali siły. Nic nie mogło już ich zatrzymać. Blokada EAF pozostała daleko na zachodzie. Przed nimi były puste wody międzynarodowe i pas wód terytorialnych. A za nimi – Polska.

Kurs obrany przez jednostkę kierował ją na spotkanie z wychodzącymi z Oksywia polskimi okrętami wojennymi. W ich stronę uciekał także przegnany przez Napieralę z granicy wód terytorialnych *U-23*.

Powidz, baza lotnicza godz. 7:15

Marciniak obudził się sam, bez pomocy budzika czy alarmowego telefonu. Kiedy otworzył oczy, uświadomił sobie coś dziwnego. Na lotnisku po raz pierwszy od dawna panowała cisza, jeśli nie liczyć podmuchów wiatru i szumu drzew. Powoli usiadł na łóżku i bez zbytecznego pośpiechu zaczął się ubierać. Jednocześnie wspominał sobie wczorajszą naradę i jej bezowocne zakończenie.

Męczyli się pół dnia, by dojść do wniosku, że cały pomysł rozbicia blokady można potłuc o kant tyłka. Problem wyglądał na nierozwiązywalny. Tyle godzin wytrzeszczania oczu w mapę, zgłaszania pomysłów, które ktoś inny zaraz torpedował zazwyczaj celną uwagą, sprowadzając pomysłodawcę na ziemię. Lepiej byłoby wypocząć przed kolejną porcją lotów dziś po południu – pomyślał, wkładając buty.

Naprawdę Zdanecki pokładał zbyt wielkie nadzieje w swoich lotnikach. A zresztą do diabła z nim. Sprawa była beznadziejna. Trzeba było kupować nowe samoloty i modernizować stare wtedy, kiedy był na to czas, czyli w latach pięćdziesiątych, a nie liczyć naiwnie na to, że w Europie zapanował pokój i miłość po wsze czasy. Dwanaście lat na podjęcie decyzji o zakupie wielozadaniowego myśliwca taktycznego właśnie dawało znać o sobie. Co można zdzia-

łać lotnictwem, które nie posiada morskich samolotów uderzeniowych ani porządnych rakiet przeciwookrętowych, zdolnych spenetrować obronę przeciwnika spoza jej zasięgu?

Ręka zawisła mu nad sznurowadłem. Lotnictwo nie posiada takich rakiet, ale posiada je marynarka.

Pomysł przyszedł nagle, jakby stowarzyszony z defetystyczną myślą. Skojarzenie było oczywiste. Aż dziwne, że na to nie wczoraj nie wpadli. Albo byli zbyt zmęczeni, albo zbyt przejęci, by zobaczyć oczywiste rozwiązanie. A może po prostu nie przeszkolono ich odpowiednio w tym kierunku. Zwłaszcza w zakresie taktyki walki na morzu.

Porzucił wiązanie butów i zaczął szukać długopisu i papieru, by zanotować wszystko, co przyszło mu do głowy. Długopis znalazł w bluzie mundurowej, kartkę wyrwał z notesu. Rozpisał w skrócie na niej założenia swoich planów. Po niespełna dwudziestu minutach siedzenia we wciąż niezawiązanych butach, niehigienicznego gryzienia końcówki długopisu i agresywnego sporządzania notatek, miał gotową koncepcję. No może niecałą – wiedział z grubsza, jak można przyłożyć okrętom, nie narażając się w stopniu samobójczym. Pozostała kwestia Roskilde. Żeby zrealizować pomysł, na jaki właśnie wpadł, musieli wyłączyć całkowicie lotnisko, choćby na kilka godzin.

Dawno coś takiego mu się nie przytrafiło – przespać się z problemem i mieć rano gotowe rozwiązanie. Ostatnie takie zdarzenie, jakie wyraźnie pamiętał, miało miejsce w liceum, gdy rozpracował arcytrudne zadanie z matematyki. Później podświadome rozwiązywanie problemów we śnie zostało stłumione przez nadmiar bieżących obowiązków. Wystarczyła jednak chwila luzu, by wróciło.

Doszedł do wniosku, że dobrze byłoby, gdyby ktoś jeszcze rzucił okiem na jego plan, nim zgłosi go zwierzchnikom. Czerwiński był odpowiednią osobą. Była też szansa, że pomoże mu w rozwikłaniu problemu z Roskilde.

Wyszedł z lokum, nie dbając o zamknięcie drzwi. Będąc na korytarzu, przypomniał sobie o niezawiązanych butach.

Czerwiński siedział rozbudzony w pokoju, przy niewielkim stoliku, po lewej ręce Marciniaka. Królaka nie było, przygotowywał się do porannego lotu. Michał przedstawił mu swój plan. Przymas słuchał pilnie, od czasu do czasu zadając krótkie pytanie.

– Plan jest niezły, ale ma jedną zasadniczą wadę: trzeba rozwalić Roskilde – stwierdził, gdy Marciniak skończył. – Nie powiedziałeś jak to zrobić. A nawet

gdybyś powiedział, to i tak nie zrobimy tego za jednym zamachem. To zostawi tym skunksom z EAF sporo swobody.

- Właśnie dlatego przyszedłem do ciebie. Może ty masz jakiś pomysł?
- Akurat. Jeszcze łeb mnie boli po wczorajszej nasiadówce. Mam większego kaca, niż gdybym poprzedniego wieczora chlał z tobą i Tkaczem.
- Gdybyś chlał tylko z Tkaczem – sprostował Marciniak. – A zresztą mniej-sza z tym, kto by chlał. Zaryzykowałbym większego kaca, gdybyśmy mieli do-bry plan.
- Na pewno wymaga dopracowania – rzekł Czerwiński. – Tak czy inaczej, lepsze to niż atak *kamikaze*.
- Zostaje jeszcze kwestia lotniska.
- Może poradzimy EAF, żeby wzięli sobie wolne na tę porę?
- Poślemy im Tkacza, żeby zorganizował im program rozrywkowy. Wziął ich na drinki i dziewczynki...

Czerwiński parsknął śmiechem.

- Tak czy inaczej byłoby to niezłe – powiedział. – My dzisiaj też nie latamy. Jaki spokój od razu. słyszysz?

- Co?
- No właśnie. Nic. Cisza.
- Też mi nowość – Marciniak wzruszył ramionami. – Tak już było za cza-sów mojej pierwszej bytności tutaj. Też nie lataliśmy, ale z braku pienią-dzy.
- Ale „cywile” latali nad wami...
- Nasi kochani cywilni zwierzchnicy?!
- Nie, bystrzacho. Oni wolą naparzać się w mediach. Mówię o maszynach cywilnych. Kryzys wymiółł je z naszego nieba. Kiedy ostatnio widziałeś smugi kondensacyjne za ekspresem Moskwa-Paryż 17:15? – zapytał Czer-wiński, mając na myśli popołudniowy ciąg samolotów pasażerskich z Rosji do Europy zachodniej – Cała ta hałastrą orze teraz nieboskłon nad Bałty-kiem.

Marciniak wyjrzał przez okno.

- Rzeczywiście. Przez cały ten czas nie zwróciłem na to uwagi. Przy takiej po-godzie jak dzisiaj czasem było z pięć maszyn komunikacyjnych w zasięgu wzroku. A dzisiaj żadnej...

Marciniak zaniemówił, wpatrując się w błękit nieba za oknem.

- Co cię tak zatkało? – spytał Przemas.
- Jasna cholera! – wykrzyknął nagle Michał.
- Co ty, u licha, nie wiedziałeś? – spytał zaskoczony Czerwiński – Łysoń gadał o tym na jednej z pierwszych odpraw...

– Do diabła z Łysoniem! – rzucił Marciniak – Chyba wiem, jak załatwić Roskilde.

– Zalewasz! – obruszył się Przemas. – No dobra – rzekł, stwierdziwszy po minie Marciniaka, że ten mówi poważnie – Gadaj, co wydumałeś.

Przez następne dwie minuty Marciniak wykladał mu swój plan.

– Jesteś zdrowo stuknięty! – ocenił Przemas. – Ale to nic. Ten numer może się udać! Tylko wciąż mamy zbyt wiele czasu między atakiem na Roskilde a dobraniem się do okrętów. Martwi mnie to, że po ataku na Roskilde ich okręty będą się nas spodziewać. Na pewno zbiją się razem, żeby się wspólnie bronić.

– To żadne zmartwienie, bo i tak musimy zaatakować te najsilniejsze. Zaskoczyć ich można tylko raz i trzeba to zrobić z lotniskiem – orzekł Michał. – Okręty zaskoczmy nie tyle samym faktem ataku, ile sposobem jego wykonania.

– Jest jeszcze jeden problem.

– Jaki?

– Jak zorganizować Niemcom neutralność. Jeśli wtrąca się *Eurofighters* z Laage, to bez „szesnastek” leżymy na łopatkach.

– To nie nasz problem, tylko polityków. Przedyskutujmy jeszcze naszą działkę.

Następną godzinę spędzili na szczegółowym analizowaniu słabych punktów pomysłu Marciniaka. I doszli do wniosku, że mimo wszystko plan jest wykonalny. Spisali wszystko w formie rozkazów operacyjnych dla poszczególnych jednostek. Kiedy uznali, że przemyśleli już wszystko, powstał problem, co z tym dalej zrobić.

– Idziemy z tym do Starego? – zapytał Marciniak.

– Chcesz poczekać, aż ktoś zgłosi jakiś pomysł w stylu kamikadze czy też pominąć drogę służbową?

– Wiesz jaki jest Łysoń. Upieprzy każdy mój pomysł...

– Wiem, że Łysoń cię nie znosi i z tego, co słyszałem, to ma swoje powody. To kawał nieznośnego pierdoły, ale też dowódca i lotnik. Raczej nie chce dać się zabić. Dlatego z radością zanieś twój pomysł Zdaneckiemu. Nie widzę powodu, żebyśmy mu podpadali, idąc z tym prosto do Dziadka.

– Dobra już. Pytałem tylko o twoją opinię...

– To ją znasz. Rusz się, zanim zaśniesz na siedząco.

– Muszę się najpierw napić kawy.

– Poprosisz Łysonia, żeby ci zaparzył. Jeśli plan mu się spodoba, na pewno się zgodzi.

Marciniak popukał się palcem w czoło.

U-23

godz. 7:35

Dwanaście mil morskich od miejsca starcia ze śmigłowcami Freitag nakazał wyjście na głębokość peryskopową. *U-23* nabrał przegłębienia na rufę i przez długich kilka minut wynurzał się, by zakończyć manewr tuż pod powierzchnią morza. Okręt wystawił nad powierzchnię maszt pasywnego rozpoznania sygnałów elektronicznych ESM. Aparatura pokazała kilka radarów lotniczych należących do śmigłowców *Mi-14* i *SH-2G SeaSprite*. Pojawiły się też wyraźne sygnały radarów okrętowych polskich fregat klasy *Perry*. Żaden z radarów nie stwarzał zagrożenia – sygnały miały zbyt małą moc, by radary wylapały echo odbite od peryskopu, anteny radiowej czy chrapów. Freitag był teraz pewien, że Polacy rozpoczęli zakrojone szeroko łowy na jego okręt na granicy swych wód terytorialnych.

- Sonar do centrali. Nowy kontakt w namiarze 310.
- Masz klasyfikację?
- Prawdopodobnie jednostka cywilna. Motorowiec, być może Ro-Ro. Oznaczam go jako Sierra 7.
- Peryskop w górę – rozkazał Freitag.

W niecałe 7 sekund obejrzał horyzont dookoła, ale w zasięgu wzroku nie było ani polskich samolotów, ani okrętów wojennych. Za to we wskazanym namiarze zamajaczyła biała, oświetlona rachitycznym słońcem sylwetka promu.

Komandor był dumny ze swojej załogi, a z obsługi sonaru w szczególności. Ekipa z marszu prawidłowo sklasyfikowała jednostkę nawodną. Sonar był najważniejszym sensorem okrętu – sprawne urządzenie i dobrze wyszkolona obsada znacznie zwiększały szanse przeżycia na polu walki.

- Wystawić chrapy! – rozkazał.

Rury doprowadzające świeże powietrze do diesli zostały wysunięte nad powierzchnię. Silniki zaskoczyły i zaczęły hałasować. Komandor ryzykował, ładując akumulatory blisko polskich jednostek, ale nie miał wyjścia. Energii zostało na dwadzieścia minut powolnej żeglugi na silnikach elektrycznych. Musiał podładować albo wynurzyć się i poddać.

Powinien nadać meldunek sytuacyjny do dowództwa. Denters powinien wiedzieć, że zostali zaatakowani z powietrza, i to, że opuścili swój posterunek. Tu jednak pojawił się problem – był nim biały prom, który dopiero co się pojawił.

Klein pomyślał o tym samym.

- Łamacz blokady? – zapytał.
- Na to wygląda.

Zameldować o nim, czy nie?

Jeśli zamelduje, może wpakować się w niezłe tarapaty. Chodziły słuchy, że Denters jest na pasku Vandenoorta i spełnia jego życzenia niczym pudel kanapowy. Jeśli ten biurokratyczny geniusz z Brukseli wpadnie na pomysł, by *U-23* zajął prom, skończyłoby się to wykryciem *U-23*, strzelaniną, utratą okrętu i śmiercią załogi. Na powierzchni *U-23* nie miał najmniejszych szans w walce z fregatami i śmigłowcami. Freitag nie wykonałby takiego samobójczego rozkazu, gdyż miał EAF, Dentersa i Vandenoorta głęboko w kiszce. Liczyli się dla niego honor, ludzie, okręt, rodzina i Niemcy – w tej kolejności, i nic więcej. Tak przynajmniej uważał. Niewykonanie rozkazu skończyłoby się dymisją.

Gdyby nie zameldował o promie, to i tak pies z kulawą nogą nie dowiedziałby się o jego przejściu do Polski. Skoro EAF jeszcze go nie przechwyciło, to znaczy, że wymknął się nawodnym i powietrznym czujkom. A *U-23* był najdalej wysuniętą placówką EAF. Na dyskrecję swojej załogi mógł liczyć.

„Odważny skurwiel”, pomyślał z podziwem o kapitanie promu. Niech idzie do Danzig na zdrowie. Powodzenia, zbójcu!

Napisał, rozkazał zaszyfrować i wysłać krótki meldunek:

Od: U-23

Do: EAFNAVCOM

1. *U-23 zaatakowany torpedami nad ranem przez dwa śmigłowce Haze-A na pozycji 54°42' N, 19° 7E. Brak uszkodzeń.*
2. *Wycofuję się z rejonu patrolowania.*
3. *Kontakt elektroniczny z licznymi śmigłowcami ZOP i okrętami klasy OHP, zgrupowanymi w poprzednim rejonie dozoru.*

U-23 pozostał na peryskopowej do czasu przygotowania meldunku do emisji. Podniósł antenę radiową i nadał sygnał. Ładowali jeszcze chwilę akumulatory, potem Freitag dał rozkaz przejścia na napęd elektryczny i zanurzenia na 60 metrów.

Zrobił, co do niego należało, teraz zaś musiał bezpiecznie wycofać okręt i swoich ludzi. EAF miał rozpoznanie lotnicze, elektroniczne i satelitarne, więc doskonale sobie poradzą z blokadą ekonomiczną bez niego.

Powoli, cicho i ekonomicznie – z prędkością dwóch węzłów – *U-23* oddalał się od polskich wód terytorialnych.

HNLMS Tromp **godz. 7:55**

Oficer łączności przyniósł dwa blankiety depeszy adresowanej do Dentersa. Admirał od dobrej godziny przebywał na pomoście bojowym. Obie depesze zepsuły mu pogodny nastrój, w jakim był od przebudzenia.

Pierwsza pochodziła z *U-23*. Okręt został zaatakowany i przepędzony rejonu dozoru. Potwierdziło się, że Polacy nie żartują. Denters nie miał w pobliżu Gdyni żadnego okrętu, który mógłby powstrzymać polskie jednostki podwodne. A tych obawiał się najbardziej.

Kolejny incydent zbrojny na szczęście nie pociągnął za sobą ofiar, ale destabilizował napiętą już sytuację. Łatwość, z jaką Polacy pociągnęli za cyngiel, wskazywała, że tego rodzaju incydenty mogą się powtórzyć, i niekoniecznie skończyć aż tak szczęśliwie. Z drugiej strony był coraz bardziej wojowniczo nastawiony Vandenoort, który dopiero co nakazał strzelać do wszelkich polskich jednostek poza polskimi wodami terytorialnymi. Na szczęście, skonstatawał Denters, polskie śmigłowce i okręty działały na pograniczu wód terytorialnych, daleko poza sensorami EAF, więc nie podlegały zaleceniu Vandenoorta.

Druga z depesz była źródłem nie zmartwienia, ale irytacji. Pochodziła z Komisji Europejskiej i nakazywała okrętowi Dentersa zmniejszenie mocy emisji radiolokacyjnych.

Admirał wałnął w blankiet wierzchem dłoni.

– Co oni sobie wyobrażają, do ciężkiej cholery!

Mesdegaard, stojący na pomoście w pobliżu ekranu sytuacji taktycznej, podniósł głowę.

– Tak, panie admirale?

– Ci idioci z Brukseli chcą, żebyśmy ograniczyli moc emisji radarowych, bo zakłócamy aparaturę przelatujących nad nami maszyn cywilnych. Chyba ich porąbało.

Taktowny i kulturalny Mesdegaard nie widział nigdy, żeby Dentersa tak poniosło.

– To chyba uzasadniona prośba, panie admirale – powiedział spokojnie. Wziął podany mu przez Dentersa blankiet. – Piszą tu, że mieli trzy „bliskie spotkania” tylko w ciągu ostatnich pięciu dni. To możliwe, mamy tu przecież cały ruch znad Polski.

– Jak, do diabła, mamy egzekwować blokadę, skoro nie możemy używać podstawowych instrumentów? Przecież nie przebijemy się przez zakłócenia Polaków!

– Ma pan oczywiście rację – przytaknął komandor. – Musimy to uświadomić Vandenoortowi. Z drugiej strony musimy brać pod uwagę bezpieczeństwo cywilów. Zderzenie dwóch samolotów z pewnością nie pomogłoby politycznie blokadzie. On też musi brać pod uwagę takie zagrożenie.

Denters pokiwał w zamyśleniu głową. Cała ta operacja brała w łeb. Oby skończyła się jak najszybciej. Miał dość ręcznego sterowania i sprzecznych dyspozycji Vandenoorta. Niczego nie brakowało do kompletu tak, jaki kilkuset cywilnych nieboszczyków.

– Niech pan zredaguje odpowiednie rozkazy w moim imieniu – rzekł zrezygnowany. – Obniżyć moc o połowę.

Powidz, baza lotnicza godz. 8:25

Pułkownik wysłuchał Marciniaka i Czerwińskiego. Na żądanie tego ostatniego zlecił kanceliście przygotowanie kawy dla obu młodszych oficerów. Tak jak przypuszczał Marciniak, jego entuzjazm wobec przedstawionych pomysłów okazał się dość ograniczony.

– Nie mogliście wymyślić nic bardziej skomplikowanego? – spytał, gdy zakończyli prezentację. Michał miał ochotę powiedzieć dowódcy, że jeśli ma coś prostszego w zanadru, to on, Marciniak, osobiście pocałuje go w tyłek. – Tu jest sporo bardzo optymistycznych założeń. Roskildę da się zaskoczyć, Kwazar okaże się skuteczny, Niemcy będą siedzieć na dupie i debatować, a marynarze będą czekać kilka godzin, aż ich zaskoczymy kolejnym uderzeniem. Będziemy mieli kupę szczęścia, jeśli choć jedno z tych pobożnych życzeń się spełni.

Marciniak już otwierał usta do riposty, na szczęście Czerwiński był szybszy:

– Tak czy inaczej dostajemy w dupę, panie pułkowniku, i dostaniemy w takiej akcji. Lepsze to niż frontalny atak *kamikaze*. To jednak plan alternatywny. Gdyby się udał, są jakieś szanse powodzenia. Przynajmniej nie rzucamy jajkiem o beton.

– Ja jednak mam wrażenie, że rzucamy – uparł się Łysoń. – Chyba znacznie przeceniacie swoje możliwości. Zwłaszcza Marciniak.

– To był od początku mój pomysł, panie pułkowniku – odezwał się Czerwiński. – Przyszedłem do Marciniaka jedynie go skonsultować.

Michałomal nie otworzył ust ze zdumienia. Taka riposta ze strony spokojnego zazwyczaj Przemasa wskazywała, że tym razem nawet jego Łyson wkurwił. Chciał sprostować, ale zorientował się, że w razie, gdyby Łyson niewłaściwie przedstawił wyżej autorstwo projektu, Czerwiński powie po prostu, że pułkownik przekreślił wszystko o 180 stopni.

Łyson jednak nie kupił tego grepsu. Zorientował się za to, że chyba przesadził.

– Ten pomysł jest kiepski. – rzekł Łyson. – Nie podoba mi się to. Mimo to przekażę go generałowi Zdaneckiemu. Może on i jego sztabowcy jakoś go uzdatnią. Ja nie mam czasu tym się zajmować.

Na tym dyskusja o planie Marciniaka się zakończyła.

Marciniak miał na określenie postawy Łysonia jedno słowo. Cholernie niecenzuralne.

- Stary jest gotów to udupić – stwierdził, gdy już wypowiedział to określenie. Wyszli z gabinetu pułkownika i udali się do kantyny na śniadanie.
- Przesadzasz – rzekł Czerwiński – Plan jest dobry i Łyson wie o tym. Myślisz, że będzie zwlekał z przekazaniem go Zdaneckiemu? Nigdy w życiu. Żeby ubiegł go Domański?
- Myślisz, że tylko się ze mną droczy?! Wkurza mnie drań jeden...
- Dlatego ubiegłem cię z odpowiedzią, bo już się zagotowałeś. Skończyłoby się awanturą. A to nikomu nie wyszłoby na dobre.
- I tak się kiedyś skończy.

Czerwiński aż przystanął

- Powiem ci coś Marciniak, ty cholerny pesymisto! Jeśli przyjdzie nam zrealizować twój plan, to masz prawdziwą szansę odczepić się od Łysonia i wyjść cało z twoich tarapatów. Jeżeli tego nie widzisz, to naprawdę jesteś kapany w gorącej wodzie głupek. Rusz trochę dekle!
 - Czy ty czasem nie wierzysz w cuda?
 - Nie, do cholery. Spójrz na to wszystko z boku. Nawet sprawa tamtej bijatyki może przyschnąć, jeśli rozłożymy Vandenoorta.
 - Jakiej bijatyki? – wtrącił się Lisowicz, który niepostrzeżenie wyszedł z pobliskiego hangaru.
 - Mówimy o biciu wścibskich podporuczników.
- Lisowicza niełatwo było zbyć.
- To jednak ktoś z Krzesin jest zamieszany w tę bijatykę w Poznaniu? – zaczął się dopytywać.

- Nawet jeśli coś o tym wiem, to na pewno ci nie powiem – odrzekł Czerwiński. Lisowicz machnął na niego ręką i poszedł do kantyny. Marciniak i Czerwiński zostali przed hangarem.

Przemas spojrzał Michałowi w oczy.

- Powiedz mi, tylko szczerze – rzekł. – Jeśli dojdzie do najgorszego, jeśli będziemy realizować twój plan, polecisz na obie misje?

Marciniak nie zastanawiał się długo.

- Tak, do ciężkiej cholery! – rzekł twardo – Nawet jeśli to ryzykowne. Przynajmniej mamy jakąś szansę wygrać, a nie tylko zginać tłukąc głową w mur albo umrzeć z nudów i frustracji siedząc tu na dupie.

- W porządku – stwierdził Czerwiński – Czyli wierzysz, że ten plan się powiedzie. Ja też w to wierzę. Łyson też w to wierzy, bo daje mu to szansę przeżycia w razie najgorszego. Inaczej nawet by nie wspomniał o przekazaniu planu „górze”. I jeszcze jedno: nie jest z tobą źle. Powinieneś tylko odpocząć od Łysonia.

- Odpoczne, jak skończymy z EAF. Chodźmy na śniadanie. W brzuchu mi burczy.

Marciniak uderzył się po brzuchu i poczuł w kieszeni znajomy ciężar. Telefon komórkowy. Zapomniał go włączyć. Wyjął urządzenie, nacisnął przycisk uruchamiający, odczekał na ekran powitalny i wstukał PIN. Schował komórkę do kieszeni, ale jeszcze zanim dotarli do kantyny, dźwięk i wibracja telefonu oznajmiły, że przyszedł SMS.

Porucznik odczytał go z niecierpliwością, tym bardziej, że nadany został w nocy i pochodził od jego starszego brata. Treść była krótka:

Wychodzimy. Kaziu.

HNMLS Tromp, na zachód od Bornholmu godz. 8:45

Mimo wszystkich wad Dentersa, admirał rzadko się mylił. Przestrzegał przed atakowaniem polskiego wybrzeża i miał rację. Tym razem ocena sytuacji zawiodła.

Meldunek Freitaga dotarł do niego równocześnie z informacjami o wykryciu przez patrolujące *P-3* sygnałów radarowych *Pułaskiego* i *Kościuszki*. Denters wycofał od razu cenne *P-3* z zasięgu rakiet *SM-1* z polskich fregat. Liczył się z możliwością ostrzelania patrolowców po starciu polskich sił przeciwpodwodnych z *U-23*. Stracił w ten sposób z radaru podejrzany prom, który kontrolowali

zeszłego wieczora. Wobec ruchu Polaków zatrzymać promu się nie da. . Ze-strzelenie patrolowca przez fregaty było za to dość prawdopodobne.

Admirał zastanawiał się, jaki będzie następny ruch Polaków.

– Co obstawiasz, Adrianie? – spytał Mesdegaarda.

Komandor pochylił się nad wyświetlaczem sytuacji taktycznej.

– Przecierają drogę okrętom podwodnym – rzekł. – Na poprzedniej pozycji *U-23* miał znaczne szanse zadania strat ich siłom podwodnym wychodzącym z Zatoki Gdańskiej. Teraz mają swobodę manewru. Mogą wyjść w dowolną stronę, nieznacznie ryzykując.

Denters pokiwał głową.

– Dostrzegasz zagrożenie ze strony okrętów nawodnych? – zapytał.

– Żadnego. Dysproporcja sił na naszą korzyść jest ogromna. Moim zdaniem wróca do bazy po upewnieniu się, że podwodniacy mają czystą drogę. Na ich miejscu nie ryzykowałbym.

– Ja też nie. Co proponujesz?

– Wystawmy patrole myśliwskie od strony fregat i wycofajmy *Oriony*, żeby stworzyły barierę przeciwpodwodną. Niech *U-23* ustawi się między siłami głównymi a Zatoką Gdańską, na południe od Bornholmu. One będą celem ewentualnego ataku spod wody.

Denters znowu przyznał rację swojemu ulubionemu dowódcy.

– To dobry plan – rzekł. – Obronimy się bez ryzykowania, że wybuchnie przypadkowa strzelanina.

Pomyślał, że Mesdegaard będzie dobrym admirałem i dowódcą floty. Adrian był jednym z najlepszych oficerów Marynarki Królewskiej i nie bez powodu dowodził *Trompem*. Denters miał nadzieję załatwić mu awans admirałski po zakończeniu operacji.

Wydał odpowiednie dyspozycje i w ciągu kwadransa zawierające rozkazy operacyjne depesze popłynęły w eter.

Niestety, dotarły też do Brukseli.

Nie minęło pół godziny, gdy Denters otrzymał informację, że poprzez łącze satelitarne dozwonił się Vandenoort. Ostatnie rozkazy admirała wprawiły szefa Komisji Europejskiej w prawdziwą furję.

– Co pan, do kurwy nędzy, wyprawia?! – ryknął, gdy tylko Denters zgłosił się na linii.

– Niech pan się liczy ze słowami – Denters nie mógł puścić płazem zniewagi, która mogli przypadkiem usłyszeć jego podwładni. – Odpowiadam za operacje wojskowe. Wiem, co robię. Nie będzie mnie pan pouczał...

- Nie ma pan prawa wycofywać samolotów ani związać blokady bez mojej zgody – komisarz nadal krzyczał.
 - Mam prawo dbać o bezpieczeństwo swoich ludzi. Sytuacja jest skomplikowana...
 - Jeśli usiłuje mi pan powiedzieć, że Polacy strzelają do nas, to, do cholery, wiem o tym!! – furia Vandenoorta rosła z każdą odpowiedzią Dentersa.
 - Umiem czytać depesze. Strzelają do pana, a pan co robi? Ucieka z podkulonym ogonem. Nie tego od pana oczekuję!
 - Moi ludzie...
 - Płacę pańskim ludziom za to, żeby nadstawiali tyłki! – Vandenoort po raz pierwszy wypomnił Dentersowi, że siły EAF są na utrzymaniu Komisji Europejskiej. Tylko dlatego państwa członkowskie tak szybko oddały swoje samoloty i okręty pod brukselskie dowództwo. Byli najemnikami. – Jeśli dajecie się wodzić za nos bandzie amatorów z posowieckiej Europy Wschodniej, to może czas, by zajął się tym ktoś inny.
- A kogo znajdziesz na nasze miejsce, pomyślał Denters. Somalijskich piratów?

- Nie widzę powodu, żeby zaostczać sytuację! – warknął.
- A ja widzę ich wystarczająco wiele! – grzmiał Vandenoort. – Ośmiesza pan blokadę, pozwalając do siebie bezkarnie strzelać, wycofując się i nie wykonując moich poleceń. Te okręty zagrażają blokadzie, powinien pan bezwzględnie je zniszczyć!

Dentersa przeszedł dreszcz.

- Nie mogę ot tak sobie zabić kilkuset polskich marynarzy! – zaprotestował spokojnie, jak tylko był w stanie w tych okolicznościach. – Nawet nie przekroczyli granicy wód terytorialnych...
- To bez znaczenia! – warknął Vandenoort. – I niech mnie pan nie poucza. Pańskim obowiązkiem jest realizowanie blokady. Polski rząd wie o tym doskonale. Wysyłając te okręty, sami narażają swoich marynarzy. Jeśli te okręty utrudniają lub uniemożliwiają panu realizację zadania, to powinien pan wiedzieć, co ma robić. Jeżeli dla realizacji embarga musi pan użyć siły, to niech pan to zrobi. Niech pan zniszczy te okręty!
- Muszę zaprotestować. To wbrew mojemu sumieniu...
- Pańskie sumienie należy do mnie. Nakazuję panu zniszczenie sił zagrażających blokadzie. Ewentualne konsekwencje polityczne i moralne biorę na siebie.

Vandenoort przerwał połączenie. Denters odetchnął ciężko.

- Nagraliście to połączenie? – spytał bosmanmata obsługującego radio. Nie wiedział czy nagrali, ale na pewno słyszeli.
- Tak jest, panie admirale – powiedział młody marynarz. – Życzy pan sobie osobistą kopię? – zapytał domyślnie.

Denters popatrzył na niego z podziwem i wdzięcznością. A potem doszedł do wniosku, że zostawi najbardziej parszywą część zadania komuś innemu.

- Poproszę, bosmanie – rzekł. – Połączcie mnie ze Schneiderem – dodał, wzdychając.

Lotnisko Roskilde **godz. 9:25**

Schneider bez entuzjazmu tłumaczył zadanie czterem pilotom francuskiego kontyngentu z Régiment de Chasse 2/30. Cztery *F-1* stały już na płycie postojowej. Wokół nich uwijali się technicy, podwieszając uzbrojenie do zadania, które Schneider nazwał w myśli najbardziej haniebnym w krótkiej historii EAF.

Choć Polacy omal nie zatopili okrętu z dwudziestoma trzema jego rodakami na pokładzie, nie czuł do nich żalu. Bronili swoich wód terytorialnych. Na ich miejscu Niemcy zrobiliby to samo. Teraz jego podwładni z tego międzynarodowego cyrku mieli zaatakować polskie okręty, będące prawdopodobnie wewnątrz tych wód.

Dowódca Régiment de Chasse 2/30, pułkownik Jacques Peltier, był bystrym zawodowcem. Od razu wyczuł intencje Schneidera.

– Pójdziemy tak daleko na wschód, jak się da – powiedział. – Dzięki temu unikniemy polskich radarów nabrzeżnych. Powinniśmy osiągnąć pełne zaskoczenie.

– Jeden atak – rzekł Schneider. – Wystarczy jeden atak. Żadnych powtórek. Jeśli któryś z pocisków nie odpali, wracacie do bazy. Nie ryzykujcie. Nie warto – sam był zdziwiony tym, co mówi. Właściwie najlepiej byłoby, gdyby te pociski nie trafiły. Wiedział jednak, że nie ma na to szans. To piekielnie skuteczna broń.

– Będziemy uważać, panie generale – obiecał Peltier. – Po ataku pryskamy na północ. W razie problemów schronimy się w przestrzeni powietrznej Szwecji. Nie sądzę, żeby Szwedzi zareagowali.

Schneider aż się uśmiechnął. Szwedzi aż nadto odcinali się od obecnego konfliktu, byle się nie zaangażować. Podczas niemal dwóch miesięcy blokady samoloty EAF kilkanaście razy naruszyły szwedzką przestrzeń powietrzną.

Szwedzki komisarz raz tylko napomknął coś Vandenoortowi, a ten nie nawet nie zareagował. Wspomniał o tym, co prawda, Schneiderowi, ale zapewnienie, że było to niezbędne dla utrzymania blokady, wystarczyło, by komisarz nigdy nie wrócił do tematu,

– W porządku – rzekł. – Powodzenia – dodał, choć nie do końca szczerze.

Prom *Xenia*, granica polskich wód terytorialnych na wschód od Helu godz. 10:30

Adam Leszczyński wdychał pełną piersią chłodną, przesyconą wilgocią bryzę. Oparty o reling na górnym pokładzie promu, obserwował morze. Od południa zbliżały się dwa szare okręty wojenne. Wskazywał swoim dwóm towarzyszkom.

– Tym razem to chyba nasze – zażartował.

– Jak je poznałeś? – spytała Marta.

– Po tym, że nie próbują nas zatrzymać.

Dziewczyny roześmiały się. Napięcie pomału uchodziło z nich, trzymało je na nogach podniecenie. Do brzegu pozostało ponad dwadzieścia mil. Póltorej, może dwie godziny.

Kobiety zamilkły przyglądając się okrętom. Wzbudzały w nich mieszane uczucia. Do niedawna ich środowisko i liberalne media starały się wmówić im, że wojsko, zwłaszcza własne, to coś złego i kompromitującego. Po zatrzymaniu zeszłego wieczora przez holenderską fregatę i przeszukaniu przez francuską piechotę morską, wrażenie to uległo zatarciu. Polacy na pokładzie promu dyskutowali zażarcie i zazwyczaj dochodzili do wniosku, że choć przeżycie z poprzedniego dnia było nieprzyjemne, to przecież i tak o niebo mniej przykre niż to, czego doświadczali ze strony obcych wojsk ich dziadkowie. Tym bardziej widok polskich okrętów był krzepiący, choć zbyt świeży, by wyrugować wpajanych przez lata pacyfistyczno-liberalnym poglądom.

Jeden z okrętów nich zbliżał się szybko, idąc kontrkursem. Minał na pełnej szybkości prom w odległości może dwustu metrów – nie dalej niż wczoraj stała holenderska fregata. Różnił się od niej sylwetką, był mniej masywny i miał bardziej sympatyczny wygląd. Od szarej masy okrętu odcinała się niewielka, łopocząca z głównego masztu biało-czerwona bandera. Na nadbudówce wypisany był numer taktyczny: 272.

– Nareszcie w domu – powiedziała Marta. – Nie mogę doczekać się postawienia nogi na brzegu i kąpieli w prawdziwej wannie z jednym kranem.

- W życiu nie przypuszczałam, że będę tak tęsknić za tym krajem – stwierdziła Agnieszka. – Wiem, że jest nietatwo, że daleko nam z dobrobytem do Zachodu... ale czegoś mi brakowało tam, w Londynie. Kiedy możesz wyjechać i w każdej chwili wrócić, nie czujesz, że tego ci brakuje.
- Mimo wszystko to paradoks – stwierdził Adam. – Zachód, do którego tak dążymy, pod pretekstem walki o wolność właśnie usiłuje nam tę wolność odebrać. Nie przespałem większości tej nocy. Widok tych okrętów i żołnierzy na blokadzie... Sporo spraw będę musiał sobie przemyśleć, gdy w końcu się wyśpię.

Zamilkł, ujrawszy dwie niewielkie sylwetki ciągnące za sobą wstęgę ciemnych gazów wylotowych. W ciągu kilkunastu sekund urosły one do rozmiarów umożliwiających rozpoznanie. *MiGi-29*. Samoloty przemknęły na dwustu metrach z ogłuszającym hukiem. Prowadzący myśliwiec pomachał skrzydłami, wzbudzając entuzjazm na górnym pokładzie.

Agnieszka rozpoznała *MiG-i* znacznie wcześniej. Michał wskazał jej charakterystyczne cechy myśliwców, którymi latał. Widok samolotów przywołał wspomnienia – Michał gdzieś tam był i brał w tym wszystkim udział. „Ma swoje pięć minut” – pomyślała nie bez złośliwości. Dotarło do niej, iż zazdrości Marciniakowi tej chwili, tej wdzięczności setek ludzi na pokładzie. Potrzebowała jednak dłuższej chwili, by uświadomić sobie, że żałuje tego, co stało się w Mariotcie.

Co się stało, to się nie odstanie, pomyślała. Trzeba iść naprzód, korzystać z życia i pozycji, jaką sobie wyrobiła. Kryzys się zakończy, firma ruszy z kopyta. Będzie okazja się wykazać i zdobyć upragnione stanowisko kierownicze, większe pieniądze i wpływy. A wtedy będzie okazja poznać jakiegoś interesującego mężczyznę.

Pułkownik Jacques Peltier osobiście prowadził czwórkę *Mirage FI*. Maszyny trzymały się w luźnym szyku, nisko, 10-15 metrów nad wodą, daleko poniżej horyzontu radarowego, zachowując pełną ciszę radiową. Sto dwadzieścia kilometrów na północ od przylądka Rozewie Peltier pomachał skrzydłami swojego *FI* i położył samolot w głęboki zwrot w prawo, demonstrując pozostałym pilotom dwa pociski powietrze-woda *Exocet* podwieszane pod skrzydłami. Widok raket nie zwrócił uwagi żadnego z pozostałych lotników, ponieważ na podwieszeniach ich *Mirage'y* znajdowały się po dwa identyczne pociski. Maszyny kolejno przechylały się na prawe skrzydło, wchodząc – podobnie jak prowadzący – w zakręt na kurs bojowy.

Zadanie było jasne – zaatakować i zniszczyć dwie polskie fregaty klasy *Oliver Hazard Perry* zagrażające rakietami *woda-powietrze* samolotom patrolowym EAF. Denters nie chciał zużyć arsenału okrętowego, poza tym radary *Mirage* mogły określić dokładniej pozycję celów, niż oddalone od przeciwnika okręty własne. Atak miał zostać przeprowadzony z mniejszej odległości i z większym prawdopodobieństwem trafienia i zniszczenia celów.

Zaledwie trzy minuty lotu na kursie bojowym wystarczyły, by *Mirage* dotarły na odległość skutecznego strzału do polskich okrętów na ich domniemanej pozycji. Maszyny wyskoczyły nieznacznie w górę – na 100-120 metrów – i uruchomiły radar, by potwierdzić pozycje celów i zaprogramować pociski powietrze-woda. Miały one podążyć skrycie pięćdziesiąt kilometrów tuż nad wodą, uniknąć wykrycia tak długo, jak się da, uruchomić własne radary naprowadzania na szerokim kącie przeszukiwania. Jeśli Polacy się nie zorientują, to od chwili ujawnienia pocisków do ich uderzenia w burty okrętów upłynie nie więcej niż sześćdziesiąt do osiemdziesięciu sekund. Systemy antyrakietowe obu fregat nie poradzą sobie w tak krótkim czasie z unicestwieniem ośmiu pocisków, uruchomić radary naprowadzające w niewielkiej odległości od wyliczonej pozycji celów i precyzyjnie uderzyć w burtę, demolując nieopancerzone okręty podmuchem eksplozji i odłamkami. Wobec słabej obrony przeciwrakietowej okrętów klasy *Perry* i ich niewielkiej wyporności zakładano, że cztery pociski na jeden cel dają wysokie prawdopodobieństwo zniszczenia.

Dwadzieścia sekund na górze wystarczyło to do wykrycia trzech celów.

Trzech?

Pułkownik Peltier zauważył trzy echa. Szybko ocenił sytuację. Żadne informacje wywiadowcze przed lotem nie mówiły o cywilnych jednostkach na akwenu, na którym znajdowały się polskie fregaty. Zakłócenie, błąd radaru albo trzecia jednostka wojenna, być może korweta przeciwpodwodna *Kaszub*, pomyślał Peltier. Nic nie upoważnia go do przerwania ataku, a już na pewno nie do przerwania ciszy radiowej. Dlatego kontynuował atak.

Po niecałych czterech minutach od zwrotu Peltier podniósł maszynę na około 40 metrów. Za nim podążyły pozostałe *Mirage*. *Exocety* były już zaprogramowane/ Peltier nie zastanawiał się nad losem polskich okrętów ani marynarzy. Był zawodowcem – teraz liczyło się odpalenie pocisków, tak by pozostały niewykryte i trafiły w cel. Pułkownik odsunął zapadkę zabezpieczającą przycisk odpalania podwieszon na drążku sterowym, nacisnął i przytrzymał przez sekundę spust. *Exocet* odpadł z wyrzutni spod prawego skrzydła, odpalił silnik rakietowy, wyprzedził samolot i zszedł ku wodzie. Peltier skompensował nagły ubytek masy wychyleniem drążka w prawo. Wcisnął przełącznik na tablicy uzbro-

jenia, wybierając pocisk pod lewym skrzydłem. Rakieta odpadła i powtórzyła manewr poprzednika.

Pułkownik zaczekał, aż pocisk oddali się od samolotu, po czym położył *Mirage* w ostry lewy skręt, schodząc jednocześnie ku morzu. Jego boczny poszedł za nim, pozostała dwójka odbiła w prawo. *Exocety* podążyły ku polskim okrętom.

Komandor podporucznik Jacek Mikuła układał plan poszukiwania *u-boota* w sektorze, który przypadł *Pułaskiemu*, gdy operator aparatury ESM zameldował serię impulsów radarowych z północy.

– Radar *Cyrano IV*, prawdopodobnie *Mirage F1*.

Mikuła zgodził się z tą diagnozą. Wiedział, co to oznacza. *Mirage* mógł być na patrolu myśliwskim, ale równie dobrze mógł zaatakować ich pociskiem powietrze-woda. Decyzję podjął automatycznie.

– Alarm bojowy! Radio, powiadomcie myśliwce, niech mają oko na północ i trzymają się od nas z daleka. Powiadomić *Kościuszkę*. Przetawić *CIWS* w tryb półautomatyczny. Kurs jeden jeden zero, pełna naprzód.

Ostatnia komenda oznaczała, że dwudziestomilimetrowe, szybkostrzelne działka *Phalanx* będą otwierać ogień automatycznie do wszystkich celów poruszających się szybciej od śmigłowców. Fregata ustawiła się do przeciwników burtą, by móc prowadzić ogień ze wszystkich środków bojowych, gdyby Francuzi zdecydowali się na atak.

Żadne okoliczności poza sygnałem radarowym z *Mirage* nie wskazywały na możliwość ataku raketowego, jednak Mikuła, jako dowódca zespołu, wołał dmuchać na zimne. Nie chciał wdawać się w walkę z samolotami. Fregaty miały zbyt słabe uzbrojenie przeciwlotnicze i przeciwraketowe. Do tego płatał się tu ten cholerny prom.

Jeśli nie brać pod uwagę rutynowych czynności przy pilotażu *MiGa-29*, to Olszewski nudził się jak mops. Niemal godzinę latał tam i z powrotem nad Zatoką Gdańską, osłaniając okręty i śmigłowce przeciwpodwodne. Nawet trzymanie szyku za Głowackim nudziło okrutnie. Latali dość nisko – na trzech-czterech tysiącach metrów, czasami schodzili jednak nisko nad wodę, by z bliska pokazać się marynarzom z okrętów i pilotom śmigłowców Marynarki. Piloci ograniczyli rozmowy do minimum i wyłączyli radary, by nie zdradzać obecności patrolu myśliwskiego nad okrętami. Przeciwnik miał lepsze radary, dlatego

lepiej było siedzieć cicho i ewentualnie polegać na czujnikach podczerwieni, które wreszcie udało się doprowadzić do jako takiej niezawodności.

Gdyby latał z Marciniakiem lub kimś niższym szarżą, mógłby chociaż pożartować przez radio. Rzucanie pikantnych żartów do podpułkownika nie było w dobrym guście, mimo iż na co dzień różnica stopni wojskowych nie miała wśród myśliwców aż takiego znaczenia, jak w innych jednostkach sił zbrojnych.

Ostrzeżenie przyszło nagle:

– Rubin dwa, radar na północy, kierunek zero, prawdopodobnie *Mirage*.

Dolecieli do północno-zachodniego krańca strefy patrolowania. Głowacki pomachał skrzydłami i położył maszynę w prawy zakręt. Zamierzał zawrócić o 180 stopni, i tak też zrobił. Olszewski leciał dotychczasowym kursem jeszcze kilka sekund, po czym powtórzył manewr prowadzącego.

Ekran systemu celowniczego nie pokazywał żadnych obiektów. Pilota to nie zdziwiło. System wykrywał samoloty taktyczne z odległości kilkunastu kilometrów, na tle silnych odbłasków słonecznych tracił jeszcze wskutek silnego podczerwonego tła. Tak blisko *Mirage* na pewno nie podeszły.

Maszyna leżała już w zwrocie, gdy ekran pokazał znienacka serię rozbłysków. Żadnych stałych śladów.

Porucznik nie miał wcześniej do czynienia z takim wskazaniem przyrządu, mimo to błyskawicznie domyślił się, co się stało. Wcisnął przycisk nadawania:

– Rubin dwa dwa do Jubilera. Rozbłyski w podczerwieni na północy – powiedział. Wziął oddech i dodał: – Prawdopodobnie odpalenie rakiet.

Załoga Napierały była w powietrzu już drugi raz tego dnia, kiedy nakazano im się zmywać:

– Zefir jeden, tu Eos, nadlatują szerszenie, ewakuacja, powtarzam ewakuacja!

– Przyjąłem, ja Zefir jeden – potwierdził Napierała i krzyknął w interkom:

– Brylu, zwijaj interes, atak raketowy. Szybko!

Bryłowski potwierdził i zaczął zwijać antenę sonaru, lecz Napierała nie mógł czekać. Zwiększył moc i podniósł maszynę w zawisie, pochylił ją też lekko, by nadać jej nieco prędkości, jednak nie tyle, by zdemolować wciąż zanurzony sonar. Zaczął też skrecać na południe.

– Sonar nad wodą! – zameldował Bryłowski. Napierała pochylił maszynę jeszcze bardziej i śmigłowiec zaczął przyspieszać, uciekając z obszaru, w którym za moment zaroj się od rakiet.

Komandor dopiero teraz miał krótką chwilę, by się zastanowić. Ktoś tu postanowił na kogoś zapolować. Dopiero teraz się przestraszył. Frontalny atak EAF na ich niewielką, wysuniętą placówkę, mógł zmieść okręty z powierzchni morza i strącić wszystkie śmigłowce. Nie wiadomo było, kto atakuje – nieprzyjacielskie okręty, samoloty uderzeniowe czy także myśliwce? Przed tymi ostatnimi Mi-14 mógł się ukrywać równie skutecznie, co pędzący na sygnale wóz policyjny w środku nocy. Nie chronił przed nimi niski lot ani cień radiolokacyjny – dopplerowskie radary były w stanie wykryć wirnik śmigłowca nawet w zawisie.

Mam to w dupie, pomyślał Napierała.

– Podświetl tych drani, Brylu – rzucił, nakazując włączyć radar. – Przynajmniej czegoś się dowiemy.

Jeśli to okręty, to przynajmniej da szansę *Pułaskiemu* i *Kościuszce* odgryźć się *Harpoonami*, zanim pójda na dno.

Leszczyński obserwował okręty i śmigłowce, gdy w ich ruch nagle wdarł się chaos. Nagle zaczęły zmieniać kursy i przyspieszać. Śmigłowce rozpieczęły się lecąc w stronę lądu, co wyglądało na ucieczkę. Okręt, który zaledwie przed chwilą ich minął, teraz nagle ostrym zwrotem skręcił na wschód i przyspieszył. Przez górny pokład promu przeszedł szmer. Inni pasażerowie też zauważyli niespodziewane zamieszanie.

– Coś się dzieje – powiedział do kobiet.

– Co takiego? – spytała Marta.

– Nie mam pojęcia. Śmigłowce nagle poleciały na ląd.

Ktoś w narożniku pokładu krzyknął coś o okręcie „272”. Agnieszka nie usłyszała dokładnie, o co chodzi, ale pasażerowie zwrócili głowy w stronę fregaty.

Nad horyzontem na północy, na lewo od strony okrętu pojawił się nagle potężny rozbłysk. Potem drugi mniejszy i trzeci, wielki, bezpośrednio po nim. Po chwili jeszcze jedna para błysków niemal złała się w jeden.

– O cholera! – wyszeptał Leszczyński. Rozgadany pokład umilkł. Zapanała złowroga cisza.

Minęło dwadzieścia sekund, nim niesiony po wodzie, dotarł do nich grzmot eksplozji.

Do tego momentu wiele się wydarzyło. Na dziobie fregaty pojawił się błysk, który natychmiast przesłoniła chmura szarego dymu. Smuga ognia oderwała się od pokładu i poszybowała w niebo z hukiem, zostawiając dymny ślad. Ktoś krzyknął, że drugi okręt też strzela. Rzeczywiście, rakieta leciała teraz nad nimi

w stronę niewidocznego przeciwnika na północy, kreśląc białym pióropuszem spalin cienką linię ku nadlatującemu od północy wrogowi.

Górny pokład znowu ożył, gdy pasażerowie promu zdali sobie sprawę, że znaleźli się w samym środku bitwy.

Głowacki i Olszewski wystrzelili wszystkie posiadane rakiety w niecałą minutę.

Z trudem wykryli na tle morza nadlatujące pociski. Na ściganie uciekających na północ *Mirage* nie było szans. Francuskie maszyny nie przynosiły już rakiet – te najbardziej zagrażające okrętom pędziły nad wodą pod *MiG-ami*.

Obaj piloci wykonali gwałtowny zwrot, usiłując przechwycić małe, trudne do zauważenia, pędzące nad wodą *Exocety*. Z tylnej półsfery mieli większe szanse zauważenia pocisków i trafienia ich raketami. Emisja podczerwieni z dyszy lepiej rokowała przy strzelaniu pociskami naprowadzanymi w podczerwieni.

Na ćwiczeniach strzelali do przerobionych rakiet-celów, ale nigdy nie leciały one tak nisko, jak *Exocety* – poniżej pięciu metrów nad wodą. Strzał był niezwykle trudny. Piloci przestawili system celowniczy na automatyczne wykrywanie celów – na ich ręczne wskazywanie było zbyt mało czasu. Równie niewiele było go na przydział celów – w pewnym momencie odpalili po rakiecie do tego samego *Exoceta*, nie trafiając. Głowacki stracił swój słynny spokój i zaklął przez radio. Mimo to udało mu się zniszczyć jedną raketę pierwszym strzałem, naprowadzanym radiolokacyjnie *R-27R*. Trafiony *Exocet* eksplodował z potężnym błyskiem i hukiem. Olszewski dopiero później uświadomił sobie, jak niszczące skutki musiała mieć taka eksplozja w ciasnym wnętrzu okrętu.

Strzelali do wykrytych pocisków po dwa pociski, nie bawiąc się w oszczędzanie, trzeba było jak najszybciej i najpewniej zniszczyć cele. W ciągu niecałej minuty *Exocety* miały wejść w zasięg rakiet z fregat, a wtedy *MiGi* zmuszenie będą się wycofać, by nie paść ofiarą ognia własnych okrętów.

Zniszczyli jeszcze po jednym *Exocecie*, gdy skończyły się pociski.

Olszewski zastanawiał się, czy nie spróbować zestrzelić jeszcze jednego *Exoceta* z działka, ale Głowacki nakazał odwrót.

Pięć pocisków powietrze-woda zmierzało w stronę fregat i promu. Od skuteczności systemów antyrakietowych *Pułaskiego* i *Kościuszki* zależało teraz życie ponad dwóch tysięcy ludzi.

Pierwszy *SM-1 Standard* z *Pulaskiego* trafił bezbłędnie, powodując detonację ładunku bojowego *Exoceta*. Eksplozja była wyraźnie widzialna i słyszalna na promie. Następne *SM-1* nie miały tyle szczęścia. Cztery *Exocety* parły w kierunku trzech jednostek nawodnych.

Automatyczna armata *Oto Melara* kalibru 76 mm, umieszczona w wieży, na śródkręciu *Pulaskiego* zaczęła wypływać pociski w kierunku nadlatujących rakiet z szybkością około jednego strzału na sekundę. Bezszykownie. Kolejna salwa *Standardów* zniszczyła jeszcze jednego *Exoceta*. Nadlatywały trzy dalsze.

Ludzie na górnym pokładzie *Xeni* z przerażeniem oglądali kanonadę. W huku ognia artyleryjskiego z obu fregat utonęły nieliczne rozmowy, czasem przebił się jakiś okrzyk. Pasażerowie czuli strach, był to jednak strach nie przed jakimś konkretnym zagrożeniem. Nie wiedzieli co i jak bardzo im zagraża. Huk i zbliżające się wybuchy potęgowały napięcie i strach, mało kto jednak bał się o życie.

Kolejny *Exocet* eksplodował z rozbłyskiem, trafiony *Standardem*, a może pociskiem 76 mm. Tym razem wybuch był potężny. Nad morzem przetoczył się grzmot. Pozostałe pociski parły niestrudzenie w kierunku jednostek nawodnych. Kanonada i wystrzeliwanie *Standardów* ustały – dla rakiet i pocisków armatnich dystans do celu był już zbyt mały. Dwie pozostałe rakiety skracały błyskawicznie dystans. Z nadbudówki *Pulaskiego*, spod głównego masztu, wystrzeliły nagle z hukiem niewielkie pociski, rozerwały się w powietrzu niczym fajerwerki, tworząc chmury opadających szczątków – pasków aluminiowej folii tworzącej atrakcyjny, pozorny cel dla naprowadzanych własnym radarem rakiet. Zwiódły one oba *Exocety*, tak przynajmniej zameldowano Mikule. Okręt nie przerywał ognia – w pobliżu były jeszcze dwie jednostki, które mogły paść ofiarą pocisków przeciwokrętowych, gdy te przelecą przez chmurę aluminiowanej folii i zgubią pozorny cel. Do walki włączył się system ostatniej szansy – dwudziestomilimetrowe, wielolufowe działko *Phalanx*, umieszczone na końcu nadbudówki, tuż nad pokładem śmigłowcowym, posyłając krótkie serie smugowych pocisków z teoretyczną szybkostrzelnością ponad 3500 strzałów na minutę. *Kościuszk*o, mający między raketami a sobą prom, nie mógł prowadzić ognia artyleryjskiego.

Włączenie się do akcji *Phalanxa* oznaczało, iż *Exocety* były już niecałe dwa kilometry od okrętu, przelatując jedną trzecią kilometra na sekundę. Któraś z serii była celna, bo jeden z pocisków przeciwokrętowych eksplodował z potężnym błyskiem i hukiem niecałe sześćset metrów od okrętu i nieco ponad kilometr od *Xeni*. Na ludziach na pokładzie promu zrobiło to potężne wrażenie.

Część padła na pokład, ktoś krzyknął „Padnij” i pozostali usiłowali znaleźć schronienie... którego jednak na górnym pokładzie nie było.

Ostatni *Exocet*, mimo nieprzerwanego ostrzału z *Pulaskiego*, parł do przodu. Przeleciał przez chmurę folii i skierował się w stronę promu. Mikuła niewiele mógł zrobić. Nie nakazał przerwania ognia, choć groziło to ostrzelaniem statku. Istniała niewielka szansa, że *Exocet* zostanie zniszczony przed uderzeniem w prom.

Ostatnia seria z *Phalanxa* opłotła raketę swoją świetlną pajęczyną i wydawało się, że ją zniszczy. Istotnie, któryś z pocisków trafił w jedną z powierzchni nośnych *Exoceta*, jednak miało to skutek gorszy od zamierzonego. Pocisk nie eksplodował, lecz spadł na powierzchnię morza tuż przy *Xeni*, uderzając w jej burtę na wysokości linii wodnej.

Eksplozja targnęła promem niczym zabawką, podrzucając w górę jego rufę, demolując część do przewozu samochodów i zabijając większość pasażerów, którzy się tam znajdowali. Co gorsza, wybuch rozerwał zbiorniki z paliwem. Eksplozja wyrzuciła fontannę płonącej ropy na górne pokłady, zalewając je morzem ognia. Wszyscy zgromadzeni na osłoniętych częściach nadbudówek momentalnie ogarnięci zostali płonącym piekłem. Przez wyrwę w kadłubie zaczęła wlewać się woda.

Agnieszka, która szukała miejsca przy relingu, by przyłgnąć do pokładu, nie zdołała paść przed uderzeniem. To ją uratowało. Wstrząs i podmuch wyrzuciły ją za burtę. Lecąc do wody, pomyślała, że to już koniec.

Załoga śmigłowca Napierały wiedziała już, że atak przeprowadziły samoloty, które wycofały się na północ. Na radarze nie pojawiły się okręty EAF, więc załoga oglądała z daleka przebieg bitwy.

Eksplozja na promie zaskoczyła wszystkich.

Widzieli ją z odległości nieco ponad mili morskiej. Mimo to zareagowali błyskawicznie. Zanim ktokolwiek zdążył podjąć jakąś akcję, Napierała już skierował śmigłowiec w kierunku promu.

- Eos, tu Zefir jeden, szerszeń dziabnął prom. Pożar i przechył na burtę. Potrzebna pomoc – zaalarmował dowództwo.
- Przełączmy się na częstotliwość ratowniczą i nadajmy komunikat do wszystkich jednostek – zasugerował Adamowicz.
- Ok, zrób to. Brylu, wypatruj rozbitków w wodzie.
- Nie podejźmy do promu?

– Nie, tam się pali jak cholera. Nie mamy jak podjąć kogokolwiek z pokładu, a w tych warunkach...

Napierała nie dokończył. Nie chciał mówić załodze, że jako pilot śmigłowca ZOP nie ma doświadczenia w podchodzeniu do statków, zwłaszcza płonących. Zawirowania i wpływ nadbudówek, gorące powietrze wyrzucane przez pożar, chmura dymu, jaka już biła w niebo z płonącej jednostki – wszystko to mogło przyprawić ich o katastrofę, w której ucierpieliby też ewentualnie ocaleni z piekła na pokładzie.

W miarę zbliżania się do promu komandor doszedł do wniosku, że wcale nie musi się usprawiedliwiać. Prom płonął od dziobu do rufy. Jego sylwetka powyżej głównego pokładu była jednym wielkim morzem ognia. Nikomu z pozostałych na promie nie mogli już pomóc.

Wszystko, co mogli zrobić, to wyrzucić część swojego wyposażenia ratunkowego rozbitkom, jeśli tacy znaleźliby się w wodzie.

– Widzicie kogoś w wodzie?! – dopytywał się Napierała. Brylowski otworzył boczną furtę i zaczął rozglądać się po powierzchni.

Komandor zauważył, że pozostałe śmigłowce również lecą w kierunku promu. Zastanawiał się, ilu było pasażerów i ilu miało szansę przeżyć.

Agnieszka uderzyła w wodę płasko, plecami. Uderzenie rozerwało jej garsonkę i bluzkę, pozbawiło ją tchu. Wpadła w panikę. Nie była w stanie się ruszyć, nie była w stanie zaczerpnąć powietrza. Wokół niej woda kotłowała się, prom przepływał siłą inercji obok. Wodę wypełniał szum po eksplozji i huk obracających się śrub statku. Jakimś cudem spadła z dala od nich. Po upadku nie zanurzyła się zbyt głęboko, jednak nie będąc w stanie się ruszyć, mogła utonąć, widząc światło na powierzchni morza.

Jakiś przypadkowy wir wyrzucił ją na powierzchnię w momencie, w którym odzyskała władzę nad oddechem. Zaczerpnęła głęboko powietrza... i zniknęła wciągnięta przez kolejny wir. Mogła jednak walczyć o ocalenie – nim potrzebowała kolejnego łyku powietrza – udało jej się wypłynąć na powierzchnię. Trzymała się na wodzie, choć oszołomiona i zszokowana zimnem i uderzeniem. Nie czuła bólu, zamroczona szokiem, jedynie chłód wody.

Niedaleko niej prom zatrzymywał się na wodzie, wytracając powoli prędkość. Dziewczyna zwróciła wzrok w tamtą stronę i oniemiała z przerażenia. Płonął już teraz niemal cały na rufie i śródokręciu. Z bulajów tryskał ogień. Z górnego pokładu skakali cudem ocaleni ludzie. Mieli coraz mniej szans, bo na wodzie rozlewała się płonąca ropa. Krzyki umierających w ogniu ludzi i popa-

rzonych, wrzuconych do słonej wody, przebijały się przez huk płomieni. Straszliwy widok oszołomił ją i wprawił w trans.

Do przytomności przywróciło ją uderzenie fali, po którym nałykała się zimnej i śmierzdzącej wody. Rozlewające się na powierzchni płomień z płonącej ropy zbliżały się w jej kierunku. Rzuciła się do ucieczki.

Pływanie w falach, w poszarpanym ubraniu nie należało do łatwych. Udało jej się największym wysiłkiem odpłynąć kilkanaście metrów. Płonąca ropa, pchana wiatrem, ścigała ją po powierzchni. Po trzydziestu metrach szarpania się z ubraniem, wodą, zimnem i własną słabością była coraz bliższa poddania się. Myśl, że lepiej utonąć z wycieńczenia niż spłonąć, dodała jej sił. Widziała, że nie ucieknie przed płomieniami.

Poprzez ryk morza dotarł do Agnieszki inny odgłos. Basowy pomruk i łopotanie. Ciężki, szaroniebieski śmigłowiec zbliżał się do niej, zwalniając i zmniejszając wysokość lotu. Z trudem uniosła głowę, dostrzegając maszynę schodzącą wolnym lotem ku powierzchni. Wyciągnęła rękę, by zwrócić uwagę. I w tym momencie poszła pod wodę.

- Człowiek za burta! – wykrzyknął Bryłowski.
- Melduj gdzie, do cholery! – zdenerwował się Napierała.
- Na pierwszej.

Teraz i Napierała dostrzegł rozbitka.

- Podprowadź, wyciągniemy go.

Napierała prowadził *Mi-14* zgodnie ze wskazówkami Bryłowskiego, zaledwie trzy metry nad wodą. Zastanawiał się, co ma zrobić z bombardowanym podmuchem i pyłem wodnym rozbitkiem, gdy odezwał się Bryłowski:

- Szefie, skacze.

Nim komandor zdążył zrobić cokolwiek, nim zdążył zabronić Bryłowskiemu działania, ten wypiął się z interkomu, odpiął pasy i wyskoczył, a raczej wyszedł do wody.

- Człowiek za burta! – zameldował Gęsicki.
- Wiem, teraz już dwóch. Diabli nadali tego narwańca! – irytował się komandor. Nie bał się o podwładnego, który w pomarańczowym kombinezonie ratowniczym miał zapewnione ciepło i pływalność. Tylko jak do cholery, miał go teraz wydobyć z wody?
- Gąsior, stań w furcie i podprowadź mnie do nich – zakomenderował. – Spróbujemy ich podnieść. Dasz radę?
- Jasne, szefie.

Mi-14 był w stanie wodować, jednak Napierała nie chciał ryzykować. Maszyna ma już swoje lata – podnosić ją później z ładunkiem wody w kadłubie? Wystarczy, że miał już na pokładzie torpedę, flary i pławy. Trzeba było improwizować, a to zawsze było obciążone ryzykiem.

Ostatecznie, manewrując ostrożnie pod wskazania Gęsickiego, zdołał zejść na niewielką wysokość tuż nad grzbiety fal. Nie było łatwo. Fala rzucała rozbitkami, podmuchy wiatru zza promu rzucały śmigłowcem, do tego ta płonąca ropa, oświetlająca swoim blaskiem kabinę. Mimo to, po kilku nieudanych próbach, Gęsicki złapał rękę Brylowskiego, gdy ten podpłynął z rozbitkiem do burty śmigłowca; technik o mało sam nie wypadł przy tym z maszyny. Brylowski trzymał się burty, sam nie wciągnął się jednak, tylko pomógł Gęsickiemu wciągnąć rozbitka do środka. Dopiero potem, przy pomocy technika, wciągnął się do środka.

– Akcja zakończona – zameldował Gęsicki.

Napierała podniósł śmigłowiec wyżej i poleciał w kierunku unoszącej się na wodzie gromady rozbitków. Gąsior zrzucił im ich własną tratwę ratunkową.

Agnieszka rozglądała się nieprzytomnym wzrokiem po ciasnym wnętrzu śmigłowca. Gęsicki wziął termos, nalał do kubka ciepłej herbaty i podał dziewczynie.

Niewiele więcej mogli zrobić. Pozostałe śmigłowce również zrzuciły tratwy. Fregaty kręciły się w pobliżu płonącego promu, w miarę możliwości wylawiając rozbitków. W paskudnie złym nastroju Napierała skierował maszynę w kierunku Oksywia. Chcąc rozproszyć złe myśli zapytał Gęsickiego:

– Jak się miewa nasz rozbitek?

– To baba, trochę oszołomiona i przestraszona, ale nawet nie połamana – rzekła Gęsicki, uświadomiwszy sobie, że komandor nie zna szczegółów. – Tylko ubranie jej rozerwało trochę przy upadku. Nawiasem mówiąc, całkiem niezła, panie komandorze – dodał.

Barwna wypowiedź Gęsickiego trochę poprawiła nastrój Napierały, który oscylował gdzieś między ponurym a maniakalno-depresyjnym. Pomyślał, że nieźle będzie nieco oderwać załogę od myślenia o tym, co właśnie zobaczyli.

– Cały nasz złoty chłopiec – stwierdził, nawiązując do prywatnych podbojów Brylowskiego. – Nawet w takiej katastrofie gołą babę znajdzie!

Nikt się jednak nie roześmiał.

Nad Bałtykiem, na północny wschód od Helu, godz. 11:24

Zimmermann i Giedebauer lecieli polskim wojskowym *Mi-2*. Polacy skwapliwie wykorzystali obecność niemieckich reporterów, by pokazać Zachodowi, do czego doprowadziła blokada EAF. Statek trzymał się jeszcze na wodzie. Wokół niego kręciły się śmigłowce i jednostki pływające.

Pożar jeszcze nie wygasł. Słup dymu sięgał kilku kilometrów wwyż i był widzialny z brzegu. Burty promu były okopcone. Farba spłonęła lub odpadła od żaru, sylwetka promu była szaroczarna, ponura. Płomienie na pokładzie i powierzchni morza prawie wygasły, błąkały się gdzieś tam ich ogniska, jednak wewnątrz statku nadal trawił ogień. Statek miał już znaczny przechył na prawą burtę i przegłębienie na rufę. Nawet dla dziennikarzy było jasne, że niebawem zatonie.

Giedebauer filmował płonący prom, podczas gdy Zimmermann starał się czegoś dowiedzieć od pilotów. Załoga *Mi-2* wiedziała jednak niewiele. Zimmermann wywalczył jednak, iż spotkają się z jednym z ocalonych, naocznym świadkiem wydarzeń. Słyszał już, że początkowa akcja ratownicza dała mizerne skutki. Wyłowiono kilkanaście osób. Być może na pokładach jednostek pływających byli jeszcze jacyś ocaleni, jednak nic na ten temat nie było wiadomo.

Na oczach obu reporterów i obiektywu ich kamery płonący prom przechylił się nagle i przewrócił na burtę. Zatonął szybko, pograżając się rufą. Dziób celował przez chwilę w niebo, wydzielając kłęby pary i dymu, po czym zniknął pod powierzchnią, zostawiając wodną kipieli. I ona jednak szybko rozmyła się w falach. Po kolejnych dwóch minutach jedynym śladem po nim na powierzchni morza byli nieliczni rozbitkowie i płonąca ropa.

Pierwszy pilot zwrócił się do Zimmermanna:

- Możemy teraz polecieć na Oksywie. Wystarczy wam już filmowania?
- Jeszcze chwilę – odkrzyknął Zimmermann w interkom. – Rudi, masz już wszystko? – zapytał Giedebauera.
- Sfilmuję jeszcze okręty i śmigłowce i możemy lecieć. Jeszcze minutę.

Chwilę później *Mi-2* wziął kurs na bazę w Babich Dołach.

Zimmermann był przytłoczony rozmiarem katastrofy. Ilu mogło tam być ludzi? Na pewno sporo. Z tego, co słyszał, mnóstwo Polaków chciało wrócić do ojczyzny z przymusowego zatrzymania za granicą.

To będzie bomba – pomyślał. Bomba, jaka detonuje Vandenoortowi w rękach. Tego nie da się zamieść pod dywan. Szóstym zmysłem dziennikarza Zimmermann czuł, że to nie koniec zawieruchy. Sprawy zaczynały się wymykać spod kontroli.

Lotnisko Gdynia-Babie Doły **godz. 11:45**

Babie Doły stały się centrum operacji ratunkowej. Tu zwożono rozbitków, tu bazowały śmigłowce ratunkowe, tu działał sztab, tu zwożono ciała zabitych i wszelkie szczątki umożliwiające zdobycie dodatkowych informacji o katastrofie. Tu przesłuchiowano świadków.

W budynku lotniska oficer wywiadu przepytывał Agnieszkę do znudzenia. Pytał o liczbę ludzi, o ich rozmieszczenie na pokładzie, o przebieg wydarzeń od kontroli EAF do chwili wyłowienia przez załogę Napierały. Policijna psycholog przysłana do bazy w Babich Dołach protestowała przeciw przesłuchiowaniu świadka, ale wywiad wojskowy postawił na swoim. Chcieli znać przebieg wypadków, by dowiedzieć się więcej, niż wynikało z zapisów zebranych z sensorów jednostek wojskowych. Pytanie, dlaczego EAF przeprowadziło atak, niszcząc cywilny, nieuzbrojony statek, pozostawało bez odpowiedzi, podobnie, jak kwestia ilości pasażerów. Agnieszka twierdziła, że było ich około dwóch tysięcy.

Major zakończył przesłuchanie. Agnieszka spytała o Martę i Adama.

– Być może są wśród uratowanych – powiedział major wywiadu – Jednak proszę się nie łudzić. Szanse są nikłe. Wyciągnęliśmy z wody około 150 osób. Część z nich jest w kiepskim stanie. Liczba ofiar jeszcze wzrośnie. Miała pani kupę szczęścia. Nie dostała się pani w śruby. Gdyby wybuch nie wyrzucił pani z pokładu, musiałaby pani uciekać przed ogniem, skacząc w rozlaną, płonąca ropę. Właśnie dlatego wyłowiliśmy tak niewielu żywych. Większość to ci, którzy wypadli lub wyskoczyli z pokładu, zanim prom zatrzymał się w plamie płonącej ropy.

Agnieszka nie odpowiedziała.

Do majora podszedł inny oficer, którego rangi nie znała. Pochylił się i szeptał mu coś na ucho.

– Pani Madej, jest tu ekipa niemieckiej telewizji ZDF. Chcą porozmawiać z naocznym świadkiem wydarzeń. Czy chce im pani opowiedzieć jeszcze raz o tym, co się wydarzyło?

Agnieszka tępo patrzyła w majora. Marta i Adam prawdopodobnie zginęli. Jeszcze kilka godzin temu stali na pokładzie promu, owiewani bryzą, i cieszyli się na powrót do kraju. Teraz oni nie żyli, tylko ona wyszła z opresji cudem i była na krawędzi załamania....

- Nie musi pani oczywiście z nimi rozmawiać – dodał major łagodnym tonem, jakby zażenowany tym, że namawia ją jeszcze raz na przeżycie tej traumy.

Agnieszka wyprostowała się na krześle.

- Porozmawiam z nimi – powiedziała.

Oficer skinął głową.

- W porządku – powiedział. – Przyślę ich tutaj. Będzie pani towarzyszył nasz oficer, doskonale władający niemieckim. Będzie pilnował, żeby nic pani nie sugerowali, ani żeby nie usiłowali pani zmęczyć czy wyprowadzić z równowagi. Poza tym proszę mówić o tym, co się wydarzyło tak, jak opowiedziała mi pani tutaj.

Agnieszka przytaknęła. Odruchowo poprawiła włosy, zdając sobie nagle sprawę, że obejrzy ją mnóstwo ludzi.

Siedziba kanclerza Niemiec

godz. 12:20

Kanclerz Meier i minister spraw zagranicznych Biergbaum siedzieli oszołomieni programem telewizyjnym. Tragedia *Xenii* stała się już główną sensacją wszystkich światowych stacji telewizyjnych. Polacy chętnie przekazywali materiały telewizyjne kolejnym stacjom, i już wyrazili zgodę na przyjazd kolejnych ekip.

Prawdziwym ciosem był wywiad z rozbitkami. Cała Europa dowiedziała się o ich gehennie – ludzi, którzy nie wracali do domu wbrew narzuconemu zakazowi, a u jego bram zostali zabici... w imię jedności Europy! Media, dotąd sprzyjające Vandenoortowi, teraz wymierzyły swój oręż przeciw niemu. Przekaz był jasny: walka o jedność polityczną i ideową Europy doczekała się licznych cywilnych ofiar.

Katastrofa *Xenii* była medialną i polityczną katastrofą Vandenoorta.

- Vandenoort popełnił fatalny błąd – stwierdził w końcu Biergbaum. – A my razem z nim. Mamy na rękach krew cywilów. Dalsze brnięcie w ten konflikt niczego nie załatwi. Powinniśmy wycofać poparcie dla niego.

Kanclerz Meier nie była przekonana.

- Nie możemy się wycofać – powiedziała w końcu. – Nie po tym, co się stało. Albo utrzymamy dotychczasowy kurs i wygramy, albo legnie on w gruzach, gdy tylko zrobimy krok do tyłu. Sprawy zaszły a daleko.

- Nasza polityka właśnie legła w gruzach – zauważył Biergbaum. – W tych warunkach nie da się obronić integracji. Właśnie została zahamowana. Musimy minimalizować straty.
- Wierzę w Vandenoorta. Jego determinacja może doprowadzić do wygranej w tym konflikcie. Wtedy będziemy minimalizować straty. Jest na tyle sprytny, by obrócić to jeszcze na swoją korzyść.

Rzeczywiście, telewizja pokazywała właśnie rzecznika Komisji Europejskiej, który dowodził, że tragedia jest wynikiem postawy Polski, która sprowokowała blokadę, a potem łamała blokadę i w konsekwencji legalnych działań EAF doprowadziła do śmierci swoich obywateli. Biergbaum zwrócił uwagę, że mówiąc o Vandenoortcie, kanclerz użyła zwrotu „swoją korzyść”. Nie „naszą korzyść”. Jej wiara w Vandenoorta zaczynała słabnąć.

- Ten jego spryt wyprowadzi ludzi na ulice – skwitował przedstawienie Biergbaum. – Przecież to może przekonać tylko użytecznych idiotów. Każdy, kto pomyśli samodzielnie, dojdzie do zupełnie innych wniosków.

Meier spojrzała z ukosa na swojego ministra.

- Czasem zastanawiam się, jak zostałeś ministrem w moim rządzie – rzekła z przekąsem.
- Zostałem, bo trzeźwo i bez przesądów oceniam sytuację i mówię, to co myślę. Nie kieruję się ideologią – odciął się Biergbaum. – Musimy coś zrobić. Nie możemy tkwić w poparciu dla Vandenoorta i udawać, że nic się nie stało.

Kanclerz zamyśliła się.

- Wydamy komunikat z prośbą do obu stron o powstrzymanie się od użycia siły – zakomunikowała. – Vandenoort też powinien zakomunikować o zaprzestaniu użycia siły, przynajmniej na razie, dopóki nie opadną emocje.

Biergbaum pokiwał głową. Rząd niemiecki nie zajmie żadnego stanowiska w sprawie – oczywiście takiego, które dałoby Polakom choć cień szansy na poparcie akcji zbrojnej. I oczywiście ani cienia szansy dla eurosceptyków, którzy chętnie widzieliby kolejne państwa cofające poparcie dla Vandenoorta i kolejnych europejskich traktatów.

Serwis światowy BBC godz. 12:25

Rzecznik Komisji Europejskiej, Xavier Ramos, wydał wstępne oświadczenie w sprawie zatopienia przez lotnictwo Europejskich Sił Zbrojnych promu Xenia na Morzu Bałtyckim. Ramos zarzucił rządowi polskiemu

sprovokowanie otwarcia ognia. Według niego, nad ranem polskie lotnictwo morskie zaatakowało na wodach międzynarodowych należący do sił EAF okręt podwodny U-23. Okręt nie stwarzał zagrożenia dla żeglugi i pełnił służbę w ramach mandatu udzielonego przez Komisję Europejską. Wskutek akcji przeciw polskim okrętom śledzącym U-23 trafiony został przypadkowo łamiący blokadę grecki prom Xenia.

Zdaniem Ramosa, całkowitą odpowiedzialność za śmierć pasażerów Xenii, ponosi polski rząd i polskie siły zbrojne. Według nieoficjalnych informacji, w wyniku trafienia promu, śmierć mogło ponieść od dwóch do dwóch i pół tysiąca osób.

Dowództwo Sił Powietrznych Warszawa, godz. 12:30

– Przepraszam, że kazałem panu tyle czasu czekać. Powiedział Zdanecki, gdy wreszcie Nawrocki znalazł się w jego gabinecie.- Niestety, cały ten kryzys z EAF absorbuje mnie całkowicie. Zabiegał pan o kontakt ze mną od dłuższego czasu. Rozumiem, że sprawa jest ważna?

– I arcydelikatna – uzupełnił Nawrocki.

Przez następnych dziesięć minut komisarz referował generałowi sprawę pobicia lewicowych aktywistów na poznańskich Ratajach. Opisał przebieg wypadków tak, jak go przedstawili lewacy, potem powiedział o swoich wątpliwościach, zaznaczając jednak, że te generał może zachować wyłącznie dla siebie. Choć zgodnie z procedurą nie wolno mu było wpływać na przebieg śledztwa, musiał przedstawić generałowi ustalenia, by zyskać jego przychyłność. Ostatecznie, i tak już naruszył prawo w kilku miejscach – jakie znaczenie ma wobec tego jeden zarzut mniej czy więcej? Na koniec przeszedł do sedna sprawy.

– Wszyscy zgodnie twierdzili, że pobili ich lotnicy, choć przyznali, że tamci byli w cywilnych ubraniach. – konkludował

– Tak twierdzić może każdy. Macie jakieś dowody, że rzeczywiście byli to lotnicy?

– Nie.

– To czego właściwie oczekuje pan ode mnie?

Nawrocki zrobił tajemniczą minę. Tak przynajmniej mu się wydawało.

– Można tu bezpiecznie rozmawiać? – spytał.

– To naprawdę takie poufne?

Nawrocki skinął głową.

- Możliwe, że pobici znali swoich adwersarzy z imprezy, co do której dali nam cynk. Zjawiliśmy się tam, by zamknąć imprezę z narkotykami.
- Skąd taki wniosek?
- Dzwoniono do nas z telefonu komórkowego, który znaleźliśmy w miejscu bijatyki.
- To nadal niczego nie dowodzi. Kto właściwie z niego dzwonił? Pobici czy ci rzekomi lotnicy?
- Z tego telefonu dzwoniono jeszcze gdzieś indziej.
- Powie mi pan dokąd?

Nawrocki spojrzał generałowi prosto w oczy.

- Ta informacja została zdobyta nieoficjalnie. Nie może wyjść poza ten pokój.
- Z naruszeniem procedur?
- Tak.
- Może wyjść, ale tylko w górę.

Nawrocki zastanowił się.

- W porządku, ale proszę nie podawać źródła.
- Okej.
- Z tego telefonu dzwoniono jeszcze do asystentów Vandenoorta. Nie sądzi pan chyba, że to sprawka rzekomych lotników?

Zdaneckiego zatkało.

- Jest pan tego pewien? – spytał.
- Tak jak tego, że tu siedzę i rozmawiam z panem.
- Ktoś jeszcze o tym wie?
- Tylko jeden z moich współpracowników. Nie piśnie o tym nikomu. No i oczywiście sami zainteresowani. I adwokat tego, którego zatrzymaliśmy. Jak znam życie, wie wiele więcej.
- Pańscy przełożeni oczywiście nie wiedzą o pańskiej wyprawie do Warszawy?
- Oficjalnie jestem na jednodniowym zwolnieniu lekarskim.
- Dlaczego mam panu wierzyć?

Nawrocki był przygotowany.

- Gwarancji, że mówię prawdę, nie mogę panu dać, poza własną osobą. Może mnie pan przeświecić. To, co robię, jest nielegalne, niezależnie od tego, czy mówię prawdę, czy nie. Jeśli po moim wyjściu zadzwoni pan do dowolnej prokuratury, to pozostanę na państwowym wikcie, ale już nie jako policjant.

Zdanecki skinął głową.

- Zastanawia mnie jeszcze jedno. Dlaczego kontrwywiad cywilny i wojskowy nie wiedzą nic o kontaktach środowisk lewicowych z Vandenoortem?
- Mają nieoficjalny przykaz, by nie ruszać lewicowców, nie drażnić prasy i zachodnioeuropejskich polityków.

Zdanecki zamyślił się. Przez chwilę patrzył na ścianę za Nawrockim.

- Ma pan rację. Dziś zgodnie z prawem można w Polsce trafić do więzienia za narysowanie swastyki na płocie czy murze. Nie wnikiem, czy jest to sensowne, czy nie – takie jest prawo. To samo prawo karze za propagowanie komunizmu, ale nie słyszałem, żeby kogokolwiek zatrzymano za noszenie koszulki z sierpem i młotem. Nasze prawo ma również inne ciekawe luki. Pieniądze na finansowanie partii politycznych są pod kontrolą. Jednak można założyć dowolną organizację pacyfistyczną czy ekologiczną i brać pieniądze z dowolnych źródeł – i oczywiście sparaliżować protestem ekologicznym budowę gazoportu w Świnoujściu czy tarczy antyrakietowej. Chce pan powiedzieć, że ktoś wykorzystuje te luki w obecnym kryzysie?

Nawrocki uśmiechnął się.

- Na to wygląda.
- Czego pan potrzebuje?
- Żeby wszcząć oficjalne śledztwo i mieć podstawę do oficjalnego sprawdzenia billingów z tego aparatu, muszę znaleźć owych ludzi, którzy rzekomo napadli na aktywistów. Na podstawie ich zeznań mogę wszcząć śledztwo przeciw tym politycznym zadymiarzom i oficjalnie przeświecić te billingi, a potem zapytać ich, dlaczego tak lubią dzwonić do Vandenoorta. Tylko wówczas spisek wyjdzie na jaw. Mam jednego z nich w areszcie, nie chce jednak gadać, przekonany, że blokada wymusi zmianę władzy i że wyjdzie bez zarzutów prokuratorskich.
- Krótko mówiąc, musimy złamać blokadę i Vandenoorta, żeby złamać spiskowców, którzy pomogą nam złamać blokadę i Vandenoorta? – zażartował Zdanecki.
- Niezupełnie, ale jeśli uda się podważyć jeden fundament ich polityki, to runą kolejne.

Zdanecki ponownie się zastanawiał.

- Ma pan rysopisy tych rzekomych lotników? – zapytał.
Nawrocki sięgnął do teczki. Wyciągnął kopie dwóch portretów pamięciowych.
- Podobno pobiło ich czterech, ale widzieli tylko dwóch – powiedział. Jeszcze jedno źródło wątpliwości – pomyślał.

Zdanecki popatrzył na portrety pamięciowe i orientacyjne informacje o rzekomych napastnikach. Z grubsza pasowały do Tkaczyka i Marciniaka.

- Ok – rzekł. – Powiedzmy, że znam oficerów podobnych do osób przedstawionych na portretach. Powiedzmy, że nie wykluczam, iż mogli się wtedy znajdować w Poznaniu. Co dalej?
- Oficjalnie docieramy do nich i przesłuchujemy w charakterze świadków – wyjaśnił Nawrocki – Jeżeli potwierdzą moje wątpliwości, będzie to powód do zmiany kierunku śledztwa. A wtedy przyskrzynimy prowokatorów.
- I Vandenoorta – rzekł generał. – Mam jednak wątpliwości. Po pierwsze, nie mam pewności, czy oficerowie zechcą zeznawać, nawet jeśli rzeczywiście tam byli.
- W takim wypadku my osobiście tracimy niewiele. Oni też. Traci cała Polska.
- Zgadza się. Po drugie – nawet oficerskie słowo dwóch moich poruczników niewiele będzie znaczyło w sądzie, jeśli przeciwstawić im zeznania czterech osób.
- Można doszukać się w nich nieścisłości albo przycisnąć. Zależy, jaki będzie prokurator.
- Właśnie. Czyli jesteśmy uzależnieni też od prokuratora.
- Dlatego dobrze by było, żeby oficerowie opowiedzieli, co wydarzyło się w trakcie imprezy. Może któryś z jej uczestników zechce w końcu zeznawać, gdy będzie chodziło o nich?

Zdanecki pokręcił głową.

- Wdaje się pan w intrygę na międzynarodową skalę i próbuje jeszcze mnie wciągnąć. Ta sprawa to bomba, która może powalić Vandenoorta. Jeżeli jednak znajdzie się w sądzie, a coś pójdzie nie tak, wylecimy na niej wszyscy – pan, ja i moi oficerowie.
- Jeśli nic nie zrobimy, to wszyscy niebawem obudzimy się z ręką w nocniku i trzymani za pysk przez Vandenoorta. Pomoże mi pan?
- Stawka jest cholernie wysoka – rzekł Zdanecki. – W porządku. Wchodzę w to. Moja adiutantka poda panu bezpośredni kontakt do mnie.
- Okej. – rzekł Nawrocki. Wstał. – Dziękuję, że znalazł pan czas. Będziemy w kontakcie.
- Będziemy. Dziękuję, że przyszedł pan z tym do mnie.

Nawrocki wyszedł. Generał usiadł w fotelu zamyślony.

Należało zagrać *va banque*. Tu i teraz.

Drugiej okazji nie będzie.

Bruksela, siedziba Komisji Europejskiej

godz. 14:00

Vandenoort chodził wściekły po swoim gabinecie. Napływające od rana wiadomości dzieliły się na złe, gorsze i jeszcze gorsze. Swoją złość wyładował już na Schusterze, który był zbyt zszokowany i przygnębiony, by się tym przejąć.

– To nie może tak zostać – stwierdził Vandenoort. – Ci pierdoleni Polacy wykorzystają tę wpadkę. Już ją wykorzystują. Sytuacja wymyka się spod kontroli.

Schuster taktownie pominął nazwanie zabicia licznych cywilów „wpadką”. To była najgorsza katastrofa od czasu ataku na World Trade Center.

– Powinniśmy zadeklarować powstrzymanie się od użycia siły – powiedział. – To powinno uspokoić sytuację. Potem zasiądźmy do rozmów z Polakami i wynegocjujmy jakiś kompromis. Wyjdziemy z twarzą, zapłacimy sowite odszkodowania, ale przynajmniej...

– Nie będzie żadnego kompromisu! – wrzasnął Vandenoort. – To byłby koniec naszej polityki, naszego planu integracji i naszego traktatu. Już w tej chwili jest zagrożony...

– Ten traktat nie istnieje od chwili, kiedy został odrzucony! – ryknął Schuster – Doskonale o tym wiedziałeś! Chciałeś wprowadzić go tylnymi drzwiami i zobacz, do czego doprowadziłeś! Ratujmy, co się da, póki jeszcze można...

– Nie można! Nic nie możemy zrobić!

– Jak to?!...

– Polacy wiedzą o naszym planie.

Schuster zamilkł.

– Jak to „wiedzą”? Nie użyli tego jeszcze?

– Nie mają dowodów, ale mają naszego człowieka. Jego adwokat twierdzi, że jest bliski załamania. Jeśli posiedzi jeszcze z miesiąc, wszystko im wyśpiewa.

Schuster rozważał w myślach to, co usłyszał. Wyglądało na to, że czas i możliwości im się kończą.

– Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziałeś?

– A co by to zmieniło, do cholery? – spytał Vandenoort. – Nie mamy chwili do stracenia. Musimy przejąć inicjatywę w konflikcie i wygrać go, zanim wszystko się rozsypie.

– Wiesz już, jakie kroki powinniśmy podjąć?

– Wiem. Radykalne. Jak najbardziej radykalne.

Serwis światowy BBC

27 lipca, godz. 14:00

Kolejne reakcje światowe na kryzys w Europie.

Do Polski napływają kondolencje w związku z tragedią na Bałtyku. Wyrazy współczucia na ręce prezydenta Chłopickiego przekazali już prezydent Stanów Zjednoczonych i premier Wielkiej Brytanii.

*Sekretarz stanu USA, Mark Thomason, wezwał Komisję Europejską do wycofania sił blokujących komunikację morską do Polski, powrotu do rokowań z rządem polskim i rozwiązania w ten sposób kryzysu, a obie strony do powstrzymania się od użycia siły zbrojnej. Zdaniem Thomaso-
na konflikt wymyka się spod kontroli, a dzisiejsza katastrofa z wielką liczbą ofiar cywilnych może prowadzić do gwałtownej eskalacji działań zbrojnych. Sekretarz stanu dodał, że w razie eskalacji konfliktu USA podejmą kroki wobec państw wspierających blokadę. Odmówił jednak odpowiedzi na pytanie, jakie mogą to być działania.*

Niemiecka opozycja pozaparlamentarna wezwała premier Andreę Meier do dymisji. Zdaniem Rolfa Mielke, przewodniczącego organizacji Europa Narodów, kanclerz jest współodpowiedzialna za setki, a może tysiące cywilnych ofiar w Polsce. „To niedopuszczalne, by sześćdziesiąt lat po wojnie Niemcy nadal mordowali sąsiadów w imię niemieckiej dominacji w Europie”, powiedział Mielke. Wezwania do dymisji rządów zgłosiły także pozaparlamentarne ugrupowania we Francji, Wielkiej Brytanii i Holandii.

Premier rządu Szwecji, Ingmar Nygusostwem, zapowiedział, że jeśli na forum Rady Ministrów Unii Europejskiej ponownie pojawi się kwestia blokady Polski, Szwecja będzie głosowała za jej zniesieniem, niezależnie od przyczyn, z jakich została nałożona.

Rząd niemiecki wezwał Komisję Europejską i rząd Polski do powstrzymania się od użycia siły. Rzecznik urzędu kanclerza wezwał też Polskę do wypełnienia żądań Komisji Europejskiej i ratyfikowania eurotraktatu. „To najszybsza droga do wyjścia z obecnego kryzysu i uniknięcia dalszych ofiar”, powiedział. Rzecznik polskiego MSZ nazwał stanowisko niemieckiego rządu „szczytem cynizmu”.

**Sztab Generalny,
27 lipca Warszawa, godz. 14:30**

– Dostałem to dziś rano i ledwie zdążyłem się z tym zapoznać – Zdanecki wykladał okoliczności pojawienia się planu Marciniaka generałowi Łańskiemu. Krępy, rudawy szef sztabu pogładził gęste wąsy. Zapoznawał się właśnie z rozkazem operacyjnym napisanym przez Marciniaka i Czerwińskiego.

– Skąd to wytrzasnąłeś? – spytał, gdy dobiegł do końca tekstu.

– Poprosiłem moich pilotów o burzę mózgów. Od wczoraj przyszła jedna, całkiem poroniona propozycja i ten zarys planu. Do realizacji nadaje się wyłącznie to.

– Kto to wymyślił?

– Dwaj z moich poruczników.

Łański pokręcił głową. Kiepsko z kadrami. Widać było, że pomysł zrobił na nim wrażenie.

– Jest wykonalne?

– O ile mi wiadomo, tak.

Szef sztabu wpatrywał się w opis.

– Co z radarami EAF? – zapytał.

– Kwazar spisuje się nieźle, ale sam by nie wystarczył. Jednak w ostatnich dniach przeciwnik zmniejszył moc emisji. Liczyliśmy to pobieżnie, a moi specje od walki radioelektronicznej jeszcze raz to liczą i symulują. Wstępnie wyszło nam, że może się udać.

– Widzę tu jeszcze kilka wątpliwych punktów. Ten plan jest dwustopniowy.

– Za jednym zamachem załatwić się tego nie da. Poza tym okręty potrzebują czasu, by zająć pozycje ogniowe i przygotować maskowanie.

– Z tym nie będzie łatwo.

– Rozmawiałem już z Gromnickim. Da się zrobić.

– A co z Niemcami? Nie zareagują?

– To jest gorszy problem. Pewności, że nie przyślą EAF posiłków, nie mamy.

– A możemy mieć?

Zdanecki pomyślał chwilę.

– Gdyby nasi politycy zdecydowali się wziąć udział w pewnej szopce, to kto wie, czy Niemcy nie ruszyliby *Eurofighterów* z Laage. Kłopot w tym, że nie wiemy, czy nasi wybrańcy narodu się zgodzą.

– A kiedy dowiemy się, co postanowili Niemcy?

– Będziemy wiedzieli po pierwszej fazie.

– W takim razie zgoda – rzekł Łański. – Pójdziemy z tą propozycją na Radę Bezpieczeństwa.

Pałac prezydencki, Warszawa, godz. 16:30

Prezydent, premier, ministrowie spraw zagranicznych, obrony oraz zawieszony polski komisarz Rudnicki debatowali w sali obrad pałacu prezydenckiego nad ostatnimi wydarzeniami. Mieli do nich niebawem dołączyć wojskowi.

- Panowie, sytuacja jest fatalna – powiedział Radwański. – Według pierwszych obliczeń mamy ponad dwa tysiące ofiar, kilka razy tyle oszalałych z rozpaczny bliskich i wściekłość większości Polaków. Już zaczynają zadawać pytanie, co władze robią, by rozwiązać ten kryzys i dlaczego pozwoliliśmy na to, co się stało.
- Gdybyśmy szybciej ratyfikowali eurotraktat... – zaczął Rudnicki.
- ...to traktowaliby nas jeszcze gorzej niż obecnie! – wszedł mu w słowo Radwański – Czytał pan oświadczeniem rządu Niemiec? Zabili dwa tysiące naszych obywateli, a teraz mówią „powstrzymajmy się od użycia siły”. Bezgraniczny cynizm i bezgraniczny tupet.
- Odcinają się jednak w ten sposób od działań Vandenoorta – stwierdził Kruza.
- Tylko pozornie. Gdyby chcieli się odciąć, potępiliby tę zbrodnię. Nadal popierają tego drania.
- Panowie, skoncentrujmy się na działaniu, nie na emocjach – wtrącił prezydent Chłopicki. – Jak wygląda sytuacja wewnętrzna?

Odpowiedział mu premier Radwański.

- Nastroje są na krawędzi wybuchu społecznego – stwierdził z zatroskaną miną człowieka, który nie widzi sensownego wyjścia z kłopotów. – Naciski ze strony grup lewicowych i postkomunistów na bezwarunkowe przyjęcie eurotraktatu i Karty Praw Obywatela rosną. Zwykli obywatele mają dość blokady. Jeżeli nie postaramy się o jakiś przełom, to upadek rządu jest bliski, a wtedy władzę przejmą lewica i postkomuniści. Nasze szanse na to, by oprzeć się Vandenoortowi, spadną do zera, bo oni podpiszą każdy traktat. Musimy działać, i to energicznie, jeśli chcemy choćby wyjść z tego kryzysu z twarzą.

W tym momencie drzwi się otworzyły i weszli Łański, Zdanecki, Gromnicki i Pawlak.

– Siadajcie panowie – prezydent wskazał miejsca. Wojskowi usieli przy końcu stołu, po przeciwnej stronie głowy państwa. – Kontynuujemy. Jakież zmiany w sytuacji międzynarodowej?

– Nic istotnego – stwierdził Kruza. – Amerykanie formalnie nas popierają, ale nie będą interweniować zbrojnie. Zbyt oddaliliśmy się od nich politycznie i militarnie, stawiając na Unię, by wywarli jakąkolwiek inną presję niż dyplomatyczna czy ograniczone sankcje gospodarcze. Może ruszyliby swoje lotniskowce, gdyby nagle Niemcy przekroczyli Odrę, ale w tej sytuacji bazy w Neapolu, Rota czy Rammstein mają dla nich większą strategiczną wartość niż Polska niezależna, czy pod kluczem Vandenoorta. Prawdę mówiąc, z ich punktu widzenia najlepiej byłoby, gdybyśmy sami zdemolowali tę blokadę. Myślę, że głośno potępiliby starcie zbrojne, ale po cichu pogratulowaliby nam rozwiązania tego kryzysu. Prawdę mówiąc, zbyt silna Unia jest im nie na rękę.

– No to na co jeszcze czekamy? – wtrącił Dobrowolski.

– Panowie, to jest Europa, nie decydujemy się pochopnie na użycie siły – usiłował zmytygować go Rudnicki.

Zdanecki nie zdzierzył:

– Pochopnie?! – zapytał głośno. – Po tym jak zabili naszych cywilów? Ilu jeszcze trzeba trupów, żeby dotarło do pana, że to nie jest eurosalon w Brukseli, tylko wojna?

– To był wypadek! – bronił się Rudnicki.

– Tak jak poprzednio rakiety przypadkiem spadły im na nasze terytorium?

– Panowie! – przywołał ich do porządku Chłopicki. – Czy ktokolwiek inny poparłby rozwiązanie siłowe? – spytał.

– Głośno nikt – odpowiedział Kruza. – Do dzisiaj. Mimo blokady przedwczoraj spotkałem się na granicy ze swoim czeskim odpowiednikiem. Cześci są mocno zaniepokojeni tym, co robi Vandenoort. Dziś po południu spotkałem się z kolei z ministrem spraw zagranicznych Litwy. Dał mi do zrozumienia, że po zatopieniu promu z uchodźcami Litwa nie zaprotestuje, jeśli użyjemy siły, zniszczyć blokadę. W ich opinii, nawet jeśli w Polsce źle się dzieje i pretensje Komisji Europejskiej są słuszne, to podjęte środki są niewspółmierne do problemu.

– Szkoda, że dopiero teraz to zauważyli – stwierdził sarkastycznie Radwański.

Rzeczywiście, szkoda, pomyślał Zdanecki. Z tego, co mówił Kruza, wynikało, że elity krajowe poniewczasie zdały sobie sprawę, do jak wielkiego ubezwłasnowolnienia poszczególnych członków Unii prowadzi polityka Vandeno-

orta. Jednak podobnie jak przy ratyfikacji eurotraktatu nikt nie chciał się okazać się tą czarną owcą, która się pierwsza wyłamie. Strusia polityka zawsze ma straszliwe konsekwencje, pomyślał generał.

- W porządku, co nieco zatem wiemy – podsumował Chłopicki. – Pytanie, co możemy zrobić.
- Możemy nagłaśniać fakt, że blokada jest nielegalna i niewspółmierna do naszych wykroczeń.
- Szkoda czasu. Nie przekonamy zachodniej opinii publicznej, że jest nielegalna, bo musielibyśmy udowodnić, że przyczyny, dla jakich została nałożona, nie istnieją – powiedział Kruza. – Że nie ma nietolerancji, tłumienia wolności słowa. Po majowych wydarzeniach musielibyśmy udowodnić, że nie jesteśmy wielbłądem. Zostały zinterpretowane tak, jak zostały. Vandenoort bardzo zręcznie wykorzystał te protesty i fakt, że doszło do zamieszek. Rozegrał to tak, że przeciętny zachodni obywatel potępia metodę, ale nie cel. Dlatego nie należy spodziewać się masowego sprzeciwu wobec blokady.
- W takim razie pozostaje rozwiązanie siłowe – zakonkludował Dobrowolski.
- To niedopuszczalne! – oburzył się Rudnicki. – To zostanie bardzo źle przyjęte...
- Guzik mnie obchodzi, co sobie o tym pomyślą w Brukseli – zdenerwował się Radwański. – Nie mogą nas bez końca kopać poniżej pleców. Musimy w końcu odpowiedzieć tak, jak na to zasługują.

Na chwilę zapadła cisza.

- Lepszej okazji nie będziemy mieli – odezwał się w końcu Zdanecki.
- Jak to nie będziemy mieli? Opcję siłową możemy zawsze uruchomić... – usiłował zagłuszyć go Rudnicki.
- Moi piloci są w szczytowej formie – kontynuował spokojnie generał. – Samoloty też doprowadziliśmy do maksimum gotowości bojowej. Za kilka tygodni przy tak intensywnej eksploatacji ich gotowość spadnie na skutek zużycia i awarii. Ludzi też dopadnie zmęczenie. Powinniśmy im dołożyć, póki nasi lotnicy i marynarze mają w świeżo pamięci tragedię *Xeni*.
Wszyscy obecni wpatrzyli się w Zdaneckiego.
- Naprawdę chce pan wojny? – spytał w końcu Kruza.
- Wojnę już mamy – odrzekł generał. – Wypowiedział ją nam Vandenoort. Doszliśmy do takiego punktu, gdzie możemy tylko wywalczyć sobie własne prawa albo bezwarunkowo się poddać.
- Możemy z tego wyjść pokojowymi środkami... – zaczął Rudnicki.

- Jakie efekty dają próby negocjacji z Vandenoortem?! – spytał ostro Zdanecki, patrząc Rudnickiemu prosto w oczy.
- Rozmawiamy...
- Ustąpił choćby o krok czy nadal żąda ratyfikowania eurotraktatu i Karty Praw Obywatelskich?
- Efektów możemy się spodziewać...
- Czyli nie ustąpił ani o krok! Co nam pozostaje?
- Generale, może pan szerzej uzasadnić swój punkt widzenia? – uprzedził ripostę komisarza Chłopicki.
- Oczywiście, panie prezydencie – odpowiedział Zdanecki. – Moim zdaniem sytuacja wygląda następująco: Wiemy, że Vandenoort gra nie tylko o ratyfikację eurotraktatu u nas, ale i w innych państwach. Nie wycofa się, bo ma wszystkie polityczne i militarne atuty w rękę. Tak mu się przynajmniej wydaje. Jeśli zmusi nas siłami EAF do przyjęcia traktatów, które odrzuciliśmy, to zmusi także pozostałe państwa i społeczeństwa. Stworzy też groźny precedens na przyszłość. Ktoś nie chce przyjąć jakiegoś porozumienia – zabierze go do Den Helder i pokaże okręty. Ktoś chce wypisać się z Unii Europejskiej – proszę bardzo, siły EAF podnoszą gotowość bojową, by pokazać, że Unia jest jedna. Jeśli raz udało się wykonać taki numer, zachowując pozory prawa, to czemu nie wykonać kolejnych. Jeśli chcemy takiej właśnie Europy, powinniśmy pokornie zgodzić się na jego żądania.

Zebrani milczeli.

- Pozwólcie w takim razie panowie, że pociągnę jeszcze swój wywód – rzekł Zdanecki. – Istnieją cztery powody, dla których zastosowanie siłowego rozwiązania, zwłaszcza teraz, jest właściwe i usprawiedliwione. Po pierwsze, środki, jakie wobec nas zastosowała Komisja Europejska, niewiele mają wspólnego z pokojowymi. Po drugie – utrzymywanie *status quo* uderza nie w przeciwnika, ale w nas. Czas gra na naszą niekorzyść. Dlatego, dopóki nie podejmemy zdecydowanych działań, Vandenoort nie cofnie się o krok ze swoimi żądaniami. Po trzecie, mamy wyśmienitą okazję i sprzyjający klimat polityczny i medialny po zbrodni, jakiej dopuścili się, usiłując zniszczyć nasze okręty na naszych wodach terytorialnych. Społeczeństwa Europy łatwiej zaakceptują nasze działania militarne teraz niż choćby za tydzień. Przez jakiś czas działania EAF będą nieco sparaliżowane obawą, by ponownie nie uśmiercić cywilów. Będą działać ostrożnie i trzy razy się zastanowią, zanim pociągną za cyngiel. To zwiększa nasze szanse na sukces militarny. Następnej tak doskonałej okazji nam nie stworzą. Dowódcy EAF również uczą się na własnych błędach. To przesłanki

ogólne. A są też dwie bardziej konkretne. – Zdanecki ściszył głos dla skoncentrowania uwagi słuchaczy. – Ta informacja są ściśle tajne. Mamy poważne informacje świadczące o tym, że EAF przygotowuje się do rozwiązania siłowego. Chcą zniszczyć nasze lotnictwo i marynarkę. Nie mają nic do stracenia, ale nie to jest najważniejsze. Istnieją poważne przesłanki, iż cała sprawa stłumionych demonstracji i pobicia pacyfistów jest prowokacją zainspirowaną przez Vandenoorta.

Ostatnie słowa Zdaneckiego wywołały na sali konsternację. Łański i Pawlak spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Łański zerknął na Pawlaka.

- Czy możesz wyjaśnić, skąd masz taką informację? – spytał szef sztabu.
 - Nie mogę, poza tym, że pochodzi ona z wiarygodnego źródła – odpowiedział Zdanecki.
 - Dlaczego wywiad nic o tym nie wie? – spytał Chłopicki.
 - Zagrożenia ze strony środowisk lewicowych nigdy nie traktowano poważnie – odpowiedział Zdanecki, wywołując wściekłe spojrzenie Pawlaka i kilku innych osób na sali. – Podobnie jak środowisk prounijnych. Po prostu z założenia nie były nawet monitorowane.
 - Cholerny świat – zaklął pod nosem Pawlak.
 - Mocne słowa, generale! – wtrącił Radwański.
 - Czas, by ktoś je wypowiedział!
 - Czy możemy jakoś wykorzystać politycznie tę informację? – spytał przytomnie Kruza.
 - Powinna ona znaleźć się na sali sądowej i w mediach. Na to potrzeba jednak czasu... – odpowiedział Zdanecki.
 - ... którego nie mamy – wszedł mu w słowo Radwański.
 - Dlatego musimy teraz rozbić blokadę! – podkreślił generał. – Alternatywą jest kapitulacja, całkowite podporządkowanie Vandenoortowi i zapłacenie Unii reparacji z tytułu kosztów blokady. Dziś EAF ma nad nami militarną przewagę. Z powodów, o których nie mogę powiedzieć, udowodnienie prowokacji nie jest możliwe, dopóki nie zlikwidujemy tej przewagi i nie zażegnamy groźby upadku rządu i kapitulacji przed żądaniem Vandenoorta.
 - Mamy do tego wystarczające siły? – spytał Kruza.
 - Mam plan, który może przełamać blokadę w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.
- Zapadła kłopotliwa cisza.
- Czy to ryzykowny plan? – spytał Chłopicki.

- Jak każdy plan operacji wojskowej jest obarczony ryzykiem. Jednak mamy ludzi zdeterminowanych go wykonać i przeciwnika, niedoceniającego naszej determinacji i woli walki. Przede wszystkim będzie wymagał jednak pewnego blefu ze strony władz Rzeczypospolitej.
- Nie możemy oszukać... – zaczął Rudnicki.
- Możemy! – przerwał mu ostro prezydent. – Nasi przeciwnicy nie grają czysto. Może pan liczyć na pełną naszą współpracę – zwrócił się do Zdanckiego – Proszę nam go przedstawić.

Serwis światowy BBC godz. 18:00

Komentując tragiczne w skutkach ostrzelanie i zatopienie przez siły EAF promu z polskimi repatriantami, rzecznik polskiego rządu, Jan Włodarczyk, oskarżył rząd Niemiec o udział ich sił zbrojnych w nalocie, w którego wyniku śmierć poniosło dwa tysiące polskich obywateli. „Mamy dowody, iż udział w ataku wzięły delegowane do sił EAF niemieckie samoloty Tornado. Od ich rakiet zatonął prom i zginęli polscy obywatele”, powiedział Włodarczyk.

Rozdział IX

Artykuł 59: Dobrowolne wystąpienie z Unii

1. Każde Państwo Członkowskie może, zgodnie ze swoimi wymogami konstytucyjnymi, podjąć decyzję o wystąpieniu z Unii Europejskiej.

2. Państwo Członkowskie, które podjęło decyzję o wystąpieniu, notyfikuje swój zamiar Radzie Europejskiej; Rada Europejska rozpatruje taką notyfikację. W świetle wytycznych Rady Europejskiej, Unia prowadzi negocjacje i zawiera z tym Państwem umowę, określając warunki jego wystąpienia, uwzględniając ramy jego przyszłych stosunków z Unią. Umowa ta jest zawierana w imieniu Unii przez Radę Ministrów, stanowiącą większość kwalifikowaną po uzyskaniu zgody Parlamentu Europejskiego. Przedstawiciel występującego Państwa Członkowskiego nie bierze udziału w dyskusjach i decyzjach Rady Ministrów lub Rady Europejskiej dotyczących tego Państwa.

3. Konstytucja przestaje mieć zastosowanie do tego Państwa od dnia wejścia w życie umowy o wystąpieniu lub, w jej braku, dwa lata po notyfikacji, o której mowa w ustępie 2, chyba że Rada Europejska w porozumieniu z danym Państwem Członkowskim podejmie decyzję o przedłużeniu tego okresu.

(Projekt Traktatu ustanawiającego Unię Europejską)

Reakcjonizm prowadzi do tragedii **witryna internetowa El Pais, 27 lipca 2008r.**

Reakcjonistyczna postawa Polski doprowadziła do tragedii. Zamiast w dwa zagrażające działającym zgodnie z prawem siłom EAF okręty, francuskie rakie-ty Exocet trafiły w łamiący blokadę, szmuglujący uchodźców prom. Niemal dwa tysiące ofiar – taki jest bilans nieprzestrzegania przez Polskę praw człowieka i całego ciągu wydarzeń, jakiemu dało początek stłumienie majowych manife-stacji w obronie praw człowieka i wolności w Polsce.

Krwawa blokada **witryna internetowa Die Welt, 27 lipca 2008r.**

Blokada morska Polski miała w opinii Brukseli zmusić polski rząd do respek-towania praw człowieka. W praktyce, polityczna i militarna próba sił między Ko-misją Europejską a suwerennym państwem, spowodowała śmierć 1800 cywi-lów. Należy zwrócić uwagę, że siły EAF ostrzelały polskie okręty znajdujące się na polskich wodach terytorialnych. Niecałą dobę wcześniej Komisja Europej-ska, wbrew wcześniejszym zapowiedziom, nakazała otwieranie ognia do pol-skich okrętów i samolotów znajdujących się poza terytorium Polski oraz bez-względne zatrzymywanie sił łamiących blokadę cywilnych jednostek. Pomie-dzy tym nakazem a śmiercią prawie dwóch tysięcy Polaków może istnieć ścisły związek.

Należy podziwiać pokój i powściągliwość Warszawy, która do tej pory unikała zdecydowanych starć i jedynie broniła swojego terytorium.

Eskalacja konfliktu **witryna internetowa Washington Times, 27 lipca 2008r.**

Odmawiając Polsce jakiegokolwiek pomocy poza dyplomatyczną, Waszyngton pchnął ją w objęcia Komisji Europejskiej. Obecny konflikt może zakończyć się całkowitym podporządkowaniem Warszawy wpływom z Brukseli. Znając naro-dowy charakter Polaków, nie są oni skłonni zgodzić się na takie jego zakoń-czenie. Zdaniem obserwatorów wojskowych, możliwe są dalsze militarne star-cia pomiędzy polskimi siłami zbrojnymi a EAF, i to na dużą skalę.

Powidz, baza lotnicza 27 lipca godz. 18:22

Marciniak chodził po płycie lotniska i usiłował w samotności przetrwać to, co zobaczył w telewizji. Pozostali piloci zdążyli już wysnuć z tysiąc jeden teorii na temat tego, co teraz powinno zrobić państwo polskie i co faktycznie zrobić. Niektóre trzymały się rzeczywistości, inne bez wątplenia należały do kategorii opowieści drzewa sandałowego. Gdyby fantazja pilotów miała moc sprawczą, okręty EAF leżałyby na dnie już od ładnych kilku godzin.

Michał nie brał udziału w tej rozróbie mózgów, bo sprawa wkroczyła w jego życie osobiste, po tym, gdy zobaczył Agnieszkę jako głównego, naocznego świadka tragedii i po SMS-ie od brata.

Wydawało mu się, że już się pogodził z rozstaniem z nią, że złość, jaka w nim tkwiła, wystarczy, by zamknąć ten rozdział życia raz na zawsze. Jednak tak nie było. Zobaczył ją taką, jakiej nigdy jej nie widział. Załamana, zaszokowana, być może na środkach uspokajających, tak odmienna od tej energicznej, wiecznie zajętej młodej kobiety.

Próbując zapanować nad myślami, obiecał sobie, że po zakończeniu tego cyrku zadzwoni do niej i zaproponuje spotkanie. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, pomyślał. Może jednak wcale z nią nie wyszli?

Skierował myśli ku Kaziowi. Jest teraz w morzu. Jest bardziej niż prawdopodobne, że jeśli dowództwo zleci komuś zaatakowanie sił morskich blokady, to właśnie *Orłowi*. Naprzeciw okrętu stanie lotnictwo bazowe i pokładowe EAF, jednostki nawodne i *u-boot*. Brakuje tylko świętego Mikołaja z różgą, ale to nie jego pora roku.

Porucznik pozwolił sobie na chwilę spekulacji. Gdyby wyłączyć z akcji *Roskilde*, to szanse *Orla* też by wzrosły, bo odpadłyby z akcji wszędobylskie *Oriony*. Wprawdzie EAF nie używał ich do tej pory akcji ZOP, ale nie było takiej potrzeby – żaden w polskich okrętów podwodnych nie był w morzu i nie zagrażał eskadrze Dentersa. Teraz to się zmieniło i prawdopodobnie dowództwo EAF już wiedziało o tym ze zwiadu satelitarnego lub ze źródeł osobowych. Wyeliminowanie z walki myśliwców zmusiłoby zapewne EAF do trzymania śmigłowców przeciwpodwodnych blisko najsilniejszych okrętów, a to również zwiększyłoby szanse polskich podwodniaków.

Zamyślony Marciniak uszedł kilkaset metrów, gdy jego uwagę zwrócił niezwykły ruch wśród techników. Jeździło mnóstwo samochodów, ludzie uwijali się na płycie lotniska, ładując sprzęt. Zawrócił w stronę zabudowań. Po drodze spotkał Czerwińskiego.

– Co się u diabła wyrabia? Skąd to zamieszanie?

- Nie słyszałeś? Mamy stawić się na odprawie u starego. Szykuje się coś większego – rzut naziemny w części wyjeżdża.
- Dokąd?
- Nie powiedzieli. Chodź do gabinetu Łysonia.
- Nie do sali odpraw?
- Tam odprawę ma Kwiecień. Z większością pilotów i szefami personelu naziemnego. My udajemy elitę w gabinecie starego.

Odprawa u Nowaczyka była rzeczywiście w szkieletowym składzie. Oprócz Marciniaka i Czerwińskiego byli jeszcze Tkaczyk, Krzyżanowski, porucznicy Lech Biernat i Mariusz Gryzło, zwany przez kolegów Grizzly. Pułkownik nie bawił się w długie przemowy.

- Dziś w nocy przierzucamy szóstkę maszyn do bazy Marynarki, do Siemirówic, – rzekł, gdy Tkaczyk zamknął drzwi. – Polecę jako jej dowódca. Resztę maszyn przierzucimy następnej nocy do Babich Dołów. Realizujemy pierwszą część planu o kryptonimie „Bałtycki Sztorm”. Oto jego założenia. Pułkownik wyłożył treść planu. Marciniak słuchał z zainteresowaniem, choć znał go dobrze, bo to był jego plan, dopięty na ostatni guzik przez sztabowców Sił Powietrznych.

- Sześć maszyn uderzy na Roskilde jutro po zachodzie słońca – Nowaczyk położył na stole wydruki najnowszych zdjęć satelitarnych lotniska. – Powiem wam jak, bo plan jest skomplikowany i musimy jeszcze jutro posiedzieć nad nim, ewentualnie przemyśleć warianty – Nowaczyk szczegółowo omówił założenia planu ataku i sposób skrytego dolotu z Babich Dołów. – Celem będą pasy startowe oraz samoloty. Staramy się uderzyć w *F-16*, które mają stanowiska na głównej płycie postojowej i na zaadaptowanym parkingu za głównym budynkiem lotniska. *Phantom*, *Mirage* i *Tornadom* przy hangarach i na bocznych płytach postojowych odpuścimy, bo nie mamy na to sił i środków. Biernat i Gryzło, wy się zajmiecie tymi *F-16*. Cele są zgrupowane po obu stronach wieży kontrolnej. Wystarczy ładnie posiać kasetowymi i myśliwce mamy z głowy. My mamy trudniejszą robotę.

Nowaczyk puknął palcem w skrzyżowanie pasów startowych.

- Musimy idealnie rozwalić pasy startowe, tak żeby nie mogli ich naprawić co najmniej przez najbliższą dobę. Mają być dziurawe jak porządny szwajcarski ser. Tkaczyk, ty podejdziesz od północnego wschodu i rozwalisz 21
- Łysoń wskazał na pas ciągnący się równolegle do dość odległego wy-

brzeża bałtyckiego pas. – Krzyżak, ty zajmiesz się pasem 29, a ja równoległą drogą kołowania. Też ją wyłączymy.

- Nie powinniśmy wyłączyć też tej równoległej do 21? – wtrącił Tkaczyk.
- Dobrze by było, ale nie upchniemy jeszcze jednego samolotu. I tak sporo ryzykujemy – stwierdził Nowaczyk. – Zresztą ta droga nie jest idealnie prosta, więc mało prawdopodobne, by ktoś spróbował po niej startować. Poza tym, jeśli szczęście dopisze, to na dwóch skrzyżowaniach mogą pojawić się kratery po naszych bombach, a wtedy na pewno nikt nie spróbuje. No i maszyn będą mieli mniej, jeśli Gryzli i Biernat się spiszą – spojrzał na pilotów.

Tkaczyk pokiwał głową.

- Jaka jest tam obrona naziemna? – spytał Marciniak.
- Duńczycy postawili baterię pocisków *Improved Hawk*, bardziej *pro forma*, bo z tego, co wiemy, nie spodziewają się ataku. Sądzą, że nie jesteście w stanie nawet podejść do bazy. Nie ma artylerii lufowej, ale możemy się spodziewać ręcznych wyrzutni raketowych *Stinger*, dlatego bezpośrednio nad celem rzucamy flary.

Marciniak skinął głową.

- A co my mamy robić? – zapytał

- Zakłóćcie i rozwalicie radar *Hawka* – odrzekł Nowaczyk. – Będziecie też zakłócać bezpośrednio radary tuż przy celu i w drodze powrotnej. Przez cały czas dolotu do celu będziemy mieli osłonę ECM z pozostałych *Szpa-rek* i *Bryz* marynarki.

Marciniak skrzywił się nieznacznie. Łysoń zaraz to wyłapał.

- Nie krzyw mi się tu, Marciniak. Nie bombardowałeś niczego od czterech lat, toteż nie wymagam niczego więcej, niż tego, żebyście obezwładnili *Hawka* i zakłócili radary. Mamy daleki przelot, a wasza maszyna ma mniejszy od zwykłej *Suki* zapas paliwa, więc nie możecie brać bomb, zwłaszcza jeśli zabierzecie *H-25MP*. Właściwie powinienem zabrać Kaweckiego i Królaka, bo są bardziej doświadczeni, ale z uwagi na to, że to jest twój pomysł uważam, że powinienem mieć okazję wcielić go w życie.
- Dziękuję, panie pułkowniku – powiedział Marciniak takim tonem, że nie wiadomo było do końca czy mówi serio, czy z przekąsem. Pułkownik spojrział na niego spođe łba, ale nie skomentował.
- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to od ujawnienia się przez nas do ataku upłyną nie więcej niż dwie minuty – kontynuował odprawę Łysoń. - Od lotniska do wybrzeża jest niecałe 9 kilometrów, więc od ataku minie nie więcej niż minuta, gdy wyjdziemy nad morze. Zmywamy się nisko

nad wodą do Goleniowa najkrótszą trasą, ale tak by nie naruszyć niemieckiej przestrzeni powietrznej. I żadnych brewerii, żadnych powtórných nalo-tów, prostą drogą do domu, jak z pijackiej osiemnastki u najlepszej kole-zanki. Zwłaszcza ciebie to dotyczy – rzekł, zwracając się do Marciniaka. Porucznik zignorował tę uszczypliwość.

- A co z Niemcami? – spytał Krzyżanowski, przerywając serię uszczypli-wości między pułkownikiem a Marciniakiem.
- Po dzisiejszej krwawej pomyłce wątpię, żeby wysłali na nas *Eurofighters* z Laage. Będą stali z boku i przyglądali się, kto wygra. Tak przynajmniej ocenia ich oświadczenie MSZ. Chyba dość mają udziału w walce. Na razie chyba nie wyszli z szoku. Zresztą zobaczymy. Jeżeli się wtrąca, to dalsza część planu nie ma sensu.
- Kiedy ją poznamy?
- Nie dzisiaj – rzekł Nowaczyk. – Mamy za mało czasu.
- Mamy szanse wygrać?

Nowaczyk wzruszył ramionami.

- Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Tak czy inaczej Roskilde jutro oberwie. Będą sobie dranie mogli pograć w golfa na tym lotnisku.
- Najlepiej kulą z buldożera – uzupełnił Marciniak.

ORP Orzeł, środkowy Bałtyk, godz. 18:30

Od wyjścia z Gdyni upłynęło ponad dwanaście godzin. *Orzeł* był już na otwartym morzu, poza granicami wód terytorialnych.

Te dwanaście pierwszych godzin upłynęło spokojnie, jeśli nie liczyć huków eksplozji rakiet podczas ataku *Exocetami* na polskie fregaty. Kuczwański podniósł *Orla* na głębokość peryskopową, by zobaczyć, co się dzieje. On, jego za-stępca Marciniak oraz oficer wachtowy widzieli to, co spotkało *Xenię*. Prom zatonął niemal na ich oczach, w obiektywie peryskopu. Podwodniacy nie znali szczegółów zajścia, bo nikt ich nie poinformował, ale ze szczątkowych infor-macji sonaru i obserwacji peryskopowej trafnie domyślili się niemal wszystkie-go. Kuczwański życzył sobie gorąco, by następną tonącą jednostką, jaką ujrzy w peryskopie, był jeden z okrętów EAF. A najlepiej wszystkie.

Podeszli ponownie na peryskopową, by sprawdzić, co dzieje się na po-wierzchni i ewentualnie odebrać przez radio rozkazy. Na morzu panował względny spokój – ESM wykrył kilka radarów należących do jednostek cywil-nych i dalekie sygnały radarów lotniczych. Po wysunięciu masztu z anteną ode-

brali depeszę radiową z rozkazami. Zaraz po rozszyfrowaniu Kuczwalski zamknął się w swojej kabinie i kazał przyjść kapitanowi Marciniakowi.

Marciniak zastał dowódcę okrętu w podłym nastroju. Kuczwalski był chodzącą, a raczej siedzącą za biurkiem, uosobioną złością i frustracją.

Zanim Marciniak zdołał zapytać, co jest grane, komandor podał mu rozszyfrowany tekst depeszy. Kapitan rzucił tylko okiem i sam się zirytował.

Dowództwo nakazało im przejść w ciągu doby 120 mil morskich, zając pozycję na wschód od Bornholmu, niedaleko linii dozoru EAF i... czekać na dalsze rozkazy.

- Co za geniusz to wymyślił?! – oburzył się Marciniak. – Po tym, co dziś widzieliśmy, mamy tam do zrobienia tylko jedno.
- Pewnie w warszawce trwają jeszcze przepychanki nad tym, co należy zrobić – odezwał się zirytowany Kuczwalski. – Oby tylko jakiś polityczny geniusz nie wpadł na pomysł, żeby zrobić demonstrację siły, na przykład wynurzając się im tuż przy burcie.
- Na taki absurd zaprotestowaliby chyba nawet nasi wodzowie – stwierdził Marciniak. – Mimo to nie rozumiem, po jaką cholere mamy tam siedzieć im pod samym nosem. W tym miejscu na pewno rozstawią patrole przeciwpodwodne, i to zapewne śmigłowcowe. Gównu im zrobimy, za to aż się prosi, żeby nas wykryli i zatopili.
- Jeśli jest w tym jakiś zamysł, to ja swoim ograniczonym umysłem oficera liniowego go nie obejmuję. Moim zdaniem powinniśmy działać samodzielnie i na całego. Zatopić ile się da i wiać.
- Obyśmy mieli okazję. Co robimy?
- Pójdziemy tam. Przy pierwszej okazji przenikniemy przez linię dozoru, by ewentualnie, jeśli nadejdzie taki rozkaz, zaatakować ich od północy. Tam będą mieli słabsze patrole przeciwpodwodne albo nie będzie ich wcale.

Marciniak zastanowił się. Łamanie rozkazów w warunkach praktycznie wojennych groziło sądem wojskowym i poważnymi konsekwencjami. Z drugiej strony bierne czekanie na akwenu patrolowanym przez śmigłowce ZOP mogło się skończyć jeszcze gorzej.

- Trochę to niezgodne z tym, co napisali tutaj – zauważył ostrożnie, licząc na wymyślenie przez sfrustrowanego Kuczwalskiego jakiegoś mniej radykalnego rozwiązania. – Ty chyba nie myślisz zbyt serio o dalszej karierze?
- Moją dalszą karierę i tak diabli wezmą, jeśli na samym jej początku dam się zatopić – burknął Kuczwalski. – Co stracimy, ignorując ten idiotyzm?! – walnął wierzchem dłoni w blankiet. – Nic! Jeśli dojdzie do walki, to

większe szanse przeżycia i zatopienia czegoś mamy zawczasu, forsując ich linię dozoru, póki są mniej czujni lub zawahają się rzucić nam na łeb piguły. Potem nie będzie to takie proste. A z północy możemy im zdrowo przysolić. W życiu się nie spodziewają, że ich zajdziemy od tyłu.

Marciniak zastanowił się. Jeszcze przed wyjściem z bazy dostali kategoryczny zakaz jakichkolwiek emisji radiowych. Nikt się więc nie dowie, że przeszli trzydzieści czy czterdzieści mil na północ, chyba, że już po powrocie z misji. Bez znaczenia było, czy na rozkaz o otwarciu ognia poczekają tu, czy za linią dozoru EAF. Jeśli będą przekradać się teraz, zanim nastąpią jakiegokolwiek działania ofensywne – a w takim wypadku dowiedzą się pierwsi – w razie ich wykrycia przez EAF dowódcy przeciwnika będą mieli problem: atakować czy nie? EAF otrzymał co prawda rozkaz atakowania polskich jednostek poza wodami terytorialnymi, ale najpierw będą musieli potwierdzić tożsamość *Orla*. Nie będzie to takie proste, zważywszy, że Rosjanie mają na Bałtyku co najmniej dwie jednostki tej klasy. O ile nie stoją w bazie, dodał w myślach.

Poza tym Kuczwański miał rację: jeśli odniosą sukces, nikt nie będzie stawiał im zarzutów. Najważniejsze to wyjść cało z tej zawieruchy.

– Zgoda – rzekł. – Plan jest dobry. Jutro wieczorem sforsujemy linię dozoru. Przynajmniej dowiemy się, ile warte są ich siły ZOP.

Serwis telewizji ZDF **28 lipca, godz. 10:00**

Rzecznik urzędu kanclerza, Reinhold Horstmann, odrzucił zarzuty polskiego rządu o udziale niemieckich myśliwców bombardujących Tornado w zatopieniu greckiego promu z tysiącami polskich uciekinierów. Horstmann powołał się na informacje uzyskane z dowództwa EAF. Rzecznik uniknął odpowiedzi na pytanie, jakie siły brały udział w nalocie, wskazał jednak, że lotnictwo EAF dysponuje jeszcze jednym typem samolotów dysponujących pociskami powietrze-woda – francuskimi Mirage F1.

Baza lotnicza Gdynia-Babie Doły **28 lipca, godz. 12:30**

Michał Marciniak czuł się nareszcie wypoczęty.

Poprzedniego dnia zaliczył tylko dwa loty – jeden patrolowy z zakłócaniem radarów morskich EAF, drugi był przelotem do Babich Dołów. Tego dnia nie

latał – nękanie radarów EAF wzięła na siebie piątka pozostałych *Szparek* ze wszystkich trzech eskadr uderzeniowych. Marciniak i Czerwiński czekali na swój wielki, wieczorny show.

Przerzucili ich jednak do Gdyni, co było powodem niepokoju Marciniaka. Trasa dolotu do Roskilde jeszcze się wydłużyła. Ich maszyny ulokowano w schronohangarach, w przeciwieństwie do *MiG-ów* stojących w gotowości na płycie postojowej.

Porucznik liczył na to, że spotka tu być może Agnieszkę, która po katastrofie trafiła do bazy. Zapytał ludzi ze sztabu ratowniczego. Powiedziano mu, że owszem, pani Madej była tutaj, ale po przebadaniu przez lekarza i rozmowie z policyjnym psychologiem odwieziono ją na dworzec i wsadzono do pociągu do Warszawy. Na koszt podatnika oczywiście.

Wśród lotniczej i marynarskiej braci zgromadzonej na lotnisku panował ponury nastrój. Większość obecnych była pod przygnębiającym wrażeniem tragedii, jaka rozegrała się na morzu poprzedniego dnia. Obecność prowizorycznej kostnicy w jednym z hangarów bynajmniej nie ułatwiała przejścia do porządku dziennego. Śmigłowce i samochody wciąż zwoziły do niej zmasakrowane, na wpół spalone zwłoki. Odór śmierci unosił się nad lotniskiem niczym koszmarny całun. Nawet siódemka lotników 67. eskadry, jedynych na razie zorientowanych w tym, że szykowany jest odwet, nie pozwalała sobie na żarty czy uśmiech. Ludzie wykonywali swoją robotę zaciekle, z ponurymi minami. Do tej pory podchodzili do konfliktu z zacięciem, ale bez nienawiści. Teraz zniechęcili Vandenoorta, EAF i blokadę. Palce świerzbiły, by nacisnąć spust.

Marciniak odnalazł Napierałę w pobliżu śmigłowca *Mi-14 PŁ*. Pogoda poprawiła się, zza białych *cumulusów* wyszło słońce, więc kto żyw korzystał z wolnych chwil i wylegał na dwór. Lotnicy Marynarki przygotowywali się do kolejnego lotu. Mieli jednak sporo czasu. Michał podszedł, zasalutował i się przedstawił.

Napierała również się przedstawił i spojrzał na niego uważnie.

– Marciniak... jesteś jakoś spokrewniony z Marciniakiem z *Orla*? – zapytał.

– To mój starszy brat.

– Ładny zbieg okoliczności – stwierdził Bryłowski.

– To ja omal nie rozjechałem was nad Darłowem dwa miesiące temu.

Tym razem wprawił lotników marynarki w konsternację.

– No proszę – wykrztusił w końcu Napierała. – To nie była chyba zemsta za łomot, jaki spuściliśmy Kaziowi chwilę wcześniej?!

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie jestem mściwy. Ważne, że nikt nie ucierpiał.
- Moje wąsy są innego zdania – Napierała nabrał w końcu dystansu do całego zdarzenia, choć wiele go to kosztowało. – Co cię do nas sprowadza?
- Może wam się to wydać nieprawdopodobne, ale wyciągnęliście wczoraj z wody moją *ex*.

Lotnicy Marynarki zaczęli spoglądać po sobie. Marciniak pomyślał, że mają go za czubka, albo niepoprawnego kawalarza.

- Jaja sobie robisz? – spytał w końcu Napierała.
- Mówię poważnie. Agnieszka Madej to moja była dziewczyna. Chciałem się dowiedzieć, w jakim była stanie. W sztabie akcji ratunkowej nie chcieli puścić pary z gęby, bo nie jestem spokrewniony ani upoważniony do pozyskiwania takich informacji. Powiedzieli tylko, że wyjechała.
- Nic poważnego jej się nie stało – odezwał się Gęsicki, widząc, że Napierała szykuje ripostę. – Wybuch wyrzucił ją z pokładu, potłukła się trochę przy upadku, nałykała nieco Bałtyku, i to wszystko. Żadnych poważnych obrażeń. Za to psychicznie była w kiepskiej formie. To nie dziwi, zważywszy, że zginęła masa ludzi, w tym jej znajomi. Dziwne jest za to, że ją w tym stanie wypuścili.

Zamienili jeszcze kilka zdań o ostatnich wydarzeniach. Lotnicy Marynarki byli przygnębieni. By podnieść ich nieco na duchu, Michał opowiedział o tym, jak uciekał przed *F-16* i jak zestrzelił *Vipera* w bitwie nad wybrzeżem.

Bryłowski wspomniał o polowaniu na *U-23*, o tym, że przepędzili go sprzed morskich wrót Trójmiasta i o wyłowieniu Agnieszki.

- Właściwie, gdyby nie czujność dowódcy *Pulaskiego*, i to, że wasz porucznik zauważył odpalenie rakiet, straty byłyby większe – stwierdził. – Tamci wystrzelili osiem *Exocetów*. W optymalnych warunkach fregaty wykryłyby je w odległości dwudziestu kilometrów. Nie zestrzeliłyby ośmiu, zwłaszcza, iż między *Kościuszkę* a rakiety wszedł prom. Ta jedna, która trafiła, od razu zamieniła go w pochodnię. To była jatka – pokręcił głową.
- Polowali na fregaty? – spytał Marciniak.
- Pewnie, że tak. Nawet oni nie są tak głupi, żeby zatopić z premedytacją cywilną jednostkę. Musieli o nim nie wiedzieć. Są wściekli po tym, jak wy spuściliście im łomot nad wybrzeżem. Myśmy przepędzili im okręt z doskonałej pozycji do ataku. – Bryłowski wzruszył ramionami. – Ale to oznacza, że ich rozpoznanie nie działa wcale tak dobrze z dala od nawodnej linii doзору. Prom musiał zrobić zwrot do Gdyni poza zasięgiem ich radarów. *U-23* też powinien go słyszeć. Skubani wcale nie są tak dobrzy, jak myśleli.

To była dobra wiadomość. Jeśli wgląd EAF w sytuację morską i powietrzną był rzeczywiście tak kiepski, to może uda się osiągnąć zaskoczenie. A to połowa sukcesu.

– Na pewno przepędziliście tego podwodniaka? – zapytał Michał.

– Drań z pewnością uciekł – wtrącił Napierała. – Gdyby tak nie było, posłałby fregatom po dwie torpedy, a wtedy byłaby to klęska na całego.

To była dobra wiadomość. Jeżeli *U-23* został przepędzony sprzed Zatoki Gdańskiej, to szanse Kazia na wyjście cało z tej zadymy znacznie rosły.

Marciniak pogadał jeszcze chwilę z lotnikami Marynarki. Doszedł do wniosku, że nie taki diabeł straszny, i być może jego szalony plan ma jednak szanse powodzenia. Oddalił się, mając w pamięci obraz płonącego promu, ale i nieudolnych jednostek EAF. Udał się na poszukiwanie Olszewskiego. Wypatrzył bowiem na głównej płycie postojowej jego „bolid”, jak w Mińsku nazywali *MiGi-29*.

Napierała odprowadził go wzrokiem.

– Zrobił z was wała – stwierdził do kolegów.

– Nic z tego – zaproponował Gęsicki. – On był wyraźnie zatroskany stanem tej laski.

– Nie powiesz mi, że on we wszystkim mówił prawdę. Przecież mógł się dowiedzieć z telewizji, jak ona się nazywa. Zmyślił te historyjki.

– Albo był to niezwykley zbieg okoliczności. Możemy zapytać Kazia, kiedy wróci.

– Jeśli wróci.

– Złego diabli nie biorą.

Telewizja TF1 godz. 14:00

Rzecznik rządu Republiki, Patricia Dupré, odmówiła komentarza w sprawie udziału francuskich myśliwców bombardujących Mirage w zatopieniu promu w Zatoce Gdańskiej. Wypowiedzi rzecznika rządu Niemiec, Reinholda Horstman-na, określiła jako pomówienia.

Baza lotnicza Gdynia-Babie Doły 28 lipca, 14:15

Marciniak znalazł Olszewskiego w bazie, w pobliżu dyżurnej pary *MiG-ów*.

- Cześć stary! Jak się miewasz? – zagał.
- Daj spokój! Bywało lepiej...
- Coś taki nie w sosie?
- Daliśmy wczoraj dupy z Głowackim!
- O co ci chodzi?

Olszewski opowiedział mu o polowaniu na *Exocety*.

- Wykryliśmy odpalenie. Udało nam się podejść i przechwycić pociski, jednak z naszej strzelaniny niewiele wynikło – spuściliśmy trzy. Cztery zestrzeliły okręty, a jeden rozwalił prom. Wiesz, jaką to się skończyło jatką.
- Wiem. Co właściwie cię gryzie?
- Gdybyśmy dostali jeden więcej, ci ludzie by żyli.

Marciniak spojrział na niego wymownie.

- Co jeszcze mogliście zrobić?

Olszewski wzruszył ramionami.

- Więc się nie gryź, do diabła – rzekł Michał. – Weź się w garść. Wykryliście te rakiety pierwsi, prawda?
- Tak.
- Czyli daliście marynarzom czas na przygotowanie się do obrony. Dzięki temu być może zestrzelili cztery, a nie na przykład trzy.
- Być może.
- A wy zestrzeliliście trzy. Razem cztery. Co by było, gdyby przez obronę przeszło cztery albo pięć rakiet zamiast jednej? Trzy okręty leżałyby na dnie, a bilans nieboszczyków byłby jeszcze bardziej żałosny.

Olszewski mruknął coś niewyraźnie.

- Zrobiliście, co było w waszej mocy – ciągnął Marciniak. – Nigdy nie ćwiczyliśmy przechwytywania pocisków przeciwookrętowych. *Exocety* lecą bardzo nisko i cholernie trudno je trafić. Spisaliście się na medal. Fregaty mogłyby się nie obronić, skoro z pięciu nadlatujących rakiet strąciły cztery. Głowa do góry!
- Miałem ochotę się wczoraj urżnąć, ale byłem na służbie – rzekł markotnie Olcha.
- Urżniemy się w trupa, jak to wszystko się skończy, ale przedtem porządnie sklepiemy tych lotrów z EAF.
- Obiecujesz?
- Jedno i drugie. Masz to jak w banku.

Serwis światowy BBC **godz. 15:17**

Z ostatniej chwili: w krótkim wystąpieniu telewizyjnym brytyjski premier Peter Gordon oznajmił, iż podał swój rząd do dymisji. Podziękował obywatelom za zaufanie okazane w wyborach. Jednocześnie zastrzegł, iż przyczyny dymisji poda w późniejszym terminie.

Komentarz redakcyjny, **witryna internetowa Washington Times** **godz. 16:25**

U podstaw dymisji rządu brytyjskiego legły prawdopodobnie silne protesty eurosceptyków, wzmocnione dodatkowo tragedią na Bałtyku. Obawiając się dalszego spadku notowań rządu i Partii Pracy, Peter Gordon zrezygnował z urzędu premiera.

Dramatyczne wydarzenia w Europie wymykają się spod kontroli. Upadek rządu brytyjskiego stanowi groźne memento dla Komisji Europejskiej. Być może powinna ona wycofać się z obecnego, konfrontacyjnego kierunku polityki wobec Polski, zanim sprawy przybiorą naprawdę zły obrót.

Lotnisko Roskilde **godz. 17:05**

Schneider przyglądał się z mieszanymi uczuciami, wyładunkowi bomb z transportowca *C-160*. Miał nadzieję, że polityczno-wojskowy spór toczony od miesiąca zakończy się wreszcie zwycięstwem EAF i będzie można wrócić do normalnych obowiązków. Z drugiej strony eskalacja działań, jaka nastąpiła w ciągu ostatnich dni, nie wróżyła najlepiej.

Komisja Europejska dała jasny sygnał: wyłączyć Polaków z interesu. Oznaczało to bombardowanie wszystkich instalacji zakłócających blokadę i służących obejściu embarga. W skład tych instalacji wchodziły raz jeszcze posterunki radiolokacyjne i walki radioelektronicznej, wyrzutnie rakiet ziemia-powietrze, a także lotniska i samoloty.

Denters nakazał mu nie bawić się w żadne finezyjne plany. Obrona Polaków miała zostać zaskoczona atakiem raketowym ze znacznej odległości na naziemne instalacje. Myśliwce Schneidera miały razić polskie patrole bojowe z daleka, pociskami *AMRAAM*, odpalanymi na podstawie danych dostarczonych

via sieć wymiany danych taktycznych z okrętów. Nawet jeśli Polacy umieją zakłócić *AMRAAM-y*, to i tak część dojdzie do celu przy zmasowanym ataku. Maszyny Schneidera będą poza zasięgiem skutecznego ognia *MiGów-29*, za to pod osłoną dalekosiężnych rakiet woda-powietrze *Standard* z obu fregat przeciwlotniczych.

Kiedy zniszczeniu ulegnie obrona przeciwlotnicza, do akcji wejdą bombowce. Bez przeszkód, bez finezji i kombinowania, z dużej wysokości, a więc poza zasięgiem naprowadzanych na podczerwień, przenośnych rakiet, zaatakują precyzyjnym uzbrojeniem lotniska i schrony. Potem wykończą okręty w bazach i na morzu.

Wraz ze zniszczeniem polskich sił zbrojnych jakikolwiek polski opór przeciw blokadzie, embargu i przyjęciu eurotraktatu, straci sens.

Baza lotnicza Gdynia-Babie Doły **godz. 20:55**

Zmrok zapadał powoli, pozostawiając rozgwieżdżone niebo i doskonałą widoczność po pięknym, słonecznym dniu. Idealne warunki dla ich zamiarów. Czekali na sygnał z ODN-u.

Kiedy nadszedł, najpierw na start pokołowały myśliwce. *MiGi-29* wznosiły się po krótkim rozbiegu, rozrywając ciemność jezorami ognia z dopalaczy i zabijając ciszę grzmotem potężnych silników. Miały zająć myśliwce EAF i usunąć je z drogi grupie uderzeniowej, w miarę możliwości koncentrując uwagę obrony EAF na południowym sektorze. Potem przyszła pora na nich. *Szparka* wzbijała się w powietrze pierwsza, pozostałe maszyny miały dołączyć do nich w locie. Wystartowali, od razu skręcając na północ i trzymając się nisko, poniżej horyzontu radarowego okrętów EAF.

Sześć maszyn w trzech parach trzymało się blisko, w nikłym świetle zmierzchu, używając tylko świateł antykolizyjnych. Panowała absolutna cisza radiowa. Ustalili przed lotem wszelkie szczegóły i na komendę ODN-u mieli wykonywać wszelkie manewry – aż do dolotu do Roskilde. Po dwóch minutach przeskoczyli nad półwyspem helskim i wyszli nad otwarte morze.

Pięć pozostałych *Szparek* zakłócało wszelkie radary EAF od długości geograficznej przylądka Rozewie aż po Kopenhagę. Wspomagały je *Bryzy* Marynarki Wojennej, przeszukując radarami morze. Tak intensywnego ataku elektronicznego na okręty EAF jeszcze nie było. Przeciwnik mógł się spodziewać, że coś się wydarzy – ale kompletnie nie wiedział co.

Aparatura maszyny Marciniaka działała w trybie pasywnym i taka miała pozostać aż do momentu ataku. Cywilne radary kontroli ruchu lotniczego ich nie obchodziły – działały one na zasadzie zapytania i odpowiedzi z pokładowego transpondera. We wszystkich maszynach grupy uderzeniowej transpondery były wyłączone. Dla cywilnej kontroli lotów nie istnieli.

Sam dołot miał być długi i nudny – około 700 kilometrów – za to naruszał przestrzeń powietrzną dwóch innych państw. W miarę, jak oddalali się od brzegu, ilość świecących na niebie punktów wzrosła. Ruch lotniczy nadal omijał Polskę z dala od jej bałtyckiego wybrzeża. Światła pozycyjne licznych samolotów pasażerskich mieszały się z jasnymi gwiazdami, widocznymi na niebie w ciemności nad Bałtykiem.

- Mamy tu dodatkowy gwiazdozbiór: bałtycki korytarz – zażartował Marciniak.
- Lepsza byłaby „bałtycka stewardessa” – odrzekł Czerwiński.
- To coś dla Tkacza. Oby nie zwał po drodze.

Piloci usiłowali rozładować napięcie żartami. W przeciwieństwie do pilotów *Suk*, mogli swobodnie rozmawiać. Tamci siedzieli samotnie w ciszy radiowej.

Po kwadransie lotu niemal „kosiakiem”, radio zachrobotało:

- Kopniak, tu Mściciel, godzina druga, odległość siedem, pułap osiem.

Marciniak zerknął w prawo do góry. Wyteżał wzrok chwilę, aż zobaczył światła dużego samolotu pasażerskiego. Jego sylwetka była już niemal niewidoczna na tle ciemniejącego nieba. Pomachał skrzydłami na znak, że widzi i przeniósł wzrok na poprzednie maszyny. Od chwili komunikatu do manewru mieli trzydzieści sekund – tyle czasu miał prowadzący szóstkę Nowaczyk na rozpoznanie maszyny pasażerskiej. Gdyby mu się to nie udało, prowadzenie miał przejąć pierwszy po nim, kto pomacha skrzydłami.

Maszyna Nowaczyka zakotłosała się wyraźnie. Marciniak odetchnął z ulgą.

- Łysoń zobaczył naszego „żywiciela” – rzekł.
- To dobrze – odpowiedział Czerwiński. – Nie chciałbym odwalać za niego roboty.

Prawdę mówiąc, szanse na wyręczenie Nowaczyka mieli znikome, lecieli bowiem na końcu szyku. Pozostali piloci też machali skrzydłami. Pierwszy trudny moment przeszedł jak po maśle.

- Uwaga Kopniaki – wywołał ich ODN – Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... kopa!

Nowaczyk poderwał w górę *Sukę*. Pozostali poszli za nim, starając się trzymać blisko. Wszystkie radary w pobliżu były teraz zagłuszane, by ukryć ich wznoszenie. Celowali nosami w samolot pasażerski – Marciniak widział go w

celowniku, powyżej linii strzału. Wspinaczka trwała całą wieczność – obciążone bombami, zbiornikami i zasobnikami walki elektronicznej maszyny szły w górę ospale. W dodatku, ze względu na zapas paliwa i maskowanie, nie używali dopalaczy. Porucznik pomyślał, że to pierwszy słaby punkt jego planu. Nie ma siły, by ktoś ich nie zauważył! Już pojawiły się sygnały radarowe. Aparatura ostrzegawcza ożyła, na „karuzeli” pojawiły się rozbłyski, a w słuchawkach zagrały złowróżbne, basowe tony.

- Wykryli nas? – spytał Marciniak Przemasa.
- Siła sygnałów słaba, żaden radar nie zwiększył częstości przeszukiwania ani mocy. Nikt też nie woła nas przez radio. Jesteśmy dobrze kryci – odpowiedział Czerwiński.

Dobrze było to usłyszeć. Marciniak skoncentrował się na pilotażu. Tak czy inaczej na razie nie groziło im niebezpieczeństwo. Byli nad wschodnim Bałtykiem, dość daleko od sił EAF i kryci przez własne myśliwce. Świadomość, że udało im się podejść skrycie, poprawiła mu samopoczucie.

Wspięli się na osiem tysięcy metrów, zakręcając jednocześnie na zachód i podeszli do „pasażera” – dwusilnikowego *Boeinga 737*. Maszyna leciała z Moskwy do Kopenhagi. Ustawili się tuż pod nią i za nią, 10-12 metrów, tak by na ekranach radarów echa zwały się w jedno z echem liniowca. Marciniak wszedł za ogon „pasażera” licząc na to, że w jego śladzie aerodynamicznym zdoła zaoszczędzić nieco paliwa. Rzucalo tu jak cholera, w przeciwieństwie do tych, którzy przycupnęli pod skrzydłami, ale lepiej namachać się knyplem, niż wpaść do morza z braku paliwa. O locie na autopilocie nie było mowy – pasażer mógł wykonać jakiś nieprzewidziany manewr. Mogło się to skończyć zderzeniem, a w najlepszym przypadku wykryciem.

Całą operację uzgodnił wcześniej z Łysoniem. I tak lecieli obwieszeni jak choinka – dwa zbiorniki, dwa zasobniki i dwie rakiety. Gdyby nie lot na znacznej wysokości i za samolotem, lądowałby w Goleniowie na oparach. A i tak miał lądować w trybie awaryjnym, na rezerwie.

W tylnej kabine *Szparki* Czerwiński zajmował się radiostacją. Usiłował złapać rozmowy „żywiciela”, jak roboczo go nazwali (w odróżnieniu od własnych maszyn, przezwanyc w tym konkretnym zadaniu pasożytami), by wykryć ewentualne niespodzianki w rodzaju nagłej zmiany kursu czy wysokości lotu. W takim wypadku mieli powiadomić pozostałe maszyny machaniem skrzydłami i błyskaniem światłami pozycyjnymi. Nie było to łatwe zadanie – Marciniak musiał trzymać *Szparkę* blisko „pasażera”, w martwym polu obserwacji załogi i pasażerów, cały czas uważając, by się nie uderzyć w 737. Rozgwieżdżone niebo i światła pozycyjne „pasażera” nieco tylko ułatwiały pilotaż i ocenę odle-

głości, niezwykle trudną w tych warunkach. Lot w ciasnym szyku był dodatkowo utrudniony przez ciszę radiową. Marciniak miał nadzieję, że „pasażer” nie będzie wykonywał żadnych gwałtownych manewrów i że cała szóstka pilotów wytrzyma nerwowo następne 40 minut. Wszyscy byli przyzwyczajeni do latania w ciasnym szyku, jednak tej nocy było to latanie ekstremalne.

Daleko po prawej stronie widzieli światła nadbrzeżnych miast Szwecji, przesłonięte częściowo cumulusami i sylwetą 737. Radary nie powinny ich zauważyć, przelecają nad terytorium Szwecji. Bliskość 737 stanowiła dodatkowe zabezpieczenie przed ewentualnym ostrzałem – po zatopieniu *Xenii* nikt nie będzie chciał ukatrupić kolejnych kilkuset cywilów. Mimo wszystko niebezpieczeństwo było znaczne – gdyby z jakiegoś powodu musieli się oderwać od *Boeinga*, znaleźliby się w pobliżu linii dozoru EAF, a to mogłoby nie wyjść im na zdrowie. W takim wypadku mieli zrzucić ładunek bojowy i uciekać na wschód. Zrzut ładunku nie dotyczył jedynie *Szparki* Marciniaka – dwa pociski przeciwradarowe były cennym argumentem w razie gorącej wymiany poglądów z okrętami EAF.

HNLMS *Tromp* godz. 21:25

Denters był znowu w Centrum Dowodzenia.

Od wczesnego wieczora Polacy niepokoiłi go wzmożonym zakłócaniem radarów. Przestrzeń powietrzna wokół nich kłębiła się od samolotów, a jego siły nie były w stanie kontrolować tych wszystkich obiektów, jakie pojawiały się na niebie. Istniało niebezpieczeństwo, że nad okrętami EAF pojawią się polskie samoloty. W takim wypadku admirał liczył się z utratą nawet dwóch najdalej wysuniętych na wschód jednostek.

Martwił go też polski okręt podwodny klasy *Kilo*, który przedarł się po rejteradzie *U-23* na pełne morze. O ile jego okręty z łatwością poradziłyby sobie z samolotami, o tyle podwodniak mógł zagrozić nawet *Trompowi* i *Hessen*. Utrata lub wypadnięcie z linii jednego z tych okrętów poważnie osłabiłaby zdolności bojowe EAF.

Próbując rozwiązać łamigłówkę, jaką tworzyła elektroniczna mgła, zasnuwająca ekrany radarów i pojawiające się co chwila echa-widma, Denters kazał poderwać dodatkową parę myśliwców. Belgijskie *F-16* miały spróbować przebić się radarami nad polskie terytorium, niczym maszyny wczesnego ostrzegania, i dostarczyć danych o sytuacji powietrznej.

Operator radaru *SMART-L* kontrolował przestrzeń powietrzną kilkaset kilometrów wokół okrętu. Od ponad godziny miał z tym poważny problem. Polacy nauczyli się zakłócać wszystkie radary EAF i na ekranie zapanowała kasza.

Oprogramowanie filtrujące wyłapywało wszystkie te cele, które poruszały się z prędkością powyżej 200 kilometrów na godzinę, spójnym torem. Dzięki temu część fałszywych ech została wyeliminowana. Niestety, część tych środków była znana przeciwnikowi i dostosował swoje środki zakłócania do stwarzania echo pozornych mających takie właśnie cechy. Operator starał się więc używać różnych sposobów – zmianą częstotliwości, czułości, mocy oraz dostosowywaniem działania programów. Mimo to rezultaty można było uznać za mierne.

Uwagę bosmanmata przykuł samolot pasażerski nadlatujący ze wschodu. Według transpondera był to 737. Jednak jego echo radarowe było nieproporcjonalnie duże. Bosmanmat przyjrzał się uważniej i dostrzegł jakby szereg nakładających się ech. Miał wątpliwości.

– Panie poruczniku! Proszę to zobaczyć!

Porucznik Rijkeens, specjalista systemów elektronicznych *Trompa* był na szczęście w centrum bojowym.

– Co się dzieje?

– Te echa. Nakładają się na siebie.

Rijkeens przyglądał się im przez chwilę. Nie mógł zwiększyć mocy, by przebić się przez zakłócenia i sprawdzić, czy komputer po prostu nie stworzył obrazu z zakłóceń, bo wciąż obowiązywał rozkaz o ograniczeniu mocy emisji. Zmniejszył czułość radaru. Sporo fałszywych ech, pochodzących z różnych źródeł, zniknęło, a 737 zlał się na ekranie w jedno duże odbicie. Po kilkukrotnych próbach, z użyciem filtrów, udało się uzyskać prawidłowe echo.

Porucznik miał na dziś dość fałszywych ech. To wyglądało na wielokrotnione odbicie od tego samego obiektu lub błąd oprogramowania, usiłującego odróżnić echa rzeczywiste od fałszywych. Rijkeens wiedział o tym, że w czasie prób oprogramowania filtrującego wychodziło sporo takich błędów, a niektóre przechodziły fazę prób i były usuwane już po przyjęciu sprzętu do służby.

– To cholerne oprogramowanie ma jeszcze błędy i przy dużej czułości zwiększa jeszcze rozdzielczość programowo, biorąc odbicia od poszczególnych części samolotu za osobne echa – wyjaśnił bosmanmatowi. – Dobrze, że jesteście czujni, ale to tylko błąd oprogramowania. Oznaczcie go jako jeden cel i obserwujcie sektor na południu.

Zameldował o tym dowódcy okrętu. Mesdegaard zastanawiał się chwilę, po czym powiedział Dentersowi.

– Ogłosić alarm? Wysłać myśliwce? – zasugerował pytaniem.

Denters przyjrzał się ekranowi sytuacji taktycznej i pokręcił głową.

– Porucznik zna się na radiolokacji. Jeśli twierdzi, że to fałszywe echa od *Boeinga* lub błąd komputera, to prawdopodobnie tak jest. Zresztą obiekt jest w przestrzeni powietrznej Szwecji, więc to już problem Szwedów. My nie będziemy się do tego mieszać.

Centrum dowodzenia południowym sektorem obrony powietrznej Szwecji

godz. 21:26

Pułkownik Patrik Andersson obserwował ekran sytuacji taktycznej od kilku minut. Zakłócenia generowane przez *Szparki* odbierane były przez szwedzkie radary znacznie słabiej i zabiegi zmierzające do ustalenia tajemniczych ech w pobliżu *Boeinga 737* wchodzącego w przestrzeń powietrzną pozostawiły znacznie więcej wątpliwości. Andersson sięgnął po telefon. Wybrał pozycję „minister obrony”. Po kilku sygnałach, w słuchawce odezwał się Johan Wallin.

– Słucham.

– Panie ministrze, mamy kolejną sytuację alarmową. Kilka niezidentyfikowanych samolotów wchodzi w naszą przestrzeń powietrzną.

Mówiąc „kolejną”, Andersson miał na myśli szereg naruszeń przez samoloty EAF w ciągu półtora miesiąca.

– Jest pan pewien? – zapytał Wallin

– Nie jestem. To właściwie zwielokrotnione echo samolotu pasażerskiego pojawiające się od czasu do czasu między zakłóceniami. Należałoby wysłać parę dyżurną, żeby dokonała identyfikacji wzrokowej.

– Co to oznacza?

– Jeśli to samoloty, to lecą tuż za i pod samolotem cywilnym, żeby ukryć się przed radarami.

– EAF?

– Jeśli już, to prawdopodobnie Polacy.

– Mogą mieć wrogie zamiary wobec nas?

– Nie sądzę. Samolot leci do Kopenhagi.

Wallin zastanowił się. Jeśli obce samoloty leciały tuż obok „pasażera”, to interwencja szwedzkich myśliwców mogła sprowokować walkę i zakończyć się katastrofą, podobną do tej z promem. Neutralna do tej pory Szwecja stałaby się stroną konfliktu, co ani trochę nie odpowiadało ministrowi. Do tego Wallin miał świadomość, że kilkanaście razy przymknęli oko na naruszenia przestrzeni powietrznej przez EAF. Do groźnych incydentów nad Szwecją mogłoby

dojść także, gdyby powiadomili EAF lub pilota maszyny pasażerskiej. Wallin za nic nie chciał, by jakiś wypadek wydarzył się w szwedzkiej strefie odpowiedzialności. Nie mógł jednak wykluczyć, że samolot pasażerski ostrzela EAF.

– Za jaki czas opuszczą naszą przestrzeń? – zapytał.

– Za około pięć minut.

Wallin milczał jeszcze chwilę. Gdy przemówił, podjął już decyzję.

– Pułkowniku, pozwoli pan tej maszynie pasażerskiej opuścić naszą przestrzeń powietrzną. To prawdopodobnie tylko zakłócenia i nieprawidłowe działanie radarów. Proszę jednak ostro zareagować, gdyby doszło do walki w naszej przestrzeni powietrznej.

– Tak jest, panie ministrze – odpowiedział Andersson, od razu zrozumiałwszy, że ma trzymać język za zębami.

Grupa uderzeniowa 67. ELT nad Szwecją

Napięcie sięgało zenitu. W słuchawkach rozbrzmiewały ze znaczną częstotliwością dźwięki aparatury ECM, sygnalizujące omiatanie wiązką radarową.

– Widza nas? – dopytywał się Marciniak.

– Gdyby mieli nas zobaczyć, już byśmy mieli kilka radarów kierowania ogniem – odpowiedział Czerwiński. – Wyluzuj, dam ci znać, gdy coś się będzie działo.

Marciniak westchnął. Dopiero teraz docenił, ile ma szczęścia, lecąc w maszynie walki radioelektronicznej. Grupę uderzeniową obowiązywała cisza radiowa. On mógł zapytać o ocenę sytuacji kompetentnego oficera, pozostali piloci – z pułkownikiem włącznie – byli skazani na własne domysły i sami musieli walczyć ze strachem.

Przez trzydzieści minut lotu w cieniu „żywiciela” Szwecja przesunęła się pod brzuchy ich maszyn. „Żywiciel” raz zmienił kurs i dwa razy pułap. Marciniak przeżył chwile emocji, gdy manewrowali – za siebie ręczył, ale warunki do manewrowania innych maszyn były gorsze. Bał się trochę, że ktoś wpadnie na niego z dołu. Nic takiego jednak się nie stało. Nad Szwecją pomacały ich radary, ale Czerwiński nadal twierdził, że pozostali niewykryci, mimo że ich impulsy były silne, a echa mogły się przebić przez fale zakłóceń.

Wkalkulowali takie ryzyko. Według wywiadu Szwedzi starali się za wszelką cenę uniknąć wmieszania w konflikt. Istniało wszakże prawdopodobieństwo, że jednak zareagują. Groźniejsze było to, co robi EAF.

Siła impulsów radarowych rosła.

– Kto to? – zapytał Marciniak, gdy kolejny dotarł niemal do końca skali na urządzeniu ostrzegawczym.

– *Tromp*

– Cholera, tylko tego brakowało.

– Nie widzi nas. Brak reakcji.

– Ciekawe jak długo.

– Jesteśmy tak blisko, że mogliby nas zgnać widelcem, ale jak dotąd się nie połapali. I raczej już się nie połapią. Poza tym moc impulsu mniejsza, niż można by się spodziewać.

Rzeczywiście, sygnał największego zagrożenia przesunął się w lewo, za godzinę dziewiątą. Szanse na to, że teraz ich ktoś przydybie, mimo to rosły, bo z tej strony nie nikt nie zakłócał radarów EAF.

– Kopniak, tu Mściciel, macie czysto, powtarzam, macie czysto! – odezwał się ODN. Na tej wysokości słyszeli go bez retransmisji.

A więc nie będzie żadnych myśliwców EAF nad Roskilde. *MiGi* ściągnęły je lub odstrzeliły.

Czas płynął niemiłosiernie wolno. W końcu przodu po prawej zobaczyli miejskie światła i ciemną przestrzeń, przeciętą tylko jedną smugą światła. Marciniak domyślił się, że to Malmö i cieśnina Sund. Po jej drugiej stronie leżała Kopenhaga. Przemknęli za plecami EAF niezauważeni!

– Nawiązał łączność z Kopenhagą, zaraz rozpocznie schodzenie! – uprzedził Czerwiński.

Marciniak pomachał skrzydłami. Długi, szarpiący nerwy lot kończył się. Przystępowali do właściwej akcji. Marciniak poczuł, jak napięta uwaga zaczyna być wypychana przez adrenalinę.

Boeing rozpoczął schodzenie.

Szóstka zaciemnionych *Su-22* trzymała się za nim. Wykrycie ich było kwestią dwóch-trzech minut. Do Roskilde w linii prostej zostało 75 kilometrów – pięć minut lotu. EAF nie zdążą poderwać w powietrze myśliwców. Nie zdołają obronić bazy przed uderzeniem. Już nie.

Boeing schodził szybko, nie tracąc prędkości. Co ważniejsze, nosem celował niemal wprost w lotnisko Roskilde. Najwyraźniej dostał zgodę na podejście na jeden z dwóch dłuższych pasów lotniska Kastrup, biegnących w kierunku południowo-zachodnim. To było im na rękę. Maszyna zwalniała coraz bardziej. Wszystkie *Su-22* dostosowały się do „żywiciela”. Marciniak widział już brzeg Zelandii, na którym położony był cel. *Boeing* zszedł na 3000 metrów i jasne było, że zaraz skręci w kierunku lotniska...

– Wykryli nas! Prawdopodobnie radar kontroli obszaru! – wykrzyknął Czerwiński.

Marciniak mignął światłami pozycyjnymi.

– Kopniaki, tu Kopniak jeden, dajemy kopa! – usłyszeli w radiu głos Łysonia.

Maszyny rozpiechły się, zajmując miejsca umożliwiające najlepsze podejście do ataku i zaczęły nurkowanie. Atakowali z małej wysokości.

Michał przesunął do oporu rączkę przepustnicy, popchnął drążek i puścił maszynę ku ziemi. Czerwiński zaczął szukać radaru *Hawka*.

Do Roskilde zostały im dwie minuty.

Lotnisko Roskilde, godz. 21:55

Hartmann szedł właśnie z hangarów do sali odpraw w głównym budynku, gdy rozległ się jęklivy dźwięk alarmu. Syrena była jakaś rachityczna i przez moment major pomyślał, że ktoś robi sobie jaja. Potem jednak wyćwiczony oddech wziął górę i Hartmann pobiegł w kierunku... no właśnie, przypomniał sobie, że żadnego schronu przeciwlotniczego nie ma, jest jedynie rów wykopany w celu naprawy jakiegoś pobocznego kabla. Klucz alarmowy stał w pogotowiu piętnastominutowym.

Po drodze zauważył Schneidera, który też biegł do rowu, w oddaleniu od płyty postojowej.

– Co za sukinsyn robi sobie jaja?! – krzyknął.

– Niezidentyfikowane samoloty zauważono w Kopenhadze! – krzyknął Schneider. – Kryć się!!! Wszyscy spieprzać z płyty postojowej! Ale już! – ryknął na kilku ludzi z obsługi naziemnej, którzy niezbyt energicznie szukali schronienia. Belgowie wzruszyli tylko ramionami. Holendrzy chyba się ruszyli. Hartmann olał ich i począł szukać rowu.

Co za niezidentyfikowane samoloty? Na pewno nie Polacy?! Jeśli tak, to jak tu przeniknęli przez wielowarstwową obronę?! Czy to Roskilde jest celem?! Major minął grupę Niemców guzdrzącą się przy samolotach. Wiedział, że żadna z maszyn nie jest zdolna wystartować w ciągu trzech czy czterech minut. Jeśli to był atak, to tyle czasu im zostało. Mogły im pomóc będące w powietrzu myśliwce, ale te, jak słyszał, toczyły gwałtowną walkę z polskimi *Fulcrumami* gdzieś na południe od Bornholmu.

- Zabierajcie się stąd! Szukać rowów! – ryknął na ludzi. Nieco zdezorientowani żołnierze zaczęli szukać zagłębień terenu. Nie zostało wiele czasu.

Hartmann wpadł do rowu, nie znając odpowiedzi na żadne z cisnących mu się do głowy pytań. Usłyszał słaby jeszcze grzmot silników odrzutowych na pełnym ciągu. Oceniał, że lecą nisko, ponieważ odgłos gwałtownie narastał. Zaraz potem, od strony baterii rakiet przeciwlotniczych, błysnęła pierwsza eksplozja i rozległ się potężny huk.

Su-22UM3

Marciniak zwolnił nieco i wyszedł wyżej. Na tablicy zagrożeń zapalił się symbol wyrzutni rakiet ziemia-powietrze.

– Mam sukinsyna! – oznajmił Czerwiński. – Jedyńka gotowa. Uwaga! Pa!

Marciniak zamknął oczy. Błysk odpalenia przeniknął przez powieki. Podniósł powieki i zobaczył ogień wylotowy rakiety pędzącej w stronę Roskilde. Pozbawiona z jednej strony obciążenia maszyna zachybotła się, ale przywrócił ją do poziomu.

– Zakłócam drania – zameldował Przemas. Aparatura ostrzegawcza zawyła. *Hawk* rozpoczął namierzanie nadlatujących *Su-22* radarem kierowania ogniem.

Pocisk pędził w stronę radaru *Hawka*. Potężny rozbłysk oznajmił, że uderzył. Wycie aparatury ostrzegawczej urwało się nagle – niezawodny znak, że *H-25MP* trafił.

– Dopadliśmy *Hawka* – potwierdził Czerwiński.

Marciniak obserwował poczynania pozostałych maszyn. Cztery mknęły rozciągnięte w dwóch parach w stronę środkowej części lotniska, dobrze już widocznego nawet ze stu pięćdziesięciu metrów. Tkaczycy odbił w prawo i gnał teraz na dopalaczu, by przejść w poprzek drogi pozostałych maszyn i załatwić drugi pas. Światła na obu pasach startowych paliły się – nikt nie pomyślał nawet o ich zgaszeniu. Zaskoczenie było całkowite.

Lotnisko Roskilde

Cztery *Su-22* z ogłuszającym hukiem wpadły nad lotnisko Roskilde na małej wysokości, siejąc grozę i zniszczenie. Nad pas 29 i równoległą do niego drogę kołowania wleciały maszyny Łysonia i Krzyżanowskiego. Nad centrum lotniska wpadły *Su* Biernata i Grizzliego.

Długa seria wybuchów przetoczyła się przez całą długość pasa „29” i równoległą drogę kołowania. Huk eksplozji był przeraźliwy. Detonacje wstrząsnęły

podłożem i przyczepionymi do niego ludźmi, w tym ukrytym w rowie Hartmannem. Odłamki świszczą w powietrzu i grzechotały, uderzając o przeszkodę. Łyson i Krzyżanowski trafili idealnie w oświetlone elementy lotniska, zrzucając po dwadzieścia stukilogramowych bomb. Ekipy remontowe będą miały co latać. Oświetlenie pasów zniknęło zmiecione eksplozjami. Zastąpiło je kilka skupisk ognia.

Gryzło i Biernat mieli łatwiejsze zadanie. Idąc niemal łeb w łeb, wzięli na cel skoncentrowane po obu stronach głównego budynku lotniska i wieży myśliwce. Zasypały je gradem niewielkich bombek z zasobnika *KMGU-2*. Żadna z nich nie ważyła więcej niż kilogram, ale pojedyncze bezpośrednie trafienie wystarczyło, by unieszkodliwić stojące pod gołym niebem *F-16*. I tak się też stało. Gęsta seria wybuchów przypominających nieco chińskie fajerwerki zamieniła płytę postojową w płonące złomowisko. Piętnaście najbardziej wartościowych myśliwców EAF przestało istnieć.

Hartmann wychylił się ze swojej nory, w której bliski wybuch spowodował obsunięcie piachu. Chciał ocenić rozmiary zniszczeń, nim jednak ogarnął je wzrokiem, nad pasem *21* przeleciał z grzmotem *Su-22* Tkaczyka. Kolejna seria wybuchów zagnała Niemca ponownie do rowu.

Marciniak z Czerwińskim pozostając z tyłu, mieli znakomity widok na dzieło pozostałych pilotów. Widzieli, jak bomby Krzyżanowskiego i Tkacza rozwalały pasy startowe i zdmuchują światła. Błyski bomb kasetowych nad płytami postojowymi wyglądały niemal jak sztuczne ognie.

– Ale przypieprzyl! – rzekł z podziwem Czerwiński, oderwawszy się na chwilę od przyrządów.

W blasku pożarów Marciniak zauważył sylwetki kilkunastu samolotów na niewielkiej płycie postojowej na końcu pasa *21* i w pobliżu hangarów. Bez namysłu skierował tam *Szparkę*, odbezpieczył działko i przełączył celownik. Chwytał w celownik dużą sylwetkę – wydawało się, że to *P-3* – i ostrzegł Czerwińskiego:

– Uwaga! Strzelam!

Nacisnął spust. Trzydziestomilimetrowe działko w przykadłubowej części prawego skrzydła plunęło ogniem, oślepiając go na moment. Trzy czy cztery pociski trafiły w sylwetkę. Marciniak ruszył sterami i przeniósł celownik na kolejną sylwetkę. Krótka seria, błysk, ruch sterami, krótka seria...

– W górę!!! – ryknął Czerwiński.

Marciniak z całej siły ściągnął drążek sterowy. Potężne przeciążenie wcisnęło ich w fotele i na moment zamroczyło. Maszyna wystrzeliła nosem w rozgwieżdżone niebo...

– Flary i w lewo! Już! – ponaglił Czerwiński. Ktoś mógł ich potraktować *Stingerem*.

Michał nacisnął przycisk wyzwalania flar. Dwie lub trzy wyskoczyły z wyrzutników, rozświetlając na moment świat z tyłu, zaabiną. Odzyskał ostrość widzenia po gwałtownym zwrocie i rzucił maszynę w skośny zakręt w lewo, usiłując uciec z linii ewentualnego strzału i zejść niżej.

– Szóstka, co wy, kurwa, wyprawiacie? – usłyszał w słuchawkach głos Łysonia.

– Kopniak sześć, zawracam i dołączam do reszty – uspokoił dowódcę Czerwiński.

Niecałą minutę później przeskoczyli rozświetlony brzeg Zelandii i pognali na niewielkiej wysokości na południowy wschód, w kierunku Świnoujścia. Choć parę razy smagneły ich radary, nikt nawet ich nie ostrzelał.

Na ziemi Hartmann wygramolił się w końcu z dołka. Chował się tam po raz trzeci, gdy ostatnia maszyna ostrzelała miejsca postojów niemieckich i francuskich maszyn. Odrzutowiec przemknął niemal nad nim, nie rozpoznał jednak typu, zauważył tylko, że maszyna zeszła cholernie nisko. O mały włos dołączyłaby do palących się, rozbitych maszyn EAF.

Major ogarnął wzrokiem pobojowisko. Lotnisko przedstawiało rozpaczliwy obraz. Blask pożarów i rumowisko po belgijskich *F-16* dały się zauważyć na pierwszy rzut oka. Biegając w stronę płonących i eksplodujących maszyn Hartmann zauważył zrytą bombami drogę kołowania. Ktoś tu się nieźle postarał, skonstatował.

Syrena ryknęła, oznajmiając koniec alarmu. Przeciwnik wykonał jeden, za to bardzo skuteczny atak. Hartmann skonstatował, że dwóch duńskich żołnierzy wyrzuciło z jakiegoś zagłębienia i teraz wodzili po niebie wyrzutnią rakiet *Stinger*. Gównem co znajdują, pomyślał. Przeciwnik nie był taki dumny, żeby powtórzyć atak. Zrobił swoje i odleciał.

Od ziemi zaczęły odrywać się kolejne sylwetki. Kto nie znalazł w porę rowu, ten przykleił się do gleby tam, gdzie zastał go nalot. Wielu z powstających z ziemi ludzi miało niemieckie mundury. Goniąc ich w ukrycie, Schneider i Hartmann ocalili im tyłki. W pobliżu płyty postojowej kilka sylwetek nie podniosło się z betonu. Widocznie nie zareagowali dość szybko albo chcieli mimo wszystko wypuścić w powietrze samoloty. Szok wywołany nalotem był zbyt świeży, by Hartmann przejął się stratami. W tej chwili starał się ogarnąć całość.

Kątem oka zauważył, że na małej płycie postojowej zaczyna się palić jasnym ogniem należący do niemieckiej marynarki wojennej *P-3 Orion*. Oznaczało to, że EAF będzie miała do dyspozycji tylko jeden tego typu samolot. Oczywiście, gdy przywróci do funkcjonowania Roskilde. Ku jego radości żaden z jego ukochanych *Phantomów* nie został zniszczony. Gdy się zbliżył, zobaczył jednak, że większość maszyn nosi uszkodzenia od odłamków.

- Kurwa mać! – zaklął mu ktoś za plecami. Hartmann rozpoznał głos Schneidera. Odwrócił się. Generał zgubił gdzieś czapkę, był umorusany na twarzy.
- Ładnie nas urządzili, Manfred – rzekł.
- Ładny bajzel, nie? Coś mi się zdaje, że to koniec tego cyrku.
- Pokieruj ratowaniem tego, co da się uratować, przede wszystkim naszych maszyn. Francuzami się nie przejmuj.
- Tak jest.
- Miejmy nadzieję, że to koniec tej awantury.
- Oby.

Hartmann pobiegł w kierunku *Tornado*. Atak nie zaszkodził im bardzo – jedno *Tornado* zostało zniszczone ogniem z działka, dwa inne uszkodzone bezpośrednimi trafieniami, pięć innych oberwało odłamkami. Było to bez znaczenia, dopóki ktoś nie naprawi pasów.

I Schneider, i Hartmann zastanawiali się, kiedy to nastąpi. I czy w ogóle warto je naprawiać.

HNLMS *Tromp*, godz. 22:12

Informacja o nalocie na Roskilde była dla Dentersa totalnym zaskoczeniem. Spodziewał się raczej ataku lotniczego na którąś z wysuniętych pikiet nawodnych lub torped z okrętu podwodnego. Atak na lotnisko był ostatnią pozycją na liście zagrożeń.

Admirałowi udało się skontaktować ze Schneiderem tuż po tym, jak zakończył on swój udział w bezowocnej akcji ratunkowej. Wieści były hiobowe: lotnisko zostało wyłączone z akcji, a najcenniejsze samoloty zniszczone. Konkluzja była krótka: osłony z powietrza nie będzie. Okręty muszą same zadbać o obronę przeciwlotniczą.

Dentersowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wydał stosowne rozkazy dla swoich okrętów nawodnych. Miały zwinąć linię dozoru i zebrać się w szyku obrony przeciwlotniczej 20 mil na zachód od Bornholmu. Nadał też roz-

kaz dla *U-23* – okręt miał zająć pozycję na południowy-wschód od wyspy i osłaniać od ewentualnego ataku podwodnego.

Admirał nie miał wątpliwości, kto zbombardował Roskilde, choć Schneider nie pokusił się o twarde wnioski. Ledwie ukończył dyktowanie rozkazów dla okrętów i zaczął zastanawiać się nad dalszymi krokami, zadzwonił Vandenoort.

Mimo dotkliwego ciosu, jaki otrzymali w Danii, komisarz był agresywny.

- Żądam, żeby natychmiast podjął pan przeciwdziałanie! – oświadczył bez żadnych wstępów.

- Na czym miałyby ono polegać? – spytał Denters.

- Do licha, to pan jest wojskowym! Niech pan rozwali polskie lotnictwo. Przecież to nie teletubisie dokonały tego ataku, tylko Polacy.

- Może mi pan powie, czym mam to zrobić?! – odciął się Denters – Wszystkie moje samoloty są zniszczone, uszkodzone albo unieruchomione na zdemolowanym lotnisku. Okręty nie mają broni do działań przeciw obiektom lądowym. Lepiej niech mi pan zorganizuje jakieś samoloty, bo w powietrzu zostaliśmy z gołym tyłkiem. W każdej chwili mogą nas zaatakować bombowce. Po to przecież Polacy wyeliminowali Roskilde z akcji.

- Mówił pan, że pańskie okręty poradzą sobie z polskim lotnictwem!

- Tylko w zwartej grupie, do której je teraz ściągamy.

- Zwija pan blokadę bez mojej zgody?! Nie wolno panu tego zrobić bez zgody Komisji. Rozkazuję panu natychmiast zaprzestać...

- To ja odpowiadam za życie i zdrowie marynarzy. W zaistniałej sytuacji powinienem właściwie odwołać całkiem blokadę morską. Powtarzam panu, że po to właśnie wyłączyli Roskilde, żeby zaatakować okręty z powietrza...

- Niech pan mnie posłucha, do kurwy nędzy! – Vandenoort stracił panowanie nad sobą – Cała nasza operacja wisi na włosku. Tym włoskiem są pańskie okręty. Dziś po południu upadł rząd brytyjski. Uprosiłem Petera Gordona, by nie rozgłaszał, że ugiął się przed euroceptykami. Tyle tylko mogłem zrobić. Jeśli pan wycofa teraz okręty, to padną kolejne rządy, w tym te, które najbardziej nas popierają. Wtedy padnie i Komisja Europejska. W takim wypadku nie będę mógł ochronić pana przed rozliczeniem za zatopienie *Xenii*.

- To pan wydał rozkaz ataku na polskie okręty... – zaczął Denters.

- Ale to pan spieprzył sprawę! – przerwał mu Vandenoort. – Pan odpowiada za operacje wojskowe. Wie pan, gdzie będą szukać winnych?

Denters wiedział. Vandenoort nie zamierzał brać na siebie odpowiedzialności za masakrę pasażerów *Xenii*. Właśnie dał mu to do zrozumienia. Gdyby uznano

go winnym tej tragedii, byłby to koniec jego kariery. Haniebny koniec, jeszcze gorszy niż zsyłka do wojskowego szkolnictwa. Być może nie uniknąłby więzienia.

Admirał podjął decyzję.

- Żąda pan, żebym przyjął bitwę z ich lotnictwem?
- I je zniszczył. Pańskie okręty sobie z tym poradzą. Stłamsimy Polskę, stłamsimy euroceptyków i poradzimy sobie z kryzysem.

Denters zastanawiał się przez chwilę.

- W porządku – rzekł. – Zaatakują raczej jutro, bo ich *Su-22* nie mają ani gogli podczerwonych, ani innego oprzyrządowania do wykrywania okrętów nocą. Całe szczęście, że ich *F-16* nie są jeszcze gotowe. Gdyby mieli całą pięćdziesiątkę, mogliby zdziesiątkować mi eskadrę.
- A więc wszystko jasne?
- Jeszcze jedno: od tej chwili tylko ja wydaję polecenia eskadrze.
- To znaczy?
- Jeśli uznam, że muszę ją wycofać na północ lub do baz, to jest to decyzja nieodwołalna. Tylko ja o tym decyduję.
- To jest decyzja polityczna.
- To jest decyzja czysto wojskowa. By skutecznie walczyć, muszę mieć swobodę manewru i zmusić ich do walki na korzystnych dla mnie warunkach. Dlatego proszę nie protestować, jeśli wycofam okręty pod Bornholm lub na północ. Blokada pozostaje w mocy, ale nie mogę wystawiać okrętów na cios. Spełniłby się pański czarny scenariusz. Proszę mi zaufać. Wiem, co robię!
- Mam nadzieję.
- Proszę wydobyć od Niemców *Eurofighters* z Laage i zgodę na operowanie naszych samolotów z tej bazy – zażądał Denters.
- Obawiam się, że to niemożliwe – powiedział Vandenoort. – Niemcy w ogóle nie chcą rozmawiać o rozszerzeniu udziału w EAF. Wydają oświadczenia, w których wzywają obie strony do przerwania ognia. Polacy tego nie słuchają...
- Guzik mnie obchodzi, czy Polacy ich słuchają. Nie po to atakowali Roskilde... Załatwi pan te samoloty?
- Zrobię, co będę mógł. Będę naciskał na kanclerz Meier. Nic nie mogę obiecać.
- To niech pan załatwi *F-16* z Danii i przywrócenie Roskilde do porządku.
- *F-16* już patrolują duńską przestrzeń powietrzną. Atak na Roskilde się nie powtórzy. Tyle że Duńczycy nie dadzą ich do patrolowania Bałtyku.

- To niech chociaż postawią na nogi Roskilde. Dam sobie radę mając *Mirage F1* i *F-4*.
- Proszę się nie martwić o Roskilde. Załatwię to – powiedział już bardziej przyjemnym tonem Vandenoort.- Zwycięstwo jest blisko. Niech się pan trzyma. Uruchomimy Roskilde, rozwiniemy blokadę, damy po dupie Polakom, a potem będziemy świętować jedność Europy.

„Akurat”, pomyślał Denters.

Przyszło mu na myśl, że z Vandenoorta jest większy kawał skurwysyna, niż do tej pory mu się wydawało.

ORP Orzeł, 22 mile na północny wschód od Bornholmu 22:18

- Sonar do centrali! Kontakt, namiar 172, szybkie obroty, prawdopodobnie okręt wojenny! Idzie z dużą prędkością.

Marciniak pełnił wachtę w centrali. Kuczwański poszedł się zdrzemnąć. Jeszcze przed zmierzchem sforsowali linię dozoru EAF bez większych problemów – raz tylko śmigłowiec opuścił w ich pobliżu sonar zanurzany i pomacał trochę aktywnym na granicy wykrycia. Skończyło się na strachu.

Do wyjścia na peryskopową w celu odebrania depesz radiowych zostało 12 minut. Marciniak zastanawiał się krótko:

- Obsada stanowiska kierowania ogniem – do centrali. Jaki kierunek ruchu?
- Za mało danych, prawdopodobnie na zachód.
- Ustalcie typ i prędkość. Nanieść kontakt na nakres.

Marciniak sięgnął po telefon. Wybrał połączenie z kabiną dowódcy. Kuczwański odezwał się dość prędko zaspanym głosem:

- Tak?
- Mamy kontakt z okrętem nawodnym. Idzie dużą prędkością na zachód.
- Już idę.

Marciniak odwiesił słuchawkę.

- Sonar do centrali. Kontakt nawodny, namiar jeden sześć zero, szybkie obroty. Prawdopodobnie okręt wojenny.
- Zrozumiałem sonar. Nanieść kontakt na nakres.

Do centrali wkroczył Kuczwański.

- Co idzie? – spytał.
- Jeszcze nie wiemy na pewno, ale to okręty wojenne – odrzekł Marciniak.
- Mamy drugi kontakt. Też pędzi na złamanie karku.

Kuczwalski złapał za interkom.

- Sonar, potraficie zidentyfikować te kontakty?
- Pierwszy to prawdopodobnie fregata klasy *Karel Doorman*. Drugi to typ *Floreal*. Oba robią 25 węzłów.

Kuczwalski zaklął pod nosem.

- Siedzimy tu od kilku godzin na dupie i nikt nie raczył nas powiadomić, co mamy robić. Najwyraźniej spieprzają na zachód, a my nie możemy posłać im naszych „rybek”. Macie jakieś wyliczenia? – spytał oficerów przy nakresie.

- Kontakt już zmienił namiar, ale nieznacznie. Wstępne szacunki odległości – 8-10 mil.

- Pięknie – stwierdził komandor. – Wychodzimy na peryskopową. Kurs dwa siedem zero.

Wynurzenie nie zabrało wiele czasu – okręt był na stosunkowo płytkich wodach i nie mógł zejść głęboko. Jako pierwszy wyjechał na powierzchnię maszt ESM. Sygnały radarowe z obu kontaktów potwierdziły obserwacje sonarzyistów – fregata klasy *Doorman* i korweta klasy *Floreal*.

Kuczwalski rozkazał podnieść peryskop, po czym omiół szybko horyzont. W zasięgu wzroku nie działo się nic godnego uwagi. Okręty były poza horyzontem, śmigłowce przeciwpodwodne patrolowały na południe od nich. Po północnej stronie zwijanej właśnie w pośpiechu linii dozoru EAF podwodniacy mieli spokojnie jak u Pana Boga za piecem.

- Podnieść maszt radiowy – rozkazał Kuczwalski, gdy zegar na grodzi pokazał 21:29.

Nie niepokoiony przez nikogo okręt szedł z prędkością trzech węzłów tuż pod powierzchnią dość spokojnego morza. Punktualnie o wpół do dziesiątej z kabiny radio nadszedł meldunek o odbiorze depešy. W chwilę później „radzik” przyniósł blankiet depešy z odszyfrowaną treścią.

Kuczwalski rzucił na nią okiem i zazgrzytał zębami. Bez słowa podał ją Marciniakowi.

- A niech to szlag! – rzekł tamten. Depeša nakazywała atakowanie okrętów EAF bez żadnych ograniczeń. Tyle że dwa z tych okrętów były na granicy zasięgu ich torped i płynąć równolegle do nich z dużą prędkością właśnie z tego zasięgu wychodziły.
- Nasi wodzowie mają refleks kierowcy walca drogowego – orzekł Kuczwalski – Gdybyśmy dostali ten rozkaz podczas poprzedniej sesji łączności, dwa nasze kontakty właśnie zasiliłyby listę bałtyckich wraków. Niech to cholera.

Marciniak spojrział na mapę.

- Ciekawe dokąd oni się spieszą – rzekł. – Na koniec blokady to nie wygląda, bo przecież wówczas nie rozkazaliby nam nakarmić ich „rybami”. Pójdziemy za nimi?
 - Tak – odpowiedział Kuczwański. – Przejdziemy na północ od Bornholmu, chociaż oni idą na południe. Nie sądzę, żeby zwinęli się do Kopenhagi czy Kilonii. Raczej wygląda to na koncentrację sił. Jeśli tak, to będziemy mogli strzelić ze wszystkich rur. To dopiero będzie bal.
- Oficerowie spojrzeli po sobie. Zaczynało się robić ciekawie.

Siedziba Komisji Europejskiej, Bruksela, godz. 22:30

Vandenoort i Schuster kalkulowali straty po nalocie na Roskilde. Okazały się one trudniejsze do zaakceptowania, niż początkowo myśleli. Schuster rozmawiał już ze Schneiderem. Lotnisko nie nadawało się do operacji powietrznych przez kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt godzin. Płonęły na nim wciąż tony rozlanego paliwa lotniczego, eksplodowała amunicja, szczególnie właśnie przywiezione bomby. Schneiderowi udało się ocalić samoloty, odciągając je od pożarów i eksplozji. Odtworzenie gotowości lotniska wymagało opanowania szalejącego żywiołu, a na to na razie się nie zanosilo. Do tego dochodziły niewątpliwie straty prestiżowe. Poparcie rządów europejskich, naciskanych przez wyborców, gwałtownie spadało.

– Wygląda na to, że o zniszczeniu polskich sił zbrojnych możemy na razie pomarzyć – stwierdził Schuster, doprowadzając Vandenoorta niemal do stanu wrzenia. – Wszystko, co możemy zrobić przez najbliższe dwa-trzy dni to utrzymać blokadę.

– Jeśli ten dupek Denters cofnie się o krok, to wyleję go na zbity pysk! – warknął komisarz.

– Nie możesz go wylać, bo w tej sytuacji trudno będzie znaleźć kogoś na jego miejsce. Zastanów się raczej, skąd ściągnąć uzupełnienia. Z lotnictwem robi się nieciekawie.

– Spróbuję od Niemców – rzekł Vandenoort. – Oni mają najwięcej do stracenia.

– A jeśli nie dadzą?

– Denters da sobie radę i bez nich.

Serwis światowy BBC

godz. 23:00

Polskie lotnictwo dokonało wieczorem nalotu na lotnisko Roskilde, na którym bazują siły lotnicze EAF. Według niepotwierdzonych informacji, ucierpiały poważnie pasy startowe oraz zgromadzone na lotnisku samoloty. Lotnisko nadal płonie, w jego stronę wciąż zacierają jednostki gaśnicze. Reporterzy nie zostali wpuszczeni na teren bazy.

Premier Danii, Kim Pedersen, potępił w ostrych słowach nalot na Roskilde. Pedersen nazwał atak barbarzyńskim, bezprecedensowym aktem agresji na suwerenne państwo. Wskazał rząd polski winnym zaistniałej sytuacji. W wydanym błyskawicznie oświadczeniu, rzecznik polskiego rządu przypomniał, że to właśnie z Roskilde, z Danii zostały przeprowadzone dwa ataki na tak samo suwerenne terytorium Polski, z których jeden zakończył się masakrą cywilów.

Baza lotnicza Gdynia Babie Doły

godz 23:40

Stawało się jakąś niezdrową tradycją, że po każdym zadaniu bojowym Łysoni udzielał Marciniakowi i Czerwińskiemu głęboko przemyślanych rad, potocznie zwanych opeerem. Tym razem nie było inaczej. Obaj lotnicy trafili przed oblężenie pułkownika po przelocie z Goleniowa, gdzie wylądowali niemal na oparach. Odwlokło to nieco rozprawę, ale nie na tyle, by uspokoić Łysonia. W sali odpraw pułkownik obsztorcował ich bez litości

- Zupełnie wam odbiło! – ryczał. – Kto, kurwa, pozwolił wam ostrzeliwać Roskilde z działka?! Mieliście załatwić *Hawka* i odbić w lewo dając osłonę reszcie w drodze powrotnej. Wszyscy trzymali się rozkazów, tylko nie wy. Co macie na swoje usprawiedliwienie?
- Chciałem zadać przeciwnikowi większe straty – odpowiedział Marciniak
- Widziałem na to szanse.
- Szanse na zadanie strat? A nie przyszło ci do głowy, strategiczny geniuszu, że gdybyście się wmeldowali w głębę Roskilde albo dali tam zabić, to pozostałe pięć maszyn zostałoby bez elektronicznej osłony w drodze powrotnej? Dobrze wiesz, że nie mieliśmy zasobników ECM.
- Tak jest, panie pułkowniku. To było nierozważne posunięcie.
- Nierozważne posunięcie?! To była karygodna głupota!!! – ryknął Łysoni.
- Powiniennem was uziemić, wy cholerni kretyni, ale jutro potrzebuję w powietrzu każdej załogi, która jest w stanie posługiwać się knyplem i prze-

pustnicą. A już na pewno załóg WRE! Chociaż nie jestem pewien, czy te umiejętności nie zdadzą się psu na budę, przy waszej znikomej zdolności do rozumienia prostych rozkazów.

Pułkownik przerwał, sięgnął po szklankę z herbatą na pobliskim stole. Była zimna, bo zaparzył ją sobie jeszcze przed lotem. Oparł się o skraj biurka.

– Szczerze mówiąc, wywaliłbym was obu na zbity pysk i tylko kłopoty kadrowe zmuszają mnie, by sobie nie pofolgować – łyknął herbaty ze szklanki. – Macie coś jeszcze do powiedzenia?

– Tak jest, panie pułkowniku! – odrzekł Marciniak.

Łysoń spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Co takiego?! – spytał.

– To był piękny widok, jak rozwaliliście w diabły Roskilde. Mieliliśmy miejsca w łoży honorowej.

Nowaczyk wstał z biurka i podszedł do niego:

– Nie rób sobie jaj ani nie próbuj mi się podlizać, Marciniak! – rzekł cicho.

– Wcale nie próbuję – odpowiedział porucznik. – Jestem po prostu dumny z tego, co dzisiaj wspólnie dokonaliśmy. Tym bardziej, że to był mój pomysł!

Nowaczyk odsunął się od niego. Mieszanka wazelinarstwa i impertynencji po prostu odebrała mu mowę.

– Odmaszerować! – warknął w końcu.

Porucznicy zasalutowali i wyszli z sali odpraw.

Ledwie oddalili się od drzwi, Czerwiński zaczął przywoływać Marciniaka do porządku.

– Łysoń ma rację – zupełnie ci odbiło – rzekł. – Nie dość, iż rzeczywiście zignorowałeś rozkazy, to jeszcze drażnisz się ze starym. Musiałeś mu przypominać o tym, kto wpadł na pomysł nalotu na Roskilde?

– Musiałem. Może nie będę miał okazji – skwitował Marciniak.

Na odprawie tuż po locie okazało się, że atak na Roskilde zakończył się pełnym sukcesem. Siły Powietrzne straciły co prawda *MiGa-29*, trafionego *AM-RAAM-em* przy akcji odciągania myśliwców EAF, ale pilot uratował się dzięki fotelowi wyrzucanemu. Sześćdziesiąta Siódma wyeliminowała z akcji Roskilde, zniszczyła lub poważnie uszkodziła wszystkie *F-16* i kilka innych maszyn. Dziury w pasach startowych i drogach kołowania były na tyle liczne, że nie można było marzyć nawet o naprawieniu ich przed upływem doby. Tak przynajmniej wskazywały zdjęcia satelitarne wykonane przez amerykańskiego satelitę wywiadowczego kwadrans po nalocie. Do utrzymania operacji w nocy trzeba było zainstalować choćby prowizoryczne oświetlenie, bo istniejące zostało

rozniesione wybuchami bomb. Diabli wzięli też system wspomagania lądowania ILS. Marciniak żałował, że nie rozbili radaru nawigacyjnego, ale siły EAF szybko zastąpiłyby go instalacją polową. Tak czy inaczej polskie Siły Powietrzne i Marynarka Wojenna zyskały niezbędną im do wykonania dalszej części planu swobodę operacji na mniej więcej dobę. Wszystko inne nie miało już znaczenia.

– Spuściliśmy im niezły łomot, ale to dopiero początek – stwierdził Czerwiński. – Jutro będą się mieli na baczności. Wiedzą już, że przylecimy.

– I tak gówno zrobią – Marciniak był pełen optymizmu po wieczornym sukcesie.

– Nie mów hop – mitygował go Czerwiński. – Ci skubańcy nie są głupi. Jesteś pewien, że zatańczą, jak im zagrałeś? Wystarczy, że zwiną okręty do Kopenhagi, a będziemy mogli sobie straszyć mewy nad Bałtykiem.

– Tego nie zrobią. Straciliby twarz.

– Już zwijają linię patrolowania.

– To przewidzieliśmy. Nie zwiną się do portu. Założysz się?

– Sam się baw w hazard.

Piloci udali się do kwater. Marciniak chciał pogadać jeszcze z Tkaczykiem, ale ten już spał. Rano miał polecieć *Iskrą* do Powidza i przywieźć Dagmarę. Trudno było utrzymać przed nią cokolwiek w tajemnicy, dlatego Nowaczyk w porozumieniu ze Zdaneckim postanowili dać jej okazję zrobienia reportażu z przygotowania do ataku na okręty. Usłyszawszy o tym, Tkacz stwierdził, że to najlepsza fucha, jaka mu się od dawna trafiła.

Urząd kanclerski w Berlinie **29 lipca, godz. 0:15**

Kanclerz Meier i minister spraw zagranicznych Biergbaum mieli poważny problem. Na pierwszą zwołali nadzwyczajne posiedzenie rządu w związku z wydarzeniami w Danii. Żaden obywatel Niemiec nie ucierpiał, jednak sporo sprzętu wojskowego uległo zniszczeniu lub uszkodzeniom, a żołnierze niemieccy trafili – nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy – w strefę bezpośrednich działań zbrojnych. Były i gorsze wieści – na wniosek opozycji na nadzwyczajnym posiedzeniu miał zebrać się Bundestag, by rozważyć wotum nieufności dla rządu Meier.

– Nadal jestem zdania, że powinniśmy się wycofać się z tej awantury – orzekł Biergbaum, gdy już omówili przebieg wypadków. – Podobnego zdania jest generał Schneider.

– Schneider nie chce brać udziału w realizacji planu Vandenoorta – powiedział kanclerz. – Prawdę mówiąc, też jestem przeciw atakowaniu celów na terytorium polskim. Po tym, co się wydarzyło, jest to mocno ryzykowne. Powinniśmy jednak utrzymać blokadę.

– Generał twierdzi, że to nie koniec polskich ataków – rzekł Biergbaum. – Jego zdaniem jutro Polacy zaatakują flotę EAF.

– Na jakiej podstawie tak twierdzi?

– Obezwładnienie lotniska nic im nie daje. Zbombardowali je po to, by móc swobodnie zaatakować okręty.

– Vandenoort już prosił mnie o dodatkowe samoloty dla wzmocnienia sił Dentersa.

– W tej chwili w siłach EAF są tylko samoloty nasze, Francuzów i włoskie *Tornado*. Belgijsko-holenderski komponent myśliwski właściwie przestał istnieć. Do tego Polacy oskarżyli nas o zatopienie promu – wyliczył Biergbaum.

– Gazety nas jutro rozstrzelają. Powinniśmy dać jakikolwiek pretekst naszym koalicyjnym posłom, by nie zagłosowali za wotum nieufności. Jeśli damy Vandenoortowi samoloty, dostarczymy argumentów wręcz przeciwnych. Odwołajmy okręty z blokady. To zakończy tę bezsensowną rzeź. Inaczej jutro ponownie dojdzie do bitwy.

– Postawiliśmy wszystko na tę kartę Juergen – rzekła Andrea Meier. – Wciąż jeszcze możemy wygrać.

– Chcesz, żeby nasze okręty wzięły udział w bitwie?

– Nie wiemy, czy do niej dojdzie. Za kilkadziesiąt godzin blokada może okazać się ponownie skuteczna. A okręty Dentersa są silne. Schneider twierdzi, że dla Polaków atak na flotę EAF będzie jak rzucanie jajkiem o ścianę. Być może żaden atak na polskie lotniska nie będzie potrzebny.

Biergbaum nie odpowiedział. Roskilde podobno też miało być nie do zaatakowania. Polacy sprawiali coraz więcej kłopotów. On najchętniej wycofałby okręty. To jednak kanclerz Meier była szefem.

HNLMS *Tromp*

godz. 0:40

Denters stał nad mapą elektroniczną w centrum informacji bojowej *Trompa* i naradzał się ze swoim sztabem. W ciągu ostatnich godzin większość jego okrętów zebrała się w szyku obrony przeciwlotniczej, skoncentrowanym wokół *Trompa* i *Hessen*. Średni krąg obrony stanowiły niemiecka fregata *Karlsruhe*, hiszpańska *Canarrias*, włoska *Euro* klasy *Maestriale* oraz dwie fregaty klasy

Doorman – belgijska *Leopold I* i holenderska *Van Amstel*. Nieco na zewnątrz zostały po jednym *Florealu*, *Minervie* i *Descubiercie*. Resztę okrętów nieprzydatnych do akcji przeciwlotniczej czy przeciwpodwodnej, jak dwa niemieckie kutry rakietowe, Denters odesłał do baz.

Admirał wyjawiał podwładnym swój plan bitwy.

- *Su-22* mają niewielki zasięg przy pełnym obciążeniu bojowym. Obok braku sensorów to ich główny mankament. Jeżeli odejdziemy dość daleko od wybrzeża, to zmusimy ich do zabrania większej ilości paliwa w zbiornikach podwieszanych zamiast ładunku bojowego, a przez to zmniejszymy siłę uderzenia. Zaatakują albo o świcie, albo w ciągu dnia. Będą to musieli zrobić jutro, bo, według Schneidera, najpóźniej pojutrze uruchomimy znowu Roskilde i rozciągniemy parasol powietrznych patroli bojowych.

Denters postukał palcem w mapę, obok konturów wyspy Bornholm.

- Ustawimy okręty tutaj, na zachód od Bornholmu. Cały czas będziemy blokować ewentualnych łamaczy blokady płynących z cieśnin duńskich, a jednocześnie Bornholm osłoni nas przed atakiem spod wody. Dzięki temu śmigłowce będziemy mogli ustawić gęściej jako zaporę przeciwpodwodną i ostrzegającą o ataku lotniczym na południe od Bornholmu.
- Postawmy *U-23* w przejściu między Bornholmem a Szwecją – zasugerował Mesdegaard. – Zabezpieczymy się przed atakiem spod wody stamtąd, no i usuniemy okręt z akwenu, gdzie mogłyby go przypadkowo zaatakować nasze własne śmigłowce.
- Dobry pomysł, Adrianie. To będzie wystarczające zabezpieczenie tego podejścia. Proszę przygotować rozkazy dla komandora Freitag.
- Musimy z nimi stoczyć tę walkę? – spytał jeden z młodszych oficerów.
- Na to wygląda – odrzekł Denters. – Tak naprawdę zagrożeniem jest *Kilo*. Z samolotami sobie poradzimy. Nasza broń przeciwlotnicza ma znacznie większy zasięg niż ich naprowadzane laserowo rakiety. Nie mają skutecznej broni przeciwradarowej. Możemy oberwać tylko przypadkiem.
- A ten pocisk, którym zniszczyli baterię w Roskilde?
- Ich *H-25MP* były od zawsze przeznaczone do niszczenia *Hawków* – odrzekł Mesdegaard. – To, co mnie niepokoi, to ich walka radioelektroniczna. Są dobrzy. Wiemy, że potrafią bronić się przed *AMRAAM-ami*. Wiedzą to prawdopodobnie od Amerykanów. Być może umieją poradzić sobie z naszymi *Standardami*. Wówczas nie byłoby ciekawie.
- Z małej odległości przebijemy się radarami przez zakłócenia – zaoponował Denters. – Nawet jeśli podejdą blisko, tuż nad wodą, jeśli zakłóca nam do pewnego momentu radary, to wciąż możemy szybko odpalić taką ilość

rakiet, przed którymi ani nie uciekną, ani ich nie zakłóca. Do tego mamy jeszcze działa i działka szybkostrzelne. Moim zdaniem nie mają szans.

Oficerowie przytaknęli. Plan był dobry. Jeśli Polakom przyjdzie do głowy zaatakować jego okręty, dostaną solidną nauczkę. I to będzie koniec kłopotów, bo nie będą już mieli czym go zaatakować ani nękać blokady. Wtedy doprowadzi ona szybko do celu i będzie można zakończyć całą operację. Może kalkulacja Vandenoorta nie jest taka głupia.

Denters miał taką nadzieję. Przyjrzał się mapie, by upewnić się, że o niczym nie zapomniał i że przewidział wszystkie ewentualności. I doszedł do wniosku, że są doskonale przygotowani.

Nie miał pojęcia, jak bardzo się myli.

U-23, na południowy wschód od Bornholmu godz. 1:00

Freitag odebrał nowy rozkaz operacyjny z niesmakiem, ale i z ulgą.

- Roskilde zbombardowane. Idziemy do przesmyku między Bornholmem a Szwecją – oznajmił Kleinowi i pozostałym oficerom. – Będziemy chronić okręty nawodne zgrupowane na zachód od Bornholmu przed atakiem spod wody.
- Zbombardowali Roskilde? – zapytał zdziwiony Klein.
- Tak. Nie wiem, jak tego dokonali, ale depesza nie kłamie. Potwierdziliśmy autentyczność. Nie wierzę, by ktoś włamał się do naszej sieci łączności. Co by zyskał, dezinformując nas? – głośny myślał Freitag
- Usunąłby nas z drogi *Orla*? – zapytał Klein.
- O tym nie pomyślałem – uśmiechnął się Freitag. – Ale to chyba niemożliwe.
- To sobie nie powalczymy – stwierdził Klein z ulgą. – Będziemy siedzieć na tym zadupiu, dopóki nie odtworzą Roskilde.
- Nigdy nie wiadomo – rzekł Freitag. – Ich *Kilo* zniknął z Gdyni. Chyba nie po to, żeby popłynąć do Świnoujścia? Polacy nie po to zbombardowali Roskilde, żeby zostawić flotę w spokoju. Na pewno coś szykują. Podejście od południa na pewno obstawią śmigłowce. Wcale bym się nie dziwił, gdyby *Kilo* próbował obejść Bornholm od północy. Na południu mógłby mu spaść na łeb jakiś zestrzelony samolot.
- Jesteś pewien, że dojdzie tam do bitwy?
- Jeśli ta depesza nie jest fałszywką, to jutro będzie tu niezła zadyma. Dobra, ruszamy na północ. Lepiej zejść z drogi okrętom nawodnym i naszym

śmigłowcom ZOP. Ostatnie, czego nam trzeba, to torpeda w prezencie od własnych sił.

Freitag wydał niezbędne rozkazy. *U-23* wolno zakręcał ku północy. Podążał do przejścia, które miał zablokować przed ewentualnym przejściem *Orla*.

Serwis informacyjny telewizji ZDF godz 1:30

Rząd Republiki Federalnej odmówił udostępnienia samolotów bojowych Eurofighter i bazy lotniczej Laage Europejskim Siłom Zbrojnym. Rząd uważa, że w zaistniałej sytuacji zwiększanie sił EAF zaostriżyłoby tylko konflikt między Komisją Europejską a Polską. Rząd niemiecki wezwał stronę Polską do powstrzymania się od dalszych działań zbrojnych.

ORP *Pułaski*, Bałtyk, 8 mil na północ od Niechorza godz. 6:07

Komandor Jacek Mikuła wiedział już, jak czuje się golas, który przypadkiem trafił na bal maskowy.

Do tej pory znał to uczucie tylko z relacji innych. Brytyjczycy na pokładach krążowników i niszczycieli doświadczyli go, gdy podczas ostatniej bitwy, niemiecki *Scharnhorst* oświetlał ich swoimi reflektorami. Różnica między nimi a Mikułą polegała na tym, że Polak nie widział przeciwnika. Miał świadomość jego obecności, 120 kilometrów za horyzontem. Wiedział, że może on wystrzelić w kierunku polskich okrętów chmarę rakiet woda-woda – *Exocetów*, *Harpoonów* i *Otomatów*, z których każda może posłać do wieczności jego i załogę *Pułaskiego*.

Niewielki polski zespół krążył po wodach terytorialnych w pobliżu miejscowości Niechorze. Niedaleko od *Pułaskiego*, wolno niczym żółw, przemieszczał się *Kościuszko*. Dziesięć mil na północ, ze względu na mniejszy zasięg przenoszonych rakiet, równie wolno przemieszczały się szybkie korwety rakietowe klasy *Tarantul* – *Metalowiec* i *Rolnik*. Miała to być ich pierwsza i ostatnia operacja bojowa – jeśli przetrwają, i tak z końcem roku zostaną wycofane.

Wolne przemieszczanie się było elementem maskowania. Kilka kutrów rybackich, zarekwirowanych w nocy przez komandosów z Formozy i obsadzonych zapasowymi załogami Marynarki krążyło po okolicy. Stanowiły kamuflaż

dla pospiesznie improwizowanych sił uderzeniowych. Z braku rozpoznania lotniczego jedynym źródłem wiedzy były emisje elektromagnetyczne. Nawet śmigłowce pokładowe przeciwnika schroniły się przed buszującymi teraz bezkarnie *MiG-ami*. Przed oczami lotnictwa cywilnego zespół skrywały dość obfite, choć dość wysoko wędrujące chmury. Emisje radarowe przeciwnika z rzadka tylko docierały do okrętu, niewystarczająco silne, by go wykryć. Jedynym źródłem emisji *Pułaskiego* był niewielki radar nawigacyjny *Decca*, identyczny z używanymi na kutrach rybackich, zainstalowany prowizorycznie i w pośpiechu – podobnie jak na pozostałych okrętach. W oczach elektronicznego rozpoznania EAF upodabniał on wlokącą się czterema węzłami jednostkę do niegroźnej rybackiej łajby, a całe ugrupowanie jawiło się jako zbiór trawlerów, prowadzących połów na wodach terytorialnych. Sam Mikuła, dzięki systemowi dowodzenia *Leba*, miał wgląd w poczynania okrętów EAF, śledzonych przez śmigłowce i samoloty patrolowe Marynarki. Jego radiowcy od czasu do czasu zabawiali się niepozorną rozmową z „rybakami”.

Mikuła zastanawiał się, kto wymyślił ów genialny plan. Gotów był się założyć, że nikt z Marynarki nie wpadł na taki pomysł. *Kościuszce* i dwóm fregatom raketowym przypadło podobne zadanie – zaszyć się na wodach terytorialnych i czekać. Zdani byli na łaskę lotników, którzy musieli zrobić swoje, zanim EAF doprowadzi do porządku Roskilde i poderwie w powietrze samoloty patrolowe. Jeżeli tylko przeciwnik wykryje, że w grupie kutrów rybackich czają się okręty, runie na nich taka lawina raket, że żadna ilość *MiGów* nie pomoże. Komandor dobrze pamiętał, co pojedynczy *Exocet* zrobił z *Xenią*. Nie miał wątpliwości, że w pół godziny od wykrycia przez EAF leżeliby na dnie.

Mikuła miał nadzieję, że przeżyje ten dzień i nadchodzącą walkę, w której udział mieli wziąć także lotnicy. Jeśli to się uda, to niezależnie od wyniku starcia, upije się z nimi przy najbliższej okazji. Oczywiście z tymi, którzy ocaleją.

Komisariat Policji Poznań-Nowe Miasto godz. 8:45

Nawrocki zmagął się z jakąś nudną robotą papierkową, gdy zadzwoniła komórka.

– Nawrocki.

– Mówi Zdanecki. Może pan się urwać na trzy-cztery godziny?

Komisarz zaniemówił z zaskoczenia i z gwałtownego rozważania, w jaki sposób się urwać nie wzbudzając podejrzeń.

– Halo! – odezwał się Zdanecki – jest pan tam?

– Jestem – Nawrocki wrócił do rzeczywistości. – W jakim celu się urwać? – zniżył głos.

- Porozmawiać z lotnikami.
- Tymi dwoma, o których rozmawialiśmy?
- Tak.

Komisarz rozejrzał się. Siedząca również nad jakąś śmierdzącą papierkową robotą Emila również nie podniosła nawet głowy.

- Chwileczkę. Muszę z kimś pomówić.

Nawrocki zasłonił mikrofon ręką.

- Emila?
- Tak?
- Muszę się wyrwać na kilka godzin. Będziesz mnie kryła?

Tym razem podniosła wzrok znad papierów.

- Znowu?
- Proszę.
- Nie robisz nic nielegalnego?
- Nic, co by zagrażało tobie – Nawrocki wiedział, że to nieprawda. Już sam fakt, że Emila kryła jego wyskoki, mógł narazić ją przynajmniej na postępowanie dyscyplinarne. – Tylko dzisiaj.
- W porządku – westchnęła, sięgając po papierosy. – Liczę tylko, że Hajdukiewicz o ciebie nie zapyta. Jak zapyta, będę improwizować, ale tłumaczyć się będziesz ty.
- Coś wykombinuję – odrzekł. Wziął teczkę i wyszedł na korytarz. – Już ruszam – rzekł do telefonu. – Dokąd mam się udać?
- Proszę jechać na Ławicę. Za kwadrans wylądjuje tam dyspozycyjna *Bryza* i zabierze pana w pewne miejsce. Niech pan nie pyta dokąd. Podrzucimy pana z powrotem na Ławicę, gdy już będzie po wszystkim. Załoga wie, kogo ma zabrać.
- Z kim mam się spotkać?
- Ze mną. Skontaktuje pana z tymi ludźmi i spróbuję namówić ich na zeżnanie. Co jeszcze?
- To chyba wszystko. Zatem – do zobaczenia na miejscu.
- Do zobaczenia – powiedział Zdanecki i się rozłączył .

Baza lotnicza Gdynia Babie Doły godz. 9:30

Marciniak siedział z Czerwińskim, Krzyżanowskim i Lisowiczem w pobliżu schronohangaru, w którym przygotowana do lotu bojowego stała *Szparka*.

- Czemu jeszcze nie lecimy? – spytał Lisowicz.
- Bo nie wrócił jeszcze Tkaczyk – odparł Marciniak. – Reszta jest ściśle tajna.
- Znowu na odprawie myślałeś o dupach, zamiast słuchać – dorzucił Krzyżanowski – Czekamy na to, aż okręty zajmą pozycję do strzału.
- Ale nie ma Tkacza, więc i tak nie mamy wszystkich maszyn w stanie gotowości – zauważył Czerwiński.
- Nie polecimy przed południem – orzekł Marciniak.
- Ktoś wie, co dzieje się w Roskilde? – dopytywał się Lisowicz.
- Kogo to obchodzi? – Krzyżanowski był dziś cięty na młodego. – Zamierzasz się zająć robotą remontowo-budowlaną?
- Na pewno ściągnęli tam już wszystkich polskich murarzy, którzy wyjechali przed blokadą – wtrącił Czerwiński. – Kariery tam nie zrobisz.
- Nie możecie po ludzku odpowiedzieć na pytanie? – obruszył się Lisowicz.
- Możemy, ale tego nie zrobimy – odpowiedział Marciniak.
- A ciebie co ugryzło?
- Może byś się tak uspokoił? Roskilde to wczorajsza bajka. Dzisiaj interesują mnie okręty.
- Co w nich takiego interesującego?
- Na przykład pionowe wyrzutnie na *Trompie* czy *Hessen*. Nie zastanawiałeś się, jak gęsto będzie tam od rakiet?
- Nie próbuj mnie nastraszyć! – obruszył się ponownie Lisowicz. W gruncie rzeczy miał jednak pietra. Jak wszyscy.

Pozostające na morzu okręty EAF w większości były potężnymi platformami przeciwlotniczymi i przeciwrakietowymi. *Tromp*, *Hessen* i fregaty klasy *Doorman* dysponowały pionowymi, kontenerowymi wyrzutniami pocisków przeciwlotniczych. Miały one, w przeciwieństwie do niegdyś powszechnie stosowanych na okrętach wyrzutni szynowych, praktycznie nieograniczoną szybkostrzelność i były niewrażliwe na awarie. Pociski można było wystrzeliwać niezależnie, w ilości ograniczonej jedynie zdolnością radaru kierowania ogniem do równoczesnego naprowadzania. Awaria pojedynczego pocisku czy kontenera nie wpływała na zdolność do odpalenia pozostałych rakiet. *Tromp* miał 40 pionowych wyrzutni *Mk 41 VLS*, z czego 32 załadowane były kontenerami z

pociskami *SM-2 IIIA Standard*, pozostałe osiem zawierało „czteropakami” z pociskami *RIM-162 Evolved Sea Sparrow Missile (ESSM)* – rozszerzoną wersją rakiety *RIM-7 Sea Sparrow* o zasięgu ponad 50 kilometrów. Niemiecka fregata *Hessen* klasy *Sachsen* miała nieznacznie słabszy arsenał – 24 *Standardy* i 32 *ESSM*. Dwie fregaty klasy *Doorman* i przeciwpodwodna fregata *Karlsruhe* miały po 16 pocisków *Sea Sparrow* o zasięgu 19 kilometrów – te pierwsze w wyrzutniach pionowych. Do tego należało dodać 34 rakiety *SM-1 Block VI* na hiszpańskiej fregacie *Canarias* należącej do klasy *Oliver Hazard Perry* i 84 rakiety krótkiego zasięgu *RAM* na okrętach niemieckich oraz 16 pocisków na pokładach okrętów włoskich. W sumie Marciniak doliczył się 302 pocisków przeciwlotniczych i przeciwrakietowych.

Przeciwno temu było 96 rakiet *H-25MP* na 48 *Su-22M4* i *UM3* oraz 96 *Białych Dam* i inne elementy *Kwazara*, które wykazały się skutecznością w poprzednich starciach. Zważywszy, że normalną praktyką w przypadku walki z nadlatującymi raketami było wystrzeliwanie dwóch pocisków do jednego celu, Marciniak założył, że okręty EAF dysponują jednostką ognia wystarczającą do ostrzelania i zniszczenia 143-144 z *Białych Dam* i *H-25MP*. Próby poligonowe wykazały jednak, że *Białą Damę* trudno jest zniszczyć odłamkami ze względu na niewielkie rozmiary. Część pocisków mogła przeniknąć wystarczająco blisko, by zniszczyć radary kierowania ogniem na okrętach, a zatem wyłączyć je z akcji przeciwlotniczej. W sumie rakiet i pozoratorów mogło wystarczyć dla celu, jakim było sparaliżowanie obrony przeciwrakietowej i wystrzelenie wartościowej amunicji.

Pozoratory ustawiano teraz, usuwając z połowy z nich dodatkowe powierzchnie odbijające fale radarowe, zwiększające odbity sygnał i spowalniające pocisk. *Biała Dama* pozbawiona tych dodatków przypominała charakterystyką ruchu i odbicia radarowego pocisk rakietowy, a z nimi mogła imitować samolot.

Prawdziwym problemem było co innego. Trzon sił EAF ustawił się daleko na północy, z dala od zapełnionych kutrami i trawlerami polskich wód terytorialnych. Polskie okręty gotowe były wystrzelić swe pociski w stronę okrętów EAF, gdyby te zostały pozbawione obrony przeciwrakietowej. Niestety, okręty EAF pozostawały poza zasięgiem rakiet *Tarantuli*. Dlatego jeszcze nie polecieły. Bez okrętowych rakiet woda-woda, którym mieli utorować drogę swoim atakiem, szanse na zadanie znaczących strat okrętom EAF były znikome. Polskie jednostki nawodne nie mogły wyjść poza wody terytorialne, bo utraciłyby kamuflaż i dostały pod raketową nawałę. Sytuacja była więc patowa.

Marciniak w głębi ducha obawiał się takiego rozwoju wypadków, liczył jednak na łut szczęścia. Dowodzący flotą EAF admirał Denters okazał się jednak nie taki głupi, jak mogło się wydawać. Czas działał na korzyść sił EAF. Plan Marciniaka miał niewielki margines bezpieczeństwa. Był jednak jedyny i w tak krótkim czasie trudno byłoby opracować coś lepszego.

Czas uciekał, a szanse na pomyślne dla Polski rozstrzygnięcie malały.

HNLMS *Tromp*, godz. 9:45

Denters chodził po centrum informacji bojowej poirytowany.

Otrzymał właśnie pełen raport o nalocie na Roskilde. Po sprawdzeniu zapisów radarów okazało się, że Polacy wysłali siedem samolotów w bezpośredniej bliskości jednego z licznych przelatujących mu niemal pod nosem samolotów pasażerskich. Radary jego okrętów usiłowały w tym czasie przebić się przez ścianę zakłóceń na południu. Nawet gdyby operatorzy radaru *Trompa* prawidłowo zinterpretowali dodatkowe echa wokół „pasażera”, to i tak siły EAF nie mogłyby otworzyć ognia ze względu na bliskość maszyny cywilnej. Dopiero teraz okazało się, w jak ryzykownym środowisku działały okręty EAF.

Przebieg nalotu uświadomił Dentersowi, do jakiego stopnia – mimo siły ognia jego okrętów – byli uzależnieni od osłony myśliwców. Po przelecie kilkuset mil śladem liniowca siedem polskich bombowców zaatakowało Roskilde. Skutecznie. Tylko nieliczne bomby spadły poza wyznaczonymi celami. Reszta skutecznie załatwiła samoloty na dwóch płytach postojowych, oba pasy i drogę dojazdową. Piętnaście *F-16* zostało całkowicie zniszczonych, pozostałe dwa bardzo poważnie uszkodzone. Wszystkie *Phantomy* i *Mirage*, mogące dać Dentersowi osłonę powietrzną, ocalały, choć z uszkodzeniami. Zginęło szesnastu ludzi z obsługi naziemnej, obsługi lotniska, kompanii ochrony – głównie dlatego, że zlekceważyli alarm. Lotnisko zostało kompletnie wyłączone z akcji. Duńscy saperzy dotarli na miejsce rano – odbudowa tylko jednego pasa miała potrwać do wieczora, a to zdawało się Dentersowi wiecznością.

Sytuacja EAF stawała się coraz bardziej niewygodna. Przewaga w ilości dział i rakiet tak widoczna na papierze, w realnych warunkach okazała się iluzoryczna. Udało mu się wywalczyć tyle, że nienaruszająca szwedzkich wód terytorialnych strefa o promieniu trzydziestu kilometrów na południe od Szwecji i na zachód od Bornholmu została wyłączona z cywilnego ruchu powietrznego, omijały ją też cywilne jednostki nawodne. Jednak na północy, w szwedzkiej przestrzeni powietrznej, kłębiły się śmigłowce stacji telewizyjnych, czające się

na ewentualną jatkę. Ograniczało to Dentersowi możliwość manewru. W razie walki musiał brać poprawkę na to, by nie zestrzelić cywilnego statku powietrznego. Choć odpowiednie ostrzeżenie powędrowało już do stacji telewizyjnych, i tak ewentualna pomyłka zostałaby medialnie przypisana jego okrętom. Dziennikarze się nie patyczkowali. Dobrze, że chociaż nad nimi nie było liniowców pasażerskich. Sześćdziesięciokilometrowa strefa nie była zbyt wielka, ale Denters zakładał, że Polacy podejną „kosą” na wysokości nie więcej niż 10 metrów. Odległość wykrycia maszyn lecących na tej wysokości przez radary okrętowe nie przekraczała 35 kilometrów. Na decyzję o otwarciu ognia pozostawało 15 sekund, potem – niecałe dwie minuty, kiedy samoloty zbliżą się na odległość strzału lub zrzutu bomb. Przy sile ognia eskadry powinno wystarczyć, aczkolwiek zawsze istniała możliwość, że któryś bardziej zdeterminowany pilot przy łucie szczęścia trafi w któryś z okrętów.

Słabością sił Dentersa był niemal kompletny brak wiedzy o poczynaniach i zamiarach przeciwnika. Komórka wywiadu EAF dysponowała tylko ogólnymi informacjami, a możliwości rozpoznania radarowego przez śmigłowce Dentersa kończyły się mniej więcej w odległości 40-50 kilometrów od *Trompa* i *Hessen*. Poza tym dystansem polskie myśliwce mogły zestrzelić śmigłowiec, nie narażając się na trafienie rakietą woda-powietrze z jednej z fregat. W niewielkim stopniu rozszerzało to możliwości rozpoznania radarowego. Lepsze to niż nic.

Od niemal sześciu godzin załoga *Trompa*, podobnie, jak i obsady pozostałych jednostek, pozostawały w stanie alarmu bojowego. Oczekiwanie zaczęło dawać się we znaki oficerom wachtowym jak również admirałowi i jego oficerom sztabowym.

Dlaczego Polacy nie zaatakowali?

Mieli do tego świetną okazję rano. Załogi uczestniczące w ataku na Roskilde z pewnością zdążyły już odpocząć, odtworzono gotowość bojową maszyn. Denters był pewien, że nie było przeszkód logistycznych, które mogłyby odroczyć nalot. Czas grał na niekorzyść Polaków. Skąd więc ta zwłoka?

Z sygnałów, jakie docierały z łądu z państw popierających blokadę, płynęły różne wnioski. Niektórzy z polityków i wojskowych twierdzili, że nalot na Roskilde miał charakter odwetowy i propagandowy, a Polacy poprzestaną na nim i nie zaatakują okrętów. Politycy starali się uspokoić Dentersa: miał utrzymać się z okrętami przez dwadzieścia cztery godziny. Później Roskilde zostanie przywrócone do operacji, straty uzupełnione, uszkodzenia samolotów naprawione. Blokada będzie szczelna, nie da się zaskoczyć, a potem – jak zapewnił

Vandenoort – przejdą do ofensywy. Zwycięstwo opóźni się, ale pozostanie przy Komisji i EAF.

Denters nie był aż takim optymistą jak wszyscy eksperci i politycy udzielający mu darmowych, dobrych rad. Gdyby chodziło o atak spod wody, to uderzenie na Roskilde nie byłoby niezbędne. Główne lotnicze siły przeciwpodwodne EAF znajdowały się na pokładach okrętów. Jasne było, że muszą nadlecieć. Tylko na co czekają? Kiedy uderzą? Denters i jego sztabowcy zadawali sobie to pytanie w nieskończoność. Może nie uderzą wcale?

Bałtyk, na wschód od Bornholmu, godz. 9:55

Mi-14 Napierała zajęła pozycję dozoru radiolokacyjnego, oddzieloną od sił EAF tylko wyspą i horyzontem. Mieściła się ona poza zasięgiem większości rakiet przeciwlotniczych zgromadzonych na pokładach okrętów EAF, jednak na granicy zasięgu najbardziej dalekosiężnej i śmiertelnej broni *Trompa i Hessen* – rakiet *SM-2MR Block IIIA*. Dlatego trzymali się poniżej horyzontu radarowego i wzgórz Bornholmu. Jedynie raz na dwie-trzy minuty wyskakiwali w górę, by uaktualnić obraz sytuacji morskiej. Był on retransmitowany za pośrednictwem krążącej na znacznej wysokości nad polskim wybrzeżem *Bryzy*, do systemu dowodzenia *Łeba*. Śmigłowiec wykonywał nieregularne manewry, mające utrudnić ostrzelanie, co samo w sobie nie było łatwe. Było tym trudniejsze, iż maszyna była obciążona pławami hydroakustycznymi i torpedą.

O ten „zestaw poszukiwawczo-rozrywkowy”, jak go nazwała nieoficjalnie załoga, rozegrała się większa awantura między Napierałą a dowódcą eskadry, komandorem Dziubą. Dowódcą eskadry, mając na względzie lot zwiadowczy, zgodnie z logiką nakazał zabrać maksymalną ilość paliwa i nie podwieszać uzbrojenia w komorze bombowej *Mi-14PL*. Napierała, żądny walki i pomny niedawnych doświadczeń z *U-23*, kiedy to stare, radzieckie torpedy okazały się nieskuteczne, zażądał podwieszenia supernowoczesnej europejskiej lekkiej torpedy *MU-90*, twierdząc, że „nie polecą z gołą dupą”. Nie pomogły argumenty, że niepotrzebna w tym zadaniu torpeda zmniejszy i tak nie najlepszą zwrotność *Mi-14* i zredukuje zasięg. Kłótnia, w której słowa na „k” i „ch” latały niczym kule śnieżne na boisku szkolnym po pierwszym śniegu, miała przejść do legendy i stać się jedną z „tych awantur”. Dziuba argumentował – i słusznie – że będzie musiał zrewidować plan lotów. Tak czy inaczej Napierała – primadonna eskadry i facet z niewyparzoną gębą – postawił na swoim. *Mi-14* pełnił służbę na wysuniętym posterunku radiolokacyjnym z torpedą, której – przynajmniej

zdaniem drugiego pilota – należałoby się natychmiast pozbyć. Oficer odpowiedzialny za planowanie lotów kłął Napierałę za dodatkową robotę, następne w kolejności lotów załogi miały to dopiero zrobić.

Zadanie, jakie przypadło załogom eskadry z Darłowa, było kluczowe dla powodzenia całego planu. Były one oczami atakujących. *Su-22* nie posiadały radaru pokładowego, a okręty powstrzymywały się od emisji radarowych, by nie ujawnić swojej obecności w pobliżu floty EAF – i w zasięgu jej rakiet woda-woda.

Baza lotnicza Gdynia Babie Doły **godz. 9:58**

Tkaczyka wciąż nie było.

Marciniak wypatrywał samotnej *Iskry*. *Nic z tego* Zamiast niej wypatrzył podchodzącą do lądowania *Bryzę*.

- Oho! Stary przyleciał podtrzymać nas na duchu – zauważył Krzyżanowski.
- Albo oznajmić, że Vandenoort uciekł do Argentyny i mamy wreszcie wolne – dodał Marciniak.

Nikt się nie roześmiał.

Gdy do lądowania podeszła kolejna *Bryza*, nikt nie miał ochoty tego komentować. Maszyna pokołowała na główną płytę postojową, zajęta wyłącznie przez poprzednią *Bryzę*, bo wszystkie *Su-22* siedziały w schronohangarach. Do maszyn podjechał Honker. Ludzie na płycie pokręcili się, po czym Honker ruszył przez lotnisko. Marciniak uświadomił sobie, że samochód jedzie w ich kierunku.

W gruncie rzeczy spodziewał się ujrzeć generała Zdaneckiego, ale nie w takim miejscu i w takim towarzystwie. Generał kierował pędzącym ku nim Honkerem, a miejsce obok kierowcy zajmował jakiś cywil.

Marciniakowi ścierpła skóra. Domyślał się, po co generał i cywil przylecieli do bazy.

Generał zatrzymał Honkera tuż przed lotnikami, którzy poderwali się, by oddać honory. Zdanecki odpowiedział nieco nonszalanckim gestem. Nie bawił się we wstępy:

- Poruczniku Marciniak, proszę zająć miejsce z tyłu. Musimy pogadać.

ORP *Orzeł*, na północny zachód od Bornholmu godz. 10:04

– Peryskop w górę!

Kuczwański po raz kolejny ogarnął wzrokiem horyzont, oznaczając namiary na poszczególne okręty. Poszczególne, to znaczy dwa lub trzy, bo tyle pojawiało mu się w kolejnych obserwacjach. Wiedział już, że następnym razem będzie ich pięć czy sześć.

Od wczesnych godzin porannych zespół kierowania ogniem był na nogach i zbierał informacje o przeciwniku. Na stosunkowo płytkich i hałaśliwych wodach musieli podejść blisko, by usłyszeć okręty, wziąć kolejne namiary na cele, a następnie wyliczyć parametry ruchu. Mieli wyłącznie do dyspozycji namiary kierunkowe i szybkość obrotów śrub. Znając prędkość na podstawie ilości obrotów śrub poszczególnych jednostek, mogli wyliczyć ich namiary, kurs i odległość. W miarę, jak podchodzili do okrętów, Kuczwański potwierdził przez peryskop wstępne obserwacje sonaru. Kolejne obserwacje pozwoliły ustalić, że okręty EAF krążą regularnie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, trzymając bezwzględne miejsca w szyku obrony przeciwlotniczej – większe okręty od północy, otoczone półkolem mniejszych. Podczas ostatniej fazy, gdy okręty EAF odpływały, odwracając się do nich rufami, Kuczwański zaryzykował i podszedł bliżej z prędkością sześciu węzłów. Na płytkich wodach nie można było stosować sonarów holowanych, pokrywających tylną półsferę. Dysponując tylko sonarami kadłubowymi, przeciwnik miał znikome szanse ich usłyszeć. Naprawdę groźne były śmigłowce, ale tych nie zauważył po północnej stronie szyku EAF.

W ciągu niecałych siedmiu sekund podał namiary na trzy widoczne okręty.

– Żadnych śmigłowców po tej stronie – zauważył ponownie. – Peryskop w dół. Ostatnia obserwacja za kwadrans. Trzeba będzie uważać, bo mogą wymacać nas radarem. Dla nich będzie już po zupie. Strzelamy.

Ostatnie słowa wywarły potężne wrażenie na obsadzie centrali. Wiedzieli, jakie dostali zadanie. Nikt nie spodziewał się, że będą strzelać do okrętów państw, których do niedawna uważali za sojuszników.

W wyrzutniach torpedowych *Orla* spoczywało sześć torped 53-65K, służących wyłącznie do atakowania jednostek nawodnych, naprowadzanych na kilwater okrętu¹⁸. Były skuteczną bronią, jeśli weszły w kilwater pod właściwym kątem i popłynęły przecinającą wodny ślad, sinusoidalną ścieżką za celem, a nie w przeciwną stronę. Zakłócenie ich biegu było praktycznie niemożliwe, ze

18 Ang. *wakehoming*

względu na niemożność symulowania kilwatu. Jediną obroną, jaką miał do dyspozycji dowódca zaatakowanej jednostki, było zwolnić do prędkości poniżej czterech węzłów i drastycznie zmienić kurs. Nie gwarantowało to jednak ucieczki przed pociskiem, którego zygzak mógł wypaść po stronie zwrotu i przeciąć sylwetkę okrętu. Można było jeszcze uciekać z pełną mocą, licząc na to, że torpeda wyczerpie paliwo i zatoni, zanim dotrze do celu. 53-65K miały zasięg 10 mil morskich, wyliczyli jednak, że strzał wypadnie z odległości niecałych czterech mil, pod ostrym kątem, co prawda do celów oddalających się już z prędkością 12 węzłów. Zaatakowane okręty będą jednak głuche od strony rufy, dlatego szanse na zaskoczenie i trafienie rosną. Cała trudność w strzelaniu torpedami na podstawie niezbyt precyzyjnego, pasywnego namierzania akustycznego, polegała na obliczeniu położenia, kursu i prędkości celów i wystrzelenia torped, tak by dotarły one do celów na odległość, z której głowica samonaprowadzająca była w stanie uchwycić cel. W przypadku torped naprowadzanych na kilwatek nie trzeba było bardzo precyzyjnego wyliczenia miejsca, w którym znajdzie się cel – wystarczyło naprowadzić torpedę za rufę. Kardynalne znaczenie miał za to dystans, po którym aktywowała głowica samonaprowadzająca – w przypadku atakowania kilku jednostek płynących równolegle trzeba było uruchomić ją w taki sposób, by najbliższy kilwatek na jej drodze należał do właściwego celu. W przeciwnym wypadku kilka torped mogło popędzić za tym samym okrętem czy statkiem, pozostawiając nietknięte inne.

Torpedy 53-65K miały więc w tej sytuacji sporo zalet, ale i jedną kardynalną wadę. Nie można było nimi atakować okrętów podwodnych.

Z tego powodu Kuczwański i Marciniak wdali się w dyskusję, która momentami przypominała sprzeczkę. Prawdę mówiąc, pokłóciliby się, gdyby nie obecność załogi. Marciniak uważał, że powinni pozostawić na wszelki wypadek w jednej wyrzutni naprowadzaną aktywnie lub pasywnie ze sterowaniem przewodowym torpedę *TEST-71*, przeznaczoną właśnie do zwalczania celów podwodnych. Kuczwański był temu przeciwny:

- Mamy do zaatakowania dziewięć okrętów, w tym sześć dużych. Jedną salwą możemy zaatakować większe jednostki, potem musimy wiać, nim ściągną nam na łeb helikoptery. Możemy optymistycznie liczyć na trzy, cztery trafienia. Jeśli wystrzelimy jedną torpedę mniej, może być też jedno trafienie mniej.
- Możemy strzelić po dwie torpedy do największych jednostek i jedną do mniejszej – sprzeciwił się Marciniak. – Szanse zatopienia rosną, w optymalnym wariantcie mamy duże szanse na zatopienie trzech sztuk, w tym

prawie pewność wyeliminowania największych. No i oczywiście wciąż mamy w wyrzutni *TEST-71*, gdyby pojawił się nagle *U-23*.

- Mamy rozpedzić tę hałasę i wyrządzić jak najwięcej szkód jak największej liczbie okrętów – Kuczwański uparcie trzymał się swojej wizji, w której im większa była rozróżba, tym lepiej. – Co nam po zatopieniu dwóch, skoro reszta może kontynuować blokadę?
- Bez *Trompa* i *Hessen* się nie obronią przed lotnictwem.
- Obronią ich samoloty. My musimy załatwić okręty, i to w jak największej liczbie.
- A co z *U-23*? – chwycił się ostatniej szansy Marciniak.
- Widziałeś tu jakiś okręt podwodny, kiedy przekraczaliśmy przesmyk między Bornholmem a Skandynawią?
- Nie, ale może się pojawić w każdej chwili.
- Zaryzykujemy.

Marciniak doszedł do wniosku, że nie przekona narwanego dowódcy. Kuczwański chciał być tym, kto w pojedynkę rozpedzi flotę EAF. Nie oponował. W końcu to Kowboj był tu pierwszym po Bogu.

Baza lotnicza Gdynia Babie Doły **godz. 10:09**

Nadzieje Zdaneckiego na to, że zdoła osobiście pokierować nalotem, stawały się coraz bardziej płonne. W miarę, jak przybywały do Roskilde kolejne jednostki inżynieryjne, szanse na to coraz bardziej malały. Z drugiej strony generał wierzył w umiejętności swojego szefa sztabu. Zarazem wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak załatwić osobiście sprawę, w którą zamieszani są dwaj jego lotnicy.

Zatrzymał Honkera w odległości trzystu metrów od schronohangarów.

- Poruczniku, to jest komisarz Nawrocki z poznańskiej policji – przedstawił Marciniakowi cywila. – Komisarz prowadzi sprawę bójki na Ratajach, w którą podobno zamieszani są dwaj nasi lotnicy. A pan i porucznik Tkaczyk byli owej feralnej nocy w Poznaniu.

Marciniak nic nie odpowiedział; czekał na ciąg dalszy. Wobec jego milczenia rozmowę podjął Nawrocki:

- Nie jestem tu oficjalnie, a pan nie jest w charakterze podejrzanego; szukam świadków zdarzenia, które muszę wyjaśnić. Jest wiele wątpliwości w sprawie. Jeżeli wie pan coś więcej – proszę powiedzieć teraz.

- Jeśli nawet coś bym wiedział, dlaczego miałbym z panem rozmawiać? – spytał Marciniak.
- Bo mogę przekazać pańską sprawę żandarmerii wojskowej, a wtedy będzie pan musiał odpowiedzieć na pytania jako świadek.
- Chwileczkę – wtrącił się Zdanecki, widząc, że sprawy przybierają niepokojący obrót. – Złe zaczęliśmy tę rozmowę – rzekł. – Będziemy dążyć do wyjaśnienia tej sprawy, choćby dlatego, że rzucono podejrzenie na naszych żołnierzy. Lepiej byłoby, gdyby współpracował pan z nami. Nie wszystko wskazuje na przebieg wydarzeń taki, jaki przedstawili pobici i jaki zrelacjonowały media. To jest pańska szansa. Jeżeli zacznie pan współpracę i sam złoży wyjaśnienia, będzie to z korzyścią dla pana; poruszone zostaną wątki śledztwa, których bez pańskich zeznań dotknąć nie można. Jeżeli zostanie pan uznany za podejrzanego w toku zwykłego śledztwa, pańska pozycja będzie znacznie gorsza.

Marciniak nadal nie wiedział, co jest grane, ale postanowił grać twardo. Ciekawe, co na niego mają i czego naprawdę chcą. Postanowił ich wysondować:

- Innymi słowy: przypuszczacie panowie, że wziąłem udział w tej bijatyce – powiedział. – Nie macie na to jednoznacznych dowodów, więc przyjeżdżacie tu nieoficjalnie – i żądacie, żebym się wam przyznał do udziału w tej bijatyce. Też nieoficjalnie i mówiąc brzydko – na krzywy ryj. Powiem krótko: tracicie czas. Jeśli macie mocne dowody – postawcie mi zarzuty i pozwólcie skontaktować się z adwokatem.

Zdanecki i Nawrocki popatrzyli po sobie.

- Poruczniku – rzekł w końcu Zdanecki. – Tego, co teraz powiem, nigdy pan nie usłyszał. Obecny tu komisarz Nawrocki odkrył w trakcie śledztwa powiązania pobitych, które mogą być istotne w rozwiązaniu obecnego kryzysu, w jaki uwikłany jest nasz kraj. Nie chcę używać wielkich słów, ale mamy w rękę bombę, którą możemy podłożyć Vandenoortowi pod tyłek i wysadzić w powietrze. Detonator jednak trzyma pan. To, czy komisarz uruchomi inne wątki śledztwa, zależy od pana.
- Mam popełnić w sensie legalnym harakiri, żeby dać wam do ręki polityczną broń? – zapytał Marciniak.
- Nikt nie powiedział, że będzie to harakiri – odrzekł Zdanecki. – Zapewne zaryzykuje pan, ale nie więcej, niż w akcji bojowej, w jakiej brał pan już kilkakrotnie udział. Tak naprawdę ani ja, ani komisarz nie powinniśmy wpływać na przebieg śledztwa. Siedzimy tu, bo formalnie i zachowując pozory bezstronności, możemy pchnąć to śledztwo tylko jeśli Tkaczyk i pan

zgodzicie się zeznawać. Dlatego próbuję pana nakłonić do dobrowolnego złożenia zeznań.

- Jaką mam pewność, że mówi pan prawdę?
- Nie ma pan żadnej, a ja nie mogę złożyć panu żadnej gwarancji. To delikatna sprawa.
- Mam się podłożyć? Z jakiej racji?
- Bo to znacznie większa sprawa niż się panu wydaje. Może pan zdziałać dużo dobrego. I nie ma się pan podkładać. Może pan i powinien nam pomóc.

Marciniak umilkł. Ważył coś w myślach.

- Założmy, że coś wiem i że zdecyduję się zeznawać. Co z tego będę miał?
- Nie mogę panu niczego obiecać, że pana na sto procent wybronię. Ma pan moje poparcie i obiecuję panu najlepszą pomoc prawną, jaką możemy zaoferować. Może pan mieć czyste konto i zasłużyć się Polsce – odpowiedział generał. – Poza tym to nie jest pański prywatny interes.

Marciniak spojrział na Zdaneckiego z dezaprobatą. Myślał chwilę, nim odezwał się znowu. Jego głos był cichy, ale stanowczy.

- Z całym szacunkiem, panie generale, nie kupuję tego. To jest także mój interes. Narażam życie, bo tego wymaga kontrakt. Być może narażę także swoje dobre imię. Nie muszę tego robić, choć być może powinienem. Jest pan mi coś winien – choćby dlatego, że obaj z panem komisarzem nie ryzykujecie niczym, jeśli solidarnie wyprzecie się tej rozmowy. To ja ryzykuję wszystkim, dlatego chcę zobaczyć, jak bardzo panu zależy na sprawie. Chcę wiedzieć, że i pan gotów jest ponieść jakieś koszty.

Zdanecki spojrział Marciniakowi prosto w oczy. Patrzył tak chwilę i doszedł do wniosku, że jeśli czegoś nie zaoferuje, to nic nie wskóra.

- Czego pan żąda? – powiedział wreszcie. Marciniak nie spuścił wzroku.
- Jako pilot bojowy, który naraża życie, domagam się, by przeniósł mnie pan do jednostki wyposażonej w sprzęt, którym da się walczyć. Zesłał mnie pan nie za moje winy do eskadry z najstarszymi w naszym lotnictwie się maszynami, nieposiadającymi choćby radaru, uzbrojonymi w pozoratory przerobione z rakiet, które Rosjanie skopiowali z amerykańskiego oryginału w latach pięćdziesiątych. Jestem żołnierzem i chcę mieć sprzęt, który pozwoli mi wykonywać stawiane przede mną zadania. Co złego jest w żądaniu, bym miał czym walczyć? Co złego jest w domaganiu się uznania zasług? To ja wpadłem na pomysł, jak wyłączyć Roskilde i rozwalić te cholerne okręty. Czy zostanę wymieniony chociaż w rozkazie dziennym? Zna pan polską praktykę – można walczyć i nie ponosić strat, można dokony-

wać niesamowitych czynów, ale nikt tego nie widzi. Dopiero jak poleje się krew i padną trupy, to sypią się odznaczenia i słowa o bohaterach. Dlaczego mamy tylu martwych bohaterów, a tak niewielu żywych chce naprawdę walczyć? Czy potrafi pan docenić to, co tutaj robimy?

Marciniak zamilkł.

- Cholernie dużo pan chce – skomentował Zdanecki.
- Nie tak znowu wiele – odparł Marciniak. – W tym kraju są ludzie, którzy notorycznie plują na mundur. Dążymy za wszelką cenę do Europy, w której wojskowym coraz częściej radzi się, by wychodzili z baz i koszar po cywilnemu, by uniknąć zniewag. To jest nasz ideał? Zamiast chronić godność, zalecać ukrywanie się? Kłaskać uszy po sobie? Przerzucił mnie pan do sześćdziesiątej siódmej, żeby odczepiły się media. Nawet jeśli żołnierze pobili tych pacyfistów w Poznaniu, to jaką mieli alternatywę? Uciekać?

Nawrocki aż się uśmiechnął.

Marciniak skończył tyradę. Chyba zbyt wiele powiedział. Miał ochotę wylać to, co leżało mu na wątrobie. Zauważył jednak, że jego słowa zrobiły wrażenie na obu mężczyznach. Uświadomił sobie, że być może do tej pory mieli go za chłystka, za poruczniczyne, który trochę nauczył się latać, ale ma problemy z dyscypliną i którego trzymają się kłopoty. Jeśli tak, to być może właśnie udało mu się ten wizerunek skorygować.

Nad pasem zamajaczyła *Iskra*. Tkacz chyba przyleciał z Dagmarą.

- W porządku, poruczniku – odezwał się w końcu Zdanecki – Dopiął pan swego. Wróci pan niezwłocznie do Mińska...
- Nie, panie generale – wszedł mu w słowo Marciniak. – Będę latał na *F-16* w Krzesinach.

Zdanecki omal się nie zakrztusił. Na moment go zatkało.

- To już zakrawa na przesadę, Marciniak – wysapał.
- Panowie chcecie sporo ode mnie. Ja chcę od was adekwatną zapłatę.
- To oznacza w pańskim przypadku przeszkolenie na trzeci typ samolotu bojowego. Byłby pan najkosztowniej wyszkolonym pilotem w Siłach Powietrznych.
- Zgadza się. I miałbym na koncie najwięcej misji bojowych. To by zmusiło do zastanowienia każdego, kto chciałby mnie wyrzucić bez prawa do emerytury.

Nawrocki znowu uśmiechnął się pod nosem.

- Dobra, poruczniku – zasapał generał – Dostanie pan ten przydział po zakończeniu sprawy.

- Nie po zakończeniu, tylko przed rozpoczęciem! – skorygował Marciniak.
- Zaraz po tej misji. Departament personalny nie ma nic do roboty, niech przygotowują odpowiedni rozkaz Ministra.

Zdanecki pomyślał chwilę. Porucznik mógł go robić w balona, ale tylko na krótką metę. Na dłuższą bliskie spotkanie nad Darłowem, bójka i opinia Nowaczyka wystarczyłyby do zwolnienia go z armii. Jeżeli nie dotrzyma słowa – wyleci z hukiem. Nie ma siły – coś wie i będzie musiał gadać. Na pewno doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Generał uwiadomił sobie ponadto, że Marciniak niebawem po ich rozmowie wsiądzie do jednej z sześciu najważniejszych maszyn w trudnej, ryzykownej misji. Jego frustracja mogła zaowocować utratą wielu samolotów i ludzi, a nawet niepowodzeniem całego przedsięwzięcia. Musiał dojść z nim do porozumienia. Marciniak trzymał wszystkie atuty w rękę i, co gorsza grał nimi twardo.

- W porządku – rzekł. – Dostanie pan przydział, a potem powie pan, co wie na temat tej bijatyki. Coś jeszcze?
- Przeniesie pan również Tkaczyka i Czerwińskiego do *F-16*, jeśli wyrażą zainteresowanie.
- Przenieś – przytaknął szybko Zdanecki, jakby zapominając o tym, iż przed chwilą przeniesienie jednego pilota określił jako niemożliwe – Zaraz, a czemu Czerwiński...? No tak – spojrzał na Marciniaka z ukosa. – Jeszcze jeden umoczony. Tkaczyk będzie mówił?
- Jeśli ja z nim porozmawiam, to zapewne będzie. Nie zgodzę się zeznać przeciw niemu. A jeśli on się nie zgodzi, to ja też nie.
- To wszystko?
- Tak.
- W porządku. Umowa stoi. Gra pan ostro, Marciniak. Oby pan nie przeszarżował. Mam nadzieję, że powie pan wszystko, jak było, bez przekręcania faktów, czy zatajania czegokolwiek. W przeciwnym wypadku umowa jest nieważna... a wtedy... wie pan, co będzie dalej?
- Wiem. Gram ostro, ale czysto, panie generale.

Zdanecki przyjrzał mu się uważnie. Porucznik wytrzymał jego spojrzenie.

- Gramy w tej samej drużynie, poruczniku. – rzekł. – Musimy trzymać się razem. Ufam panu, bo mimo wszystkich pańskich perypetii dowiedział pan, że można panu ufać. Niech pan mnie nie zawiedzie. I jeszcze jedno: niech pan nie da się zabić. Jest nam pan potrzebny żywy. Chyba, że woli pan nie lecieć. Mogę to załatwić jednym rozkazem.

Marciniak spojrzał na generała, jakby ten złożył mu niemoralną propozycję.

- Panie generale, nie mówi pan poważnie – rzekł, a widząc pytające spojrzenie dowódcy, dodał: – Wie pan dobrze, że gdybym zrezygnował, nie mam czego szukać w braci lotniczej.
- Mogę pana odesłać pod strażą – rzekł Zdanecki.
- Może pan. Z katastrofalnym skutkiem dla morale pilotów i zdekompletowanej doświadczonej, ważną dla misji załogę.

Zdanecki pokiwał głową. Musiał spróbować go nakłonić do pozostania, ze względu na jego wiedzę. Marciniak nie zamierzał zakończyć kariery w ten sposób. I miał rację, pomyślał Zdanecki. W gruncie rzeczy ważny był i w powietrzu, i na ziemi. Musiał tylko przeżyć.

W tym momencie zadzwoniła generalska komórka. Generał odebrał, słuchał chwilę, potem potwierdził coś kilkakrotnie. Gdy skończył, powiedział do Marciniaka:

- Za kwadrans startujecie. Łański nie chce czekać. Mówi, że do popołudnia w Roskilde może być czynny jeden pas, bo duński batalion inżynieryjny już przybył i pracuje. Do tego czasu te okręty chyba się nie ruszą na południe.

Marciniak pokiwał głową. Zanosilo się na to, że jego plan nie do końca wypali.

- Czyli nie przywalimy im tak, jakbyśmy chcieli?
- Raczej nie. Jeśli uruchomią pas, nic już nie zrobimy. Musimy dopaść ich teraz.

Generał podprowadził Honkera pod schronohangar, spod którego zabrał Marciniaka. Zatrzymał wóz z piskiem opon.

- Odmeldowuję się! – powiedział Marciniak. Nie mógł salutować, nie mając nakrycia głowy. Wsiadł z wozu i chciał ruszyć.
- Poruczniku – rzekł Zdanecki. Marciniak odwrócił się w jego stronę. – Wymyślił pan porządny plan. – Zastanawiał się chwilę, po czym dodał: – Niech pan uważa na siebie.

Marciniak skinął głową i odszedł. Nawrocki i generał patrzyli za nim. Komisarz odezwał się pierwszy:

- Nie ma co, załatwił pana, generale – rzekł ze złośliwą satysfakcją. Generał zwodził go przecież od miesiąca, a teraz, na jego oczach, jeden z podwładnych zagrał mu na nosie. – Pański autorytet na tym nie ucierpi? – dodał.
- Tylko wtedy, gdybym nie dotrzymał słowa i zemścił się na pilocie, który na to nie zasłużył. Narozrabiał trochę, ale dzięki temu wyszło szydło z worka. Powinien pan być mu wdzięczny – odciął się Zdanecki, a widząc

pytające spojrzenie policjanta, dodał: – Nie mam do niego osobistych pretensji. Zaskoczyliśmy go i chcieliśmy od niego, żeby dodatkowo zaryzykował. Mimo to na zimno ocenił sytuację, kontratakował i wygrał tyle, ile wygrać mógł. Prawdziwy myśliciel. Takich właśnie ludzi potrzebuję.

Baza lotnicza Gdynia Babie Doły **godz. 10:35**

Obsługa naziemna wyciągała maszyny ze schronohangarów, holując je za ciężarówkami. Zanim załogi zajęły miejsca, Nowaczyk zebrał pilotów przed jednym ze schronów. Marciniak rozglądał się po twarzach zebranych. Naszła go smutna refleksja, że być może niektórych widzi po raz ostatni. Jeżeli oczywiście wróci. W to, że wróci, nie wątpił ani chwilę.

- Startujemy za kwadrans jako pierwsi, po nas ze Świdwina i Mirosławca wystartują pozostałe eskadry – powiedział pułkownik. – Dowództwo operacji nie chce dłużej czekać. Warunki są niekorzystne i prawdopodobnie flota będzie mogła użyć jedynie części swojej siły ognia, ale nie mamy wyjścia. Uderzymy albo teraz, albo, jeśli uruchomią Roskilde, nigdy. Panie, bierzecie udział w historycznej misji – Łysoń zamilkł na chwilę, jakby szukał odpowiednich słów – ale zapomnijcie o tym, gdy będziecie w powietrzu. Po prostu dajcie im porządnego kopa w dupę.

Piloci rozeszli się do maszyn lub zostali do nich podwiezieni. Marciniak idąc, dostrzegł Dagmarę w towarzystwie oficera żandarmerii. Widocznie dopuścili ją do szczegółów operacji, jednak dali anioła stróża, by informacje nie trafiły w niepowołane ręce zbyt wcześnie.

Na widok Marciniaka Dagmara wyraźnie się ożywiła.

- Michał! Kiedy startujecie?
- Za kilkanaście minut. Będziesz o tym pisać?
- Tak. Zdanecki dał mi temat na wyłączność.

Marciniak wolał nie zastanawiać się, jak to zostanie opisane w mediach. Dziewczyna paplała podekscytowana.

- Boisz się? – zapytała.
- Głupie pytanie! – zirytował się Michał – Tam jest dwieście rakiet, z których każda może rozwalić samolot. Masz ochotę polecieć i przekonać się naocznie?
- Tak tylko pytałam – Dagmara wycofała się rakiem. Widać było, że sytuacja ją przerastała. Marciniak miał ochotę podzielić się niedawną refleksją,

ale sobie odpuścił. Jeszcze go zacytuje i wyjdzie na to, że spietrał i siał defetyzm. – Myślisz, że ich pokonacie? – zapytała.

– Nie lecimy się tam z nimi pieścić. Jak to ujął nasz wódz przed chwilą, mamy dać im porządnego kopa w tyłek.

Dagmara uśmiechnęła się. Pojawiło się coś, co nie było dla niej niepojęte.

– To muszę zacytować. Zabawnie zmieszałeś wojnę z miłością, wiesz? – stwierdziła.

– Wojnę z miłością myślą tylko Francuzi, dlatego na wojnie wszyscy walą ich w dupę – powiedział Tkacz, który właśnie przechodził obok.

Dagmara roześmiała się. Zdziwiło go, że rozśmieszył ją ten dowcip. Widocznie politycznie poprawna była tylko z wierzchu. Jak większość.

– Gdy wrócisz, muszę się z tobą zobaczyć. Opowiesz mi wszystko.

Marciniak skinął tylko głową. Nie miał ochoty wyjaśniać jej, że jeszcze nie wygrzebał się z kłopotów po jedynej wizycie u niej, a nie zamierza pakować się w następne. Potem wspomniął umowę ze Zdaneckim, i po raz pierwszy od rozmowy z generałem uświadomił sobie, jak wiele od niego zależy.

Kiedy zasiadł w kokpicie, założył hełm, maskę tlenową, a technik podpiął go do interkomu, strach i niepewność ustąpiły miejsca doskonale znanym czynnościom. Skupiony jak nigdy dotąd, przeszedł wszystkie punkty procedury przedstartowej. Maszyna, przeglądana przez noc przez mechaników, którzy padali teraz ze zmęczenia na twarze, działała bez zarzutu. Marciniak był wdzięczny ludziom z obsługi. Wiedział, że mimo ogromnego znużenia, żaden z nich nie położy się nawet na kwadrans, czekając na powrót załóg z akcji.

Czekali na swoją kolejkę kołowania. Mieli z Czerwińskim startować na końcu, zaraz po Kaweckim i Królaku. *Szparki* zabierały mniej paliwa od jednomiejscowych *Su-22*, dlatego miały pójść w powietrze jak najpóźniej, tym bardziej, że w rejonie uderzenia miały przebywać nieco dłużej od pozostałych maszyn. Kolejne *Suki* przetaczały się na pas, objuczone rakietami, dodatkowymi zbiornikami i zasobnikami. Takiego korowodu uzbrojonych maszyn Marciniak dotąd nie widział, i nie spodziewał się niebawem zobaczyć.

– Czego chciał Dziadek? – zapytał Czerwiński, gdy uporali się z czynnościami przedstartowymi.

– Pytał o bójkę na Ratajach.

– Co mu powiedziałaś?

– Że powiem mu, kiedy wrócę.

- Masz właściwe podejście – skwitował Czerwiński, mając na myśli, że Michał powiedział „kiedy”, a nie „jeśli”.

Su odrywały się od pasa w krótkich interwałach. Maszyna Kaweckiego przetoczyła się przez wizjer celownika, Marciniak zwolnił hamulce. Nie było żadnej komunikacji z wieżą, żadnych pozwoleń na start. Choć przeciwnik prawdopodobnie wiedział, że zostanie zaatakowany, nie należało mu pomagać. *Su-22* ustawiały się na starcie parami, tak szybko, jak pozwalały na to umiejętności pilotów, zanim jeszcze poprzedni para wzbiła się w powietrze. Gaz do oporu, poczekać aż silnik wejdzie na obroty, zwolnić hamulce, dopalacz. Marciniak zauważył, że Honker ze Zdaneckim stoi tuż przy końcu pasa. Generał osobiście odprawiał każdego z pilotów, salutując. Dostrzegł też siedzącego na bocznym siedzeniu Honkera Nawrockiego i Dagmarę, oglądającą start z przybliżonymi do uszu dłońmi. Hałas przy końcu pasa musiał być nieprawdopodobny.

Ostatnia para *Su-22* przed maszyną Kaweckiego wjechała na pas. Do uszu Marciniaka doszedł wzmagający się huk silników, przechodzący w grzmot, gdy *Suki* ruszyły i włączyły dopalacze. Gdy wjeżdżali na pas, samolotem zachybotał podmuch gazów wylotowych poprzedników.

Marciniak ustawił *Szparkę* po prawej stronie pasa, nieco za maszyną Kaweckiego. Spojrzał w prawo, gdzie Zdanecki salutował startującym maszynom. Energicznym ruchem przyłożył dłoń do hełmu, by po pół sekundy równie energicznie zakończyć salut. Generał uniósł do góry zaciśniętą pięść. Marciniak odpowiedział uniesionym do góry kciukiem. A potem dostrzegł ruszającą maszynę Kaweckiego i zwolnił hamulce. Obie *Szparki* startowały bez dopalaczy, by zaoszczędzić paliwo. Obciążone maszyny rozpędzały się po pasie zbyt wolno jak na gust Marciniaka. Osiągnęli jednak prędkość oderwania daleko przed końcem betonowej nawierzchni. Michał ściągnął drążek i pozwolił *Szparce* poderwać się w powietrze. Objuczona, wolno reagowała na stery. W miarę zużycia paliwa miało być trochę lepiej.

Przekroczyli linię brzegową zaledwie po trzech minutach. Pogoda była niezła. Słońce mieli za plecami. Niskie chmury były poszarpane przez wiatr. Wi doczność w stronę przeciwnika – doskonała, co pomoże wyłapywać odpalenia rakiet i ułatwi wykonywanie uników. Utrudnienie stanowiła turbulencja, powodująca, że musiał namachać się knyplem mimo znacznej masy na podwieszaniach.

Maszyny pędziły nisko nad ciemnozieloną wodą. Marciniak dołączył do wcześniej ustalonej czwórki. Do celu mieli lecieć wraz z Nowaczykiem, Lisowiczem i Krzyżanowskim.

- Wiesz, że Dziadek chciał z nami lecieć? – zagadnął Czerwiński, gdy brzeg został już na horyzoncie, czyli jakieś półtorej minuty po jego przekroczeniu.
- Niemożliwe! – wyrwało się Marciniakowi. Zaraz jednak pomyślał, że to w stylu Zdaneckiego. – Czemu nie poleciał?
- Łański mu nie zezwolił. Podobno powiedział „Chcę mieć dowódcę lotnictwa, a nie trupa”.
- Skąd ty tyle o nim wiesz? Chodzisz do magła czy co?
- Jestem z jednej promocji z porucznik Jabłońską.

Marciniak uśmiechnął się pod maską.

- Jak jeszcze powiesz, że się z nią przespałeś, to cię wystrzelę razem z fotelem na środku morza.
- Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. I to ja mam dźwignię, żeby cię wystrzelić.

Marciniak chciał coś odpowiedzieć, ale w radiu zachrobotało.

- Diament, Szafir, Rubin, tu Jubiler. Przerwa, powtarzam, przerwa.

Niedobrze. Oznaczało to, że maszyny mają niezwłocznie udać się do wyznaczonych wcześniej stref dyżurowania w powietrzu i tam czekać na dalsze rozkazy.

- Co się dzieje, do cholery? Odwołują atak?! – zdziwił się pilot.
- Miejmy nadzieję, że nie. Nie chcę wracać do bazy z tym majdanem.

Marciniakowi też się to nie podobało. Skoro już wdepnął w sam środek międzynarodowej zawieruchy, miał ochotę wziąć udział w ostatnim jej akcie. Perspektywa wisenia w strefie wyczekiwania z najmniejszą ilością paliwa, największym dystansem do pokonania i gigantycznym zużyciem paliwa na małej wysokości też mu się nie podobała.

- Mam nadzieję, że wiedzą, co robią – stwierdził.

Wcale nie był tego pewien.

U-23, na północ od Bornholmu godz. 10:39

Ostatnie kilkadziesiąt godzin nauczyło Freitagą ostrożności. Mimo braku informacji o polskim *Kilo*, a może właśnie ze względu na ich brak, *U-23* skradał się przez północny przesmyk powoli i ostrożnie. Freitag chciał dokładnie sprawdzić cały akwen, zanim zajmie pozycję, zabezpieczając eskadrę EAF przed atakiem spod wody od północy.

Okręt szedł z prędkością czterech węzłów, co kwadrans zmieniając kurs w obszernym zygzaku, by przeszukać sonarem kadłubowym pas morza zostawiony za rufą. Wysoka fala i płycizny nie ułatwiały zadania. Freitag i Klein zdawali sobie sprawę, że wykryć cokolwiek w takich warunkach akustycznych to jak znaleźć metalową igłę w stercie drzazg. Okrętowi przypadło dziś mniej ważne zadanie. Rozkaz operacyjny dla *U-23* zawierał kilka kluczowych informacji o aktualnej sytuacji i konkretne polecenie. Freitag nie mógł narzekać. Przecież nie będzie walczył z lotnictwem. Zaplanowali drobiazgowo schemat patrolowania, licząc, że gdyby jednak ktoś próbował sforsować cieśninę wbrew woli EAF, to zostanie wykryty i zatopiony.

Komandor popatrzył na zegar.

- Przeszliśmy już cieśninę – powiedział Klein, domyśliwszy się powodów zniecierpliwienia dowódcy. – Możemy brać się do planu patrolowania.
- Kurs trzy zero zer, prędkość zero dwa – wydał komendę Freitag. Miał zamiar pójść nieco na zachód i północ, a potem wykonywać manewry, tak, by przez cały czas móc nasłuchiwać sonarem kadłubowym, co dzieje się w przejściu.

Uznawszy, że zasłużył na chwilę przerwy, komandor polecił kukowi przynieść sobie kubek kawy. Nawyki dowódcy były doskonale znane i marynarz z kawą znalazł się w centrali nieco ponad minutę po poleceniu komandora.

Zadowolony z udanego przejścia Freitag upił łyk kawy, delektując się jej smakiem. Wychylił kubek, by wypić kolejny. Zamiast tego omal się nie zakrtusił. Okrzyk sonarzysty zmroził mu krew w żyłach:

- Torpeda w wodzie!

Walka zaczęła się pod wodą.

ORP Orzeł, na północny zachód od Bornholmu godz. 10:40

Kuczwański z niecierpliwością popatrzył na zegar na grodzi i zaraz zganił się za to w duchu. Podobnie jak pozostałym członkom załogi oczekiwanie dawało się we znaki. Tyle tylko, że jemu, jako dowódcy, nie wolno było tego okazywać. Póki on trzymał fason, reszta załogi też się trzymała. Napięcie wisiało w powietrzu. Było źródłem ogromnego stresu, ale i olbrzymiej mobilizacji. Kuczwański nigdy nie widział załogi tak skupionej. Wiedział, że atak może się udać, ale w tak niewielkiej odległości mogli też sami oberwać. Czasu na ucieczkę będą mieli niewiele. Gdy tylko przeciwnik wykryje ścigające go tor-

pedy – a miał nadzieję, że przy wykonaniu jego planu zdarzy się to możliwie późno – rzuci wszystkie śmigłowce w miejsce ich przypuszczalnego odpalenia.

Zdecydował, że podejść na głębokości peryskopowej. Nie było sensu schodzić głębiej, bo głębokość morza ledwie przekraczała 40 metrów, co dla oceanicznego okrętu podwodnego klasy *Kilo* było jak brodzik. Kuczwański nie chciał tracić czasu, energii i sprężonego powietrza na niepotrzebne manewry. Miał świadomość, że gdyby zaplątał się tu śmigłowiec, jego załoga miała szansę dostrzec pod wodą kontur okrętu. Z drugiej strony liczył jednak na ostre światłocienie, spowodowane przejrzystym powietrzem i masą obfitych, gnanych wiatrem cumulusów, oraz na dość wysoki stan morza – pięć w skali Beauforta. Hałasująca fala tworzyła dla okrętu doskonale tło akustyczne, w które mógł się wtopić. Płycizna z kolei utrudniała wykrycie *Orla* przez sonary aktywne, którymi okręty EAF zawzięcie młóciły wodę.

Oczekiwali na moment, w którym – według wyliczeń – znajdą się w optymalnej sytuacji do strzału. Torpedy pobiegną niemal prostopadle, najkrótszą drogą, do kilwaterów okrętów EAF, zawrócą w ich stronę i... Podeszli tak blisko, że nawet gdyby zostali teraz wykryci, salwa torpedowa wyrządziłaby nielże zamieszanie. Lepiej było strzelić planowo i pozostawić załogi EAF możliwie długo w nieświadomości zagrożenia. Odległość do najbliższych okrętów miała nie przekraczać sześciu kilometrów. To będzie pewny strzał.

Kuczwański ponownie zerknął na zegar. 10:43. Już czas.

– Peryskop w górę!

Komandor był przy peryskopie jeszcze zanim jego końcówka przebiła powierzchnię.

Miał właśnie okazję przekonać się dobitnie o dwóch rzeczach.

Pierwszą było stwierdzenie, iż załogi EAF nie spodziewają się ataku. Drugą, że obsada stanowiska kierowania ogniem spisała się na medal. Dla obu potwierdzeniem był fakt, że okręty EAF znajdowały się dokładnie tam, gdzie według wyliczeń powinny. Kuczwański omiół szybko wzrokiem horyzont. Śmigłowców w pobliżu nie było.

– W porządku! Peryskop w dół! – wydał rozkaz. Ostatni rozkaz przed walką. Zacerpnął powietrza. – Uwaga! Pierwsza pał!

Okrętem szarpnęło, gdy pierwsza torpeda opuściła wyrzutnię, wypchnięta sprężonym powietrzem. Do wnętrza okrętu wpadł jego nadmiar, uderzając dotkliwie w uszy. Kuczwański wykrzykiwał komendy odpaleń. Kolejne pociski opuszczały wyrzutnie w krótkich odstępach – najkrótszych, by nie zakłócić sobie biegu w początkowej fazie. Potem rozchodziły się wachlarzem do poszcze-

gólnych celów. Szósta torpeda opuściła wyrzutnie w niecałą minutę po odpaleniu pierwszej.

– Sonar, meldujcie! – wykrzyknął komandor, niemal ogłuszony wzrostem ciśnienia.

– Ryby idą normalnie. Cele nie zmieniły kursu ani prędkości.

Wszystkie pociski prawidłowo zmierzały tam, dokąd je wystrzelili. Załogi EAF niczego nie podejrzewały.

- Lewo na burt. Kurs zero sześć zero. Cała naprzód! – wykrzyknął Kuczwal-ski. Chciał jak najszybciej odejść od miejsca odpalenia. Nie mając torped w wyrzutniach, nie mieli tu już czego szukać.

Okręt zakręcał ku wschodowi. Ustalili wcześniej, że odejdą przez cieśninę na płycizny, by uniknąć kontrataku ze strony śmigłowców i przycząić się do drugiej salwy, dla zniszczenia niedobitków. Obsada przedziału torpedowego już uruchomiła podajniki i wsuwała potężne, siedmiometrowe, dwutonowe pociski 53-65K do wyrzutni. I tym razem Kuczwal-ski chciał mieć pełną salwę torped przeciw okrętom nawodnym. Wyznawał bowiem zasadę, że osłabionego przeciwnika należy bezwzględnie wykończyć.

U-23

W centrali zrobiło się gorąco. Usiłowali ustalić, kto strzela i do kogo.

– Ile tych torped? – spytał Freitag.

– Pięć lub sześć. Idą na południe – odpowiedział operator sonaru.

– Na pewno?

– Namiar się zmienia.

– Ustalić typ! Określić miejsce odpalenia. Głębokość peryskopowa, wynu-
rzenie na sterach! Zalać wyrzutnie jeden i dwa. Strzał w kierunku miejsca
odpalenia, wachlarz dwanaście stopni, przeszukanie aktywne, uaktywnie-
nie głowicy po dwóch milach.

Klein wydał komendy do wyjścia na peryskopową.

– Nie strzelamy? – spytał Freitag.

– Jeszcze nie. Musimy ostrzec nasze okręty.

– Jeśli tamten odpowie salwą, będziemy musieli wiać... – wtrącił Klein

– Nie odpowie. Wystrzelili ze wszystkich rur i musi teraz załadować! – za-
oponował Freitag. – Musimy ostrzec naszych teraz. Później będzie to gów-
no warte.

– Tracimy przewagę zaskoczenia. Może byśmy zakłócili im bieg torped...

- Bzdura. – zirytował się Freitag – Stawiam miesięczne pobory, że to *wakehoming torpedo*, naprowadzane na kilwater. Już ich nie zatrzymamy, bo nie są sterowane przewodowo z okrętu. Jedyne co możemy zrobić, to ostrzec Dentersa, żeby wiali. No i żeby śmigłowce nie zrzuciły nam na łeb torped. Jakie to torpedy? – ryknął niemal do sonarowca.
 - 53-65. Na dziewięćdziesiąt procent.
 - A nie mówiłem?! – spytał Kleina.
 - Peryskopowa – odpowiedział zastępca.
 - Podnieść masz radiowy – zarządził Freitag. – Radio, natychmiast nadać otwartym tekstem: *Do dowódcy eskadry EAF. Z północy atakuje was Kilo torpedami wakehoming. Zaatakujemy go niezwłocznie po nadaniu meldunku.*
 - Otwartym tekstem?! – zapytał zbulwersowany Klein.
 - I tak za chwilę dowie się, że tu jesteśmy. Nie mamy się co ukrywać.
 - Dowiedzą się także Polacy na lądzie.
 - I co z tego? Przyślą tu śmigłowce? Za linię naszych okrętów? – Freitag irytował zastępcę. W sytuacjach trudnych wyraźnie tracił orientację. – Zrobione z tą depeszą?
 - Tak jest.
 - Potwierdzili odbiór?
 - Odbiór potwierdzony przez okręt flagowy.
 - Wyśmienicie. Zanurzenie dwadzieścia metrów. Teraz mu przysolimy.
- Freitag długo czekał na tę chwilę. Doczekał się wreszcie. Za chwilę strzeli dwie torpedy do *Kilo* i upoluje drania. Nadrobi to, co tak niefortunnie umknęło mu pod Zatoką Gdańską.

HNLMS *Tromp*

- Pilna depeza z *U-23* – oficer łączności wręczył Dentersowi blankiet. Był wzburzony.
- Denters rzucił okiem i zbladł.
- To autentyk?
 - Nadana otwartym tekstem, ale kod autoryzacji się zgadza. Nie ma wątpliwości, to depeza z *U-23*.
- Denters nie wahał się ani chwili.
- Wszystkie okręty zwrot na południe! Pełna naprzód awaryjna! Natychmiast!- rzucił. Radiowiec podszedł do radiotelefonu i przekazał rozkaz. Mesdegaard podniósł brwi z wyrazem zaskoczenia. Denters podał mu blan-

kiet z wiadomością. Okręt już wchodził w zwrot. Zwrócił się do Mesdegar-
arda. – Wyślij tam śmigłowiec, żeby potwierdził torpedy. Niech nie strzela-
ją, żeby nie trafili *U-23*.

Tromp przyspieszał i zakręcał w lewo. Woda za rufą pieniała się i kłębiła,
zmłócona energiczną pracą śrub. Od wystrzelenia torped mogły minąć dwie
minuty, może trzy minuty. Jak blisko były?

Radiotelefon ożył.

– *Canarries* melduje torpedy na północy – zameldował oficer łączności. –
Prawdopodobnie typ *53-65*, naprowadzane na kilwater.

Denters i Mesdegaard spojrzeli po sobie. Okręt klasy *Kilo*. Sześć torped w
salwie. Niedobrze.

Obaj czuliby się znacznie gorzej, gdyby wiedzieli, że uciekając przed torpe-
dami, wchodzi w zasięg potężnych rakiet woda-woda *P-15M Termit* zwanych
w NATO *SS-N-2C Styx*.

***Mi-14PŁ*, na wschód od Bornholmu**

Brylowski przyglądał się ekranowi sytuacji taktycznej systemu *Leba*, gdy na
mapie pojawił się nowy symbol.

– Emisja radiowa na częstotliwościach komunikacyjnych EAF, zamiar trzy
dwa zero – zameldował.

Zakończyli właśnie kolejną obserwację radarową.

– Ciekawe. Poleciał tam ktoś? – zainteresował się Napierała.

– Nie ma tam żadnej jednostki EAF, a tym bardziej naszej – odrzekł Bry-
lowski.

Napierała aż zatrzęsło. Domyślił się błyskawicznie.

– To ten cholerny *u-boot* – powiedział. – Co on tam robi?

– Wysłał depesze – odrzekł Brylowski. Sam się zastanawiał, po kiego
grzyba *U-23* zdradził swoją obecność w przesmyku. Może EAF chciała,
żeby Polacy wiedzieli, iż przesmyk jest pilnowany? Bez sensu.

Maszyna leciała na południe. Kolejny wzlot. Dwa smagnięcia radarem akwe-
nu po przeciwnej stronie Bornholmu.

– O cholera! – wyrwało się Brylowskiemu, gdy obraz został uaktualniony.

– Co jest?! – spytał Napierała.

– Oni spieszą na południe, ile mocy w maszynach.

– Co takiego?!

– Okręty EAF spierdalają w podskokach na południe. System według wyli-
czeń *Leby* robią w pobliżu trzydziestu węzłów.

Brylowski czytał i interpretował dane z *Łeby*. Napierała myślą intensywnie.
- Kurwa mać! – wykrzyknął w końcu, gdy poskładał wszystko do kupy. – Tam jest *Orzeł*. Wezmą go w dwa ognie.

ORP *Orzeł*

Okręt odchodził na wschód, gdy nagle wszystko się posypało.

- Centrala, tu sonar! Torpeda w wodzie! Namiar zero pięć zero!

Cały plan diabli wzięli, zorientował się Marciniak. Musieli się już kapnąć co się święci i przystać śmigłowiec. Mieli niewiele czasu – śmigłowiec mógł im zrzucić torpedę prosto na głowy...

- Ster, kurs jeden cztery zero! Pół naprzód! – zareagował Kuczwański. Chciał iść w poprzek kursu torpedy, by oddalić się jak najbardziej z pola jej wykrywania.

- Druga torpeda, namiar zero pięć zero – zameldował szef sonarzystów.

- Wychwyciły nas?

- Jeszcze się nie uaktywniły.

- Dwie? – zdziwił się Marciniak. Mało prawdopodobne, żeby śmigłowiec od razu wystrzelał się z torped i do tego rzucając je w tym samym miejscu... I do tego bez aktywacji? Naprowadzane pasywnie? Chyba nie w tych hałaśliwych wodach przeciwko okrętowi tak cichemu, jak *Orzeł*.

- Sonar, ustalić typ torped! – zawołał Kuczwański, który miał chyba podobne wątpliwości.

- Obie torpedy to *DM2 Seehecht*.

Kuczwański i Marciniak spojrzeli po sobie. Marciniak patrzył z wyrzutem. *DM2* to uzbrojenie niemieckich okrętów podwodnych typu *206*.

- Usunąć „rybki” z wyrzutni pięć i sześć! – wydał rozkaz Kuczwański – Załadować do wyrzutni pięć i sześć *TEST-71*.

Za późno, pomyślał Marciniak. Gdyby Kowboj nie był tak zawzięty i nie nakazał załadowania do wszystkich wyrzutni *53-65K*, mogliby niezwłocznie, w ciągu 30 sekund, odpowiedzieć strzałem w kierunku, z którego nadchodziły torpedy. Zmusiliby przeciwnika do ucieczki i ujawnienia się hałasem śrub. Teraz uciekać będą oni, a *206* będzie siedzieć cicho. Niemiecki okręt nie tylko strzelił pierwszy, ale dzięki błędowi Kuczwańskiego zyskał jedną salwę za darmo. Gdy załadują i zaprogramują *TEST-71* za dwie-trzy minuty, *U-23* będzie już daleko od miejsca wystrzelenia torped. Strzał po linii namiaru będzie wtedy oznaczał już tylko zmarnowanie torpedy...

- Sonar, odległość do torped? – zapytał Kuczwański.

- Dwie do trzech mil. Mam dwa ślady, rozchodzą się.
- Strzelił dwie torpedy wachlarzem, licząc, że weźmie nas w widły – skomentował Kuczwski.
- Wejdziemy w zasięg wykrywania tej od wschodu – ocenił Marciniak. Robiło się naprawdę nieciekawie.
- Sonar do dowódcy. Bliższa torpeda zmienia kurs.
- Na jaki?
- W naszą stronę. Namiar się nie zmienia.

Pięknie. Pocisk już ich wykrył. Nie mieli gotowych do strzału własnych rybek ani nie wiedzieli, gdzie jest atakujący ich *u-boot*. Kuczwski poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

ORP *Pułaski*

Mikuła spodziewał się tego rozkazu już od dłuższej chwili, odkąd okręty EAF ruszyły na południe. Akcja została wstrzymana do momentu, aż wejdą w zasięg pocisków z *Tarantuli*. Teraz gdy tamci podeszli już blisko, bez możliwości ucieczki poza zasięg potężnych *Termitów*, otwarcie ognia było kwestią sekund.

Pierwszy *Harpoon* spoczywał gotowy i zaprogramowany w szynowej wyrzutni, czekając na odpalenie. Pociski *Pułaskiego* i *Kościuszki* zostały zaprogramowane, tak by zaatakować eskadrę EAF równocześnie, z różnych namiarów. Miało to dopomóc przeniknąć przez obronę przeciwrakietową, rozpraszając ją i nadlatując w martwych polach obserwacji i ostrzału niektórych przynajmniej okrętów EAF. *Termity* niestety nie miały takiej zdolności. Były za to szybkie i miały potężne głowice bojowe...

Rozkaz z dowództwa nadszedł fonią i Mikuła przystąpił do jego realizacji:

- Wyrzutnia woda-woda, ogień według planu. Uwaga! Na moją komendę! Pal!

Pocisk z hukiem i dymem opuścił okręt. Wzleciał na około sto metrów, odrzucił raketowy silnik startowy i dał nura ku powierzchni, gdzie w cieniu radiolokacyjnym mógł zanieść swój niszczycielski ładunek ku okrętom EAF.

W ciągu ośmiu sekund wyrzutnia została załadowana kolejnym, zaprogramowanym już wcześniej *Harpoonem*, i kolejny pocisk został odpalony. *Pułaski* posiadał cztery takie pociski i – podobnie jak *Kościuszko* – wystrzelił je wszystkie najszybciej, jak było to możliwe.

Tarantule miały odpalić swoje pociski później, tak by nadleciały nad okręty EAF równocześnie z wolniejszymi *Harpoonami*.

Mikoła wiedział, że dowódcy EAF za kilkanaście minut zorientują się, że zostali zaatakowani. Miał nadzieję, że nie będą mieli już jak odpowiedzieć. Teraz nie mógł już nic zrobić.

Okręt wolno skręcał na wschód.

67. ELT, na wschód od Bornholmu

Rozkaz wylotu ze strefy dyżurowania i obrania kursu bojowego przyszedł w samą porę. Marciniak był już pewien dwóch rzeczy: że nie starczy im paliwa na powrót bezpośrednio do Babich Dołów oraz że lecą bardziej na południe, niż to wynikało z ostatnich ustaleń. Tym pierwszym będzie się przejmował później. To drugie było szczęściem w nieszczęściu – jeszcze kilka minut krążenia na małej wysokości, a musiałyby wracać *Szparką* do bazy z powodu braku paliwa lub zamienić lot w misję samobójczą.

Ciekaw był, czemu kurs się nie zgadza. Nie miał jednak czasu się zastanawiać. Pruli nisko nad wodą, zaledwie kilkanaście metrów, jak wówczas, podczas pamiętnego lotu z Dagmarą. Z południa nadlatywała na okręty EAF Czterdziesta Szósta, a z południowego zachodu Siedemdziesiąta – po 16 *Su-22* w każdej. Oficerowie naprowadzania mieli ciężki orzech do zgryzienia – trzeba było zsynchronizować atak, by nadlatująca chmara celów przeładowała system obrony EAF. W przeciwnym wypadku atak zakończy się fiaskiem, a atakujący sami poniosą ciężkie straty. Margines błędu był niewielki, bo z południa już nadlatywały rakiety przeciwokrętowe. Samoloty musiały uderzyć, nim pociski woda-woda znajdą się w zasięgu wykrywania eskadry EAF.

- Minuta do wystrzelenia pozoratorów. Rakiety z okrętów już pewnie lecą, – rzekł Czerwiński. Pomylił się nieznacznie, bo zaledwie pięć sekund później oznajmił to samo komunikat radiowy. Do ataku zostało niecałe sześćdziesiąt sekund. Sam atak to może półtorej, dwie minuty plus wyjście ze strefy rażenia tamtych. Jeśli za pięć-sześć minut będą jeszcze żyli, to znaczy, że się udało.

Nowaczyk pomachał skrzydłami swego *Su* i zewnętrzne maszyny w szyku zaczęły odpadać w prawo i lewo, robiąc więcej miejsca do strzału, do uników, jak i do uniknięcia porażenia kilku maszyn jedną rakieta. Rozeszli się wachlarzem, zostawiając sobie miejsce.

Byli już w zasięgu *Standardów* z *Trompa* i *Hessen*, jednak ciągle poniżej horyzontu radarowego. Za chwilę miało się to zmienić. Przed nimi majaczył Bornholm....

- Diament, przygotować *Damulki* – rozległ się w radiu głos Łysonia.

Pięćdziesiąt kilometrów. Marciniak wybrał na tablicy uzbrojenia przycisk wskazujący na podwieszenia *R-60M*, teraz przenoszące pozoratory – jeden pozorujący rakietę, jeden – samolot. Obok nich pod skrzydłami każdy *Su* przynosił ponadto dwa przeciwradarowe pociski *H-25MP*, zaprogramowane w trybie pośrednim, do niszczenia radarów wykrytych już po odpaleniu. Priorytety ataku zostały zróżnicowane, tak aby porazić jak największą liczbę okrętów i wyeliminować jak najwięcej radarów kierowania ogniem.

– Uwaga, wszystkie Diamenty! Trzy, dwa, jeden, już!

Marciniak ściągnął drążek sterowy. Maszyna poszła w górę, a jego i Czerwińskiego wcisnęło w fotele. Aparatura ostrzegawcza zwariowała, wyświetlając ostrzeżenia przed radarami i wypełniając słuchawki kakofonią. Na trzydziestu metrach Marciniak wyrównał lot – dla odmiany ujemne przeciążenie próbowało ich wyrwać z pasów. Nacisnął spust.

Smuga ognia wystrzeliła spod lewego skrzydła. Nacisnął spust ponownie. Kolejny pozorator z głośnym poświstem wystrzelił spod prawego skrzydła. Smugi dymu spowiły pozostałe maszyny. 32 pozoratory leciały w stronę okrętów, oddalając się z każdą chwilą od *Suk. Szparki* Kaweckiego i Marciniaka wyszły nad horyzont radarowy i zaczęły zakłócać radary okrętów EAF, utrudniając trafienie pozoratorów. Na razie żaden radar kierowania ogniem nie podświetlił polskich maszyn.

Brzeg zbliżał się w szaleńczym tempie. Wpadli nad Bornholm, trzymając większość maszyn blisko ziemi, zapewniającej im osłonę przed potężną obroną przeciwniczą floty EAF. Pofałdowany, pagórkowaty teren zagrażał samolotom nie mniej niż rakiety, ale chronił przed tymi ostatnimi. Sześćdziesiąta Siódma miała możliwość skrytego podejścia najbliższej przeciwnika ze swoimi *H-25MP*.

Czekała ich minuta w strefie rażenia, minuta, która miała pokazać, co warczą ludzie i uzbrojenie po obu stronach.

HNLMS *Tromp*

Tromp miał szczęście – tak przynajmniej wydawało się w pierwszej chwili. Jedna z wystrzelonych z *Orla* torped przeznaczona była dla flagowego okrętu Dentersa. Posłuszny admirałskiemu rozkazowi, *Tromp* jako pierwszy wykonał zwrot z kursu zachodniego na południowy, dzięki czemu przeciął kilwater *Hessen*, zajmującej pozycję w szyku na zachód od niego, z lekkim odchyleniem na południe. Na przecięciu kilwaterów, wymierzona w *Trompa* torpeda uchwyciła ślad torowy *Hessen*. Niemiecką fregatę ścigał też pocisk, który wszedł w jej

śląd już za skrzyżowaniem śladów torowych. Wiedząc o tym, dowódca okrętu, *fregattenkapitän* Riese, postawił wszystko na jedną kartę: zwolnił do czterech węzłów, by *Hessen* nie zostawiła kilwaterny i nakazał zwrot na wschód. Zabrało jednak czasu i jedna z torped, zygzakując wzdłuż kilwaterny, eksplodowała pod rufą.

Ogromny pióropusz ognia i wody przesłonił fregatę. Wybuch podrzucił wypierający pięć i pół tysiąca ton okręt niczym zabawkę, miotając ludzi i wyposażenie – to, którego mocowania nie wytrzymały uderzenia. Od ciosu wyleciały z łożysk wały napędowe, niszcząc uszczelnienia i tworząc dodatkowe źródło przecieków, poza wyrwą dokonaną bezpośrednio przez wybuch. Zbiorniki popękały, rozlewając wysokoenergetyczne paliwo do napędzających okręt turbin gazowych, powodując gwałtowny pożar. Większość wyposażenia elektronicznego i uzbrojenia od razu stała się niezdadna do użytku. Okręt tracił prędkość, w ciągu kilkunastu sekund nabrał przegłębienia na rufę i przechylenia na lewą burtę. *Hessen* wypadła z walki, zanim jeszcze oddała pierwszy strzał.

Odgłos wybuchu i przeniesiona wodą fala uderzeniowa dotarły do *Trompa*. Obsada centrum bojowego zrozumiała, że ponoszą pierwsze straty.

- *Hessen* trafiona torpedą – przekazał meldunek obserwatora z pomostu Mesdegaard. Denters nie zdążył potwierdzić, bo zaraz pojawiły się kolejne problemy.

- Atak z powietrza! Liczne cele z południowego zachodu! Liczne cele ze wschodu! Liczne cele z południa! – operator radaru *SMART-L* nie nadążał z wykrzykiwaniem ostrzeżeń. – Silne zakłócanie na wszystkich kierunkach ataku! – dodał.
- Klasyfikacja celów? – rzucił Denters.
- Rakiety i samoloty. Profil lotu wskazuje na *H-25*.
- Odległość?
- 15 mil.
- Przekazać wszystkim okrętom: otworzyć ogień. Powtarzam: otworzyć ogień.

Mesdegaard wydał komendę oficerowi odpowiedzialnemu za odpalanie rakiet. Wcześniej przestawiono już system kierowania ogniem w tryb pracy pół-automatycznej. System klasyfikował cele na podstawie prędkości i wysokości lotu, automatycznie wybierał odpowiednią broń mającą największe szanse zniszczenia celu i kierował pociski na cel.

Obsada centrum bojowego usłyszała przytłumiony stalowymi ścianami ryk rakiet startujących z pionowych, kontenerowych wyrzutni. Okręt strzelał tak

szybko, jak tylko pozwalała mu pojemność systemu naprowadzania rakiet wo-
da-powietrze.

- Silne zakłócenia. Mamy trudności z selekcją celów. Jest mnóstwo fałszy-
wych ech – oznajmił Mesdegaard. Główny radar rozpoznania przestrzeni
powietrznej fregaty – *SMART-L* – miał doskonale oprogramowanie potra-
fiące odróżnić rzeczywiste echa od pozornych, stworzonych przez aparatu-
rę zakłócającą. Jednak nie zawsze – zakłócenia były na tyle silne, że opro-
gramowanie miało problemy z klasyfikacją celów. Mesdegaard zaniepokoił
się tym. Zbyt wiele ech nie zostało odfiltrowanych i żadne zabiegi nie po-
magały. Nie miał jednak czasu zameldować o tym Dentersowi. Do uderze-
nia pocisków zostało może sto sekund.

Pozostałe okręty również strzelały. Mniejszym fregatom działającym w ra-
mach wspólnej sieci wymiany danych taktycznych przypadło w udziale zwal-
czanie celów nadlatujących z południa. Były bliżej nich, podczas gdy *Tromp*
strzelał głównie do atakujących ze wschodu i południowego zachodu.

Do akcji włączyły się działa średniego kalibru, posyłając w stronę nadlatują-
cych pociski kalibru 127 i 76 mm. Oznaczało to, że atakujący przedarli się
przez falę rakiet, na odległość skutecznego ognia armat. To oznaczało uderze-
nie pocisków za niecałą minutę.

- Druga fala celów! – krzyknął operator *SMART-L*. Oprogramowanie rada-
ru zdołało jednak wykstrahować z fali zakłóceń niektóre samoloty.
- Cholera, skąd ich tyłu? – wyrwało się Mesdegaardowi. Wiedział, że Po-
lacy nie mają tyłu samolotów. Coś się nie zgadzało. Na mapie taktycznej
niektóre z nadlatujących celów powinny być już w zasięgu wzroku.
- Pomost, widzicie nadlatujące rakiety i samoloty?! – zawołał Mesdegaard
do interkomu. Odpowiedź przyszła za kilkanaście sekund.
- Pomost do dowódcy! W pierwszej fali nie ma samolotów! Powtarzam:
nie ma samolotów! To niewielkie rakiety. Nie trafiają w nas.

Mesdegaard zagryzł wargi.

- Panie admirale! Strzelamy do celów pozornych!

Zanim zdążył wyjaśnić to szerzej Dentersowi, ten już zorientował się i zako-
menderował:

- Przejsć w tryb manualny! Przenieść ogień na drugą falę!

Nad Bornholmem

Zza horyzontu wleciały iskry ognia, wlokąc za sobą pióropusz dymu. Marci-
niak aż skulił się w kabinie. Po kilku sekundach uświadomił sobie, że pociski

nie są skierowane do niego. Aparatura nie sygnalizowała podświetlania przez któryś z radarów kontroli ognia. Przeciwnik strzelał do pozoratorów! W polu widzenia pojawiły się błyski pierwszych eksplozji.

- Mam w polu widzenia tylko jeden radar *SMART-L* i tylko jeden *APAR* – poinformował Czerwiński. Czyli jeden z najpotężniejszych okrętów EAF – *Tromp* lub *Hessen* – wypadł z walki. A może wyłączył radary, by zaskoczyć atakujących? Nie było czasu się zastanawiać.

Jednak mieli szansę. Trzydzieści kilometrów. Czterdzieści sekund do odpalenia rakiet. W polu widzenia pojawiły się szare sylwetki okrętów wojennych, spowite dymem wystrzeliwanych pocisków przeciwlotniczych. Nie było się już gdzie schować. Oni widzieli okręty EAF, załogi EAF widziały ich.

- *H-25* uzbrojone. Przycisk gorący – Czerwiński poinformował go, że naciśnięcie spustu spowoduje odpalenie rakiet.

Jeszcze nie teraz. Z dwudziestu kilometrów *H-25* obejmą swoim zasięgiem większą część okrętów EAF i spowodują więcej zniszczeń. A im więcej rozwalą radarów, tym większa szansa na ujęcie z życiem pilotów *Su-22* i dokonanie zniszczeń przez okrętowe pociski woda-woda.

Aparatura ECM zawyła i Marciniak zorientował się, że są podświetlani przez radar.

- Zakłócisz go? – spytał.
- Próbuję. – odpowiedział Czerwiński. – Cholera, przebija się, skurwysyn! Dwadzieścia pięć kilometrów. Dwadzieścia sekund.

Marciniak zauważył, że wybuchy nie idą już równolegle do nadlatujących pozoratorów, a smugi dymu zaczynają się niebezpiecznie zbliżać. Przeskoczyli brzeg Bornholmu i wypadli nad morze. Radio ożyło od wykrzykiwanych ostrzeżeń.

- Uwaga! Rakiety! Lecą do nas!
- Grizzly, pryskaj w prawo! W prawo mówię!
- Cholera, nie mogę jej zgubić!
- Zerwałem. Uwaga, leci następna!
- Na dziesiątej! W lewo! Już!

Nie było sposobu, by zapanować nad harmidrem radiowym. Kilka maszyn, w stronę których zmierzały pociski, wykonało gwałtowne uniki, schodząc tak nisko, jak się da. Na oczach Marciniaka jedna z maszyn uskoczyła przed rakieta, która wpadła do morza. Eksplozja podniosła biały pióropuszc wody. Reszta *Su-22* parła dalej. Marciniak uświadomił sobie, iż rakiet nie jest wcale dużo.

- Diamenty! Otworzyć ogień! Powtarzam, otworzyć ogień!

Marciniak nacisnął spust. Ciężki *H-25MP* wyskoczył spod lewego skrzydła w błysku ognia i chmurze dymu. Pilot skorygował wychyleniem drążka przechył maszyny spowodowany niesymetrycznym obciążeniem i ponownie nacisnął spust. Drugi *H-25* błysnął ogniem zapłonu i pomknął w stronę okrętów.

Kątem oka Michał zauważył potężną eksplozję z prawej strony szyku eskadry. Nie miał czasu zastanawiać się, co się stało, bo w ich stronę też leciała rakietka – ostrzegacz zaświecił i zawył. Pocisk nadlatywał z godziny pierwszej. Marciniak z trudem stłumił chęć, by od razu wykonać unik. Gdyby zrobił to zbyt wcześnie, rakietka, mimo dwu- czy trzykrotnie większej prędkości lotu zdołałaby powtórzyć manewr.

Marciniak wyczeekał, ściągnął drążek i zaklął do interkomu. Odruchowo zakręcił w lewo, choć plan mówił o zejściu po ataku w prawo, by nie trafić na odchodzące *Su-22* 46-tej. Nie miał już wyjścia. Wystrzelił kilka pakietów z folią aluminiową, by choć trochę wprawić w konfuzję pocisk. Huk wybuchu dotarł przez grzmot silnika.

– W prawo! – krzyknął Czerwiński do interkomu.

Michał przerzucił maszynę w prawy zakręt. Niedobrze. Był na stu metrach, ale zejście niżej nie miało sensu. Rakiety i tak by go dosięgły, a na dodatek ryzykował zderzenie z wodą. Zbliżał się do okrętów EAF, co nie było korzystne – miał mniej czasu na uniki, a rakiety miały więcej energii na manewrowanie. Jedyną korzyść była taka, że widział przeciwnika i nadlatujące rakiety. Nagle na jednej z szarych sylwetek zauważył błysk eksplozji, po którym wzbił się czarny dym...

Urządzenie ostrzegawcze znowu zawyło. Kolejny pocisk leciał w ich stronę.

– Unik! – krzyknął Czerwiński. – Nie zakłóć go! Zbyt blisko!

Marciniak zorientował się jednak, że ma zbyt mało czasu i energii na manewr. Podeszli zbyt blisko do okrętów. Mimo to ściągnął drążek i przygotował się na cios.

- Uwaga! – krzyknął.

Ogłuszające wycie w słuchawkach przycichło. Pocisk w ostatniej chwili zgubił ich echo.

Marciniak kontynuował zakręt w prawo, niebezpiecznie zbliżając się do wody. Przerzucił się jednak w lewo i uniósł dziób.

– Co ty odpierdalasz?! – warknął z tyłu Czerwiński. – Chcesz dać się zabić?

– Gówno widzę w tym zwrocie! Poza tym lepiej ich zakłócimy!

– Akurat! – burknął Przemas. Zajął się zakłócaniem.

Ostrzegacz zapiszczał, a na jego konsoli znowu zamrugało. Znowu byli w opałach

- Już nas chwycili! – warknął Czerwiński.
- Zakłóć go!
- Robię, co mogę!
- Widzę go na jedenastej.

Pocisk mknął w ich stronę, zostawiając cieniutką smużkę spalin. Marciniak ledwie wytrzymał nerwowo... jeszcze nie... jeszcze nie teraz...

- Cholera, nie mogę go zakłócić! – wykrzyknął Czerwiński – Jesteśmy zbyt blisko radaru, przebija się przez nasz sygnał!
- Jasny szlag...

Już! Marciniak rzucił maszynę w ostry lewy skręt, licząc na to, że wymanewruje pocisk. Radar jednak nadal ich oświetlał, ostrzegacz świecił i wył.

- Kurwa mać!

Zacieśnił jeszcze skręt, choć robili zaledwie 0.8 Macha. Przy tej szybkości Su-22 miał niebezpieczną tendencję do samoczynnego zadzierania nosa, zacieśniania zakrętu i hamowania. I tak też robił. Przeciężenie wcisnęło Marciniaka w fotel. Niemal z rozpaczą obserwował przesuwające się niebezpiecznie strzałki prędkościomierza. Czuł, że nie mają szans.

Dźwięk w słuchawkach umilkł.

- Trafiliśmy skurwysyna! Przerwał naprowadzanie! – wykrzyknął Czerwiński.

Któryś z *H-25MP* musiał rozwalić radar naprowadzający na nich pocisk, dlatego ten nie trafił. ECM już nie wył jak szalony.

- Sporo mniej radarów! Oberwali! – wykrzyknął radośnie Przymas.

Marciniak kontynuował zakręt w lewo. Zawrócili już niemal na wschód, gdy nagły, nie sygnalizowany niczym cios podrzucił *Szparkę*. Huknęło potężnie. Marciniak walnął głową w osłonę kabiny. Gdyby nie hełm, straciłby pewnie przytomność. Nos samolotu zatoczył łuk i momentalnie stracili czterdzieści metrów wysokości, zanim pilot opanował samolot. Gdyby byli niżej, wpadliby do wody.

- Kurwa mać! – zaklął Marciniak. – Co to było?
- Cholera wie. Grat cały?
- Tablica alarmów czysta.

Marciniak zszedł niżej i zakręcił w prawo. Usiłował odprowadzić maszynę nad Bornholm.. ECM umilkł, trudno powiedzieć czy dlatego, iż zeszedł poniżej horyzontu radarowego czy dlatego, że *H-25* powyłaczały wszystkie radary. Nagle zrobiło się cicho.

Nie byli już tu potrzebni. Samolot oberwał i im prędzej znajdą się nad własnym lądem, tym lepiej. Nie widać było innych maszyn. Wpadli nad wyspę nad jej północnym wybrzeżem, nie niepokojeni przez obronę przeciwlotniczą okrętów.

– Zamelduj, Jubilerowi, że wyszliśmy z ataku. Co najmniej dwa okręty trafione.

Czerwiński spróbował wywołać stanowisko dowodzenia, ale bez skutku.

– Chyba diabli wzięli nadajnik – powiedział.

Marciniak skręcał nisko nad powierzchnią wyspy na południe, w stronę polskiego wybrzeża. Zakończył zwrot, wyrównał skrzydła. Ochłonął już po walce. Rutynowo rzucił okiem na tablicę przyrządów. I wtedy zobaczył, że spada ciśnienie w głównej instalacji hydraulicznej.

– Houston, mamy problem – powiedział do interkomu.

HNLMS *Tromp*

Polacy sprawili Dentersowi straszliwą niespodziankę.

Kiedy nadleciały prawdziwe pociski, *Tromp* wystrzelał już większość rakiet woda-powietrze. Podobny problem miały pozostałe okręty eskadry. Wszystkie prowadziły wściekły ogień z armat średniego kalibru i działek szybkostrzelnych, ale nie były w stanie pokonać fali około dziewięćdziesięciu *H-25MP*, które rzuciły się na pracujące radary niczym sępy na padlinę. W huk startujących rakiet i ognia armat wdarły się coraz bliższe wybuchy nadlatujących pocisków.

Hiobowe wieści napływały szybko, niemal równie szybko, jak eksplozje, których odgłosy zaczęły przenikać do centrum bojowego *Trompa*.

– *Euro* trafiona rakieta. Straciła radary! Pożar na pokładzie. Uszkodzenie maszyn. Mogą wyciągnąć najwyżej 12 węzłów.

– Pomost do dowódcy. *Van Amstel* dostał torpedą i tonie!

– *Canarrias* trafiona dwiema raketami, utraciła radary i część uzbrojenia. Pożar, duże straty w ludziach

– *Leopold* dostał! System obrony przeciwlotniczej uszkodzony.

– Pomost do dowódcy. Ogromny wybuch na *Driade*. Chyba już po nich!

– *Karlsruhe* utraciła maszt. Nie może prowadzić ognia.

Denters nie mógł tego pojąć. Wykrzykiwał komendy, ale niewiele mógł pomóc. Wokół płonęły lub tonęły jego okręty. Siła ich ognia pomału słabła, w miarę, jak trafienia rakiet eliminowały kolejne radary kierowania ogniem.

Nagły wybuch wstrząsnął *Trompem*. Mesdegaard zauważył, jak konsole radarowe pokryły się zakłóceniami.

– Meldować o uszkodzeniach! – krzyknął.

Zanim którykolwiek z oficerów zdążył zorientować się w sytuacji, zachrobotał głośnik:

– Pomost do dowódcy! Dostaliśmy! Tu jest prawdziwa jatka! Sternik i oficer wachtowy zabici! Przyślijcie zmienników!

Mesdegaard nie zdążył wydać komend, gdy od konsoli głosowej łączności taktycznej odezwał się dyżurujący podoficer:

– Panie komandorze, *Germinal* melduje, że z południa nadlatują pociski przeciwokrętowe. Co najmniej sześć!

– Chryste – wyszeptał Mesdegaard, choć zawsze sądził, że jest ateistą.

Mi-14 PŁ

– Cholera jasna, nie możemy tam lecieć, szefie! – wykrzyknął Adamowicz, gdy Napierała skierował śmigłowiec na północny wschód. – Prosimy wręcz o to, by nas kropnęli!

– Gówno nam zrobią! – odrzyknął Napierała. – Mają ważniejsze problemy. *Suki* już dostarczyły im zajęcia. Poza tym jest tam pełno śmigłowców cywilnych. Jedna rakietka wpakowana w ten rój wysadzi w powietrze Brukselę po tym, co zrobili z naszymi na *Xenii*. Włos nam z głowy nie spadnie.

W rzeczywistości wcale nie był tego taki pewien. Wiedział jednak, że *Orzel* ma przeciw sobie okręty nawodne, śmigłowce i *U-23*. Ten ostatni zdradził się nieopatrznie wysłanym spod wody radiogramem. Przynajmniej jemu mógł dać kopa. Dobrze, że wywalczył zabranie torpedy. Była jeszcze szansa, by zapobiec najgorszemu.

– Zaczynamy od jednej trzeciej przesmyku od strony Bornholmu, lecąc po namiarze – zdecydował. – Spróbujemy namierzyć skubańca i zrzucimy mu na łeb pigułę. Tym razem się nie wywinie.

Pędzili nad Bornholmem. Nagle aparatura ostrzegawcza zawyła.

– A nie mówiłem?! – wykrzyknął Adamowicz.

– Zamknij się i walcz! – warknął Napierała. Był w kropce. Nie mieli czym walczyć z raketami...

Na pomoc przyszła konfiguracja terenu. Wleciał za niewielki pagórek, mijając o włos wysoki wiatrak.

Eksplozja rozjaśniła kokpit pomarańczowym blaskiem. Coś huknęło, ale maszyna mknęła dalej.

- Wszyscy cali?! – krzyknął komandor.
- Cali, tylko ten wiatrak diabli wzięli! – odpowiedział Bryłowski.
- Chyba nas zgubili. Blisko było – wtrącił Adamowicz.
- Nic nie było. Nie marudzić! – warknął Napierała.
- Uwaga! – krzyknął nagle Bryłowski.

Tuż przed nosem śmigłowca śmignął *Su-22*. Zaraz potem drugi przeleciał nieco dalej.

- W mordę i nożem! – zjeżył się pilot, przypomniawszy sobie spotkanie z *MIG-iem*.

- Ciekawe, jakie jeszcze atrakcje nas czekają, szefie – zauważył złośliwie Adamowicz. Nie mógł wybaczyć dowódcy samowolki.

- Szczupak, co wy wyprawiacie, do kurwy nędzy? – rozległ się w słuchawkach głos oficera koordynującego akcję. – Czy wyście tam powariowali?!

- Idę na pomoc *Orłowi*.

- Zupełnie wam odbiło! Trzymajcie się swojej pozycji!

- Tak jest – odrzekł Napierała, ale dalej leciał poprzednim kursem. A gówno. I tak nie widzą, gdzie jest *Mi-14 Suki*, których piloci musieli się poskarżyć, już odleciały na wschód. – Powiem ci, jakie atrakcje: skrzynka szkockiej od „orłowców”. Tym razem uratujemy im dupy!

Wcale nie był jednak tego pewien. Dwanaście minut – nawet tyle mógł zająć im dołot w rejon, w którym walczyły okręty podwodne. To mogło być o kilka minut za dużo.

Cholerny świat!

Od: EAFNAVCOM

Do: EAFAFOPCOM

Atakowani przez lotnictwo i okręty podwodne npla. Sytuacja bardzo trudna. Potrzebujemy wsparcia.

Eskadra EAF, na zachód od Bornholmu

Eskadra Dentersa nie bardzo miała czym zatrzymać pociski woda-woda, których w rzeczywistości było szesnaście, a nie dwanaście, jak zameldował *Germanal*. Większość zdolnych do tego rakiet woda-powietrze zdążyły już wy-

strzelić. Reszta nie nadawała się do użycia z powodu uszkodzeń radarów, spowodowanych trafieniami wystrzelonych z samolotów *H-25MP*.

Okrety wystrzeliły cele pozorne – chmury folii aluminiowej, mające w założeniu stanowić atrakcyjny cel dla rakiet. Jednak niektóre z wyrzutników były uszkodzone wybuchami *H-25MP*, a okręty Dentersa zwolniły wskutek uszkodzeń lub próbując oszukać ścigające je torpedy, dlatego nie były w stanie oddalić się na większą odległość od pozornych celów. Efekt był żaden. W ostatniej chwili okręty wystrzeliły kilka pocisków woda-woda w kierunku, z którego nadlatywały *Styksy*. Była to rozpacзлиwa próba dokonania odwetu na przeciwniku, który zaatakował tak skutecznie.

Germinal, jedyny nieuszkodzony okręt eskadry, prowadził ogień do nadlatujących pocisków. Udało mu się zniszczyć jeden *Styx* i w ostatniej chwili obronić przed atakującym go *Harpoonem*. Odłamki z bliskiego wybuchu uszkodziły okręt tak, że nie mógł on już prowadzić ognia. *Commandante Vigoreaux* przyglądał się straszliwemu spektaklowi.

Spśród pozostałych czterestu rakiet jedynie cztery udało się zmylić celami pozornymi. Reszta dokonała straszliwego spustoszenia. Pojedynczy *Harpoon* trafił w patrolowiec *Descubierta*. Okręt zniknął w chmurze ognia i dymu. Drugi hiszpański okręt – *Canarrias* – również został trafiony *Harpoonem*, podobnie jak włoska fregata *Euro*. Belgijski *Leopold I* zainkasował dwa *Harpoony* i nie było szans, żeby go uratować, tak przynajmniej wydawało się francuskiemu oficerowi. Okręt zastopował, płonął na śródkręciu i przechylił się na lewą burtę.

Grupa pocisków *Styx* przemknęła z hukiem nad *Germinalem*. Wycelowana była w główne okręty eskadry. Jeden z nich skręcił gwałtownie i trafił w *Canarrias*, przełamując ją na pół. Dwa trafiły i całkowicie zniszczyły będąca w stosunkowo dobrym stanie – jeśli nie liczyć utraty końcówki masztu z antenami radarowymi – niemiecką fregatę *Karlsruhe*. Dwa *Styxy* pomknęły ku utrzymującej się jeszcze na wodzie *Hessen*. Ich trafienia dobiły niemiecką jednostkę.

Na oczach *Vigoreaux* dwa ciężkie, przypominające samoloty pociski *Styx* zanurkowały z wysokości marszowej ku odległemu o dwie mile *Trompowi* i wbiły się w dziób i nadbudówkę pod pomostem. Dwa potężne wybuchy zainicjowały eksplozję wtórną amunicji, w której zginął flagowy okręt Dentersa i EAF.

Su-22 UM3

Problem z płynem hydraulicznym nie był jedyny. Wiadomo było, że paliwa nie starczy na lot do Babich Dołów. Marciniak miał jeszcze jeden pomysł.

- Lecimy do Szwecji? – zapytał Czerwińskiego.
- Zwariowałaś?! Pal diabli tego grata, ale nie mam zamiaru spędzać tam wakacji! – oburzył się Przemas.
- W porządku. Też wolę wracać, chociaż z paliwem jest do dupy i spada ciśnienie w hydraulice, będziemy musieli lecieć nisko. A może i wysiadać.
- Najwyżej wysiadziemy, ale za to blisko swoich.

Marciniak trzymał kurs na południowy wschód, najkrótszą trasą do polskiego wybrzeża. Nie dość, że było krucho z paliwem, to ciśnienie w instalacji hydraulicznej spadało wolno, ale nieubłagane. Maszyna już reagowała gorzej na ruchy sterami i z każdą chwilą miało się to pogłębiać. Musiał siadać jak najszybciej. Nie uśmiechało mu się katapultowanie. To zawsze była przykra ostateczność.

- Najbliższe lotnisko to Redzikowo? – spytał Czerwińskiego. Miał na myśli nieczynną już bazę pod Słupskiem.
- Nieczynne, ale można próbować. Masz jeszcze nieczynny DOL pod Jarosławcem. Jest bliżej – Czerwiński już zdążył zorientować się w sytuacji.
- Ile?
- Stąd jakieś 100 kilometrów.

Sześć minut lotu.

- Spróbujemy tam usiąść – zdecydował Marciniak.
- Kurs jeden pięć trzy. Podejdiesz od strony morza.
- Byle nie było jakichś samochodów na pasie.
- Cholera, nie mamy radia, żeby o tym zameldować.
- To nic by nie dało. Prędzej zastaniemy tam króliczki z Playboya niż żandarmerię. Nikt nie zamknie odcinka dla ruchu. Jedna głupia bryka i musimy skakać.
- Może się nikt nie trafi. Z paliwem krucho. Zresztą i tak nie wiadomo, czy nie wysiadziemy wcześniej.
- Oby nie. Nie zsikałem się podczas ataku i nie mam zamiaru zmoczyć sobie dziś bielizny.

Su-22 leciał na 50 metrach. Marciniak wiedział, że prowadzą wyścig z czasem i upływającym paliwem. Miał nadzieję, że uda się go wygrać.

Od: CO Germinal
Do: EAFAFOPCOM
Do:

Tromp, Hesse, Karlsruhe i Canarrias zatopione w wyniku połączonego ataku raketowego i torpedowego. Potrzebna natychmiastowa pomoc dla rozbitków i uszkodzonych okrętów.

ORP Orzeł

Okręt szedł pełną naprzód, czyniąc potworny, jak na podwodniackie standardy, hałas. Nie było jednak wyjścia. Byli w głębokiej defensywie. Najgorsze przypuszczenia kapitana Marciniaka potwierdziły się.

– Torpeda nadal nas ściga – zameldował szef sonaru. – Włączyła sonar aktywny.

Potężna eksplozja na południu oznajmiła, że przynajmniej jedna z torped *Orła* trafiła w cel. Kuczwalski i Marciniak spojrzeli po sobie. Jeśli torpeda ich trafi, przynajmniej tanio nie sprzedali skóry. Hałas nie oszukał jednak torpedy.

– Namiar stały. Idzie za nami – w głosie sonarzysty dało się wyczuć napięcie.

– Rzuć pozorator na dno między nas a torpedę – odpowiedział Marciniak.

– Kurs jeden pięć zero. Zanurzenie trzydzieści metrów. Ustawić pozorator aktywny na dużą głębokość i wystrzelić po zmianie kursu – zakomenderował Kuczwalski.

– Jest jeden pięć zero – zameldował po chwili sternik.

– Pozorator wystrzelony!

To była ich ostatnia szansa. Jeśli pozorator nie skusi torpedy, będzie po nich.

Okręt poszedł w dół i wyrównał niedaleko dna. Manewr był ryzykowny.

– Sonar, namiar na torpedę się zmienił. Słyszę jej pingowanie. Wchodzi w matrzwą strefę za rufą. Jest blisko.

– W porządku sonar. – potwierdził Kuczwalski. – Uwaga! – powiedział do interkomu Alarm kolizyjny!

Ci w centrali, którzy nie byli przypięci do siedzeń, chwycili się specjalnych uchwytów.

Nagła eksplozja targnęła okrętem. Na chwilę zgasło światło. Ktoś poleciał na pokład. A potem wszystko wróciło do normy. Tak się przynajmniej wydawało.

– Ster, kurs zero siedem zero. Meldować o uszkodzeniach.

Meldunki sływały, okręt zawracał na kurs wschodni. Przez chwilę mieli spokój, przynajmniej, póki nie ucichną echa eksplozji. Za chwilę Marciniak mógł zameldować Kuczwałskiemu:

- Okręt szczelny. Widocznych uszkodzeń nie ma. Świetnie. Tylko co dalej?

U-23

Ciężkie eksplozje z południa świadczyły o tym, że toczy się bitwa. Niewiele dało się wywnioskować o jej przebiegu, jednak ilość wybuchów dawno przekroczyła ilość wystrzelonych przez *Kilo* torped. Denters najwyraźniej był w poważnych opałach, ale to był jego problem. Freitag niewiele mógł zrobić. *Orzeł* był jego jedynym celem.

Kolejna ciężka eksplozja, tym razem z kierunku kontaktu podwodnego.

- Sonar do centrali. Wybuch z zamiaru *Sierry I*.
- Jakież inne odgłosy?
- Na razie nic.

Freitag wiedział, że nic nie usłyszy. Na tej głębokości szalały echa eksplozji – jego torpedy, torped *Orla* i rakiet. Nawet jeśli przeciwnik został trafiony, szanse, by usłyszeć odgłosy towarzyszące zatopieniu, są niewielkie. A to oznacza, że musi cały czas być czujny.

- Zalać wyrzutnię numer trzy – rozkazał Freitag.
- Trafiliśmy? – zapytał Klein.
- Być może. Sonar. Są jakież odgłosy zatopienia? – zapytał Freitag.
- Brak innych dźwięków. Tylko eksplozja.
- Jeżeli jakimś cudem uniknął trafienia, to poszedł albo na południe, albo na wschód. – Freitag kalkulował na chłodno. *Seehechta* niełatwo było uniknąć. Torpedę zaprojektowano specjalnie na parszywe bałtyckie warunki akustyczne, z warstwami zasolenia i pływizny. Te warunki mogły pomóc *Orłowi* uniknąć trafienia.
- Skierujemy naszą drugą torpedę na południe, a trzecią, pod osłoną eksplozji, puścimy w przesmyk, ale tak żeby znalazła się za jego rufą, zanim ustanie hałas – komandor nie miał ochoty dać przeciwnikowi choć chwili wytchnienia, jeśli ten przetrwał pierwszy atak. – Jeśli będzie chciał się tędy przemknąć, usłyszy ją tuż przed trafieniem. A my pójdziemy sobie powoli na wschód. Jeśli zdąży strzelić torpedę, wystrzeli ją za rufę, na północny zachód, w stronę, skąd nadpłyynie nasza ryba. Zapewne nadal nie wie, gdzie jesteśmy.

- Sprytne – stwierdził Klein.
Freitag wydał rozkazy.
Tym razem *Kilo* mu się nie wymknie.

Su-22 UM3, w pobliżu Jarosławca

Maszyna reagowała na stery powoli i opornie. Miała przesadną tendencję do zadzierania nosa w miarę wzrostu prędkości i opuszczania przy zmniejszeniu ciągu. Widocznie ciśnienie płynu nie trzymało już powierzchni sterowych tak, jak powinno. Ale jeszcze się trzymała.

Obszernym łukiem podeszli od zachodu do pasa drogowego odcinka lotniskowego w Jarosławcu. Usytuowany niemal równoległe do brzegu, w obfitym kompleksie leśnym, zarastającym obie strony drogi, nie był wymarzoną miejscem do lądowania dla uszkodzonej *Szparki*. W pobliżu niczego lepszego nie było, a Marciniak chciał ocalić maszynę. Podwozie wyszło z trudem z powodu niskiego ciśnienia w instalacji hydraulicznej. Udało mu się je zablokować w pozycji „otwarte”. Utrzymanie maszyny na ścieżce podejścia też było niełatwe. Boczny wiatr, z lewej strony od morza, zniósł go z osi lądowania. Skorygował wychyleniem orczyka. Maszyna schodziła szybko, celując nosem w bok. Przez krótką chwilę Michał zastanawiał się, czy się jednak nie katapultować, uznał jednak, iż lepiej będzie szybko siadać. Udało mu się ustabilizować maszynę na tyle, że trzymała od biedy ścieżkę schodzenia i nie myszkowała niebezpiecznie nosem na boki.

Byli na niecałych pięćdziesięciu metrach, gdy nagle na drodze pojawił się pojedynczy samochód.

- Kurwa mać! – zaklął pilot.
- Co jest? – spytał Czerwiński.
- Bryka na drodze.
- W naszą stronę?
- Tak!
- To niech zjeżdża. Ślepy chyba nie jest.

Marciniak walczył ze sterami, bo wiatr zniósł dziób maszyny. Rzucił okiem na pas. Samochód – Volkswagen Golf – pędził nadal środkiem pasa. Kierowca musiał widzieć podchodzący samolot, bo Marciniak widział zarys jego sylwetki. Samolot był nisko na wprost pojazdu.

- Musi nas widzieć, ale nie zjeżdża. To jakiś debil!

Najwyraźniej głupi albo buńczucznie pewny siebie. Może myślał, że zrobi kawał lotnikom, zmuszając ich do porzucenia zamiaru lądowania.

- Odejdźmy stąd i skaczymy – zasugerował Czerwiński.
- Mowy nie ma!

Dwadzieścia metrów. *Su-22* szybko opadał w kierunku końca drogi. Wpadła między drzewa i nagle boczny wiatr się urwał. Maszynę zniosło w bok. Marciniak skorygował orczykiem, jednak samolot reagował zbyt wolno. Musiał pochylić drążek w prawo i przechylić *Sukę*, by ślizgiem na skrzydło wrócić nad pas i uniknąć zbliżających się drzew. Samolot przyspieszył jednak opadanie. Marciniak ściągnął drążek, zadarł nos *Suchoja* i dosłownie w ostatniej chwili wyrównał tuż nad betonową nawierzchnią, choć przyszło mu to z wielkim trudem. Ciśnienie w układzie sterującym było coraz niższe.

Marciniak wypuścił spadochron hamujący, odpuścił drążek i maszyna opadła na pas. Zatoczyła łuk nosem i siadła niesymetrycznie na jednym kole, tańcząc przy prędkości ponad dwustu kilometrów na godzinę.

Niefortunny kierowca Golfa zorientował się nagle, że to nie przelewki i skreślił w swoją prawą stronę, na bok pasa, uciekając w lewo od nosa *Su*. Pech chciał, że gdy *Szparka* opadła na oba koła podwozia głównego, jej nos nadal celował w samochód.

Kierowca wykonał karkołomny manewr w prawo i wpadł w poślizg tuż przed nosem rozpedzonego *Su*. Samolot nadal tańczył na kołach podwozia głównego, tym razem przewalając się na lewe koło. Marciniak kopnął orczyk, przywracając maszynie właściwy kurs. Na lewym skrzydle coś huknęło. Bombowiec opadł całym podwoziem na nawierzchnię, tym razem celując nosem w koniec pasa.

Su-22 zatrzymał się po dłuższym niż zazwyczaj dobiegu. Ciśnienie płynu w hamulcach też było bliskie zeru.

Marciniak dopiero teraz zauważył, że wstrzymuje oddech. Wypuścił powietrze i zaczerpnął potężny jego haust. Odpiął maskę.

- Hej poznaniak! Żyjesz czy mam cię reanimować? – wykrzyknął do Czerwińskiego.
- Wylądowaliśmy czy jednak nas zestrzelili?
- Skoro stać cię na głupie teksty, to chyba jednak chyba to pierwsze.
- To był istny taniec z gwiazdami. Tańczyliśmy tak, że miałem gwiazdy przed oczami.
- Odwal się, Przemas! – zirytował się Marciniak – Gdyby nie ja, to tańczyłbyś z wilkami w tych lasach i odnawiał znajomość z survivaliem. Wygramol się z kabiny, zanim jakiś idiota przejedzie naszą *Szparkę* jakimś gównem.

Otworzyli osłony kabiny. Z braku drabiny, operacja wychodzenia z kabiny przypominała raczej ewakuację. Musieli uważać, by nie uruchomić przypadkiem foteli wyrzucanych, bo mogłoby się to kończyć śmiercią. Bez zawleczek zabezpieczających należało zachować szczególną ostrożność. Udało im się jednak wyjść z kabiny i zsunąć po burcie na tyle, by zeskoczyć na beton.

Dopiero teraz Marciniak zauważył niewielkie wgniecenie w lewym skrzydle. Przypomnił sobie huk przy lądowaniu i spojrzął w stronę, z której nadlecieli. Samochód stał z na wpół oderwanym dachem i wybitymi wszystkimi szybami, a w ich stronę biegł niefortunny kierowca.

– O w mordę! – rzekł Czerwiński, który właśnie uświadomił sobie, co się stało.

Zanim lotnicy ochłonęli, kierowca dobiegł zasapany. Lekko spasiony, ogolony niemal na łyso świński blondyn. Typowy wsiowy dorobkiewicz, pomyślał Marciniak. Arogancki i bezczelny. Ocalił gdzieś trochę paliwa i wybrał się na przejażdżkę. Typek nie był przestraszony, za to biła z niego wściekłość. Zanim zdążyli cokolwiek zrobić, był dziesięć metrów od nich.

– Co wyście mi kurwa zrobili! Oczu nie macie, pierdolone żołdaki?! – wrzasnął.

Tym razem opanowany zazwyczaj Czerwiński nie wytrzymał.

– A ty masz wypustki zamiast oczu i sraczkę zamiast mózgu, dupku? Myślisz, że lądowaliśmy tu dla przyjemności? Trzeba było zjechać z pasa.

– To jest droga, kurwa...

– To jest drogowy odcinek lotniskowy, kretynie! – wtrącił Marciniak. – Zejdź mi z oczu, zanim wkopię ci jaja do brzucha.

– Ej ty gnoju, już ja ci!... – blondyn ruszył w stronę Marciniaka, zaciskając pięści.

– Stój albo zrobię ci dziurę w tym pustym łbie! – Czerwiński wyciągnął z kabury pistolet i wymierzył do kierowcy. Tamten stanął osłupiały. – Posłuchaj, głupku – rzekł Przemas. – Zabieraj ten swój wrak i zjeżdżaj, zanim przewentyluję ci twój pusty łeb ołowiem kaliber dziewięć. Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż ty i twój pieprzony grat. Przeczytasz o nich jutro w gazetach, jeśli nauczyłeś się czytać i dożyjesz jutra. A teraz spierdalał w podskokach! Ale już!

Tamten zabelkotał coś i zaczął się wycofywać.

– No prędzej! – ponaglił go Czerwiński. Wykonał wymowny ruch pistoletem.

Blondyn przyspieszył

- Złóż na was skargę na policji! Do prokuratury! Do Strasbourga! – krzyknął na odchodnym.

Lotnicy wybuchnęli śmiechem na ostatnią część groźby.

- Możesz nawet do Rady Bezpieczeństwa ONZ. Wynocha! – wrzasnął za nim Marciniak. – Co za imbecyl – powiedział do Czerwińskiego.
- Jaki bezczelny – Czerwiński zdążył już ochłonać. Schował pistolet do kabury i patrzył za odchodzącym. Tamten mamrotał coś jeszcze pod nosem, ale się nawet nie obejrzał.
- Produkt z teleshopu – skwitował Michał.

Adrenalina powoli opadała. Spokój leśnego Drogowego Odcinka Lotniskowego był nieprawdopodobny po bitewnym zgiełku. O tym ostatnim Marciniak chciał jak najszybciej zapomnieć. Dopiero teraz poczuł się ogromnie zmęczony. Cisza, wiatr i zapach lasu sprawiły, że mimo troski o kolegów i wynik walki, miał ochotę położyć się na poboczu i zasnąć. Lato było w pełni. Szkoda, że tak fatalne dla kraju...

- Wiesz co, Marciniak, masz wyjątkowo zezowate szczęście – powiedział Czerwiński. – Jeszcze nie zdążyłeś się dobrze wykaraskać z jednych kłopotów, już się pakujesz w następne. Właśnie zaliczyliśmy niebezpieczne lądowanie, groziłam cywilowi bronią i uszkodziłam mu samochód.
- To już ostatnia wpadka. Odtąd zamierzam wieść spokojne i poprawne życie.
- Poprawne? Ty z definicji jesteś niepoprawny.
- Politycznie na pewno.
- Ciekaw jestem, jaki jest wynik naszego politycznie niepoprawnego meczu.

Marciniak zastanowił się. Nie mieli łączności z eskadrą od chwili, gdy obrońca przeciwlotnicza EAF pomacała ich *Szparkę*. Nie wiedział nic poza tym, że niektóre z ich rakiet prawdopodobnie trafiły. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ktoś z ich kolegów mógł również oberwać. A co z dwiema pozostałymi eskadrami i okrętami nawodnymi?

Nagle uświadomił sobie coś jeszcze. Odwrócił się do Czerwińskiego.

- Nie wiem, jaki jest – powiedział – ale pewny jestem, że tamci jeszcze nie podnieśli kopar ze zdumienia.

Mi-14PŁ

Dolatywali do rejonu poszukiwań, gdy Napierała zauważył eksplozję w odległości półtorej mili, po lewej stronie.

- Cholera! – warknął. Uświadomił sobie, że być może przybyli za późno. – Opuszczamy sonar! – zdecydował. Byli na miejscu. Trzeba było się zorientować, kto do kogo strzelał i z jakim skutkiem.

Niecałą minutę później sonar był już w wodzie.

- Słysząc coś? – zapytał niecierpliwie Napierała.
- Tylko szum po wybuchu – stwierdził Brylowski. Wolałby, żeby Napierała nie przeszkadzał mu w nasłuchu.

Nagły odgłos zelektryzował go.

- Odpalenie torpedy. Namiar trzy dwa siedem – zameldował.
- Typ? – zapytał Napierała.
- Chwileczkę.

Zidentyfikowanie typu torpedy zajęło mu piętnaście sekund.

- *DM2 Seehecht*.
- To już wiemy, gdzie jest nasz stary znajomy – skonstatował Napierała. – Strzela w kierunku miejsca eksplozji?
- Prawdopodobnie.
- To dobrze. Są duże szanse, że *Orzeł* przetrwał atak – zakonkludował. Uzbroid torpedę. Kurs trzy dwa siedem przeszukiwanie zygzakiem. Tryb aktywny.

Brylowski śledził torpedę. Znając jej prędkość marszową, przypuszczalnie kierunek ruchu i namiar na miejsce odpalenia oszacował szybko odległość.

- Jest jakąś milę, może półtorej od nas – stwierdził.
- Jesteś pewien?
- Przy założeniu, że strzela w kierunku miejsca eksplozji, na osiemdziesiąt procent.
- Zaryzykujemy – stwierdził dowódca – Jeżeli nie trafimy, to przynajmniej zmusimy go do ucieczki. Będzie musiał zareagować. To da szanse „orłowcom”.
- W porządku.
- Sonar z wody.

Brylowski podniósł sonar i zaczął programować torpedę. Napierała ruszył w kierunku domniemanego miejsca pobytu okrętu.

- Nie za daleko. Może ruszyć w naszą stronę – ostrzegł go Brylowski.
- Jasne.

Przelecieli może z osiemset metrów.

- Zrzut.

Torpeda wypadła z komory bombowej.

- Wesolej zabawy, buce – rzekł Napierała.

U-23

Seehechty poszły w kierunku namiarów *Orla*. Nie zdążyły się jeszcze dobrze oddalić, gdy *Freitag*a spotkała nieprzyjemna niespodzianka.

– Torpeda w wodzie! Namiar jeden cztery siedem – w głosie sonarzysty było słycać było strach.

– *TEST-71?*

Obsada sonaru robiła, co mogła, żeby ustalić typ torpedy. Hałas w wodzie bynajmniej nie ułatwiał tego zadania.

– To *MU-90*. Jest blisko! – zameldowali po dwudziestu sekundach.

– Kurs zero dwa zero. Cała naprzód awaryjna. Wystrzelić wabie – wyrzucił potok komend *Freitag*. Poczul gęsią skórkę *MU-90*? Sonar musi się mylić. To musiałby być śmigłowiec. Skąd, do kurwy nędzy się tu wziął?

– Wabie poszły.

– Sonar, sprawdzić jeszcze raz typ torpedy.

– To na pewno *MU-90*.

Do diabła, jeśli tu był polski śmigłowiec *ZOP*, to okręty *EAF* musiały zdrowo oberwać. Znajdowali się przecież w strefie rażenia ich rakiet woda-powietrze.

Freitag momentalnie uświadomił sobie, że eskadra *EAF* poniosła kompletną klęskę.

Wszystko, co mógł teraz zrobić, to próbować umknąć torpedzie. W okamgnieniu z myśliwego stał się łowną zwierzyną. Dał się zaskoczyć, choć nie powinien.

Właściwie dlaczego nie powinien? Czy mógł przypuszczać, że *Denters* da tak gruntownie skopać sobie tyłek?

Wciąż mógł umknąć torpedzie. Być może śmigłowiec rzucił ją na postrach, na ślepo.

Bach! Torpeda włączyła głowicę samonaprowadzającą i trafiła ich pierwszym impulsem. Lotnicy ze śmigłowca albo byli pierwszorzędnymi specami, albo mieli cholerne szczęście. *Freitag* przypomniał sobie tych, którzy omal nie dopadli ich pod *Zatoką Gdańską*.

Momentalnie zapomniał o polowaniu na *Kilo*. Teraz trzeba było ratować własną skórę.

– Zawrócić naszą torpedę! Niech przetnie drogę tamtej! Wyrzucić aktywne wabie. Kurs trzy dwa zero.

Kierowana przez operatora *DM2* posłusznie zawróciła. Ale było zbyt późno, by dogoniła *MU-90* i zakłóciła jej bieg.

Freitag nakazał wyrzucenie jeszcze jednego zestawu pozoratorów. Zawrócił na południe, rozpędzając okręt do maksymalnej prędkości. Zdawał obie sprawę, że przy takim sprincie zabraknie mu energii w akumulatorach, ale miał to gdzieś. Jeśli nie zmyli torpedy, to akumulatory nie będą mu już potrzebne.

MU-90 podążała jednak jego śladem, a częstość jej pingów nieubłaganie wzrastała. Torpeda była coraz bliżej.

Impulsy zwały się w końcu w jeden, niemal ciągły piiiing.

– Wyrzucić wabie! Wynurzenie alarmowe! Lewo na burt! – zakomenderował Freitag.

Była to rozpacзлиwa, ostatnia próba uniknięcia trafienia. Może pocisk ich minie i zgubi. Może nie zdąży powtórzyć manewru? Może prześlizgnie się po kadłubie, nie eksplodując? Okręt szedł w górę z głośnym szumem sprężonego powietrza wypierającego wodę ze zbiorników balastowych.

Potężny cios rzucił wynurzającym się *U-23*. Światło zgasło, ludzie powpadali na sprzęt. Torpeda trafiła w pióro śruby, kompletnie ją rozrywając, demolując uszczelnienie wału napędowego. Uderzenie zrujnowało przedział maszynowy, w którym od rozlanej ropy pojawił się ogień. Wdzierając się, woda szybko go jednak ugasiła.

Okręt wynurzył się, choć w centrali przelewała się już woda. Półprzytomni, obici i poranieni Freitag i Klein pomogli wydostać się żyjącym członkom załogi. Kiedy zeszli do wody, na pokładzie nie było już żywych ludzi, a okręt powoli pogrążał się w morzu.

Torpeda, która miała zatopić *Orla*, pognąła na północ i po wyczerpaniu paliwa zatoneła na szwedzkich wodach terytorialnych.

ORP Orzeł

Udało im się wymanewrować drugą z torped *U-23* wystrzeloną w pierwszym ataku. Pocisk popłynął na południowy wschód, gdzie pozostawili pozorator, oni zaś podążyli na północny wschód.

Kuczwański najchętniej wynurzyłby okręt, ale znajdowali się na duńskich wodach terytorialnych. Taki wyczyn nie przysporzyłby mu chwały, o innych, groźniejszych konsekwencjach nie wspominając.

– Popatrz tylko, co za widok! – Kuczwański odstąpił miejsce przy peryskopie Marciniakowi.

Kapitan rozejrzał się przez peryskop. Za jego plecami płonęły i tonęły okręty EAF, lecz jego interesowało coś całkiem innego. Polski *Mi-14PL* zrzucał właśnie rozbitkom z *U-23* tratwy ratunkowe. Dookoła uwijało się kilka śmigłowców telewizyjnych filmujących całą scenę. Śmigłowiec nosił doskonale im znany numer taktyczny.

- Myślisz, że to Napierała? – zapytał Kuczwałskiego.
- Jestem tego pewien. W życiu nie sądziłem, że będę się cieszył z tego, że w coś trafili.
- Ja pierwszy raz z przyjemnością postawię im flachę, za to, że nie spudłowali.

Lotnisko Roskilde godz 10:45

Vandenoortowi udało się dodzwonić do Roskilde. Zastał Schneidera w biurze, zdemolowanym zresztą wybuchami. Jeszcze nie zdążono wstawić mu szyb, w tle wyraźnie było słychać pracujący ciężki sprzęt.

Do Vandenoorta jeszcze nie dotarło to, co się stało.

- Nie mogę się połączyć z Denterssem – poskarżył się Schneiderowi. – Powinien mi przekazywać wiadomości na bieżąco.
- Denters leży na dnie razem ze swoimi okrętami! – odparł Schneider, który otrzymał już depeszę Vigoreaux.

Vandenoorta zamurowało.

- Pan sobie ze mnie kpi!
- Ani myślę – odpowiedział generał. – Jeśli nie dostał pan depeszy od komandora Vigoreaux, to mogę ją panu zacytować.

Schneider przeczytał treść depeszy. Zamilkł, czekając na reakcję komisarza.

- Ten oficer się myli! – wykrztusił w końcu Vandenoort.
- Bardzo w to wątpię – rzekł zimno Schneider, który miał dość tej awantury. – To wyszkolony profesjonalista. A nawet, gdyby nim nie był, to chyba potrafi powiedzieć, kiedy okręt zatonął?
- Może nie ma dokładnych informacji...
- Jest na miejscu i widział wszystko na własne oczy – stwierdził Schneider. – O wszystkim wiedzą już stacje telewizyjne, tylko pan jest na bakier z faktami. Jak zwykle zresztą – dodał impertynencko.
- To pan jest totalnie niekompetentny – odgryził się komisarz. – Dawno już powinienem pana zwolnić.

- Mam gdzieś pańską opinię – rzekł Schneider. – Trzeba było zabrać te okręty z Bałtyku, a nie wystawiać je na starcie z lotnictwem bez osłony myśliwskiej. Siły EAF nie istnieją, a pan stracił poparcie. Może mnie pan pocałować w tyłek.

To powiedziawszy odłożył słuchawkę.

Wyszedł z budynku na spustoszone bombami lotnisko. Ludzie uwijali się jeszcze, by postawić je na nogi, ale Schneider wiedział, że to już koniec. Poparcie dla Vandenoorta spadało na łeb, na szyję. Szkoda, że tak późno.

Siedziba Komisji Europejskiej

godz 11:10

Vandenoort dodzwonił się do kanclerz Meier, ale zmuszony był czekać niemal dwadzieścia minut, nim szefowa rządu Republiki Federalnej znalazła czas, by z nim porozmawiać.

- Marc, to znowu pan? – zdziwiła się Andrea Meier. – Mamy tu poważniejszy kryzys, niż się panu wydaje.

Vandenoort nie zorientował się, że muiała już rozmawiać ze Schneiderem.

- Generał Schneider powiedział...
- Wiem, co powiedział Schneider! – przerwała mu kanclerz.
- To niemożliwe. Polacy nie mogli wygrać bitwy z eskadrą Dentersa
- Schneider to kompetentny oficer. Wie, co mówi.
- Bzdura, to impertynent...
- Może się pan połączyć z Dentersem?! – Meier ponownie weszła mu w słowo.
- Gdybym mógł...
- Denters albo nie żyje, albo pławi się teraz w Bałtyku! – odpowiedziała ostro kanclerz. – Niech pan obejrzy telewizję.
- Telewizja przesadza albo wypacza fakty. Media przez cały konflikt trzymały polską stronę.
- Media były stronnicze, ale na pańską korzyść! – Meier miała dosyć Vandenoorta. – Nie wykorzystał pan tego, doprowadził pan całą sprawę do ruiny. A co do zdjęć telewizyjnych, to nasi eksperci twierdzą, że Vigoreaux ma rację. Kilka okrętów zatonoło, w tym dwa niemieckie.
- Musimy ukarać Polaków...
- Niczego nie musimy. Mój rząd wisi na włosku. Po południu Bundestag przegłosuje prawdopodobnie wotum nieufności. W większych miastach po

południu odbędą się demonstracje przeciw blokadzie. Chyba nie liczy pan na to, że mój następca chętnie podtrzyma blokadę, wysyłając kolejne siły? Komisarza zatkało.

– Do zobaczenia, panie komisarzu. Oby w lepszych okolicznościach – powiedziała pani Meier i odłożyła słuchawkę.

Oby nie przed Międzynarodowym Trybunałem w Hadze, pomyślała.

Serwis telewizji ZDF godz. 14:00

Przed chwilą Bundestag przegłosował wotum nieufności dla rządu Andrei Meier. Odwołany rząd pełnić będzie obowiązki do czasu powołania nowego gabinetu.

Baza lotnicza w Powidzu godz 18:47

Marciniak i Czerwiński powrócili do Powidza śmigłowcem dyspozycyjnym. Po samolot miał się udać jeden z młodszych pilotów. Pierwszą rzeczą, jaką usłyszał od Łysonia Marciniak po powrocie do bazy, była decyzja o zawieszeniu go w lotach na rozkaz generała Zdaneckiego. Porucznik w pierwszej chwili zjeżył się, potem uświadomił sobie, że w decyzji generała nie ma nic osobistego. Generał chciał mieć żywego świadka ważnych wydarzeń.

Wiadomo już było, że odnieśli niesamowity sukces. Ich pozoratory i pociski utorowały drogę rakietom, które zniszczyły większość floty EAF. Pociski z *Su-22* zatopiły korwetę *Driade* i uszkodziły pozostałe okręty, z wyjątkiem dwóch, trafionych przez *Orla* torpedami. Z okrętów Dentersa biorących udział w bitwie ocalały tylko ciężko uszkodzona belgijska fregata *Leopold I* i francuski *Germinal*. Denters i Mesdegaard zginęli na trafionym *Styksami Trompie*.

Za ten sukces przyszło słono zapłacić. Z czterdziestu ośmiu maszyn nie wróciło dwanaście. Zginęło dziewięciu pilotów, w tym dowódca Czerdziestej Szóstej, Domański. Poniosła ona ciężkie straty – aż 5 maszyn – gdyż jedna z jej *Szparek* miała awarię i osłona radioelektroniczna okazała się słabsza niż w pozostałych atakujących formacjach. Sześćdziesiąta Siódma straciła dwa bombowce. „Mulder” Lisowicz tak się zapędził w unikach, że wszedł w zasięg działek szybkostrzelnych jednej z korwet i te podziurawiły mu maszynę. Trafił do szpitala, gdyż po wodowaniu ze spadochronem opił się morskiej wody. Dru-

gim zestrzelonym – i jedyną śmiertelną ofiarą starcia w Sześćdziesiątej Siódmej- był Tkaczyk.

Marciniak nie mógł w to uwierzyć. Tkaczyk, świetny pilot, dziecko szczęścia – jedynym, który zginął. To było niewiarygodne. Nie potrafił pogodzić się z tym, że nie zobaczy swego starego, rubasznego kumpla – do wypitki, wybitki i na dziwki – jak mawiali o nim koledzy z promocji. Utrata Tkacza była dla niego kompletnym szokiem. Prędzej obawiałby się o siebie. Wiedział, że nie wszyscy wrócą z tej misji, ale do głowy mu nie przyszło, że wśród ofiar może być Tkacz.

Straty Marynarki też były dotkliwe – pociskiem *Exocet* zatopiona została korweta raketowa *Rolnik*, a *Kościuszko* uszkodzony bliskim wybuchem. Zginęło czterdziestu trzech marynarzy, trzydziestu ośmiu zostało rannych. Nawet pobite, okręty EAF zdołały dotkliwie się odgryźć. Na szczęście dla Marciniaka, ocalał *Orzeł*.

Piloci ścigali do bazy powoli. Część *Suchojów* odniosła uszkodzenia i lądowała w różnych miejscach. Nowaczyk wylądował podziurawioną odłamkami maszyną w Mirosławcu i przyleciał generalską *Bryzą*.

Marciniak zdał sobie sprawę z tego, że wobec czekających go przesłuchań, zeznań i procesów został sam. Był jednak zbyt zmęczony, by się tym przejmować.

Warszawa , Dowództwo Sił Powietrznych godz. 21:30

Generał Zdanecki czytał raport po bitwie.

Połączone uderzenie Sił Powietrznych i Marynarki rozniosło siły morskie i lotnicze EAF. Efekt połączonej, dwudniowej operacji był przerażający. Zniszczono 17 samolotów, w tym 15 *F-16*, osiem okrętów z ostatniego składu eskadry Dentersa legło na dnie u zachodnich wybrzeży Bornholmu po dzisiejszych atakach. Zdanecki doszedł do wniosku, że mieli kupę szczęścia. Gdyby nie atak torpedowy *Orla*, prawdopodobnie *Hessen* zestrzeliłaby więcej pozoratorów i polskich maszyn, a okręty Dentersa nie uciekłyby prosto w strefę rażenia *Styksów*, które poczyniły największe spustoszenie. *Audaces fortuna iuvat*, pomyślał generał. Niewątpliwie plan był odważny, ale łut szczęścia też się przydał. No – może nie łut szczęścia, ale inicjatywa i niesubordynacja dowódcy *Orla*, który wcześniej, niż nakazało dowództwo, przeszedł za linię dozoru EAF – i dzięki temu przeszedł też przesmyk na północ od Bornholmu, zanim pojawił się w nim *U-23*.

Straty własne były dotkliwe. Jeśli doliczyć eksploatację maszyn, trzeba będzie chyba zabrać jednej eskadrze wszystkie *Suki* i rozdzielić w dwóch pozostałych. Najpoważniejsze były jednak straty w ludziach – w połączeniu ze styczniową katastrofą w Mirosławcu ubył znaczny procent doświadczonych, czynnych pilotów samolotów odrzutowych, i o uderzeniowych. Będzie niezwykle trudno ich zastąpić. Tym jednak będzie martwił się później. Dla generała, który znał wszystkich swoich pilotów, utrata aż dziewięciu z nich była też bolesnym przeżyciem.

Zdanecki wiedział, że zwycięstwo w konflikcie zawdzięczał błędnym rachubom politycznym Vandenoorta, biurokratycznym ograniczeniom i wtykaniem przez polityków nosa w sprawy wojskowe. Komisja Europejska i EAF miały poparcie rządów i europejskich elit, dopóki potrafiły łatwo wygrać. Politycy europejscy łatwo miękli wobec zdecydowanego i silnego przeciwnika. Przeświadczenie, że wystarczy zebrać silne na papierze jednostki lotnicze i morskie, by zastraszyć jedno z większych europejskich państw, okazały się zwodnicze.

Rozpad sił EAF i jego polityczne następstwa były wielkim zwycięstwem. Przeciwnicy nie podnieśli się po klęsce. Popierający blokadę rząd Niemiec upadł. Zanim jego następcy podejmą decyzję co do ewentualnego odwetu, spotka ich polityczno-propagandowa niespodzianka. Teraz to oni byli w kłopotach.

Zdanecki chował w rękawie kilka asów. Najważniejsze, że wrócił Marciniak. Teraz będą mogli zająć się wykazaniem, że blokada została nałożona bezprawnie, wskutek prowokacji Vandenoorta. Faktycznie już nie istniała. Od późnego popołudnia na Okęciu lądowały już, mimo formalnego jej istnienia, samoloty pasażerskie. Tu krył się drugi atut Zdaneckiego. Trzeci miał mu dostarczyć Nawrocki.

Zadzwoniła komórka generała. Dobijał się Pawlak.

- Cześć!
- Czołem! No jak, Tadiusz, jedziesz na lotnisko?
- Pewnie, że jadę. O której?
- Przylatuje o 21:50. Pewnie się zdziwi na widok takich szarż.
- Myślę, że ma obycie.

Niespodzianka Pawlaka. Jeszcze jeden gwóźdź do trumny Vandenoorta i obciążający świadek. Zdanecki pomyślał, że zna dwóch najbardziej zasłużonych dla polskiego zwycięstwa ludzi: doskonałego pilota, Marciniaka i zawziętego, ryzykanckiego glinę Nawrockiego. Teraz pozna trzeciego, po prostu przyzwoitego człowieka. Jeana Acostelle.

Areszt śledczy w Poznaniu 30 lipca , godz 10:20

Komisarz Nawrocki szedł do celi aresztanta, niosąc cały pęk nadzwyczajnych wydań gazet – od prawicowej *Gazety Polskiej* po lewicową *Trybunę*. Wszystkie miały na „jedynce” bijące w oczy tytuły i dramatyczne zdjęcia – to eksplodujących okrętów, to na wpół zatopionego *U-23*, to zdemolowanego Roskilde. I wszystkie dotyczyły tego samego wydarzenia – zniszczenia floty EAF.

Kolejne strony przynosiły nie mniej istotne, choć nie tak drastyczne informacje – to o upadku rządu w Berlinie i chwianiu się w posadach innych rządów, które poparły Komisję Europejską w jej dążeniach do zmuszenia Polski do ratyfikacji eurotraktatu, to o tajemniczym zniknięciu Marca Vandenoorta, wreszcie o końcu blokady i masowych demonstracjach eurosceptyków. Zatopienie *Xenii*, zniszczenie sił EAF i rozbicie przez Polaków blokady okazało się wstrząsem dla Europy. Nawet najbardziej lewicowi komentatorzy zmuszeni byli przyznać, że integracja Europy pod presją oderwanych od wyborców i rzeczywistości brukselskich elit i rządów doszła do karykaturalnej postaci presji militarnej, w konsekwencji zaś doprowadziła do tragedii. Na pokładach okrętów Dentersa było ponad 1900 osób załóg, dowództwa, gości, żołnierzy piechoty morskiej. Mimo intensywnej akcji ratunkowej ponad 1080 z nich zginęło. Jeśli doliczyć ofiary z *Xenii*, to liczba śmiertelnych ofiar konfliktu wyniosła grubo ponad trzy tysiące.

Komisarz wszedł do celi, którą otworzył towarzyszący mu strażnik. Zastał tam młodego aktywistę, którego nazwisko pamiętał, ale wolał określać go jako Greenearth.

Szczył siedział przy stoliku i gapił się w telewizor, oglądając jakieś bzdury. Komisarz rzucił przed niego na stół plik gazet.

- To na wypadek, gdybyś gadał, że telewizja kłamie, albo oglądał dobranockę zamiast programów informacyjnych. Blokadę rozpierdoliłiśmy w drobny mak, twój kumpel Vandenoort właśnie nawiał i chowa się po świecie w obawie, że postawimy go przed trybunałem, co mu się słusznie należy. Na pewno cię stąd nie wyciągnie. Jeśli liczysz na to, że stąd szybko wyjdiesz, to chyba miałeś pałę z matematyki.

Nawrocki przerwał. Greenearth przyjrzał się plikowi gazet, ale nic nie powiedział.

- Powiem krótko, bo nie lubię tracić czasu. Chcemy wyświetlić ten spiszek do końca. Mam dość świadków i zarzutów, żebyś nie wyszedł z pierdła przez długie lata. Obok składania fałszywych zeznań i napaści na funkcjo-

nariuszy jesteś współwinny śmierci prawie trzech tysięcy ludzi. Długo będziesz oglądał świat przez kraty, chyba, że pomożesz nam osaczyć prawdziwego inspiratora tej zbrodni. Możesz albo zacząć z nami współpracować, albo przygotować się na życie w zamknięciu, w którym nie będziesz mógł się spokojnie wysrać, gdy współwięźniowie dowiedzą się, w czym maczałeś palce.

Greeneearth nie odpowiadał. Nawrocki nie miał ochoty mówić do słupa.

– Do zobaczenia na procesie. Na twoim procesie.

Zapukał w drzwi. Klawisz otworzył je i zamknął za komisarzem. Nawrocki nie obejrzał się za siebie.

Kiedy dwie godziny później wypełniał górę papierów powstałych podczas kryzysu i jego lewych nieobecności w pracy, szef aresztu zadzwonił, że więzień chce się z nim widzieć. Jak najszybciej.

Epilog

Europa pogrążona w chaosie La Libre Belgique, 1.08.2008r.

Dzień, w którym Polacy zniszczyli flotę Europejskich Sił Zbrojnych, okazał się sądny dla kilku europejskich rządów. W wyniku masowych demonstracji i protestów upadł rząd w Berlinie, gorąco popierający siłową politykę Komisji Europejskiej w wykonaniu Marca Vandenooorta. Parlament duński przegłosował wotum nieufności dla rządu, zaś premier brytyjski, obawiając się nacisków ze strony eurosceptyków, ogłosił nowe wybory. Skrócenie kadencji rządów i parlamentów szykuje się także we Francji, Holandii i Belgii.

Spisek w Brukseli przyczyną kryzysu? Frankfurter Allgemeine Zeitung, 1.08.2008r.

Polski rząd przedstawił świadków i dowody na istnienie spisku, który miał uzasadniać nałożenie na Polskę przez Europę sankcji. Wywołały one konsternację w państwach Europy Zachodniej, do tej pory bez zastrzeżeń popierających blokadę Vandenooorta. Niemcy już zapowiedziały otwarcie granic. Bundestag zapowiedział już powołanie komisji śledczej, która zbada rolę i działania rządu federalnego w trakcie polskiego kryzysu.

Otwartym pozostaje pytanie, dlaczego wywiady europejskie – w tym niemieckie – mające przecież swoje źródła w Brukseli, nie wykryły spisku. Być może doskonale o nim wiedziały, jednak informacja o prowokacji została zignorowana przez rządy, którym działania Vandenooorta były na rękę.

Vandenoort poszukiwany **Washington Times, 4.08.2008r.**

Interpol poszukuje listem gończym Marca Vandenoorta, do niedawna przewodniczącego Komisji Europejskiej. Vandenoort jest podejrzany o nadużycie władzy, zawiązanie spisku przeciwko Polsce, w którego wyniku straciło życie 3215 osób, a gospodarki państw członkowskich Unii poniosły gigantyczne straty. Vandenoort zniknął w dniu rozbicia floty EAF przez polskie lotnictwo. Prawdopodobnie uciekł do któregoś z państw Ameryki Południowej.

Integracja do rewizji **Daily Telegraph, 15.08.2008r.**

W tle militarnego konfliktu między Unią Europejską a Polską zaginęła gdzieś próba odpowiedzi na pytanie: jak powinna wyglądać integracja europejska? Czy za przekazywaniem kolejnych kompetencji dalekiej od kontroli wyborców administracji w Brukseli nie leży groźba dyktatury? Ostatnie wydarzenia pokazały Europejczykom, jak niewiele trzeba do nadużycia władzy i że wyśmiewana przez lata Europa ojczyzn może znakomicie funkcjonować w sferze wymiany handlowej, informacyjnej, naukowej, jednocześnie nie stwarzając takich zagrożeń.

Powidz, baza lotnicza **15 września 2008 r., godz. 9:15**

W pogodny, słoneczny dzień odchodzącego lata porucznik Michał Marciniak zegnał się z bazą w Powidzu i 67. Eskadrą Lotnictwa Taktycznego. W torbie miał już przydział do 44 eskadry stacjonującej w Poznaniu-Krzesinach.

Ostatnie tygodnie spędził głównie na przesłuchaniach i procesach. Batalie prawne kazały się nie mniej wyczerpujące niż militarny konflikt z siłami zbrojnymi Unii Europejskiej. Podobnie jak poprzednio Marciniak wyszedł z nich zwycięsko, choć próbowano zrobić z niego kozła ofiarnego. W wyjściu obronną ręką pomogła mu Dagmara, która zeznawała w procesie przeciwko czterem napastnikom z bójki na Ratajach. Ostatecznie Greenerth wywinął się od wyroku dzięki współpracy z prokuraturą w dużo ważniejszej sprawie. Zdradził szczegóły prowokacji Vandenoorta, która stała się pretekstem do nałożenia na Polskę blokady. Po opublikowaniu jego zeznań i tego, co po przebytych zała-

maniu wyśpiewał Greenerth, kilka zachodnioeuropejskich rządów, które jakoś przetrwały zniszczenie eskadry Dentersa, upadło. Unia odstąpiła od blokady, zajęta problemami wewnętrznymi, znacznie poważniejszymi, niż brak ratyfikacji eurotraktatu przez któryś z krajów. Głosy eurorealistów stały się dużo wyraźniej słyszane, a w Danii i Wielkiej Brytanii dostali się oni nawet do parlamentu.

Los traktatu „reformującego” był niepewny. Politycy w poszczególnych państwach, usiłowali zapanować nad rozbudzonymi emocjami i zachować integralność Unii. W krajach popierających blokadę odpierali zarzuty o współudział i zbyt pochopne poparcie sankcji. Przychodziło im to tym łatwiej, że mogli obarczyć winą Vandenoorta i Schustera, którzy zniknęli bez śladu. Europejskie elity odetchnęły z ulgą – obaj wiedzieli wystarczająco dużo, by pogрузić ich znaczną część. Zwolennicy komisarza rozplynęli się nagle w zakamarkach brukselskiej biurokracji i na cichych, spokojnych synekurach krajowych.

W Unii toczyły się gorące spory o to, kto ma zapłacić odszkodowania za polskie straty w ludziach i gospodarce, jak również za straty w ludziach i sprzęcie sił biorących udział w blokadzie. Wyglądało na to, że zapłaci solidarnie cała Unia, bo do winy nie poczuwał się nikt, a nie chciano zaogniać i tak już gorących sporów.

Podczas gdy za granicą toczono bój o przyszłość Unii, w kraju Zdanecki walczył o uzupełnienia sprzętu i ludzi po walkach. 46. eskadrę w następstwie poniesionych strat rozbrojono. Suki przekazano pozostałym dwóm eskadrom uderzeniowym. Pod koniec miesiąca Zdanecki miał polecieć do Stanów wraz z delegacją rządową, by rozmawiać o przekazaniu 16 używanych *F-16C* z opcją na kolejne 32. Pozwoliłoby to uzupełnić straty, ujednoczyć sprzęt i utrzymać przyzwoity minimalny poziom około 120 maszyn, co jak na wielkość i położenie Polski wcale nie było oszołamiącą ilością.

Marciniaka niewiele to obchodziło. Prawdę mówiąc, sam nie bardzo wiedział, jak wyszedł cało z tej zadymy. Trzykrotnie omal nie zginął – raz w locie treningowym, dwukrotnie w bojowym. Ścięła go policja, prokuratura chciała postawić przed sądem, a wolna prasa – zlinczować. Zwierzchnicy mieli do niego pretensje, perspektywy jego życia osobistego legły w gruzach.

I oto nagle wszystko się odmieniło. Nie dał się zabić, nie pozwolił posadzić do pudła, przyczynił się do wygrania konfliktu. Miał poparcie dowódcy Sił Powietrznych. Jak powiedział Czerwiński – kariera stała przed nim otworem.

Po ostatnim dniu procesu czterech napastników z Rataj, Łysoń wezwał go do swojego biura.

- Siadaj – powiedział, nie odsalutowawszy nawet. Widać było z daleka, że ma problem. Marciniak wiedział jaki. Pułkownik zastanawiał się, jak wyjść z sytuacji z twarzą.
- Nigdy za sobą nie przepadał – rzekł, gdy Marciniak usiadł. – Od początku uważałem cię za indywidualistę niezdolnego do gry zespołowej. Moim zdaniem nie nadawałeś się na pilota wojskowego. Zmieniłem zdanie, ale nie do końca. Ludzie się zmieniają, ciebie też to dotyczy. Może jeszcze będzie z ciebie niezły żołnierz.

W ustach Łysonia taka pochwała zabrzmiała jak przyznanie *Virtuti Militari*.

- Wykazałeś się w tym konflikcie – kontynuował Łysoń. – Masz pomysły i doświadczenie. Masz analityczny umysł. Jeśli nauczysz się odpowiedzialności za innych i słuchania rozkazów, to może pewnego dnia będziesz mógł wydawać je innym. Na razie masz to przeniesienie – wręczył Marciniakowi rozkaz na piśmie.

Mimo, iż Marciniak czuł, że Zdanecki dotrzyma słowa, omal nie podskoczył razem z krzesłem.

- Dziękuję, panie pułkowniku – odrzekł Michał. Rzucił tylko okiem.
- Cholera, dobrze się spisałeś. Nie spodziewałem się tego po tobie – Łysoń porzucił oficjalną gadkę. Widać było, że nie czuł się oficjalnie zbyt pewnie, zwłaszcza wtedy, gdy właśnie wyszło, że przegrał. „Pewnie mu tyso”, pomyślał Marciniak, ale bez specjalnej radości. Ten cyrk dobiegał końca – i Michał nie mógł tego końca się doczekać.
- Wszyscy się dobrze spisaliśmy, panie pułkowniku – powiedział pojednawczo.
- Dobra, dobra. Opuść sobie wazelinarstwo. Nie powiem, że będzie mi tu ciebie brakowało. Bierz się do roboty i zawijaj do Krzesin, zanim dowództwo zmieni zdanie.

Marciniak tak właśnie zrobił. Opuścił swoje miejsce w kompleksie koszarowym. Zanim to zrobił, siadł jeszcze w pokoju i zastanowił się. Obiecał sobie, że po tym wszystkim zadzwoni do Agnieszki i zapyta, co u niej.

Wiedział, co powiedzieliby rodzice: po co tracisz czas na tę dziewczynę? Był ciekaw, czy nie zmieniła zdania, czy całkiem o nim zapomniała. Był ciekaw, czy naprawdę coś do niego czuła, czy tylko udawała. Poza tym miał ochotę oznajmić jej, że właśnie dostaje najlepszą fuchę – zostanie pilotem najnowocześniejszego myśliwca taktycznego, jaki latał z szachownicą na skrzydłach.

Znalazł jej numer w komórce i zadzwonił. Ku swemu zdziwieniu usłyszał głos z automatu. Nie ma takiego numeru. Zadzwonił więc do pracy. Odebrała nieznana mu osoba, która przedstawiła się jako Kasia Niezgodą.

- Tu Michał Marciniak. Czy mogę mówić z Agnieszką Madej?
- Już tu nie pracuje.

Typowe w warszawskiej firmie. Półtora roku tu, dziewięć miesięcy tam. W większości firm po roku od odejścia pamiętają cię niedobitki. Dziewczyna przepytła go, kim jest i czy nie jest przypadkiem dziennikarzem.

- Jestem pilotem wojskowym i jej byłym narzeczonym – celowo użył terminu „narzeczony”, bo „chłopak” w jego odczuciu to był ktoś na jedną lub kilka nocy. – Nie wie pani przypadkiem, gdzie mogę ją złapać?
- Hmm... widzi pan... to jest taka dziwna sprawa... nie wiemy, co robi i dokąd się przeniosła, bo nie zostawiła żadnych namiarów, nawet komórkę zmieniła. Szef się piekli...
- Zaraz, jak to nie zostawiła żadnych namiarów? – przerwał jej Michał zdziwiony. To było do niej kompletnie niepodobne. Rzuciła tę pracę?
- Bo widzi pan... ona chyba się załamała nerwowo po tym, jak była na tym promie, co go zatopili. Zostawiła pracę z dnia na dzień i po prostu uciekła.

Marciniak podziękował i się rozłączył.

„Dziwna sprawa” pomyślał. Jak niewiele czasem trzeba, by zobaczyć wszystko z innej perspektywy. Musiało coś jej się przestawić. Może zobaczyła, że życie, jakie wiodła, wcale nie było szczęśliwe?

Tak czy inaczej, skoro nie zostawiła namiarów, ani nie skontaktowała się z nim, nie miał powodów przypuszczać, że mogłaby chcieć z nim rozmawiać.

Po drodze do dzisiaj była jeszcze smutna uroczystość. Pogrzeb Tkaczyka.

Właściwie był to pogrzeb symboliczny. Ciała pilota nie odnaleziono. Nikt nie wiedział, jak i kiedy zginął, choć Marciniak przypuszczał, że owa wielka eksplozja, jaką widział kątem oka w trakcie ataku, mogła być trafieniem samolotu Tkacza.

Ze względu na przyjaźń, jaka łączyła Michała z poległym, Łysoń chciał nawet poprosić Zdaneckiego, by umożliwił Marciniakowi lot w kluczu honorowym, ale Michał oprotestował ten pomysł.

Stał więc na cmentarzu w jednej z podkrakowskich wiosek. Słońce świeciło poprzez drzewa. Rodzina Tkaczyka nie zgodziła się ani na pochowanie go na Powązkach, ani na salwy honorowe, jedynie na przelot klucza *Su-22* i obecność kolegów z wojska. I dobrze, pomyślał Marciniak. Oficjele pieprzyliby nad trumną wzniosłe słowa o obowiązku wobec ojczyzny, o którym sami dość często zapominali. Tymczasem on zapamięta Tkacza takim, jaki był – ze skłonnością do wariackich wyczynów, szalonych przygód i dokopania każdemu, kto le-

ciał sobie w kule, by nie użyć mocniejszych słów. I nie wahał się, czy chodziło o uliczną bijatykę, czy o nalot na znacznie silniejszego przeciwnika.

Marciniak, Gryzło i Kawecki stali na baczność salutując, gdy cztery *Su-22* przeleciały z hukiem na wysokości dwustu metrów w ciasnej formacji przypominającej ułożenie końcówek palców. Ten od palca serdecznego wyszedł z szyku obszernym łukiem ku niebu, pozostawiając puste miejsce między samolotami.

Będzie mu brakowało Tkacza.

Miał dwa dni urlopu, a osiemnastego miał zameldować się w Poznaniu.

Samochód z kierowcą w stopniu kaprala podwiózł go do bramy lotniska. Marciniak podziękował kapralowi, zasalutował wartownikowi, który podniósł szlaban. Niespiesznym krokiem ruszył w stronę Powidza. Nowaczyk chciał dać mu samochód aż do Powidza, ale Marciniak chciał się przejść. Po prostu miał ochotę pobyć sam, oglądać lasy i pola, na chwilę zostawić biurokrację, media, prokuratury, politykę, a nawet samoloty.

Wyszedł z otoczonej lasem szosy na publiczną drogę, przecinająca pola ze wschodu na zachód. Uderzył go chłodny wiatr, słońce przygrzewało jeszcze, lecz czuć było, że to już ostatki lata. Jesień wisiała w powietrzu.

Z tyłu za nim przetoczył się grzmot. Startujący odrzutowiec przeciął około południową ciszę pól Wielkopolski. Marciniak uśmiechnął się do siebie. Dobrze wiedzieć, że chłopcy z Sześćdziesiątej siódmej robią, co do nich należy.

Drogą rzadko przejeżdżał jakikolwiek samochód. Jeśli już, to przemykał pędem i znikał. Zdziwienie Marciniaka wzbudził fakt, że nadjeżdżający właśnie z tyłu pojazd zwalniał. Obrócił się. Za kierownicą steranego Tico zobaczył Dagmarę. W jasnym t-shircie i ciemnych okularach wyglądała zabójczo. Samochód zrównał się z nim.

– Marciniak, draniu, wyjeżdżasz i nie piśniesz ani słowa? – krzyknęła do niego przez otwarte okno.

Wzruszył ramionami.

– Mój wyjazd nikogo nie obchodzi. Zresztą przenoszę się do Poznania. Odezwałbym się wkrótce.

– Już to widzę. Mieliśmy pogadać, pamiętasz?

– Możemy później?

Zatrzymała samochód na poboczu i wysiadła.

Marciniak zawrócił i podszedł do samochodu. Postawił teczkę na masce.

– Co ty w ogóle tutaj robisz? Masz wolne czy co?

Dagmara usiadła obok niego na masce.

- Można tak powiedzieć – rzekła. – Wywalili mnie z „Codziennej”.
- Co?
- Dobrze słyszysz. Opisałam waszą akcję, ale uznali, że nie wywiązałam się z zadania. Brak obiektywizmu. Uznali, że zbyt się zaangażowałam.
- A zaangażowałaś się?

Spojrzała na niego, przekrzywiając głowę.

- Można tak powiedzieć – powtórzyła.
- Na czym polega to zaangażowanie?

Nie odpowiedziała.

- Krótko mówiąc, nie byłaś wystarczająco bezstronna – domyślił się Michał.
- Jeśli brak zaangażowania po stronie przeciwnej można nazwać bezstronnością, to tak.
- Ta twoja gazeta powinna zmienić nazwę. „Brussels Daily” byłaby odpowiednia?

Dagmara roześmiała się.

- Co teraz zrobisz? – spytał Marciniak, bo wypadało o coś spytać.
- Zatrudnię się w telewizji publicznej.
- W „reżimówce”? Niemożliwe!
- Prasa lewicowo-liberalna mnie nie chce, bo jej podpadłam. Prasa prawicowa mnie nie weźmie, bo jestem skażona „Codzienną”. Jeżeli nie zatrudnię się w telewizji, to zostaje mi polowanie na bogatego męża.
- Ty i małżeństwo? Chociaż... Znalezienie bogatego chłopca, który się z tobą ożeni, nie powinno być trudne.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Masz wszystko, czego potrzeba kobiecie...
- Naprawdę tak uważasz? To dlaczego mnie unikasz?
- Może kogoś już mam?
- Nie masz.
- Skąd wiesz?
- Kobieca intuicja.

Teraz Marciniak się roześmiał, lecz po plecach przebiegł mu dreszcz. Poczuł mrowienie w karku. To było coś innego. Coś się w niej zmieniło.

- Skoro nie ja, to może ktoś inny – zażartował.
- Będzie trudno. Jestem wymagająca.
- Doprawdy?! Czego więc wymagasz?

Dagmara odsunęła okulary na czoło.

- Chcę kogoś, kto nie boi się być sobą, kogoś, kto kocha życie, a nie tylko politykę czy pieniądze. Chcę normalnego faceta, który nie boi się życia, wyzwia i przygód.
- To zestaw warunków niemożliwych do spełnienia!
- Może... – przekrzywiła głowę i znowu spojrzała z ukosa na Marciniaka. – Ale mam na oku kogoś, kto chyba je spełnia.
- Nie może być... – udał zdumienie. – O nie! To chyba nie ja? Dla mnie liczy się tylko forsa!
- Nawet kłamać nie umiesz przekonująco!

Zanim zdążył się zorientować, całowali się namiętnie. Czas dla nich zatrzymał się. Nie wiedzieli, ile to trwało, ale musiało chwilę, bo na pustej drodze pojawił się samochód. Kierowca na ich widok zatrąbił. Marciniak kątem oka wychwycił kształt i kolor. Wojskowy. Ledwie zdołał oderwać się z objęć Dąmgary.

- No to reputację w mojej byłej jednostce właśnie mi diabli wzięli – rzekł. Dąmgara obejrzała się na pojazd i zachichotała.
- To dobrze, że o to chodzi, bo tak się wrywałaś, jakbym nazywała się Borgia.

Marciniak złapał za teczkę.

- Czas na mnie – powiedział.
- Ej, a co z nami?
- Z nami? Jesteśmy umówieni kolację, gdy pojawię się w Poznaniu. Ty stawiasz.
- Dlaczego nie dzisiaj?
- Bo do kolacji jeszcze daleko. A muszę to wszystko sobie poukładać.
- Co poukładać?
- Latanie. Przenosiny. Odpoczynek. Twoją metamorfozę. Może to tylko chwilowa poza...
- Podrzucę cię do Powidza.
- Chcę się przejść!
- Uparciuch!

Wsiadła do samochodu i zapuściła silnik.

- Zadzwoń, gdy już zakończysz porządki – powiedziała. – Obiecuj!
- Obiecuję – rzekł.

Pomachała mu na pożegnanie. Pozdrowił ją wyciągniętą, otwartą dłonią. Ruszył w stronę Powidza.

Do licha, tego się nie spodziewał. Nawet sam siebie zaskoczył. Może czas już na większe zmiany. W końcu wygrał z rakietami i okrętami Dentersa, wygrał z prokuratorami, żandarmerią, przełożonymi. Może i z nią też wygrał?

Dobrze jest być zwycięzcą, nieprawdaż?

Rzadko w życiu wszystko się układa. Po okresie nieustającego pecha nastąpiła pomyślna passa. Musiał ją właściwie wykorzystać, nim przyjdą gorsze czasy.

Na razie przyszłość zapowiadała się całkiem niezłe.

Podziękowania

Pragnę podziękować zawodowcom i hobbystom, których wiedza, życzliwość i zaangażowanie pomogły mi przy pracy nad "Próba sił". Szczególnie dziękuję *Toyo*, z którego wiedzy korzystałem w formie odpowiedzi na bezpośrednie pytanie, obszernych i ciekawych postów oraz pośrednio - poprzez Jego pomoc twórcom *PL-MOD* do *LOMAC-a*. Dziękuję *Milimetrowi*, który uświadomił mnie w kwestiach walki radioelektronicznej i SEAD na *Su-22*. Dziękuję za materiały i podpowiedzi *Lupacowi*, *PiterowiNZ* i *Hakate* z Forum Militarium.

Podziękowania należą się również twórcom innych add-ons do gier symulacyjnych - *NWP* do *Fleet Command* i *LWAMI* do *Dangerous Waters*. Osobne podziękowania należą się twórcom *PL-MOD* do *Lock-On Modern Air Combat* - ich mod nie był bezpośrednio użyty w trakcie pisania powieści, ale pośrednio okazał się inspirujący.

Specjalne podziękowania należą się Jackowi Piszczkowi, za ochotniczą korektę powieści, jeszcze w trakcie jej publikowania w odcinkach.

Last, but not least – dziękuję mojej rodzinie i przyjaciołom, którzy wspierali mnie w trakcie prac nad "Próba sił".

Bez Was ta powieść by nie powstała.

Próba sił

Polska, rok 2008. Porucznik Michał Marciniak pilot myśliwski Sił Powietrznych RP, wskutek niezawiniętej przez siebie groźnej sytuacji w powietrzu trafia do jednostki uderzeniowej, uzbrojonej w najstarsze i najmniej przydatne bojowo samoloty Su-22. Tymczasem w Unii Europejskiej dochodzi do władzy ekipa skrajnej lewicy, której naczelnym celem jest przeforsowanie ratyfikacji nowego eurotraktatu we wszystkich państwach Unii. Wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności ratyfikacja zostaje zablokowana w Polsce, na której skupia się gniew zasiadających w Komisji Europejskiej fanatycznych euroentuzjastów. Bruksela podejmuje próbę wywarcia presji na władze w Warszawie. Konflikt przybiera na sile. Marciniak, tocząc walkę z pechem, przelozonymi i przeciwnikiem, mimo woli zostaje w niego wciągnięty...

<http://proba-sil.c0.pl/>